Grey Scale #13

C M Y K

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

R G B WH GR BL Grey

DANES PICTA .COM

Inches 1 2 3 4 5 6 7 8

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Colour Chart #13

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

DANES PICTA .COM

Skrzydła i korzenie

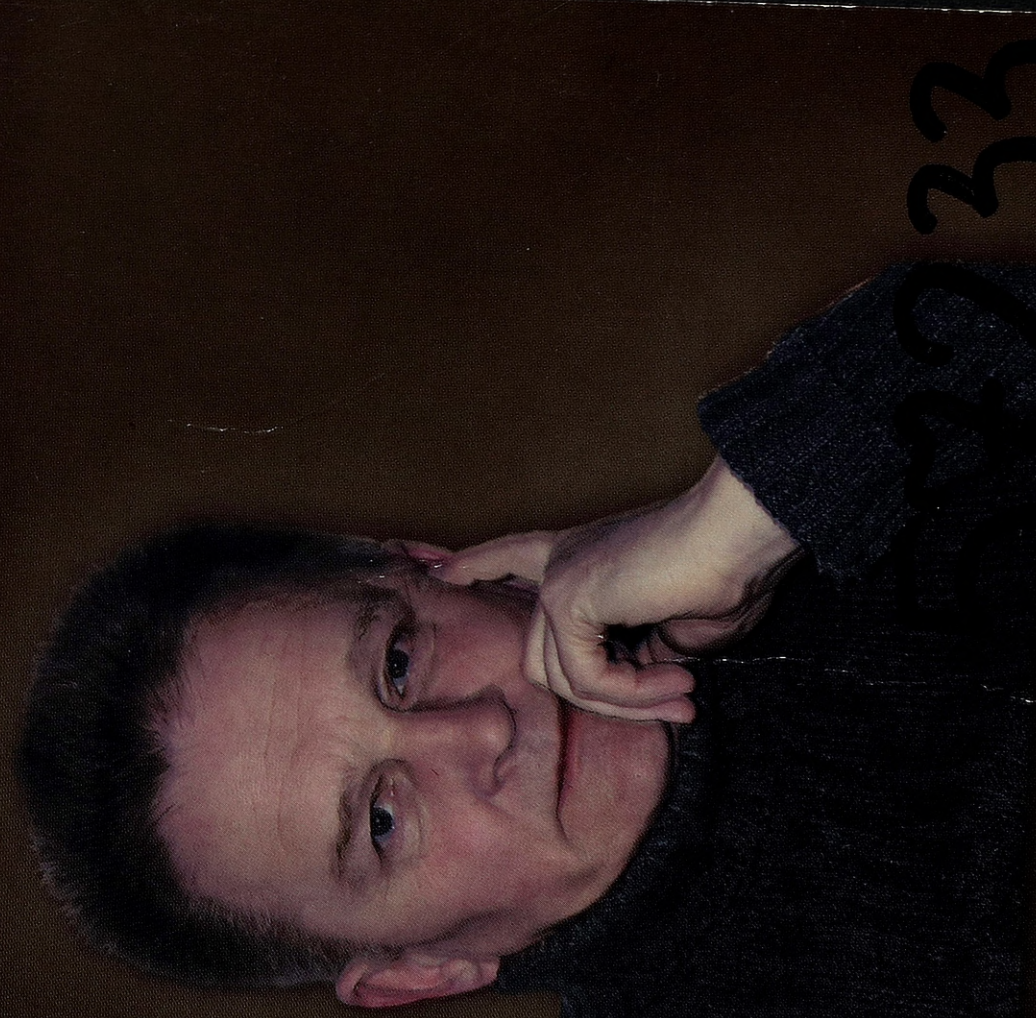

Jerzy Mazurkiewicz

wspomnienia

Skrzydła i korzenie

Synom i wnukom
poświęcam

Jerzy Mazurkiewicz

BIBLIOTEKA GŁÓWNA AKADEMII OBRONY NARODOWEJ
57233

Skrzydła i korzenie

Wspomnienia

Akademia Obrony Narodowej
Warszawa 2004

Redaktor **Zbigniew Kozakiewicz**

Redaktor techniczny **Beata Klarowska**

Korekta **Renata Czerwińska**

Projekt okładki i opracowanie graficzne **Dariusz Łysio**

Zdjęcia pochodzą ze zbiorów Autora

Zdjęcie na okładce oraz zdjęcia 58 i 60, a także opracowanie komputerowe ilustracji 3 i 5 **Alicja Kotas**

Zdjęcie do ilustracji 5 **Marcin Dobryłko**

Zdjęcie do ilustracji 47 **Tomek Sikora**

© Copyright by Jerzy Mazurkiewicz 2004

ISBN 83-89423-21-9

Skład, druk i oprawa: Akademia Obrony Narodowej – Wydział Wydawniczy
00-910 Warszawa, al. gen. A. Chruściela 103, tel. 681-40-55, tel./faks 681-37-52
Zam. nr 367/2004

Spis treści

WSTĘP 9

Rozdział pierwszy
RODZINNE STRONY 11
Okolice 11
Trochę historii 12
Krótka charakterystyka Przytkowic 17

Rozdział drugi
KORZENIE 25
Ród Antosów 25
Dawne warunki życia na wsi 31
Ród Mazurkiewiczów 37

Rozdział trzeci
WOJENNO-POWOJENNE DZIECIŃSTWO 43
Czas i miejsce urodzenia 43
Pierwsze wspomnienia 44
Front 46
Okres powojenny 48
Sytuacja polityczno-militarna 50
Pierwszy biznes 54
Przybysze 54
Szkoła podstawowa 56
Gry i zabawy 59
Sport 60
Fascynacje 68
Praca 71
Życie rodzinne i towarzyskie 73
Choroby i leczenie 82
Zwierzaki 86

Rozdział czwarty
MŁODOŚĆ DURNA I CHMURNA 89
Liceum w Kalwarii 89
Nauczyciele 90
W internacie 98

Szkolne perypetie ... 102
Przytkowice–Kalwaria i z powrotem ... 106
Śmierć mamy ... 109
Studia ... 111
Szamotka ... 114
Sport i rozrywka ... 117
Próby artystyczne ... 121
Józek ... 124
Zwierzaki, raz jeszcze ... 127
Bednarze ... 131

Rozdział piąty
PODCHORĄŻY ZAWSZE ZDĄŻY ... 135
Kierunek Zegrze ... 135
Do przysięgi ... 139
Podchorążowie rocznik 60-ty ... 150
Koleżeńskie więzi ... 173

Rozdział szósty
CHOSZCZAŃSKI RZUT ... 179
Przeznaczenie ... 179
Do Choszczna marsz ... 181
Poniemieckie koszary ... 182
Dlaczego w Choszcznie ... 184
Historia miasteczka ... 186
W jednostce wojskowej 1609 ... 188
Konstap ... 192
Dalsze dzieje ... 195

Rozdział siódmy
RODZINA ... 203
Dana ... 203
Ród Pieszków ... 205
Małżeństwo ... 208
Dzieci ... 213

Rozdział ósmy
PO NAUKI ... 217
Co dalej ... 217
Kurs przygotowawczy ... 219
Leningrad ... 222
Wałcz ... 233
Rembertów ... 236

Rozdział dziewiąty
NIEBIESKI BERET ... 261
Dywizja desantowa ... 261
Szef łączności dywizji ... 262

W garnizonie i na ćwiczeniach ... 265
„Fala-77" ... 276
Pożegnanie ... 282

Rozdział dziesiąty
ZA KATEDRĄ ... 285
Katedra Łączności ... 285
Pierwsze kroki dydaktyczne ... 291
Warszawiści ... 298
Kierownik zakładu ... 304
W Akademii Obrony Narodowej ... 313

Rozdział jedenasty
STAN WOJENNY ... 319
Przed stanem wojennym ... 319
Dowódca grupy operacyjno-kontrolnej ... 322
Komisarz-Pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju ... 327
Dwadzieścia lat później ... 344

Rozdział dwunasty
DOJRZAŁE ROZMAITOŚCI ... 351
Po złote runo ... 351
Powrót w wysokie góry ... 358
Ci wspaniali artyści ... 366
W Ministerstwie Spraw Zagranicznych ... 373
Zauroczenie ... 377
Miejsce na ziemi ... 383
Wielkie budowanie ... 389
Radości i smutki ... 394

Wykaz ilustracji ... 403

Wstęp

Nadchodzi taki czas w życiu człowieka, że więcej ma się już za sobą niż przed sobą. Odżywają wówczas wspomnienia, rodzą się refleksje, a także skłonności, aby to, co się przeżyło utrwalić i zachować dla potomnych. Złośliwcy mówią, że wkracza się w okres pamiętnikarski. Niech i tak będzie, co widać także na moim przykładzie.

Mam świadomość, iż rodzice powinni dać swoim dzieciom wiele rzeczy, w tym szczególnie miłość, ale przede wszystkim skrzydła i korzenie. Skrzydła, by mogły wyfrunąć z rodzinnego domu i dobrze wystartować w dorosłe życie oraz bez większych kłopotów w nim sobie radzić. Korzenie zaś, aby dając mocne więzi rodzinne zapobiegały zapominaniu skąd się pochodzi, pomagały miłowaniu tego, co nasze przez dziesiątki i setki lat oraz zapewniały poczucie siły wspólnoty, którą daje rodzina, ojczysta ziemia i zastępy przodków.

O ile moi rodzice zadbali o to, by dać mi wspaniałe skrzydła, to zbyt mało uwagi poświęcili temu, aby wyposażyć mnie w wiedzę o moich korzeniach. Może spowodował to osiadły od pokoleń w jednym rejonie tryb życia a może trudny, by nie powiedzieć ciężki czas, w którym żyli sprawił, że tak się stało. Żałuję tego bardzo. Mogłem o wiele rzeczy pytać moje długowieczne babcie, rodziców i dalszą rodzinę oraz sąsiadów, ale tak się nie stało. Śmierć ich zabrała, a wraz z nimi i pamięć o przeszłych pokoleniach.

W moim przypadku sytuacja była jednak już zupełnie inna niż rodziców. Wyjechałem na stałe z rodzinnych stron, ożeniłem się w rodzinie, która przybyła po 1945 roku z dawnych wschodnich ziem polskich na odzyskane Ziemie Zachodnie. Tam też urodzili się synowie. Następnie los rzucił nas do Warszawy, a starszego syna nawet do Kanady.

Z latami narastało we mnie przekonanie, że jeżeli nie utrwalę tych faktów w formie wspomnień, to pozbawię moich synów i wnuków korzeni, a więc wiedzy o przodkach, ich losach, sylwetkach i charakterach, warunkach życia, troskach i radościach i innych interesujących sprawach. A losy przodków są niezwykle ciekawe, jako że swoimi korzeniami sięgają dawnych stolic Polski. To zaś oznacza, że byli rodowitymi mieszkańcami Krakowa, Wilna, a ich po-

tomkowie Warszawy. Są przez to jak gdyby odzwierciedleniem losów samej Rzeczypospolitej.

Rozpoczynając pisarską robotę zastanawiałem się nad dwoma problemami. Jakie powinny być – tytuł i forma opracowania? Początkowo wydawało mi się, że odpowiednim będzie tytuł „Żyłem w PRL-u." To znaczy w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej, o której potocznie mówiono, że jest państwem składającym się z trzech przymiotników. Jaka narodowość – polska, jaki ustrój – rzeczpospolita i jaka forma państwa – ludowa. Po jakimś czasie doszedłem jednak do wniosku, że w zasadzie nie chodzi mi o opisywanie rzeczywistości PRL-u. To bowiem należy zostawić historykom, bo taki jest ich zawód. I nie zmieni tego przekonanie, że nie ma historyka, który pisałby obiektywnie, a jak powszechnie wiadomo historię zawsze piszą zwycięzcy.

Ja natomiast pragnę tylko spisać swoje wspomnienia, a więc fakty w zasadzie jednostkowe, widziane moimi oczami, zasłyszane od swoich krewnych lub odkryte podczas różnych szperań i poszukiwań. To, co odcisnęło się w mojej pamięci i utrwaliło przez lata, w tym ludzkie charaktery, ich działalność, rzeczy ciekawe i charakterystyczne, radosne i smutne, to wszystko co tworzyło klimat tamtego okresu.

Postanowiłem więc, że tytuł będzie brzmiał „Skrzydła i korzenie". A co do formy? No cóż, w większości wspomnieniowa, nie pretendująca do zachowania stuprocentowej ścisłości historycznej, jako że pamięć bywa zawodna, a sposób patrzenia indywidualny. Zgodny z powiedzeniem, że punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Chociaż tak naprawdę to zależy od osobowości patrzącego.

Zapraszam więc serdecznie do skonsumowania moich wspomnień, mając nadzieję, że będą ciekawe, bo dotyczą niezwykłego okresu historycznego i ludzi w nim żyjących. Dla niejadków proponuję zaś spis treści, z którego, jak z karty dań, wybiorą sobie co smaczniejsze kąski.

Przy tej okazji pragnę złożyć głęboki hołd moim Rodzicom, którzy obdarzyli mnie nie tylko życiem, ale także niezwykłymi skrzydłami oraz podziękować swoim nauczycielom, tym w szkołach i uczelniach, a także w życiu, że pomagali mi te skrzydła rozwinąć i zapewnili im siłę i wytrzymałość.

Szczególne podziękowania pragnę złożyć mojej Małżonce, która obdarowała mnie dwoma wspaniałymi synami oraz sprawiła, że moje życie osobiste było szczęśliwe.

Rozdział pierwszy

Rodzinne strony

Okolice

Urodziłem się i wychowałem w Przytkowicach. Dużej wsi leżącej w zachodniej części Pogórza Wielickiego, oddalonej 28 km na południowy zachód od centrum Krakowa i około 15 km od Skawiny oraz około 25 km na północny wschód od Wadowic i 7 km na północ od Kalwarii Zebrzydowskiej.

Kraków to przede wszystkim przepiękne stare miasto z królewską siedzibą na Wawelu, będące stolicą Polski za panowania Piastów i Jagiellonów. Posiada jeden z najpiękniejszych rynków Europy, a na nim Sukiennice i Kościół Mariacki. Kościół znany jest ze wspaniałego ołtarza Wita Stwosza, a katedra zamkowa chlubi się największym w Polsce dzwonem, zwanym dzwonem Zygmunta. Miasto utraciło królewską koronę w związku z przeniesieniem przez Zygmunta III Wazę stolicy do Warszawy, co podyktowane było szwedzkim pochodzeniem króla i chęcią przybliżenia stolicy Polski do Szwecji i swoich w niej interesów.

Nie utraciło jednak roli opiniotwórczej i znaczenia w rozwoju kultury polskiej i podtrzymywaniu tożsamości narodowej. Po utracie niepodległości Polski, w wyniku rozbiorów, było miejscem insurekcji kościuszkowskiej 1794 roku oraz rewolucji krakowskiej 1846 roku. W czasie okupacji hitlerowskiej pełniło rolę stolicy Generalnej Guberni. Po drugiej wojnie światowej decyzją władz politycznych, pod Krakowem we wsi Mogiła, wybudowany został największy kombinat metalurgiczny Huta im. Lenina, dający pracę kilkudziesięciu tysiącom chłopów z przeludnionych rejonów Podkarpacia.

Skawina jest miastem założonym w 1364 roku przez Kazimierza Wielkiego. Wzniesiony tu przez niego zamek służył do umocnienia granicy z Księstwem Oświęcimskim. Zamek został zniszczony, a na jego fundamentach w początku dwudziestego wieku powstał budynek „Sokoła". Przed drugą wojną światową i w czasie okupacji w mieście działały dwie fabryki: Fabryka Materiałów Ogniotrwałych, zwana „Szamotką" oraz Fabryka Kawy, zwana „Francką",

chyba od imienia lub nazwiska jej właściciela. Po wojnie wybudowano dużą elektrociepłownię oraz olbrzymią hutę aluminium. Wytapiano w niej elektrolitycznie nie tylko aluminium, ale wytwarzano także sztuczne kamienie szlachetne, zwane korundami. Miasto liczy około 25 tysięcy mieszkańców.

Wadowice zostały założone w 1327 roku przez Piastów śląskich. W 1564 roku zostały wcielone do Korony, czyli do państwa polskiego. Osiemnastego maja 1920 roku urodził się w Wadowicach Karol Wojtyła, który w 1978 roku został papieżem Janem Pawłem II. W okresie międzywojennym w okolicach Wadowic działała silna grupa literacka o nazwie „Czartak", której liderem był znany powieściopisarz Emil Zegadłowicz. Przez długie lata było to miasto powiatowe, w którym funkcjonowały ośrodki przemysłu maszynowego i spożywczego. Liczy obecnie około 20 000 mieszkańców.

Kalwaria Zebrzydowska otrzymała lokację w 1617 roku. Od osiemnastego wieku jest słynnym ośrodkiem stolarstwa i meblarstwa. Na stokach góry Żar znajduje się kościół i klasztor Bernardynów fundacji Zebrzydowskich, otoczony zespołem 42 kościółków i kaplic, w większości manierystycznych i barokowych, wybudowanych w okresie od pierwszej połowy siedemnastego do końca osiemnastego wieku. Tworzą one przestrzenno-krajobrazowe założenia Drogi Krzyżowej (Kalwarii). Klasztor wraz z kościołem barokowym wybudowany został w latach 1603–1609, a następnie rozbudowywany o kaplicę Matki Boskiej Cudownej (Kalwaryjskiej), w której umieszczony jest obraz Madonny z połowy siedemnastego wieku.

Przed klasztorem znajduje się tak zwany Rajski Plac – dziedziniec odpustowy z parterowymi podcieniami z 1624 roku. Przed Wielkanocą corocznie odbywają się tu misteria Drogi Krzyżowej (ludowa inscenizacja o tradycji sięgającej osiemnastego wieku), a od 8 do 15 sierpnia pielgrzymki maryjne związane ze świętem wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i wielkim odpustem. Miasteczko liczy obecnie ponad 5 000 mieszkańców.

Trochę historii

Od zarania dziejów, tereny położone między Skawą i Skawinką związane były z rycerskim rodem Radwanitów. Nie są dokładnie znane dzieje pierwszych Radwanitów oraz tryb osiedlenia się ich przedstawicieli na zachodnich krańcach Pogórza Wielickiego. Pierwszym, znanym tylko z legendy podkrakowskim Radwanitą, miał być rycerz Radwan żyjący w drugiej połowie XI wieku, który za zasługi oddane królowi Bolesławowi Śmiałemu podczas wypraw wojennych na Ruś otrzymał ziemię, na której założył wieś Radwanice koło Krzeszowic i uzyskał herb Radwan. Herb ten przedstawia na czerwonym polu wyobrażenie poziomo ułożonej żółtej chorągwi o trzech wąskich, opuszczonych ku dołowi płatach. Nad drzewcem umieszczony jest krzyż.

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można przypuszczać, iż ród Radwanitów bierze swój początek od Wikingów. Przemawiają za tym dwa fakty. Pierwszy to imiona – Gotard, Unazon, Glazon, a po drugie odkrycia dokonane pod koniec XX wieku na obszarze Polski, szczególnie na Mazowszu. Wykazały one, że Wikingowie byli angażowani przez pierwszych Piastów jako wojowie drużyn przybocznych i książęcych. Nie było to zjawisko związane tylko z ziemiami Piastów. Wikingowie na Rusi doszli nawet do władzy i utworzyli dynastię Rurykowiczów.

Historyczne wzmianki dotyczą dopiero Radwana, biskupa poznańskiego w latach 1156–1162. W 1228 roku kanclerzem księcia Konrada Mazowieckiego był Radwanita Gotard. Prawdopodobnie więc ród ten wywodził się z Mazowsza. Przyjmuje się zatem, że Konrad Mazowiecki podczas walk o tron krakowski w latach 1227–1243 systematycznie sprowadzał Radwanitów jako wiernych sobie rycerzy, osadzał ich w pobliżu granicy śląskiej – na rubieżach zachodniej Małopolski oraz Doliny Rudawy i na Pogórzu Wielickim.

Według zamysłu księcia, Radwanici mieli strzec zachodniego pogranicza ziemi krakowskiej, które na południe od Wisły ukształtowało się w latach 1177–1179 na linii rzeki Skawy; stało się tak w wyniku darowizny ziemi oświęcimskiej księciu opolskiemu Mieszkowi Plątonogiemu przez księcia krakowskiego i sandomierskiego. Były to tereny pokryte wówczas lasami i bezludne. Dlatego po przybyciu Radwanici zaczęli trzebić podgórską puszczę między Skawą i Skawinką oraz zakładać osady.

Z dokumentu pokojowego z 1274 roku wiadomo, że książę krakowski Bolesław Wstydliwy, po zakończeniu długotrwałej wojny z księciem opolskim Władysławem, przekazał mu ziemie leżące między Skawą i Skawinką. Z tej darowizny wyłączył jednak wsie Radwanitów powszechnie nazwane Trebol (Trzebol), należące do rycerzy: Michała, Unazona i Glazona (Slazona). Być może założycielem tych osad był jakiś Trzebomir, ponieważ takie imię było wówczas w użyciu. Był to pas ziemi o szerokości około 9–10 kilometrów, przez kilka późniejszych wieków zwany „korytarzem radwanickim" lub „rowem Radwanitów". Ciągnął się od Wisły w Jaśkowicach (przez które miał połączenie z polskim Czernichowem za Wisłą) w kierunku południowym – po obecne Brody, gdzie także łączył się z polską dzielnicą krakowską.

Teren ten obejmował mniej więcej dziewięć obecnie istniejących miejscowości, są to: Brody, Kalwaria Zebrzydowska, Zebrzydowice, Bęczyn, Przytkowice, Sosnowice, Wielkie Drogi z Trzebolem, Jaśkowice i Paszkówkę z Pobiedrem.

Korytarz oddzielał zwarty obszar Księstwa Opolskiego (później oświęcimskiego i zatorskiego) od jego wschodniej enklawy krzęcińsko-zatorskiej. Książę Bolesław Wstydliwy ściśle określił prawa i przywileje wiernych sobie Radwanitów trzebolskich. Uzyskali oni prawo polowania na rozległych terenach – aż po granicę węgierską oraz dziedzictwo w „silva nigra", czyli w Czarnym Lesie – aż po górę Żar i górę Lanckoronę (wówczas zwaną Upik), do Leńcz i potoku Solca, na których mogli zakładać dalsze osady i wsie. W ten sposób przewidu-

jący książę Bolesław Wstydliwy wykorzystał zapoczątkowane przez Konrada Mazowieckiego dzieło i zabezpieczył ten niepewny odcinek granicy wiernymi sobie rycerzami. Zresztą w dokumencie nadawczym wyraźnie zaznaczył, że ziemie te Radwanici otrzymali w nagrodę za dotychczasowe zasługi wobec księcia krakowskiego.

Dzięki tym przywilejom wsie nazwane Trebol po 1274 roku jeszcze się pomyślniej rozwijały, a w ciągu pierwszej połowy XIV wieku wyodrębniły jako oddzielne już miejscowości i przybierały własne nazwy. Również nowe gałęzie rodu Radwanitów, w celu odróżnienia, przyjmowały różne nazwiska, zachowując jednak rodowy herb. W okresie nasilających się w XV wieku zatargów między książętami oświęcimskimi i zatorskimi a królami polskimi, ród ten dobrze wypełniał swoją rolę obrońców polskiej racji stanu. Ułatwiło to znacznie rewindykację tych księstw przez Polskę w ciągu XV i XVI wieku.

Do czasów Jana Długosza, oprócz najwcześniejszego parafialnego Pobiedra, powstała nowa parafia w Przytkowicach, a później – również w Zebrzydowicach. W tym okresie niektórzy z Radwanitów opuszczali swe dotychczasowe siedziby w „korytarzu" i przenosili się do księstwa oświęcimskiego i zatorskiego, zakładając tam nowe, „śląskie" linie Radwanitów.

Przytkowice od 1274 roku leżały na wschodnim skraju polskiego „korytarza radwanickiego" i bezpośrednio graniczyły z Leńczami, które wchodziły w skład wschodniej enklawy księstwa opolskiego, a później oświęcimskiego i zatorskiego. Radwanici przytkowiccy sąsiadowali z „konkurencyjnymi" Ławszowitami-Strzemieńczykami w Leńczach.

Wieś założyli Radwanici. Zapewne niedługo po nadaniu im przez Bolesława Wstydliwego przywileju dotyczącego swobody zakładania nowych osad na terenie „korytarza radwanickiego". Pierwszy znany dokument, wymieniający jej nazwę („villa Pribconis") pochodzi z 1350 roku i dotyczy kościoła parafialnego. Wieś założył być może Przybek lub Przybko, bo „villa Pribconis" to po łacinie wieś Przybka. Najprawdopodobniej jednak nazwa ta nawiązuje do miejscowości Przypki, na Mazowszu, w której zamieszkiwała pierwotnie jedna z gałęzi Radwanitów.

Pribconis w niedługim czasie przekształciło się w Przibcowicze (1402 r.), później w Przipkowicze (1581 r.), aby ostatecznie ustalić się 1680 roku na Przytkowice. Jednakże do końca XVII wieku obu nazw używano obocznie. Za czasów Jana Długosza (około 1470 r.) oprócz Przybkowskich-Radwanitów dziedziczyli tu także Przybkowscy-Strzemieńczycy, którzy wskutek koligacji rodzinnych przybyli z sąsiednich Leńcz. Ostatecznie jednak utrzymali się Przybkowscy (Przypkowscy)-Radwanici.

W pierwszej połowie XVI wieku Mikołaj Przypkowski posiadał między innymi sąsiednie Sosnowice i Polankę (współczesną Polankę Hallera), a także Starą Wieś w pobliżu Wilamowic w Księstwie Oświęcimskim. Jego jedyny syn Józef odziedziczył cały ten majątek, a nawet jeszcze dokupił część Leńcz oraz dobra w okolicach Brzeska.

W latach sześćdziesiątych przyjął arianizm, stanowiący radykalny odłam polskiego kalwinizmu. Wyznawcy arianizmu w Polsce zwani byli braćmi polskimi. Propagowali między innymi wolność sumienia, tolerancję oraz wolność osobistą. Przejęty tymi ideami Jan Przypkowski zamienił miejscowy kościół na zbór ariański. Ponadto, w grodzie krakowskim, aktem z dnia 2 lipca 1572 roku uwolnił poddanych pięciu wsi: Przytkowic, Polanki, Mikołajewic, Starej Wsi i Tarnawy od wszelkich ciężarów przyznając im wolność i możliwość dowolnego osiedlenia się.

Był to jeden z pierwszych tego typu aktów w świecie. Jan Przypkowski ściągnął nim jednak na siebie nienawiść szlachty polskiej. Być może właśnie dlatego, poza samym aktem, nie przeprowadził całej sprawy formalnie, to jest nie dokonał odpowiedniego wpisu do ksiąg ziemskich (ówczesnych ksiąg wieczystych). Wkrótce sprzedał swoje dobra w tym rejonie, a sam z rodziną przeniósł się do majątków koło Brzeska. Pozostał do końca życia (1607 r.) wierny arianizmowi. W takiej wierze wychował również swoich synów, a wnuk Samuel Przypkowski (1592–1670) był nawet jednym z najwybitniejszych teoretyków braci polskich.

Pisząc o tych czasach wspomnę pewną ciekawą historyjkę usłyszaną od Juliusza „Luśka" Cichonia w czasie naszego spotkania i można by rzec „biesiady historycznej" odbytej w 2002 roku, w którym to bardzo często przyjeżdżałem w rodzinne strony w związku z poważną chorobą siostry.

Część ziem regionu Pogórza Wielickiego, a szczególnie Krzęcin, Leńcze i jeszcze kilka wsi leżących na kierunkach wschodnim i północnym, przez długi czas płaciło daniny klasztorowi w Tyńcu. Były one uciążliwe, lecz nakazane i narzucone prze władzę świecką i duchowną. W zamian przeor klasztoru w Tyńcu miał obowiązek raz do roku spraszać darczyńców na wystawną ucztę.

A że przeor, delikatnie mówiąc, do hojnych nie należał, bolał strasznie nad owym obowiązkiem. Toteż szukał pilnie sposobu jego pozbycia się. Pomysł podsunął mu i realizację zapewnił jeden ze sprytnych braciszków. Polegał on na tym, iż przybyłym gościom-darczyńcom zaserwowano dobrze wypieczone, małe i w środku wydrążone chlebki. Położono je przed każdym gościem, a następnie nic nie mówiąc kazano czekać na posiłek. Po długim czasie, potwornie głodni już goście zabrali się za te puste chlebki i zjedli je z apetytem.

Gdy braciszkowie to spostrzegli, wnieśli do sali duży kocioł z apetycznym jadłem i robiąc przy tym żałosne miny oznajmili, że są bardzo biedni i na zastawy stołowe ich nie stać. W związku z tym, że goście zjedli zastawę nie mają w czym podać jadła i szybko wynieśli kocioł z powrotem. Chcąc nie chcąc rozgniewani goście musieli opuścić klasztor głośno przyrzekając, że więcej już ich nogi nie przekroczą tych progów, a oto przecież zakonnikom chodziło.

Po Janie Przypkowskim właścicielką Przytkowic została Anna Zebrzydowska, która istniejący jeszcze zbór ariański w 1596 roku przywróciła katolikom, a predykanta, czyli ariańskiego kaznodzieję, usunęła. Według miejscowej tradycji, to ona spowodowała, że nazwę wsi z Przypkowice zmieniono na Przytko-

wice, po to, aby po heretykach nawet ślad tu nie pozostał. W 1610 roku chłopi pod wpływem plebana przytkowickiego, księdza Pawła Zagórskiego wyprawili się na ariański jeszcze kościół w Pobiedrze i wygnali z niego innowierców.

Do Zebrzydowskich dobra te (w tym Przytkowice Górne i Dolne) należały do 1667 roku, to jest do śmierci Michała Zebrzydowskiego, ostatniego z zebrzydowickiej linii tego rodu. W spadku po ojcu otrzymała je Anna, zamężna z Janem Karolem Czartoryskim. Do Czartoryskich cały ten klucz dóbr należał do 1835 roku, kiedy zakupił go Wojciech Brandys. W 1875 roku spadek po nim przejął syn Stanisław Edmund, a w 1883 roku wnuk Jan Kanty.

W 1905 roku całe Przytkowice, w których znajdowły się trzy folwarki, zakupił hrabia Ludwik Zygmunt Jaxa Dębicki, podzielił na wiele cząstek, które kilka lat później sprzedał kilku Żydom. Po dalszych podziałach i handlowaniu ziemią oraz rozparcelowaniu znacznej jej części, do czasu pierwszej wojny światowej w 1914 roku, majątek przytkowicki posiadało kilkunastu Żydów. W 1917 roku pozostałe fragmenty dawnego klucza dóbr zakupił książę metropolita krakowski Adam Stefan Sapieha i w 1923 roku odsprzedał Zygmuntowi i Zofii Ocetkiewiczom. Zygmunt Ocetkiewicz był doktorem praw i plenipotentem dóbr księcia Kazimierza Lubomirskiego.

W latach 1946 i 1947 na podstawie dekretu o reformie rolnej, wydanego w 1944 roku przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, wywłaszczono Ocetkiewicza, a większość ziemi podworskiej rozparcelowano. Pozostała jej część wraz z zabudowaniami dworskimi, zwana *Resztówką*, stała się własnością państwa (gminy).

Grunty z reformy chłopi brali chętnie. Przede wszystkim dlatego, że panował wielki głód ziemi w tym regionie. Stąd zaś wynikała determinacja i nacisk chłopów na przeprowadzenie parcelacji. Trzeba przy tym pamiętać, że parcelacja odbywała się w okresie, kiedy na tym terenie grasowało wiele band i partyzantka o zabarwieniu nacjonalistyczno-prawicowym, które terrorem starały się odstraszyć chłopów od udziału w reformie rolnej.

Prawie wiek wcześniej mieszkańcy wsi brali także czynny udział w rewolucji krakowskiej 1846 i Wiośnie Ludów 1848 roku, ale ich udział w rewolucji polegał głównie na rabowaniu pańskich dworów, czego dowody, jeszcze po upływie stulecia, można było znaleźć w chłopskich zagrodach. Na przykład w latach pięćdziesiątych u naszego sąsiada, przy rozbiórce stodoły, znaleziono oryginalną i pięknie zachowaną szablę z tamtego okresu. Leżała dobrze zakonserwowana w ziemi, ukryta pod gałęziami, na dnie stodoły. W domu, w którym mieszkaliśmy, przy zmianie starej strzechy słomianej na nową, znalazłem piękny sztylet, typu kordzik. Rękojeść co prawda była mocno zniszczona, szczególnie drewno okładzin rękojeści, lecz ostrze lśniło przepięknym złotem. Ponadto, tu i ówdzie w chłopskich chałupach spotykało się części lub egzemplarze dworskiej zastawy porcelanowej, szczególnie często na terenie Paszkówki.

Krótka charakterystyka Przytkowic

Przytkowice graniczą od północy z Paszkówką, od wschodu z Sosnowicami i Grabiem, od południa z Leńczami i Zebrzydowicami oraz od zachodu ze Stanisławem Dolnym i Górnym oraz Bęczynem.

Tradycyjnie od wieków dzieliły się na dwie części – *Dół* i *Górę*[1], i aby było dziwniej *Dół* to część południowa, a *Góra* to część północna wioski. Ten podział wiąże się z ukształtowaniem terenu, który po stronie północnej stanowi prawie równoleżnikową wysoczyznę, a po stronie południowej opada do rzeczki Skawinki (niektóre źródła podają Cedron, chociaż tę nazwę nosi tylko w rejonie dróżek kalwaryjskich) i jest odwrotny do ukształtowania pogórza Karpat.

Pośrodku między *Dołem* a *Górą* znajdował się ocalały z pożogi wojennej drewniany, zabytkowy kościółek oraz murowane: szkoła podstawowa i plebania, obie piętrowe. W kościółku brak było małej wieżyczki, zwanej sygnaturką. Została strącona pociskiem z działa czołgowego w zimie 1945 roku, ponieważ miał w niej stanowisko niemiecki strzelec wyborowy, który strzelał do żołnierzy kolumny wojsk radzieckich maszerujących drogą przez wioskę.

Kościół w Przytkowicach powstał około 1340 roku. W 1733 zbudowano nowy lub według innych wzmianek przebudowano gruntownie stary z funduszów księcia Józefa Czartoryskiego. Po wybudowaniu nowego kościoła z kamienia i cegły w latach 1948–1953, stary kościółek przeniesiono do Skawinek koło Lanckorony. W taki oto sposób pozbyto się pięknego zabytku liczącego prawie siedem wieków lub co najmniej 270 lat.

Do Przytkowic prowadziły trzy główne drogi. Jedna z Kalwarii Zebrzydowskiej przez Zebrzydowice, druga ze Skawiny przez Rzozów, Radziszów, Polankę, Grabie oraz trzecia odchodząca w Trzebolu od drogi Skawina-Oświęcim i prowadząca przez Pobiedr, Paszkówkę do Przytkowic. Wszystkie one łączyły się z sobą na rozwidleniu dróg w centrum *Dołu*, to jest kilkaset metrów w kierunku południowo-wschodnim od kościoła. Były to drogi bite, utwardzane tłuczonymi kamieniami. Na północny zachód i nieco powyżej kościoła i szkoły podstawowej usytuowany był cmentarz, do którego prowadziła w górę, w dość głębokim wąwozie, tak zwana stara droga.

Doliną Skawinki, to znaczy południowymi krańcami Przytkowic, biegnie jednotorowa linia kolejowa Kraków–Zakopane, zelektryfikowana w latach 80. Przystanek kolejowy Przytkowice usytuowany jest w punkcie narożnym, na styku trzech miejscowości: Przytkowic, Zebrzydowic oraz Stanisławia Dolnego, przy drodze Przytkowice–Kalwaria Zebrzydowska.

Zasadnicza część *Góry* umiejscowiona jest we wschodniej części pasma Draboża, które przebiegają ze wschodu na zachód od miejscowości Grabie,

[1] Kursywą oznaczono słowa i zwroty gwarowe.

przez Wał, Dwór, aż po Draboż. *Górę* tworzyły jej poszczególne części, takie. jak, część centralna z Dworem[2], od zachodu Dział, zwany gwarowo *Dziołem* oraz Draboż, zwany *Drobozem*. Mówiło się na przykład – mieszka na *Drobozie, idzie na Drobóz*. Część północna to Kąt, a gwarowo *Kont,* zaś wschodnia Owczarnia *(Łowcarnia)* i Wał. Od strony południowej w kierunku cmentarza była Stara Wieś, na wschód od niej Zagrody, a na południe od Zagród – *Pagorek* i Rola, które sytuowały się w środkowej części Przytkowic.

Dwór, a w zasadzie z czasów mojego dzieciństwa zabudowania podworskie, był częścią Przytkowic inną od wszystkich. Składało się na to kilka wyróżniających go cech, tj. był ogrodzony i odgrodzony płotami i drogami od reszty wsi, miał murowaną zabudowę i przepiękny park oraz sad. Z trzech stron, od południa, wschodu i północy otaczała go droga bita, gwarowo zwana *gościeńcem,* zaś od zachodu droga gruntowa. W swojej południowej części stroma i kamienista, w pozostałej równa i gliniasta. Cały ten obszar dodatkowo ogrodzony był drutem kolczastym.

Dwór i zabudowania dworskie powstały na miejscu dawnej warowni Radwanitów, zbudowanej na przewężeniu pasma Draboża, o stromych północnych i południowych stokach. W tamtych czasach pasmo od wschodu i zachodu było przekopane głębokimi rowami broniącymi dostępu od strony Skawiny i Draboża. Jeszcze za czasów mojej młodości rejon bezpośrednio na zachód od Dworu nosił nazwę *Łokopy*, chociaż po okopach nie było już śladu poza dwoma małymi stawami, zaś na wschód od dworu teren dalej nazywał się Wał, nawiązując do dawnego wału obronnego od strony wschodniej.

Z części środkowej *Góry*, od rozwidlenia dróg przy kapliczce „Pod Lipami" i *Kółku*, przez obszar Dworu prowadziła droga na Wał i dalej na Grabie. Przecinała ona Dwór na dwie części, północną i południową i w jego obrębie była utwardzona kamieniami różnej wielkości. Wejścia do niego strzegły dwie bramy, zachodnia od strony wsi i wschodnia od strony pól.

Patrząc od strony wsi, część północna obejmowała sad owocowy, duży parterowy dom gospodarczy i dla służby, usytuowany na osi północ południe oraz trochę cofnięty na północ właściwy dworek, stojący frontem na południe. Przed dworkiem i po jego wschodniej stronie był bardzo ładnie zaprojektowany i utrzymany nieduży park. Dalej zaś na wschód, otoczony lipami staw i duży, murowany, wielopiętrowy spichlerz.

Dworek był ładnym i dość starym modrzewiowym domem. Posiadał oszkloną werandę i dosyć stromy, dwuspadowy dach, pokryty taflami eternitu. Po jego wschodniej i zachodniej stronie, czyli na szczytach, były już wybudowane z kamienia i cegły oraz zadaszone nowe dwie szczytowe części budynku, zwane przez nas *murowańcami*. Wydaje się, iż po ich wykończeniu, właściciel

[2] Część obszaru Przytkowic, składająca się z dworku modrzewiowego, zabudowań gospodarczych, parku, sadu i innych elementów rozlokowanych na określonym obszarze i odgrodzonym od pozostałości.

chciał się do nich przenieść, aby zburzyć część drewnianą i na jej miejscu postawić nową murowaną część środkową.

Park był dla nas niezwykle interesujący. Tworzyły go żywopłoty, przeważnie ze śnieguliczki, ligustru i grabu, a także alejki spacerowe oraz zaciszne kąciki służące do odpoczynku. Ponadto rosły kępy różnych przepięknych krzewów, między innymi jaśminu i tawuły. Było także wiele drzew ozdobnych, takich jak: czerwone i różowe głogi szlachetne, platanowce, akacje i inne. Przed modrzewiowym dworkiem prowadziła półkolistego kształtu droga, stanowiąca podjazd dla bryczek i wozów gości i domowników oraz służąca do dowozu niezbędnych produktów i materiałów.

Część południowa Dworu przeznaczona była dla celów gospodarczych. Na południe od drogi znajdował się dosyć duży plac, a na nim mały stawek, otoczony ozdobnymi głogami i studnia z ręczną pompą. Dalej na południe i frontem do drogi stały murowane, jednopiętrowe i parterowe budynki gospodarcze, w tym duże stajnie. Za nimi zaś gnojowce i sad. Na wschód od stajen stał jeden murowany budynek mieszkalny dla pracowników zatrudnionych we dworze, przeważnie w stajniach. Za nim kilka dużych i nowoczesnych, jak na tamte czasy, stodół.

Taki stan Dworu pamiętam z wczesnych lat powojennych. Później przez wiele lat zarządzali nimi różni zarządcy państwowi i gospodarowała spółdzielnia produkcyjna „Orzeł". W wyniku tych rządów Dwór popadał w ruinę. Sad zestarzał się i został wycięty. Park pozarastał dzikimi drzewami i krzakami, lipy wycięto, a staw zasypano. W murowańcach zdjęto więźbę dachową i pokrycie oraz zrobiono płaskie dachy i wykorzystywano te pomieszczenia różnie: jako salę zabawowo-widowiskową, sklep i lokale mieszkalne. Część pomieszczeń gospodarczych zlikwidowano, a część przebudowano. Dobudowano także kilka nowych obiektów, ale bez ładu i składu, prostackimi metodami. Później tam gdzie był sad powstało boisko sportowe. Dwór tracił więc systematycznie swój urok i stawał się coraz to brzydszy, aby w latach 90. nie przypominać już absolutnie tego, co było zaraz po wojnie. Niestety takie były czasy i system, że nie dbało się o to, co jest dobrem wspólnym, a ludzie w tym czasie nie dorośli jeszcze do tego, by szanować i dbać o rzeczy piękne i wartościowe.

Do najwyższych wzniesień w Przytkowicach należą: Draboż 432 m, Ludka ze stożkowatym Cuplem 368 m, miejsce na Wale obok Dworu 348,4 m, Pyrczek 340 m. Najniższym miejscem jest dolina Skawinki 249,0 m. Różnica wzniesień wynosi więc około 183 metrów i świadczy o skali zróżnicowania terenu.

Przytkowice to miejscowość słabo zalesiona. Wiąże się to z urodzajnymi, ciężkimi glebami o podłożu gliniasto-ilastym oraz gęstym zaludnieniem. Nieduże lasy znajdują się na zachodzie i północy, a więc na granicy ze Stanisławiem, Benczynem i Paszkówką. Ciągną się na południu od wzniesienia Ludka, przez Księży Las, Osice (*Łosice*), aż po ich kompleks Draboż, w tym *Łazy* i *Iły*, graniczące z Bęczynem i Paszkówką

Las Ludka posiadał drzewostan mieszany, w części wschodniej liściasty, a w pozostałej iglasty. Wyglądał zawsze niezwykle tajemniczo. Wiązało się to z różnymi legendami, opowiadanymi z pokolenia na pokolenie oraz jego groźnym wyglądem, szczególnie od północno-zachodniej strony. Była ona niezwykle ciemna i stroma. Przy jego ścianie wschodniej prowadziła droga i ścieżka do stacji kolejowej. Chodzenie nią, szczególnie nocą, nie należało do przyjemności. Na samym skraju, tuż przy drodze, stał krzyż ogrodzony sztachetkami. Upamiętniał on ofiary pomorów, których w historii tych stron było kilka.

W tym miejscu przed dawnymi laty był cmentarz, na którym chowano ofiary zarazy. Ostatnią z nich wspominała babka Kaśka opowiadając, jak to podczas zarazy ludzie marli jak muchy, a słowacki lekarz, który ich leczył, stale mawiał, *pierdaj nie wstydaj*. Chodziło prawdopodobnie o to, że panował dur brzuszny lub inna jelitowa choroba zakaźna i trzeba było w trakcie leczenia wydzielać gazy bez skrępowania.

Księży Las to spora połać drzewostanu, przeważnie iglastego. Przed wojną należał do przytkowickich proboszczów, stąd jego nazwa. W czasie wojny w znacznej części został wycięty. Po wojnie był terenem masowego karczowania pniaków przez okolicznych chłopów. Rosło w nim sporo, jak na tamte warunki, różnorodnych grzybów. We wrześniu i październiku chodziliśmy tam przez pola całą klasą wraz z nauczycielką w ramach lekcji przyrody. Zbieraliśmy różne grzyby, przeważnie w niewielkich ilościach. Raz jednak trafiliśmy na duży wysyp. Na polnej drodze, przy samym lesie, znaleźliśmy olbrzymią ilość małych prawdziwków. Mieliśmy wielką uciechę, a jeszcze większą nasza nauczycielka.

Osice były lasem mieszanym i jagodowo-grzybowym. Zbieraliśmy tam przeważnie borówki. Chodzi tu oczywiście o czarne jagody, jako że u nas czerwonych borówek nie zbierało się. Dlaczego tak się przyjęło trudno mi powiedzieć, bo przecież rosły. Na borówki chodziliśmy przeważnie z garnkami lub dzbankami. Zbieraliśmy jednorazowo po kilka litrów, przy czym dziewczyny były w tym zdecydowanie lepsze. Zbierało się nieźle, bo borowin była przeogromna ilość, były bardzo wysokie i zwykle oblepione jagodami. Było ich tak wiele, że siedząc tylko w kilku miejscach można było uzbierać parę litrów. Niestety w kilka lat po wybudowaniu huty aluminium wyginęły borowiny, czyli krzewiny borówek. Związane to było z wydzielaniem przez kominy huty olbrzymiej ilości fluoru, który niszczył roślinność leśną i zdrowie ludzi. Zbieraliśmy tam także grzyby, przeważnie *krakowiaki* (czerwone koźlaki).

Na obszarze Przytkowic kompleks lasów Draboż obejmował lasy zwane *Łazami* i *Iłami*. W *Łazach* na najwyższym wzniesieniu Draboża 432 metrów stała drewniana wieża triangulacyjno-widokowa, z której rozpościerał się wspaniały widok na wszystkie strony. Do *Łazów*, które rozciągały się za drogą do Paszkówki zapuszczaliśmy się rzadko. Natomiast do *Iłów* chodziliśmy bardzo często. A to na grzyby jesienią, na poziomki i maliny latem oraz choinki jodłowe na Boże Narodzenie.

W *Łazach* biło ciekawe źródło. Gdy wypiło się trochę jego zimnej wody to wydawało się, jakby sztywniał kark i zaczynało szumieć w głowie. Było więc znane z tego, iż zaglądali do niego przeważnie spragnieni i na kacu młodzi ludzie. Oczywiście nie tryskał z niego alkohol, lecz w jego wodzie musiały być jakiś związki chemiczne, które bezpośrednio oddziaływały na samopoczucie.

Od *Iłów* w kierunku wschodnim, na granicy z Paszkówką, rozciągały się małe laski i zagajniki: Dęby, *Snoza*, *Kiecka*, Olszyny (*Łolsyny*) oraz dość duży las na pograniczu z Paszkówką i Sosnowicami, zwany *Brzezie*. Były to już lasy typowo liściaste, rosnące na urodzajnych i bogatych w składniki mineralne rędzinach, a więc o bujnej roślinności i poszyciu. Bardzo gęste, wspaniale pachnące i przypominające tajemnicze lasy tropiku.

Snoza to niewielki zagajnik rosnący na północnym, stromym stoku Przytkowic, na ziemi dawnej Kucharczykówki, blisko drogi na Draboż. Porastał mały, ale głęboki wąwóz w kształcie dużej litery Y. Rosły tam lipy, osiki, leszczyny, derenie, dzikie czereśnie (*trześnie*), a na jego obrzeżach masa różnych krzewów. W górnych narożnikach tego wąwozu biły dwa niewielkie źródełka, dające początek małemu strumyczkowi. Było to ulubione miejsce naszych zabaw, ponieważ nasza ziemia przylegała do Snozy i często pasaliśmy tam krowy.

Dęby były dwoma niewielkimi zagajnikami dużych, starych dębów, rosnącymi w najniższej części dolinki. Rosło tam niekiedy sporo prawdziwków, poziomek, jeżyn i popielic. Przechodziły one następnie na lewo w *Iły*, zaś na prawo w *Kiecke*.

Kiecka była typowym lasem liściastym tych stron. Rosły tam jednak nigdzie niespotykane: wawrzynek – wilcze łyko i polskie orchidee. Wawrzynek – wilcze łyko kwitł zawsze bardzo wczesną wiosną, kiedy las był jeszcze czarny (bezlistny) i tym bardziej wybijała się intensywnie różowo-liliowa barwa jego kwiatów. Te orchidee to dwie odmiany storczyków. Chociaż niepozorne w kształcie, pachniały przepięknie. Nieraz zrywaliśmy po jednym egzemplarzu, ale w zasadzie to tylko podziwialiśmy, wąchając je na kolanach.

Dalej na zachód ciągnęły się laski olszynowe, aż do *Brzezia*. Były jednak już w Paszkówce, jako że Posmyków, leżący po ich północnej stronie, należał już do Paszkówki. W *Brzeziu* buszowaliśmy bardzo często, bo las ten był bardzo tajemniczy i bogaty w grzyby, przeważnie koźlaki oraz bardzo duże ilości malin i jeżyn. Jedyny, nieduży las modrzewiowy (*Modzeje*) znajdował się na ziemi dworskiej, na północny zachód od Owczarni (*Łowcarni*) i sądzę, że był sztucznie sadzony, gdyż oprócz modrzewi były tam także czerwone dęby, kanadyjskie klony i jesiony.

W Przytkowicach były jeszcze inne zagajniki i lasy, o których nie wspomniałem. Niewielki zagajnik dębowy mieścił się w dosyć głębokim parowie po wschodniej stronie Kąta i nosił nazwę *Skotnica*. Było to jedyne miejsce, gdzie rosły *podciechy;* grzyby w kształcie prawdziwków, lecz niezwykle kolorowe. Ponadto *Na Dole* był nieduży las o nazwie Pyrczek *(Pyrcek)*, a na południowej granicy Przytkowic duża połać lasu zwana Czarnym Lasem (łac. Silva Nigra).

Najpiękniejsze widoki w Przytkowicach można było podziwiać stojąc na Wale, na wschód od Dworu oraz z drogi prowadzącej od Dworu na Draboż. Jest tam punkt widokowy, z którego widać na północy dolinę Wisły, prawie od Zatoru aż po Kraków. Idealnie na północ, tuż za Wisłą pięknie położony Czernichów. Dalej na wschód, na tle zielonych lasów Bielańsko-Tynieckiego Parku Krajobrazowego, bieleją ściany klasztoru na Bielanach, a dalej widnieje kopiec Kościuszki. Natomiast trochę bliżej, lecz bardziej w kierunku wschodnim, ukazuje się huta aluminium i kominy elektrociepłowni Skawina. Wszystko to wygląda przepięknie w pogodny dzień, a także nocą, ponieważ cała ta dolina skrzy się tysiącami świateł, oświetlającymi domy i drogi.

Patrząc na południe od zachodniej strony, widnieją na horyzoncie beskidzkie szczyty, z Baranią i Babią Górą na czele. Zaś znacznie bliżej, lecz trochę na południe widać doskonale górę Żar, a na jej zboczu pięknie położony i niezwykle kolorowy klasztor Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej. W lewo od Kalwarii widnieje spore wzniesienie z ruinami zamku na szczycie i przepięknym starym rynkiem u ich podnóża. Jest to Lanckorona, będąca onegdaj rodową siedzibą Lanckorońskich; tak jak rejon Kalwarii Zebrzydowskiej i Zebrzydowic były rodowymi ziemiami Zebrzydowskich. Przy dobrej pogodzie i czystym powietrzu można było niekiedy podziwiać także tatrzańskie szczyty.

W Przytkowicach od zawsze mówiło się gwarą. I nawet ukończenie szkoły powszechnej przed wojną i uczęszczanie do szkoły podstawowej i różnych szkół zawodowych po wojnie niewiele w tym względzie zmieniły. Wśród swoich mówiło się gwarą, a z obcymi pół na pół gwarą.

Na czym to głównie polegało? A więc używano sporo słów typowo gwarowych. Na przykład słowo tak zastępowały słowa: *a juści, ano, ino.* Stosowano także typowe „mazurzenie", to znaczy zamiast sz wymawiano s, zamiast cz – c, a także często zastępowano samogłoskę a samogłoską o oraz samogłoskę o samogłoską u. Może to pozostałość mazowieckich korzeni Radwanitów? Oprócz tego mówiono znacznie szybciej niż przeciętnie i z typowym podgórskim zaśpiewem oraz trochę innym akcentowaniem.

To wszystko sprawiało, że obca osoba z wielką trudnością rozumiała co się do niej mówiło, a czasem była wręcz bezradna. Przykładem tych trudności była moja żona. Gdy w latach 60. przyjeżdżaliśmy do Przytkowic i ludzie z nią rozmawiali, musiałem służyć prawie za tłumacza, ponieważ stale pytała się:

– Co oni mówią? Co oni mówią?

Pod koniec dwudziestego wieku gwara niestety powoli zaczęła zamierać. Najszybciej zanikały słowa gwarowe, potem zmniejszało się „mazurzenie", a w latach 90. pozostał tylko zaśpiew i specyficzny akcent.

Przed drugą wojną światową i zaraz po wojnie Przytkowice były typową wsią podgórską, zabudowaną drewnianymi chałupami i stodołami krytymi strzechą. Było co prawda trochę domów murowanych, chociaż można je było policzyć przysłowiowo na palcach obu rąk. Należały do nich: budynek stacji kolejowej i stojący naprzeciwko dom Oczkowskich, dwa – trzy domy na *Dole,*

piętrowe budynki szkoły i plebani, dwa domy na *Pagorku* – Ziembów i Sarapatów, dom Bitnera i po sąsiedzku Żurka oraz większość zabudowań dworskich. I chociaż znane jest w Polsce powiedzenie, iż to król Kazimierz Wielki zastał Polskę drewnianą a zostawił murowaną, to pewnie nie dotyczyło to polskiej wsi, w tym także Przytkowic.

Lata powojenne w Przytkowicach to okres szybkiego rozwoju budownictwa. Wiązało się to z intensywnym uprzemysłowieniem regionu, budową nowych zakładów przemysłowych i podejmowaniem przez chłopów pracy w przemyśle. Wytworzyła się bardzo duża warstwa ludności dwuzawodowej, utrzymującej się z pracy w przemyśle i z pracy na roli prowadząc małe gospodarstwa rolne. Gospodarstwa te były najczęściej od pół do półtora hektara ziemi, jedna lub dwie krowy i świnie, czasami także koń oraz kozy i barany. Dawały więc rodzinom wyżywienie i niewielki dochód. Zarobki z pracy przeznaczano wówczas na budowę domów.

W latach 80. Przytkowice były już całkowicie inną wsią. Na palcach rąk można było policzyć domy drewniane, a po strzechach nie było już śladu. Domy budowano różną techniką i z różnych materiałów. Fundamenty przeważnie powstawały z betonu i ciosanego piaskowca, a mury z żużla hutniczego, pustaków lub z cegły. Domy kryto przeważnie eternitem lub dachówką cementową. Co ciekawe, cegły z gliny palonej i dachówki cementowe wyrabiało i wypalało we własnym zakresie bardzo dużo osób.

Domy były przeważnie pudełkowate, nieotynkowane, najczęściej o dachach dwuspadowych, wszystkie skierowane frontem na południe. Posiadały jednak duże okna dające dobre oświetlenie, dużą powierzchnię mieszkalną, lecz brakowało im przeważnie kanalizacji i wody bieżącej. Elektryczność doprowadzona została do domów w latach pięćdziesiątych, melioracje gruntów przeprowadzono w latach siedemdziesiątych, a gaz wszystkim mieszkańcom, niektórym także telefony, przyłączono w latach osiemdziesiątych. Należy dodać, iż gazyfikacja odbyła się z inicjatywy i na koszt mieszkańców wsi, a głównym inicjatorem i organizatorem tego przedsięwzięcia był Bronisław Zięba.

Różnie można patrzeć na rzeczywistość PRL-u, lecz z perspektywy lat widać, iż w ciągu czterdziestu lat dokonano tu więcej dla dobra ludzi niż przez uprzednie całe tysiąclecie.

Ilustracja 1 przedstawia współczesną mapę powiatu wadowickiego. Łatwo na niej odnaleźć Przytkowice oraz inne miejscowości i ziemie byłego korytarza radwanickiego. Gruba niebieska linia oznacza granice powiatu wadowickiego. Kolejna ilustracja 2 przedstawia widok z Kąta w kierunku na Draboż. Widać na niej północny stok Przytkowic, a na nim dawną ziemię Kucharczykówki. Mały zagajnik w głębi to *Snoza*, a dalej pierwsze zabudowania Draboża.

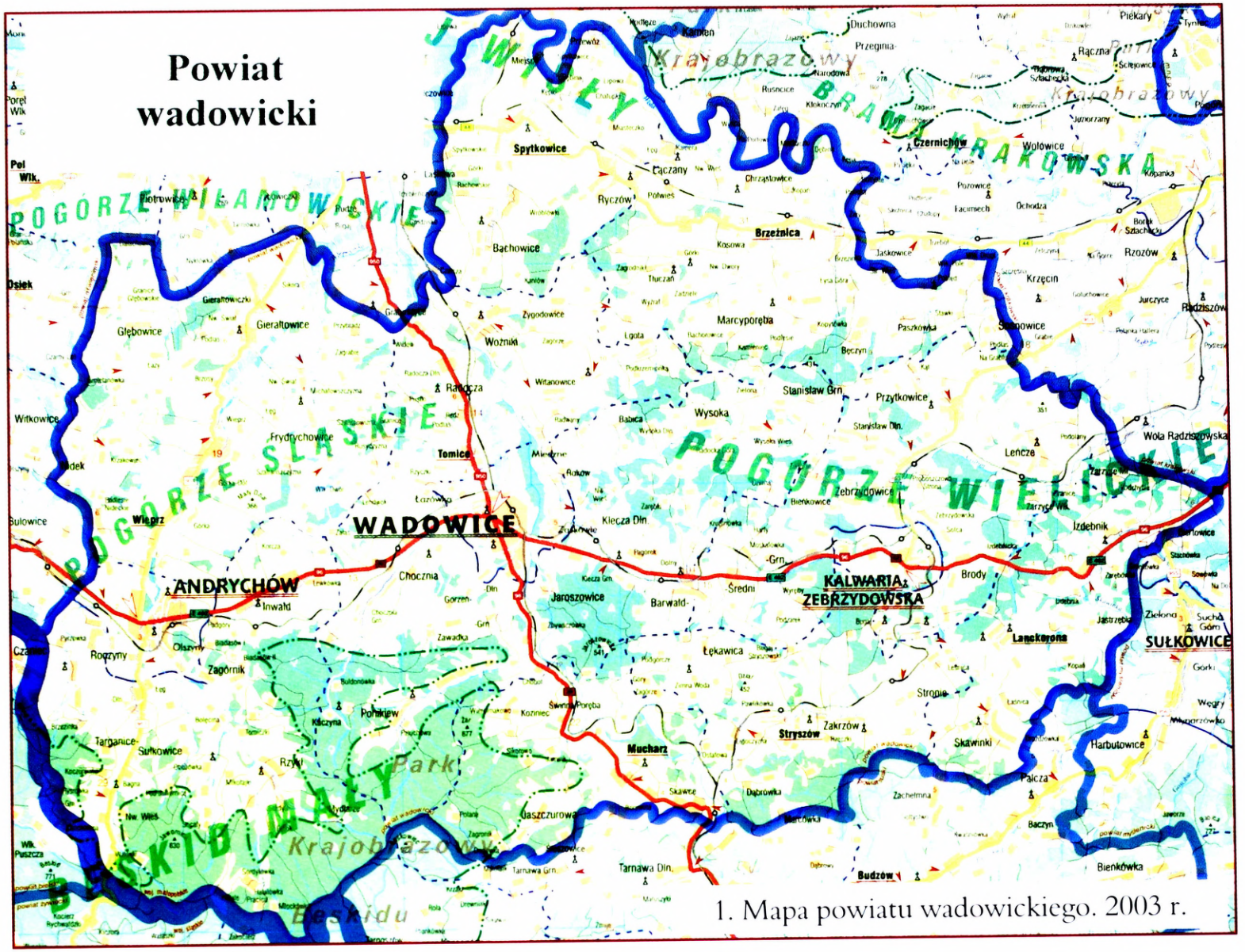

1. Mapa powiatu wadowickiego. 2003 r.

2. Północny stok Przytkowic. Widok z Kąta w kierunku na Draboż. 1994 r.

Rozdział drugi

Korzenie

Moja rodzina pochodzi z Krakowa i jego okolic. Wywodzi się z rodu Antosów i Mazurkiewiczów.

Ród Antosów

Antosowie, z których pochodzi moja mama, to ród dosyć liczny, żyjący od wieków w Paszkówce i Przytkowicach. Nazwisko rodowe pochodzi prawdopodobnie od greckiego słowa „anthos" – kwiat lub zdrobniałego imienia Antoni – Antek, Antoś. W tych okolicach występowały także odmiany tego nazwiska w postaci: Jantas, Jantos. Jantas zaś to gwarowa odmiana nazwiska Antos. Dawniej mówiło się na Antosa – Jantas, na Antosową, czyli żonę Antosa – Jantaska, na córki Antosa – Jantasionki, a na ziemię Antosa lub Antosów, nie Antosówka, lecz Jantasówka.

Obie wersje pochodzenia nazwiska są dość wiarygodne. Za pierwszą przemawiają bowiem rysy twarzy występujące w tej rodzinie. Na przykład wujek Fryderyk (Frydek) posiadał twarz pociągłą, o typowym wydatnym, greckim nosie. Moja mama miała twarz owalną, z lekko wystającymi kościami policzkowymi oraz wysokim i charakterystycznie podwyższonym pośrodku czołem typowym dla urody kobiet południa, w tym i Grecji. Była przy tym lekko śniadej karnacji i posiadała długie czarne włosy zaplatane zwykle w warkocz owijany wokół głowy.

Za drugą wersją pochodzenia nazwiska przemawia tradycyjna metoda tworzenia nazwisk od przedmiotów, zwierząt, wykonywanych zawodów, imion, przezwisk, miejscowości itd. Zatem w zdrobniałym imieniu Antoni – Antoś wystarczyło zgubić przy zapisie zmiękczenie, aby powstało nazwisko Antos.

Najstarszym znanym nam przedstawicielem rodu jest Antoni Antos, urodzony w 1833 roku prawdopodobnie w Paszkówce, ożeniony z Katarzyną. Zmarł w 1892 roku w Przytkowicach. Żył 59 lat i pochowany został na cmen-

tarzu w Przytkowicach. Na początku XXI wieku, w pobliżu kaplicy cmentarnej, stał jeszcze jego kamienno-metalowy nagrobek, którego podstawę stanowiła bryła z ciosanego piaskowca z wyciętymi literami i cyframi, a na niej metalowy krzyż.

Ich syn, mój dziadek, Michał Antos urodził się 18 września 1872 roku w Przytkowicach i ożenił się z Katarzyną Skrzyńską urodzoną także w Przytkowicach w 1877 roku. Rodzicami mojej babki Katarzyny byli Michał Skrzyński i Anna z domu Żak. Dziadkowie mieli dziewięcioro dzieci, które przeżyły okres niemowlęcy. Córki Helenę, Katarzynę, Julię, Reginę i moją mamę Antoninę oraz synów Antoniego, Franciszka, Stefana i najmłodszego Fryderyka. Z rodzeniem w tej rodzinie nie było więc żadnych problemów, a babka Kaśka chwaliła się, że sporo dzieci urodziła przy pracy w polu i przyniosła w zapasce do domu.

Najstarsza córka Helena jeszcze przed drugą wojną światową wyjechała za chlebem do Francji. Niestety nigdy już nie odwiedziła rodzinnego kraju. Myślę, że wiązało się to z dwoma faktami. Z sytuacją polityczną po drugiej wojnie światowej oraz jej sytuacją materialną we Francji. Ten drugi wniosek wynika z faktu, iż wyszła tam za mąż i pracowali razem z mężem jako pracownicy najemni. Zarabiali więc niedużo. Potwierdzeniem tego może być fakt, iż pisała kilka razy do Polski o sprzedaż jej części ojcowizny, którą uprawiał wujek Frydek.

Z tego co wiem, problem ten nie został rozwiązany i ciotka Hela zapłaty za swoją ziemię nie otrzymała. Przypuszczam, że z dwóch powodów. Po pierwsze, wartość ziemi w tym czasie była niewielka (okres kolektywizacji i tymczasowości w sprawie własności ziemi) i po drugie, z powodu kłopotów prawnych, finansowych i dyplomatycznych w przekazaniu spłaty.

Ta sprawa była mi znana, gdyż listy ciotki Heli adresowane były do mojej mamy, do której widocznie miała największe zaufanie, a także dlatego, iż moja mama jako jedyna starała się na te listy odpisywać. Były to listy dosyć dziwne. Pisane mieszaniną gwary polskiej oraz języka i gwary francuskiej. Gdy w ogólniaku zacząłem się uczyć języka francuskiego tłumaczyłem je, chociaż z wielkim trudem. Największe problemy miałem z tłumaczeniem francuskich zwrotów regionalnych i gwarowych. Mimo tego dawałem sobie jakoś radę i korespondencja przebiegała na ogół poprawnie.

Wynikało z niej między innymi, iż miała dorosłego syna o imieniu Franciszek, który służył w armii francuskiej, a którego zdjęcie otrzymaliśmy w jednym z jej listów. Był to przystojny, młody człowiek, podobny do krewnych z rodu Antosów, ubrany w mundur wojskowy przypominający mundur Legii Cudzoziemskiej. Po śmierci mamy korespondencja urwała się i później już nie była kontynuowana. W związku z tym nie mieliśmy i nie mamy do tej pory dalszych wieści o rodzinie ciotki Heli.

Najstarszy syn miał na imię Antoni. Przed wojną wyjechał za pracą w „poznańskie". Tam się ożenił. Niestety zaraz po wojnie zmarł. Pozostawił po so-

bie dwóch synów. Jeden z nich miał na imię Eugeniusz. Trzecim lub czwartym w kolejności urodzenia synem moich dziadków był Franciszek, który także opuścił rodzinne strony. Mogło to być przed drugą wojną światową lub zaraz po jej zakończeniu. Osiedlił się wraz z rodziną w Janikowie koło Inowrocławia. Zmarł wcześnie. Pozostawił żonę i syna Leszka. Miałem z jego rodziną tylko raz kontakt jako dziecko, kiedy to odwiedziliśmy ich z okazji wesela *Leksyka*. Żyli na wsi, niezwykle skromnie, chociaż było tam widać gospodarską rękę, porządek i czystość.

Następnym dzieckiem w rodzinie była córka Katarzyna, imienniczka mojej babki. Podzieliła także los starszego rodzeństwa i wyjechała za chlebem tak jak Antoni w „poznańskie". Mogło to być w zbliżonym czasie do wyjazdu wujka Franka. Tam wyszła za mąż za Józefa Leśko. Mieli czwórkę dzieci. Dwóch synów – najstarszego Józefa i młodszego Aleksandra, którego nazywaliśmy *Leksykiem* oraz córki – starszą Julię i najmłodszą Elżbietę. W poznańskiem zamieszkali na stałe w okolicach Margonina i Gołańczy.

Najbardziej pamiętam *Leksyka*, który po wojnie przebywał u babki Kaśki w Przytkowicach i dopiero po kilku latach wyjechał do rodziców. Był moim pierwszym nauczycielem życia, jako że był starszy o dobre parę lat i umiał wiele więcej niż ja. Znał się na wielu rzeczach, w tym także jak robić zabawki, takie jak pukawki, sikawki i inne oraz bawić się w różne gry. Miał także duże umiejętności praktyczne. Potrafił robić różne przedmioty, a także nieźle już pracować. Był przy tym niezwykle serdeczny i koleżeński. Wykorzystywany najczęściej przez starszych do pasania bydła i pomocy w gospodarstwie babki.

Z *Leksykiem* i rodziną Leśków spotkałem się jeszcze dwukrotnie. Pierwszy raz, kiedy byliśmy na jego weselu w okolicach Gołańczy. Chodziłem wówczas do szkoły podstawowej i niewiele z tych odwiedzin pamiętam, oprócz tego, że było to wesele huczne, pełne jadła, picia i muzyki. Tak wielkie ilości różnorodnego jadła widziałem po raz pierwszy w życiu i był to dla mnie prawdziwy szok. Wrażeniami z drugiego spotkania podzielę się w dalszej części wspomnień.

Trochę młodszym od ciotki Kaśki był wujek Stefek (1912–1979), którego nazywaliśmy *strykiem* (stryjem). Typowy jasny blondyn, o Antosowskiej urodzie z czysto słowiańską gębą i charakterem. Był postacią niezwykle barwną i ciekawą. Coś jakby przeniesienie chudego Zagłoby do dwudziestowiecznych warunków. Znany był z lekkiego stosunku do życia, a szczególnie do pieniędzy. Ponadprzeciętnie lubił także zaglądać do kielicha.

Miał nadzwyczajny, co do siły i barwy, głos. Nieraz więc wykorzystywał go do robienia zakładów. Zakładał się, czego byłem świadkiem, że zdmuchnie płomień świecy lampy naftowej lub rozbije szklankę w izbie, stojąc od nich w odległości 8–10 metrów i wykorzystując do tego celu swój głos. W młodych i średnich latach udawało mu się zawsze wygrać zakład. Było to zjawisko, które robiło duże wrażenie. Rosnący w siłę i wibrujący mocny baryton powodował najpierw migotanie, a następnie zgaszenie płomienia lub rozpryśnięcie szklanki na małe kawałeczki.

Po wojnie, przez długie lata pracował prywatnie jako murarz-kamieniarz. Zarabiał dobrze, a nawet bardzo dobrze, ale pieniądze „nie bardzo się go trzymały". Lubił wypić i pobalować. Był zawsze duszą towarzystwa. Wracając do domu, a mieszkał na Drabożu, śpiewał wspaniałym, mocnym głosem piosenki i przyśpiewki. Jego zakrapianym hymnem była piosenka o następującej treści.

W piwnicznej izbie siedzę sam
nad kuflem pełnym piwa,
oczami wodzę, tu i tam,
a głowa mi się kiwa.

Ja nie dbam o czerwony nos,
ni oto, że wciąż tyję,
ja biorę kufel w ręce swe,
i piję, i piję i piję.

A gdyby ktoś mi wybór dał,
dziewczyna, koń czy trunek
i rzekł wybieraj co chcesz sam,
ja płacę za rachunek.

Na próżno dziewczę wdzięczy się,
a koń wyciąga szyję,
ja biorę kufel w ręce swe
i piję, i piję i piję

A gdy nadejdzie sądu czas
i stanę u stóp tronu,
pokłonię ja się panu w pas
i rzeknę bez pardonu

Rozkoszy rajskich nie chcę znać,
ni wiedzieć gdzie się kryją,
lecz tam mnie panie Boże wsadź
gdzie piją, gdzie piją, gdzie piją

Rozkoszy rajskich nie chcę znać,
ni wiedzieć gdzie się kryją,
lecz tam mnie pani Boże wsadź
gdzie piją, gdzie piją, gdzie piją
do dna.

Ciężka praca oraz tryb życia sprawiły, iż dość szybko stał się niesprawny. W podeszłym wieku żył stosunkowo biednie, będąc na utrzymaniu żony Pauliny (*Paolki,*), urodzonej w 1909 roku i zmarłej w 1998 roku. Miał trójkę dzieci. Krystynę urodzoną w 1933 roku, syna Stefana urodzonego w 1934 roku i Antoninę (*Tosię)* urodzoną w 1937 roku. Te dzieci miały dużo potomstwa. I tak najstarsza Krystyna trzech synów: Kazimierza, Andrzeja i Grzegorza. Średni Stefan szóstkę dzieci: Stanisława, Dorotę, Marka, Irenę, Marię i Krysty-

nę, a najmłodsza Antonina: Zenona, Kazimierza, Celestyna, Edwarda, Małgorzatę, Lucynę i Henryka. Jak widać wnuki *strykowi* obrodziły. Było ich aż szesnaścioro.

Następne dwie córki dziadków: Julia i Regina żyły stosunkowo krótko i zmarły w kwiecie wieku, mając po kilkanaście lat. Przyczyną śmierci jednej z nich był uraz kręgosłupa spowodowany upadkiem z wozu konnego. Jej śmierć poprzedziło długotrwałe leżenie w gipsie i ciężkie cierpienia. Drugiej zaś przyczyną śmierci była gruźlica. Najmłodszą córką dziadków była moja mama Antonina urodzona 21 marca 1914 roku, a ostatnim synem Fryderyk urodzony kilka lat później.

Dziadek Michał zmarł 9 grudnia 1929 roku w wieku 57 lat w Przytkowicach. Po jego śmierci gospodarstwo prowadziła najpierw babka Kaśka, a później wujek Frydek, który ożenił się z o trzy lata od siebie starszą Marią Bednarz z Paszkówki (1914–1993). Przed zamążpójściem pracowała we dworze w Przytkowicach. Mieli trójkę dzieci. Najstarszą córkę Janinę, prawie moją rówieśnicę, młodszą Danutę, rówieśnicę mojej siostry oraz dużo młodszego Jurka.

Janka wyszła za mąż za Tadeusza Żurka z Przytkowic i zamieszkali w Skawinie. Tadek pracował w Skawińskich Zakładach Materiałów Ogniotrwałych, a Janka jako sprzedawczyni w różnych sklepach. Mieli dwóch synów, starszego Wacława urodzonego w 1963 roku i młodszego Dariusza urodzonego 1969 roku. Gdy dorośli pożenili się: Wacek z Lucyną Klimek i Darek z Martą Moskała. Wacek i Lucyna mają córkę Natalię, która urodziła się 1989 roku, a Darek i Marta dwójkę dzieci – Karolinę i Bartosza.

Z Danką ożenił się mój kolega ze szkoły podstawowej Eugeniusz Rudecki. Mają dwójkę dzieci, syna Artura i córkę Marzenę. Gienek zginął jednak młodo w wypadku drogowym, jadąc motocyklem do pracy w Skawinie i dość wcześnie osierocił rodzinę, pozostawiając Dankę samą z dziećmi. Trudno było borykać się z życiem dziewczynie z dwójką małych dzieci, starszymi już rodzicami i do tego z gospodarstwem. Pracowała ciężko, ale jej się udało. Wychowała dwójkę wspaniałych dzieci, które dorobiły się własnych dzieci, a Danka wnuków. I tak syn Artur, urodzony w 1968 roku, ożenił się z Anną Tadka ze Stanisławia, z którą ma dwoje wspaniałych bliźniaków: Kamila i Patrycję urodzonych w 1993 roku. Ponadto poszczęściło mu się w interesach i doskonale prosperuje. Marzena, urodzona w 1969 roku, wyszła za mąż za Marka Stokłosę (1970) i tworzą dobrane małżeństwo. Marek pracuje w prywatnym zakładzie w Przytkowicach, a Marzena prowadzi dom, wyręczając w tym skutecznie Dankę. Szczególnie doskonale gotuje i piecze, co nieraz było mi dane posmakować, gdy przyjeżdżałem do Przytkowic. Mają wspaniałą córę Paulinę urodzoną w 1996 roku.

Najmłodszy syn wujka Frydka – Jerzy urodzony w 1957 roku, kilkanaście lat młodszy od sióstr, mimo zachęt ojca nie podjął kształcenia. Ożenił się i ma dwójkę dzieci. Małżeństwo nie ułożyło mu się jednak i wrócił do domu, gdzie w latach 90. robił buty, a później malował plastikowe spody butów na

kolor skóropodobny. Zarabiał nieźle, ale śladem wujka Stefka chyba się nie ubezpieczał i nie odkładał pieniędzy na zabezpieczenie starości, żyjąc z dnia na dzień, zaglądając także do kieliszka lub popijając piwko. Co będzie dalej pokaże czas. Jurek posiada obecnie trójkę dzieci: Edytę urodzoną w 1982 roku, Przemysława urodzonego w 1984 roku i Wiolettę urodzoną w 2000 roku, będącą *„wykapaną"* ciotką Maryśką.

Wujek Frydek, jakby powiedziała dzisiejsza młodzież, to był niezły agregat. Za młodu spory rozrabiaka, typ góralski w pełnej krasie, zapaleniec u którego co w sercu to i w gębie. Przy tym wcześniej robił niż myślał. Był krewki, nagły i do bitki skry. Chłop, który żywemu nie przepuści. O jego wyczynach także w dalszej części. Jednocześnie niegłupi, z potencjałem intelektualnym odziedziczonym po ojcu Michale. Posiadający charakter i nietuzinkową osobowość. Z biegiem lat wyrobił sobie autorytet jako gospodarz. Miał bowiem w swoich rękach prawie całą *Jantasówkę* i ziemię otrzymaną z reformy rolnej. Jego poglądy polityczne systematycznie ewoluowały, aby pod koniec życia stać się mocnym zwolennikiem realnego socjalizmu. W dyskusji wielokrotnie mówił niezwykle dosadnie:

– Ja ten pier... kapitalizm znam z własnego życia, to jest nędzy, głodu i bezrobocia oraz draństwa i skur..., o czym wy nie wiecie lub wiedzieć nie chcecie i mówię wam, jak wróci kapitalizm, wróci nędza, bezrobocie i wszystkie te draństwa.

– Pamiętaj skąd wyszedłeś i dzięki czemu jesteś kimś. W dawnym ustroju pasałbyś krowy, robił łopatą i nie byłoby zmiłuj się – mówił do mnie wielokrotnie.

Miał także swoje różne ulubione powiedzonka i przekleństwa. Dość często używał zwrotu *kruca fiks, krucy fiks*, jako przekleństwa, które wywodzi się od słowa krucyfiks, po łacinie krzyż. *Skurwel* – słowo używane w różnej tonacji i okolicznościach na określenie kogoś paskudnego, wrednego lub godnego podziwu. *Buc* – niezwykle negatywne określenie człowieka, oznaczające członka, penisa i używane w formie: *ten buc, ty bucu.*

Jednocześnie był człowiekiem niezwykle światłym, otwartym na świat i mającym poważanie w wiejskiej społeczności. Pełnił szereg funkcji społecznych w Ochotniczej Straży Pożarnej i w Radach Narodowych. Przez wiele lat łączył pracę na roli z kierowaniem dużym magazynem Centrali Nasiennej, który był usytuowany we Dworze w Przytkowicach, w dawnym spichlerzu, przebudowanym, zmechanizowanym i dostosowanym do takich potrzeb.

Magazyn ten przyjął po wielu nieudanych kierownikach i aferach wynikłych z kradzieży, marnotrawstwa i niewłaściwego kierowania. Prowadził go potem wzorowo przez kilkanaście lat. Miał przez to niezwykłe poważanie u władz Centrali Nasiennej i swoich pracowników. O trudności jego prowadzenia niech świadczy fakt, iż był to magazyn wysoce specjalistyczny, w którym przechowywano najszlachetniejsze i najdroższe nasiona, takie jak: koniczyny, lucerny, różnych buraków, traw szlachetnych i inne.

Za swego życia wybudował solidny, murowany dom, nową stodołę oraz wprowadził do sadu wiele nowych odmian jabłoni, wiśni i grusz. Założył także spory sad wiśniowo-porzeczkowy, w którym dominowały czarne wiśnie, przeważnie Łutówki oraz czerwone i czarne porzeczki. Był doskonałym i nowoczesnym gospodarzem, chociaż nie zawsze skorym i chętnym do terminowej pracy w gospodarstwie. Osiągane przez niego plony pszenicy i buraków cukrowych były bardzo wysokie. Jak mnie pamięć nie myli to średnie plony pszenicy sięgały u niego od 40 do 60 i więcej kwintali z hektara, przy ówczesnej średniej w Polsce około 15 kwintali z hektara.

Miał również bogate życie zawodowe. W pracy na roli przeżył cztery rewolucje w rolnictwie. Zaczynał bowiem od sierpa, aby przez kosę, kosiarkę ze snopowiązałką dojść w swojej pracy do korzystania z kombajnu. W życiu osobistym przeżył dwie wojny światowe, chociaż w żadnej nie brał udziału oraz dwa ustroje społeczno-polityczne. To, że nie brał udziału w wojnie było częstym powodem kpin i koleżeńskich żartów. Utarło się nawet powiedzenie, że *„Frydek walczył w Łączanach za trzecią kupką siana"* i w związku z tym może być uznany za kombatanta. Dlaczego akurat w Łączanach nie wiem do dzisiaj, jako że wieś ta oddalona jest od Przytkowic o kilkanaście kilometrów i leży nad Wisłą. Może uciekając przed Niemcami w 1939 roku tam się znalazł, a następnie powrócił do Przytkowic.

Po rodzicach, wujek Frydek swoją osobowością wywarł na mnie największy wpływ. Pamiętam, że wiele mi pomógł, abym mógł przyjść do siebie po śmierci mamy. Kurację zastosował bardzo prostą i nad wyraz skuteczną oraz dla siebie pożyteczną. Poprosił mnie, abym pomagał mu w pracy w gospodarstwie, a szczególnie przy pracach w polu. Ciężka i długa praca fizyczna każdego dnia pozwoliła mi powoli zapomnieć o nieszczęściu i dojść do siebie. Także po śmierci ojca w 1980 roku był mi bardzo bliską osobą, z którą miałem bardzo dobry kontakt psychiczny i emocjonalny. Zmarł w dosyć późnym wieku, około pół roku po śmierci swojej żony, a mojej ciotki Maryśki, to jest 9 listopada 1993 roku, przeżywszy 76 lat. Drzewo genealogiczne Antosów przedstawia ilustracja 3.

Dawne warunki życia na wsi

Rodzinnym domem Antosów była duża drewniana chałupa stojąca jako pierwsza w rzędzie od gościńca po prawej stronie drogi prowadzącej z *Góry*, przez Kąt do Paszkówki. Za nią, na północnym stoku, stały podobne chałupy zamieszkałe po wojnie przez Ziębę i Sarapatę, Pasierbka, Drzyzgę, Pilcha, Szafrańskiego, moją drugą babkę Magdalenę, Mlosta i Pawłowskiego, Brożka. Dalej, po drugiej stronie drogi, tuż przy *Kiecce* stały domy Torby i Kwiatka.

Wszystkie one miały całe ściany bielone na niebiesko lub drewno malowane było na brązowo, a uszczelnienia pokrywano gliną i malowano na niebiesko.

Tak więc ściany chałup były w kolorze niebieskim lub w pasy brązowo-niebieskie, natomiast dachy w kolorze ciemnoszarym, powstałym w wyniku oddziaływania słońca i deszczu na słomiane pokrycia dachów.

Zastosowanie niebieskiego koloru do malowania ścian było bardzo popularne nie tylko na pogórzu, lecz także w całym pasie Karpat oraz na Ukrainie. Kolor niebieski był kolorem bardzo praktycznym, odstraszał bowiem muchy i inne owady, a więc sprzyjał utrzymaniu ścian w większej czystości i rzadziej trzeba je było malować.

Dom dziadków, jak zresztą wszystkie inne, zbudowany był z grubych drewnianych bali uszczelnionych mchem i pokryty solidną strzechą. Ilustracja 4 przedstawia tylko jego część, już ze zmienionym pokryciem dachu, według stanu z 1991 roku. Usytuowany jak wszystkie w kierunku wschód–zachód, frontem na południe. Po jego lewej stronie, dalej od drogi, rozmieszczona w kierunku północ–południe stała podobnie zbudowana stodoła. Za domem i za stodołą rozciągał się sad.

Sady w Kącie były niezwykle charakterystyczne. Położone na północnym stoku, ogrodzone wiklinowymi płotami, stanowiły orgię wysokich traw, krzewów i drzew owocowych. Dominowały w nich różne odmiany śliw, jabłoni i grusz. Najwięcej było odmian śliw. W śród nich królowała węgierka zwykła. Były także śliwy w kolorze żółtym, zielonym, czerwonym, niebieskim i prawie czarnym. Do najsmaczniejszych odmian, w których pestka nie odchodziła od miąższu należały *domaski* (damaski) i *gnojki.*

Najsmaczniejszymi gruszkami były: *muskotka*, *muskaterka* i *kamienna. Muskotka* miała małe, lecz niezwykle smaczne i pachnące owoce. W zasadzie to się ich nie zrywało, bo drzewa były olbrzymie. Zbierało się je z ziemi, gdyż po dojrzewaniu opadały z drzew. Dojrzałe robiły się brązowe w środku i zmieniały smak. Były to ulęgałki, zwane przez nas *gniłkami. Muskaterka* była gruszką większą, wielkości klapsy (faworytki), lecz znacznie smaczniejszą i piękniejszą w wyglądzie. Gdy była już dojrzała nabierała koloru złocistego z czerwonym rumieńcem. Pachniała niezwykle. Już z odległości 200 metrów czuć było jej aromat. Uwielbiały ją także osy i pszczoły, które konkurowały o nie z ludźmi.

Kamienna była gruszką specyficzną. Twarda jak kamień, dojrzewała po zerwaniu i to dopiero w zimie (styczeń–marzec). Stawała się wówczas bardzo miękka i soczysta, o niezapomnianym smaku i aromacie. Hodowane jabłonie były bardzo starymi odmianami, a ich smak przeciętny. Zdarzały się jednak i rarytasy jak kosztela, landzberska, trzy odmiany renet, szara, złota i królowa. Do ciekawszych i już niespotykanych należała odmiana Mickiewicz, której dojrzałe jabłka były koloru zielonego z białymi nakrapianymi plamkami. Wszystkie drzewa były bardzo wysokie, a zrywanie owoców wymagało długich drabin lub odwagi i zręczności.

Do chałupy Antosów prowadziły dwa wejścia. Pierwsze dla ludzi, a drugie dla zwierząt. Wejście główne prowadziło do sieni. Stamtąd na prawo wchodziło się do głównej izby i na lewo do izby zwanej izdebką oraz do murowanej

z kamienia, znajdującej się pod izdebką, solidnej piwnicy. Ponadto na strych i do szopy, która przylegała od tyłu do domu. W sieni podłogę stanowiła gliniasta polepa. Do piwnicy prowadziły leżące drzwi, które należało podnieść i dopiero po kamiennych schodach zejść w dół. W sieni stały także: drabina na strych, ręczne żarna do mielenia zboża oraz drewniany, duży pojemnik na zboże zwany *somsiekiem*.

Izba główna miała wielkość około 30–40 metrów kwadratowych, dwa małe okna od strony południowej oraz dwoje drzwi. Jedne prowadzące do sieni, a drugie, na przeciwległej ścianie, do stajni. W kącie stał bardzo duży kuchenny piec na drewno i węgiel, w którym można było także wypiekać chleb w tak zwanym piecu chlebowym oraz chleb i ciasto w foremkach w piekarniku zwanym *sabaśnikiem*. Ściany wewnętrzne były pobielone, a zamiast podłogi polepa, to jest wymieszane i ubite wraz z gliną plewy zbóż. Sufit stanowiły grube drewniane *stragaże* i położone na nich heblowane deski, ocieplane od strony strychu plewami i słomą. Na środkowym *stragażu* była ładnie wycięta rozeta i rok *postawienia* (wybudowania) domu.

Izdebka była mniejsza i podzielona na dwie części. Część widną od południa i część ciemną od północy. Posiadała drewnianą podłogę i proste, niebielone ściany z drewna, jako że ta część domu zrobiona była z połówek bali. Ściany były także uszczelnione mchem lub cienkimi wiórami, co było widoczne na ścianach bocznych. Od strony południowej widniały także dwa małe okna, identycznej wielkości jak w izbie głównej. Sądzę że te małe rozmiary okien, dające mało światła w pomieszczeniach, podyktowane były ówczesną technologią oraz oszczędnością ciepła. Dlatego technologia, ponieważ prawdopodobnie produkowano wówczas tylko małe rozmiary szyb, a duże ramy drewniane ulegały wypaczaniu, to jest wyginaniu i odkształcaniu, doprowadzając do pękania szyb, bardzo drogich w tamtych czasach. Ponadto okna były jednoszybowe i niekiedy mało szczelne. Prowadziło to do dużej utraty ciepła, szczególnie dokuczliwe zimą.

Za to cóż to była za frajda, kiedy mróz wyszywał na tych pojedynczych szybach wspaniałe, niepowtarzalne artystycznie ornamenty i rysunki, pełne fantazji i naturalnego mistrzostwa. Można było siedzieć przy oknie i wpatrywać się w nie bez końca. Aby jednak wyjrzeć *na pole* (na dwór) przez szybę, trzeba było wpierw ciepłym oddechem rozpuścić na niej szron.

W stajni było dwoje drzwi, małe okno od południa oraz okienko do wyrzucania *gnoju* (obornika). Jej wielkość pozwalała na hodowanie dwóch krów i konia lub trzech krów i jednego do dwóch świniaków. Z boku domu, blisko stajni znajdował się także drewniany *wychodek*, to znaczy miejsce, gdzie król na piechotę chodził oraz gnojownik, gdzie składowano obornik, podstawowy i jedyny w tamtych czasach nawóz stosowany w rolnictwie.

Przed domem znajdowało się podwórko, a w jego południowej części ogródek kwiatowo-warzywny oraz bardzo duży trójpienny orzech włoski. Orzech ten posadził dziadek Michał, a jego kształt powstał w wyniku przemrożenia części naziemnej i wypuszczeniu trzech nowych pędów, z któ-

rych w dalszych latach powstały trzy pnie, odchylone proporcjonalnie od siebie i tworzące olbrzymią kopułę z konarów. W tym ogródku rosły przeważnie bzy, piwonie, georginie (dalie), także malwy oraz granatowo kwitnące i trujące tojeście o kwiatach podobnych do bryczek z zaprzęgniętymi do nich konikami.

Ziemia Antosów, zwana *Jantasówką*, rozciągała się od domu w kierunku zachodnim przez drogę (*gościeniec*) prowadzącą na Draboż, aż za Dział *(Dziół)*. Za dziadka Michała, *Jantasówka* liczyła nie więcej niż 3 do 4 hektarów. Była to ziemia bardzo urodzajna. Ciężka, tłusta, przeważnie gliniasta z dużą zawartością czarnoziemu i lessu. Jednocześnie podatna na deszcze, w wyniku których robiła się z niej maź utrudniająca wydobycie roślin okopowych, a szczególnie podczas kopania ziemniaków. Wielokrotnie w czasie deszczowych jesieni używano desek, aby kopiący stojąc na nich nie zapadali się po kolana w grząskiej i błotnistej ziemi.

Ze wspomnień babki Kaśki wynikało, że uprawiano głównie żyto, owies, a także proso i konopie, zaś z okopowych *zimnioki*, *korpiele* czyli brukiew oraz kapustę i fasolę, zwaną w tych okolicach grochem. Zboża w czasie żniw zbierano używając do tego celu sierpów. Ścinano je z niezwykłą starannością, wiązano w snopy powrósłami, robionymi też z tych samych zbóż i ustawiano do wyschnięcia w *postawki*, zwane także *mendlami*. W *postawkach* ustawiano snopy do góry kłosami, a następnie wiązano razem i przykrywano rozcapierzonym snopem, dla ochrony kłosów od deszczu i słońca. Z niezwykłą starannością zbierano także wszystkie kłosy ze ścierniska, które po ścięciu zboża sierpami było równe i pięknie wygolone.

Podstawowym zbożem uprawowym było żyto, a pożywieniem żytni chleb. Owies uprawiano na paszę dla koni oraz słomę owsianą, używaną jako karmę dla krów w czasie zimy. Bardzo popularnym pożywieniem w tamtych latach była kapusta na surowo lub gotowana, a jesienno-zimową porą kiszona z twardymi, zimowymi jabłkami i marchewką. Robiony z niej bigos był gotowaną mieszanką kiszonej kapusty i fasoli. Mięsa jedzono niewiele. Na śniadanie przeważnie chleb z mlekiem, na obiad jakaś zupa i okraszone ziemniaki lub kapusta z fasolą, a na kolację zacierkę z razowej mąki mielonej na żarnach z odrobiną tłuszczu lub z *kwaśnym* (zsiadłym) mlekiem.

Miejsca trudne do orki pozostawiano na trawy do koszenia lub wypasu. Trawy koszono kosami, suszono przez rozrzucanie i przewracanie, a następnie siano stawiano w kopki i dosuszano na wietrze. Używano go przeważnie jako karmy dla koni i owiec, czasami także dla krów.

Zboże zwożono do stodół i młócono *cepami*, przeważnie w porze jesiennej i zimowej. W tych czynnościach brała udział cała rodzina. Młócono dwójkami, trójkami i czwórkami, rytmicznie, z rytmem innym dla każdej ilości młócących osób. Wymłóconą żytnią słomę wiązano w tak zwane *okocki*, to jest grube bele prostej słomy, z której wyrabiano snopki na pokrycie dachów. Pozostałą słomę wiązano w *ociepki*, zawijając sporą ilość słomy z dwóch stron i wiążąc w pośrodku.

Mimo dosyć urodzajnych gleb, na pogórzu i całym Podkarpaciu, co roku występował przednówek. Było to w okresie wiosennym, w którym kończyły

się zapasy zbóż, mąki, ziemniaków i kapusty, a do nowych zbiorów było jeszcze daleko. To okres największej biedy, niedojadania i głodu oraz oczekiwania – jak zbawienia – pierwszych zbiorów. W skrajnych przypadkach jedzono lebiodę, gotowano pokrzywy i inne zielska. Pożyczano także, jeśli było gdzie, trochę żyta, fasoli lub innych produktów i oddawano dopiero po zbiorach. Wiązało się to z dużym rozdrobnieniem gospodarstw i ziemi oraz bardzo licznymi rodzinami, dla których nie było innego źródła dochodu i zatrudnienia niż na roli.

Rozdrobnienie ziemi na tym terenie było o tyle ciekawe, że pogłębiało się ono stale, począwszy od drugiej połowy dziewiętnastego do końca pierwszej połowy dwudziestego wieku. Z opowieści starych ludzi wynikało, że jeszcze w osiemnastym i na początku dziewiętnastego wieku istniała *Jantasówka*, która rozpościerała się od ich domu w kierunku zachodnim na szerokości około 200 metrów i długości do 2 kilometrów, aż po samą granicę ze Stanisławem. Podobne wielkości ziemi miało jeszcze co najmniej kilka rodzin, na przykład Kucharczykowie. Dowodem na to były także, tak zwane księże pola to jest ziemia proboszczów przytkowickich, która miała podobny kształt i wielkość, aż do czasu jej parcelacji po drugiej wojnie światowej.

Zachodzi zatem pytanie – skąd się wzięły takie duże gospodarstwa chłopskie w osiemnastym wieku w Przytkowicach? Badając ten problem, w tym krążące wśród ludzi opowiadania, doszedłem do wniosku, iż mogły one powstać w wyniku uwłaszczenia chłopów pańszczyźnianych przez właściciela tych ziem. I to by się zgadzało z charakterem i praktykami arian, zwanych także braćmi polskimi, a jednym z nich był właśnie Przypkowski. Dla zilustrowania zjawiska szybkiego rozdrobnienia ziemi warto przytoczyć fakt, iż moja mama, córka Michała, otrzymała w spadku po rodzicach 0,34 hektara, co stanowi 3400 metrów kwadratowych ziemi.

Duży przyrost naturalny i brak pracy oraz prawdopodobnie wielowiekowa tradycja spowodowały, że w okresie międzywojennym był to region bardzo niebezpieczny. Młodzi ludzie chodzili bez pracy i pieniędzy, a organizowane wesela i zabawy były pretekstem do wyładowywania złości i frustracji. Tworzyły się więc grupy młodych ludzi, którzy toczyli ze sobą bójki, a niekiedy prowadzili prawie że wojny. Bili się między sobą *Dół* i *Góra* w Przytkowicach, młodzi jednej wioski z wioską sąsiednią itd. Każdy pretekst był dobry, aby wkroczyć na wesele lub zabawę, pobić i przepędzić miejscowych oraz bawić się za darmo, nie płacąc za muzykę, jedzenie i picie.

Podstawowymi narzędziami używanymi przy takich okazjach były: noże, w tym szewskie zwane *gnypami*, siekierki, toporki, orczyki, sztachety, bagnety, a także, chociaż rzadziej, pistolety i różna broń palna. W związku z tym okaleczenia były bardzo częste, a i trup trafiał się nierzadko. Przykładem był mój wujek Frydek, który w czasach swej młodości był wielokrotnie pocięty nożami. Miał olbrzymią ilość blizn po ranach ciętych i zszywanych na piersi, brzuchu, plecach i rękach. Jego rekordem, jak sam się chwalił, było jednorazowe szycie około metra bieżącego ran powstałych w bójce przy użyciu noży.

Utrwaliły mi się w pamięci opowiadane przez starszych takie na przykład przypadki. Grupa młodych ludzi wtargnęła na wesele. W czasie bójki miejscowi zostali przepędzeni. Na znak zwycięstwa wbito toporek w *stragaż* sali weselnej, gdzie odbywały się tańce. Lecz w jej wyniku przywódcy tej grupy rozchlastano brzuch w poprzek w taki sposób, iż zaczęły mu wychodzić jelita. Ów młodzieniec na znak fantazji, wytrzymałości, czy podgórskiego honoru, jedną ręką przytrzymując jelita, aby nie wypadły, potrafił jeszcze odtańczyć z wybranką pełny taniec, aby dopiero po tym udać się na zabiegi medyczne.

Zacietrzewienie, chęć walki i zapamiętanie się w takich sytuacjach młodych ludzi było tak wielkie, że goniąc jednego z nich zapędzono go w przepust pod mostkiem. Nie mogąc go dostać rękami i innymi narzędziami, chciano go zastrzelić. Próby ponawiano wielokrotnie i tylko wada broni lub amunicji sprawiła, że mord nie doszedł do skutku. A że życie jest dziwne i płata różne figle to okazało się, że po latach potencjalny zabójca i ofiara zostali najlepszymi przyjaciółmi.

Na przełomie wieków i w okresie międzywojennym mieszkańcy wsi podkarpackich byli prawie samowystarczalni. Niewiele mogli sprzedać, a zatem niewiele także kupić. Jeszcze po wojnie krążyły wśród starych mieszkańców Przytkowic opowieści, jak to w dawnych czasach chodzono na piechotę do Pesztu i Krakowa. Do Pesztu, obecnego Budapesztu, chodzono przez Słowację, aby sprzedać jaja, kury, małe wyroby stolarskie i inne wyroby rzemieślnicze, a kupić narzędzia rolnicze, ubranie, niekiedy zapałki itp. Było to w czasie, kiedy Galicja była częścią monarchii Austro-Węgierskiej, a więc do 1918 roku. Do Krakowa chodzono, aby sprzedać masło, sery twarogowe, jajka, owoce itp. Kupowano zaś przedmioty, które zapewniały minimum egzystencji.

Latem codziennie i w czasie dalszych podróży chodzono boso, w tym do Pesztu i Krakowa. Buty niesiono wówczas na ramieniu i zakładano dopiero na rogatkach miast lub przed wejściem do kościoła. W okresach zimnych dni i zimy, jedna para butów musiała starczyć na 2–3 dzieci. Popularnym rodzajem obuwia były drewniaki, jako tanie i wytrzymałe.

Z dzieciństwa pamiętam, jak kazano mi się modlić o buty. W wyniku tego otrzymałem od świętego Mikołaja drewniaki, w których podeszwa była z grubego drewna, a reszta trzewika ze skóry. Ale były rodziny, gdzie sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. U jednej z rodzin było ośmioro lub dziewięcioro dzieci. W zimie jeżdżono więc na sankach w ten sposób, że wszystkie dzieci stały i grzały się w sieni. Następnie pojedynczo i boso, każde z nich brało sanki, pędziło z nimi pod górę, zjeżdżało przed dom, oddawało sanki następnemu i samo ogrzewało się w sieni czekając na swoją kolejkę.

Dzieciaki te wyglądały przerażająco. Biednie ubrane, brudne, ze smarkami wiszącymi u nosów i „rzepą" na nogach, to znaczy potwornie popękaną i brudną skórą, aż po same kolana. I aby było dziwniej, to wyrosły z nich piękne, zdrowe i zahartowane oraz zgrabne i pełne seksu dziewczyny, jako że większość tych dzieciaków była rodzaju żeńskiego.

Ród Mazurkiewiczów

Mazurkiewicz to dość popularne nazwisko w Polsce. Pochodzi od Mazura, mieszkańca Mazur oraz posiada typową polską końcówkę –kiewicz. Nazwiska kończące się na –icz, –wicz są typowymi nazwiskami słowiańskimi, używanymi wśród Słowian południowych, na przykład Serbów, jak i północnych, Polaków, Białorusinów i Rosjan. U Rosjan mają także zastosowanie w „otczestwie, to znaczy drugim imieniu nadawanym po ojcu, np. Władysławowicz, Antonowicz, Iwanowicz itd. Zaś dłuższa końcówka –kiewicz, zdaje się być czysto polska, z typowym słowiańskim rodowodem. Do najbardziej znanych nazwisk zakończonych tą końcówką należą: Mickiewicz, Mackiewicz, Sienkiewicz, Tatarkiewicz, Kozakiewicz, Doroszkiewicz, Cyrankiewicz.

Nazwiska zakończone końcówką –kiewicz były i są najbardziej popularne wśród Polaków byłych ziem polskich na wschodzie, szczególnie na obszarze dzisiejszej Litwy i Białorusi. Od siedemnastego wieku nosiła je także szlachta, w tym szczególnie szlachta zaściankowa. Tak zakończone nazwiska mieli także osiedlający się w Polsce Tatarzy. Było również popularne wśród mniejszości żydowskiej.

Nazwisko to zostało spopularyzowane przez słynny przedwojenny wodewil „Żołnierz królowej Madagaskaru", w którym radomski mecenas Mazurkiewicz, z natury bogobojny i bojaźliwy, wpadając w stolicy w ręce, a raczej między nóżki, pań swawolnych i „doborowego" towarzystwa, ulega pokusom życia, zmienia swoją osobowość i zapatrywanie na świat. A zawołanie „Mazurkiewicz, bój się Boga", nie tylko weszło na stałe do słownictwa polskiego, ale stało się wręcz przysłowiowe.

Mój dziadek Jan Mazurkiewicz był rodowitym krakowianinem. Ożenił się z Magdaleną Kędziora urodzoną 10 marca 1884 roku. Z tego związku przyszedł na świat mój ojciec Władysław, który urodził się 20 grudnia 1908 roku w Krakowie. W rok po urodzeniu mojego ojca podczas remontu szkoły na Podwalu zginął tragicznie w wypadku mój dziadek. Babka Magdalena jeszcze przez kilka lat mieszkała w Krakowie opiekując się synem i pracując w miarę swych możliwości. Jednak nie wiodło jej się najlepiej. A że była młoda i ładna, przez znajomych zainteresował się nią niejaki Kucharczyk z Przytkowic. Wdowiec z czwórką lub piątką dzieci i dużym, jak na tamte czasy gospodarstwem.

W wyniku poczynionych przez zainteresowanego i rodzinę zachodów doszło do małżeństwa i babka sprowadziła się do Przytkowic. Miała wówczas „na głowie" swojego syna, a mojego ojca, dzieci drugiego męża i całe gospodarstwo. Z tego małżeństwa przyszedł na świat ukochany, bo najmłodszy i niezwykle rozpieszczany syn babki – Stanisław.

W zasadzie o jego dzieciństwie niewiele wiadomo. W młodości był podobno niezłym hulaką i zabijaką, postrachem Przytkowic i okolicznych wsi. Ponoć

chadzał zawsze z nożem i toporkiem za pasem. Nikomu nie przepuścił. Stale wszczynał burdy i awantury. Ale „nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka" jak głosi polskie przysłowie. W jednej z bójek zabił człowieka i wyrokiem sądu został skazany na długoletnie więzienie. Przed wojną siedział w ciężkim więzieniu w Rawiczu. Zginął prawdopodobnie w 1939 roku z rąk Niemców, którzy likwidowali zaraz na początku okupacji sprawców ciężkich przestępstw.

Informacje te są mi znane, ponieważ po wojnie czytałem korespondencję babki z dyrekcją więzienia w Rawiczu, tak przed 1939 rokiem, jak i po kampanii wrześniowej. Ostatnia odpowiedź jaka nadeszła od niemieckiego zarządcy więzienia w Rawiczu brzmiała, że nie jest im nic wiadomo o Stanisławie Kucharczyku. I tak ślad po nim zaginął.

W dzieciństwie ojciec mieszkał trochę u swojej ciotki Jasiołkowej w Krakowie, ale większość czasu spędzał w Przytkowicach pomagając w gospodarstwie. Tam też chodził do szkoły powszechnej. Życia w młodości nie miał lekkiego, jako że rzadko kiedy ojczym kocha tak, jak własny ojciec.

Posiadał uzdolnienia muzyczne. W związku z tym, już w młodym wieku pobierał nauki gry na skrzypcach u Józefa Dumanusa (ilustr. 9), wielce utalentowanego wiejskiego grajka na klarnecie, ale nie tylko. Człowieka o ciekawym życiorysie, który dość długo przebywał przed wojną w Stanach Zjednoczonych. Po wojnie był samotnikiem, mieszkającym w jednym samodzielnym pokoju w domu Rafała Spyrki.

Następnie ojciec starał się i został przyjęty jako elew do orkiestry wojskowej 12 Pułku Piechoty Wadowickiej w Wadowicach. Do tego samego pułku, w którym służył jako sierżant ojciec Karola Wojtyły, późniejszego papieża Jana Pawła drugiego. Tam grał na trąbce, a także na instrumentach perkusyjnych. W tym pułku, najpierw jako elew, a potem jaki orkiestrant przesłużył kilka lat, odbywając także obowiązującą służbę wojskową.

Budynek koszarowy po byłym pułku mieści się przy głównej ulicy Wadowic – ulicy Lwowskiej. Zaś przed nim stoi pomnik piechura 12 pułku, jako symbol dziękczynienia dla poległych 350 żołnierzy owego pułku w walce o niepodległość ojczyzny w latach 1919–1920.

Po zakończeniu służby wojskowej ojciec pracował na Poczcie Głównej w Krakowie, grając także w jej orkiestrze dętej. Ponadto wraz z przyjaciółmi, młodym małżeństwem Pieprzyków także grających na instrumentach muzycznych, tworzyli zespół, który grał w lokalach gastronomicznych, na weselach i różnych potańcówkach W zespole tym grał na skrzypcach, mandolinie lub perkusji.

Był młodym, przystojnym, chociaż nie najwyższym mężczyzną. Miał tylko niecałe 165 centymetrów wzrostu. Podobał się kobietom, nie tylko wówczas, ale i zawsze. Ponadto jego atutem była stała praca w Krakowie, umiejętność grania na instrumentach muzycznych oraz spokojny, zrównoważony, niekiedy aż flegmatyczny charakter, a także wysoka kultura osobista i wspaniała postawa etyczna.

Nic więc dziwnego, że nie oparła mu się Antonina Antos, wiejska dziewczyna, niezwykle urodziwa, pracowita i prawego charakteru. Ślub wzięli w 1936 roku w Krakowie, w kościele św. Jana przy ulicy św. Jana. Mieli 28 i 22 lata. Zamieszkali w Przytkowicach, najpierw u babki Kaśki w domu Antosów, a następnie w domu zwanym *Kółkiem*. Rok później 12 grudnia 1937 przyszedł na świat ich pierworodny syn Zdzisław. Żył jednak krótko, bo zmarł 27 listopada 1938 roku. Jego śmierć spowodowało zapalenie płuc, co w tamtym okresie było jedną z najczęstszych przyczyn zgonu noworodków.

Drugim dzieckiem w rodzinie była moja skromna osoba. Sześć lat po mnie 15 grudnia 1946 roku urodziła się moja siostra Janina. Jeśli chodzi o nasze imiona to mnie nadano dwa Jerzy i Witold. Były to imiona wyszukane i w tamtym okresie bardzo rzadkie. Myślę że to na cześć rycerskości Jerzego i Wielkiego Księcia Litewskiego – Witolda. Dlatego też na co dzień przez wiele lat wołano na mnie Iziek lub Isiek. Siostrze nadano imiona Janina i Władysława, sugerując się chyba imionami dwóch pięknych córek Zięby oraz takimi samymi inicjałami JW.

Po zakończeniu wojny, na przełomie 1945 i 1946 roku ojciec wraz ze wspomnianym już kolegą Antkiem Pieprzykiem pojechali na Ziemie Północne, a dokładnie do Gdańska, Gdyni, Wejherowa, Lęborka i Słupska. Była to podróż w poszukiwaniu lepszych warunków życia i pracy.

W tamtym czasie bardzo dużo ludzi z przeludnionych i biednych rejonów Polski Południowej i Centralnej wyjeżdżało na ziemie zachodnie i północne, gdzie poniemiecka ziemia leżała odłogiem, a budynki mieszkalne i gospodarcze były solidne i murowane. Szukano także mieszkań i pracy w rejonach miejskich. Sporo ludzi jeździło także na szaber, w celu zawłaszczenia i rabowania ruchomych dóbr materialnych pozostawionych przez uciekających przed frontem i Rosjanami Niemców.

Ich podróż na północ trwała około tygodnia. Przeważnie jechali pociągami towarowymi z wieloma przesiadkami. Do tego ojca, jak większość podróżnych, dopadła straszna biegunka, która zmuszała do bardzo częstego wypróżniania się i zdradliwie odwadniała organizm. W tych warunkach podróż była koszmarem, gdyż zmuszała do częstego, masowego i publicznego wypróżniania się na zewnątrz pociągu w czasie jego jazdy. Łatwo sobie wyobrazić jadący pociąg, z wagonów którego wystawały tylko gołe tyłki.

Mimo tych problemów szczęśliwie dotarli do celu. Według słów ojca trafili na prawdziwe Eldorado. W miastach była olbrzymia ilość domów i mieszkań opuszczonych przez Niemców, mających pełne wyposażenie w sprzęt i meble oraz wszystkie potrzebne do życia przedmioty. Niektóre z nich były już zasiedlone, część obrabowano, a ich wyposażenie wywożono do innych miejscowości.

Sytuacja na tych terenach była w dalszym ciągu niepewna. Przy tym dwie administracje i władze: radziecka i polska. Ponadto na osiedleńców czyhało wiele niebezpieczeństw, w tym grasujące grupy i bandy z bronią palną, zło-

dzieje, podpalacze. W tej sytuacji kolega ojca postanowił zostać, tym bardziej iż znalazł interesującą go, jako mechanika, pracę w odbudowywanej stoczni gdańskiej. Ściągnął więc żonę i zamieszkali w Gdańsku Wrzeszczu.

Ojciec natomiast powrócił i po rozmowie z mamą postanowił już tam nie jechać. Przywiózł jednak ze sobą sporo rzeczy, które mnie jako dzieciaka niezwykle interesowały. Były to stosy nut, wśród których dominowali tacy kompozytorzy jak: Straussowie, Lehar, Mozart, Bethowen, Brahms. Albumy z kolorowymi zdjęciami róż. Uwielbiałem je oglądać, a najbardziej podobały mi się róże żółte. Pozostało to zresztą do dziś. Klasery z niemieckimi znaczkami pocztowymi z ostatnich dwóch dziesięcioleci. Pamiętam wspaniałe serie niemieckich znaczków wojennych z drugiej wojny światowej oraz bardzo długie serie z podobiznami Hindenburga i Hitlera. Ponadto trochę metalowej, posrebrzanej zastawy stołowej i różnych figurek, o małej wartości materialnej, ale dużej artystyczno-kulturowej.

Po powrocie ojciec znalazł i rozpoczął pracę w Skawińskich Zakładach Materiałów Ogniotrwałych, tak zwanej Szamotce, gdzie pracował aż do odejścia na rentę. Większość pracy w zakładzie spędził w biurze ekspedycji, zajmując się organizacją dostaw materiałów do produkcji oraz wysyłką gotowych produktów.

Ojciec, oprócz pracy w Skawinie, bardzo długi czas grał w zespole muzycznym w Przytkowicach, nazywanym zespołem Bronka Badury. Zespół ten „obsługiwał" zabawy, wesela i inne uroczystości, a gra była źródłem dodatkowego i to niemałego dochodu. W zespole grał na perkusji, niekiedy także na skrzypcach. Przez sporo lat zespół ten uznawany był za najlepszy w Przytkowicach i w całej okolicy. Przez długie lata prowadził także strażacką orkiestrę dętą, dyrygował nią na wszystkich uroczystościach, w tym także kościelnych, chociaż sam był ateistą.

Mama dźwigała cały ciężar prac domowych, uprawiania ziemi i hodowli przydomowej. Przeważnie hodowaliśmy jedną lub dwie krowy, świnię oraz kilka lub kilkanaście sztuk drobiu, przeważnie kur. Zajmowała się zatem ich obrządkiem. Także wszystkie prace domowe i w polu należały do jej obowiązków. To była ciężka i wyczerpująca praca. Przy tym to mama była bankierem i trzymała kasą, a więc na niej spoczywał obowiązek „wiązania końca z końcem". A że „nie przelewało się" nigdy, zamartwiała się wszystkimi sprawami materialnymi i finansowymi. Troski i kłopoty widać było na jej twarzy i w nieco smutnych oczach. Paliła także papierosy, o jakości których lepiej nie mówić. To wszystko powodowało także widoczne skutki na jej twarzy w postaci dużej ilości zmarszczek. Zmarła nagle, prawdopodobnie na serce, 20 lipca 1957 roku, mając zaledwie czterdzieści trzy lata.

Przeżyliśmy to wszyscy bardzo boleśnie. I skutki na przyszłość były bardzo poważne, o czym w czwartym rozdziale. Nawet wujek Frydek, niby twardziel i człowiek światły, po jej śmierci wmówił sobie, iż on podobnie jak jego siostra, umrze w 44 roku życia. Jak nadszedł więc ów 44 rok zakrapiał solidnie alko-

holem każdy dzień, i tak naprawdę to prawie nie trzeźwiał. W takim stanie przeżył cały rok. Chwalił się potem, iż znalazł sposób na kostuchę, która widać pijanych nie lubi. Efekt tego był jednak taki, że pociąg do kieliszka pozostał mu przez następne lata, chociaż nałogowcem nigdy nie był.

Ojciec był człowiekiem lubianym przez wszystkich. Wynikało to między innymi z dobroci jego serca, wrodzonej delikatności i kultury osobistej oraz chęci niesienia pomocy innym. Nie był materialistą, a raczej altruistą, który nikomu nie mógłby wyrządzić żadnej krzywdy. Na rentę przeszedł mając 62 lata, w związku z nasilającą się astmą i innymi dolegliwościami. Zmarł na raka kręgosłupa 4 października 1980 roku, przeżywszy 72 lata. Prawdopodobnym źródłem tej śmiertelnej choroby był fluor, wydzielany w olbrzymich ilościach przez hutę aluminium w Skawinie. Była i jest to zasadnicza przyczyna powstawania chorób kręgosłupa i kości tysięcy mieszkańców bliższych i dalszych okolic Skawiny.

Drzewo genealogiczne rodu Mazurkiewiczów przedstawia ilustracja 5. Portrety Władysława i Antoniny Mazurkiewicz przedstawiają ilustracje 6 i 7, a rodzinne groby naszych dziadków i rodziców na cmentarzu w Przytkowicach ilustracja 8.

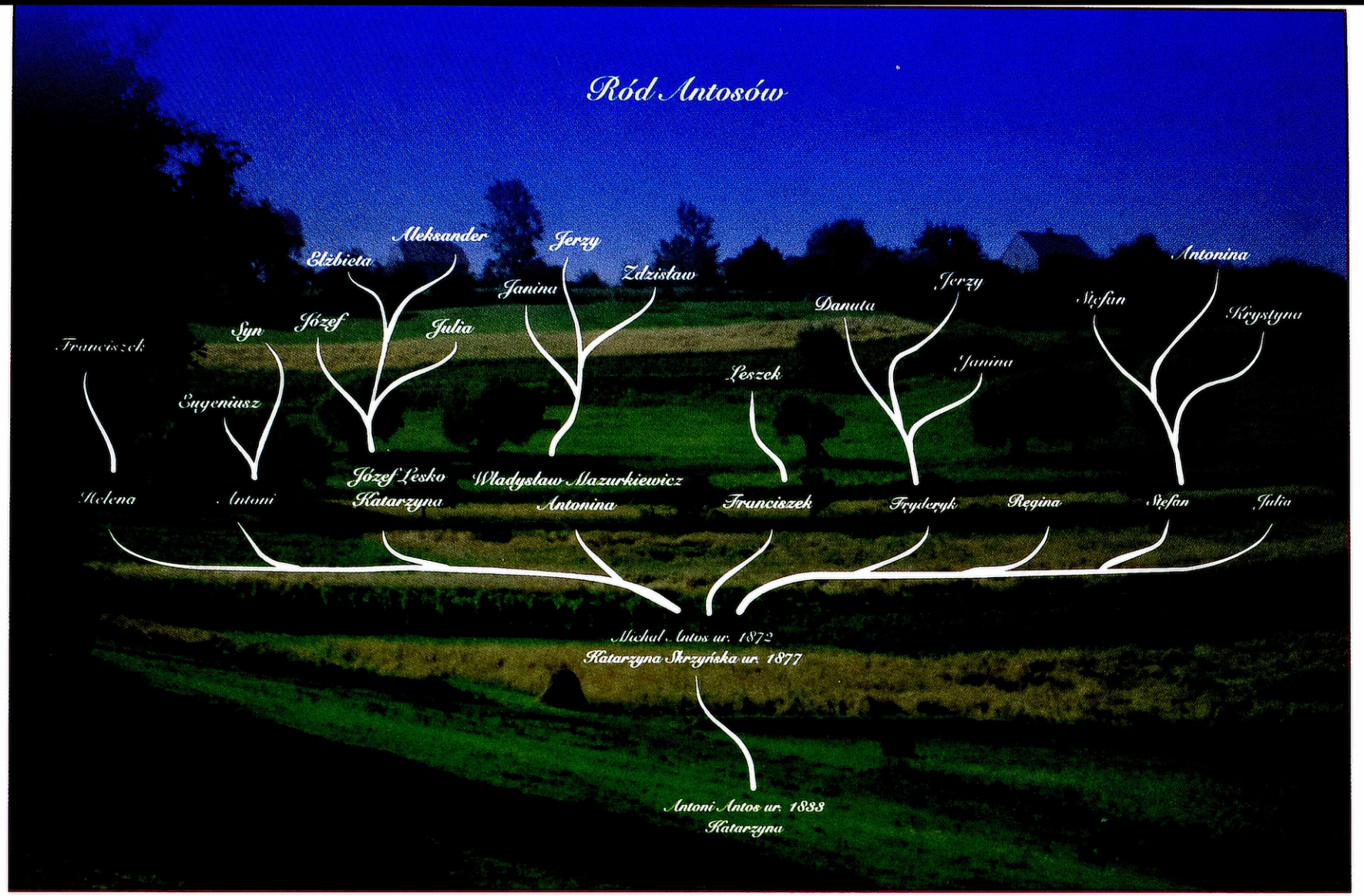

3. Ród Antosów. Drzewo genealogiczne

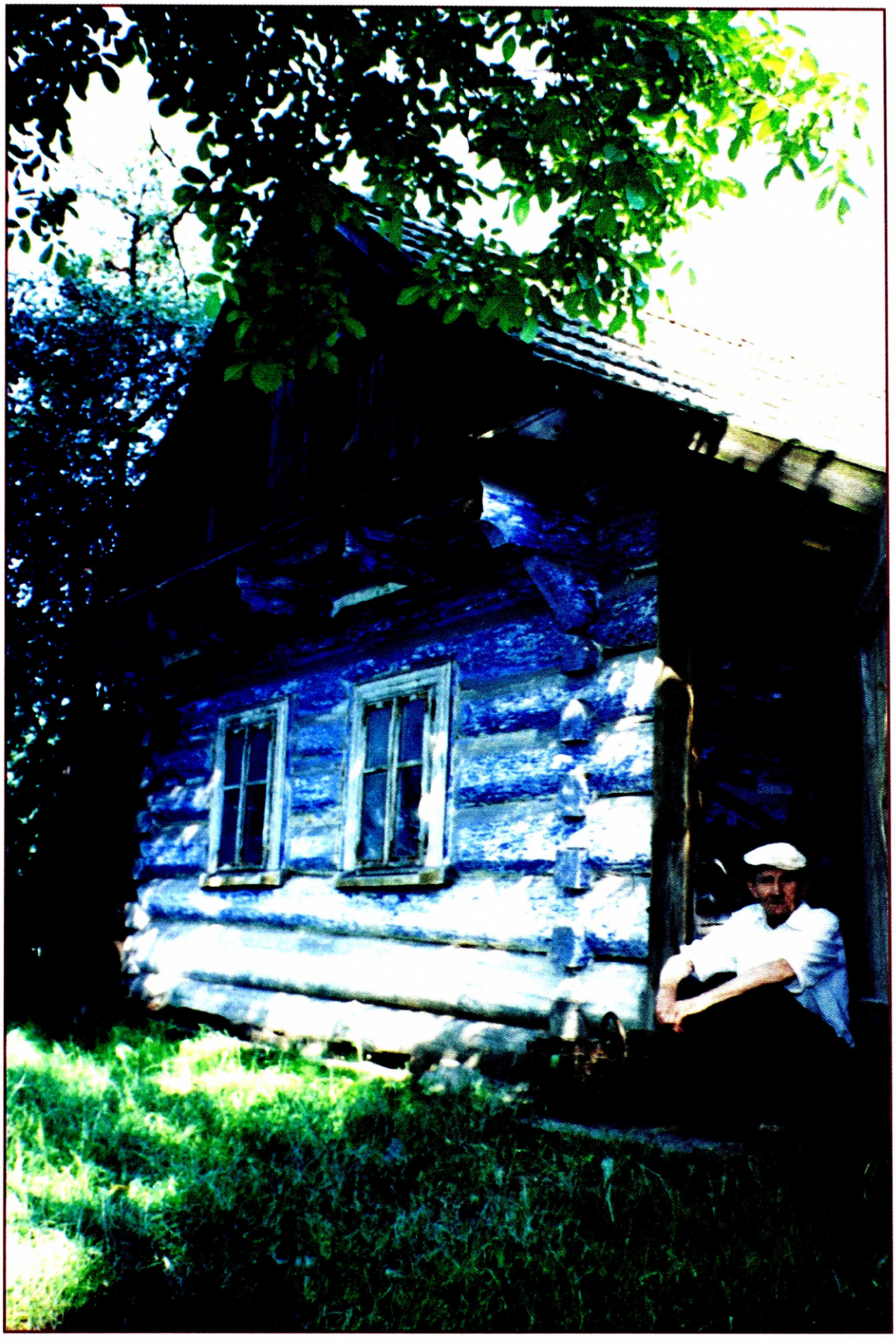

4. Stary dom Antosów (część).
W wejściu do domu siedzi Fryderyk Antos. 1991 r.

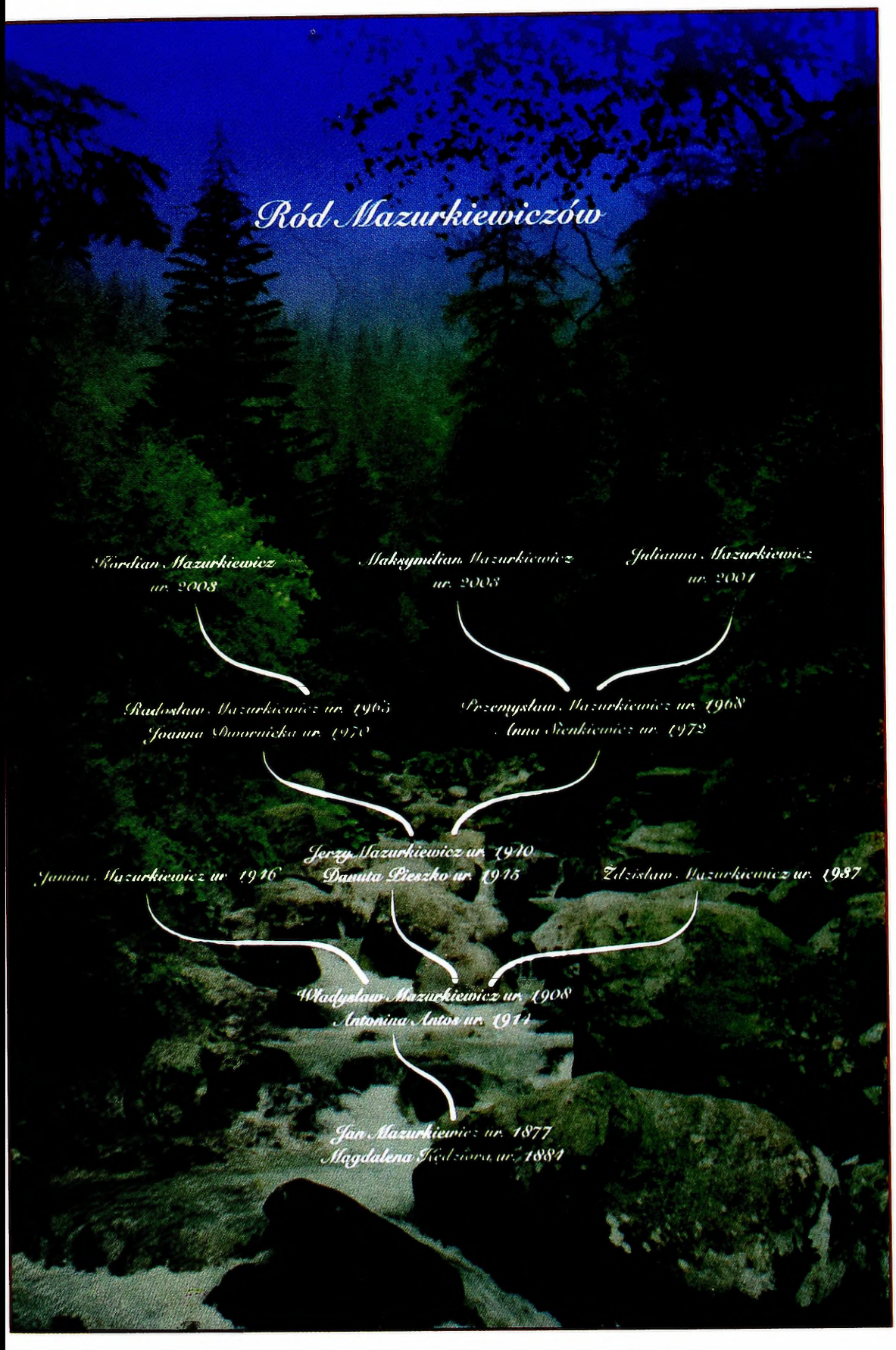

5. Ród Mazurkiewiczów. Drzewo genealogiczne.

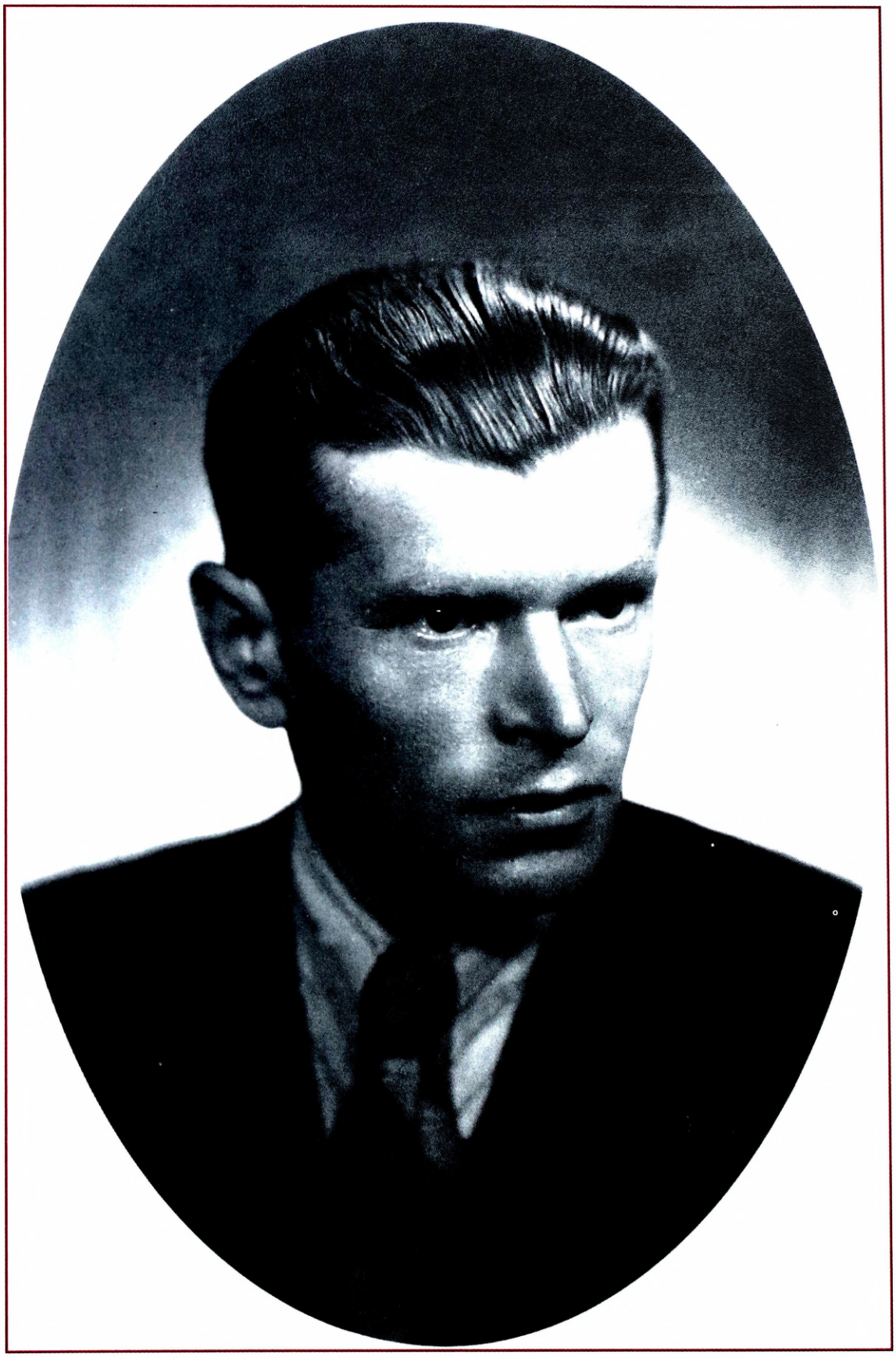

6. Władysław Mazurkiewicz. 1957 r.

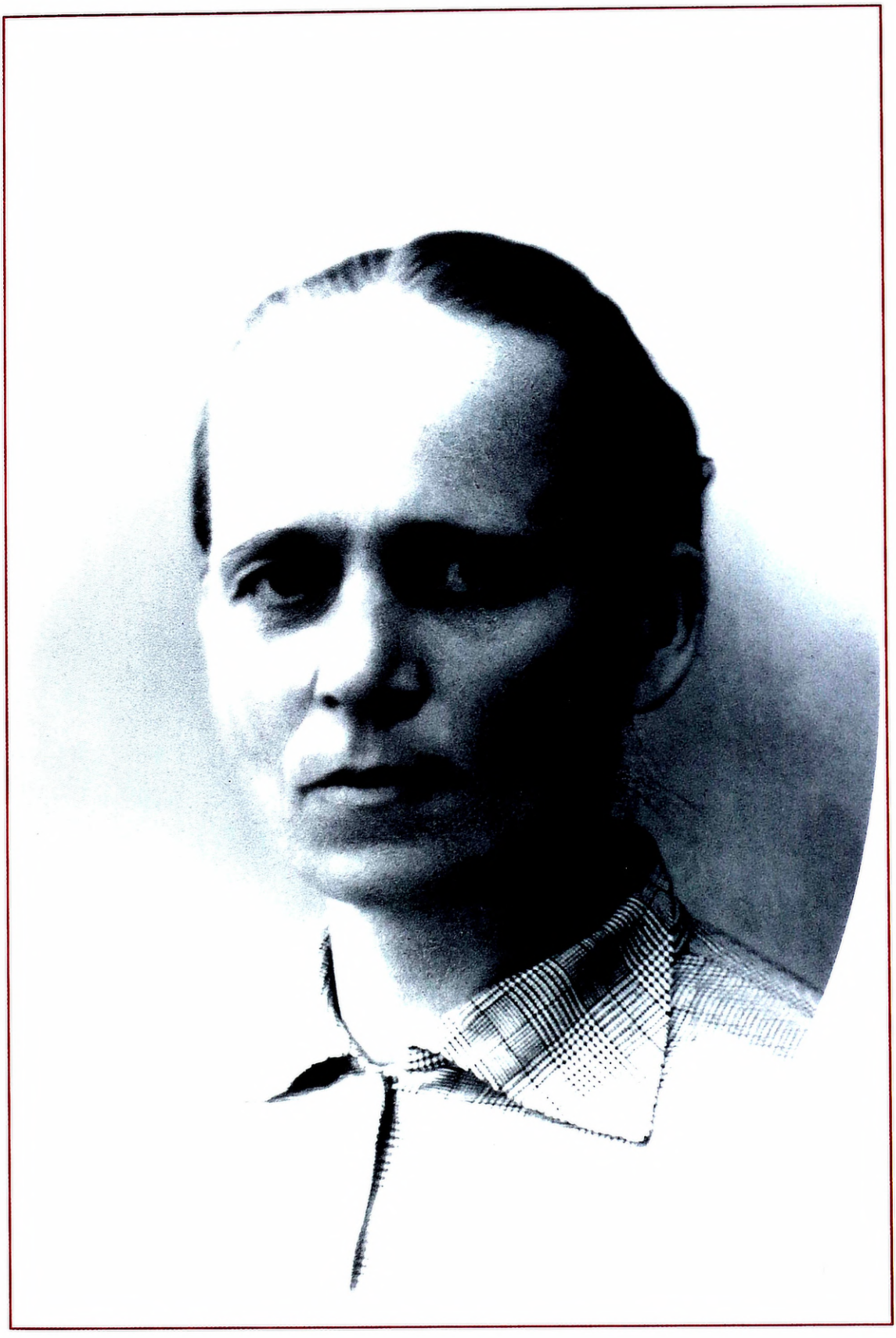

7. Antonina Mazurkiewicz. 1957 r.

8. Groby dziadków po kądzieli i rodziców. W oddali zalesione wzniesienie Ludka. 2003 r.

Rozdział trzeci

Wojenno-powojenne dzieciństwo

Czas i miejsce urodzenia

Urodziłem się w niedzielę 18 lutego 1940 roku, a więc już w czasie drugiej wojny światowej. Jednakże według współczesnych słów i poglądów kościoła katolickiego o życiu poczętym żyłem już od maja 1939 roku, w nim bowiem zostałem poczęty przez rodziców.

Z tym wiąże się kilka bardzo ważnych spraw. A więc, że jestem dzieckiem szczęścia i miłości, jako że niedziela to dzień szczęśliwy, a maj uważany jest za miesiąc miłości. Ponadto, jako żywy organizm, brałem udział w kampanii wrześniowej. Rodzice moi, jak większość mieszkańców Polski, na skutek prowadzonej przez Niemców propagandy, uciekali przed frontem na wschód. Na piechotę dotarli aż pod Krasnystaw. Tam opamiętali się, przemyśleli wszystko i uświadomili sobie, że to prowadzi donikąd. Powrócili więc, a ja wraz z mamą, w rodzinne strony. Tak więc brałem bezpośredni udział w ucieczce przed Niemcami, a tym samym byłem bezpośrednio narażony na konsekwencje niemieckiej agresji zbrojnej na Polskę.

Przeto zgodnie z poglądami pierwszego kierownika Urzędu ds. Kombatantów, niejakiego ministra Jacka Taylora z Unii Wolności, który z powodu urodzenia w obozie pracy i przebywania tam około jednego miesiąca, sam sobie zaraz po objęciu tego urzędu przyznał prawa kombatanta, powinienem także zostać kombatantem, ze szlakiem bojowym Przytkowice–Krasnystaw i z powrotem.

Z przedstawionych powyżej konkluzji, tylko oczywiście pierwsza jest prawdziwa, pozostałe to żart, chociaż przesłanki leżące u ich podłoża niestety i o zgrozo są prawdziwe. Nie od rzeczy będzie także wspomnieć, że poczęto mnie w wolnym i niepodległym kraju, a nie jakimś tam okupowanym i ciemiężonym przez najeźdźcę. A ponadto zgodnie uważano, że to co przedwojenne było lepsze od powojennego. Dotyczyło to przede wszystkim przedmiotów, narzędzi i wszelkich dóbr materialnych, ale przenosiło się także na ludzi.

Miejscem mojego przyjścia na świat był dom zwany *Kółkiem*, usytuowany na ponad dwumetrowej skarpie, gwarowo *na brzysku* lub *na przyzbie*, przy skrzyżowaniu starych dróg gruntowych prowadzących w kierunku południowym w dół do cmentarza i dalej do szkoły i kościoła, na wschód do Dworu oraz w kierunku północnym do Kąta i dalej do Paszkówki. Nazwa domu pochodzi od tego, że mieścił się w nim sklep, który był własnością Kółka Rolniczego, a więc potocznie i skrótowo dom nazywano *Kółkiem*. Front domu pokazuje ilustracja 9, przed którym stoją od prawej: Antonina Mazurkiewicz, Jadwiga Pieprzyk i Józef Dumanus oraz siedzą od prawej: Władysław Mazurkiewicz i Antoni Pieprzyk, a pomiędzy nimi stoi autor. Kolejne zdjęcie rodzinne 10 wykonano w 1946 roku i przedstawia rodzinę Antosów, czyli wujka Frydka, ciotkę Maryskę w krakowskim stroju i kuzynkę Jankę oraz moją mamę i mnie. W owym czasie tata wyjechał na północ Polski w poszukiwaniu pracy.

Kółko było chałupą drewnianą, obitą pionowo deskami i skierowaną frontem na południe. W jednej części podpiwniczoną, z wejściem do piwnicy z zewnątrz, na wysokości drogi gruntowej. Do drzwi wejściowych domu prowadziły kilkunastostopniowe betonowe schody.

Wchodząc do domu, najpierw wchodziło się do małej sieni. Stąd w prawo prowadziły drzwi do izdebki, wykorzystywanej jako magazyn podręczny towarów, a w lewo drzwi do dużej izby sklepowej. Stała w niej duża lada, a za nią na dwóch ścianach półki sklepowe z towarami. Z izby sklepowej drugie drzwi prowadziły do izby mieszkalnej, która znajdowała się na przedłużeniu sieni i magazynka. W izbie stał nieduży piec na węgiel i drewno, łóżko, stół i krzesła, jakaś ławka i mały kredens. Jedyne okno wychodziło na północną stronę.

Pierwsze wspomnienia

Pierwszym wspomnieniem wyniesionym z tego domu była dość niebezpieczna sytuacja związana chyba z moim łakomstwem. Pamiętam jak poszedłem do sklepu z zamiarem wypicia lemoniady. Wziąłem półlitrową butelkę zamykaną urządzeniem składającym się z grubego drutu, dociskowego korka porcelanowego wraz z gumową uszczelką, a więc taką, w jakiej zawsze była lemoniada. Przy próbie wypicia zachłysnąłem się, upadłem i straciłem możliwość oddychania. Dopiero po dłuższym czasie i przy pomocy rodziców doszedłem do siebie. Okazało się, że zaglądałem nie do tej butelki co trzeba. Zresztą zdarza mi się to do dzisiaj. W tej bowiem była stężona esencja octowa, która mocno popaliła mi gardło i usta.

Z reguły w każdą niedzielę po południu zbierało się w naszej izbie mieszkalnej kilku kolegów ojca i grano w karty. Grano w tysiąca, sześćdziesiąt sześć, oko, *zekcyka* i *krótkiego* – do tej pory nie znam tych dwóch ostatnich gier, a także w remika. Był to czas, w którym jeszcze niewiele mówiłem, ale tak mi się to podobało, że stale chodziłem koło graczy i na różne sposoby zdradzałem, jakie

kto ma karty. Byłem więc dla graczy uciążliwy, chociaż było także wesoło, gdy próbowałem nazywać kolory i figury w kartach.

Pierwszy występ towarzyski dałem w wieku około trzech lat. Akurat byli u nas goście. Mama poczęstowała ich barszczem czerwonym z ziemniakami. W tamtym czasie i w naszych okolicach zwanym żurem czerwonym. Rozróżnialiśmy więc żur biały i czerwony. Dość długo chodziłem koło stołu i przyglądałem się jedzącym. W pewnej chwili podszedłem do nich bliżej i jak gdyby konfidencjonalnie, ale grzecznie i z przestrogą oznajmiłem im:

– Jedzcie, jedzcie żur czerwony, będziecie srać czerwono.

Po chwilowej konsternacji rodziców i gości, wszyscy wybuchli śmiechem. Później wydarzenie to było często wspominane, jako śmieszne wystąpienie, które z grzecznością i kulturą nie miało nic wspólnego, chociaż wskazywało na realizm i logikę dziecka.

Na tym samym *brzysku* co dom, po jego zachodniej stronie, rosło w półkolu sześć olbrzymich, ponad stuletnich lip, a pośrodku na postumencie z piaskowca figura Matki Boskiej. Kapliczkę tę, zwaną kapliczką „Pod Lipami", ufundowali w 1866 roku Ewa i Wawrzyniec Żurkowie (ilustr. 11). Bezpośrednio za lipami, bokiem do nich, a frontem do drogi, czyli w kierunku zachodnim, stały trzy drewniane stodoły zbudowane z okrąglaków i kryte strzechami. Był to wyśmienity teren do różnego rodzaju zabaw w chowanego, odpukiwanego itp., mający mnóstwo miejsc do ukrycia, a także wystających grubych korzeni, które utrudniały bieganie.

Kolejne wspomnienia dotyczą 1944 roku. Pamiętam jak dziś, duże i małe grupy ludzi idących polnymi drogami i chodnikami (ścieżkami) od strony Paszkówki w kierunku południowym. Przechodziły przez Przytkowice przeważnie omijały większe zgrupowania domów, rzadko się zatrzymywały prosząc niekiedy o wodę i coś do jedzenia. Byli to ludzie w różnym wieku, przeważnie jednak kobiety i dzieci. Niezwykle utrudzeni nieśli ze sobą różne tobołki i zawiniątka. Ubrania mieli sfatygowane, większość z nich szła boso.

W tym czasie uderzył mnie dość niechętny stosunek do nich miejscowych ludzi. Co prawda wody ludzie nie żałowali, ale z jedzeniem było gorzej i rzadko gdzie coś otrzymywali. Nie mówiąc już, aby zaprosić ich do środka i poczęstować czymś gorącym. Nie mogłem wówczas tego zrozumieć i z tym się pogodzić. Zbieraliśmy więc owoce i biegaliśmy na rozstajne drogi, którymi te grupy przechodziły, i częstowaliśmy ich.

Dużo, dużo później uświadomiłem sobie, że byli to warszawiacy, wygnani ze stolicy po upadku powstania warszawskiego. Prawdopodobnie grupy te miały ustaloną przez okupanta marszrutę i odpowiednie rygory marszu. Sądzę także, iż taki a nie inny stosunek do nich miejscowej ludności mógł wynikać z panującej ówcześnie biedy, chociaż było już sporo czasu po żniwach, oraz niemieckiej propagandy, obwiniającej bez pardonu ludność Warszawy za udział w powstaniu, zubożenie i swój los.

Nadeszły także sprawy płci. Pierwszą ciekawość w tym względzie zaspokoiłem w czwartym roku życia. Stało się to w Kącie, gdy byłem u babki Ku-

charczykowej. Poznałem tam córkę sąsiadów Zosię Szafrańską. Ładną blond dziewczynkę z warkoczykami. Ciekawość płci odmiennej była chyba obopólna. Poszliśmy więc w ustronne miejsce za stodołę babki i z zaciekawieniem i dokładnie oglądaliśmy różnice anatomiczne. Nawet to mi się podobało, chociaż dziwiłem się po co te różnice, skoro do siusiania „ptaszek" wydawał się lepszy.

Front

Zbliżał się szybko koniec niemieckiej okupacji i wojny. Coraz więcej wojsk niemieckich było na naszym terenie. Sytuacja stawała się bardzo groźna i niebezpieczna. Przenieśliśmy się więc najpierw do chałupy Antosów, gdzie mieszkała babka Kaśka, a następnie do Kąta do babki Magdaleny. W tych dwóch domach przeżyliśmy okres przed i pofrontowy, chociaż w trakcie przejścia samego frontu chowaliśmy się, jak prawie wszystkie rodziny z okolicy, w piwnicy u Pilcha, ponieważ była murowana, a przy tym największa i najsolidniejsza.

Żołnierze niemieccy mieszkali razem z nami w chałupie, zajmując izbę mniejszą, zwaną izdebką. Zachowywali się nad wyraz poprawnie i nie byliśmy przez nich prześladowani i poniżani. Jeden z nich wkładał mi od czasu do czasu pod poduszkę cukierki, a raz nawet czekoladę. Przy tym przykładał palec do ust, co oznaczało, iż nie mogę nikomu o tym mówić. Była to pierwsza czekolada jaką jadłem w życiu.

Były także dla mnie sytuacje niebezpieczne. Ze względu na moją aryjską urodę, to znaczy rysy twarzy, budowę ciała i białe jak len włosy, chciano mnie zabrać od rodziców i poddać niemieckiemu wychowaniu. W związku z tym miałem zalecenie od rodziców, aby Niemcom nie rzucać się w oczy i nie oddalać od domu. Dwukrotnie wpadali do nas SS-mani w czarnych mundurach i z emblematami trupich czaszek na czapkach. Robili dokładną rewizję, zaglądali wszędzie, nawet w zakamarki pieca. Stawiali całą rodzinę pod ścianą i wymachując pistoletami grozili nam śmiercią. Jak wszyscy byłem przestraszony i bałem się, że nas zastrzelą.

Idąc kilka razy drogą pod górę do Antosów widziałem rozciągnięte różne przewody telefoniczne – niebieskie i czerwone, które Niemcy nie zdążyli później zwinąć. Jeszcze bardzo długo po wojnie służyły gospodyniom jako sznurki do rozwieszania i suszenia bielizny.

Z domu Antosów rozpościerał się bardzo dobry widok na maszerujące, a dokładniej wycofujące się gościńcem, od strony Dworu w kierunku na Drabóż, wojska niemieckie. Był to widok wstrząsający. Sanie za saniami, furmanka za furmanką, od czasu do czasu samochód. Tym wszystkim jechali przez kilka co najmniej dni, różnie opatuleni, przemarznięci, zabiedzeni i ranni żołnierze niemieccy. Do niektórych sań i furmanek doczepione były mniejsze sanki, zbite ze sobą drągi albo bardzo grube gałęzie sosny, jodły lub świerku, na których też leżeli lub siedzieli ranni i poodmrażani żołnierze.

Jeden z żołnierzy niemieckich wszedł do naszej izby, aby poprawić sobie onuce na nogach. Zdjął buty i rozwinął zawinięte na stopach szmaty. Ujrzeliśmy wówczas całe odmrożone i pokrwawione oraz obdarte ze skóry stopy. Widząc to mama poszukała czystych, w miarę równych kawałków białej bawełny i podała je Niemcowi. Ten owinął nimi swoje nogi, włożył buty, serdecznie podziękował i udał się w kierunku zachodnim. Jak daleko zaszedł i czy w ogóle przeżył tę wojnę trudno powiedzieć. Szansę na przeżycie miał jednak niewielką, mimo okazywanego hartu ducha i wytrzymałości.

Front przeszedł stosunkowo szybko. Najpierw była wielka cisza, potem trochę głośnej kanonady, następnie serie z broni maszynowej i pojedyncze strzały. Następnie ukazali się Rosjanie. Brudni, umorusani i w większości pod gazem. Oznajmiali:

– Zdrastwujtie. Wy uże swabodny. Można wychadit.

Byli to żołnierze o wschodniej urodzie, chyba z południowych republik ZSRR. Typowe mięso armatnie. Przeszli jak burza, pytając się od czasu do czasu „Kuda na Bierlin". Mimo wydawałoby się niewielkich walk w rejonie Przytkowic zginęło w nich ponad 30 Rosjan. Pochowani zostali na miejscowym cmentarzu, a następnie w latach 50. ekshumowani i przeniesieni do dużej zbiorowej mogiły żołnierzy radzieckich, prawdopodobnie w Wadowicach.

Po przejściu wojsk pierwszego rzutu Frontu Ukraińskiego, przez dłuższy czas stacjonowali u nas, to znaczy u babki Magdaleny w Kącie, gdzie wówczas mieszkaliśmy, żołnierze radzieccy. Mieszkali w dużej izbie, a my w izdebce. Spali na słomie i siennikach. Jako światła używali dużej łuski artyleryjskiej, do której wlewali naftę lub ropę, wkładali knot i spłaszczali jej zakończenie. Oświetlenie to nazywali kopciłką. Rzeczywiście było trochę światła, ale kopciło się nieprzeciętnie.

Byli to już inni ludzie. Prawie wszyscy z bardzo dobrym wykształceniem i o wysokiej kulturze osobistej. Byli to: Sasza, mężczyzna olbrzymi, ponad dwumetrowy, o spokojnym i przyjemnym usposobieniu, który często brał mnie „na barana" lub podrzucał pod sam sufit (*powałę*). Stiepan, który nie mówił ani słowa po polsku, natomiast doskonale pisał literami łacińskimi i przy tym nie popełniał żadnego błędu ortograficznego, nawet w najtrudniejszych wyrazach. Kola wspaniale rysujący scenki rodzajowe, obrazki wojenne oraz portrety. No i Borys, najmłodszy z nich, podkochujący się z wzajemnością w mieszkającej w tym czasie u Ziębów – krakowiance Matyldzie. Urządzono im nawet ślub na niby. Odbył się z całą ceremonią w sadzie i przy obecności sporej grupy ludzi. Mój ojciec odgrywał rolę wychudłego, ale pełnego powagi i odpowiednio przystrojonego popa. Świadkami byli: moja mama i jeden z kolegów Borysa. Było przy tym wiele śmiechu i radości. Po ślubie urządzono przyjęcie weselne, na którym był chleb i sól, jakieś wojskowe konserwy oraz samogon i „spirt". Czy to małżeństwo na niby zostało skonsumowane tego nie wiem, ale zabawa naprawdę była wspaniała.

Patrząc na to z perspektywy lat wydaje się, że żołnierze ci mogli obsługiwać dowództwo frontu lub jego służby kwatermistrzowskie (logistyczne). Wskazuje na to długi czas pobytu u nas, a także duża ilość akumulatorów i innego sprzętu technicznego, który obsługiwali lub wykorzystywali.

Nie od rzeczy będzie także wspomnieć o chyba jedynym interesie, który ojciec zrobił z Ruskimi zaraz po przejściu frontu. Był to interes oparty na znanej rosyjskiej zasadzie „machniom". Mieliśmy w domu niewielki, czerwony budzik produkcji niemieckiej, który ledwo co chodził i psuł się bez przerwy. Jeden Ruski, jak ich wówczas nazywano, patrząc łakomie na ten budzik, zwrócił się do ojca z pytaniem, czy nie chciałby go zamienić na inny. Nowy i dużo większy. Tłumaczył przy tym, że ten będzie mu poręczniejszy, bo zmieści się do kieszeni.

Wyciągnął więc z umieszczonego na wozie owsa i siana duży, metalowy, amerykański budzik. Było w nim w środku pełno owsa i różnych śmieci, ale okazał się prawie nowy i z bezpośrednich dostaw amerykańskich. Ojciec, jak na dobrego, starego handlarza przystało, długo się zastanawiał i wahał, argumentując, że on ma „czasy charoszyje", a jego mogą w ogóle nie chodzić. Nie mógł jednak zbyt długo się ociągać, gdyż zdenerwowany Ruski mógł mu odebrać budzik bez dokonywania zamiany. Nastąpiła zamiana. Ruski był zadowolony, a ojciec jeszcze bardziej. Po wyczyszczeniu nowego budzika okazało się, że jest super solidny i z wierzchu niklowany. Posiada dzwonienie ciągłe i przerywane oraz głośne i ciche. Służył nam później przez ponad dwadzieścia lat.

I przyszedł dzień dziwny i różniący się od innych. Był to dzień 9 maja 1945 roku. Chyba w godzinach przedpołudniowych lub południowych rozpoczęła się olbrzymia kanonada. Słychać było artylerię i serie z broni maszynowej. Po północnej stronie nieba nad Wisłą, od Oświęcimia do Krakowa, latało sporo samolotów robiących różne figury akrobatyczne oraz wypuszczając dymy i ognie. Także wystrzeliwano sporo różnorodnych rakiet oświetlających i sztucznych ogni.

Początkowo ludzie byli przerażeni i zdezorientowani. Myśleli że znów rozpoczyna się nowa wojna. Po jakimś czasie dotarło jednak do nich, że to koniec wojny. Wśród wszystkich zapanowała wielka radość, a dla nas dzieciaków był to widok piękny i niezapomniany.

Okres powojenny

Nastał wreszcie czas względnego pokoju. Ojciec wyjechał szukać pracy i chleba do Gdańska. Żyło nam się bardzo mizernie. Mieszkaliśmy znowu w domu Antosów. Do moich obowiązków należało mielenie zboża na żarnach, po naszemu „na młynku". Mełłem żyto na śrutę stanowiącą dodatek do paszy dla świń i krów oraz pszenicę na razową mąkę, z której robiono placki, chleb i zacierkę. Zacierkę jadaliśmy na gęsto i rzadko. Na gęsto ze skwarkami i tłuszczem oraz na rzadko z mlekiem.

Babka Kaśka specjalizowała się w gotowaniu przeróżnych zup. Były to szczawiowe – z dzikiego szczawiu zbieranego na łąkach, owocowe – przeważnie wiśniowe, jarzynowe – najczęściej ziemniaczane, zabielane. Do dziś wspominam zupę kurdybankową, którą żona od czasu do czasu gotuje. Jest to zupa ziemniaczana, zabielana śmietaną, najczęściej kwaśną lub mlekiem z dodatkiem ziela, które nazywa się bluszczyk kurdybanek. Rośnie ono jako chwast prawie wszędzie. Płoży się, liście ma okrągłe, lekko ząbkowane i kwitnie niebiesko z lekko fioletowym odcieniem. Posiada ciekawy, mocny aromat i lekko gorzkawy smak. Uszlachetnia zupę nadając jej egzotyczny, jakby starosłowiański zapach i zaostrza smak.

Ziele to babka nazywała *kurwankiem*, a zupę *kurwankową*. Już wtenczas wydawało mi się, że z tą nazwą coś nie jest w porządku, bo wiedziałem, iż pachnie to przekleństwem i brzydkim słowem. Jednakże dopiero znacznie później poznałem jego prawdziwą nazwę w książce o ziołach i roślinach przyprawowych. Była to książka czeska, tłumaczona na język polski. Roślina ta nie figuruje nigdzie w spisie polskich ziół i roślin przyprawowych. Jest używana tylko w rejonie Karpat i w związku z tym *kurwanek* może być jej czeską lub słowacką nazwą. Dla ciekawości mogę dodać, iż będąc w 1996 roku u Radków w stolicy Kanady Ottawie, znaleźliśmy tam owo ziele i żona ugotowała zupę kurdybankową. Smakowała wszystkim wybornie. Miała delikatny, wyrafinowany smak i nadzwyczajny aromat. Jest to typowa zupa wiosenna, gdyż wówczas kurdybanek daje najprzyjemniejszy aromat i smak. W okresie późniejszym jej aromat i smak robi się bardziej ostry i mniej wykwintny, a zupy gorzej smakują.

Ulubioną potrawą babki Kaśki były grzyby o nazwie *biele*. Bardzo duże blaszkowce, całe białe, bardzo twarde i po przełamaniu lub przecięciu wydzielające biały sok, podobny do mleka. Przyrządzała je w następujący sposób. Najpierw długo gotowała odlewając kilkakrotnie wodę, a następnie smażyła na patelni, przeważnie na śmietanie. Po przyrządzeniu miały trochę gorzki smak, ale smakowały wyśmienicie. U naszych południowych sąsiadów biele uważane są za grzyby przyprawowe, natomiast na terenie Polski nie są zbierane.

W tamtym okresie podstawowym pożywieniem były ziemniaki z mlekiem, przeważnie kwaśnym, placki z tartych ziemniaków, zacierka, poniemiecka a potem z dostaw amerykańskich margaryna i ciemna, prawie czarna marmolada produkowana z buraków. W nieco późniejszym okresie ulubionym szybkim jedzeniem była zaś duża kromka chleba posypana cukrem, zmoczonym wodą lub mlekiem. Przybiegało się do domu, prosiło o nią kogoś ze starszych lub robiło samemu, a następnie z taką pajdą chleba w ręce biegło się do dalszej zabawy. Do picia używaliśmy smaczną wodę ze studni – *studzienną*, mleko, kompoty, w zimie z suszonych jabłek i gruszek, a także herbaty robione z kwiatu lipowego, rumianku oraz suszonych szypułek (*ogonków*) owoców wiśni szklanki.

Po powrocie ojca z Gdańska przeprowadziliśmy się do chałupy *Kaźmiyrza*. Wynajęliśmy ją od Kazimierza Skrzyńskiego, stąd to gwarowe określenie. Był

to dom drewniany, kryty strzechą, położony blisko *Kółka*. Składał się z sieni, z której wchodziło się do dużej, dwuokiennej izby mieszkalnej, na strych i do piwnicy. Do stajni wchodziło się bezpośrednio z izby lub z podwórza. Od strony zachodniej i północnej do domu przylegały szopy, w których mieścił się opał oraz różne rzeczy podręczne. Od strony zachodniej był gnojowiec, przy nim *wychodek* (ubikacja), dalej niewielki sad, a w nim nieduży *stawek*, uformowany po wybranej dla celów budowlanych glinie. Zaś w tym *stawku* sporo żab, a przeważnie *dudki*. Małe, szare po wierzchu i żółte jak jajecznica pod spodem żaby. Sympatycznie kumkały, lecz zabawa z nimi była niebezpieczna, gdyż ich skóra wydzielała mocno drażniący oczy śluz.

Dom ustawiony był frontem na południe, a szczytem do drogi, przy której rosły dwie olbrzymie, wspaniałe lipy. Za drogą znajdowały się, wspominane już, trzy drewniane stodoły. Przed naszym domem stał dom Żaków. W nim mieszkała *Zocka* (wdowa po Żaku) z dwoma synami – Staszkiem i Michałem *Zocykami*. Zaś za nami mieszkali Cichoniowie, dalej Żurek, zwany Francuzem, wdowa po Michałuszku – Anielka z dziećmi Julką i Józkiem oraz matką. Po drugiej stronie drogi, bliżej Dworu mieszkał Marchewka, blisko drogi Rafał Spyrka z rodziną i Józef Domanus, a za nimi Jan Domanus – także z rodziną, a później Rempała. Dalej stara droga przecinała gościniec prowadzący od Dworu na Draboż, a za nim przy drodze do Kąta stała już chałupa Antosów. Przed każdym domem było podwórko, ogrodzony ogródek kwiatowo-warzywny i nieduży sad.

W domu *Kaźmiyrza*, prawdopodobnie wcześniej, przed naszym zamieszkaniem rozebrano jedną izbę i dlatego sień znajdowała się w szczycie budynku, a piwnica pod tą częścią, którą wcześniej rozebrano. Piwnica, zwana *grubą*, była nietypowa. Bardzo głęboka i solidnie wykopana w ziemi. Dla jej wzmocnienia usypano nad nią dość duży wzgórek. Wchodziło się do niej z sieni, wąskim wejściem pionowo w dół, gdzie była duża i ciemna komora ziemna. Składowano w niej ziemniaki, buraki, *korpiele*, marchew i inne warzywa. O ile wnoszenie do niej było łatwiejsze, to wynoszenie czegokolwiek kosztowało wiele wysiłku. Przy tym trzeba było sprytu i wprost akrobatycznych zdolności, aby po trochu coś z niej wydobyć. Z tego powodu byłem często obarczany tym zadaniem od najmłodszych lat, a pomagała mi mama.

Sytuacja polityczno-militarna

W ciągu kilku lat po wojnie, a szczególnie w latach 1945–1947, w tym regionie było bardzo niespokojnie. Toczyła się bowiem walka polityczna o nową władzę, polityczne wpływy i doczesne dobra. Grasowało więc sporo band różnego kalibru lub jak kto woli, oddziałów partyzanckich różnej maści.

Przeważnie były to jednak pozostałości partyzantki z okresu okupacji i nowe bandy tworzone do walki z ówczesną rzeczywistością. Szczególnie z reformą rolną, władzami polityczno-gospodarczymi w rejonie, a także do zwalczania

i likwidowania członków PPR-u (Polskiej Partii Robotniczej) we wsiach i w miasteczkach tego regionu.

A oto kilka przykładów ich działalności, znanych mi z opowiadań rodziców. W czasie zabawy publicznej, która odbywała się w dawnym spichlerzu we Dworze, banda otoczyła budynek, wtargnęła do środka, rozdzieliła mężczyzn od kobiet, a następnie, jak to mówili wykonawcy, dla przestrogi i szacunku każdemu po kolei mężczyźnie wlepiono dwadzieścia batów na tyłek. Potem wyłuskano tych, którzy brali ziemię z reformy rolnej i kazano im garściami jeść ziemię, pytając przy tym, jak im smakuje i czy mają w dalszym ciągu na nią ochotę.

Z tymi, którzy należeli do PPR-u rozprawiano się różnie. Przychodzono nocą do domu i bito, kazano zjadać legitymacje partyjne, niszczono sprzęty i meble, a niekiedy podpalano także i całe domy. Naszego dobrego znajomego i przyjaciela Stanisława Bitnera – wspaniałego Polaka o niemieckim nazwisku, który mimo nachodzenia przez Niemców w czasie okupacji, prześladowania i przymuszania, folklisty nie podpisał – tak bito, iż odbito mu od kości prawie wszystkie mięśnie pośladkowe, nerki i połamano żebra. Ledwo przeżył pozostając kaleką do śmierci.

Zdarzało się także przywiązywanie mężczyzn za genitalia do drzew w taki sposób, iż przywiązany musiał stać na palcach. Gdy opadał z sił i nie mógł utrzymać się w takiej pozycji, powoli zaciągał się i umierał w straszliwych męczarniach. Szybszym sposobem uśmiercania było przyciąganie do siebie dwóch młodych brzóz lub grubych leszczyn oraz przywiązywanie stóp ofiary do ich wierzchołków. Następnie drzewa puszczano swobodnie, a one siłą rozprężania rozrywały ofiarę na dwie części.

Były to z reguły sposoby wykonywania wyroków na ludziach, którzy należeli do PPR-u i pełnili jakieś ważniejsze funkcje, na przykład sołtysów, wójtów. Dobierano się także do bezpartyjnych, którzy popierali nowy ustrój i nie bali się o tym głośno mówić. Do takich należał Lelek mieszkający na *Dziole*. Człowiek spokojny, prawy i szlachetny, a przy tym odważny i mający autorytet w swoim otoczeniu.

A było to tak. Wczesną nocą banda uzbrojona po zęby w broń maszynową i ręczną z zamaskowanymi chustkami twarzami, przyszła do mojego stryja *(stryka)* Stefana, który mieszkał na *Drobozie*. Wyciągnięto go z domu i nakazano, aby poszedł z nimi i wskazał, gdzie mieszka Lelek. *Stryk* musiał to zrobić, a więc doprowadził ich pod jego dom. Po tym przywódca bandy zwolnił stryja i odprawił do domu. Banda otoczyła dom, wtargnęła do środka, pobiła żonę, dzieci i znalazła Lelka na strychu.

Następnie poznęcano się nad nim trochę i oświadczono, że zostanie wykonany na nim wyrok śmierci. Zapytano w związku z tym, jakie ma ostatnie życzenie. Ten zaś odparł, że niedawno kupił nowy, piękny rower i prosi, aby pozwolono mu zabrać go z sobą. Przywódca bandy wyraził zgodę. Wyszli z domu pozostawiając we łzach całą rodzinę. Prowadzono Lelka z rowerem na plecach

w środku grupy w kierunku lasu. Wtedy wszyscy pozdejmowali już chustki z twarzy uznając, że już się nie zdekonspirują i prowadząc opowiadali jaką śmiercią zginie. A miała to być śmierć najokrutniejsza, bo przez przywiązanie do drzewa, zaciągnięcie się i powolne zrywanie genitaliów.

Gdy do lasu było już około 50–70 metrów, a prowadzący byli już całkiem rozluźnieni, zebrał wszystkie siły i wraz z rowerem okręcił się kilka razy wokół siebie, przewracając wszystkich prowadzących. Następnie rzucił rower i co sił w nogach pognał do lasu i w lesie pędził tak daleko, dopóki się nie potknął i nie upadł. Jak się przyszli oprawcy opamiętali, zaczęli za nim strzelać. Strzelano jeszcze długo po tym, chodząc po lesie i szukając zbiega.

Gdy zbliżał się świt banda musiała wrócić do domów, a sam Lelek od tego momentu ukrywał się. W tym czasie spotkał się po kryjomu z moim ojcem i w zaufaniu opowiedział mu to zdarzenie, wymieniając także nazwiska prawie wszystkich, którzy brali w tym udział. Następnie, jak to wówczas mówiono, wyjechał na zachód, znalazł wolne gospodarstwo w poznańskiem i sprowadził tam swoją rodzinę. Po kilku miesiącach jednak zginął, wypadając z kolejki wąskotorowej. Może to był czysty przypadek, a może ktoś mu pomógł, bo za dużo wiedział i dla wielu mógł być niewygodny.

Po wielu, wielu latach, kiedy ojciec opowiadał mi w pełni tę historię zapytałem, dlaczego nie zgłosił tego Lelek lub on do ówczesnej milicji bądź urzędu bezpieczeństwa. Odpowiedział mi wówczas, że co najmniej jeden z tej bandy miał ścisłe powiązania z powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa. Istniało więc realne niebezpieczeństwo, iż po zgłoszeniu tego faktu ojciec lub Lelek mogli być natychmiast zlikwidowani i to przez obie strony konfliktu, ponieważ do końca nie było wiadomo czy banda działała z własnej inicjatywy, czy była inspirowana i kierowana przez UB, czy też UB był infiltrowany przez zbrojne podziemie.

Osobiście miałem raz do czynienia z bandą. Przyszli do nas nocą. Było ich trzech. Wszyscy uzbrojeni i ubrani w skórzane czarne kurtki z ryngrafami Matki Boskiej na piersiach. Byli to prawdopodobnie przedstawiciele Narodowych Sił Zbrojnych (NSZ). Poszukiwali ojca, który w tym czasie przezornie się ukrywał.

Dokonywali długiego przesłuchania mamy, bijąc ją po twarzy i kolbami po plecach. Niczego nie powiedziała, zaklinając się, że sama nie wie, gdzie może być mąż. Pytano także i mnie. Też nie wiedziałem, chociaż gdybym nawet wiedział, to po tym co zrobili mamie, też bym nie mówił. Całe szczęście, że mnie nie bili, chociaż próbowali zastraszyć krzycząc, podnosząc do góry i wymachując mną w powietrzu.

Uczestniczyłem jeszcze w jednym zdarzeniu, ale już z udziałem strony przeciwnej. Początek tego incydentu był następujący. Ojciec wraz z wujkiem Frydkiem, po okazyjnej cenie – faktycznie za grosze – kupili straszak. To jest pistolet na naboje ślepe lub sportowe kalibru 5,6 mm, takie jak później używało się do broni sportowej, na przykład do KBKS-u (krótki bojowy karabinek sportowy). Był bardzo tani, gdyż miał tylko trzy naboje.

Pewnej niedzieli ta „grupa bojowa" zrobiła przed naszą chałupą próbę strzelecką. Do tarczy raz strzelił ojciec, a raz wujek. Obaj z miernym skutkiem. Na tym strzelanie zakończono, pozostawiając jeszcze jeden nabój, a pistolet kładąc w szafie pod bielizną.

Po kilku dniach, w czasie gdy byliśmy z mamą u Bitnerów, przybiegła sąsiadka informując, że przed naszym domem stoi radzieckie NKWD i pilnie poszukuje gospodarzy. Wróciliśmy więc szybko do domu. Rzeczywiście chałupę otaczało około trzydziestu Rosjan w mundurach wojskowych, z bronią maszynową i osobistą gotową do strzału.

Ich dowódca oznajmił mamie, że przyjechali przeprowadzić rewizję, ponieważ otrzymali doniesienie, iż posiadamy broń. Mama z wielkim spokojem odparła, że to nieprawda i na pewno jakaś pomyłka, a więc prosi do domu. Lecz w związku z tym, iż frontowe drzwi wejściowe zamknięte są od środka, ona wejdzie do domu od tyłu, przez szopę i otworzy frontowe drzwi.

Otrzymała na to zgodę i sama weszła od tyłu do domu. Podejrzewam, że nikt z nią nie poszedł, dlatego iż obawiali się zasadzki w zakamarkach szopy i domu. Otworzyła frontowe drzwi prawie natychmiast. Większa część grupy obstawiała dom na zewnątrz, zaś dowódca i kilku żołnierzy weszli do domu i rozpoczęła się skrupulatna rewizja. Szukali wszędzie: w izbie, stajni, sieni, piwnicy i na strychu. Nic jednak nie znaleźli. Widząc to dziwiłem się, że nie znaleźli pistoletu, który leżał w szafie, lecz swoim spostrzeżeniem nie podzieliłem się z nikim.

Po przeszukaniu całego domu zabrali się za przesłuchanie mamy. Zadawali jej mnóstwo pytań. Na pytania o broń niezmiennie cały czas powtarzała, że żadnej broni nie widziała i żadnej broni w domu nie było i nie ma. Przesłuchanie jej trwało kilka godzin.

Następnie posadzono mnie na stole, poczęstowano cukierkami i rozmawiano bardzo przyjaźnie, pytając od czasu do czasu o broń. W związku z tym, iż mama ciągle powtarzała, że jej nie widziała i jej nie ma, ja także „szedłem w zaparte" i mówiłem, że nic nie wiem. Gdy metody słodko-przyjacielskie nie skutkowały, zaczęto mnie straszyć. A to, że zrobią krzywdę mamie, a to że dostanę porządne lanie lub że wsadzą mnie do piwnicy. Męczono mnie dość długo, lecz wreszcie dano nam spokój i Rosjanie odjechali.

W godzinę po ich wyjeździe mama wzięła ten straszak i odniosła znajomemu, który pracował w milicji w Kalwarii Zebrzydowskiej prosząc, aby oddał z wiadomością, iż znalazł tę broń podrzuconą w pobliżu swojego domu.

A teraz dwa wyjaśnienia. Pierwsze dotyczy faktu, gdzie był ten straszak w czasie rewizji, bo nie było go w szafie. Okazało się, że mama wchodząc do domu od tyłu, aby otworzyć drzwi frontowe, błyskawicznie wskoczyła do izby, wzięła z szafy pistolet, weszła po drabinie na strych, wetknęła go w strzechę, zeszła następnie z powrotem do sieni i otworzyła drzwi główne. Trwało to bardzo krótko i chyba nikt nie przypuszczał, że w tym czasie można coś takiego zrobić.

Drugie wyjaśnienie dotyczy winowajców – ojca i wujka. Taką reprymendę, jaką dostali od mamy, zapamiętali chyba na całe życie. Obaj zgodnie potem mówili, że jeszcze w życiu nikt ich tak solidnie *„nie opier..."*. Wujek powtarzał, że z wrażenia to aż mu kapcie z nóg pospadały. Weszło to później na stałe do słownika pod postacią *„opieprzyć kogoś tak, aż mu kapcie z nóg spadną"*, co oznaczało najwyższy stopień zrugania człowieka. Muszę przyznać, że byłem tego świadkiem i nie mogłem wyjść z podziwu nad umiejętnościami mamy w tej dziedzinie oraz potulną i milczącą postawą winowajców.

Pierwszy biznes

Pierwszy interes w życiu zrobiłem w wieku sześciu lat. A był to biznes na najwyższą skalę. W grudniu 1946 roku urodziła się siostra. Pewnego razu, gdy byłem u naszych sąsiadów Cichoniów, usłyszałem, że bardzo chcieliby mieć małą dziewczynkę. Chyba dla żartów, ale w bardzo poważny sposób, zapytali mnie – czy nie chciałbym sprzedać mojej siostrzyczki? Pomyślałem więc, że można zrobić świetny interes, dobrze zarobić i pozbyć się siostry. Wyraziłem więc chęć jej sprzedania. Nawet się trochę targowałem. Wziąłem od nich pieniądze i wróciłem do domu, aby zabrać siostrę i zanieść ją do sąsiadów. Z dumą pochwaliłem się mamie z doskonałego interesu.

No i dopiero się zaczęło. W domu nikt na mnie nie krzyczał, ale co się nasłuchałem w tym przypadku, a przy tym nawstydziłem z powodu tego czynu, to tylko ja jeden wiem. Skruszony, jak nawrócony grzesznik, udałem się z powrotem do sąsiadów oddać im pieniądze. Tam znowu miałem niezłą przeprawę, bo sąsiedzi – dla żartów oczywiście – pieniędzy nie chcieli przyjąć i siostry oddać. Musiałem ich mocno przekonywać, że to był mój błąd i że zrobiłem nadzwyczaj perfidnie, chcąc siostrę sprzedać. Po długich przekonywaniach to się udało. Po tym pozostał mi jednak uraz do robienia jakichkolwiek interesów, była to moja pierwsza i ostatnia próba zrobienia biznesu na dużą skalę.

Przybysze

W czasie okupacji mieszkali z nami po sąsiedzku w domu *Kaźmiyrza* Pająkowie. Była to rodzina przesiedlona spod Babiej Góry do Przytkowic, po wyrzuceniu ich przez Niemców z własnego gospodarstwa. Pochodzili z miejscowości Kocoń. Zostali przesiedleni dlatego, że te tereny po roku 1939 wcielono do Niemiec, a ich wyrzucono do Generalnej Guberni. W rodzinie Pająków były dwie dużo ode mnie starsze dziewczyny – Mila i Janka. Nasze rodziny bardzo się przyjaźniły, a dziewczyny rozpieszczały mnie na różne sposoby.

Po wojnie powrócili w swoje strony. Odwiedziliśmy ich później dwukrotnie. Pierwszy raz jechaliśiny do nich pociągiem, a później szliśmy kawał drogi

przez góry na piechotę. Było wspaniale. Zwiedzałem ciekawe okolice i podglądałem trochę inną przyrodę. Tam po raz pierwszy zetknąłem się ze żmijami. Poszedłem sam w kierunku zagajnika i natknąłem się na duże usypisko kamieni. Na nim zaś, od strony południowej, wylegiwało i wygrzewało się na słońcu kilkadziesiąt groźnie wyglądających gadów. Przestraszyłem się mocno, więc przezornie wycofałem się i wróciłem do domu.

Oglądałem także okoloną kilkusetletnimi dębami kapliczkę, do której można było wejść i podziwiać artystyczne, ludowe zdobienia i rzeźby. Postawiono ją z okazji potyczki górali beskidzkich ze Szwedami w czasie szwedzkiego potopu. Tam zobaczyłem także po raz pierwszy przepiękny oset górski o nazwie dziewięćsił oraz zakosztowałem pierwszych pocałunków. Dziewczyny Janka i Mila, wówczas podrastające już panny, z własnej chęci uczyły mnie całowania, także z języczkiem. W tym czasie sprawiało im to chyba więcej przyjemności niż mnie, ponieważ całowały mnie często i przy każdej nadarzającej się okazji oraz wykazywały przy tym dużo inwencji. Jednakże proszę nie domyślać się zbyt wiele, bo na pocałunkach wszystko się kończyło.

W 1946 lub 1947 roku przyjechał do Przytkowic i zamieszkał razem z nami niejaki pan Pisarek. Mieszkaliśmy już wówczas u *Kaźmiyrza*. Pan Pisarek był przyjacielem ojca z czasów, gdy ten pracował w Krakowie. Z opowiadań ojca wynikało, że przed wojną pełnił on funkcję kapelmistrza okręgowej orkiestry pocztowej lub garnizonowej orkiestry wojskowej w Krakowie. Dlaczego mieszkał u nas prawie dwa lata, nie wiem do dziś. Wydaje się jednak, że mógł się ukrywać lub mieć problemy ze znalezieniem pracy. Pierwsza wersja wydaje mi się bardziej prawdopodobna.

Był ze wszach miar człowiekiem nietypowym. Miał około dwóch metrów wzrostu i 150 kilogramów wagi. Głównym więc problemem było, jak go nakarmić. Wiedział o tym i nie był zbyt wybredny w jedzeniu. Mawiał więc, że może być cokolwiek do jedzenia, byle dużo. Posiadał ciekawe umiejętności. Był wspaniałym znawcą grzybów i wyrabiał, a następnie sprzedawał torciki waflowe.

Grzybów w naszych okolicach nigdy nie było za dużo, bo lasów niewiele, a chętnych do zbierania wielu. Gdy szło się na grzyby to przynosiło się kilka, niekiedy kilkanaście. Ale gdy Pisarek szedł na grzyby, brał ze sobą dwa duże kosze, które wykorzystywano do noszenia skoszonej trawy, ziemniaków lub innych okopowych i przynosił je pełne. Zbierał prawie wszystkie grzyby. Twierdził, że tylko kilka rodzajów grzybów jest trujących. Pozostałe są jadalne lub warunkowo jadalne. To znaczy, że ich trucizna jest zbyt słaba, aby zaszkodzić w małych ilościach lub jest rozkładana na związki nietrujące w trakcie obróbki wodnej i cieplnej.

Gdy przynosił grzyby, wykładał je z koszy i układał oddzielnie rodzajami. Każdy rodzaj grzybów przyrządzał inaczej. Jedne kisił, drugie marynował, inne suszył, smażył lub gotował w różny sposób. Były także takie, które można było jeść na surowo lub piec posolone na blasze kuchennej, na przykład suro-

jadki. Po przyrządzeniu były wspaniałe w smaku i nikt nigdy się nimi nie podtruł, ani nie zatruł. Niektóre z grzybów, jak na przykład podobny do purchawki tęgoskór pospolity, ciął na bardzo cienkie plasterki i suszył, a następnie dodawał po jednym listku do różnych zup. Dawały piękny prawdziwkowy aromat. Użyte w większej ilości na raz były trujące. Był więc mistrzem w tej dziedzinie. Według dzisiejszego języka reprezentował w tej specjalności wyższą szkołę jazdy.

Wyrabiał także „andruty". Kupował w Wadowicach lub w Krakowie pszenne wafle o kształcie kwadratowym lub okrągłym, gotował z cukru i przypraw słodką i pachnącą masę do smarowania i klejenia wafli oraz polewania ich w całości. Następnie ciął na małe kawałki o kształcie prostokątów, trójkątów i sprzedawał w okolicznych miasteczkach i wioskach, szczególnie w dni świąt i odpustów. Na andruty nigdy się nie załapałem, ale zawsze jakieś słodkie okruchy pozostawały, a i garnek był do wylizania.

Szkoła podstawowa

W 1946 roku w wieku sześciu lat poszedłem do szkoły podstawowej. Była to szkoła murowana, jednopiętrowa, kryta dachówką. Stała na wysokiej skarpie, naprzeciw drewnianego, zabytkowego kościółka. Składała się z sześciu dużych sal klasowych, czterech na piętrze i dwóch na parterze. Ponadto w budynku był także gabinet nauczycielski oraz mieszkanie kierownika szkoły, do którego wchodziło się oddzielnym wejściem.

W pierwszych latach mojej nauki kierownikiem szkoły był pan Chyliński, sympatyczny pan w średnim wieku z wąsem i lekko posiwiałą głową, a wychowawczynią przez pierwsze cztery lata pani Jadwiga Kastelik. Ze wszystkich moich nauczycieli wspominam ją najcieplej. Była wspaniałą wychowawczynią i nauczycielką. Pełna ciepła i dobroci, a zarazem cierpliwości i wyrozumiałości. Posiadała dość rzadki dar panowania nad dzieciarnią bez złości i krzyków, a jednocześnie zachęcania ich do nauki i zadziwiającą łatwość w jej przekazywaniu.

Przy szkole, od strony drogi, był ogródek, w którym rosły drzewa owocowe oraz uprawiano kwiaty i warzywa dla kierownika szkoły. Zaś po drugiej stronie budynku dość duże podwórko, na którym przebywała dzieciarnia w czasie przerw między lekcjami. Z boku podwórka stały murowane ubikacje. Oddzielne dla chłopców i dziewczynek. Chłopcy sikali na stojaka w pomieszczeniu zbiorowym, a kupę robiło się kucając w pojedynczych pomieszczeniach z odpowiednimi otworami. Zawsze z nich śmierdziało moczem i kloacznymi wyziewami, mimo że chlorowano je dosyć często.

Za podwórkiem stał dom Gnojka (tak, takie miał nazwisko) i Serwina, a w nim sklepik spożywczy. Można tam było kupić bułki, cukierki, lemoniadę i inne pyszności. Niestety z braku pieniędzy, korzystało się z niego bardzo rzadko. Sami państwo Serwinowie tworzyli ciekawą parę. Serwin, nieduży, szczupły,

stale zabiegany gospodarz i handlowiec jeździł bardzo często na rowerze i przewoził nim różne towary. Natomiast jego żona była nieco wyższa od niego i chorobliwie otyła. Do tego stopnia, iż miała trudności z poruszaniem się. Mimo tego, gdy nie było Serwina, sprzedawała w sklepie i pomagała mu w utrzymaniu domu. Z ich synem Wieśkiem chodziłem od pierwszej do siódmej klasy szkoły podstawowej.

Do szkoły poszedłem o rok wcześniej niż przewidywały przepisy. Chodziłem więc do szkoły z dziećmi rocznika 1939. Byłem zatem jednym z najmłodszych w klasie przez całe siedem lat.

Wyniki w nauce uzyskiwałem w zasadzie dobre i bardzo dobre, chociaż w piątej klasie miałem duże kłopoty z językiem niemieckim. Zgodnie z ówczesnym programem nauczania naukę języka niemieckiego wprowadzono po raz pierwszy w piątej klasie, a ja od samego początku czułem do niego silną awersję. Nie tylko, że się go nie uczyłem, jak zresztą wszystkich przedmiotów, ale także czułem do niego najprawdziwszą odrazę. Było to prawdopodobnie podyktowane ogólnym stosunkiem do Niemców, wynikającym z doznanych przez ludzi krzywd i upokorzeń, a także rezultatem ówczesnej propagandy.

To też z tego przedmiotu otrzymywałem oceny niedostateczne i gdyby nie oceny dobre i bardzo dobre z pozostałych przedmiotów to prawdopodobnie powtarzałbym piątą klasę. A że miałem także w życiu trochę szczęścia, to w szóstej klasie zamieniono język niemiecki na język rosyjski, którego w zasadzie nie trzeba było się uczyć.

Od piątej klasy uczyły mnie już inne nauczycielki. Pamiętam z nich panią Siwiec, która miała małego syna Maćka, panią Nycz, z którą stale flirtował ksiądz proboszcz Stefan Stopka oraz panią Zembaty bardzo piękną, młodą i zgrabną pannę.

Religii uczył mnie pulchny, a przy tym wysoki, przystojny i wielce zasłużony dla Przytkowic proboszcz tej parafii. Ogólnie lubiany, bardzo komunikatywny i na owe czasy bardzo postępowy i zaradny człowiek. Wybudował w Przytkowicach duży, murowany kościół, lecz niestety sprzedał lub przekazał do Skawinek stary, drewniany, zabytkowy kościółek z Przytkowic. Było to i jest niepowetowaną stratą dla kultury i tożsamości historycznej wsi i regionu.

On także organizował bierzmowanie, również moje. Była to uroczystość, którą obecnie nazwalibyśmy masówką. Prowadził ją biskup. Byliśmy ustawieni wokół kościoła, jeszcze drewnianego, wraz ze swoimi patronami, a przechodzący biskup uderzał nas lekko w twarz. Patron podawał nowe imię bierzmowanego, a biskup je powtarzał. Wybrałem na bierzmowaniu imię Bronisław. Chyba ze względu na Bronka Ziębę, który w tym czasie był dla mnie wzorem. Czemu to miało służyć teraz już nie bardzo wiem, lecz wydaje mi się, że chodziło o potwierdzenie przynależności do kościoła katolickiego i wiary chrześcijańskiej.

Drogi dobrodziej Stopka chrzcił także naszych synów – Radka i Przemka. Był to bowiem okres, kiedy ścisłe związki kadry oficerskiej z kościołem nie

były mile widziane. W związku z tym żona załatwiała chrzest synów z proboszczem w Przytkowicach i tam też zostali ochrzczeni. Sam proboszcz Stefan Stopka, ze względu na swoje prospołeczne i prosocjalistyczne przekonania, większej kariery kościelnej nie zrobił, lecz zachował się w pamięci parafian jako wzór dobrego pasterza i społecznika, a zarazem prawdziwego człowieka, któremu namiętności i ułomności życia doczesnego nie były obce. Ogólnie szanowany przez wierzących i ateistów, zmarł w Przytkowicach, gdzie też został pochowany.

Szkoła podstawowa w Przytkowicach prezentowała niezły poziom nauczania. Jej absolwenci, w zasadzie bez większych problemów, dostawali się do szkół zawodowych i średnich. Do przodowników i najlepszych uczniów naszego rocznika należał Władek Kozioł. Solidny i pracowity, rzetelny i sumienny w nauce, czego nie można było powiedzieć o innych uczniach, a szczególnie o mnie. Niestety z dużą przykrością muszę wyznać, że nie znam jego dalszych losów.

Mam do mojej szkoły dużo sentymentu i wiele jej zawdzięczam. Chociaż uczyłem się w okresie, w którym w przeciwieństwie do okresu przedwojennego nie przywiązywano wagi do kaligrafii. W związku z tym bazgrałem, jak kura pazurem do tego stopnia, że w siódmej klasie miałem duże problemy z odczytaniem tego, co zapisałem w zeszytach. Pamiętam takie zdarzenie, że podczas sprawdzania wiadomości z historii nauczycielka poprosiła mnie o zeszyt, aby sprawdzić jak prowadzę notatki. Zeszyt przedstawiłem, lecz nauczycielka nie mogła z niego nic odczytać. Poprosiła więc mnie, abym to uczynił. Niestety, też nie potrafiłem. W związku z tym zapytany, jak się uczę skoro nie potrafię przeczytać tego, co sam napisałem, z rozbrajającą szczerością odparłem, że w ogóle się nie uczę i wystarcza mi to, co jest na lekcji, ponieważ wszystko pamiętam i mogę w każdej chwili powtórzyć. Byłem szczery. Mimo to szkołę podstawową ukończyłem mając cztery oceny dobre, resztę bardzo dobrych.

W szkole, przynajmniej już od piątej klasy, dawały o sobie znać tradycyjne, historyczne podziały na *Dół* i *Górę* naszej miejscowości oraz związane z tym animozje. Przejawiały się one w regularnych bójkach chłopaków prowadzonych w ramach klas, a przede wszystkim między uczniami kilku klas z *Góry* i *Dołu*. Miejscami tych starć i bójek były z reguły tereny położone wokół drewnianego kościoła, lecz za jego ogrodzeniami, akurat naprzeciw szkoły. Przeważnie były to walki wręcz, przy zastosowaniu wszelkich chwytów i uderzeń. Zwykle najpierw występowali napastujący, prowokatorzy, zagończycy, którzy podjudzali do walki i toczyli pierwsze starcia. Potem przystępowali do walki ci, którzy dysponowali siłą bądź zręcznością i sprytem oraz potrafili wygrać walkę. Jeśli rezultat był niekorzystny dla którejś ze stron, to zdarzało się, że w ruch szły kamienie i inne akcesoria. Wówczas w bitwie brali udział prawie wszyscy. Działo się to jednak bardzo rzadko.

Za moich czasów różni byli bohaterowie tych walk. Ale tylko jeden z nich utkwił mi w pamięci. Był to niski, szczupły i niepozorny chłopak z *Dołu*, któ-

rego nazywano *Kutek*. Potrafił rozłożyć i pokonać prawie każdego przeciwnika, nawet najbardziej wyrośniętego w ten sposób, iż „walił go bykiem w brzuch", a potem to już siadał na nim i robił swoje.

Gry i zabawy

Jedną z ulubionych gier wczesnego dzieciństwa była gra w *klipy*. Gra prosta i bardzo interesująca, do której potrzebne były dwa kije. Jeden długi, około metra długości i drugi krótki, nie dłuższy niż 20 centymetrów. Gra polegała na tym, że w ziemi robiło się mały rowek, w poprzek którego kładło się mały patyk. W ten rowek wkładało się koniec dłuższego patyka i starało się wyrzucić mały patyk jak najdalej. Po jego wyrzuceniu, długi patyk kładło się w poprzek rowka, a małym z miejsca jego upadku próbowano w niego trafić. Jeśli trafienia nie było, wówczas wyrzucający z dołka patyk liczył *klipy*, to znaczy podbijał długim kijem krótki i liczył punkty. Im więcej podbić, tym więcej punktów, aż do upadku krótkiego patyka, czyli *klipy*.

Grało się także w klasy, grę popularną do dzisiaj, szczególnie wśród dziewczynek oraz w *zośkę* i *cymbergaja*. *Zośka* była niewielką ołowianą kulką połączoną z pędzelkiem różnokolorowej włóczki. Gra polegała na tym, iż ową *zośkę* podbijało się na różny sposób stopą i liczyło punkty. W czasie niepogody i w porze zimowej, tak w domu, jak i w szkole na przerwach i po lekcjach, namiętnie grywaliśmy w *cymbergaja*. Do tej gry potrzebny był stół lub równa ławka, dwóch zawodników (graczy), dwie monety większe imitujące dwóch piłkarzy i jedna mniejsza moneta spełniająca rolę piłki oraz dwie małe listewki lub grzebienie, służące do uderzania piłkarzami – monetami większymi w piłkę – monetę mniejszą. Gra polegała na tym, aby jak najwięcej strzelić goli przeciwnikowi. Grę zaczynało się od środka, a na przeciwległych krótkich bokach boiska zaznaczone były małe bramki, do których powinna wpaść piłka, aby gol był uznany.

Była to gra sportowa, podobna do bilardu. Prowadziło się ją jednak w dużo szybszym tempie i z większą werwą, a ścięcia, mijania przeciwnika, podkręcania piłki, strzały na bramki oraz auty następowały po sobie jeden po drugim i bardzo dynamizowały grę. Niezwykle ciekawie wybijało się auty. Jeśli piłka, to znaczy mała moneta, wyleciała poza pole gry, to znaczy spadła ze stołu, kładło się ją na brzegu, tak aby jej część wystawała poza blat stołu. Następnie uderzało dłonią o krawędź monety, co powodowało, że moneta przemieszczała się w pole gry. Sztuką było tak uderzyć dłonią piłkę, aby zatrzymała się w miejscu najdogodniejszym do uderzenia w nią własnym graczem. Była to bardzo tania, masowa i dynamiczna gra. Rozgrywaliśmy więc całe turnieje w szkole i po szkole, wyłaniając mistrzów klas i grup.

W pierwszych latach po wojnie, a także później, do podstawowych naszych rozrywek należały zabawy z amunicją. Była łatwo dostępna, ponieważ walczące

wojska pozostawiły spore ilości amunicji, a ponadto obcowanie z nią było czymś frapującym i tajemniczym.

Potrafiliśmy bezbłędnie rozróżniać każdy rodzaj amunicji, w tym zwykłą, smugową, zapalającą, a także „dum dum", to znaczy rozrywającą. Tej ostatniej baliśmy się bardziej niż ognia. Oprócz amunicji zwykłej, każda z nich miała inny zestaw kolorów przy końcu pocisku. Naboje zwykle wykorzystywaliśmy w ten sposób, że najpierw wyciągaliśmy pocisk, usypywaliśmy z łuski część prochu, aby potem wbić pocisk głębiej w łuskę i posypać go z wierzchu, odsypanym wcześniej prochem. Następnie podkładaliśmy nabój pod but lub mocowaliśmy do drzewa. Teraz wystarczyło podpalić proch nad pociskiem, a ogień przedostawał się do środka łuski i pocisk wystrzeliwał z głośnym hukiem. Wkładaliśmy także naboje, szczególnie zapalające i smugowe, do palącego się ogniska i robiliśmy prawdziwą kanonadę z fajerwerkami. Wszystko to trwało stosunkowo krótko po wojnie, bo później za takie sprawy goniła już milicja.

Z tych ogniowych zabaw dwa fakty godne są odnotowania. Pierwszy związany z naszym sąsiadem z naprzeciwka – Żakiem. Siedzimy sobie w domu. W pewnym momencie usłyszeliśmy głośny wybuch. Patrzymy przez okno, lecz nic się nie dzieje. Po dłuższej chwili, przy zabudowaniu sąsiada, pokazuje się ich służący. Twarz ma czarną jak murzyn. Mama wybiega z domu i przyprowadza go do nas. Z bliska okazało się, że chłopak ma całą twarz i ręce poparzone, a masę prochu powbijane w skórę.

Mama opatrzyła biedaka i wypytała co się stało. Okazało się, że wziął kawałek ładunku miotającego z pięści przeciwpancernej, to znaczy poniemieckiego granatnika przeciwpancernego i małymi okruszkami próbował podpalać w piecu, by zobaczyć jakie będą rezultaty. Gdy wrzucił do pieca większy kawałek nastąpił wybuch, zmiotło blachy kuchenne i rozwaliło piec. Gdy weszliśmy do tego domu sprawdzić czy nie wybuchł pożar, okazało się, że wybuch zdemolował izbę. Całe szczęście, że nie doszło do pożaru i temu chłopakowi nic groźnego się nie stało. Działo się to w tym czasie, kiedy gospodarze wyjechali na targ, a służącego zostawili samego w domu.

Drugi przypadek miał miejsce już kilka lat po wojnie. Bawiliśmy się dużą grupą dzieciaków pod *Kiecką*, od strony Paszkówki. Buszując w lesie pełnym orzechów laskowych, malin i jeżyn, znaleźliśmy pocisk moździerzowy. Coś takiego podobnego do ryby, lecz bardziej obłego i zakończonego jakby wiatrakiem. Postanowiliśmy, że należy ten pocisk wystrzelić. Rozpaliliśmy ognisko i włożyliśmy do niego pocisk. Wszyscy zaś skryliśmy się za niewielką osłonę terenową, położoną w odległości około 20 metrów od ogniska. Czekaliśmy cierpliwie kiedy wybuchnie, a dokładnie kiedy wystrzeli i poleci wykorzystując swój ładunek miotający. I tak się stało. Nie przewidzieliśmy jednak, że zacznie szaleć, odbijać się od ziemi i miotać na wszystkie strony. Latał ten pocisk koło nas i nad nami, hucząc, jęcząc i wydając dźwięki, które nas absolutnie obezwładniły. Leżeliśmy jak martwi. Całe szczęście, że ostatnie jego uderzenie w ziemię skierowało go w stronę od nas przeciwną, gdzie wybuchł w odległo-

ści około 50 metrów. Trochę odłamków przeleciało nad naszymi głowami, ale na tym się skończyło.

Teren tej niefortunnej zabawy był znany wszystkim, bo jeszcze przed wojną znajdywano tu trufle. Ojciec opowiadał, że późną jesienią chodziło się w tym rejonie specjalnie boso, aby dotykiem stóp odkrywać pod powierzchnią ziemi bulwy, które były truflami. Zbierano ich ponoć sporo i było to dość powszechnym zajęciem wśród młodych.

W dziecięcych latach trzymały się nas psoty i czasami złośliwe figle. Jako dzieci tworzyliśmy małą grupę rówieśników, którą stale się bawiliśmy. Należał do niej mieszkający po sąsiedzku, o rok starszy ode mnie, Józek Michałuszek, jego kuzyn Staszek Michałuszek mieszkający we Dworze, Staszka Gugułowa oraz moja kuzynka Janka Antosowa. Prowodyrem grupy był z reguły Józek, mający zwariowane i nieprzewidywalne pomysły oraz wiele swobody w domu, ze względu na to, że nie miał ojca, który wcześnie zmarł.

Pewnego razu za jego namową uznaliśmy, że należy oczyścić położone blisko domu pole sąsiada. A na tym polu były posiane w rządkach buraki pastewne, następnie ręcznie wypielone i ładnie przerzedzone, aby szybciej rosły. Dopilnowaliśmy żeby sąsiada nie było i wzięliśmy się solidnie do roboty. Przez ponad dwie godziny wyrywaliśmy je sumiennie i po kolei, układając przy tym na ładne kupki. Po tej robocie, zadowoleni z rezultatów, ukryliśmy się i czekaliśmy na rezultaty.

Gdy przyszedł sąsiad rozpętało się piekło. Szybko przeprowadzono dochodzenie i uznano, że taką głupotę to tylko my mogliśmy zrobić. Odszukano nas i sprawiono tęgie lanie. Każdego z nas lali jego własni rodzice. Mnie nagradzała mama i to solidnie. Potem pokazano nam jak należy je sadzić i zapędzono do roboty. Pracowaliśmy przy tym dwa dni, a przez następne podlewaliśmy, nosząc wodę w wiaderkach z małego stawu. W ten sposób uratowaliśmy plantację, naprawili błędy i nauczyli się, że wygłupiać się nie warto.

Wzdłuż gościńca, prowadzącego od Dworu na Drabož, po obu jego stronach rosły duże drzewa czereśniowe, a gdzieniegdzie, z reguły co 50 metrów, wczesne wiśnie. Drzewa i ziemia były własnością państwowego przedsiębiorstwa dróg publicznych. W okresie dojrzewania, ktoś zawsze wykupywał cały zbiór i do momentu zrywania były strzeżone przez strażnika, jeżdżącego na rowerze.

Dla nas była to niebywała gratka. Jak tu oszukać strażnika, wleźć na drzewo, najeść się czereśni i nazrywać ich na zapas? Z reguły podchodziliśmy niepostrzeżenie, i gdy strażnika nie było w pobliżu, wchodziliśmy szybko na drzewa i jak szarańcza zrywaliśmy owoce. Nieraz bywało i tak, że strażnik zaskoczył nas, gdy byliśmy na drzewach. Wówczas zeskakiwaliśmy i „w nogi". Uciekaliśmy w zboża lub przez miedze z uskokami, na których strażnik z reguły się potykał, przewracał i rezygnował z dalszej pogoni.

Bywało także, iż opracowywaliśmy plany strategiczne. Grupę dzieliliśmy wówczas na dwie części. Jedna część prowadziła działania pozoracyjno-

-demonstracyjne kręcąc się w pobliżu czereśni na jednym końcu drogi i zmuszając tym samym strażnika do przebywania na tym odcinku, gdy w tym samym czasie druga część grupy zrywała sobie spokojnie czereśnie na jej drugim końcu. Po akcji następował sprawiedliwy podział łupów w całej grupie lub role się odwracały i część uprzednio zrywająca stawała się pozoracyjno-demonstracyjną grupką, zmuszającą strażnika do przebywania w innym miejscu.

Nie wiem dlaczego, ale przez długie lata po wojnie w Przytkowicach nie uprawiano truskawek. Przy jakiejś okazji dowiedzieliśmy się, że zaraz za lasem łączącym *Iły* z *Kiecką,* tuż za granicą z Paszkówką, jest plantacja truskawek. Dla większego bezpieczeństwa zebraliśmy się w dużą kilkunastoosobową grupę i poszliśmy na te truskawki. Jak pamiętam wszyscy byliśmy wtedy tylko w koszulach i krótkich spodenkach.

Najpierw wysłaliśmy czujki, sami kryjąc się w lesie. Po sprawdzeniu, że koło domu właściciela plantacji nikt się nie kręci, wpadliśmy na plantację oddaloną od lasu około 50–70 metrów. Jedliśmy na miejscu, ale większość zbiorów chowaliśmy za koszulę, z przodu na brzuchu. W pewnym momencie z domu wypadł gospodarz, złapał w rękę orczyk i spuścił psa. Zaczął pędzić w naszym kierunku. Daliśmy więc nogę. Dopadliśmy lasu, przebiegliśmy go i zatrzymaliśmy się dopiero po jego drugiej stronie w Dębach.

Po pewnym czasie zebraliśmy się wszyscy, popatrzyli na siebie i wybuchli niepohamowanym śmiechem. Okazało się bowiem, że w czasie tej ucieczki przez las wszystkie truskawki nam się pogniotły i puściły sok, a obraz każdego z nas był taki: czerwona koszula na brzuchu, jakby ktoś nas szlachtował, czerwone spodenki z przodu i gęsta czerwona maź ciągnąca się od brzucha, przez podbrzusze, a następnie po nogach do samych kostek. Rezultat tej eskapady był taki, że więcej najedliśmy się strachu niż truskawek, a przy tym mycia i prania było co niemiara.

Do ulubionych naszych zabaw należało buszowanie w laskach i na łąkach. Do lasu chodziło się nie tylko na grzyby lub jagody. Chodziło się także dla zabawy i na *cześnie,* to znaczy dzikie czereśnie, orzechy laskowe i inne. Do najprzyjemniejszych zabaw należało wchodzenie na młode leszczyny, brzozy lub inne młode i giętkie drzewa liściaste, przyginanie ich i huśtanie się. Frajda to była niesamowita, gdy stojąc wysoko na jednej gałęzi i trzymając się drugiej bujało i szybowało się w powietrzu. Przyjemność owa wynikała chyba z atawizmu odziedziczonego po dalekich przodkach. Zdarzały się przy tym różne zabawne historie, upadki, zranienia, ale bez większych skutków na przyszłość.

Latem stałym miejscem naszych zabaw był *chrust.* Zagajnik wiklinowy o wymiarach 40 na 40 metrów położony w *Padołach,* to jest w dolince zaczynającej się od Antosówki i ciągnącej w kierunku południowym między dwoma wzniesieniami *Górą* i *Dziołem. Padoły* te, na *Dole* przy drewnianej willi Madziarów, łączyły się z drugą dolinką rozpoczynającą się przy Dworze i ciągnącą się również w południowym kierunku. Tam też łączyły się ze sobą dwa strumienie, tworząc potok. W jego dolinie leżała ta część Przytkowic, którą zwano *Dołem.*

Potok łączył się po drodze także z innymi strumieniami i płynąc prawie przez pół wsi wpadał do Skawinki.

Chrust nadawał się wspaniale na kryjówkę dla Indian lub zbójców. Wokół był porośnięty pokrzywami, a w środku gęsto zarośnięty wikliną, którą wycinano raz na kilka lat. Przez środek tego chruśniaka płynął maleńki strumyk. Z wikliny robiliśmy obszerny i wygodny wigwam przyginając i wiążąc ją na końcach. Małymi gałązkami z liśćmi wyplatało się górę, aby nie przenikało do niego słońce, ani deszcz. Tam mogliśmy przebywać godzinami snując dziwne opowiadania i wymyślając różne zabawy. Czytaliśmy także ciekawe książki i gotowali zbójnickie jedzenie.

Do gotowania wyszukaliśmy duży żeliwny garnek, który służył nam za kociołek. Wieszaliśmy go za uszy do odpowiedniego stojaka, a pod nim paliliśmy ognisko. Służył nam do gotowania różnych zup, przeważnie jarzynowych oraz kurczaków w rosole.

W związku z tym, że w gospodarstwach chłopskich *chowano* od kilku do kilkudziesięciu kur i określoną ilość młodych kurczaków a gospodynie każdego dnia sprawdzały czy któregoś z nich nie brakuje, trudno było je podebrać. Chodziliśmy zatem do Dworu, gdzie były znacznie większe stada kur, kurczaków, indyków i od czasu do czasu udało nam się coś złapać, a ich brak szedł pewnie na karb lisich polowań. Kurczaki oskubane z pierza i wypatroszone gotowaliśmy w rosole. Przyznam uczciwie, że tak smacznego rosołu, jak z tych kradzionych kurczaków, nie jadłem już później, mimo że przeżyłem sporo lat. Indyki zaś „robiliśmy" inaczej. Nie obdzieraliśmy ich z piór, tylko patroszyliśmy, a następnie oblepialiśmy je gliną i piekliśmy w ognisku. Były wyśmienicie wypieczone i niezwykle smaczne, a pierze odchodziło pięknie od skóry wraz z wypaloną gliną. Kto choć raz w życiu nie jadł takich delicji, niech żałuje.

Proceder z kurczakami i indykami trwał jakiś czas, aż nas w *chruście* nakryto na ich gotowaniu. Wówczas przestaliśmy się tym zajmować, a dla zdrajcy Józka obmyśliliśmy okrutną zemstę. Gdy po tej wsypie pokazał się w *chruście*, rozebraliśmy go do naga, złapali za ręce i nogi oraz huśtaliśmy w pokrzywach, aby poparzyć mu całe ciało. Darł się przy tym w niebogłosy i zaklinał, że już więcej czegoś takiego nie zrobi. Po tym fakcie uciekł do domu, wykonując przy tym „taniec św. Wita".

Jesienią odbywały się wykopki i omłoty. Oba te przedsięwzięcia sprzyjały nie tylko pracy, ale i zabawie. Zaraz po wojnie młócono ręcznie cepami, a była to żmudna i mozolna praca, trwająca także w zimie. Pod koniec lat czterdziestych wprowadzono młockarnie napędzane traktorami za pomocą pasa transmisyjnego. Były to młockarnie wąsko i szerokomłotne. Te ostatnie stosowano rzadziej i tylko przy młóceniu żyta, z którego prostej i nie pomierzwionej słomy wyrabiano później snopki do pokrycia dachów.

Młócenie odbywało się w ten sposób, że młockarnia jeździła od stodoły do stodoły i kolejno młóciła zboże gospodarzom. W czynnościach tych pomagali

sobie wzajemnie wszyscy. Dla nas dzieciaków był to czas ciekawej i rzadkiej zabawy. Po wymłóceniu ziarna, pomiętą słomę wiązano w *ociepki* i rzucano na najbliższe trawniki lub ścierniska. Tworzyły tam duże i wysokie hałdy. Pomagaliśmy przy młócce w ten sposób, że odnosiliśmy te *ociepki* od młockarni i kładli dalej.

I tak zaczynała się zabawa. Robiliśmy z *ociepek* przeróżne rzeczy na przykład różnej wielkości i konfiguracji przykryte od góry tunele. Ponadto budowaliśmy większe pomieszczenia w postaci zamków i grot. Po ich wybudowaniu rozpoczynała się w nich zabawa w chowanego lub w inne gry, jak zdobywanie komnat i wojny w zdobywanie zamków warownych itp. Gdy za dużo szaleliśmy, wówczas wkraczali starsi, przepędzali nas na jakiś czas, po którym znów wracaliśmy i zabawa trwała na nowo. I powtarzało się to kilka razy dziennie.

Z młóceniem zboża za pomocą młockarni wiąże się ciekawa anegdota dotycząca mojej babki Kucharczykowej. Zgodnie z ustaloną wcześniej kolejnością przyjechała do niej młockarnia, aby wymłócić zboże. A że była samotna, spraszała do pomocy sąsiadów, w tym także dwie, prawie dorosłe córki Zięby – Janinę i Władysławę.

Przy tym bała się tej nowej techniki, bo nie bardzo się na niej znała. Gdy obsługujący młockarnię powiadomił ją, że maszyna jest gotowa do młocki, babka w nerwach, pędem pobiegła powiadomić wszystkich potrzebnych do pomocy. Biegła przy tym pod górę, zdyszana krzycząc:

– Rany boskie, rany boskie!

Wpadła zziajana do Ziębów i ledwo dysząc krzyczała:

– Rany boskie!! *Janciu!!! Władziu!!! bo rusają.*

Lecz słowo *rusać* miało dwa znaczenia. Ruszać w pojęciu zaczynać coś lub gwałcić, ewentualnie zabierać się do dziewczyny. Proszę wyobrazić sobie starą kobietę, która wpada do domu zdyszana i krzyczy, że ją gwałcą lub dobierają się do jej cnoty. Z tego zdarzenia zrodziło się później ni to powiedzenie, ni to przysłowie. Gdy trzeba było coś zrobić lub komuś pomóc, jednym ciągiem mówiono:

– *Janciu Władziu bo rusają.*

Zaś w czasie wykopków do największej frajdy należało pieczenie ziemniaków. Piekło się je na ziemi, wykorzystując do tego celu badyle, czyli zeschłe łodygi ziemniaków. Wówczas po upieczeniu ziemniaki miały wspaniały smak i jeszcze piękniejszy aromat. Piekło się ich z reguły bardzo dużo, bo i kopiących było kilku, a czasami nawet kilkunastu. Kopało się bowiem ręcznie za pomocą *kopacek* oraz zbierało do koszy, w których donosiło się je na wozy, a nimi zwoziło się już do piwnic lub do kopców. Najbardziej lubiłem pieczone ziemniaki średniej wielkości, dobrze przypieczone, a nawet ze spaloną skórką, mocno posolone i z masełkiem. Pychota.

Sport

Od najmłodszych lat grywaliśmy w piłkę nożną. Przez pierwszych kilka lat po wojnie były to własnoręcznie wykonywane szmacianki, o średnicy około dziesięciu centymetrów. Napełniało się je szmatami i obszywało wełnianą pończochą lub grubszym materiałem. Najgorzej grało się nimi po deszczu i na mokrej trawie. Nasiąkały wówczas wodą, traciły elastyczność i stawały się ciężkie i kluchowate.

Później graliśmy już porządniejszymi piłkami skórzanymi, szytymi ręcznie z wkładanymi dętkami z wentylem. Po napompowaniu powietrzem wentyl chowało się do środka i zawiązywało piłkę sznurowadłem ze skóry. Była to dość długa i żmudna operacja, ale za to jakże luksusowo grało się taką piłką w porównaniu ze szmacinką. Jednak ich mankamentem było to, że z biegiem czasu częściowo odkształcały się, stawały się jajowate i nieobliczalne w grze. Ponadto często trzeba było dopompowywać powietrze, bo dętki były rzadkie i uchodziło z nich powietrze.

Grywaliśmy najczęściej między stodołami we Dworze. Były one wybudowane na kształt dużej, niepełnej litery U, tworząc w środku plac o długości 50–60 metrów i szerokości około 30–40 metrów. Stodoły wybudowano przed wojną i jak na owe czasy były bardzo nowoczesne. Posiadały murowane słupy, które podtrzymywały dach kryty czerwonymi, palonymi dachówkami. Reszta była drewniana i składała się z grubych żerdzi, obitych deskami. Wiodło do nich wiele szerokich, dwuskrzydłowych, drewnianych drzwi.

Plac był w miarę równy i nadawał się wspaniale do gry w piłkę nożną, dlatego że piłka daleko nie uciekała, odbijając się z trzech stron od ścian stodół. Miał także i tę zaletę, że był to teren o tej wielkości, prawie równy i nie wykorzystywany rolniczo w promieniu co najmniej kilku kilometrów.

Plac wykorzystywany był także przez starszych młodzieńców do gry w piłkę siatkową, popularnie zwaną siatą. Grali naprawdę nieźle, a zbicia i piękne podania były częstymi elementami ich gry. My zatem grywaliśmy tylko wówczas, gdy plac nie był zajęty do gry w siatkę. Grano zaś w nią w zasadzie w każdą niedzielę i inne święta oraz niekiedy w soboty po południu.

Z tym miejscem wiąże się także inny, interesujący ciąg zdarzeń. Pewnego razu, w trakcie naszej gry, wszedł na boisko osiemnastoletni, trochę „na gazie" Gienek Gabryła. Odebrał nam piłkę i sam zaczął się nią bawić. Nie wytrzymałem, podszedłem do niego i niespodziewanie przyłożyłem mu pięścią w podbródek. Okręcił się o 270° i upadł. Zabrałem naszą piłkę i nie czekając aż wstanie daliśmy drapaka.

Po jakimś czasie idę sobie w upalne i suche lato drogą przez Dział. Droga pełna kurzu, aż po kostki u nóg. Patrzę, a z naprzeciwka nadchodzi Gienek. Pomyślałem: to mnie dopadł. I rzeczywiście, zbliża się i mówi:

– Teraz to ja się z tobą rozprawię. Dostaniesz po mordzie, jak się patrzy.

Jednak w ostatniej chwili dostałem olśnienia, że ratunek jest możliwy. Błyskawicznie pochyliłem się, wziąłem w dłonie kurzu i pełnymi garściami sypną-

łem mu w oczy. Efekt był piorunujący. Oślepł natychmiast i zaczął przecierać oczy. Podłożyłem mu szybko nogę, przewróciłem w ten kurz i zdrowo dołożyłem. Po kilku miesiącach jednak mnie dopadł i sprawił lanie, włącznie ze złamaniem nosa. I tak nasze sprawy zostały wyrównane.

W następnej fazie grywaliśmy w piłkę nożną prawie na prawdziwym boisku. Powstało ono na *Roli*, blisko granicy z *Grabiem*, na kawałku ziemi wydzierżawionej od chłopa. Było jednak trochę mniejsze od normalnego, lekko pochyłe i wybrzuszone w środku, ale za to z prawdziwej wielkości bramkami i oznaczeniami. Wybrzuszenie było spore i powodowało, że bramkarze widzieli się tylko od kolan wzwyż. Grywaliśmy tu przeważnie ze starszymi od siebie. Ja w tym czasie grałem na bramce, to znaczy jako bramkarz. Pamiętam do dziś, jak chwalono mnie za doskonały refleks i piękne parady bramkarskie. Byłem skuteczny, mimo mojego niskiego wzrostu w tym okresie. Płaciłem jednak za to potłuczeniami, siniakami i bólem.

Kolejnym sportem jaki uprawialiśmy była lekkoatletyka, a szczególnie takie jej konkurencje, jak skok wzwyż i rzut oszczepem. Skok wzwyż był dyscypliną ciekawą i łatwą do uprawiania. Można ją było organizować byle gdzie w terenie. Wystarczyły tylko trzy kije. Dwa rozwidlone na końcu lub z powbijanymi gwoździami, jako słupki, i jeden jako poprzeczka. Skakaliśmy dużo i stale organizowaliśmy zawody. Skakaliśmy w zasadzie stylem nożycowym na wysokość 120–130 centymetrów.

Rzut oszczepem trenowaliśmy rzadziej. W tym celu trzeba było pójść do lasu, znaleźć odpowiednie młode i proste drzewka, ściąć je i wystrugać sobie oszczep. Aby mieć równe szanse w zawodach, rzucaliśmy wszyscy tym samym oszczepem. Jeśli się złamał lub powyginał zawody (zabawę) rozpoczynaliśmy od nowa, ale już innym oszczepem.

Z naszymi sportowymi zainteresowaniami wiąże się pierwsze słuchanie radia. W roku 1953 organizowane były w Warszawie mistrzostwa Europy w boksie i szeroko transmitowane przez Polskie Radio. Ktoś ze starszych kolegów, chyba *Lusiek*, przywiózł skądś maleńkie radio kryształkowe. Z dzisiejszego punktu widzenia to coś trudno nazwać radiem, ponieważ były to tylko słuchawki, cienki długi drut stanowiący antenę i mała płytka, do której umocowany był kryształek. Służył on do detekcji, czyli zamiany zaindukowanego w antenie prądu wysokiej częstotliwości na prąd o częstotliwości akustycznej, który płynął do słuchawek, a tu zamieniany był za pomocą elektromagnesów i membrany na dźwięki.

Transmisji z walk słuchaliśmy z zapartym tchem. Najpierw każdy z nas po kolei trzymał słuchawki na uszach. Słuchał i opowiadał innym co się dzieje na ringu. Potem zaczęliśmy eksperymentować i odkryliśmy, że jak słuchawki położy się na misce lub talerzu to jest na tyle głośno, że mogą słyszeć wszyscy, którzy zbliżą swoje głowy do talerza. Od tego czasu, do końca mistrzostw, można było obserwować, jak w ogrodzie leży koliście kilku chłopców głowami skierowanymi do środka, między ich głowami znajduje się talerz lub miska,

a na nim jakieś małe pudełeczko. Zaś od czasu do czasu dawały się słyszeć głośne krzyki i wrzaski i widać było, jak to młode bractwo zrywa się na równe nogi, podskakuje i tańczy z radości.

Tak było za każdym razem gdy Polak wygrywał walkę i jak Polacy zdobywali mistrzowskie i wicemistrzowskie tytuły i medale. A było tego sporo, bo wówczas Polacy zdobyli pięć tytułów mistrzów Europy, dwa wicemistrzów i jedno trzecie miejsce. Sukces polskiego boksu i trenera papy Sztama był wspaniały, a nasza radość przeogromna.

Na starszego ode mnie o kilka lat syna sąsiada wołaliśmy *Lusiek*. Faktycznie nazywał się Juliusz Cichoń. Ojciec osierocił go wcześnie, umierając na gruźlicę. Dlatego też matka dbała o niego bardzo, karmiąc go należycie, a nawet znacznie przekarmiając. Był grzecznym, oczytanym i mądrym pucołowatym blondynem. Po zakończeniu szkoły podstawowej wysłano go do szkoły elektrycznej w Brzeszczach na Śląsku. Po jej ukończeniu podjął pracę w Skawinie w Zakładach Materiałów Ogniotrwałych, gdzie pracował do emerytury.

Zimową porą, gdy spadł śnieg, jeździliśmy na sankach i na łyżwach. Sanki były robione z reguły przez rodziców lub sąsiadów, a łyżwy robiliśmy sami. Na sankach zjeżdżało się najczęściej z północnego stoku w kierunku Paszkówki. Jeździliśmy drogą do Kąta lub na polach koło Snozy, w kierunku na Dęby. Jeżdżąc przez pola uprawne mieliśmy dodatkowe atrakcje w postaci uskoków, ponieważ grunty na stoku schodziły pochyłymi tarasami w kierunku północnym. Były więc jak małe skocznie narciarskie i tak też je traktowaliśmy, zjeżdżając na sankach. Ileż to razy w trakcie lotu w powietrzu uciekały nam sanki spod siedzenia i tyłkami waliliśmy o ubity śnieg, albo o wystającą z pod śniegu *kretowinę*.

W związku z tym, że w naszej okolicy wody było jak na lekarstwo to na łyżwach jeździliśmy po ubitym śniegu, a więc po gościńcu oraz chodnikach wydeptanych przez ludzi. W tym celu własnoręcznie robiliśmy łyżwy. Były drewniane, robione przeważnie z desek i zaokrąglone z przodu. Podbijało się je paskami blachy, aby był lepszy poślizg oraz mocowało do każdej po dwie poprzeczne deseczki, na których kładło się buty. Do deseczek przybijało się paski skórzane, którymi opinało się buty i w ten sposób mocowało łyżwy. Oczywiście tak prymitywne upięcia psuły się często, ale w tych warunkach jeździło się na nich doskonale.

Próbowaliśmy także jeździć na nartach. Mieliśmy jednak z tym duże trudności, ponieważ w okolicy nart było niewiele i do tego bardzo długich, a więc nieodpowiednich do naszego wzrostu. Były to narty gięte i robione ręcznie, przeważnie z desek jesionowych, a ich mocowanie do butów odbywało się za pomocą pasków skórzanych.

Raz odkryłem nowy sposób jazdy po śniegu. Mama pożyczyła mieszkającej w Kącie babce Kucharczykowej tace metalowe, niklowane, przywiezione przez ojca jeszcze z Gdańska. Były jej potrzebne, ponieważ organizowała przyjęcie księdza z okazji kolędy. Po zakończonej kolędzie miałem je przynieść do do-

mu. Wziąłem je więc od babki i idąc pod górę wpadłem na pomysł, aby wykorzystać tace do zjeżdżania. No i zaczęło się. A że miałem ich kilka, zwołałem przyjaciół i zorganizowaliśmy świetną zabawę sportową. Siadaliśmy na tackach i wspaniale zjeżdżaliśmy w dół do *Kąta*. Po zabawie zebrałem tace. Ogólnie były w niezłym stanie, tylko ich spody były bardzo porysowane i pozbawione warstwy ochronnej. Po przyjściu do domu dostałem porządnie ścierą od mamy, lecz tac naprawić już się nie dało i zaczęły rdzewieć.

Fascynacje

W dzieciństwie fascynowały mnie: filatelistyka, czytanie książek, egzotyczne kraje i marynarka wojenna.

Ze znaczkami pocztowymi i ich zbieraniem zetknąłem się po raz pierwszy wówczas, gdy ojciec przywiózł z podróży na północ klasery z niemieckimi znaczkami. Spodobały mi się bardzo i obudziły moje zainteresowanie zbieractwem. Przeglądałem je często, przekładałem i układałem od nowa oraz podziwiałem nie tylko tematykę, ale także technikę ich wykonania. Jednocześnie miałem blisko mnie mieszkających, trochę starszych kolegów, którzy także byli zapalonymi filatelistami. Należał do nich przede wszystkim Staszek i Mietek Marchewka oraz Lusiek Cichoń.

Najpierw zbieraliśmy wszystkie znaczki pocztowe, polskie i zagraniczne. Potem powoli specjalizowaliśmy się. Ja zbierałem znaczki zagraniczne, ponieważ interesował mnie i fascynował odległy i egzotyczny świat. Zaś Lusiek zbierał tylko znaczki polskie. Oprócz naszej trójki znaczki zbierali także inni koledzy, więc ich wymiana i uzupełnianie serii należało do najprzyjemniejszych czynności. W ten sposób pozbyłem się powoli prawie wszystkich znaczków niemieckich, a miałem pełne klasery znaczków z Afryki, Azji i Ameryki Południowej. Wszystkie niezwykle piękne, egzotyczne i wspaniałe. Mogłem je oglądać, wpatrywać się w nie bez końca i marzyć o dalekich krajach i egzotycznych podróżach.

Zbierałem także znaczki egzotycznych krajów europejskich, szczególnie tych, których nie było już na mapie po 1945 roku. Należały do nich znaczki litewskie, estońskie, łotewskie, a także takich państw bałkańskich, jak: Serbia, Bośnia i Hercegowina, Czarnogóra, Chorwacja, ponadto krajów kaukaskich Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu oraz Generalnej Guberni, Słowacji i innych.

Czytanie, szczególnie książek, było moją największą pasją. Zaczęło się co prawda trochę późno, ale gdy już się nim zainteresowałem wybuchło ze zdwojoną siłą. Z opowiadań rodziców wynikało, że do czytania nie garnąłem się zbyt wcześnie. Podobno dopiero podsunięcie mi powieści Henryka Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy" przełamało moją niechęć do książek i zapoczątkowało długotrwały okres czytania wszystkiego, co dostało się w moje ręce.

Pamiętam, że chodziłem ciągle do sąsiada Cichonia, ponieważ tam były grube zszywki przedwojennego czasopisma „Rola" wydawanego dla rolników, w którym sporo artykułów pisane było przez samych mieszkańców wsi. Tam też stałą rubrykę miał *Jantek z Bugaja*. Chłop mieszkający na pograniczu Przytkowic i Paszkówki, zaraz za lasem Iły. Rubryka ta nosiła tytuł „ Maciek Bzdura i Kaśka Myrdalonka". Były to artykuły pełne żartów z chłopskich przywar, dowcipne, a przy tym niezwykle krytyczne. Czytałem je z dużą przyjemnością.

W 1905 roku *Jantek z Bugaja* wydał pierwszy zbiór poezji „Blade kwiaty z wiejskiej chaty", a w następnych latach dalsze: „Wiersze, piosnki z naszej wioski", „Z łąk i pól", „Wiejskich piosenek czar na grunwaldzki dar" i kilka innych. Redagował także „Cepy", humorystyczny dodatek do „Pszczółki", a następnie o podobnym charakterze pismo „Figlarz". Był także redaktorem wydawanego w Naprawie miesięcznika „Wieś – Jej pieśń". Uprawiał poezję ludową, wojskową, religijną, gwarową, satyrę, lirykę, formy gawędziarskie, bajkowe, rodzajowe. Pisywał także felietony, ballady i utwory sceniczne.

Zmarł w czasie okupacji i pochowany został na cmentarzu w Pobiedrze. Na kilka dni przed śmiercią Antoni Kucharczyk czyli *Jantek z Bugaja*, sławny przedwojenny poeta ludowy napisał:

Chodząc naszym cmentarzykiem
Upatrzyłem sobie brzozę
Pod jej cieniem i krzyżykiem
Na sen wieczny się położę

Spoczął pod tą upatrzoną brzozą, która rosła nad jego grobem aż do 1998 roku, kiedy na skutek starości musiano ją ściąć. Na tablicy nagrobnej między innymi napisano: Tu spoczywa śp. Nestor Poetów Ludowych (Antoni Kucharczyk) *Jantek z Bugaja* ... Doceniając znaczenie *Jantka z Bugaja* dla tego regionu nadano szkole w Paszkówce jego imię.

W 2002 roku jadąc z siostrą z Krakowa przez Skawinę i Paszkówkę zatrzymałem się na szosie przy północnym skraju Iłów, aby jeszcze raz odwiedzić dom *Jantka z Bugaja* i popatrzeć w jakim stanie się znajduje. No cóż! Dom ze stodółką jeszcze stał, chociaż trochę już się różnił od tego powojennego. Od tyłu dobudowano do niego część murowaną. Niestety był już niezamieszkały. Pozostał jednak dalej urok tego przepięknego miejsca oraz bujność traw i otaczającej przyrody, a przy tym stał się chyba jeszcze bardziej tajemniczy i niedostępny, niż wiele lat temu.

Okres powojenny był bardzo przyjazny czytelnictwu. Wydawano bardzo dużo książek beletrystycznych i to dosłownie za parę groszy. Były to książki różne i o różnej wartości. Przeważnie jednak w cienkiej oprawie i na byle jakim papierze. Oprócz klasyki polskiej, radzieckiej, rosyjskiej i światowej wychodziło bardzo dużo tak zwanych produkcyjniaków. Te czytałem rzadko, chociaż niektóre były niezłe. Ciekawe były także książki radzieckie o rewolucji, wojnie domowej, a szczególnie o tematyce wojennej.

Skarbnicą bez dna była dla nas biblioteka wiejska, otwarta we Dworze. Powstała ona na bazie dawnej biblioteki mecenasa Ocetkiewicza i mieściła się w modrzewiowym dworku. Był to wspaniały, olbrzymi przedwojenny księgozbiór, posiadający nie tylko klasykę polską i światową, lecz także komplety książek Karola Maya, a więc o tematyce arabskiej i indiańskiej, Conan Doyla o Sherlocku Holmesie, Maurycego Leblanca „Przygody Arsena Lupina", książki J.F. Coopera, Dołęgi-Mostowicza, Rodziewiczówny, książki o tematyce historycznej, podróżniczej i przygodowej, no i mógłbym tak wymieniać i wymieniać. Było bardzo wiele książek, które dzięki tej bibliotece przeczytałem i których nie przeczytałbym nigdy, bo nie były wydawane przez całe powojenne dziesięciolecia.

Dla ciekawości mogę nadmienić, iż trylogia Sienkiewicza była wydawana od końca, podobnie jak kręcone kilkadziesiąt lat później na jej podstawie filmy. Najpierw ukazał się „Pan Wołodyjowski", po kilku dobrych latach „Potop", a po kilkunastu „Ogniem i mieczem".

Na początku lat pięćdziesiątych rozpoczęła się tak zwana walka ze szmirą. Na tej podstawie dokonano selekcji książek w bibliotece i większość wydanych przed wojną, a szczególnie kryminalnych, przygodowych, podróżniczych i obyczajowych uznano za ideowo i politycznie szkodliwe dlatego usunięto je z biblioteki, przeznaczając na makulaturę. Wyrzucono je w miejsce składowania makulatury, gdzie czekały na wywiezienie i przerób. Na to tylko czekaliśmy. Zbieraliśmy po domach różne nowe „produkcyjniaki" i wymienialiśmy je na zasadzie, kilogram za kilogram, aby waga się zgadzała. W ten sposób, ja i wielu moich kolegów, staliśmy się właścicielami pięknie oprawionych, wartościowych i niezwykle ciekawych książek.

Książki te, jak również przedwojenne gazety, miały w sobie coś tajemniczego. Po pierwsze zapach. Jakże ciekawy i specyficzny oraz różny od zapachu książek wydawanych po wojnie. Wiązało się to chyba z innym rodzajem farby drukarskiej, a także długim ich przechowywaniem w pomieszczeniach zamkniętych. Po drugie – szatę graficzną, szczególnie gazety, oraz staranną i estetyczną oprawę książek. Oprawione bowiem były w grube okładki pokryte płótnem lub kolorowym, zazwyczaj marmurkowym papierem, a grzbiet książek i narożniki zabezpieczono grubymi, przeważnie lnianymi lub bawełnianymi materiałami. Brzegi książek pomalowane były na kolorowo, w pastelowych odcieniach lub zachowana była ich naturalna żółć i beż, wynikające ze starości. Tworzyło to olbrzymi kontrast z tym, co było wydawane w owym czasie, a jednocześnie miało w sobie coś z konspiracji i posiadania czegoś niedozwolonego lub raczej oficjalnie nieakceptowanego.

Niestety książkami tymi nie nacieszyłem się zbyt długo, bo sporo było chętnych do ich pożyczania, a znacznie mniej do oddawania. Mimo tego, pod koniec lat pięćdziesiątych, mój księgozbiór liczył około dwóch tysięcy tomów, z tego większość wartościowych i bardzo ciekawych. Na naszym przykładzie można więc powiedzieć, że spełniło się marzenie wieszcza Adama i rzeczywiście książki masowo trafiły pod strzechy.

Czytanie książek zastępowało mi także uczenie się. Były dziedziny i przedmioty, z których wiedziałem znacznie więcej niż nauczyciele. Nie wyszło mi to później na dobre, szczególnie w ogólniaku. Doszło nawet do tego, że jeśli czegoś, co później było lekturą, nie przeczytałem wcześniej to później już przekornie nie mogłem się do tego zmusić.

Jedną z moich wielkich pasji w okresie szkoły podstawowej były sprawy morskie i marynarka wojenna, szczególnie polska. Prenumerowałem miesięcznik „Morze" i czytałem wszystko co dotyczyło mórz i oceanów, podróży morskich, egzotycznych krajów oraz marynarki wojennej, bitew morskich, okrętów, ich wyposażenia itp.

Wielką dla mnie frajdą był wyjazd z ojcem nad morze. Pojechaliśmy do Pieprzyków, którzy mieszkali w Gdańsku Wrzeszczu przy ul. Dzierżyńskiego 46/48. Stamtąd jeździliśmy tramwajem na plażę do Brzeźna. Była wówczas prawie pusta i niezwykle czysta. Na plaży leżało jeszcze sporo wraków statków, które stanowiły wspaniałe miejsce do zabawy. Można było wchodzić do nich do środka, kryć się i zamykać przeróżne klapy i włazy. Bawiłem się wspólnie z krewniakiem Pieprzyków, moim rówieśnikiem Fredkiem.

W porównaniu z dniem dzisiejszym woda była „przeraźliwie" czysta. Pływały w niej tylko niewielkie rybki i przepiękne galaretowate, podobne do delikatnych kwiatów, meduzy oraz brązowo-zielone morszczyny. Zbieraliśmy małe muszle i niewielkie kawałki bursztynów. Zwiedzaliśmy także Gdańsk i porty, które w tym czasie były jaszcze bardzo zniszczone, a z wody basenów portowych wystawały części zatopionych w nich statków i okrętów.

Praca

W dzieciństwie nie miałem zbyt wiele pracy, jeśli była to raczej dorywcza. Jak już wcześniej wspominałem, bardzo wcześnie mieliłem ręcznie zboże na żarnach. Pomagałem także młócić zboże cepami. Ponadto wykonywałem szereg innych czynności, na przykład zrywanie owoców, zbieranie kwiatów lipy i różnych ziół, ręczne podbieranie młodych ziemniaków.

Okresowo wiosną, latem i jesienią zbieraliśmy różne zioła. Były to przeważnie kwiaty i owoce czarnego bzu, kora młodej wierzby, kwiat lipy, korzenie mniszka lekarskiego zwanego u nas *majem* lub *mleczem*, bratki polne, liście podbiału i kopytnika, kwiat rumianku, liście babki i kilka jeszcze innych ziół. Przeważnie suszyliśmy je i w takim stanie odstawialiśmy do punktu skupu. Było z tego trochę grosza. Część z zarobionej kwoty oddawałem mamie, a część zostawiałem dla siebie. Nie były to jednak duże pieniądze, ale na cukierki od czasu do czasu starczało.

Do czynności raczej stałych zaliczało się noszenie wody i pasanie krów. Noszenie wody było problemem codziennym, bo woda potrzebna była do mycia, picia, prania i gotowania oraz pojenia krów. Własnej studni nie mieli-

śmy, więc chodziłem stale po wodę do sąsiadów. Ale z wodą bywało różnie. Przeważnie w lecie, a niekiedy i w zimie brakowało jej w studniach. Wiązało się to z piaszczysto-kamiennym podłożom w rejonie *Góry*. Wody więc w studniach nigdy nie było za dużo, a i studni tylko kilka na kilkanaście domów.

Najlepsza studnia była u Anielki Michałuszek. Tam też najczęściej chodziłem po wodę. Nosiłem naraz po dwa niepełne wiaderka na nosidłach, pokonując każdorazowo odległość około 60–70 metrów. Wszystkie te studnie były studniami kopanymi, obłożonymi kręgami betonowymi lub deskami i z reguły głębokimi na kilkanaście metrów. Wodę z nich wyciągało się w zawieszonych na łańcuchach wiadrach za pomocą kołowrotu.

Najgorzej było podczas suchej zimy. U żadnego gospoda nie było wówczas wystarczającej ilości wody. Trzeba więc było chodzić po wodę do *Padołów*, na odległość około 250 metrów. Po wodę szło się jako tako, bo z górki. Gorzej było z powrotem, pod obciążeniem i pod górę, a jeszcze gorzej przy głębokim śniegu. Wówczas wiaderka trzeba było nieść na podkurczonych rękach, aby nie zaczepiały o śnieg i nie wylewała się z nich woda. Była to istna katorga.

Krowy pasało się dwa razy dziennie. Rano pasła mama, a po południu ja. Polegało to na tym, że jak przyszedłem ze szkoły, zjadałem obiad, przynosiłem wody, a słońce trochę się obniżyło, wyprowadzałem ze stajni, jedną lub dwie krowy – bo tyle z reguły mieliśmy i prowadziłem starą drogą w kierunku gościńca. Pasałem krowy wraz z kuzynką Janką Frydkową, na poboczach po obu stronach gościńca, wzdłuż polnej drogi na *Dziół* oraz na szerokich polnych miedzach, stanowiących drogi dojazdowe do pól. Pasanie było uciążliwe, bo krowy trzeba było stale trzymać na powrozach i łańcuchach, gdyż tereny przydrożne i miedze były wąskie. Trzeba więc było prowadzić krowy, tak aby jadły tylko trawę, a nie wchodziły w szkodę i nie skubały sąsiedniego zboża, koniczyny, ziemniaków, buraków itp.

Mimo tych uciążliwości, pasanie krów było czasem zabaw, ciekawych opowiadań oraz czytania książek. Były także i inne ciekawostki, jak hodowanie miododajnych trzmieli, walka z osami i szerszeniami, zbieranie dziko rosnącego kminku oraz poznawanie roślin, ziół i kwiatów.

W jednej z rosochatych wierzb zagnieździły się szerszenie, które stanowiły zagrożenie dla wszystkich przechodzących tamtędy i tam pracujących ludzi. Postanowiliśmy z kolegami przepędzić je, bo zagrażały nam i krowom. A że wierzba była dosyć wysoka kolega wziął mnie na ramiona, czyli po naszemu *podsadził*. Włożyłem wiązkę słomy w duży otwór, w którym gnieździły się szerszenie i podpaliłem ją zapałkami. No i zaczęło się. Szerszenie poczęły latać jak oszalałe. Jeszcze nie zdążyłem zeskoczyć na ziemię, gdy już jeden użądlił mnie w czoło, a następne dwa w kark, w momencie gdy chowałem się w wysokiej naci ziemniaczanej. W zasadzie oprócz silnego bólu nic wielkiego mi się nie stało. Kark miałem tak spuchnięty, że zrobiło się z niego karczycho jak u byczka. Zaś połowa twarzy zapuchnięta w ten sposób, że nie widziałem nic na jedno oko i wyglądałem jak pół Golema.

Życie rodzinne i towarzyskie

Życie w domu *Kaźmiyrza* toczyło się w zasadzie w jednej izbie. Była to duża izba z bielonymi ścianami i drewnianym sufitem, posiadająca drewnianą podłogę i murowany piec. Po wejściu do niej z sieni, po lewej stronie stała ładna dwudrzwiowa szafa. Na ścianie południowej były dwa nieduże okna, każde z sześcioma małymi szybkami. Między oknami stał stół z krzesłami. Spełniał on różnorakie cele. Służył do jedzenia, czytania i pisania, prasowania i wielu innych czynności. Na ścianie zachodniej, pośrodku były drzwi do stajni, a po ich obu stronach stały dwa łóżka, jedno duże drewniane, na którym spałem z ojcem i drugie metalowe, na którym spała mama z siostrą. Przy północnej ścianie stał duży biały kredens, a w rogu duży piec kuchenny, który służył do ogrzewania izby, gotowania i pieczenia chleba w *brytwannach* i ciast.

Mama zajmowała się domem, wychowaniem dzieci, uprawą ziemi i hodowlą krowy, czasami dwóch, świni i kur lub innego ptactwa domowego. Tata jeździł do pracy w Skawinie. Wychodził z domu między czwartą a piątą rano, szedł pieszo chodnikami i polnymi drogami około trzech kilometrów do przystanku kolejowego i stamtąd jeździł pociągiem do pracy. Po pracy wracał do domu około godziny piątej po południu. Po zjedzeniu obiadu lubił spokojnie usiąść, wyciągnąć nuty, wziąć skrzypce i na nich pograć. Grał bardzo dobrze, tak z nut, jak i z pamięci. Przeważnie utwory Strausów, Lehara, Moniuszki i innych polskich kompozytorów, a także podkarpackie i podkrakowskie melodie ludowe. Do pomocy mamie w gospodarstwie nie bardzo się kwapił, chociaż nie odmawiał. Bywało jednak i tak, iż oczekiwanie mamy, aż tata zrobi to, o co go prosi było tak długie, że mama musiała zrobić to sama.

Ojciec oprócz pracy w Skawinie grał także w zespole muzycznym. Grał bardzo często na weselach, zabawach i innych uroczystościach. Ta gra była źródłem dodatkowego i to dobrego zarobku. Imprezy z udziałem ojca odbywały się z reguły w soboty i niedziele. Trwały najczęściej w dzień i w nocy. Po tym ojciec szedł przeważnie bezpośrednio do pracy, następnie zaś przez wieczór lub dwa odsypiał nieprzespane noce.

Jak prawie wszędzie na świecie mężczyźni i chłopcy muszą się strzyc. Rolę pana od strzyżenia męskich i chłopięcych głów w okolicy pełnił ojciec. Był więc fryzjerem amatorem w spełnianiu tej sąsiedzkiej przysługi. W wolnych chwilach, szczególnie wieczorem, a przeważnie w sobotę i niedzielę przychodzili zainteresowani tą usługą i w domu lub latem na podwórku odbywało się strzyżenie. Ojciec strzygł także i mnie. Jego maszynka do strzyżenia i nożyczki były często nienaostrzone, zamiast ciąć wyrywały niektóre włosy. Bolało mocno, więc buntowałem się i nie chciałem z dobrej woli poddać się temu zabiegowi. Zawsze mnie łapano i trzymano podczas strzyżenia

Z myciem było już inaczej, chociaż też ciężko. W związku z problemami z wodą, która była cennym produktem, rano myło się zawsze ręce i twarz, a wieczorem także i nogi w emaliowanej miednicy. Co tydzień było mycie gło-

wy i w dzieciństwie całego ciała, a później częściami, najpierw część od pasa w górę, a następnie od pasa w dół, w odpowiednio dużej drewnianej balii. Z przyjemnością tych czynności nie robiłem, ale na ich straży stała mama i na żadną fuszerkę nie można było sobie pozwolić.

Ze względu na długie włosy i twardą wodę, najgorzej z myciem miała mama. Myła więc włosy bardzo długo mydłem, ponieważ mydło ścinało się w wapiennej wodzie, tworząc coś w rodzaju kłaczków. Następnie zmieniała wodę, dolewała do niej octu w celu jej zmiękczenia, a następnie starannie, kilkakrotnie spłukiwała włosy. Gdy padały deszcze, a zimą leżał śnieg wykorzystywało się deszczówkę i stopiony śnieg do mycia głów i prania bielizny. W związku z tym latem w tej okolicy, przed deszczem i w czasie deszczu, można było obserwować wiele naczyń podstawionych pod okapy strzech, do których ściekała deszczówka.

Dzień powszedni składał się przeważnie z tych samych czynności, tj. zajęć w szkole, obiadu, poobiedniej zabawy z kolegami, po czym brało się krowy na postronki lub łańcuchy i pasło się je prawie do wieczora. Potem wspólna rodzinna kolacja, różne rozmowy i omawianie przez rodziców problemów, które ich gnębiły. Bytowanie wieczorem, szczególnie w porze jesiennej i zimowej, nie trwało długo. Rozpoczynało się wcześnie i trwało około dwóch, trzech godzin przy lampie naftowej. Około ósmej, dziewiątej wieczorem dzieci kładły się spać. Mama pracowała jeszcze około godziny lub dwóch, przeważnie szyjąc ręcznie, prasując i układając bieliznę.

Niedziela była trochę inna. Wcześnie rano wyganiało się krowy i pasło najdłużej do dziewiątej. Jeśli ja pasłem, mama chodziła do kościoła na mszę poranną, natomiast ja na sumę (mszę główną). Z biegiem lat mama coraz rzadziej chodziła do kościoła i z reguły w niedzielę rano pasła krowy, później przygotowywała prawdziwy świąteczny obiad, nierzadko z mięsem i ciastem na deser. Tata w niedzielnych uroczystościach religijnych nigdy nie brał udziału, czyli do kościoła nie chodził, chyba że dyrygował orkiestrą, która brała udział w ważniejszych świętach kościelnych i grała w kościele lub w czasie procesji.

Mama zawsze dobrze gotowała, ale w latach 1947–1949 nastąpił zasadniczy przełom jakościowy w tej dziedzinie. A to za sprawą Ligi Kobiet, czy też Koła Gospodyń Wiejskich, które zorganizowały kursy gotowania, pieczenia, szycia i innych umiejętności. Brały w nich udział prawie wszystkie młode i starsze kobiety. Po tych kursach zaczęły dużo smaczniej gotować i piec przeróżne, niekiedy bardzo wykwintne i niezwykle smaczne, dania i ciasta.

Poprzednio jadało się tylko ciasto drożdżowe z posypką oraz drożdżowe z serem. A w drożdżowych z serem było sera tyle, co kot napłakał. I gdzie by się nie poszło, to smak tych ciast był taki sam. Podejrzewam, że od dziesiątków lat.

W tamtych czasach, prawie nie było w sprzedaży gotowej bielizny oraz odzieży damskiej. Więc w kursach kroju i szycia brały udział prawie wszystkie kobiety ze wsi. Potem nastąpił etap kupowania maszyn do szycia. U nas też była ładna maszyna marki Singer. W związku z tym, że materiałów nie brako-

wało, kobiety szyły dla siebie i rodziny prawie wszystko, no może za wyjątkiem płaszczy, kurtek i męskich ubrań.

W niedzielę po obiedzie był czas sąsiedzkich wizyt i dziecięcych zabaw. Gdy byłem mały chodziłem zawsze z mamą do sąsiadów i bliskich, a później wolałem bawić się z kolegami. Był to najpiękniejszy czas w tygodniu, a jeśli jeszcze dopisała pogoda to radość i przyjemność była podwójna. Wówczas grywaliśmy w przeróżne gry i urządzaliśmy ciekawe zabawy lub włóczyliśmy się po okolicznych lasach i łąkach. Był to także czas robienia psikusów i żartów. Niestety w niedzielę zostawaliśmy przeważnie z mamą sami, ponieważ tata grywał często na weselach, zabawach i nie było go w tym czasie w domu.

A więc codzienne życie rodzinne dla małego chłopca nie było ciekawe i zbyt interesujące. Za to w ciągu roku były dwa bardzo ważne święta – Boże Narodzenie i Wielkanoc, a ponadto szereg ciekawych imprez, takich jak: wesela, odpusty, zapusty, śmigus-dyngus, majówki, kolędy, skubanki.

Codziennie jadało się posiłki jarskie. Ziemniaki z kwaśnym mlekiem, kasze jęczmienne ze skwarkami, zupy różnego rodzaju, ale bez mięsa, placki ziemniaczane, makarony i wszelkie kluski. Niedziela była już tym dniem, w którym jadało się mięso. Przeważnie był to rosół z koguta lub starej kury, która przestała nieść jajka z kawałkiem mięsa. Od czasu do czasu trafił się także królik lub kawałek mięsa kupiony w Skawinie.

Najczęściej przed każdym wielkim świętem bito świnię *chowaną* (hodowaną) na tę okazję. Odbywało się to tak, że zamawiało się masarza, który miał sprawdzoną opinię dobrego i czystego w robocie fachowca. Na umówiony dzień przychodził na miejsce i załatwiał sprawę od początku do końca, to znaczy od zabicia do zrobienia podrobów, szynek i kiełbas. Do dziś pamiętam ten smak wspaniałych *kiszek* (kaszanek), salcesonów, pasztetowych, podgardlanek, szynek i kiełbas. Uwielbiałem przyjemnie pachnące świeżością i pieprzem oraz nadzwyczaj smaczne *kiszki*, salcesony jak marzenie i świeże kiełbasy.

Nieraz brałem udział w wędzeniu kiełbas, w wędzarni we Dworze. Najsmaczniejsze były kiełbasy, które próbowało się pod koniec wędzenia. Gorące, mięciutkie i jak się je nacisnęło to w środku pięknie chlupały sokiem. Tak pachniały i były tak smaczne, że można było je jeść kilogramami. Kto nie jadł takich, jeszcze gorących i przy naciskaniu pięknie chlupiących kiełbas, ten niech żałuje, bo stracił w życiu coś niepowtarzalnego. W stosunku do nich, niech się schowają wszystkie wędliny świata i potrawy z najwykwintniejszych restauracji.

W związku ze świniobiciem był bardzo ładny, a zarazem praktyczny zwyczaj dzielenia się *kiszką* z sąsiadami. Dodawano jeszcze do niej po kawałku słoniny, kiełbasy czy pasztetowej. W ten sposób produkty łatwo psujące się spożywali wszyscy jako świeże, a później sąsiedzi też się odwzajemniali.

Wesela były interesujące z tego powodu, że idąc z rodzicami można było tam dobrze się najeść, ale przy tym takich rzeczy, których nie jadło się w domu, nawet od święta. Ponadto można było posłuchać muzyki i popatrzeć jak bawią

się starsi. Do najciekawszych zdarzeń weselnych zaliczały się bramy, korowody ślubne i *cepiny*.

Bramy były to przeszkody ustawiane na drodze prowadzącej od domu pana młodego do domu panny młodej. W dzień wesela z rodzinnego domu na pięknie przystrojonych furmankach lub na saniach ciągnionych przez konie wyjeżdżał pan młody z drużbami. Tradycyjnie na drodze prowadzącej do domu panny młodej ustawiano bramy. Były to drągi leżące na stojakach ustawionych w poprzek drogi, które stanowiły przeszkodę dla przejeżdżających. Przed bramą stał z reguły stolik, a na nim butelka z wódką i kieliszki, a raczej kieliszek. Wszystko pięknie przystrojone jodłowymi gałązkami, sztucznymi kwiatami z kolorowej bibuły oraz różnokolorowymi szarfami.

Przed taką bramą młodzi ludzie, czyli wartownicy zatrzymywali orszak pana młodego, częstowali wódką, składali życzenia i na przykład śpiewali:

Panie młody, panie młody,
Spieszno ci do panny młodej,
Lecz wypijże kielich z nami
I już bramę otwieramy,
A że piękna panna młoda,
Ile warta jej uroda?
Niech pan młody sam oceni
I zapłatą nas doceni.

Nigdy też nie przepuścili bez wykupu, którym przeważnie była, nie mniej niż jedna butelka wódki. Zatrzymania mogły być różne. Zatrzymywano cały orszak lub też pana młodego przepuszczano, a zatrzymywano tylko drużbów. Drugi przypadek stosowano wówczas, gdy chciano zdobyć przynajmniej jedną butelkę od każdego drużby. Gdy ci ostatni ociągali się lub nie mieli zbytniej chęci, ochroniarze bramy zaczynali złośliwe, rymowane przyśpiewki opowiadające o tym, że drużbowie nie są godni młodego pana skoro go opuścili w tak ważnej chwili, a także o ich skąpstwie, które jest większe od ich przyjaźni z panem młodym oraz braku męskiego honoru. Te ostatnie zwrotki przeważnie skutkowały, bo to byli honorowi młodzi ludzie. A oto przykład:

Panicz młody już przejechał
I na drużbów nie poczekał.
Zapłaćcie za pana młodego,
Bo nie przepuścimy żadnego.
Pospieszcie się z wódeczką,
Bo zamkniemy księdza z beczką
I z wesela nic nie będzie,
A honoru wam ubędzie.

Wówczas bramę otwierano, a następnie likwidowano, aby udać się do jednej z chałup na skonsumowanie łupów. Takich bram było nieraz nawet kilkanaście, szczególnie jeżeli młody pan był z sąsiedniej wsi i drogę do panny mło-

dej miał daleką i prowadzącą przez rejony gęsto zaludnione. Wydaje się, że obyczaj ten był stosowany od wieków w przypadku, kiedy pan młody pochodził z innej miejscowości. Wówczas takiego pana młodego witano serdecznie na granicy wsi, składano mu życzenia i przyjmowano do wiejskiej społeczności, ale musiał to odpowiednio opłacić.

Pięknie wyglądały także ceremonie, gdy pan młody przyjeżdżał ze swoją świtą pod dom panny młodej i prosił rodziców o jej rękę oraz wpuszczenie do domu, a następnie jadący do kościoła orszak ślubny. Na jego czele jechało od dwóch do czterech jeźdźców na koniach, za nimi na furmankach lub saniach para młoda, drużbowie i druhny, rodzice nowożeńców i reszta gości. Tak konie, jak i jeźdźcy oraz furmanki i sanie były pięknie przystrojone bukietami kwiatów, pękami wstążek i girlandami z gałązek jodły, rzadziej świerka.

Oczepiny, zwane u nas gwarowo *cepinami*, były ceremonią odbywającą się po ślubie, ale przed północą. Pannę młodą, która do tego czasu chodziła w wianuszku na głowie, sadzano na krześle pośrodku dużej izby, w której odbywały się tańce. Następnie druhny zdejmowały jej wianuszek z głowy i zakładały chustkę. Po tym każda druhna i starościna śpiewała tak zwane przyśpiewki. Po każdej przyśpiewce następowała muzyka i taniec z panną młodą. Takie *cepiny* trwały nieraz dwie lub więcej godzin, w czasie których goście składali także nowożeńcom dary, z reguły w postaci pieniędzy.

Jeśli chodzi o dary, to był ówcześnie także bardzo pożyteczny i praktyczny zwyczaj, że zaproszeni na wesele goście składali jeszcze przed weselem podarunki w postaci jajek, sera, maku, miodu i innych produktów niezbędnych do przyrządzenia weselnej uczty. Była to pomoc dla rodziców panny młodej ogromna, gdyż dzięki temu zmniejszał się koszt wesela.

Przyśpiewki układały dwie, trzy osoby we wsi, które specjalizowały się w tej dziedzinie i miały poetyckie zacięcie. Przyśpiewki były indywidualnie przygotowywane i dopasowane do pana młodego, panny młodej i ich rodzin. Wyróżniały się humorem, czasami i złośliwym, pokazywały na wesoło wszystkie przywary młodej żony i męża oraz ich rodzin, a ponadto wychwalały przeróżne cnoty i zalety każdego z młodych małżonków. Zabawa była przednia, bo teksty pisane były ze znawstwem miejscowych stosunków, a więc zebrani wybuchali raz po raz śmiechem i bawili się świetnie.

Dla nas dzieci było wielką frajdą móc posłuchać i pooglądać ten ceremoniał, a że odbywał się około północy i teksty były raczej dla osób dorosłych, zazwyczaj nas przeganiano i rzadko kiedy mieliśmy okazję oglądać je do końca. A jak wiadomo, co zakazane lepiej smakuje.

Odpusty należały do rzadkich i dużych przyjemności. Pierwszym odpustem w najbliższej okolicy był na początku sierpnia odpust w Pobiedrze (Paszkówce), a potem olbrzymi odpust w Kalwarii Zebrzydowskiej, przypadający na dzień 15 sierpnia w Wniebowzięcie Matki Boskiej. Bywał także, co roku odpust w Przytkowicach, lecz nie robił już takiego wrażenia, ponieważ odbywał się później.

Odpusty były uroczystościami kościelnymi ku czci patronów kościołów i parafii oraz odbywały się w dniu imienin danego świętego, a w klasztorze bernardynów w dniu Wniebowstąpienia Najświętszej Marii Panny i Matki Boskiej Zielnej. Miały służyć odpuszczeniu grzechów wiernym.

Dla nas dzieci były niezwykle ciekawe i stanowiły niecodzienną frajdę poprzez towarzyszące im kramy ze słodyczami, zabawkami, pierwszymi świeżo kiszonymi ogórkami oraz zabawami na karuzelach i huśtawkach. Do ulubionych zabawek, które można było kupić na odpustach należały kolorowe piłeczki na gumkach, kalejdoskopy, gwizdki, małe drewniane i metalowe trąbki, różne wycinane w drzewie koguciki i inne zwierzaki.

Najbardziej fascynujące były patrzydełka, zwane także kalejdoskopami. Składały się z tuby o średnicy około pięciu i długości około dwudziestu centymetrów, zakończonej po obu stronach okrągłymi szybkami. Przy czym ta strona, przez którą się patrzyło była zasłonięta z pozostawionym na środku około jednocentymetrowym otworem, przez który się patrzyło.

W środku kalejdoskop zbudowany był niezwykle prosto. W nim trzy lusterka lub przydymione szybki ustawione w trójkąt, a od tylnej strony dwie okrągłe szybki umocowane na stałe tak, że między nimi mogły przemieszczać się małe kawałeczki różnokolorowego, potłuczonego szkła. W efekcie przy obracaniu kalejdoskopem tworzyły się różnego kształtu różnokolorowe figury, które w zasadzie nigdy się nie powtarzały. Mało tego, w każdym kalejdoskopie był inny kształt potłuczonych szkiełek, a więc tworzone były inne obrazy.

I te pierwsze małosolne, wspaniale ukiszone, pachnące i nadzwyczaj smaczne ogórki. Zjadało się ich kilka, a przy kupnie dostawało się także do popicia sok, w którym się kisiły. Był wyśmienity. Ogórki różnej wielkości, od bardzo małych do bardzo dużych, kupowało się na sztuki i wcale nie były tanie, szczególnie na naszą kieszeń.

Najokazalszy był odpust odbywający się 15 sierpnia w Kalwarii. Cały rynek miasteczka, a i pobliskie place zastawiano sprzętem do zabawy, między innymi przeróżne karuzele, huśtawki, wyrzutnie kul, strzelnice różnego typu, gdzie strzelało się przeważnie z wiatrówek i można było wygrać sztuczne kwiaty, baloniki, a przy dużym szczęściu i większe nagrody.

Począwszy od rozpoczynającego się wzniesienia góry Żar, aż po sam klasztor, drogi do niego po obu stronach obstawione były przeróżnymi kramami. Tam gdzie przestrzeni było więcej kramy stały w kilku rzędach. Sprzedawano także w domkach z podcieniami, które stały po prawej stronie przyklasztornych placów. Tam też w pobliżu placu głównego stała zabytkowa kolumna poświęcona konfederatom barskim.

Na kramach leżała i wisiała moc przeróżnych słodyczy i zabawek, a między nimi stały większe lub mniejsze beczki z kiszonymi ogórkami. Było także sporo lemoniady. Sprzedawano również najzwyklejszą wodę do picia, szczególnie w czasie upalnych dni.

Atmosfera takiego odpustu była niepowtarzalna. Proszę sobie wyobrazić setki, jeśli nie tysiące kramów z różnorodnym towarem i dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi przemieszczających się między nimi w olbrzymiej ciżbie. Ludzie chodzili grupami, tam i z powrotem, zaaferowani oglądaniem tych cudeniek i zakupami. Jeśli do tego dodać masę żebraków, kalek i innych proszących i żebrzących starców, a i grasujących masowo złodziei sławnych przedwojennych szkół: lwowskiej i krakowskiej, to rysuje się obraz, który interesował i wpływał na wyobraźnię nie tylko małych dzieci. Jak pamiętam, to w czasie odpustów nikt z nas nie myślał, by pójść w tym czasie do kościoła czy klasztoru. Dla nas i nie tylko, całą frajdę stanowiły kramy, zabawy i zakupy.

Największa ilość żebraków i kalek odpustowych obserwowało się w drugiej połowie lat czterdziestych. Byli to w większości zawodowi żebracy uprawiający ten proceder jeszcze przed wojną. Pokazywano mi takiego żebraka bez nóg i o szkaradnej aparycji, o którym mówiono, że przed wojną był właścicielem trzech kamienic w Krakowie i miał prześliczną młodą żonę. W latach pięćdziesiątych żebractwo powoli zanikało i w latach sześćdziesiątych żebracy na odpuście byli już rzadkością, a w życiu codziennym nie spotykało się ich wcale.

Ze wszystkich odpustów w dzieciństwie jeden w Kalwarii wspominam do dzisiaj. Poszedłem razem z ojcem. Był to jedyny odpust, na którym najadłem się do syta ogórków kiszonych i słodyczy, a także mogłem kupić większość zabawek o które prosiłem ojca. Wybawiłem się także na karuzelach i strzelnicach. Jakiż ja byłem szczęśliwy i dumny zarazem. Szczęśliwy, że mogłem mieć to co chciałem i dumny z tego, iż ojca było na to stać i zechciał mi to wszystko kupić. Ponadto wiedziałem, że musi mnie mocno kochać.

Przed świętami wielkanocnymi miały miejsce tak zwane *zopusty*, w czasie których chodzili po domach *zopuśniki*. Byli to młodzi ludzie, przeważnie nastoletni, zawsze dziwacznie poprzebierani i pomalowani. A więc ubrani w stare czarne kapelusze, kurtki lub kożuchy przenicowane na lewą stronę i przewiązani w pół powrósłem. Z twarzami lub tylko wąsami pomalowanymi na czarno, a policzkami na czerwono.

Przychodzili ze świątecznymi życzeniami i nadzieją, że dostaną coś w zamian. Otrzymywali i zbierali do koszyka przeważnie jaja, ale nie gardzili także kawałkiem kiełbasy, słoniny czy placka. Potrafili robić przy tej okazji niezłe psikusy. Tam gdzie byli źle potraktowani potrafili w nocy pomalować wapnem okna, wyjechać wozem ze stodoły i wpuścić go w jakiś wąwóz, a raz zdarzyło się nawet, że rozebrali wóz na części i wynieśli na kalenicę domu, gdzie go ponownie złożyli. Można sobie wyobrazić minę gospodarza i domowników oraz sąsiadów, kiedy zobaczyli wóz drabiniasty z dyszlem i kołami na samym szczycie chałupy.

Natomiast w drugi dzień świąt wielkanocnych odbywał się śmigus-dyngus, stanowiący dla dzieci i młodzieży frajdę nad frajdami. Polewało się wówczas wodą rówieśników, niekiedy także starszych, a przeważnie dziewczęta. Przed

śmigusem robiliśmy różne sikawki, przeważnie z grubych gałęzi czarnego bzu. Miały one bowiem w środku, biały lub kremowy, podobny do waty miękisz. Można go było łatwo wypchnąć na zewnątrz drewnianym stemplem i otrzymać wówczas coś na kształt rurki. A potem zabijało się końcówkę tej rurki drewnianym korkiem z niewielką dziurką w środku, dorabiało tłok, którego koniec zawiązany był szmatką i obwiązany nitką i już sikawka była gotowa. Wystarczyło wcisnąć do końca tłoczek, włożyć końcówkę sikawki do wody, pociągnąć tłok do siebie, aby woda napełniła sikawkę i broń była gotowa do działania. Miała ona tę zaletę, że sikała nawet na odległość do kilkunastu metrów, zaś wadę, że mieściło się w niej niewiele wody.

Starsi używali najczęściej butelek, wiader i innych dużych naczyń, polewając gromadnie wszystkie dziewczyny, które tylko się pokazały, a także lejąc się między sobą. Zaś wrogów traktowało się wodą, w której rozpuszczono glinę. Polanie taką zawiesiną powodowało konieczność prania całego ubrania.

W maju odbywały się tak zwane majówki. Polegały na tym, iż starsze kobiety i młode dziewczyny zbierały się przy kapliczkach i śpiewały religijne pieśni. Przedtem jednak kapliczki te odświętnie przystrajały girlandami z gałązek jodłowych i sztucznych kwiatów oraz robiły specjalne ławeczki do siedzenia. Następnie, codziennie w maju, wieczorową porą zbierały się przy kapliczkach i śpiewały bardzo melodyjne pieśni religijne, specjalnie przeznaczone na okoliczności majowe. Lubiłem bardzo podglądać te uroczystości oraz przysłuchiwać się tym pieśniom. A że majowe wieczory bywały pogodne i ciepłe, a powietrze czyste to śpiewy roznosiły się po całej okolicy i brzmiały niezwykle przyjemnie dla ucha.

Innym ciekawym wydarzeniem, chociaż już nie towarzyskim, ale obyczajowym, był zwyczaj majenia domów na Zielone Świątki. Były one świętem chrześcijańskim, ale jak wiele innych pochodzenia pogańskiego. W dawnych, przedchrześcijańskich, czasach były świętem życia i przyrody. U nas, na Zielone Świątki przystrajało się domy gałązkami i gałęziami z drzew liściastych, przeważnie lipy. Przybijało się je do drzwi i ścian na zewnątrz domu. Wyglądało to ciekawie i powiedziałbym nawet pięknie, kiedy ściany prawie każdej chaty tonęły w kolorach jasnej, żywej zieleni.

Na początku grudnia przychodził zawsze święty Mikołaj. Miał zwyczaj wkładać podarunki pod poduszki i to tylko nocą. Mimo że podarunki przynosił raczej niewielkie i przeważnie do praktycznego użytku to czekało się na ten dzień bardzo i marzyło o najwspanialszych prezentach.

Przed świętami Bożego Narodzenia i po nich chodziło się po kolędzie. W tym celu już jesienią robiliśmy szopki. Budowaliśmy je z drewnianych listewek, kolorowego papieru oraz różnokolorowego, tak zwanego złotka. Ich kształt był typowy dla szopek krakowskich. Składały się z dwóch wież, podobnych do kościelnych lub mariackich oraz rozłożystego dachu między nimi. Pod nim zaś przedstawiona była Święta Rodzina w stajence betlejemskiej. Wyglądały bardzo ładnie, bo wykonywaliśmy je niezwykle starannie, a ponadto miały piękne kształty oraz były różnokolorowe i podświetlane od wewnątrz.

Pomysł kolędowania pochodził od Józka Michałuszka, a kolędowaliśmy we trójkę Józek i Staszek Michałuszki oraz ja. Chodziło się z szopką wieczorem, od domu do domu, przystawiając ją do okna i śpiewając kolędy. Zarobek z tego był niewielki, za to więcej rozrywki i uciechy.

Po Nowym Roku chodziło się z gwiazdą, przy czym chodziliśmy tylko jednego roku, bo gwiazda ciągle się psuła na skutek wiatru i padającego śniegu. Jej konstrukcja była ciekawa o tyle, że składała się z prawie metrowej średnicy gwiazdy sześcioramiennej, zbudowanej z drewnianych listewek obleczonych kolorowym cienkim papierem i umocowanej na dość długim i grubym kiju. W jej środek wkładało się źródło światła, przeważnie świecę lub małą lampę naftową. Ponadto obracała się wokół swojej osi, co dawało ciekawy efekt.

Największą frajdę stanowili jednak kolędnicy, którzy przychodzili z jasełkami. Byli to przeważnie prawie dorośli młodzieńcy, poprzebierani za aniołów, diabłów, śmierć, króla Heroda, rycerzy rzymskich i inne postaci. Po raz pierwszy oglądałem jasełka, jeszcze jako bardzo małe dziecko, w naszej izbie u *Kaźmiyrza*. Byłem zauroczony, przemawiały bowiem do mojej wyobraźni. Z dzisiejszego punktu widzenia mogę powiedzieć, że było to amatorskie i naiwne aktorstwo, tak jak bywa ludowo-naiwne malarstwo, ale miało w sobie to coś, co przyciągało ludzi i mogło się podobać, miało więc dużą siłę oddziaływania.

W latach późniejszych oglądałem jasełka odgrywane także amatorsko na scenie w Przytkowicach. Były oczywiście staranniej opracowane i przygotowane oraz cieszyły się dużym wzięciem, lecz na mnie te pierwsze, prymitywne zrobiły największe wrażenie.

Okres zimowy na wsi był takim okresem, w którym pracy było mniej, a i wieczory zapadały wcześniej. Organizowano więc wieczorami *skubanki*. Były to spotkania przeważnie młodych panien, które zbierały się w celu skubania gęsich piór. To znaczy oddzielania z piór ich twardej części środkowej, która nie nadawała się na pierze do poduszek i pierzyn. A że praca ta była nad wyraz nudna i monotonna, łatwiej wykonywało się ją w grupie, gdzie można było pogadać, poplotkować, a i pośpiewać razem różne piosenki. W takiej sytuacji, jeżeli nawet nie wiedziało się, że gdzieś odbywa się *skubanka* to po odgłosach śpiewu można było tam trafić. Przyciągały także kawalerów, w tym szczególnie chętnych do żeniaczki.

Na zakończenie okresu *skubankowego*, w jednej z wybranych chałup organizowano podziękowanie za wspólną pracę. Dziewczyny przynosiły wówczas pieczone przez siebie ciasta lub inne wiktuały, a kawalerowie zapewniali alkohol i muzykę. W ten sposób nagradzano sobie długotrwałą, nudną i mało wdzięczną pracę. Ułatwiało to także bliższe poznanie się młodych ludzi i zaloty, a także wspólną zabawę do białego rana.

Choroby i leczenie

Zdrowie i choroby splatają się u każdego z nas w jedną nić życia. Towarzyszą nam zawsze, przy czym choroby są dokuczliwe i sprawiają wiele kłopotów. Z opowiadań rodziców jest mi wiadomo, że będąc niemowlakiem dwa razy chorowałem na poważne zapalenie płuc, z temperaturą przekraczającą 42 stopnie Celsjusza. Zresztą na zapalenie płuc zmarł mój starszy brat, a w owym czasie była to choroba zbierająca największe żniwo wśród małych dzieci. Patrząc na te fakty przez pryzmat doświadczeń życiowych i posiadanej wiedzy wydaje się, że problemy zapalenia płuc u dzieci w tamtym okresie wynikały z ich przegrzewania. Niemowlaki leżały wówczas opatulone mocno pierzynami i cały czas przegrzane i spocone, a więc przy częstym przewijaniu narażone były na olbrzymią różnicę temperatur w zimie i na przeciągi latem.

Pierwszą chorobę, jaką pamiętam, była choroba mamy. Leżała bardzo długo, jak ówcześnie mówiono na *isjasz* (ischias), czyli rwę kulszową. W związku z tą chorobą tato woził mamę do lekarzy, a także sprowadzał ich do domu, lecz żadne środki przez nich przepisywane nie skutkowały. Mama bardzo cierpiała, nie mogła w ogóle chodzić i z jej zdrowiem było coraz gorzej. I byłoby pewnie jeszcze gorzej, gdyby nie wizyta u pewnego staruszka, lekarza w Kalwarii.

Wysłuchał opowieści o przebiegu choroby, popytał się czym mama była leczona i powiedział:

– Pani była już leczona wszystkim, co zna współczesna medycyna. W związku z tym rokowania są złe, bo organizm nie poddaje się leczeniu znanymi nam środkami. W tej sytuacji środków chemicznych i fizykoterapii nie zalecam, ale proszę spróbować i zrobić kuracją środkami naturalnymi. Co prawda kuracja ta nie zawsze pomaga, ale nie ma pani nic do stracenia.

I tu podał opis kuracji, która polegała na stosowaniu ukąszeń pszczół. Wskazał miejsce w okolicach pośladka, gdzie mają być dokonywane żądlenia w następujący sposób: w pierwszy dzień jedno ukąszenie, w drugi dzień dwa ukąszenia, w trzeci dzień trzy ukąszenia i tak dalej, aż w piętnastym dniu 15 ukąszeń.

Pamiętam to dobrze, gdyż to ja łapałem pszczoły do szklanki, a następnie tata przykładał szklankę z pszczołą we wskazane przez lekarza miejsce. I o dziwo musiał się solidnie namęczyć drażniąc je, aby dopiero zechciały ukąsić. A jaki był rezultat końcowy tej kuracji? Aż trudno uwierzyć, ale zadziwiający. Po dziesięciu dniach kuracji mama o własnych siłach wstała z łóżka, z którego nie wstawała prawie półtora roku, a po dalszych dwóch tygodniach zapomniała już o chorobie. Pamiątką z okresu choroby pozostały jej wówczas tylko bardzo długie, bo sięgające prawie do kolan włosy.

Jeszcze jako dziecko przedszkolne zachorowałem dość ciężko na żołądek. O przyczynach tej choroby trudno mi dzisiaj coś powiedzieć, ale trwała ona ponad półtora tygodnia i czułem się fatalnie. Ciągłe, mocne i osłabiające bóle. Stosowanie środków domowych nie przynosiło żadnej ulgi. Wówczas mama

zasięgnęła porady u swojej sąsiadki Anielki. Ta uznała, iż może to być sprawa poważna i wygląda na to, że ktoś rzucił na mnie urok.

W tej sytuacji wspólnie z mamą uradziły, że trzeba zdjąć ze mnie ten urok. Mama przyprowadziła mnie do Anielki, która w dużej izbie zabrała się za odczynianie uroku. Polegało to na tym, że na początku sprawdziła czy rzeczywiście ktoś rzucił na mnie urok. A odbywało się to tak, iż wrzuciła pokruszone kawałki węgla drzewnego do garnuszka z wodą. Gdy wynik okazał się pozytywny, nad tą wodą robiła jakiś dziwne ruchy rękami i tułowiem oraz mruczała jakiś zaklęcia, z których nic a nic nie rozumiałem. Na koniec natarła mi tą wodą ręce, skronie i czoło, a resztą kazała wypić.

W zasadzie, w tym dniu nie odczułem żadnej poprawy, ale o dziwo na drugi dzień byłem zdrowy jak rydz. I na zakończenie tej historii pytanie. Czy jest jakieś mądre wytłumaczenie tego zjawiska? Oczywiście tak! Przecież i dzisiaj stosuje się węgiel do leczenia nieżytów żołądka. A wówczas przecież kazano mi popijać wodę, w której był pokruszony węgiel działający przecież leczniczo. Zaś oprawa zabiegu to działanie w celu osiągnięcia efektu psychologicznego i wzmocnienia sił obronnych organizmu.

Będąc już w szkole podstawowej miałem ponownie poważny problem z żołądkiem. Zatrucie i stan zapalny były tak silne, iż przez dwa tygodnie nie mogłem nic jeść, osłabłem i odwodniłem organizm. Żadne z przepisanych przez lekarzy tabletek i innych medykamentów nie skutkowały. Rodzice powoli wpadali w panikę z powodu mojego stanu zdrowia. Jak to zwykle na wsi bywa, dzielili się swoimi problemami i troskami z sąsiadami i znajomymi. W ten sposób informacja rozeszła się po wsi.

Zatroskana moim zdrowiem przyszła do nas jedna z dalszych sąsiadek i oświadczyła, iż pomoże mnie wyleczyć, gdyż zna takie ziele, które tę chorobę leczy. Rośnie ono tylko w jednym podmokłym i bagnistym miejscu w sąsiedniej wsi. Postara się tam pójść i to ziele przynieść. I tak się stało.

Na drugi dzień przyszła i przyniosła dziwną i niespotykaną roślinę. Była koloru zielono-brązowego i miała cienką łodyżkę na końcu której znajdowały się trzy listki, podobne w kształcie do wierzby. Z tego ziela gotowało się mocny wywar i jeszcze gorący wypijało. Nic bardziej gorzkiego w życiu nie piłem. Coś potwornego, ale rezultat był wspaniały. Na drugi dzień rano wszystko minęło, jakby ktoś ręką odjął. Po wielu, wielu latach spotkałem tę roślinę w książce „Rośliny lecznicze" wydaną na Słowacji 1982 i w Polsce w 1983 roku, gdzie figurowała pod nazwą bobrek trójlistny.

I jeszcze jeden przykład, co prawda z lat trochę późniejszych, ale także niezwykle ciekawy z punktu widzenia współczesnej wiedzy naukowej i medycyny. W latach pięćdziesiątych, a dokładnie w 1958 roku budowaliśmy nowy dom. Ja także napracowałem się przy tym solidnie, nosząc przeróżne kamienie, cegłę, zaprawę murarską i inne ciężkie przedmioty.

Na skutek młodzieńczej i zanadto zapalczywej roboty, dostałem silnych bólów w okolicach żołądka. Czułem się tak, jak gdyby ktoś przecinał mnie piłą

w pasie. Ból był tak okropny, że opadałem szybko z sił. Poszedłem więc do lekarza w Kalwarii. Ten przepisał mi środki farmakologiczne, nie mówiąc co mi jest, to znaczy na co choruję. Nic nie pomogło. Poszedłem do drugiego lekarza, to samo.

Po dwóch tygodniach ledwo żyłem. Wówczas ojciec powiedział:

– Synu! Musimy zastosować stary, ale skuteczny sposób. Trzeba nam gdzieś znaleźć psie sadło, ponieważ jest ono najlepsze na oberwanie.

Tak u nas nazywano tę chorobę. Pochodził więc po wsi, popytał ludzi i znalazł. Kupił więc i przyniósł. Było tej mikstury pół garnuszka, koloru brudno-białego, konsystencji smalcu i przeraźliwie śmierdzącego. Roztopił owe świństwo do stanu płynnego oraz przygotował duży kielich, w który nalał wódki.

Było to dla mnie nadzwyczaj dziwne działanie, bo zdarzyło się po raz pierwszy, aby ojciec częstował mnie wódką. Najpierw podał mi sadło do wypicia, a następnie polecił popić wódką. I wiedział co robi. Gdyby nie wódka, zwymiotowałbym wszystko, co miałem w żołądku. A rezultat końcowy? Na drugi dzień byłem zdrowy i nie myślałem już o chorobie, chociaż osłabienie organizmu nie minęło. I już na sam koniec: to oberwanie, jak wówczas mówiono, było niczym innym jak obniżeniem żołądka, spowodowanym dźwiganiem zbyt dużych ciężarów. Podejrzewam, że do dziś nie ma na to oficjalnego i uznanego przez medycynę środka leczniczego.

Tyle o chorobach żołądkowo-brzusznych. Innych nie pamiętam, widocznie nie odcisnęły się w pamięci, bowiem oprócz sporych skaleczeń, solidnie obdartych naskórków i włożonych w tryby *wialni* palców, innych dolegliwości nie pamiętam. A *wialnia* była dość dużym urządzeniem, które służyło do oczyszczania ziarna z plew, kawałeczków słomy, grudek ziemi i pokruszonego ziarna. Działała na takiej zasadzie, iż kręcąc korbą uruchamiało się oś z łopatkami. Wytwarzany pęd powietrza „oddzielał ziarno od plew" i wszelkich zanieczyszczeń. Całe urządzenie było drewniane, ale korba i dwa koła zębate, które przenosiły energię mięśni na łopatki wirnika były metalowe.

Z dziecinnej ciekawości badałem jak koła zębate zachodzą na siebie podczas obracania się. A że przy korbie był Józek to rozpoczął kręcenie za wcześnie, gdy miałem jeszcze palce między trybami. W efekcie zmiażdżeniu uległ koniec mojego najdłuższego palca prawej ręki wraz z paznokciem. Długo potem leczyłem ten palec. Obecnie tylko kształt paznokcia przypomina o dawnym kłopocie.

W owym czasie wszystkie dzieci nagminnie chorowały na próchnicę. I o dziwo, pomimo bardzo twardej wody, czyli takiej, w której było bardzo dużo wapnia. Chyba wiązało się to z brakiem elementarnej higieny jamy ustnej. W tamtym czasie nikt nie czyścił zębów i nie wiedziano co to takiego pasta do zębów i szczoteczka. Mimo tego ciotka Maryśka żyjąc ponad 70 lat miała wszystkie zęby zdrowe i utrzymane w doskonałym stanie. Teraz dopiero wiemy, że zawdzięczała to diecie, w której dominowało mleko, a szczególnie sery

twarogowe. Natomiast dzieciaki bardzo lubiły słodycze, a były dostępne cukierki, ciastka, a także często jedliśmy chleb posypany cukrem i polany wodą lub mlekiem. W efekcie szybko znikały zęby mleczne i trzeba było usuwać zęby trzonowe, ponieważ nikt do dentysty nie chodził i leczenia nie stosował.

Z zębami mlecznymi nie było większego problemu. Każdy z nas wiedział co ma robić, gdy jakiś ząb mleczny zaczynał się *kiwać* (chwiać). Do pierwszej operacji przystępował język. Tak się nim operowało, aby maksymalnie rozchwiać ząb, a później wyciągnąć go palcami. Jeśli to nie skutkowało, brało się mocną nitkę w dwie ręce, zahaczało o ząb i mocnym szarpnięciem próbowało usunąć. W większości wypadków było to skuteczne, a krwawienie i ból niewielki. W sytuacji ostatecznej pozostawały drzwi. Na zębie zaciskało się pętlę z grubej nici, której końce przywiązywało się do drzwi, niekiedy do klamki lub skobla. W takiej sytuacji egzekucję na zębie można było dokonać samemu, kopiąc nogą w drzwi lub powierzając to koledze, który w najmniej spodziewanym momencie otwierał zamknięte drzwi wraz z wylatującym zębem.

Gorzej było z bolącymi i zniszczonymi przez próchnicę zębami trzonowymi. Tu już samemu nie można było sobie poradzić. Na szczęście w Przytkowicach był specjalista z tej dziedziny, który nazywał się chyba Michał Chrostek. Mieszkał na *Dole*, przy drodze prowadzącej do Leńcz i z zawodu był kowalem. Ponadto zajmował się usuwaniem zębów, obsługując całą okolicę. I aby było jeszcze dziwniej, miał wspaniałą rękę i nie zdarzyło się nigdy, aby komuś złamał ząb lub wystąpiły jakiekolwiek komplikacje po ich usunięciu.

A teraz garść szczegółów wyjaśniających ten fenomen. Ów kowal-dentysta był w czasie pierwszej wojny światowej żołnierzem w armii austriackiej, jako poddany galicyjski. Pełnił tam, pewnie z nadania, funkcję sanitariusza. A jak wiadomo sanitariusz w armii cesarza Franciszka Józefa w czasie pierwszej wojny światowej umiał prawie wszystko, co może poświadczyć sam dobry wojak Szwejk. Z tej wojny przywiózł więc ów kowal szczypce dentystyczne i swoje umiejętności.

Wyrwałem u niego kilka zębów trzonowych i powiem najuczciwszą prawdę: tak jak ów kowal usuwał zęby, to czysta maestria. Kładł swoją olbrzymią łapę na głowie delikwenta przyduszając go do krzesła, zakładał szczypce na bolący ząb i dwoma delikatnymi jak piórko ruchami w prawo i lewo wyrywał ząb bez żadnego znieczulenia i prawie bez bólu. Był wspaniały w tym co robił i niech mu za to ziemia lekką będzie.

W następnym okresie, gdy chodziłem już do ogólniaka, miałem do czynienia z prawdziwym dentystą. Poszedłem usunąć ząb. Mimo znieczulenia ból był bardzo duży, ale jeszcze większy problem miał dentysta. Ułamał ząb i musiał dłutować przy usuwaniu korzeni. Trwało to wszystko około półtorej godziny, a ja wyszedłem ledwie żywy. Zabieg ten miał miejsce w lipcu, a ja wracałem z Kalwarii na piechotę w skwarze i duchocie.

Po powrocie do domu zaczęły się problemy. Mimo założenia przez dentystę tamponu, rana stale krwawiła. Robiłem więc pod okiem mamy różne kom-

presy i płukania w zimnej wodzie, ale nic to nie pomagało. Nocą zaś krwotok z zęba był tak duży, że gdyby nie czuwanie mamy, udusiłbym się na skutek tworzących się w gardle i krtani skrzepów krwi. Następnego dnia wcześnie rano pojechałem znowu do dentysty i dopiero przypalenie krwawiącej żyły oraz założenie odpowiednich tamponów zapobiegło dalszemu krwotokowi.

I jeszcze o jednym dziwnym zjawisku. W trakcie szkoły średniej usunąłem jeszcze kilka zębów trzonowych, które jak mówią specjaliści i naukowcy „mamy tylko jedne" i w przeciwieństwie do mlecznych, drugie nie wyrastają. Ze mną było inaczej. Po usunięciu każdego zęba trzonowego, na jego miejscu wyrastał nowy. Dentysta widząc to, przyglądał się temu dziwnie i mówił, że w życiu czegoś takiego nie widział, a medycyna nie zna takich przypadków, aby komuś rosły po raz drugi trzonowe zęby.

Myślę, że mogło to być podyktowane jakimiś moimi cechami osobniczymi, albo olbrzymią ilością wapnia w organizmie na skutek spożywania wody z bardzo dużą zawartością wapnia. Mimo tego, te darowane przez naturę drugie trzonowe zęby, szczególnie oczne, były stosunkowo słabe i mimo stosowanej już pielęgnacji uległy zniszczeniu. Już bowiem w szkole oficerskiej wstawiano mi sztuczny mostek po leczeniu, a później po usunięciu górnej czwórki i piątki.

Zwierzaki

Wokół domu był nieduży sad, w którym rosły jabłonie, grusze, śliwy i wiśnie. Mieliśmy więc trochę własnych owoców, szczególnie na bieżące podjadanie. W tym sadzie stale żyły jeże. Przeważnie para, a niekiedy także z młodymi jeżykami. W letnie ciepłe noce drzwi do izby były stale uchylone. Przychodził więc czasami na zwiady jeden z jeży i wchodził do izby. Wydawał przy tym dziwne dźwięki. Trochę szurał, szeleścił i tupał. Lubił także podpijać kotu mleko. Gdy były młode, ich matka przyprowadzała wszystkie. Wówczas mama nalewała mleko w większy talerz, który czekał na nich w trakcie nocnej wizyty.

Z domowych stworzeń mieliśmy psa i kota. Pierwszym z nich był przepiękny owczarek górski, biała jak śnieg Saba, którą przyniósł ojciec w kieszeni płaszcza lub kurtki. Wyglądała wówczas jak biała kuleczka z czarnym noskiem, a potem wyrosła na wspaniałego psa. Niezwykle mądrego i spokojnego, a przy tym zapalonego wielbiciela chrabąszczy.

W latach wielkiego wysypu chrabąszczy, zbieraliśmy je do dużego pudła, zamykaliśmy je, a następnie robiliśmy w nim jedną dziurkę, na tyle dużą, aby mógł się wydobyć pojedynczy chrabąszcz. Saba potrafiła godzinami siedzieć koło pudła i gdy którykolwiek wyłaził i rozpoczynał lot, wtedy ona go pac łapą i do pyska. Potrafiła jeść setkami i nigdy nie była nimi przejedzona. Była także ciekawa pod tym względem, że nigdy nie szczekała.

Jako małe dzieci ujeżdżaliśmy ją w przeróżny sposób. A to próbowaliśmy jeździć na jej grzbiecie, a to zaprzęgaliśmy ją do sanek i małych wózeczków.

Wujek Frydek wykorzystywał ją także do pilnowania magazynu nasiennego, którego był kierownikiem. Zabierał ją przeważnie nocą, kiedy szedł na kontrolę magazynu. W dwóch przypadkach złapała złodzieja. Pierwszy raz, gdy złodziej przez piwnicę dostał się do magazynu. Wówczas to na polecenie wujka wskoczyła przez okno piwnicy, którym wszedł złodziej i obezwładniła złodzieja. Gdy wujek wszedł do magazynu wrzeszczący złodziej leżał nieruchomo na podłodze, a nad nim stała Saba.

W drugim przypadku złodziej niosący worek nasion był już około 200 metrów od magazynu. Na sygnał – bierz go, Saba dała kilkadziesiąt susów, skoczyła na złodzieja i z zadowoleniem czekała na wujka. Gdy poszedł bliżej zobaczył następujący widok. Złodziej leżał na brzuchu, na nim pełny worek, a nad tym wszystkim siedząca, merdająca ogonem i zadowolona Saba.

Hodowałem także, chociaż rzadko, młode kawki i sroki. Przeważnie te, które wypadły z gniazda i rodzice przestali się nimi interesować. Było z nimi sporo kłopotów, szczególnie na początku, gdy trzeba było je karmić, ale dawały także wiele radości. Były mądre i potrafiły się z człowiekiem zaprzyjaźnić. Nieraz robiły także żarty i umiały się z opiekunem podroczyć. Ponadto sroki miały tendencje do wynoszenia z domu małych i błyszczących przedmiotów. Trzeba było więc je chować lub później śledzić sroki i szukać skradzionych rzeczy.

Pewnego razu podczas zabawy w Brzeziu odkryliśmy w starej wierzbie gniazdo wiewiórek. Nie było w nim starych zwierząt, tylko same młode. Posiadały dwukolorowe ubarwienie. Każda z nich była w łaty ciemnobrązowe i białe. Zamarzyło się nam, że weźmiemy je do domów i oswoimy. A że nie patrzyły jeszcze na oczy, postanowiliśmy, że przyjdziemy po nie za tydzień. Niestety, po tygodniu już ich tam nie było. Pewnie rodzice przenieśli je w inne miejsce, czując nasz zapach lub widząc z oddali jak oglądamy ich pociechy. I w ten sposób z oswajania wiewiórek nic nie wyszło. Może to i dobrze.

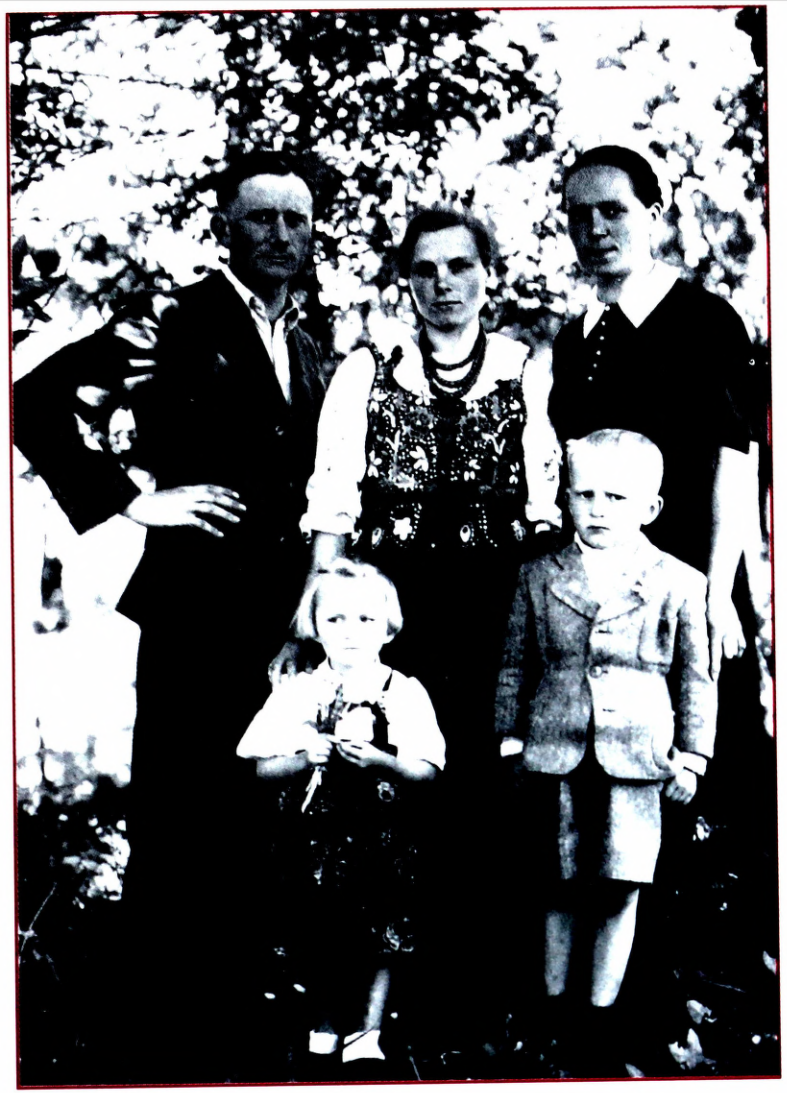

10. Fryderyk i Maria Antosowie z córką Janiną oraz Antonina Mazurkiewicz z synem Jerzym. 1946 r.

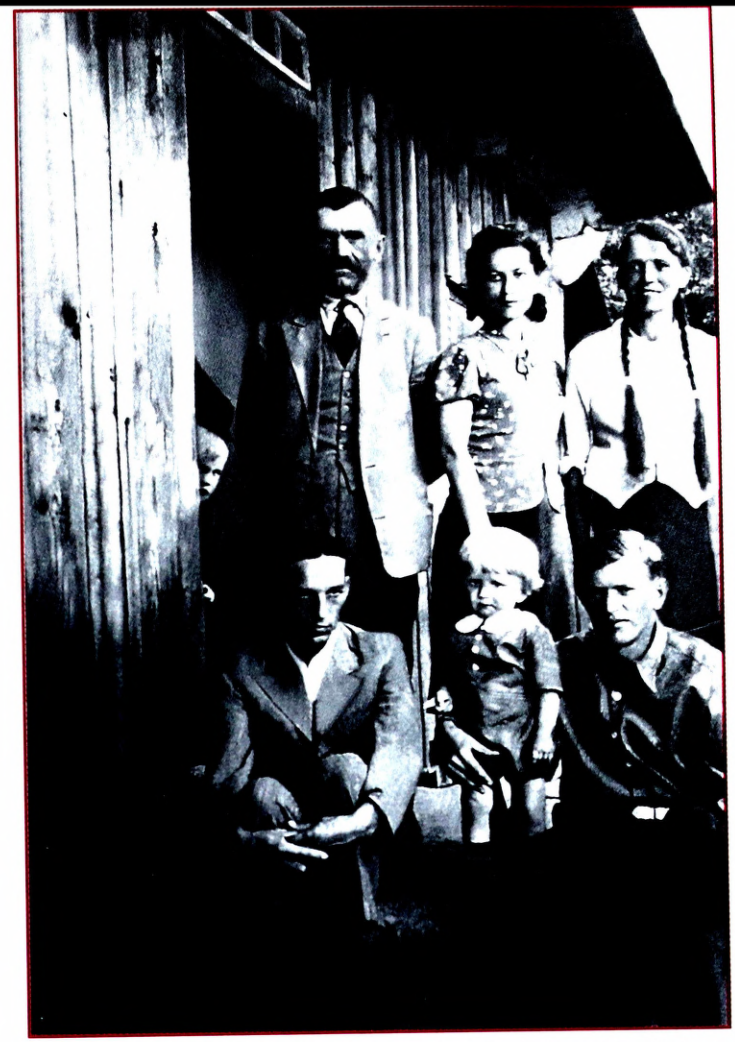

9. Rodzice z przyjaciółmi przed „Kółkiem". Od prawej stoją: Antonina Mazurkiewicz, Jadwiga Pieprzyk i Józef Dumanus oraz siedzą Władysław Mazurkiewicz i Antoni Pieprzyk. Pomiędzy nimi stoi autor. 1942 r.

11. Kapliczka „Pod lipami”. 1991 r.

Rozdział czwarty

Młodość durna i chmurna

Liceum w Kalwarii

Rodzice postanowili posłać mnie do liceum ogólnokształcącego w Kalwarii Zebrzydowskiej. Na pewno chcieli dla mnie lepszej przyszłości, bo byli świadomi, że w Przytkowcach jej nie znajdę. Ziemi było niewiele, więc żyć się z niej nie dało, a praca fizyczna ciężka i mało płatna, chociaż w tamtym okresie łatwo dostępna. Takie mniej więcej było sedno argumentów w dyskusji rodziców nad moją najbliższą przyszłością. Byli także świadomi dużych wydatków związanych z kosztami kształcenia. A dlaczego liceum w Kalwarii? Ponieważ było najbliżej, oddalone tylko o siedem kilometrów, a ponadto mieściło się w stolicy gminy i miało internat.

Liceum ogólnokształcące w Kalwarii mieściło się przy ulicy Adama Mickiewicza, prowadzącej z Zebrzydowic do rynku miejskiego. Naprzeciw liceum znajdowały się zakłady drzewne (meblarskie) i szkoła zawodowa tej specjalności, a po sąsiedzku Urząd Miasta i Gminy Kalwaria Zebrzydowska.

Liceum, czyli ogólniak, jak go wszyscy potocznie nazywali, mieściło się w ładnym, piętrowym budynku. Dach był dwuspadowy, kryty ceramiczną, czerwoną dachówką, ściany zaś częściowo tynkowane, a częściowo pokryte czerwoną licowaną cegłą. Za ładnym ogrodzeniem i z małym ogrodem przed budynkiem wyglądał ciekawie i sympatycznie (ilustr. 12).

Patrząc z góry widziało się budynek w kształcie litery E. Pośrodku obu kondygnacji znajdowały się długie, biegnące przez cały budynek korytarze. Po ich południowej stronie oraz w wysuniętych końcówkach litery E mieściły się sale klasowe i laboratoria, a na przedłużeniu korytarzy gabinet dyrektora i pokoje nauczycielskie.

Egzaminów, do liceum nie przeprowadzano. Z kandydatami odbywano tylko rozmowy kwalifikacyjne oraz brano pod uwagę oceny na świadectwach ukończenia szkoły podstawowej. Ponieważ wiedzę miałem dużą, a na świa-

dectwie tylko cztery czwórki i resztę piątek, zostałem przyjęty. I tak oto jako trzynastolatek stałem się uczniem ósmej klasy.

Klasa liczyła około trzydziestu, trzydziestu pięciu uczniów. Zdecydowana większość moich kolegów i koleżanek pochodziła z Kalwarii. Tylko kilkoro z nas było ze wsi. Początkowo miejscowi traktowali nas trochę lekceważąco, lecz po upływie pół roku nasze stosunki ułożyły się bardzo dobrze. Nie było wskazywania różnic skąd kto pochodzi i czy jest się dzieckiem chłopa, robotnika, rzemieślnika czy inteligenta. W klasie byli jednak synowie: aptekarza – Jacek Zieliński, jakiegoś miejskiego prominenta – Wiesiek Mróz, bogatych rzemieślników – Wiesiek Stella i Andrzej Stażak, inteligentów – Marysia Kowalska i Rudyard Dylling, zwany Maćkiem oraz dwie Bruzdówny, jedna pisana przez u zwykłe, a druga przez o kreskowane. Zawsze więc twierdziliśmy, iż to dowodzi, że jedna jest jeszcze cnotliwa, a druga już nie.

Przez wszystkie lata nauki w ogólniaku nigdy także nie było problemów związanych z wiarą i narodowością. Jakby one w ogóle nie istniały. Co prawda przez pierwsze dwa, trzy lata, religii jako przedmiotu nauczania nie było, a później chodziliśmy na religię do księdza na plebanię. Ale tak przedtem, jak i potem i niezależnie od tego, czy ktoś na religię chodził, czy nie żadnych problemów związanych z wierzeniami religijnymi nigdy nie było.

Dotyczy to także narodowości. Wszyscy uważaliśmy się za Polaków i było to dla nas oczywiste. Dopiero po wielu, wielu latach, kiedy z powodów politycznych podniesiono i rozdmuchano problemy żydowskie i antysemityzmu, uświadomiłem sobie, że przecież kilkoro z moich kolegów i koleżanek musiało być pochodzenia żydowskiego. Kalwaria przed wojną była w 90% zamieszkała przez Żydów. A więc byłem kolegą tej garstki z nich, której udało się jakimś cudem przetrwać niemiecką zagładę. Należeli do świetnych uczniów, zdolnych i pilnych oraz niezwykle spokojnych i zrównoważonych. W przeciwieństwie do mnie, ale przecież we wczesnym dzieciństwie nasze losy były tak różne, więc musiały odbić się na naszej psychice.

Nauczyciele

Nasi nauczyciele, zwani przez wszystkich profesorami, byli przeważnie osobami starszymi, w większości uczącymi jeszcze przed wojną. Do najciekawszych postaci należeli: dyrektor liceum Siemionow i jego żona, profesorowie Domaniewska i Raciborski oraz trochę młodsi: Janus, Glanowski i Niziołowa.

Dyrektor Siemionow, jak samo nazwisko wskazuje, był z pochodzenia Rosjaninem. Swoją żonę poznał na byłych ziemiach polskich na wschodzie. Prawdopodobnie po wrześniu 1939 roku, gdy w wyniku podpisania paktu Mołotow – Ribbentrop Rosjanie zajęli ziemie polskie. Następnie z wojskami radzieckimi przebył szlak bojowy do Berlina. Po zakończonej wojnie i poczynio-

nych staraniach przybył do Kalwarii, skąd pochodziła jego żona i tu wspólnie zamieszkali. Najpierw uczył jako nauczyciel licealny, a następnie pełnił obowiązki dyrektora.

Pamiętam jego wysoką, szczupłą i wysportowana sylwetkę. Twarz miał niedużą, pociągłą o lekko haczykowatym nosie. Nad nią dużą błyszczącą łysinę. Zawsze w ruchu i na wysokich obrotach. Chodził z wiatrem, jak wówczas mówiliśmy, a nadążyć za nim było wielką sztuką.

Był wspaniałym i lubiącym uczniów nauczycielem, a jednoczenie człowiekiem trochę narwanym i nieobliczalnym. Uczył matematyki w sposób niezwykle przystępny, a ponadto na wysokim poziomie. Potrafił w prosty i logiczny sposób uzasadniać zależności, wskazywać na logikę powiązań i objaśniać najbardziej skomplikowane sposoby rozwiązań. Korzystał w nauczaniu z podręczników radzieckich, w których były o niebo bardziej pouczające i znacznie trudniejsze zadania niż w podręcznikach polskich.

W tych ostatnich zadań było niewiele i do tego bardzo łatwe. Nauczanie dyrektora sprawiło, że nasze liceum było znane z wysokiego poziomu przedmiotów ścisłych, a szczególnie matematyki. Jednakże zgodnie z ówczesnym programem, matematyka w liceum kończyła się na trygonometrii i nierównościach.

A teraz dwa przykłady charakteryzujące postać naszego dyrektora. Zwykle wchodził do klasy ze stosem książek pod pachą i bez wcześniejszego zapowiadania ogłaszał, że będzie klasówka. Siadał przy swoim stoliku, który był dosunięty do uczniowskich ławek i zaczynał wertować po podręcznikach. Po chwili pisał na tablicy dwa zadania, które w ramach klasówki mieliśmy rozwiązać. Sam zaś siadał przy stole, na kartce rozwiązywał sobie oba zadania, a następnie wychodził z klasy i pozostawiał nas samych.

W pierwszej ławce, naprzeciwko stolika dyrektora, siedziała dziewczyna, która miała ciekawy dar. Potrafiła jednym okiem patrzeć w jedną, a drugim w druga stronę, już nie mówiąc, iż jedno z nich miała brązowe, a drugie niebieskie. Być może dzięki temu udało się jej ściągnąć od dyrektora rozwiązanie jednego zadania. Zaś nad drugim pracowaliśmy wszyscy wspólnie, w tym także na tablicy. Myślenie było tak intensywne, że chyba mózgi rozgrzewały się nam do białości. Mimo wysiłków nic z tego nie wyszło. Przepisaliśmy więc to zadanie od koleżanki, choć wydawało się jakieś dziwne i pod koniec drugiej godziny lekcyjnej oddaliśmy klasówki dyrektorowi.

Na następnej lekcji matematyki dyrektor wpadł do klasy z książkami i klasówkami pod pachą. Rzucił to wszystko na stolik i zaczął szybko chodzić po klasie, mówiąc:

– Tak, tak, tak, to niemożliwe! Tak, tak, tak, jak to się stało? Tak, tak, tak, to nie do wiary!

Widząc go w takim stanie, pytaliśmy jeden przez drugiego – o co chodzi panie dyrektorze?

A on dopiero jak ochłonął zaczął mówić:

– Nikt z was nie rozwiązał zadania, co prawda trudnego, ale z dziesiątej klasy. Natomiast wszyscy i to bardzo dobrze rozwiązaliście zadanie z klasy jedenastej. Nie rozumiem, jak to możliwe, aby dziesiąta klasa bezbłędnie rozwiązała zadanie z klasy jedenastej, a miała problemy z zadaniem z klasy dziesiątej.

By odwrócić jego uwagę od koleżanki, która ściągnęła to zadanie, wymyślaliśmy przeróżne rzeczy, włącznie ze studiowaniem przez niektórych problemów matematycznych z klasy jedenastej. Jakoś się upiekło, chociaż „dyrcio" klasówkę unieważnił.

Dyrektor, oprócz tego że był wspaniałym matematykiem, uwielbiał także wyprawy w góry. Często wyjeżdżał w Tatry, które naprawdę znał lepiej jak własną kieszeń i to nie jest przesadą, gdyż jego kieszenią zarządzała żona, trzymając kasę twardą ręką. W prowadzonych przedsięwzięciach finansowych nie bardzo sobie radził, o czym dalej. Posiadał także najwyższą odznakę przewodnika tatrzańskiego.

Na początku jedenastej klasy zorganizował nam trzydniową wycieczkę w swoje ulubione Tatry. Pojechaliśmy prawie całą klasą. Przed wyjazdem obiecał nam, że poprowadzi nas najpiękniejszymi trasami Tatr. Wczesnym rankiem udaliśmy się do Kuźnic, a stamtąd kolejką linową na Kasprowy Wierch. Z Kasprowego prowadził nas przez Świnicę, a następnie słowacką stroną na Gładką Przełęcz i dalej granicą przez Gładki Wierch, Liptowskie Mury, Szpiglasowy Wierch do Wrót Chałbińskiego, a stamtąd już do schroniska nad Morskim Okiem, do którego dotarliśmy późnym wieczorem.

Trasa rzeczywiście była wspaniała, widoki przecudne, ale jednocześnie ciężka, szczególnie przez Liptowskie Mury i Szpiglasowy Wierch, gdzie prowadziła tylko słabo oznakowana niewielkimi kopczykami trasa dla taterników. Zdarzały się kilkumetrowe pionowe studnie, dwu i trzymetrowe rozpadliny, które trzeba było przeskoczyć, a także pionowe wejścia bez żadnych zabezpieczeń. Ale pogoda była przepiękna, grzało cały czas wrześniowe słońce, humory nam dopisywały i nie wiedzieliśmy jeszcze, że te trudności, które z takim mozołem pokonujemy, są dopiero przedsmakiem dnia jutrzejszego.

Utrudzeni, ale szczęśliwi, poszliśmy spać dopiero przed północą. Spaliśmy na oszklonej werandzie schroniska. Bardzo wcześnie rano, skoro świt, wyruszyliśmy na Rysy. Pomni poprzedniego dnia ubraliśmy się lekko i do jedzenia wzięliśmy niewiele. Idąc najpierw wzdłuż Morskiego Oka, a następnie sporym stokiem, doszliśmy do Czarnego Stawu. Potem wzdłuż niego dalej szlakiem na Rysy. Po drodze dołączył do nas turysta z Kielc, dobrze przygotowany i wyposażony w sprzęt spinaczkowy taternik.

Gdy byliśmy w połowie drogi na Rysy nagle załamała się pogoda. Z wielkim trudem dotarliśmy do szczytu. Pogoda popsuła się zupełnie, zaczął wiać silny wiatr i padać gęsty śnieg. Ponadto nastąpiło poważne oblodzenie. Zejść z powrotem tą samą trasą już się nie dało.

Dyrektor, jako wytrawny taternik, zarządził, że idziemy na Żabią Przełęcz. Słysząc to, taternik zaczął nam odradzać, a turysta z Kielc stwierdził, że zna lepszą drogę. Był jednak problem. Aby zejść z Rysów należało przejść koło

schroniska pod Rysami, gdzie bywała czechosłowacka straż graniczna, a my przecież nie posiadaliśmy paszportów. Schodząc w dół musieliśmy więc ominąć schronisko i bardzo niebezpiecznymi stromiznami dojść w odpowiednie miejsce, aby potem wspinać się pod Żabią Przełęcz.

Dochodząc do przełęczy stwierdziliśmy, że warunki są straszne, a trasa nie do pokonania. Idąc przodem w pewnym momencie stwierdziłem, iż dalsza droga jest niemożliwa i grozi śmiercią. Odmówiłem więc dyrektorowi pójścia dalej, a za mną wszyscy. W tej sytuacji dyrektor zadecydował, że idziemy na Przełęcz pod Chłopkiem. Aby jednak to zrobić, należało najpierw zejść dużo, dużo niżej do Hincowgo Plesa. Gdy schodziliśmy w kierunku owego stawu zobaczyliśmy czechosłowacką straż graniczną. Znów trzeba było przed nimi uciekać stromymi zboczami. I tak wspinając się i uciekając przed strażnikami dotarliśmy na ścieżkę prowadzącą do Przełęczy pod Chłopkiem.

Była to wąziutka ścieżka prowadząca stromo pod górę, mocno zaśnieżona i oblodzona, a my przemoknięci, zmarznięci, potwornie zmęczeni i do tego głodni. Ale trzeba było się wspinać dalej. Ja szedłem jako pierwszy, a dyrektor na końcu, ubezpieczając grupę. Jednak w tym przypadku trudno mówić że szliśmy, gdyż było to prawie czołganie pod górę w niezwykle paskudnych warunkach. Mimo tego, jakimś nadludzkim wysiłkiem dotarliśmy do przełęczy, jeśli to co zobaczyłem było w ogóle przełęczą.

Wyszliśmy na skraj urwiska w kształcie litery V, którego prawie strome ściany pokryte były śniegiem, a pod nami kilkudziesięciometrowa przepaść. Ogarnęło nas wszystkich potworne przerażenie. Przecież dalej nie dało się iść. Na moją prośbę dyrektor zjawił się na czele grupy i na skraju przepaści. Zapytałem grzecznie:

– Którędy dalej?

Na to on pokazał prawie stromą ścianę, gdzie nie było nawet jakiegokolwiek śladu ścieżki. Wszystkim opadły siły, a dziewczęta zaczęły histeryzować. Byliśmy przekonani, że z nami już koniec.

Wracać nie mogliśmy, bo na dole czekała straż graniczna, z przodu zaś przepaść i do tego straszne warunki pogodowe w postaci wichury ze śnieżycą. Także dyrektor zaczął sobie pomału zdawać sprawę z niebezpieczeństwa, w którym się znaleźliśmy, szczególnie w momencie pokazywania nam zasypanej śniegiem i oblodzonej, wąziutkiej półeczki, którą powinniśmy pokonać.

Leżąc brzuchami na przełęczy, radziliśmy w kilku co dalej robić. Sytuacja była prawie bez wyjścia. Mimo sprzeciwu dyrektora postanowiliśmy wzywać pomocy. Wołaliśmy ratunku w odpowiednich odstępach czasowych. Niestety, zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że w tych warunkach prawdopodobnie nikt nas nie usłyszy. Trzeba było coś robić. Największą przeszkodę stanowiły potwornie przestraszone i spanikowane dziewczyny. Postanowiliśmy więc nad nimi popracować, dając dwom najbardziej rozhisteryzowanym po buzi i przekonując następne, że mimo tych warunków trzeba iść dalej, bo tu czeka nas tylko śmierć.

I udało się. Dziewczyny wzięły się w garść i podporządkowały naszemu planowi. Przewidywał on, że pokonamy długą na około trzydzieści metrów oblodzoną skalną półkę wężem, na brzuchach i czworakach, trzymając się w ten sposób, iż każdy z nas będzie trzymał ręką swojego poprzednika za nogę. Węża prowadziłem ja, każdy chłopak w wężu ubezpieczał dziewczynę, a całego węża na końcu ubezpieczał dyrektor. Zgrabiali, przemarznięci i przemoczeni z wielkim trudem i powoli pokonywaliśmy tę paskudną półkę. I udało się. Ale podejrzewam, że wystarczyłoby poślizgnięcie jednej osoby, aby cała grupa zleciała ze ściany.

Niestety, to nie był koniec trudów. Przed nami były jeszcze bardzo trudne zejścia, włącznie z pokonaniem kilkudziesięciometrowego pionowego zejścia po klamrach nad Kazalnicą. Pomimo potwornego zmęczenia, gdy dotarliśmy do Czarnego Stawu, byliśmy najszczęśliwszymi ludźmi na ziemi. Prawie każdemu z nas błąkała się po głowie myśl, że tam na górze mógł być nasz koniec.

Między Czarnym Stawem a Morskim Okiem spotkała nas duża grupa ratowników pogotowia tatrzańskiego, idąca nam z pomocą. I zaczęło się. Jeszcze nie słyszałem, aby ktoś kogoś tak wyzywał, jak owi ratownicy – naszego dyrektora. Zarzucali mu, że nie zgłosił zbiorowej wycieczki, nie uzyskał zgody, nie wpisał godziny wyjścia i liczby wychodzących w wysokie góry oraz że przez swoją kretyńską głupotę naraził na śmiertelne niebezpieczeństwo bardzo dużą grupę młodych ludzi.

Nie będę tu przytaczał wszystkich epitetów, którymi go obrzucano, ale przytoczę jeden, który zresztą potem stał się bardziej znany po czeskim serialu telewizyjnym „Szpital na peryferiach". Jeden z ratowników powiedział do dyrektora:

– Gdyby pańska głupota miała skrzydła, latałaby jak gołębica.

Na zakończenie tej historii jeszcze kilka zdań. Taternik, który szedł z nami na Rysy i wracał do Morskiego Oka najkrótszą trasą, słyszał nasze wołania o pomoc. Gdy wrócił do schroniska, natychmiast zaalarmował pogotowie tatrzańskie. Ale wrócił bardzo późno, bo dopiero półtorej godziny przed nami, mimo iż trasa którą pokonał była ponad dwa razy krótsza od naszej. To także daje wyobrażenie o oblodzeniu gór i trudności zejścia w tych warunkach.

Dochodząc do schroniska przy Morskim Oku zobaczyliśmy tłum turystów stojących przed schroniskiem, patrzących na nas jak na zjawy, a następnie bijących nam brawa. Zaś po tygodniu wyczytaliśmy w gazecie, iż zaginął w Tatrach turysta z Kielc.

Powróćmy jednak do profesorskiego grona. Pani profesor Siemionow była historyczką i łacinniczką. Pan Bóg poskąpił jej urody, za to dał wyniosłą postawę, odrobinę niedostępności, ale pod nimi dobre serce i wiele życzliwości dla uczniów. Bardzo ciekawie i zajmująco prowadziła zajęcia, szczególnie z historii i czasami byliśmy partnerami niezłej dyskusji, w której ścierała się solidna akademicka wiedza belfra z nieuporządkowanymi ciekawostkami i spostrzeżeniami ucznia.

Zostawałem czasami na lekcjach łaciny, mimo że chodziłem w innym czasie na język francuski. Wówczas, gdy na przykład łacinnicy wkuwali na pamięć Horacego, Wirgiliusza i innych rzymskich poetów, ja czytałem sobie książki, czasopisma lub zajmowałem się rozwiązywaniem krzyżówek. Przysłuchiwałem się także ich potwornym męczarniom przy deklamowaniu łacińskich wierszy, które nie miały rymów, jak wiersze polskie, lecz należało je recytować skandując.

Widząc jak mój kolega zaczyna się męczyć i że za chwilę dostanie pałę, zagrałem va banque. Wstałem i złożyłem pani profesor następującą propozycję:

– Czy wyrazi pani profesor zgodę na to, abym to ja za kolegę wyrecytował dużą część „Złotego wieku", a otrzymana przeze mnie ocena była wpisana koledze?

Popatrzyła na mnie zdziwiona, ale z uśmiechem odpowiedziała:

– Ależ oczywiście!

Poszło mi nawet gładko i zgodnie z umową kolega otrzymał ocenę dobrą z minusem.

Pani profesor Domaniewska, przesympatyczna, ale już bardzo leciwa panna koło siedemdziesiątki, uczyła języka francuskiego, rosyjskiego oraz jak dobrze pamiętam biologii. Wychowanka stancji dla dobrych panien, a następnie absolwentka uniwersytetu w Petersburgu, była nauczycielem z wielkiego zamiłowania oraz człowiekiem o gołębim sercu. Nauczyła mnie naprawdę dużo po francusku. Znałem wówczas ten język na tyle, że mogłem swobodnie czytać i w zasadzie rozumieć nawet trudny tekst. Uwielbiała turystykę i w związku z tym można ją było spotkać w najbardziej niespodziewanym miejscu w bliższej i dalszej okolicy. Może dlatego uczniowie nadali jej przydomek „Turist Duszambe".

Nauczycielem chemii i biologii był profesor Raciborski ps. „Ruła". Pseudonim ów powstał od jego podpisu, który wyglądał jak Rua. Była to dla nas ciekawa i trochę egzotyczna postać. Pan około sześćdziesiątki, pod wąsem, na mieście zawsze w kapeluszu i z manierami obrazującymi dobrą kindersztubę. Bardzo nam się podobało, gdy na nasze powitanie odpowiadał zdjęciem kapelusza i niskim eleganckim ukłonem. Jednocześnie był samotnikiem, któremu się w życiu nie przelewało, co było widać po przecieranych na łokciach rękawach marynarek i znoszonych spodniach.

Na zajęciach bardzo przystępny, dobrze i z zaangażowaniem nauczający przedmiotu i wspaniały w prowadzeniu prac laboratoryjnych. Mimo tych niewątpliwych zalet i szacunku, którym go darzyłem, doszło raz między nami do nieprzyjemnego incydentu. Nie wiem dlaczego rozpoczął na lekcji dyskusję nad moją marynarką.

– Ta jasna, prawie biała marynarka – mówił – nie pasuje do szkoły. Co to za nową modą wprowadza uczeń Mazurkiewicz. Przecież ta marynarka nadaje się raczej do sprzedawania lodów niż na lekcje.

Zaskoczył mnie tym zupełnie, bo nawet mi przez myśl nie przeszło, że jest do tego zdolny. Muszę przy tym nadmienić, iż marynarkę kupili mi rodzice ze

względu na jej niską cenę. Nie chodziło więc o modę lub ekstrawagancję, lecz o konieczność życiową.

Coś się we mnie zagotowało. Postanowiłem, że ta tyrada na mój temat nie może pozostać bez echa. Wstałem więc i odpowiedziałem mu mniej więcej tak:

– Panie profesorze, nie wiem dlaczego moja marynarka panu się nie podoba. Mogę jednak zapewnić, iż kupili ją rodzice w sklepie państwowym dlatego, że była bardzo tania, a na taką tylko stać było moich rodziców. Mam nadzieję, że pan to rozumie, bo sam chodzi w nie najnowszych i niezbyt ekskluzywnych marynarkach.

Cała klasa zamarła czekając na to, co się stanie. Zaraz po moich słowach nabrzmiały mu skronie i byłem przekonany, że niebawem wybuchnie. Ale nie. Zwyciężyła mądrość i chyba uczciwość. Uspokoił się i rzekł:

– Przepraszam, rzeczywiście postąpiłem niemądrze. Nie wziąłem tego aspektu pod uwagę. Jeszcze raz przepraszam.

– Ja także serdecznie przepraszam pana profesora – odrzekłem – i proszę o wybaczenie, iż w dyskusji posłużyłem się chwytem niegodnym, a dotyczącym pańskiego ubioru.

Na zakończenie muszę stwierdzić, iż owa dyskusja nie wpłynęła ujemnie na stosunek profesora Raciborskiego do mnie, a nawet wręcz przeciwnie. Przy mojej, delikatnie mówiąc, nienajlepszej reputacji w szkole, był bardziej moim sympatykiem niż przeciwnikiem.

Muszę tu także wspomnieć nieprzedstawianego wcześniej profesora Nicpońskiego ps. „Nicpoń", który uczył przysposobienia obronnego i wychowania fizycznego. Z postury i zachowania typowy przedwojenny szlachcic, o wysokiej kulturze, patriotyzmie i życzliwości do ludzi. Uczył nas tych przedmiotów, ale bardziej stosunku do życia, za co mu wielka chwała.

Lubiliśmy z nim zajęcia, szczególnie w terenie, w tym strzelanie z wiatrówek i karabinków sportowych. O poziomie WF-u mogę powiedzieć tylko tyle, że po raz pierwszy, i w ogólniaku ostatni, zobaczyłem jak ktoś robi wymyk na drążku. Patrząc na to wydawało mi się, że jest to sprzeczne z prawami fizyki. A zajęcia z WF-u to były raczej gry w sali gimnastycznej lub na boisku sportowym. W tym byliśmy dobrzy, o czym dalej.

Niezapomniane wrażenie zrobiła na mnie wycieczka pod las, rosnący na stoku góry Żar. Stał tam dom profesora Nicpońskiego. Gdy podeszliśmy bliżej i weszliśmy na posesję ukazała się żona profesora. Profesor z niezwykłą atencją, a jednocześnie skromnością przedstawił ją:

– Moja Pani.

Było to dla mnie tak dziwne, szokujące, a zarazem tak proste i piękne, że pamiętam to po dzień dzisiejszy. Nie należy się temu dziwić, gdyż przyzwyczajony byłem, że na wsi małżonkowie mówili do siebie: babo, chłopie, moja baba, mój chłop lub stara, stary, moja stara, mój stary.

Profesor Janus, którego nazwisko oznaczało rzymskiego boga drzwi i gościnności był mężczyzną wysokim, szczupłym i na swój sposób przystojnym.

Niewiele po czterdziestce, z lekko przylizaną czupryną i wąsikiem pod nosem stanowił trochę dziwny kontrast z pozostałymi belframi. Jednocześnie fascynat przedmiotu, poza którym niewiele widział i przeogromny służbista. Uczył mnie geografii przez wszystkie lata.

Uczył nieźle, a powiedziałbym nawet, że dobrze. Niestety mieliśmy ze sobą „na pieńku". Dobrze wiedział, że lubię i umiem geografię, szczególnie świata, ale lekceważę ten zakres wiedzy, który jest w liceum. Aby wykazać, że się mylę bardzo często mnie odpytywał. Dlatego z geografii miałem zawsze kilka pierwszych dwój, a dopiero potem oceny pozytywne.

Między nami toczyła się swoista gra. Pytał mnie często, w tym szczególnie w momentach, gdy nie uważałem na lekcjach i o problemy wybiegające poza program, a ja mu odpłacałem tym samym. Wynajdywałem problemy i ciekawostki, które mogły sprawiać kłopoty i z całą przyjemnością bombardowałem go nimi na lekcjach. Wiedział o tym, bo czasami wyczytywał złośliwe zadowolenie na mojej twarzy.

Tym sposobem zmuszałem go do grzebania w opracowaniach i materiałach źródłowych z geografii i niekiedy wyjaśniania problemów na następnych lekcjach. On zaś nadmiernie interesował się moją osobą, także na przerwach i po lekcjach. Byłem więc jak te czeskie „pociągi pod specjalnym nadzorem". Ale o tym później.

Profesor Glanowski ps.„Glan" był polonistą. Wywodził się z naszych stron, chociaż nie wyczuwało się u niego miejscowego akcentu. W tym czasie, gdy chodziłem do liceum robił prawdopodobnie magisterium lub doktorat, ponieważ zbierał materiały do pracy na temat okolicznej gwary.

Miał dar logicznego, jasnego i przejrzystego prowadzenia lekcji. Ułatwiało to zrozumienie i zapamiętanie przerabianej problematyki. Jednocześnie niezwykle pryncypialnie i sprawiedliwie oceniał uczniów. Tak było i ze mną. Mimo zafajdanej opinii w szkole, oceniał mnie zawsze sprawiedliwie, co nie oznaczało – pozytywnie. O ile bowiem nie miałem problemów z wiedzą i stylem pisania, o tyle miałem kłopoty z ortografią. W związku z tym specjalizowałem się w takim pisaniu, aby nie umieszczać w tekście ani jednego słowa, w którym mógłbym zrobić błąd ortograficzny.

Profesor Niziołowa, zwana przez nas Niziołką, przyszła do liceum dosyć późno i uczyła mnie ostatnie dwa lata. Czegoś ciekawego i sympatycznego trudno o niej powiedzieć. Stara panna, o grubokościstej budowie ciała oraz dosyć niesympatycznej urodzie i takim też charakterze. Nieprzystępna, uparta, a przy tym apodyktyczna. Próbowała za wszelką cenę zaskarbić sobie zaufanie i przyjaźń uczniów, a szczególnie dziewczyn, lecz po jakimś czasie wszyscy poznali się na niej, gdyż wykorzystywała zdobyte od nich informacje na radzie pedagogicznej przeciwko uczniom.

Ja przejrzałem ją dużo wcześniej i nie pozwoliłem wykorzystywać się do jej celów. W związku z tym odnosiła się do mnie chłodno, a nawet wrogo. Nic nie ustępował jej młodszy brat Stanisław, który chodził ze mną do tej samej

klasy, a nawet siedział po sąsiedzku w jednej ławce. Uważał się za zdolnego i inteligentnego, co nie było do końca prawdą, bo dobre wyniki w nauce uzyskiwał dzięki „kuciu" i pomocy siostry. Przy tym był niezwykle złośliwy. Musiałem na niego szczególnie uważać, ponieważ często mnie prowokował, a opinię miałem nienajlepszą.

W internacie

Za wyjątkiem jednego roku, przez wszystkie pozostałe lata liceum mieszkałem w internacie. W pierwszym okresie internat mieścił się w zabudowaniach klasztornych ojców Bernardynów (ilustr. 13). Sam klasztor stoi na małym płaskowyżu zbocza góry Żar. Przed nim rozpościera się pochyłe, kamieniste przedpole, skąd rozpoczynała się droga krzyżowa. Bezpośrednio przed kościołem znajduje się duży plac wyłożony betonowymi płytami i ogrodzony murem oraz metalowo-kamiennym płotem, na którym stoją figury świętych. Z owego placu kilkudziesięciostopniowe i bardzo szerokie schody prowadzą do drzwi głównych kościoła i do drzwi bocznych. Drzwiami bocznymi chodziło się przez refektarz i wewnętrzne korytarze do części gospodarczej i internatu.

Kościół zbudowany w stylu barokowym przedstawia się bardzo okazale. Posiada dwie bardzo wysokie wieże, pomiędzy którymi mieści się olbrzymia sala kościoła z ołtarzem głównym pośrodku. Po lewej stronie ołtarza głównego znajduje się kaplica z cudownym obrazem Matki Boskiej. Ołtarz główny jest dwustronny. Z tyłu znajduje się mniejsza sala, także niezwykle piękna i przeznaczona raczej dla celów zakonnych oraz spotkań dostojników kościelnych.

Zabudowania z prawej strony kościoła to zabudowania typowo klasztorne. Są tam pomieszczenia mieszkalne zakonników, sale modłów, biblioteki i inne niezbędne do życia zakonnego pomieszczenia. Znajduje się także sporo korytarzy, na ścianach których zawieszone jest mnóstwo dużych obrazów. Wśród nich największą moją ciekawość budziły obrazy przedstawiające sponsorów, fundatorów i darczyńców, dzięki którym powstał ów kompleks. A nazwiska to były znakomite. Wśród nich między innymi: Lanckorońskich, Zebrzydowskich, Opalińskich, Potockich, Czartoryskich i wielu innych, także znamienitych. Bardzo ciekawe były epitafia, gdzie spisano wszystkie koligacje oraz posiadane majątki. Panował tam zapach staroci i te wrażenia wzrokowo-węchowe sprawiały, iż prawie namacalne czuło się historię i jak gdyby było się jej uczestnikiem.

Na ścianie tylnej kościoła, prawie pod samym dachem, zawieszone były na łańcuchach dwa olbrzymie kawałki kości. Maluczkim opowiadano, że to kości naszych praprzodków – Adama i Ewy. Były to prawdopodobnie kości mamutów lub innego wielkiego, jurajskiego gada. Dalej już był duży kompleks gospodarczy z olbrzymim podwórzem, na środku którego stała duża studnia.

Internat zajmował część południowo-zachodnią zamkniętego kompleksu gospodarczego klasztoru. Był to długi budynek piętrowy w kształcie muru

obronnego, ciągnący się od południowej krawędzi klasztoru do czworobocznej, dwupiętrowej wieży narożnikowej. W środku budynku znajdowała się solidna, prawie obronna, brama wjazdowa na przyklasztorny dziedziniec, odgrodzony także od świata podobnym murem z pozostałych stron. Od wewnętrznej strony, czyli od dziedzińca, mury posiadały duże podcienia, umożliwiające poruszanie się wzdłuż nich bez wychodzenia na deszcz i śnieg.

W tej części na parterze mieściła się stołówka i kuchnia z zapleczem oraz duża świetlica. Zaś na piętrze sale sypialne dziewczyn. Sala sypialna chłopców mieściła się na pierwszym piętrze baszty. Prowadziły do niej strome i wąskie drewniane schody. Była olbrzymia. Wydaje się, że mogła mieć 15 na 15 metrów, jeśli nie więcej. Mieszkało nas tam zawsze kilkudziesięciu i jeszcze było trochę wolnego miejsca. Stał tam również metalowo-kaflowy piec do ogrzewania pomieszczenia. Do toalety chodziło się na zewnątrz, gdzie był murowany budyneczek, a w nim damskie i męskie ubikacje.

Mieszkańcy internatu tworzyli ciekawą społeczność. Chłopcy byli mieszkańcami okolicznych, ale trochę oddalonych wiosek, a także pochodzili z domów dziecka, przeważnie z Zakrzowa. Byli wśród nich: Józek Cichoń z Paszkówki, wspaniały kolega i piłkarz, który jednak nie zdał matury i liceum nie ukończył. Zenek Maślanka z Woli Radziszowskiej, śniadej urody i o wystających lekko kościach policzkowych, a więc o domieszce krwi tatarskiej, którzy przed wiekami zostali osiedleni w tej miejscowości. Jasiu Lach z Bieńkówki, niezwykle sympatyczny i lubiany przez wszystkich mały chłopaczek i wielu, wielu innych.

Każdy z nas miał już mniejsze lub większe doświadczenia życiowe, a wielu paliło nałogowo papierosy. Ja także próbowałem papierosów już wcześniej. Najpierw były to papierosy robione z gazety i suchych liści grochowych, potem z krojonego tytoniu zawiniętego w bibułkę, a następnie prawdziwe wytwarzane fabrycznie. Te pierwsze, prawdziwe kupowaliśmy z kolegami jeszcze w okresie szkoły podstawowej. Jak pamiętam były to papierosy bardzo lekkie, przeważnie z ustnikiem, na przykład Płaskie, Damskie. Wówczas nie paliliśmy nałogowo, a raczej dla szpanu.

Inaczej już było w internacie. Tu nałogowo palili prawie wszyscy uczniowie starszych klas. Palenie więc nobilitowało najmłodszych, a jednocześnie dawało starszym gwarancje, że jakiś tam *ósmak* (ośmioklasista) nie będzie kablował, czyli donosił na palaczy. W ten sposób najmłodsi szybko wpadali w nałóg, a następnie w kłopoty w szkole wynikające z palenia, bowiem w liceum nie tolerowano palenia i zwalczano go na wszystkie dostępne sposoby. Zostałem wówczas nałogowcem, a rzuciłem palenie mając dopiero czterdzieści kilka lat, w wyniku zagrożenia poważną chorobą krtani i gardła.

Stołówka karmiła znośnie, a niekiedy nawet smacznie. Do potraw, które jadłem po raz pierwszy w internacie, mogę zaliczyć kaszę gryczaną, ruskie pierogi i placuszki mączno-ziemniaczane, smażone na tłuszczu i posypywane cukrem.

Z kaszą gryczaną była dosyć dziwna sprawa, gdyż grykę, zwaną u nas tatarką, uprawiano w Przytkowicach w dużych ilościach. Przeważnie prostokątne,

dość duże połacie gryki bielały pięknie w czasie kwitnienia tu i tam na stokach wysoczyzn. Niestety nie było zwyczaju gotowania z niej potraw. Moje pierwsze zetknięcie z kaszą gryczaną nie było zbyt fortunne. Nie odpowiadał mi smak, a tym bardziej zapach. Smak był nijaki, a zapach smrodliwy. Już z dala czuć było ze stołówki smrodek kaszy, który zniechęcał mnie do jedzenia. I tak pozostawało przez bardzo długi okres, dopiero w wojsku przez jej częste podawanie, szczególnie zimą na poligonach i ćwiczeniach przyzwyczaiłem się do niej, a potem nawet bardzo polubiłem. Dzisiaj jest moją częstą i ulubioną potrawą, szczególnie zraz zawijany z kaszą, kasza ze skwarkami, a także kasza z maślanką.

Ruskie, chociaż niektórzy mówią – polskie, pierogi polubiłem od razu. Ich nadzieniem był farsz składający się z gotowanych i zmielonych ziemniaków oraz twarogu, a także przypraw, w tym w szczególności cebuli, pieprzu i soli. Były podawane prosto z gotującej się wody i polewane tłuszczykiem ze skwarkami lub podsmażane na patelni. Obie wersje były wspaniałe i jakże inne w smaku od pierogów na słodko, na przykład z owocami i jagodami oraz twarogiem.

Lubiłem także bardzo placuszki ziemniaczane. Robiono je z gotowanych i mielonych potem ziemniaków, do których dodawano także odpowiednią ilość mąki i przypraw, a następnie smażono na tłuszczu. Podawano je jeszcze gorące i po wierzchu posypane cukrem pudrem. Naprawę pyszne.

Przy dobrej pogodzie grywaliśmy często w piłkę nożną lub siatkową na dziedzińcu przyklasztornym okolonym zewsząd murami. W starszych klasach organizowaliśmy także mecze: uczniowie z internatu, kontra klerycy. Niestety nasz poziom był z reguły sporo niższy, a więc przeważnie przegrywaliśmy. Jednak nie ma się czemu dziwić. Klerycy ćwiczyli znacznie częściej i w lepszych warunkach, gdyż na terenie klasztoru mieli boiska do koszykówki, siatkówki, a także basen.

Małymi grupkami wypuszczaliśmy się także, aby zwiedzać drogę krzyżową, najczęściej zaś kompleks kapliczek zwany Ukrzyżowaniem. Ponadto często buszowaliśmy po zalesionej górze Żar. Tam po raz pierwszy ujrzałem, będącą pod ochroną, salamandrę. Prezentowała się pięknie. Swoim wyglądem przypominała tłustą i obłą jaszczurkę, ubarwioną w duże szare i jaskrawo-żółte plamy. Wcześniej wiedzieliśmy już o nich tyle, że były pod ochroną, gdyż występowały bardzo rzadko, a ponadto, że należy je brać do rąk tylko przez chusteczkę, ponieważ ludzki pot działa na nie szkodliwie.

Zachodziliśmy także do pustelnika, którego pustelnia mieściła się na samym szczycie góry. Była to murowana chatka, otoczona wokół gęstym lasem i wyglądająca w środku jak dom Baby Jagi. Z wyposażeniem bardziej niż skromnym, za to z wieloma świętymi obrazami na ścianach i mnóstwem wiszących i leżących suszących się ziół.

Pustelnik był przesympatyczny. Zawsze ubrany w tą samą szatę lnianą, trochę brudną i długą prawie do samej ziemi, przewiązaną w pasie zakonnym sznurem. W początkach naszej znajomości był trochę bojaźliwy i małomówny.

Z czasem oswoił się z naszym widokiem i nieraz opowiadał nam wiele ciekawych rzeczy. Przeważnie o roślinach i zwierzętach. Był przy tym zapalonym zielarzem i wiedział o nich prawie wszystko. W pustelni miał całą masę ziół i opowiadając pokazywał jak wyglądają i do czego służą. A opowiadał tak interesująco, iż nawet ci których to mało interesowało słuchali pilnie.

Najciekawsze spotkania były wówczas, gdy spotykaliśmy pustelnika w lesie podczas zbierania ziół. Wówczas pokazywał nam okazy najrzadszych roślin oraz ciekawe zachowania zwierząt. Niekiedy prowadził nas także w miejsca najbardziej urokliwe i pokazywał ich piękno. Lubiliśmy go bardzo, lecz nasza więź uległa zerwaniu gdy internat został przeniesiony do budynku liceum.

Z miejsca, gdzie stały kaplice Ukrzyżowania Pańskiego, w kierunku na nasz internat prowadziła zimą najbardziej stroma trasa zjazdowa, prosto na mur klasztorny. Przy tym była niezwykle niebezpieczna, gdyż na jej końcu pozostawało niewiele miejsca na zrobienie „christiany", to jest nagłego skrętu z natychmiastowym zatrzymaniem. Były także duże trudności z zatrzymaniem rozpędzonych sanek, a przejazd przez bramę na wprost był niemożliwy, gdyż nigdy tam nie było śniegu, a szerokie na kilkanaście metrów podłoże wyłożone było dużymi kamieniami i ziemią.

Zaawansowani narciarze, z reguły dużo starsi od nas, robili jeszcze na tej trasie małą skocznię narciarską, z której wykonywali skoki o długości od kilku do kilkunastu metrów. Organizowali także swoje zawody, kto dalej skoczy i bliżej muru zrobi christianę. W efekcie tego byłem świadkiem, jak jednego ze znamienitszych narciarzy, w wyniku popełnionego błędu, rzuciło o mur. Na skutek doznanych ciężkich obrażeń, młodzieniec ów niestety zmarł. To ostudziło znacznie nasz zapał w uprawianiu sportów zimowych. Tym bardziej, że nasz sprzęt był dużo gorszy i w związku z tym bardziej niebezpieczny.

W ciepłe letnie wieczory lubiliśmy także chodzić na strome zbocza Ukrzyżowania, gdzie wylegiwaliśmy się w trawie, grali w karty i opowiadali dowcipy. Te ostatnie nazywaliśmy kawałami lub wicami, a przy ich słuchaniu i opowiadaniu najmilej spędzało się czas. Były także inne atrakcje. Teren ten był także ulubionym miejscem schadzek młodych par, więc przy okazji można było dosyć często posłuchać ciekawych odgłosów i pooglądać efektowne scenki miłosne. Czasami byliśmy niegrzeczni i złośliwi, i przerywaliśmy te amory w najbardziej interesujących momentach. Teraz wiem, że było to niezbyt mądre, za co owe pary, w tym także nasze koleżanki z liceum, w imieniu własnym i kolegów serdecznie przepraszam. Na koniec muszę zdecydowanie podkreślić, iż nasze ówczesne działanie nie było inspirowane przez nikogo, a tym bardziej przez zwolenników czystości cielesnej i dziewiczej cnoty.

Skoro jesteśmy już przy sprawach damsko-męskich to warto powiedzieć, iż dziewczyny z internatu miały w tych sprawach niemałe osiągnięcia. Dotyczyło to szczególnie uwodzenia braciszków, młodych i urodziwych zakonników. Przejawy zainteresowania mieszkanek internatu widać było szczególnie na zdjęciach grupowych zakonników oraz zdjęciach z różnych uroczystości reli-

gijnych wywieszanych w klasztorze, na których byli powycinani żyletkami najładniejsi chłopcy. Także w czasie uroczystości z masowym udziałem kleryków gremialnie brały udział mieszkanki internatu. Były to rzadkie okazje do zapoznania i uwodzenia biednych braciszków. W efekcie tych działań, w całym okresie istnienia internatu w zabudowaniach klasztornych, trzech kleryków zrezygnowało z zakonu i celibatu, a potem się ożeniło.

Szkolne perypetie

Prawie od samego początku sprawiałem nauczycielom wiele kłopotów w nauczaniu i wychowaniu. Nie byłem przyzwyczajony do dyscypliny i nauki, a charakter miałem prawie nieokiełzany. Nie dotyczy to jednak pierwszego półrocza ósmej klasy, w którym czułem się trochę zagubiony, zdezorientowany oraz jakoś nieswojo i obco w nowym środowisku.

Jak widać minęło mi to dosyć szybko i wcześnie zacząłem zbierać plony swojej głupoty. Już w ósmej klasie zdarzyła mi się pierwsza wpadka z paleniem papierosów. Co prawda była to wpadka zbiorowa i w czasie palenia w ubikacji, ale był to początek szargania sobie opinii. Jeśli do tego dołożymy rozrabianie na lekcjach i w czasie przerw oraz sporo dwój to maluje się obraz mojej bezdennej, młodzieńczej głupoty. Ósmą klasę ukończyłem, mając prawie wszystkie oceny dostateczne. Dla nauczycieli nie był to jednak stan alarmowy, gdyż pierwszy rok liceum był przez nich traktowany jako rok adaptacyjny.

W dziewiątej klasie rozbisurmaniłem się już dokładnie. Na lekcjach wyprawiałem rzeczy trudne do wyobrażenia. Nie będę o nich opowiadał ze wstydu i aby nie psuć młodego czytelnika. Mogę tylko powiedzieć, iż zdecydowaną większość ocen niedostatecznych otrzymałem ze względu na to, iż nie uważałem na lekcjach lub przeszkadzałem w prowadzeniu zajęć. Ponadto miałem także problemy z papierosami i rozrabianiem na przerwach.

W efekcie moich działań na pierwszy okres miałem dziewięć dwój na czternaście przedmiotów, na półrocze cztery dwóje, a na trzeci okres już tylko jedną. Dziewiątą klasę ukończyłem, mając wszystkie oceny pozytywne. Niestety oprócz przebojów z nauką miałem jeszcze większe problemy z zachowaniem. Byłem kilkakrotnie usuwany ze szkoły do czasu przyjścia któregoś z rodziców. Przyczyny tego były różnorodne. Przeważnie papierosowe. Przytoczę więc jedną z nich.

Na przerwie rozrabialiśmy na korytarzu, zresztą jak zwykle. Gonitwy, przepychanki, hałas jak diabli. W tej sytuacji niechcąco wyrżnąłem w bok przechodzącego korytarzem geografa – profesora Janusa. Oczywiście przeprosiłem, a ten ze złośliwym uśmiechem odrzekł:

– Mazurkiewicz, pokaż co masz w kieszeniach!

Byłem pewny, że nic nie mam. Z zadowoleniem pokazałem puste kieszenie spodni i marynarki. I już byłem przekonany, że tę rundę wygrałem, gdy profesor zapytał:

– A w tej małej kieszonce marynarki co masz?

Byłem stuprocentowo pewny, że nic. Włożyłem więc palce do kieszonki marynarki i ku swojemu absolutnemu zaskoczeniu wyciągnąłem ciemnobrązową, prawie czarną fifkę, czyli cygarniczkę, służącą do palenia papierosów. Widząc to oczy profesora poweselały i śmiejąc się zapytał:

– Co to takiego?

Moje szare komórki pracowały tak intensywnie, jak rzadko. W efekcie odpowiedziałem:

– To jest przyrząd do picia kawy i herbaty. Dlatego jest takiego koloru.

Oczywiście nie dano mi wiary i wygoniono mnie po rodziców do domu.

Już pod koniec dziewiątej klasy byłem przedmiotem wielkich dyskusji na radzie pedagogicznej. Uznano bowiem, że jest to pierwszy przypadek w liceum, zlikwidowania tylu ocen niedostatecznych i otrzymania promocji do następnej klasy. Jednocześnie postanowiono, iż w dziesiątej klasie trzeba dać mi nauczkę, abym do końca nie zmarnował swoich zdolności. Dowiedziałem się o tym, już o wiele później, od profesora Janusa.

W dziesiątej klasie kontynuowałem, a nawet udoskonalałem niektóre działania. Dalej paliłem papierosy i miałem z tego powodu dużo kłopotów. W internacie nad tymi sprawami pieczę miała profesor Niziołowa. W sobotę po lekcjach udałem się do internatu. Wychodząc z sypialni spotkałem panią profesor, której na schodach do sypialni zachciało się zrobić mi rewizję. Wiedziałem już, że jej samej robić tego nie wolno. Nie wyraziłem więc na rewizję zgody. Wówczas ona sama rozpoczęła rewizję osobistą, próbując mi włożyć rękę do kieszeni spodni. Na to ja odpowiedziałem uderzeniem jej po rękach. Zaczęło się słowne piekło z jej strony, a następnie wyolbrzymiony donos do dyrektora, który z prawdą nie miał nic wspólnego. Nie muszę mówić, iż znów wyleciałem ze szkoły.

Po ukończeniu dziewiątej klasy, w okresie wakacji zorganizowano nam wyjazd na ziemie północne. Cel tej wyprawy był niezwykle szczytny, gdyż byliśmy przeznaczeni do walki pełnym frontem z amerykańskim imperializmem. Mieliśmy zwalczać jego najgroźniejszego i najbardziej niebezpiecznego wysłannika grasującego na ziemiach polskich, to jest specjalnie nasłanego na nas żuka kalifornijskiego, czyli stonkę ziemniaczaną.

Owczesna propaganda grzmiała na ten temat wszystkimi tonami i akordami, robiąc ludziom wodę z mózgu. Na nas propaganda owa nie robiła żadnego wrażenia, a zapisaliśmy się na wyjazd bardziej z ciekawości świata, niż agitacji nauczycieli.

Wysłano nas na Pomorze Zachodnie, w okolice Czaplinka. Zamieszkaliśmy w barakach na torfowisku, które kiedyś służyły robotnikom wydobywającym torf. Oprócz nas byli tam także licealiści z Książa Wielkiego.

Teren, na którym mieszkaliśmy był w miarę równy i otoczony wokół torfowiskami i niedużymi zagajnikami. Grywaliśmy więc sporo w piłkę nożną i siatkówkę. Szczególnie w siatkówkę, gdyż licealiści z Książa byli w niej mistrzami i wiele mogliśmy się od nich nauczyć.

Chodziliśmy często na mokradła, gdzie rosły bardzo smaczne łochynie. Miały krzewy i owoce podobne do czarnych jagód. Krzewy były jednak prawie dwukrotnie wyższe, a owoce kształtu podłużnego, trochę większe, też czarne, ale z wierzchu bardziej sine i białe w środku. W smaku do złudzenia przypominały smak czarnych jagód.

Chadzaliśmy także często do zagajników, które były znane z tego, iż młodzi żołnierze przyprowadzali tam systematycznie dziewczyny w celach miłosnych. W tym względzie nasze działanie szło w dwóch kierunkach. Zazwyczaj wynajdowaliśmy owe pary, sposobem indiańskim podczołgiwaliśmy się jak najbliżej i oglądaliśmy z zainteresowaniem ów spektakl. Jeśli okazał się interesujący i pouczający to po spektaklu wycofywaliśmy się niepostrzeżenie lub biliśmy zasłużone brawa. Gdy zaś rozwijał się niemrawo i bez właściwego profesjonalizmu, wówczas straszyliśmy parę, która uciekała gdzie pieprz rośnie.

Na początku nasza praca polegała rzeczywiście na zbieraniu stonki. Ale była to robota niezwykle nudna, a stonki jak na lekarstwo. Wówczas to poszliśmy delegacją do dyrekcji PGR-u i oznajmiliśmy, że chcemy naprawdę pracować. Zaś to co robimy to żadna praca i chleb jemy za darmo. Tego nie chcemy i prosimy o porządną robotę. Był to okres żniw, więc dyrektor zapytał:

– Kto z was umie obsługiwać młockarnię?

Zgłosiło się nas dwóch. Tym sposobem z naszej grupy zrobiono dwa zespoły do młócenia zboża. Każdy z zespołów obsługiwał i zabezpieczał pracę jednej młockarni. A praca polegała na tym, iż trzeba było zwieźć zboże z pola do młockarni, wymłócić je maszyną, ziarno zebrać do worków i zawieźć je do magazynu.

Cały klucz do działania leżał w tym, czy ktoś potrafi „puszczać do maszyny", czyli umiejętnie wkładać ścięte zboże, tak aby maszyna właściwie je wymłóciła i nie było przy tym żadnego wypadku. Nas dwóch, którzy się zgłosili, potwierdziło te umiejętności.

Robota szła nam wspaniale, choć codziennie wieczorem byliśmy potwornie umorusani i zmęczeni. Pracowaliśmy tak prawie trzy tygodnie, pomagając w ten sposób temu gospodarstwu. Dyrektor i inni pracownicy nie mogli się nadziwić, że młodzież może być tak pracowita i samodzielna w robocie. Zaś na zakończenie pracy dyrektor przygotował dla nas wspaniałą ucztę i przejazd zaprzęgami konnymi do Czaplinka, a tam pływanie po jeziorze. Ale ja razem z kolegą mieliśmy swoją tajemnicę: żaden z nas wcześniej nie obsługiwał młocarni. Widzieliśmy jednak jak to robią inni, spróbowaliśmy i daliśmy sobie radę.

W dziesiątej klasie w nauce nie byłem gorszy niż w dziewiątej. Mimo to grono nauczycielskie postanowiło mną wstrząsnąć i nie przepuścić do jedenastej klasy. W wyniku tego powtarzałem dziesiątą klasę. W czasie jej powtarzania byłem na absolutnym luzie, gdyż wiedzą przewyższałem moich kolegów, a w zachowaniu rzeczywiście znacznie się utemperowałem.

W klasie jedenastej, tak w szkole, jak i w internacie, zachowywałem się do obrzydzenia przyzwoicie i pod tym względem nie było już ze mną problemów.

Do nauki dalej się jednak nie przykładałem. Wyjątek stanowił trzytygodniowy okres przed maturą. Wówczas wkuwałem na potęgę i doszedłem do takiej wprawy, iż po przeczytaniu jednego lub dwóch podręczników pamiętałem z nich prawie wszystko, ale krótko. Najwyżej dzień lub dwa.

Będąc w klasie maturalnej mieszkaliśmy już w nowym internacie, który mieścił się na poddaszu budynku liceum. Jego pomysłodawcą i realizatorem okazał się dyrektor Siemionow. Był to ładny obiekt ze wszystkimi wygodami. Mieszkało się w nim dobrze, choć tęskniliśmy za klasztorną specyfiką i piękną zielenią. Było tu wygodnie, przede wszystkim dlatego, że nie trzeba było codziennie wspinać się na klasztorne, strome wzgórze i nie traciło się tyle czasu na dojście i przyjście ze szkoły. Chwała dyrektorowi za tę inicjatywę i wielki wysiłek, przy którym miał także sporo kłopotów finansowych z rozliczeniem inwestycji.

Do matury dopuszczony zostałem bez żadnych kłopotów. Zdawałem ją z czterech przedmiotów: języka polskiego, matematyki i historii, jako przedmiotów obowiązkowych i geografii, jako przedmiotu dodatkowego (wybranego). Z języka polskiego i matematyki obowiązywał egzamin pisemny i ustny, a z pozostałych tylko ustny.

Z języka polskiego pisałem wypracowanie związane z twórczością Jana Kochanowskiego. Temat wydawał mi się w miarę łatwy. Całą swoją uwagę skupiłem więc na takim napisaniu tekstu, aby nie było w nim ani jednego słowa, w którym można by popełnić jakiś błąd ortograficzny. I udało się. Po sprawdzeniu opracowań pisemnych profesor Glanowski podszedł do mnie i rzekł:

– Wiedziałem, że ci się uda. A swoją drogą to też duża sztuka, aby napisać wypracowanie maturalne i nie użyć w nim ani jednego słowa, w którym można by zrobić choć jeden błąd ortograficzny.

Miałem jednak dwa błędy, ale tylko interpunkcyjne.

Z matematyki były trzy zadania: jedno z algebry, jedno z trygonometrii oraz jedno z geometrii. Dwa pierwsze rozwiązałem dosyć szybko, ale zadanie z geometrii było bardzo wredne. Dotyczyło bryły utworzonej przez trapez obracający się wokół osi o niecałe 270°. Rozwiązałem go do połowy i dałem sobie spokój, podobnie jak inni.

Na egzamin ustny wchodziło się pojedynczo. Procedura była taka, iż dwie osoby przygotowywały się w obecności komisji do egzaminu, a jedna osoba zdawała w tym czasie egzamin. Zacząłem od matematyki. Miałem trochę szczęścia, gdyż mogłem zdawać prawie bez przygotowania. Należało bowiem udowodnić twierdzenie cosinusów, rozwiązać nierówności równoczesne i obliczyć pole trójkąta prostokątnego wpisanego w okrąg o danym promieniu.

Dwa pierwsze zadania rozwiązałem błyskawicznie na tablicy, a w stosunku do trzeciego powiedziałem, iż szkoda na niego czasu, bo zadanie jest dziecinnie proste i opowiedziałem tylko jak je należy rozwiązać. Dyrektor nie krył zadowolenia z mojej odpowiedzi. Podziękował mi i życzył dalszych udanych egzaminów.

Egzaminu z języka polskiego nie bardzo pamiętam, ale otrzymałem ocenę pozytywną. Z historii miałem dwa pytania. Pierwsze dotyczyło powstania listo-

padowego, a drugie przywilejów szlacheckich w XV i XVI wieku. Na pierwsze pytanie odpowiedziałem wyczerpująco, a z drugim było „różnie". Treść przywilejów znałem, ale dat ich uchwalenia nie. W związku z tym daty składaliśmy we dwoje razem z panią profesor Siemionow. Z geografii trafiłem na dosyć paskudne pytania, bo dotyczące gospodarki Czech, charakterystyki różnego rodzaju skał osadowych i pokazania ich egzemplarzy wśród innych okazów skał oraz pytanie związane z gospodarką regionu świętokrzyskiego. Najgorzej poszło mi ze skałami, a plamę dałem na dodatkowym pytaniu – nad jaką rzeką leży Praga? Tak mnie potwornie zaćmiło, iż za Boga nie mogłem sobie przypomnieć, że nad Wełtawą i aby się bronić powiedziałem, że nad Łabą. Z tego powodu jest mi wstyd do dzisiejszego dnia, mimo tego, że Wełtawa jest dopływem Łaby.

Studniówki, ani balu maturalnego nie pamiętam. Może ich nie było, a może nie brałem w nich udziału. Za to w Przytkowicach oblewałem solidnie swój sukces i radość ze zdanej matury. Ojciec oficjalnie zaprosił mnie na zabawę publiczną, organizowaną przez straż pożarną. Przed wyjściem na zabawę polecił mi wypić pół szklanki roztopionego tłuszczu i dwie szklanki tłustego rosołu.

Na zabawie usiedliśmy razem z innymi przy dużym stole i zaczęło się picie, prawie na umór. Każdy do każdego *przypijał* i piło się zgodnie z tradycją i panującymi zwyczajami z jednego kieliszka. Picie przerywało się tylko tańcami i jedzeniem. Z upływem czasu biesiadnicy zaczęli spadać pod stół. Tych wynoszono za scenę, gdzie dochodzili do siebie. Na zakończenie zabawy zostało nas przy stoliku tylko dwóch – ojciec i ja. Przed wyjściem do domu strzeliliśmy jeszcze po pół szklanki strzemiennego i jak gdyby nigdy nic poszliśmy do domu. Niewtajemniczonym chcę powiedzieć, iż piło się tyko wódkę. Po tym zdarzeniu przez długi czas krążyła po okolicy fama, jacy to Mazurkiewicze *chojrak*i w piciu, bo wykończyli wszystkich współbiesiadników, a sami trzeźwi poszli do domu.

Przytkowice–Kalwaria i z powrotem

W czasie uczęszczania do liceum była to stała trasa moich wędrówek. Podczas zamieszkiwania w internacie pokonywałem ją raz w tygodniu, natomiast w trakcie powtarzania dziesiątej klasy codziennie. Szosą, liczyła ona około siedmiu, a na skróty około pięciu kilometrów. Trasę tę można było pokonywać na trzy sposoby – pieszo, pociągiem i rowerem.

Pieszo od domu *Kaźmiyrza* szło się kawałek *starą drogą*, aby przy Morku skręcić na wąski chodnik (ścieżkę), prowadzący w kierunku *Ludki*. Tym chodnikiem szło się ukosem przez pola w dół do *Padołów*, a następnie także skosem w górę przez Księże Pola i wychodziło się na *dziołową* drogę. Stamtąd już drogą gruntową wzdłuż skraju lasu *Ludka*, dalej odkrytym wzniesieniem, aby następnie rozpocząć schodzenie bardzo stromym, południowym stokiem tego wznie-

sienia. Idąc dalej przechodziło się przez nieduży lasek pod tak zwaną *Poską* i dochodziło się do strumyka, przez który prowadziła kładka w postaci dwóch długich i złączonych ze sobą pni. Niekiedy, ale nie zawsze była jeszcze poręcz, która umożliwiała przytrzymywanie się i bezpieczniejsze przejście nad potokiem.

Dalej szło się brzegiem wysokiego i na ogół błotnistego wąwozu, na dnie którego biegła droga gruntowa. Tym chodnikiem dochodziło się już do gościńca, a nim do stacji kolejowej Przytkowice. Od niej znowu wchodziło się na chodnik, który prowadził przez zebrzydowickie łąki do konwentu Bonifratrów. Po drodze dwa razy przekraczało się koryto rzeczki Skawinki oraz pokonywało jej dosyć strome brzegi, a także przechodziło się obok boiska piłkarskiego Zebrzydowianki, która ówcześnie grała w A klasie.

Konwent Bonifratrów (po polsku Dobrych Braci) był kompleksem kościelno-gospodarczym, w którym w tamtych czasach mieścił się i gospodarował PGR (Państwowe Gospodarstwo Rolne). Zabudowania były po lewej stronie, i przy nich wychodziło się znowu na drogę bitą. Idąc dalej, po prawej stronie drogi był duży staw rybny, a następnie biegnąca pod górę droga przecinała podwójną linię torów kolejowych, prowadzących z Krakowa do Kalwarii Lanckorony oraz od niej do Kalwarii Zebrzydowskiej.

I już prawie było się w Kalwarii. Jeszcze tylko przejście drogą koło piekarni, w której wypiekano bardzo smaczny oraz znany w całym regionie chleb i jeszcze około 400 metrów ulicą prowadzącą do centrum i już było się w liceum.

Letnią i ciepłą porą wracając na piechotę z Kalwarii do domu bardzo często urządzaliśmy marszobiegi i biegi, ścigając się kto zwycięży. Najczęściej brało w tym udział dwóch moich młodszych kolegów: Julek Morek, Zenek Lenkiewicz i ja. Przeważnie rozpoczynaliśmy zawody po minięciu stacji kolejowej w Przytkowicach i ścigaliśmy się aż do domu. A trasa była mordercza. Najpierw bardzo stromo pod *Ludkę*, potem dosyć długo po prawie równej drodze *dziołowej* i dla odsapnięcia w dół chodnikiem do *Padołów*, aby następnie resztką sił pokonać ostatni odcinek pod górę do domu Morka. Przeważnie na tej końcówce pod ostre wzniesienie rozstrzygały się wyniki zawodów. Tam też nauczyłem się stosować taktykę umożliwiającą osiąganie zwycięstwa.

Droga pociągiem była podobna, ale trzeba było wpierw dojść do stacji kolejowej Kalwaria Lanckorona, stamtąd przejechać do stacji Przytkowice, a potem pieszo trasą do domu, jak opisałem uprzednio. Z liceum do stacji Kalwaria Lanckorona było nie mniej niż kilometr do półtora, idąc nawet na skróty, a więc jadąc pociągiem niewiele się zyskiwało, a nawet niekiedy traciło na czasie. Mimo tego, szczególnie przy brzydszej pogodzie lub większym lenistwie, jeździliśmy pociągiem.

Z tym wiąże się pewne nieporozumienie, które trudno mi wytłumaczyć. Moją koleżanką z klasy była córka naczelnika stacji Kalwaria Lanckorona, bardzo sympatyczna i ładna dziewczyna Danusia Kurek. Niewielkiego wzrostu

baryłeczka, o ładnej buzi i kruczoczarnych włosach. Mieszkała w budynku stacyjnym na pierwszym piętrze. Gdy siedzieliśmy w wolnych wagonach stojących na stacji w oczekiwaniu na przyjazd naszego pociągu, ona niekiedy wyglądała przez okno. A więc, gdy przed naszym odjazdem stała w oknie, zawsze przekazywaliśmy jej całusy. Byliśmy przekonani, że do niczego one nie zobowiązują. A tu wnet się okazało, że zrobiono z nas w klasie narzeczonych. Pewnie to przez dziewczęce plotki, bo ja wówczas zbytnio za dziewczynami nie rozglądałem się. Dla chłopaków to nie był jeszcze ten czas, chociaż nasze koleżanki dawno już czuły „wolę Bożą".

Rower kupił ojciec w 1956 roku, chyba na talon otrzymany w zakładzie pracy. Był to piękny czeski rower sportowy marki Eska Faworit, mający hamulec przedni i tylni oraz kierownicę w kształcie baranich rogów, czyli typową dla ówczesnych rowerów kolarskich. Początkowo pilnował go jak największą świętość, lecz pomału miękł i coraz częściej pozwalał mi jeździć.

Gdy powtarzałem dziesiątą klasę, przez znaczną część roku dojeżdżałem do szkoły na rowerze. Na rowerze jeździłem już inną trasą, a więc z domu gościńcem przez *Dół* do stacji kolejowej, potem ścieżką wzdłuż torów kolejowych i polną drogą do *Konwentu*, a dalej, tak samo jak pieszo do liceum. Jadąc z powrotem nigdy nie wracałem przez *Ludkę*, ponieważ była tak stroma, iż samemu wchodziło się bardzo ciężko, nie mówiąc już o rowerze. Przy tej okazji przypomnę dwa ciekawe zdarzenia związane z jazdą na rowerze.

Od zawsze byłem twórczy w działaniu. Nigdy nie chciałem chodzić lub jeździć tą samą trasą, ścieżką, a jeżeli już to nie tak samo. Zjeżdżając na rowerze serpentyną gościńca w dół, w kierunku szkoły i kościoła robiłem próby. Jak daleko zajadę bez hamowania? Co każdy kolejny zjazd to później rozpoczynałem hamowanie. I tak za którymś razem zjechałem bez hamowania prawie do samego zakrętu przy szkole podstawowej.

Nadszedł wreszcie czas, aby spróbować zjechać bez hamowania w ogóle. Rozpocząłem od Dworu. Jechało mi się świetnie, aż do ostatniego zakrętu. Tuż przed nim stwierdziłem, że mam za dużą prędkość. W tej sytuacji, jeżeli mocno przyhamuję wpadnę w poślizg i wyląduję w krzakach, kilka metrów niżej. Gdy pojadę bez hamowania to siła odśrodkowa może wyrzucić mnie w to samo miejsce.

Zdecydowałem błyskawicznie – zjadę do końca bez hamowania. I tak się stało. Na skutek działania siły odśrodkowej wypadłem z trasy i wpadłem gęste krzewy dzikiej róży, bzu i głogu. Lądowanie miałem więc miękkie, lecz nieprzyjemne. Wyszedłem z nich w ubraniu w strzępach oraz zadrapaniami i zranieniami na całym ciele. Zakończyłem więc eksperymenty na tym odcinku drogi, uznając, że tą serpentyną gościńca bez hamowania zjechać się nie da. Na miejscu owego gościńca powstała później asfaltowa droga, lecz znacznie już wyprostowana.

I drugie zdarzenie. Było tylko zaraz po deszczu. Jechałem rowerem z Kalwarii do domu. Przejechałem przejazd kolejowy i z górki zacząłem zjeżdżać

w dół. A że gościniec był bardzo kamienisty próbowałem jechać wąską ścieżką dla pieszych, prawie nad samą fosą. W pewnym momencie zorientowałem się, że jest bardzo śliska i mogę w każdej chwili wylądować w rowie. Aby temu zapobiec spróbowałem skręcić i skierować rower na część jezdną, wyłożoną tłuczniem. Jednakże na drodze mojego manewru znalazł się spory dołek zalany wodą. Aby go pokonać należało poderwać kierownicę i przednie koło do góry, aby przeleciało nad tym dołkiem. Tak też zrobiłem, lecz za wcześnie i poderwane wcześniej przednie koło wpadło akurat w sam najgłębszy środek tego dołka.

Efekt był taki, że wyleciałem przez kierownicę w przód jak z katapulty i przeleciałem około dwudziestu metrów. Oprzytomniałem leżąc na brzuchu na środku szosy. Pierwszym moim podświadomym odruchem było sprawdzenie w jakim jestem stanie. Nie zdając sobie z tego w ogóle sprawy zacząłem od głowy. Przekręciłem nią najpierw w jedną, a później w drugą stronę. Ucieszyłem się, że z głową wszystko w porządku. Następnie zacząłem ruszać najpierw jedną ręką, a później drugą. Tak samo z nogami. Jakiż ja byłem szczęśliwy, że nic sobie nie połamałem.

Potem podniosłem głowę i zobaczyłem niecodzienny widok. Przede mną klęczała starowina i modliła się z rękami wyciągniętymi do góry. Pewnie myślała, że już ze mną koniec.

Powoli podniosłem się z ziemi i spojrzałem po sobie. Wyglądałem przeraźliwie. Z nosa ciekła krew. Ubranie zdarte na kolanach i łokciach. Dłonie, kolana i łokcie we krwi. Ale rower cały i niewiele uszkodzony. Wsiadłem więc na niego i spokojnie dojechałem do domu.

Śmierć mamy

Był lipiec 1957 roku, a więc czas wakacji. Ukończyłem wówczas dziesiątą klasę i otrzymałem promocję do jedenastej. Pogoda tego lata dopisywała, a my w dalszym ciągu mieszkaliśmy w chałupie *Kaźmiyrza*.

Był to także czas żniw. W ten feralny dzień 20 lipca poszliśmy z mamą na nasze pole, leżące przy rozwidleniu gościńca, prowadzącego od Dworu na *Drobóz*, z *dziołową* drogą. Mama pracowała chyba przy ziemniakach, a ja opiekowałem się siostrą, ponadto rozrzuciłem siano z kopek i przesuszałem je na łące.

Zbliżała się pora południa. Słońce grzało mocno i niebawem powinniśmy wracać do domu. W tym momencie podeszła do mamy nauczycielka, która szła z *Droboza* w kierunku szkoły. To jej przed kilkoma dniami mama obiecała sprzedać kurkę na rosół. W związku z tym powiedziała, że idzie do domu złapać kurę dla nauczycielki i przygotować obiad, a ja mam powoli kończyć swoją robotę, zabrać ze sobą siostrę i przyjść na obiad.

I tak się stało. Po około godzinie przyszliśmy z siostrą do domu, ale frontowe drzwi były zamknięte. Obszedłem więc chałupę od tyłu i wszedłem przez

szopę do sieni. Było ciemno, ale mimo tego dostrzegłem leżącą tam mamę. Nie zastanawiając się zbytnio, otworzyłem natychmiast drzwi na zewnątrz. Gdy wpadło światło zobaczyłem, że mama nie daje znaku życia. Nie znając się jeszcze na udzielaniu pierwszej pomocy i reanimacji, intuicyjnie poruszałem jej rękami i uciskałem klatkę piersiową. Niestety bez żadnego rezultatu. Siostra narobiła krzyku i przybiegli także sąsiedzi. Któryś z nich przyłożył mamie do ust lusterko i stwierdził, że nie jest zaparowane, a więc mama nie żyje.

Przez dłuższy czas nie docierał do mnie fakt, że to jest prawda. Gdy jednak uświadomiłem to sobie, popadłem w rozpacz i jakiś dziwny stan odrętwienia umysłowego, ale nie tylko. Drętwiały mi ręce i nogi do tego stopnia, iż rąk nie czułem prawie do ramion, a palce u rąk zaciskały się tak, że nawet przy pomocy innych nie mogłem ich wyprostować. Zaś nogi miałem prawie bezwładne. Nie mogłem się na nich poruszać i nie blokowały mi kolan. W efekcie nie mogłem nawet stanąć.

W związku z tym miałem problemy w uczestniczeniu w pogrzebie i gdyby nie pomoc innych, którzy w tym czasie podtrzymywali mnie, nie byłbym w stanie wziąć udział w ostatniej drodze mamy. Siostra miała wówczas jedenaście lat i też na pewno mocno przeżyła tę tragedię.

Po śmierci mamy ojciec zadecydował, że przeniesiemy się do starego, drewnianego domu Antosów. Chodziło przede wszystkim o to, aby zapewnić lepszą opiekę siostrze w sytuacji, kiedy ojciec pracuje w Skawinie, a ja chodzę do jedenastej klasy i mieszkam w internacie. Pewnie było jej ciężko i niewesoło samej, gdy ja byłem w Kalwarii, a ojciec przyjeżdżał późno z pracy. Jednakże pod okiem ciotki Maryśki było jej chyba raźniej. Tym bardziej, że śniadanie i obiad robiła dla niej ciotka.

Po śmierci mamy zaczęło się także moje gotowanie i pieczenie. Z naszej trójki tato był tylko teoretykiem, siostra za mała, a więc los wskazał na mnie. Do tej pory nie miałem żadnych doświadczeń w gotowaniu i pieczeniu ciast. Gdy przychodziła sobota, a szczególnie niedziela gotowanie spadało na mnie.

Uczyłem się jednak szybko i z biegiem czasu robiłem nie tylko byle co, lecz także dania wykwintne i smakowite. Schab z ziemniakami i kapustą, naleśniki, różne placki, zrazy i inne proste drugie dania to była dla mnie pestka. A robiłem także barszcz czerwony z uszkami, różnego rodzaju pierogi itp. Najtrudniejszą sztuką było zrobić bardzo dobrą zupę i jeszcze lepszy sos. Do tego trzeba było mieć wyobraźnię, wiedzę, wyczucie smaku i zawsze trochę szczęścia. Wydaje mi się, że od samego początku radziłem sobie nieźle, a po jakimś czasie nawet dobrze.

Piekłem także różne ciasta. Przeważnie z okazji świąt. W tym moją nauczycielką była ciotka. Swego czasu wspólnie przygotowywaliśmy ciasta, lecz oddzielnie babki biszkoptowe. Razem wsadziliśmy je do pieca i piekliśmy. Po wyjęciu z pieca okazało się, że moja wyrosła wspaniale, a ciotki opadła i zrobił się zakalec. Zacząłem więc żartować z jej umiejętności. Tak ją tym dotknąłem, że obraziła się zupełnie i nie odzywała do mnie prawie przez miesiąc.

Studia

Pod koniec jedenastej klasy powstał problem: co dalej. Żyła tym spora część klasy. Niektórzy koledzy już dużo wcześniej mieli ściśle określony cel i wiedzieli co będą robić. Jednak większość zwlekała z tym do ostatniej chwili. Ja także.

Ojciec namawiał mnie, aby pójść na studia. Najlepiej do Krakowa, bo najbliżej, dobry dojazd i mieszkała tam jego ciotka Jasiołkowa. Co do kierunku to chciał, abym został inżynierem. Ale ja, jak zwykle, miałem swoje poglądy i z dzisiejszego punktu widzenia muszę przyznać, że niegłupie.

Obmyśliłem sobie, że w związku z tym, iż najlepszy jestem z matematyki, biologii i geografii, a oprócz tego wychowałem się na wsi i trochę znam się na rolnictwie to najlepszy dla mnie będzie Wydział Melioracji Wodnych Wyższej Szkoły Rolniczej w Krakowie. Wydawało mi się bowiem, że może dać ciekawą pracę techniczną na obszarze całej Polski.

Bez konsultowania z ojcem złożyłem więc papiery na tę uczelnię. Nadszedł czas egzaminów wstępnych. Egzaminy zdawałem w gmachu głównym akademii, mieszczącym się przy alei Trzech Wieszczy, a dokładnie przy alei Adama Mickiewicza, naprzeciwko Muzeum Narodowego i Akademii Górniczo-Hutniczej. Obejmowały one matematykę, biologię i chyba fizykę.

Z matematyki i biologii poszło mi dobrze, zaś z fizyki słabiej. Nie byłem więc pewny, czy dostanę się na studia, tym bardziej, że o ile na pozostałe wydziały i kierunki akademii kandydatów było mniej więcej tylu, ile było miejsc, a na niektórych kierunkach nawet mniej, o tyle na Wydział Melioracji było ponad trzech kandydatów na jedno miejsce.

Jakaż wiec była moja radość, a zapewne i ojca też, gdy otrzymałem zawiadomienie o zdanych egzaminach, a następnie przyjęciu mnie na pierwszy rok studiów na Wydziale Melioracji Wodnych Akademii Rolniczej w Krakowie.

Było to duże wyróżnienie, o czym dowiedziałem się później. Uznawano bowiem, że ten wydział był wydziałem elitarnym w ramach Akademii Rolniczej. Wiązało się to z najwyższym utechnicznieniem studiów na tym kierunku oraz największymi perspektywami rozwojowymi i finansowymi po ich ukończeniu. Ta ocena dotarła do mnie najpierw przez moich znajomych, którzy dowiedzieli się na jaki kierunek zostałem przyjęty, a następnie zrozumiałem to w kontaktach z nauczycielami akademickimi i studentami innych wydziałów.

Dziekanat wydziału mieścił się na południowym końcu ulicy świętego Marka, bardzo blisko, a nawet na samym skraju Plant południowych. Było tam sporo sal wydziałowych, w których prowadzono specjalistyczne wykłady, ćwiczenia i egzaminy. Prowadzone tam wykłady dotyczyły geodezji i kartografii, budowli wodnych i inżynieryjnych oraz innych przedmiotów związanych z melioracją. Tam też odbywały się ćwiczenia z przedmiotów, tworzących ogólnie matematykę oraz z rysunku technicznego.

Wykłady z takich przedmiotów, jak matematyka wyższa, geometria wykreślna i analityczna oraz fizyka odbywały się na Uniwersytecie Jagiellońskim

i prowadzone były przez profesorów tej uczelni w gmachu Collegium Witkowskiego i Collegium Minus. Natomiast wykłady i ćwiczenia z szeroko pojętej biologii prowadzone były w gmachu przy Mickiewicza, przez profesorów Akademii Rolniczej innych wydziałów. Także tam prowadzili zajęcia oficerowie w ramach Studium Wojskowego.

Olbrzymie wrażenie zrobiły na mnie wykłady prowadzone przez profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z taką klasą i maestrią w prowadzeniu wykładów zetknąłem się po raz pierwszy. Byłem absolutnie zaszokowany, gdy profesorowie prowadzący wykłady bez żadnych notatek, mając tylko kredę i tablicę, przez dziewięćdziesiąt minut potrafili jednocześnie wspaniale i prosto mówić o rzeczach niezwykle skomplikowanych i przy tym bez przerwy zapisywać tablice wzorami matematycznymi, ilustrującymi lub uzasadniającymi tok ich wywodów. To było i piękne i logiczne, a przy tym dla mnie bardzo trudne.

Bardzo lubiłem geodezję, nauki biologiczne i matematykę. Z matematyki zaś macierze. Jednakże sam przeskok od nierówności algebraicznych, trygonometrii i geometrii szkoły średniej do rachunku różniczkowego i całkowego, analizy matematycznej i geometrii wykreślnej początkowo był dla mnie szokiem. To tak, jak gdybym znalazł się w całkowicie innym świecie, w którym nauka i wiedza szkoły średniej nie ma żadnego znaczenia, ani odniesienia do tego, czego uczą na studiach.

Z tym wszystkim jakoś sobie radziłem. Największe problemy miałem z rysunkiem technicznym, o którym wcześniej nie miałem zielonego pojęcia, a przecież pisałem jak kura pazurem, a także z geometrią wykreślną. W tej ostatniej dziedzinie trzeba było mieć już wcześniej doskonaloną wyobraźnię techniczną i przestrzenną, a ja zetknąłem się z nią po raz pierwszy. To był naprawdę szok, bo oprócz wyobraźni trzeba było także biegle operować rysunkiem technicznym. W tym nieszczęściu nieco szczęśliwym układem było, że podobne problemy mieli prawie wszyscy studenci naszego wydziału.

W ramach szkolenia wojskowego studentów, raz lub dwa razy w miesiącu prowadzono całodzienne zajęcia ze studentami, przy czym koleżanki nie uczestniczyły w tym szkoleniu. Prowadzili je oficerowie zawodowi, przeważnie w stopniach majorów i pułkowników, pracujący w Studium Wojskowym Akademii Rolniczej.

Były to zajęcia dosyć ciekawe i prowadzone przeważnie w murach uczelni. Wykładowcy w mundurach byli sympatyczni i niezwykle przystępni, a za tym, jak to nazywaliśmy – równi. Był jednak pewien uciążliwy rytuał. Przed zajęciami każdorazowo należało się przebrać w wojskowy mundur i w nim brać udział w zajęciach. Umundurowanie stanowił zielony drelich, taki jak ówczesne mundury wojskowe, furażerka lub polowa rogatywka oraz pas i czarne skórzane buty z podkówkami i ćwiekami pod spodem.

Od czasu do czasu odbywały się także strzelania na strzelnicy w Woli Justowskiej oraz zajęcia saperskie na poligonie Pasternik. Muszę przyznać, że lubiłem te zajęcia, a strzelanie należało do moich większych przyjemności. Tym

bardziej, że strzelałem wyśmienicie. Także zajęcia saperskie były dla mnie ciekawe. Mimo że kopaliśmy okopy strzeleckie najpierw do pozycji leżąc, potem klęcząc, a następnie stojąc i do tego w zimie, i za pomocą małych łopatek saperskich, to przy moim doświadczeniu drążenie ziemi szło mi sprawnie i szybko, w przeciwieństwie do moich kolegów.

A teraz dla odmiany kilka słów o warunkach studiowania. Wykłady i ćwiczenia odbywały się w różnych porach dniach. O ile wykłady przeważnie do południa i to z różnymi przerwami, o tyle ćwiczenia z reguły po południu i wieczorem. A dojeżdżałem z Przytkowic. Wstawałem więc z reguły przed czwartą, następnie szedłem piechotą na przystanek kolejowy i dalej pociągiem osobowym jechałem do Krakowa. Wysiadałem przeważnie w Borku Fałęckim, aby dalej tramwajem dojechać do centrum. Było to szybciej niż jechać pociągiem dalej do Krakowa Płaszowa, a stamtąd dopiero po przestawieniu lokomotywy do Krakowa Głównego.

Zajęcia kończyłem przeważnie około dziewiętnastej, a niekiedy nawet o dwudziestej pierwszej. Przyjeżdżałem więc do domu sporo po dwudziestej pierwszej lub około północy. A przed czwartą trzeba było znowu wstać i tak w kółko, za wyjątkiem niedziel. W tych warunkach uczyłem się niewiele, przeważnie wykorzystując jazdę pociągiem i dłuższe przerwy między zajęciami. Ale to nie było takie łatwe, gdyż zmęczenie dawało znać o sobie i w pociągu często zasypiałem, a w przerwach miedzy zajęciami należało się przemieścić z jednego kompleksu budynków do drugiego, gdyż jak już wspominałem, zajęcia odbywały się przy ulicy św. Marka, alei Adama Mickiewicza i na Uniwersytecie Jagiellońskim.

W ten sposób mój organizm długo nie wytrzymał. W styczniu, w trakcie sesji egzaminacyjnej, po zdaniu połowy egzaminów i zaliczeń ciężko zachorowałem. Chyba zapalenie płuc, wysoka temperatura i olbrzymie osłabienie sprawiły, że przeleżałem w łóżku ponad miesiąc, a następnie kurowałem się prawie do kwietnia. W związku z tym kontynuowanie studiów nie było już możliwe. Wziąłem więc urlop dziekański z zamiarem, iż zacznę ponownie od nowego roku akademickiego.

W międzyczasie ojciec dogadał się ze swoją ciotką Jasiołkową, wywodzącą się z domu Kędziorów, iż od pierwszego października zamieszkam u niej. Jasiołkowie mieszkali na Olszy, nad Czerwonym Prądnikiem, niedaleko cmentarza Rakowickiego. Mieli mały domek, a w nim trzy pokoje i kuchnię. Mieszkał tam stary Jasiołek z żoną oraz jego dorosła córka z mężem i dziećmi. Razem sześć osób oraz moja skromna osoba.

Sam Jasiołek był niezwykle sympatycznym starszym panem, o wyglądzie przedwojennego policjanta, którym był rzeczywiście przez długie lata. O dziwo był także policjantem w Krakowie w czasie okupacji, jako że prawie cała przedwojenna polska policja pracowała dalej. Oprócz tej rodziny miał jeszcze dorosłego syna, który przychodził jednak rzadko i nie utrzymywał najlepszych stosunków ze swoją rodziną.

Warunki do studiowania miałem tam o niebo lepsze niż poprzednio, lecz nie miałem własnego kąta. Największą trudność stanowiło kreślenie rysunków technicznych tuszem w obecności dosyć rozbrykanych dzieciaków. Ponadto opłata za moje zamieszkanie i jedzenie była dosyć wysoka. Jeśli doliczyć do tego wydatki na ubrania, różne opłaty, a także na podręczniki i różne przyrządy, to koszt ten przekraczał możliwości finansowe ojca.

Był to koniec 1959 roku, w którym siostra kończyła szkołę podstawową i czternaście lat. W grudniu, już świąteczną porą, rozmawialiśmy o naszej sytuacji i przyszłości. Tata mówił, że jest mu ciężko finansowo, ale jakoś daje sobie radę. Zastanawiał się także, co zrobić z siostrą po ukończeniu szkoły podstawowej. Jaką wybrać dla niej drogę?

Po owej rozmowie długo myślałem o tych problemach. Po głębszych przemyśleniach uznałem, że jako dorosły sam zadbam o swój los, a ojciec niech kształci siostrę. Takie też stanowisko przedstawiłem ojcu, który z bólem, ale je zaakceptował.

W jakiś czas potem uznał, że najlepiej będzie posłać siostrę do ogólniaka. Tym bardziej, iż Władka Ziębowa była nauczycielką w liceum w Bełżycach, które posiadało internat. Siostra mogłaby tam zamieszkać i być pod jej opieką. I tak też później się stało.

Szamotka

To potoczna nazwa Skawińskich Zakładów Materiałów Ogniotrwałych, które powstały dawno przed wojną i zajmowały się produkcją wyrobów szamotowych, dolomitowych i magnezytowych na potrzeby hutnictwa. Wytwarzano je ze specjalnych mieszanek powstałych z mielonych skał.

Po wojnie zakład szybko podjął swoją produkcję dla odbudowy i rozbudowy polskiego hutnictwa. Oprócz wyrobów szamotowych wytwarzał także, chociaż w mniejszym asortymencie, wyroby dolomitowe i magnetytowe. Wszystko to były produkty mogące pracować w bardzo wysokich temperaturach, między innymi przy wytopie stali. Jednakże, mimo iż stale zwiększał produkcję, początkowo nie był ani zbytnio modernizowany, ani rozbudowywany. Rozbudowa nastąpiła dopiero w latach siedemdziesiątych.

Pracę w Szamotce załatwił mi ojciec, który pracował tam od wielu lat. Udało mu się znaleźć dla mnie pracę w kontroli technicznej. Ale jakby się na pozór wydawało, nie była to praca umysłowa, lecz czysto fizyczna. Trwała osiem godzin dziennie i pracowało się na dwie zmiany. W jednym tygodniu na pierwszą zmianę od szóstej rano do czternastej, a w drugim tygodniu na drugą zmianę od czternastej do dwudziestej drugiej. I tak w kółko. Pracowało się na dworze, ale pod dachem w magazynie wyrobów, głównie szamotowych.

Praca polegała na tym, że po każdorazowym wypaleniu nałożonego do pieca wsadu w postaci cegieł i najprzeróżniejszych kształtek przeznaczonych do

wielkich pieców hutniczych, robotnicy piecowi, jeszcze w gorącym piecu załadowywali je na odpowiednie wózki i wywozili na plac. Tam przejmowała je kontrola techniczna, która rozwoziła je w odpowiednie miejsca, zdejmowała z wózków, sprawdzała i sortowała, a także naprawiała przeróżne pęknięcia i uszkodzenia. Pęknięcia naprawiało się przez wcieranie w nie mieszaniny mielonego szamotu i szkła wodnego, a powstałe niewielkie ubytki uzupełniało się podobną mieszaniną.

Na początku praca była dosyć trudna, gdyż cegły były prawie identyczne, a różniły się tylko składem chemicznym i niewielkimi oznaczeniami, umieszczonymi na ich powierzchni. Zaś pozostałe wyroby były niekiedy niezwykle skomplikowane w budowie. Zdarzały się także o kształtach lustrzanych. Posługując się tylko wzrokiem należało bardzo uważać, gdyż można było je źle posortować i inne niż potrzeba wysłać do odbiorcy. Dlatego też bardzo starannie sprawdzało się wszystkie numery i znaczenia umieszczone na wyrobach.

W czasie godzin pracy zajęć było sporo, ale też zdarzały się przerwy, bo nie zawsze produkty były już wypalone, a piece gotowe do otwarcia. W zasadzie był to jednak proces prawie ciągły. Ładowanie, wypalanie i rozładowywanie pieców komorowych odbywało się po kolei, jako że były one zbudowane w dwóch dużych ciągach i sąsiadowały ze sobą.

Każdy piec zbudowany był z cegły szamotowej. Miał około piętnaście metrów długości i dziesięciu metrów szerokości. Posiadał także półkoliste sklepienie. Zaś rozładowywanie pieców odbywało się zawsze w bardzo wysokiej temperaturze. Przeważnie wówczas, gdy tylko było to możliwe, a więc przy sześćdziesięciu, a niekiedy nawet i siedemdziesięciu stopniach. Istna katorga. Podziwiałem zawsze tych robotników, bo nie dość że pracowali w wysokiej temperaturze, to jeszcze w ogromnym tempie.

W kontroli technicznej pracowało około dziesięciu osób, w tym także kilka dziewczyn, przeważnie mężatek i ode mnie trochę starszych. Miałem tam także serdecznego i o kilka lat starszego od siebie przyjaciela. Był prawie o głowę wyższy, wysportowany i znacznie ciemniejszej karnacji skóry.

Chwalił się, że uprawiał boks w jednym z klubów bokserskich Śląska. Nie bardzo mu wierzyłem, bo z postawy na boksera nie wyglądał, a i nie miał bokserskiego nosa, ani pokiereszowanej gęby. Zacząłem więc go prowokować, a nawet prosić, aby pokazał co potrafi. Długo się wzbraniał, aż stanęliśmy do walki bokserskiej na placu magazynowym. Trwała bardzo krótko. Nie zadałem jeszcze żadnego ciosu, gdy już przebudziłem się leżąc na betonie.

Jak przyszedłem do siebie i otworzyłem oczy, zobaczyłem nade mną zatroskaną twarz kolegi. Podniósł mnie z betonu i serdecznie przepraszał. Powiedział także, iż miał pełne spodnie strachu, myśląc, że coś mi się stało, gdy po ciosie padłem jak długi. Później na moją prośbę opowiedział mi jak to się stało. Powiedział więc, że nie chcąc mnie obijać jak zgniłe jabłko, postanowił uderzyć lekko, ale w splot nerwowy na szczęce. W efekcie po jednym ciosie padłem jak długi. A więc parafrazując powiedzenie Cezara – oberwałem, padłem, uwierzyłem.

Przy naszych dalszych rozmowach dowiedziałem się, iż mój przezacny kolega był zawodnikiem klubu bokserskiego Odra Opole i walczył z niezłym skutkiem jako junior. Jednakże podczas jednej z walk bokserskich tak uderzył przeciwnika, że tylko natychmiastowa pomoc lekarska uratowała mu życie. To spowodowało u niego olbrzymi szok i w efekcie wycofał się z walk bokserskich.

W tym czasie w domu radziliśmy sobie jak mogliśmy najlepiej. Z domu do pracy wychodziliśmy przeważnie sporo przed piątą rano, aby zdążyć na pociąg o piątej dwadzieścia i być w pracy przed szóstą. Wstawaliśmy więc około czwartej i po ubraniu się, umyciu, zjedzeniu kromki chleba z herbatą i zrobieniu sobie drugiego śniadania wychodziliśmy z domu.

Na drugie śniadanie, a w naszym przypadku raczej na pierwsze, mieliśmy przeważnie chleb ze smalcem, marmoladą lub z masłem. Rzadko kiedy z kiełbasą. Dlatego po ciężkiej fizycznej robocie głód ściskał żołądek. By temu zaradzić chodziło się do sklepiku, który był na terenie zakładu i kupowało coś do jedzenia. Tym bardziej, iż w domu robiliśmy dopiero kolację.

Do moich ulubionych, a zarazem bardzo tanich posiłków należało: pół lub ćwiartka bochenka chleba, od trzydziestu do pięćdziesięciu deka końskiej kiełbasy i w sezonie pół kilograma pomidorów. To z powodzeniem wystarczało do późnej kolacji.

W tym czasie końska kiełbasa była niezwykle popularna i tania. Wiązało się to z ówczesną polityką państwa w stosunku do wsi, a więc szeroko prowadzoną mechanizacją rolnictwa i zastępowanie koni traktorami i innymi maszynami rolniczymi. W związku z tym następowała szybka wysprzedaż przez chłopów olbrzymiej ilości koni. Ich wykorzystanie w rolnictwie stawało się za drogie, a i niepotrzebne w związku z zatrudnieniem w przemyśle małorolnych chłopów i przechodzenie ich na tak zwane dwu zawodowstwo, czyli stawanie się chłoporobotnikami.

Końska kiełbasa budziła i budzi w Polsce różne kontrowersje. Jedni ją uwielbiają, zaś inni nie wzięliby jej do ust. Mnie bardzo smakowała. Po pierwsze była bardzo chuda. Samo mięso z niewielkimi tylko kawałeczkami słoninki. Po drugie miała bardzo ciekawy, lekko słodki i podobny do tatara, czyli do befsztyku tatarskiego smak. I po trzecie można ją było jeść bez chleba i nawet wówczas się nie przejadała. A po czwarte była o połowę tańsza od najtańszych kiełbas wieprzowych. Jak widać miała same zalety.

Dziś z bólem serca i tęsknotą podniebienia oraz żołądka stwierdzam, iż prawdziwych końskich kiełbas, tak jak prawdziwych Cyganów, już nie ma. A komu to do cholery, przeszkadzało! Podejrzewam, iż Włochom, którzy są znanymi w Europie smakoszami końskiego mięsa, a swoje konie wybili dużo wcześniej. My zaś, czyli Polacy, korzystając z bogactwa koni wynikającego z zacofania i przysłowiowej miłości do nich Polaków, wywoziliśmy je tabunami na południe, po śmiesznie niskich cenach.

Zaś teraz smakowitej końskiej kiełbasy już się nie uświadczy w sklepach i na bazarach. Czasami ktoś produkuje końską kiełbasę, ale ona tylko nazwą ją

przypomina. Niewiele w niej koniny, za to dużo tłuszczu i innego, Bóg wie jakiego mięsa. No i fachowcy już nie ci co dawniej.

W Skawinie kupowało się zawsze coś na obiad i gotowało po przyjściu do domu. Jadaliśmy więc codziennie taką spóźnioną obiadokolację. Ponadto siostra robiła sobie sama śniadanie. Najczęściej był to kubek mleka, chleb z masłem lub serem, a po przyjściu ze szkoły jadała obiad razem z mieszkającymi w tym samym domu Antosami.

Sport i rozrywka

W liceum mieliśmy silną drużynę piłki nożnej, którą prowadził profesor Nicpoński. Na grę w piłkę wykorzystywaliśmy prawie wszystkie godziny z wychowania fizycznego. Ćwiczyliśmy i grywaliśmy przeważnie na boisku klubu sportowego Kalwarianka, należącego do zrzeszenia zespołów sportowych drobnej wytwórczości Start.

K.S. Kalwarianka mieścił się w dawnym, przedwojennym kompleksie sportowym Sokoła, składającym się z ładnego i stylowego budynku z zapleczem oraz wspaniale położonych boisk do piłki nożnej, siatkówki i koszykówki. Klub miał dobrą drużynę piłkarską, grała bowiem w lidze międzywojewódzkiej, a także zdobywała pierwsze miejsca w ramach rozgrywek zrzeszenia Start.

Było więc na co popatrzeć, a i z kim pograć, tym bardziej, że klub Kalwarianka posiadał kilka zespołów, w tym bardzo dobrych juniorów. Grywaliśmy z nimi często, z różnymi zresztą rezultatami. Oprócz tego grywaliśmy przeważnie „klasa na klasę" oraz z innymi szkołami, jak na przykład drzewną.

W reprezentacji szkoły zacząłem grać na dobre w dziesiątej klasie. Grałem przeważnie na stoperze lub lewej obronie, mimo że byłem prawonożny. Potrafiłem jednak grać także nieźle i lewą nogą. W formacji pomocy drużyny reprezentacyjnej szkoły grał także Józek Cichoń z Paszkówki i był wyśmienitym graczem.

Oprócz meczów i rozgrywek piłkarskich w Kalwarii dosyć często rozgrywaliśmy mecze z drużyną Paszkówki. Była to prawie święta wojna sportowa. Drużynę Paszkówki prowadził do boju Józek Cichoń, zaś Przytkowic ja. A że u nas nie było boiska z prawdziwego zdarzenia, dlatego grywaliśmy przeważnie na boisku w Paszkówce, które leżało nieopodal pałacu Wężyków.

Mecze były bardzo zacięte i traktowane przez obie strony niezwykle prestiżowo. Nie tylko zawodnicy obu drużyn walczyli dzielnie, choć bardzo sportowo, ale w mecze angażowało się masę kibiców. Wystarczy powiedzieć, iż kibiców z Przytkowic nigdy nie było mniej niż kilkudziesięciu, a z Paszkówki zawsze sporo ponad setkę.

W drużynie Paszkówki grali nauczyciele szkoły podstawowej z kierownikiem na czele, uczniowie techników ze Skawiny i Krakowa, a także studenci

przyjeżdżający w niedzielę na wieś. U nas pod tym względem było ubogo, ale drużynę mieliśmy także wyśmienitą. Grali w niej wówczas tacy koledzy, jak Julek Morek, Zenek Lenkiewicz, Julek Mlost z Kąta, Staszek i Kazek Danielowie i wielu innych.

Wyniki meczów były różne. Przeważnie jednak wygrywaliśmy, chociaż końcowe wyniki meczów nie były wysokie, często remisowaliśmy. Najczęściej były to remisy 0:0 i 1:1. Nie chwaląc się, ale stanowiłem w obronie barierę nie do przejścia. Wiele razy najlepsi napastnicy z Paszkówki tracili impet i piłkę oraz wściekali się, że nie mogą przedrzeć się pod naszą bramkę i strzelić gola. W tym czasie uważany byłem za bardzo dobrego zawodnika w drużynie, a na murach i deskach stodół młodsi kibice wypisywali wapnem lub kredą „Mazur – stalowy obrońca".

W kolejnych latach częściej grywaliśmy „w siatkę niż w nogę". Wiązało się to z faktem, iż większość dawnej drużyny piłkarskiej rozpoczęła studia, pracę w innych rejonach Polski lub ciężką pracę fizyczną, po której nie bardzo chciało się zajmować sportem. Także brak właściwego boiska piłkarskiego nie ułatwiał kopania piłki. Łatwiej więc było znaleźć miejsce i chętnych do grania w siatkę. Tak wiec grywaliśmy często, ale przeważnie w niedzielę, bo tylko wówczas było sporo chętnych. Gra toczyła się we Dworze, na boisku w obrębie stodół dworskich.

Grywaliśmy jednorazowo po kilka godzin, jak wygłodniałe sportu młode wilki. Najgorzej było wiosenną porą. Organizm trochę zastany i nie wszystkie mięśnie rozruszane. Już w czasie gry chwytały nas kurcze nóg. Ale to dopiero była połowa biedy. Znacznie gorzej było na drugi dzień, ponieważ wszystkie mięśnie bolały jak cholera i ledwo się człowiek ruszał, zaś praca fizyczna była koniecznością i nie było na to rady.

Ale akurat to można było jakoś wytrzymać. Najgorsze w tym wszystkim było podchodzenie pod górę, gdyż po równym jakoś się jeszcze chodziło, szurając stopami po ziemi. Największą zaś katorgą był powrót z pracy, a szczególnie podchodzenie pod strome wzniesienie *Ludki* i z *Padołów* do domu.

Proszę sobie wyobrazić idącego pod stromą górę młodego człowieka, który nie może podnieść nóg i zrobić kroku w przód. I aby to uczynić chwyta każdorazowo dłońmi za uda, podnosi je i w ten sposób przesuwa stopy do przodu. Widok jednego poruszającego się tak człowieka był czymś niezwykłym i dziwnym, ale grupki młodych mężczyzn tak idących był śmieszny, iż rozśmieszaliśmy mijających nas ludzi prawie do łez, chociaż nam wcale nie było do śmiechu, a raczej na odwrót. Mimo tego, jak popatrzyliśmy czasami na siebie, także wybuchaliśmy gromkim śmiechem.

Do najmilszych moich rozrywek owego czasu należało czytanie książek i rozwiązywanie krzyżówek. O pierwszej z nich wspominałem już sporo, a więc teraz kilka słów o drugiej. Zacząłem ten sympatyczny dla mnie proceder już w ogólniaku i kontynuowałem go przez cały młodzieńczy okres. To była wspaniała przygoda ze swoją wiedzą.

Rozwiązywałem masę różnorodnych krzyżówek wyłącznie dla własnej przyjemności. Ich wyników nigdy nie wysyłałem do redakcji, bo wówczas nagrody nie były tak popularne jak dzisiaj i fundowane były niezwykle rzadko, a ja rozwiązywałem je li tylko dla czystej przyjemności.

Najczęściej zabierałem się za krzyżówki wtenczas, gdy sam jechałem pociągiem. Byłem wówczas tak nimi zaaferowany i tak wciągały mnie bez reszty, iż kilkakrotnie przejechałem własną stację kolejową. Tak się zdarzyło, gdy jadąc pociągiem ze stacji Kalwaria Lanckorona do Przytkowic przejechałem stację i wysiadłem na sąsiedniej w Leńczach. Niestety, potem musiałem iść na piechotę do domu około dziesięciu kilometrów.

Jadąc także ze Skawiny przejechałem stację w Przytkowicach i wysiadłem dopiero w Kalwarii. A że przez dłuższy czas nie było pociągu powrotnego, to pieszo wracałem do domu. W zasadzie, w tym ostatnim przypadku, nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, lecz w owym czasie budowaliśmy nowy murowany dom i moja pomoc była pilnie potrzebna na budowie. Wiedząc o tym, w poczuciu winy biegłem prawie przez całą powrotną drogę, aby jak najprędzej być na miejscu i włączyć się do pomocy przy budowie.

W efekcie wszystkie rodzaje krzyżówek rozwiązywałem bardzo szybko. Na przykład jadąc ze Skawiny do Przytkowic, czyli w czasie około pół godziny, potrafiłem rozwiązać kilka dużych lub kilkanaście małych krzyżówek. Przy czym rzadko kiedy pozostawało jedno lub dwa hasła nierozwiązane.

Z perspektywy wielu minionych lat muszę przyznać, iż ta wiedza ogólna, którą wówczas posiadałem była najwyższa. Później co prawda podnosiłem swoje kwalifikacje i zdobywałem wiedzę, ale była ona coraz bardziej ukierunkowana i wysoce specjalistyczna.

Powrócę może do pociągów jeżdżących na trasie Kalwaria–Kraków i z powrotem. Zdecydowana większość z nich to były pociągi osobowe, zatrzymujące się na wszystkich stacjach i przystankach kolejowych. Jednym z nich był przystanek kolejowy Przytkowice.

Ich głównym zadaniem było dowożenie robotników, a raczej chłoporobotników, z podgórskich wsi i miasteczek do pracy w Skawinie i w Krakowie oraz odwożenie po pracy. Do pracy jechali między czwartą a szóstą, w mocno zatłoczonych pociągach, przeważnie drzemiąc lub odsypiając niedospane noce. Wówczas w pociągach, które jechały stosunkowo wolno i w Leńczach oraz Radziszowie stały dłużej, gdyż linia była jednotorowa i należało czekać na mijanie się z pociągiem jadącym z Krakowa, było niezwykle cicho, a tu i ówdzie rozlegały się tylko ciche i głośniejsze chrapania oraz odgłosy niestrawności żołądkowo-jelitowych.

W godzinach popołudniowych widok był już diametralnie inny, choć zatłoczenie jeszcze większe. Panował wówczas spory gwar i ruch. Ci, którzy siedzieli przeważnie drzemali lub grali w karty. Część stojących także grała w karty. Najczęściej grano w *oczko*, *sześćdziesiąt sześć*, *krótkiego*, *zekcyka* i w pokera. Za stół służyło wówczas cokolwiek, co można było położyć na kolana, a co przy-

pominało stolik lub blat. Przeważnie były to torby i teczki. Sporo osób czytało także gazety i czasopisma.

Dojeżdżający do pracy ludzie przeważnie ubrani byli biednie. Dominowały ubrania najtańsze, drelichowe latem i kufajki zimą. Kufajka to nazwa pochodzenia rosyjskiego, określająca ubranie drelichowe ocieplane w środku watą i charakterystycznie przeszywane w równoległe, pionowe pasy. Przeważnie strój męski składał się z zapinanej kurtki i spodni. Cieszył się dużym uznaniem wśród robotniczej braci, gdyż otrzymywali go z przydziału ci, którzy pracowali na powietrzu. Był ciepły i wygodny.

Pociągami dojeżdżało także dużo kobiet, po których było widać, że pracują ciężko fizycznie. Zresztą wszyscy robotnicy wyglądali dużo starzej, niż mieli lat. Należy bowiem pamiętać, iż pracowali podwójnie, w fabryce i na roli. A więc czas ich pracy wynosił przeważnie po szesnaście godzin na dobę, a i tak w niektórych domach żyło się nie najlepiej i jadało byle co.

Po ukończeniu liceum dosyć często chodziłem na zabawy ludowe. Przeważnie organizowało je Koło Gospodyń Wiejskich lub Ochotnicza Straż Pożarna. Odbywały się w *murowańcu* we Dworze, a później w nowo wybudowanym domu kultury, umiejscowionym poniżej kościoła, naprzeciw willi Madziarów. Dochód z nich przeznaczany był zawsze na cele społeczne. A to rozbudowę kościoła, a to na sprzęt lub budowę nowej remizy strażackiej, a także różne kursy, wycieczki i inne atrakcje urządzane przez organizacje społeczne.

Na zabawy chodziłem przeważnie z kolegami, z którymi tworzyliśmy swoją grupę. Na samym początku w salach, w których odbywały się tańce nie było stołów, ław do siedzenia ani krzeseł. Mężczyźni stali pod jedną ścianą, a kobiety pod drugą. Ot, taki starosłowiański zwyczaj, kontynuowany jeszcze obecnie w Rosji.

Sal konsumpcyjnych nie było w ogóle. Istniał tylko bufet, gdzie można było kupić wino, wódkę, napoje, a także coś do jedzenia. Picie i jedzenie było więc na stojąco, prawie jak podczas przyjęć na sposób angielski. Rzekłem prawie, gdyż pito wino i wódkę szklankami lub wódkę jednym kieliszkiem w grupie. Pito tak w sali tanecznej, jak i wokół budynku. Zaś latem na zielonej trawie i w krzakach.

W tym czasie tańczyłem jeszcze niewiele, chociaż dryg do tańca miałem niezły. Byłem wówczas chyba zbyt nieśmiały w stosunku do dziewcząt. Sądzę, że mogło to być spowodowane moim dosyć późnym dojrzewaniem emocjonalnym.

Za to czyniłem sporo prób alkoholowych, jako że moje towarzystwo piło dużo i często. Zdarzyło mi się raz czy dwa, iż tak popiłem, że nie mogłem iść *gościeńcem* do domu. Starałem się z całych sił, aby iść równo i prosto, ale gdzie tam. Szedłem zygzakiem, od rowu do rowu. Gdy jednak zobaczyłem, że ktoś się zbliża, pozostawałem w rowie tak długo, aż przejdzie i oddali się na bezpieczną odległość. Potem znowu wyłaziłem na gościniec i kontynuowałem swój wężowy chód, aż dotarłem do domu.

To moje chowanie się po rowach było podyktowane wstydem, że wprawiłem się w taki stan. Jednocześnie, mimo że sporo wypiłem, zachowywałem

trzeźwość umysłu. Przez to nie mogłem zrozumieć, jak niektórzy mówią, że po alkoholu niczego nie pamiętają. Wówczas przypuszczałem, że to naiwna i głupia wymówka, aby nie odpowiadać za to, co się robiło po pijanemu.

Chodziliśmy także na zabawy do innych miejscowości. Przeważnie do Paszkówki, bo było najbliżej. Tu już dawały o sobie znać międzywioskowe antagonizmy. Szczególnie było to widoczne, gdy dziewczyny zaczęły okazywać zainteresowanie obcymi. Wówczas do akcji wkraczali zazdrośni swojacy i zaczynały się bijatyki. Używano w nich przeważnie sztachet z płotów, czasami orczyków i innych wiejskich narzędzi.

Nie bardzo mnie na te zabawy ciągnęło, ale najczęściej koledzy nie dawali za wygraną, aż zgodziłem się z nimi iść. W tych miejscowościach miałem trochę kolegów i koleżanek z liceum i w związku z tym łatwiej było się dogadać i zapobiegać awanturom. Byłem więc w trudnych chwilach negocjatorem, uciszałem wojownicze nastroje obu stron i zapobiegałem kłótniom.

Czasami wydawało mi się, że byłem jak gdyby w uprzywilejowanej sytuacji w stosunku do moich kolegów. Może wynikała ona z faktu, że mojego ojca wszyscy w okolicy znali, lubili i szanowali, gdyż grywał tam na weselach i zabawach. Może także z racji mojego wykształcenia, a może ze znajomości z osobami, które miały mir i poważanie w swoim środowisku. Niejednokrotnie zauważałem, iż jedno słowo lub zdanie mojej koleżanki skutecznie hamowało wojownicze zapędy młodych, wiejskich osiłków.

Próby artystyczne

Odkąd pamiętam posiadałem bardzo dobry słuch i wyczucie piękna. Do muzyki nie miałem jednak zamiłowania, co pewnie już bardzo wcześnie zauważył ojciec. I było to chyba przyczyną, iż nie kwapił się do uczenia mnie muzyki. Ja także nie przejawiałem zainteresowania w tym kierunku, a szkoda.

Jednakże muszę uczciwie powiedzieć, że moje zdolności muzyczne były typowo słuchowe. Przejawiały się w dobrej pamięci słuchowej, polegającej na tym, iż potrafiłem na przykład wyłapać wszystkie błędy podczas grania po raz drugi tego samego utworu. Mogłem także wskazać wszystkie te miejsca, które były po raz drugi grane inaczej. Nawet, gdy było ich niewiele wyłapywałem je bezbłędnie.

W parze z tym nie szły jednak umiejętności wokalno-odtwórcze. Nie potrafiłem porządnie zaśpiewać nawet łatwej melodii. Przy każdej próbie śpiewu okrutnie cierpiałem, gdyż słyszałem własne fałszowanie. To było straszne dla moich wrażliwych uszu i dla duszy także. Pewnie dostrzegał to ojciec i dał sobie spokój z moją edukacją muzyczną.

W liceum, chyba w dziewiątej klasie, przyjechali do nas aktorzy z Teatru Starego lub Słowackiego z Krakowa. Poszliśmy na ten występ niechętnie, a nawet pod przymusem, bo organizowany był po lekcjach i oczywiście przez

nauczycieli. Ja sam byłem do tego występu nastawiony krytycznie, wręcz negatywnie, uważając to za czas stracony.

Zaczęło się nieciekawie, bo aktorów było tylko dwóch i mieli deklamować wiersze. Jednakże gdy zaczęli recytować zamarłem ze zdziwienia i słuchałem z otwartą gębą. To było coś fenomenalnego i dla mnie porażającego. Jak deklamowali Leopolda Staffa „Jesienny deszcz" to czułem się tak, jak gdybym słyszał te wszystkie krople dzwoniące o szyby i wszystkie zjawiska z tym związane. Podobnie było z wierszami innych poetów.

Miałem wówczas takie uczucie, jakbym przebywał w innej rzeczywistości. Może to, co powiem wyda się zbyt górnolotne, ale wówczas wydawało mi się jak gdybym dotykał namacalnie szczęścia lub był w pobliżu raju. Ten występ uzmysłowił mi, iż oprócz szarej rzeczywistości istnieje coś, czego nie dostrzegamy na co dzień, a co jest piękne. To coś dzięki czemu stajemy się lepsi, szlachetniejsi i piękniejsi, a także może dać nadzieję w chwilach zwątpienia i siłę do pozytywnego działania. Z perspektywy bardzo wielu, bo minęło około czterdzieści lat, serdecznie dziękuję organizatorom i wspaniałym wykonawcom za otwarcie mojego umysłu i pobudzenie wrażliwości na zjawiska ze sfery duchowej, artystycznej i twórczej, bez których byłbym przez następne lata na pewno zupełnie innym człowiekiem.

Może to wydawać się dla niektórych trochę dziwne, ale w mojej duszy zawsze coś grało. Myślę, że to sprawa przede wszystkim odziedziczonych po rodzicach genów. Posiadałem co najmniej dwie cechy, z których zawsze zdawałem sobie sprawę. Pierwsza to twórcze podejście do wszystkiego i otwartość na otaczający świat. Przejawiało się to między innymi w tym, iż czułem organiczny wstręt do przepisywania, czy powtarzania czegokolwiek, w tym także drogi, którą chodziłem. Po drugie, to wrażliwość na piękno, szczególnie przyrody, a także dzieł tworzonych przez człowieka, a przy tym żelazna logika myślenia oraz szybkość działania, szczególnie w warunkach ekstremalnych.

Pierwsze próby mojego tworzenia powstały w wyniku zafascynowania witrażami oraz malowidłami w stylu witraży. Wymyśliłem więc, iż mógłbym zrobić mozaikę w kształcie witrażu, wykorzystując barwiony gips. Niestety prace wykonane z zastosowaniem tej techniki i technologii nie odpowiadały moim wyobrażeniom. Powstałe dzieła odbiegały od moich ideałów i z punktu widzenia artystycznego były słabe. Była to moja pierwsza próba i zarazem porażka artystyczna. Całe szczęście, że byłem młody i przeżywałem to krótko.

W czasie pracy w Szamotce uświadomiłem sobie, iż mogę wykorzystać do swoich celów wytwarzaną w zakładzie glinkę. Mało tego, że jest to wspaniały materiał do tworzenia różnego rodzaju rzeźb. Pomysł zrodził się w ten sposób, iż w naszym domu były pięknie wykonane z gipsu małe popiersia Fryderyka Chopina i Henryka Sienkiewicza. Wzorując się na nich, zrobiłem podobne z glinki kaflowej, oblanej glazurą. Następnie wypaliłem je w wiecu służącym do wypalania kafli. Udały się nadzwyczaj i długo stały w naszym domu. Podobały się domownikom i gościom.

Jednakże glinka kaflowa była produktem mało wdzięcznym. Piękniej i wyraziściej wyglądała wypalona glinka szamotowa. Beżowo-czerwona, z ciemnymi cętkami w środku stanowiła nie tylko idealne tworzywo rzeźbiarskie, ale i w efekcie dawała piękny efekt końcowy rzeźby. Zakochałem się w tej glinie. Robiłem bardzo dużo różnorodnych rzeźb. Przeważnie popiersia kobiet, w tym dziewczyn. W tym celu szukałem w zakładzie pięknych twarzy, starych i młodych. W efekcie powstało sporo moich rzeźb, które później były wypalane w piecach szamotowych. Miały wśród pracowników takie wzięcie, że uratowałem tylko kilka z nich i to tylko dlatego, że byłem obecny przy otwieraniu danego pieca.

Miałem także wiele zamówień na wykonanie podobizn. W zasadzie odmawiałem, chyba że dana twarz wybitnie mnie zainteresowała. Wówczas przy pomocy palców i podręcznych narzędzi odtwarzałem daną twarz w glince szamotowej. Następnie wsadzałem rzeźbę do pieca, aby się wypaliła.

Z odbiorem było już różnie, ponieważ otwieranie pieców odbywało się w różnym czasie i nie brałem odpowiedzialności za dostarczenie wypalonych rzeźb. W zasadzie model sam był zainteresowany odbiorem, a więc sam czekał na wypalenie danego pieca i odbiór swojej podobizny.

Zachęciłem także siostrę Ninę do robienia rzeźb. Nawet to jej się spodobało, ale niewiele z jej roboty przetrwało. Jednak bardzo długo była w naszym domu popielniczka w kształcie półotwartej dłoni, którą wykonała siostra. Była bardzo piękna. Wykonana z gliny kaflowej oraz polana substancją tworzącą na powierzchni szkliwo, długo cieszyła nasz wzrok i sympatycznie spełniała swoją rolę.

Chcę nadmienić, choć z perspektywy minionych lat może wydawać się mało prawdopodobne, ale pod koniec lat pięćdziesiątych istniał w Przytkowicach teatr amatorski. Muszę powiedzieć szczerze, że i dla mnie dzisiaj wydaje się to prawie nadrealne, ale było prawdziwe.

Teatr ten był tworzony przez Ludwikę Nędze (*Nędzonkę*) z *Dziołu*. Młodszą siostrę żony wspominanego uprzednio Lelka, trochę starszą już pannę, która znacznie później wyszła za Nizioła. Ta niepozorna młoda kobieta, o poetyckiej duszy i podobna trochę do późniejszej widowiskowej Genowefy Pigwy była wspaniałym organizatorem, twórcą i dobrym duchem tego teatru.

Teatr ten, tworzony naprawdę z potrzeb serc, był tworem wyjątkowym. Bo jak inaczej nazwać spontaniczne działanie chłopów i bab wiejskich w tym teatrze. Na własne oczy widziałem, jak chłopi prawie prosto od pługa, a baby od dojenia krów przybiegali na próby. I nie było to dla nich uciążliwe, a wręcz przeciwnie. To nie do wiary, ale trzeba byłoby zobaczyć ich zaangażowanie i chęć gry, aby sobie zdać sprawę z tego fenomenu.

Za namową Niziołki zgodziłem się grać w tym teatrze. Grano w nim przeważnie krakowskie wodewile, ale także i inne poważniejsze sztuki, np. „Moralność pani Dulskiej". Wystawialiśmy także okazjonalnie jasełka.

Grywałem przeważnie rolę paniczów lub innych wykształconych osób. Muszę jednak przyznać, że wielkiego talentu aktorskiego nie miałem. Ale za to były wśród

nas dwa talenty, które błyszczały jak brylanty. Jednym z nich była owa Ludwika, a drugim jeden chłop z *Dołu*, którego nazwiska niestety nie pamiętam.

To co wyprawiali na scenie trudno ująć słowami. Potrafili wspaniale oddziaływać na partnerów, zespół, a przede wszystkim widzów. W komediach do łez rozbawiali nie tylko widzów, ale i cały zespół. W dramatach, tragediach i scenach rodzajowych potrafili wytworzyć taką atmosferę, iż mogli żonglować zachowaniem zespołu i widzów, jak tylko chcieli.

Były to piękne przedstawienia, w których ta dwójka aktorów wyżywała się całkowicie, pokazując w całej krasie swój talent i kunszt aktorski. Zaś publiczność reagowała bardzo spontanicznie, to wybuchami śmiechu, to oklaskami, a także płaczem, pomrukami, tupaniem i gwizdami. Zawsze jednak po spektaklu zespół dostawał masę braw, a na następne przedstawienie przychodziło tyle chętnych, że co najmniej połowa odchodziła z kwitkiem. Nie mylić z biletem.

Próby, a następnie same przedstawienia odbywały się we Dworze. Dokładnie we wschodnim *murowańcu*, w którym wstawiono okna i drzwi, otynkowano ściany oraz położono podłogę. W jego północnej części wybudowano z desek niedużą scenę na podwyższeniu, a po jej obu stronach niewielkie garderoby. Przed każdym przedstawieniem ustawialiśmy na sali ławki dla publiczności, aby miała na czym siedzieć.

Tam bliżej poznałem Tosię Morek, zresztą starszą siostrę mojego serdecznego kolegi Julka Morka. Dziewczynę zgrabną, ładną i niezwykle sympatyczną, a przy tym kryształowego charakteru. W przedstawieniach grywaliśmy przeważnie młode, zakochane pary. W ten sposób zbliżyliśmy się do siebie i sądzę, że także polubiliśmy. Ponieważ próby i przedstawienia kończyły się przeważnie późnym wieczorem to często odprowadzałem ją do domu, a raczej pod sam dom. Tam zawsze trochę postaliśmy i pogadaliśmy. Ale to wszystko.

Trochę czasu to potrwało, gdy Tosia zaczęła mnie uświadamiać, że o naszych spotkaniach coraz głośniej się mówi. Powinniśmy więc zadecydować, czy chodzimy na poważnie, bo jeśli nie, to spotkania takie mogą psuć jej opinię i rzutować na przyszłość. Zrozumiałem, iż tego problemu w ogóle nie brałem pod uwagę. Świadczyło to o mojej niskiej jeszcze dojrzałości życiowej i chłopięcym podejściu do partnerki. Po przemyśleniu przyznałem jej rację, lecz na oświadczyny nie zdecydowałem się. I tak nasza więź emocjonalna powoli wygasała. Zostaliśmy jednak dobrymi, szanującymi się przyjaciółmi.

Józek

O Józku Michałuszku, który był moim najbliższym kolegą lat dziecięcych, już wcześniej wspominałem. Wypada jednak przytoczyć jego dalsze losy, bo były niezwyczajne i pokręcone, jak on sam, a raczej jego charakter.

Po skończeniu szkoły podstawowej poszedł do zasadniczej szkoły zawodowej w Krakowie i wyuczył się na ślusarza. Już wówczas miał nieokiełzany

pociąg do kart i kieliszka, chociaż prawdziwych koncertów w tych dziedzinach jeszcze nie dawał. Grywał co prawda w karty, szczególnie w czasie jazdy pociągiem do szkoły i z powrotem oraz w niedziele. Były to jednak gry amatorskie i o niewielkie pieniądze. Zaglądał także dość często do kieliszka, a z upomnień i krzyków matki niewiele sobie robił.

Po ukończeniu szkoły pracował jakiś czas jako ślusarz w Fabryce Armatury w Borku Fałęckim w Krakowie. Przy tym miał do tej pracy większą smykałkę, niż chęci. I tak czas biegł szybko oraz zbliżało się wojsko. Aby wymigać się od niego pojechał na Śląsk pracować jako górnik. W tym czasie istniał bowiem przepis, iż praca górnicza zwalnia od służby wojskowej. Zatem można było zamiennie odpracowywać służbę wojskową w górnictwie.

Tam, jak wszyscy przyjezdni, zamieszkał w domu górnika. Czymś w rodzaju internatu dla zamiejscowych i nieżonatych młodych górników. Owe domy cieszyły się złą sławą. Stanowiły bowiem zbieraninę, przeważnie młodych ludzi, którzy codziennie po pracy i w święta ostro zakrapiali życie wódką, a jedyną rozrywkę stanowiła gra w karty. W takie towarzystwo dostał się więc Józek. A że wódka i karty były jego żywiołem, czuł się jak ryba w wodzie. Ale do czasu.

Początkowo pracę traktował poważnie, a gra w karty i wódka stanowiły tylko dopełnienie. Potem jednak, mając smykałkę do kart, począł ogrywać kolegów z domu górnika i z czasem przedkładać picie i karty nad pracę. Szło mu tak dobrze, iż uznał, że jest już mistrzem. Zaczął więc grać z zawodowcami, którzy kilka razy przetrzepali mu skórę tak, że wyrzucali go z domu przez okno tylko w samych spodenkach. W efekcie został także wyrzucony z kopalni, a następnie wcielony do wojska.

Przypadło mu służyć w pułku łączności w Białobrzegach koło Warszawy. Tam większość czasu spędził jako wozak opiekujący się i jeżdżący zaprzęgiem konnym, który służył w jednostce do wożenia różnego rodzaju żywności, materiałów i artykułów spożywczych w obrębie garnizonu i koszar. Lubił konie, prawdopodobnie po ojcu, i to ułatwiało mu pracę i przeżycie służby wojskowej, bo z dużymi trudnościami przystosowywał się do dyscypliny wojskowej.

Tam poznał także dziewczynę, z którą miał dziecko. Ale czy się z nią ożenił, czy nie, niestety nie pamiętam. Po zakończeniu przez Józka służby wojskowej przyjeżdżała z córką kilka razy do Przytkowic. Bardziej chyba do rodziny Michałuszków niż do Józka, gdyż on w owym czasie rzadko bywał w domu rodzinnym. Potem miał z tego powodu spore problemy, gdyż nie płacił alimentów na córkę. Ale o tym dalej.

Po zakończeniu służby wojskowej pojechał z powrotem na Śląsk z myślą, aby dorobić się dużych pieniędzy oraz odegrać się i zemścić na byłych prześladowcach. Obmyślił przy tym ciekawy, a poniekąd szatański plan.

Zapoznał bardzo dobrego kiedyś, ale już starego szulera karcianego, który wypadł z gry ze względu na swoje lata i stan zdrowia. Przy tym dogadali się, że będzie go szkolił, a Józek za te nauki będzie mu płacił prawie całą pensję gór-

niczą, pozostawiając sobie tylko na wyżywienie. Szkolenie odbywało się codziennie przez ponad sześć miesięcy. W jego efekcie Józek poznał prawie wszystkie tajniki i przekręty stosowane przy grze w pokera. Między innymi należało do nich znakowanie kart, zachowania psychologiczne, przeróżne triki zręcznościowe, a przede wszystkim zapamiętywanie rozdań i układów kart oraz przewidywanie kolejnych układów.

Tak przygotowany przestał pracować *na kopalni*, a rozpoczął życie zawodowego pokerzysty. W pierwszym okresie szło mu wyśmienicie. W jeden wieczór potrafił zarobić więcej pieniędzy niż za miesiąc pracy górnika. Wówczas jak przyjeżdżał do Przytkowic to zawsze miał duże pieniądze, a oprócz tego kilka lub kilkanaście wygranych zegarków do sprzedania. Szastał więc pieniędzmi na lewo i prawo. Większość z nich wydawał jednak na gorzałę. Pił często i w bardzo dużych ilościach. Przeważnie przyjeżdżał pod koniec tygodnia, przepuszczał z kolegami wszystko, co miał w dwa dni. Potem jechał na Śląsk, po dwu dniach wracał z grubą forsą i pił od nowa.

Niekiedy opowiadał o procedurach rozgrywek i sposobach rolowania frajerów. Jak mówił operacja karciana składała się z kilku faz. A więc szukania frajerów do gry, zebranie o nich informacji, umówienie partnerów, zdobycie kart, omówienie warunków gry i już samej gry. Chętnych do gry szukano przede wszystkim wśród osób, o których wiedziano sporo i była pewność, że się ich ogra. Jeśli nie było takiej możliwości, wówczas wybierano potencjalnie słabszych od siebie. Potem dobierało się partnera, a niekiedy nawet dwóch, do wspólnej gry z przeciwnikiem, którego chciało się ograć.

Gdy już ekipa do gry była gotowa, następowała faza pozyskiwania kart. Tu trzeba wyjaśnić, iż prawie wszystkie karty sprzedawane w hotelach, restauracjach, domach wypoczynkowych i w kioskach głównych punktów miast były uprzednio przygotowane do gry, przez specjalne ich znakowanie. Aby więc uniknąć grania znakowanymi kartami, najczęściej stosowano następujący sposób. Potencjalni gracze wsiadali do dobrej taksówki i jechali w losowo wybranym kierunku, w celu zakupienia kart. Jechano przed siebie i każdy z graczy mógł w każdej chwili zmienić kierunek jazdy. Po takim, niekiedy godzinnym kluczeniu po mieście lub całej śląskiej aglomeracji, zatrzymywano się przed dowolnym kioskiem. Po uzyskaniu zgody przyszłych graczy, kupowano w zasadzie wszystkie talie kart. Gdy było ich zbyt mało, dalsze talie kupowano na podobnej zasadzie, ale już w innych kioskach.

Następnie jechano na melinę i ustalano zasady gry. Jedną talią grano nie więcej niż kilkanaście rozdań, aby wyeliminować możliwość ich znakowania przez uczestników gry. Grano przeważnie do całkowitego spłukania się lub z góry ustalony czas, na przykład szesnaście godzin. Według jego opowieści rzadko grał sam. Przeważnie zmawiano się w dwóch lub trzech i golono bogatego *jelenia*, a po zakończonej grze wygraną dzielono się równo. Bywały także momenty, gdy trafiał na lepszych od siebie, ale rzadko. Niekiedy sprawiano mu tęgie lanie, szczególnie wówczas, gdy złapano go na oszukiwaniu. Zawsze jed-

nak mówił, że jest to wkalkulowane w ryzyko gry, a efekt końcowy zawsze się opłaca, ponieważ jest dodatni.

Przez długi okres miał dobrą passę i wygrywał dużo pieniędzy. Łatwo przychodziły, a jeszcze szybciej się rozchodziły. Przy tym pił coraz więcej, częściej i już nałogowo. To rujnowało mu zdrowie, słabł refleks, gorzej pracował mózg, a także zaczęły trząść mu się ręce. To w krótkim czasie wyeliminowało go z zawodowej gry w pokera, ale nałóg alkoholowy pozostał. Pozostały także rozbudzone potrzeby finansowe.

Aby temu jakoś zaradzić podejmował się różnych prac, ale z marnym skutkiem. Do tego doszło jeszcze sądowe ściganie za niepłacone alimenty. W efekcie lądował od czasu do czasu w więzieniu, gdzie rozwinęła się u niego gruźlica. Zmarł w młodym wieku, przed czterdziestką. Szkoda go bardzo, gdyż był zdolnym i inteligentnym człowiekiem, a życie zmarnował sobie na własne życzenie.

Zwierzaki, raz jeszcze

Po niezapomnianej Sabie mieliśmy jej syna, którego nazywaliśmy Kajtek. W przeciwieństwie do swojej matki był absolutnie głupi i trudny do nauczenia czegokolwiek. Nie ma więc co wspominać. Natomiast bardzo mocno przeżyłem koci epizod. W obrębie naszych kilku domów grasował olbrzymi, na wpół dziki kot. Łapał myszy, ale przeważnie zagryzał małe króliki, kurczęta i był „psem", a nie kotem na młode gołębie. Zalazł więc za skórę nam i sąsiadom.

Pewnego razu, w niedzielę po południu, zebrali się wszyscy pod lipami i postanowili, iż należy z nim skończyć, bo robi za dużo szkód. Aby jednak zwyciężyć w operacji wziąć muszą udział wszyscy. Jak postanowiono, tak i zrobiono. Każdy poszedł przeszukać swój dom, stodołę i inne zabudowania. Okazało się, że kocura łobuza znaleziono u nas na strychu. Siedział w samym narożniku słomianego dachu, skąd trudno go było wyciągnąć. A że było to „olbrzymie bydle" obmyślono, że należy wpędzić go w worek, ot taki na zboże, osądzić i wymierzyć karę.

Pomysł z workiem był dobry, ale nieskuteczny. Po wielkiej batalii, kot zapędzony do worka szybko go rozrywał. Założono więc kolejne dwa, jeden na drugim i związano je mocnym sznurkiem. Worek z kotem powieszono u nas w sieni, a następnie odbył się sąd nad tym kocim zbrodniarzem. Areopag sędziowski tworzyli wszyscy sąsiedzi. Także oni występowali jako oskarżyciele. Każdy z nich wyliczał oskarżonemu jego grzechy i przewinienia w postaci zaduszonych, rozszarpanych i martwych królików, kurcząt i gołębi. Zaś ojciec, najmniej krwiożerczy z nich, wystąpił w roli obrońcy, który usprawiedliwiał jego działanie. Powoływał się przy tym na jego dziką, kocią naturę oraz winę ludzi, którzy dopuścili do zdziczenia kota i zmusili go do szukania pożywienia na własną rękę, a raczej kocią łapę. Po mowach końcowych, sąd czyli ogół

sąsiadów, skazał kota zbója na śmierć, przeznaczając futro dla najbardziej poszkodowanego, a sadło do leczenia wszystkich potrzebujących.

No i pozostała sprawa wykonania wyroku. W jaki sposób wykonać wyrok i kto to zrobi? Na początku nie było pomysłu, aż jeden z sąsiadów zaproponował, aby workiem z kotem w środku uderzać w gruby pień lipy i w ten sposób go uśmiercić. Pomysł wydawał się dobry, a więc rozpoczęto egzekucję. Przy uderzaniu o lipę kot przeraźliwie miauczał i darł worki na strzępy. Założono więc kolejnych kilka worków, aż było ich osiem. Mimo walenia kotem o lipę i zmęczenia wykonawców wyroku, kot żył nadal.

Zarządzono więc naradę i zastanawiano się co dalej robić, bo wyrok nie został wykonany. Dopiero po dłuższej dyskusji, ktoś z nowoprzybyłych podpowiedział, że wystarczy przydeptać kotu ogon i pociągnąć za głowę lub na odwrót i gotowe. I tak też wyrok ów wykonano, szybko i sprawnie. Ja przypatrywałem się temu wszystkiemu zafascynowany działaniem ludzi, wykonywaniem wyroku śmierci na żyjącym stworzeniu oraz olbrzymią żywotnością kota.

Jeszcze jeden wyczyn kota utkwił mi głęboko w pamięci, dając dowód i świadectwo tego, że kot jest zwierzęciem niezwyczajnym i zdolnym do bardziej heroicznych czynów niż nam się wydaje. Idąc z domu w kierunku *Padołów* zobaczyłem jak duży pies myśliwski dopadł kota, który prawdopodobnie polował na polne myszy.

Zaczęła się walka, jak Dawida z Goliatem. Kot pozostawał w miejscu kręcąc się w kółko, a pies atakował, biegając wokół niego z pyskiem skierowanym zawsze w stronę kota. Co jednak doskoczył bliżej to kot błyskawicznie uderzał go łapą po nosie. A że na końcu łap miał ostre pazury, więc ciął nimi pysk psa, jak ostrymi żyletkami. Należy przy tym wiedzieć, iż koniec nosa i zakończenie pyska to u psa najbardziej delikatne i bolesne części ciała. Takim sposobem kot utrzymywał psa na dystans, a psia morda była coraz bardziej zakrwawiona i poszarpana. Patrząc na to z daleka, gdyż bałem się podejść bliżej do rozszalałego psa, byłem przekonany, że wcześniej czy później kot zmęczy się, popełni błąd i pies go dopadnie. Jednak myliłem się. Kot cały czas walczył zaciekle i bohatersko, a siły psa powoli słabły. Coraz wolniej biegał i od czasu do czasu zatrzymywał się, aby odpocząć.

Walka ta trwała już około pół godziny, gdy kot korzystając ze zmęczenia psa i jego chwilowej nieuwagi, błyskawicznie dał drapaka. Nim pies zorientował się i popędził za nim, kot był już około dziesięciu – piętnastu metrów w przodzie. Przebiegł jeszcze około trzydziestu metrów i wpadł do betonowej rury, tworzącej przepust wodny dla strumyka płynącego *Padołami*.

Tam walka rozgorzała na nowo. Pies chciał się dostać do kota i atakował go raz z jednej, raz z drugiej strony rury. A że rura była dość szeroka to kot mógł się w niej obracać i odpierać ataki z obu stron. Tu walka toczyła się znowu około pół godziny, po czym pies potwornie zmęczony, ze strasznie pokiereszowanym pyskiem i ze spuszczonym łbem zrezygnował z dalszej walki i wolno odszedł w kierunku *Dziołu*.

Po dłuższym czasie kot wylazł spokojnie z rury, przysiadł na mostku, porozglądał wokoło i zabrał się za porządkowanie futerka i inne zabiegi higieniczne. Po czym spokojnie, dostojnym krokiem, z ogonem podniesionym do góry i pionowo wyprostowanym oraz miną zwycięzcy poszedł w stronę zabudowań mijając mnie. Wyglądało to tak, jakby chciał powiedzieć:

– Widziałeś człowieku jaki ze mnie kot zwycięzca? Niczego i nikogo się nie boję, ciebie też. Uważaj!

Trochę później, bo już po kilku latach i w nowym domu zagościły u nas dwa psy. Jeden ojca, mały sympatyczny kundelek oraz drugi, przyprowadzony przez szwagra, podpalany owczarek niemiecki. Mały nazywał się Pikuś, zaś duży Rolf. Tworzyły niezapomnianą psią parę, jak wśród ludzi Pat i Pataszon.

Mały kundelek Pikuś, jak wszystkie małe stworzenia był zadziorny i zaczepny oraz bardzo szczekliwy. Miał przy tym ciekawy dar. Zawsze dokładnie wiedział, kiedy ojciec wraca z pracy. Wówczas wybiegał *dziołową* drogą kilkaset metrów ojcu naprzeciw, ale gdy ojciec nie wracał z pracy tym pociągiem co zwykle to Pikuś siedział w domu. Było pewne, że ojciec nie przyjedzie o zwykłej porze, tylko później.

Zaś Rolf to było kawał niezbyt mądrego psiska. Miał jednak pewną ciekawą przywarę. Bezgraniczny pociąg do małych kurcząt. Zaczęło się od tego, że Rolf będąc jeszcze młodym psem wpadł do domu i zaczął ciągnąć ojca za nogawkę spodni. Ojciec domyślił się, że chce mu coś pokazać. Wyprowadził ojca przed dom i merdając radośnie ogonem oraz głośno szczekając stanął przy leżących i ułożonych na kupkę, ale już martwych kurczakach, które hodowała Nina. Z całego stadka żywa została tylko *kwoka*.

Widząc to ojciec, nie wiedział czy się śmiać, czy płakać. Na wszelki wypadek wziął pas, chwycił Rolfa i przyłożył mu po grzbiecie. Mówiąc przy tym, że nie wolno i pokazując zagryzione małe kurczęta. Od tego czasu, ile razy siostra *chowała* kurczęta, tyle razy Rolf opiekował się nimi lepiej niż kwoka. A wyglądało to tak. Tam gdzie kwoka *wodziła* kurczęta, tam przebywał i Rolf. Przeważnie leżał z mordą na ziemi, czule i miłośnie wpatrzony w kurczęta i stale podążający wzrokiem za nimi. Czasem bywało i tak, że kurczęta chętniej chodziły za Rolfem, niż za kwoką. Widok ten był zadziwiający i przewspaniały.

A teraz kilka słów o wyczynach tej zwariowanej psiej pary. Psy były nauczone chodzić z ojcem lub siostrą na długie spacery lub tam, gdzie byli zapraszani gościnnie. O ile Rolf był wówczas spokojny, o tyle Pikuś często zaczepiał i prowokował inne psy. I stało się najgorsze. Pikuś swoim zachowaniem sprowokował psa sąsiada. Znacznie większy pies sąsiadów, szczęką tak go uderzył, że mały zaczął żałośnie skomleć. Na to podskoczył Rolf, chwycił napastnika za kark, podniósł do góry, machnął nim w prawo i w lewo, otworzył pysk i wypuścił już martwego na ziemię.

Co działo się potem, trudno opisać. Sąsiad obraził się na całego. Miał pretensje, że nasze psy to zabójcy i że zamordowały mu psa. Po dwóch tygo-

dniach, aby załagodzić powstałą sytuację, ojciec kupił butelkę wódki i poszedł do sąsiada. Sąsiad przeprosiny przyjął, wódkę wypili i sytuacja wróciła do normy.

Ale sąsiad miał także drugiego psa, którego Rolf także nie lubił. Po dwóch lub trzech latach od tamtego zdarzenia, pies ten zaczął nas nachodzić, wyrządzając niekiedy znaczne szkody w ogródku, a także wśród *chowanych* kurcząt. Ojciec mówił o tym sąsiadowi i prosił go, aby trzymał swojego psa przy domu, tym bardziej, że Rolf może mu zrobić krzywdę.

Pewnego dnia, wcześnie rano, Rolf wpadł do domu pobrudzony ziemią i strasznie umorusany, dając znaki, iż coś ciekawego jest przed domem. Okazało się, że przed domem leży martwy pies sąsiada. Domownicy z całą pewnością byli przekonani, że to Rolf go zagryzł. Obmyśliwali więc, co z nim zrobić. Może po cichu zakopać, ale wówczas sąsiad będzie szukał psa, a w pierwszym rzędzie u nas. W tej sytuacji siostra wpadła na pomysł, aby zanieść go sąsiadowi i włożyć do psiej budy. Może pomyśli, że zdechł. I tak też późnym wieczorem zrobił ojciec.

Minął tydzień, potem drugi, a tu cisza. Sąsiad nie szumi i nie rozrabia. Obmyśliwał więc ojciec, co też takiego mogło się stać z sąsiadem, że nie daje znaku życia. Zaczął podejrzewać, że może szykuje większą zemstę. Aby temu zaradzić, postanowił kupić dwie butelki wódki i pójść z nimi do sąsiada. Słusznie przewidywał, że skoro za pierwszego psa wystarczyła jedna butelka to za drugiego jedną butelką się nie wywinie.

Wypili jedną butelkę gadając o tym i o owym, a sąsiad co do psa farby nie puszcza. Pod koniec drugiej butelki zniecierpliwiony ojciec nie wytrzymał i jakby mimochodem zapytał:

– Co z twoim psem, bo go ostatnio nie widzę?

Na to sąsiad prawie rozpłakał się i mówi:

– Co to był za pies. Ja się na nim nie poznałem. Już takiego miał nie będę.

W tym momencie ojciec był przekonany, że sąsiad zna prawdę i podbija cenę swojego psa. Aby temu zaradzić odpowiedział:

– Przecież ciągle mówiłeś, że to kawał drania i łobuza.

– Tak, to prawda – rzekł sąsiad. – Wyobraź sobie jednak, że ja tego łachudrę, który mi zagryzł kurczaka, zdzieliłem deską w łeb i zabiłem. Wziąłem więc łopatę, zaniosłem do *Snozy* i zakopałem. I co? Na drugi dzień rano wychodzę przed chałupę, patrzę i oczom nie wierzę. Moja wierna i mądra psina jest w budzie. Musiała powstać z grobu, dojść do chałupy. Chciała mi dalej wiernie służyć. Ale zdechła i musiałem ją drugi raz zakopać, już przy chałupie, bo sobie na to zasłużyła.

Ojciec odetchnął z wielką ulgą oraz uznał, iż nie należy wyprowadzać sąsiada z błędu. Zaś Rolf przyczynił się do największej chyba mistyfikacji w Przytkowicach. Ponadto poprawił znacznie pośmiertną opinię psa sąsiada w oczach jego właściciela, napędził dużego stracha ojcu i siostrze oraz naraził kieszeń ojca na koszt litra wódki i straty na zdrowiu z powodu wymuszonego pijaństwa.

Nina (ilustr. 14) zawsze uwielbiała kwiaty i zwierzęta. Posiadała także niespotykany dar zjednywania sobie zwierząt, a wychowywane przez nią zwierzaki posiadały usposobienia i charaktery inne od przeciętnych. Proszę sobie wyobrazić, że ulubionym miejscem siedzenia kota był jej kark. Kot przy każdej sposobności układał się na jej karku i szyi, stanowiąc jakby naturalną etolę. I niezależnie co siostra robiła i jaką przyjmowała pozycję, to kot zawsze leżał spokojnie na jej karku.

Za nią, jak psy, biegały koty i małe warchlaki. Kot, mimo iż to nie leży w jego naturze, chodził z siostrą na długie spacery, niekiedy nawet do sąsiednich wsi. Przy tym nie wytrzymywał długich marszów i od czasu do czasu zatrzymywał się, pokazywał jaki jest zmęczony i piskami wymuszał na siostrze, aby wzięła go na ręce, a stamtąd od razu wędrował na kark. I powtarzało się to co jakiś czas. *Chowane* przez nią warchlaki też chodziły na spacery. Biegały wówczas koło jej nóg, jak małe psiaki. Lubiły też bardzo ocierać się o jej nogi. Z tym było zawsze dużo kłopotów, gdyż dorastając nie zdawały sobie sprawy ze swojej wagi i często w ten sposób przewracały siostrę.

Siostra zawsze uważała, że ze wszystkich znanych jej zwierząt najinteligentniejsze są właśnie świnie. Uczyły się bowiem bardzo szybko i nadzwyczaj łatwo, a przy tym były spostrzegawcze, zaradne, przebiegłe, a niekiedy nawet złośliwe. Przychodził jednak czas, gdy trzeba było zabić ukochane świnki, a raczej już duże świnie, przeznaczając je na mięso i kiełbasy. Siostra przeżywała to bardzo i rzadko kiedy jadała ich mięso.

Bednarze

We wsi było wiele rodzin o nazwisku Bednarz. Widać w dawnych czasach wyrabianie naczyń, pojemników i beczek drewnianych musiało być bardzo popularne. Ja pragnę wspomnieć tylko o jednych, wywodzących się z małej, drewnianej, samotnie stojącej chałupki, położonej między Kątem a Drabożem.

Dziś już jej nie ma, ale dawniej wraz z niewielką, także drewnianą i strzechą krytą stodółką, stała samotnie na krawędzi stoku opadającego stromo na północ w stronę *Kiecki* i Dębów. Była jak gdyby przylepiona do skraju wysoczyzny w odległości około 80 metrów od gościńca prowadzącego z Dworu na Drabož. Można było do niej dojść i dojechać polną drogą, zaczynającą się od drogi biegnącej przez Kąt na wysokości zabudowań Pasierbka. Większa część tej drogi położona była na półce. Od strony południowej sterczała nad nią wysoka, obrośnięta rosochatymi wierzbami skarpa, zaś od północnej strony opadający stromo stok. Dalsza jej część przechodziła koło stodoły i pod oknami domu, skręcając następnie w kierunku południowym, przecinając gościniec i łącząc się dalej z *dziołową* drogą.

W środku chałupka przypominała dom dziadków, chociaż była znacznie mniejsza. Ponadto izba główna obwieszona była świętymi obrazami, a łóżka

zaścielone grubymi pierzynami i zagłówkami, ułożonymi elegancko jeden na drugim. W jej wystroju zewnętrznym i wewnętrznym było coś tajemniczego. Przypominała trochę chatkę Baby Jagi, chociaż zadbaną, jednakże tajemniczą.

W dzieciństwie chodziłem tam dosyć często, gdyż widoki stamtąd na Kąt i Paszkówkę były przepiękne, a w środku wiele ciekawych rzeczy. Do jednej z nich należało duże, oprawione w grubą drewnianą ramę, zdjęcie wojskowego od pasa w górę i w czapce rogatywce na głowie. Podkolorowane tak, że mundur miał kolor zielony, a otok czapki żółto-pomarańczowy. Było to zdjęcie średniego syna gospodarzy Antoniego, który przed wojną służył właśnie w ułanach, co było powodem dumy jego samego i jego rodziców.

Bednarze, a wówczas już mieszkała tam sama stara Bednarzowa zwana *Bednorką*, mieli trzech synów. Najstarszego Alojzego zwanego Lojzkiem, średniego Antka i najmłodszego Staszka. Wszyscy mieli podobne charaktery. Byli spokojni i zrównoważeni oraz niespotykanej dobroci ludźmi. I aby było dziwnie i ciekawie, wszyscy ożenili się z dziewczynami o imieniu Anna. U nas Annę zwano popularnie Hanką. Dla ich odróżnienia ludzie nadali im jednak różne imiona. Żonę najstarszego Lojzka, który zamieszkał *Na Dole* nazwano Haneczką, średniego Antka – Andzią, zaś najmłodszego Staszka – Haną. Muszę przy tym powiedzieć, że te imiona dobrze odzwierciedlały charaktery poszczególnych żon.

Żona najstarszego była najbardziej lubiana przez ludzi i miała chyba najlepszy charakter, stąd Haneczka. Antek wraz z Andzią przez długi czas mieszkał u teściów w drewnianym domu, stojącym przy „starej drodze". Zajmował się krawiectwem męskim. Wspaniale szył marynarki, ale ze spodniami było już gorzej.

Andzia była kobietą schludną, mającą wysokie mniemanie o swojej urodzie i przyzwyczajoną od dziecka do ulegania przeróżnym kaprysom, zachciankom i sporym wymaganiom. Traktowała więc męża prawie jak wyrobnika. Jemu to jednak nie przeszkadzało, gdyż był w Andzi zakochany po same uszy, co zresztą do końca życia mu pozostało.

Następnie wybudowali murowany dom *na Dziole* i tam się przenieśli. Mieli dwójkę dzieci. Starszą córkę Halinę i młodszego syna Tadka. Należał on także do grona moich, trochę młodszych, przyjaciół.

Antek długi czas pracował we Dworze, w magazynie nasiennym u wujka Frydka. Byli także dobrymi przyjaciółmi. Zresztą lubili go wszyscy. Najczęściej używanym przez niego słowem było *wytentegować*. Służyło mu jako słowo wytrych. Jeśli cokolwiek trzeba było zrobić, więc należało to *wytentegować*.

Blisko magazynu był sklep, a więc często po pracy szli na wino. Pito je przeważnie na dworze, pod lipami. Andzia pod pretekstem odciągania męża od picia, także brała w nim udział. Może nie tak lubiła samo picie, jak brylowanie wśród mężczyzn. To jednak sprawiało, że niekiedy bywała bardziej pijana od swego męża. I to wówczas na Antku spoczywał obowiązek doprowadzania jej do domu. Prowadzał ją obejmując w pasie, prawie że nosił. W tym czasie po-

mstowała i krzyczała na niego przez całą drogę, niesłusznie wyzywając od najgorszych pijaków, wredot i tym podobnych. To przyczyniło się do powstania powiedzonka – nie bądź taka Andzia lub nie bądź taka Bednarzowa. Używano go wówczas, gdy któraś z pań próbowała swoje winy przerzucić na *Bogu ducha winnego* męża.

Gdy zwracano jej uwagę, iż niestosownie się zachowuje, często odpowiadała – *mom to w zyci!* Zaś gwarowo rzyć (*zyć*) oznaczała tylną część ciała poniżej pasa. Będąc przy tym gwarowym określeniu trzeba także dodać, że było często stosowane przez dorosłych i dzieci dla wyrażenia dezaprobaty i negatywnego stosunku do danego zjawiska. Figurowało także w znanym ludowym powiedzeniu – *ciężka sprawa, szeroka rzyć a wąska ława.* A od siebie mogę dodać, iż:

Ciężka sprawa staje się głupawa,
gdy rzyć robi się szersza niźli ława.

Do innych popularnych i dosadnych powiedzonek tamtego okresu należały dwa rodzaje prawdy. A więc *prowda i gówno prowda.* To drugie określenie dosadnie nazywało coś, co nazywa się nieprawdą. Dalej na południe, czyli u górali, występowały nawet trzy rodzaje prawd. Jak to określił ksiądz profesor Tischner – *prowda, tyz prowda i gówno prowda.*

Staszek Bednarz ożenił się dziewczyną z Grabia. Życiowo rezolutną, nadzwyczaj pracowitą i wygadaną, a nawet trochę pyskatą. Stąd przezwisko Hana. Niedługo po ślubie wybudowali sobie mały domek na *Bednorzówce*, zaraz przy *gościńcu*. Posypały się także dzieci. Mieli trzy córki, w tym dwie bliźniaczki – Staszkę i Elę oraz dużo później syna. Staszek pracował fizycznie w Krakowie, w Bonarce lub Solwayu. Hana prowadziła dom, zajmowała się dziećmi, a także uprawą ziemi. Dodatkowo trudziła się handlem, szczególnie obnośnym, handlując mięsem, wędlinami i innymi produktami. Zapamiętałem ją dźwigającą zawsze duży kosz na plecach i przygiętą przez to mocno do ziemi.

Wspólną zaś cechą wszystkich żon było to, że rządziły „jak chłopy" swoimi mężami. Można by powiedzieć, że to one chodziły w spodniach, a nie ich mężowie. Sądzę, że przyczyna tego zjawiska leżała w naturze ich mężów. Spokojnych, pracowitych, spolegliwych, cierpliwych i wyrozumiałych oraz nad wyraz dobrych i zgodnych małżonków. Wykorzystywały te cechy ich małżonki, przejmując inicjatywę i stuprocentowo podporządkowując sobie swoich mężów.

12. Budynek Liceum Ogólnokształcącego w Kalwarii Zebrzydowskiej. 1992 r.

13. Klasztor Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej. Widok od strony Ukrzyżowania. Z lewej strony widnieje część zabudowań gospodarczych, w których mieścił się internat. 1992 r.

14. Janina Mazurkiewicz 1965 r.

Rozdział piąty

Podchorąży zawsze zdąży

Kierunek Zegrze

Wczesną wiosną 1960 roku otrzymałem wezwanie do stawienia się przed komisją poborową. Pobór do wojska odbywał się co roku wiosną i jesienią, przeważnie w kwietniu i październiku. W kwietniu, już po przerwanych studiach, wezwano mnie przed powiatową komisję poborową działającą w Wadowicach. Spotkało to także wielu młodych mężczyzn. W komisji, oprócz kilku wojskowych, byli także lekarze, którzy orzekali o zdolności do służby wojskowej.

Odbywało się to w ten sposób, iż przed komisją stawało się nago. Lekarze wzrokowo oceniali każdego delikwenta, pytali o samopoczucie, przebyte choroby i na tej podstawie orzekali kategorię zdrowia. Ja otrzymałem kategorię A, czyli najwyższą, świadczącą o bardzo dobrym zdrowiu. Na tej podstawie, a także swoich planów, oficerowie oznajmili mi, że dostaję przydział do marynarki wojennej.

Tu muszę wrócić do nieco wcześniejszych lat. Jak już wspominałem, w dzieciństwie fascynowało mnie morze i marynarka wojenna. Mogłoby się wydawać, iż trafiono bezbłędnie w moje upodobania i zainteresowania, a więc powinienem być zadowolony. Tak jednak nie było, gdyż moje zafascynowanie morzem i marynarką już minęło, a ponadto ciążyło nad tą decyzją odium trzech, w zasadzie zmarnowanych, lat. Także wśród innych poborowych marynarka wojenna nie cieszyła się popularnością. Mało tego, uważana była za karę i przykre zrządzenie losu, gdyż służyło się w niej najdłużej (trzy lata) i na drugim końcu Polski.

Tak więc, gdy mi oznajmiono, że dostaję przydział do marynarki wojennej, starałem się ten werdykt zmienić Zacząłem więc komisji nawijać:

– Szanowna komisjo, to nie dla mnie, bo nie umiem absolutnie pływać, mam chorobę morską, nie znoszę ciasnych pomieszczeń i przeraźliwie boję się wody. W związku z tym marynarka wojenna nie będzie miała ze mnie pożytku. Proszę więc o przydział do Warszawskiego Okręgu Wojskowego, a najlepiej do jednostki w pobliżu Krakowa. Tam będę służył uczciwie i z pożytkiem dla wojska.

Mimo mojej elokwencji i sądzę przekonywującego wystąpienia, komisja była nieugięta i stale powtarzała:

– Do marynarki wojennej. Tam wasze miejsce i kwita.

Na to wściekłem się okropnie i na zakończenie naszej rozmowy wyciągnąłem przed siebie rękę z otwartą dłonią, a palcem drugiej ręki stukając w jej środek rzekłem:

– Tu mi kaktus wyrośnie, jak pójdę do marynarki.

Na to jeden z oficerów komisji patrząc groźnie odparł:

– Zobaczymy. I tak pójdziecie do marynarki wojennej. Nasza w tym głowa.

Po wyjściu z komisji poborowej myślałem intensywnie. Co dalej z tym wojskiem zrobić? Trochę o wojsku już wiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, że miało w społeczeństwie duży i niekłamany autorytet, było lubiane i szanowane. Zaś oficerowie uznawani byli za elitę społeczną, chociaż zarobki w armii nie były za wysokie.

Poznałem także oficerów ze Studium Wojskowego Akademii Rolniczej w czasie studiów w Krakowie. Ich sylwetki, postawa i wiedza, którą prezentowali podobała mi się. Brałem także pod uwagę fakt, iż nie mam do tej pory zawodu i nie będę go miał za ponad trzy lata, po zakończeniu służby w marynarce wojennej. To wszystko skłoniło mnie, aby raczej pójść na te trzy lata do szkoły oficerskiej, niż do marynarki wojennej. Większość bowiem szkół oficerskich, szczególnie technicznych, dawała także zawód cywilny. Ponadto w przypadku niekorzystnego rozwoju wydarzeń, można było zrezygnować z ukończenia szkoły oficerskiej, zaliczając tym samym zasadniczą służbę wojskową.

Takie rozumowanie skłoniło mnie, aby pójść do Wojskowej Komendy Rejonowej (WKR-u) w Wadowicach. Tam na miejscu poprosiłem o wykaz szkół oficerskich. Spokojnie usiadłem i zacząłem czytać. W wykazie tym figurowało kilkanaście szkół różnych specjalności, które były rozsiane po całej Polsce. I tak Oficerska Szkoła Wojsk Zmechanizowanych (dawna piechoty) mieściła się we Wrocławiu, Wojsk Pancernych w Poznaniu, Wojsk Rakietowych i Artylerii w Toruniu, Wojsk Chemicznych w Krakowie, Wojsk Radiotechnicznych w Jeleniej Górze itd.

O owych szkołach wiedziałem niewiele lub zgoła nic. Moją uwagę zwróciła Oficerska Szkoła Łączności w Zegrzu koło Warszawy. Po pierwsze była szkołą techniczną, dającą także dyplom techniczny honorowany w cywilu, po drugie – sądziłem, że zapewni absolwentom łatwiejsze życie w jednostkach wojskowych niż inne szkoły oficerskie, na przykład wojsk zmechanizowanych czy wojsk pancernych, a ponadto, co nie było bez znaczenia, mieściła się w pobliżu stolicy.

Zdecydowałem więc, że złożę podanie o przyjęcie do Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu. Poprosiłem o druk, wypełniłem go i oddałem oficerowi zajmującemu się naborem kandydatów do szkół oficerskich. Ten zaś zaczął mnie namawiać, abym zmienił zamiar i złożył podanie do szkoły we Wrocławiu lub Poznaniu. Argumentował przy tym, że liczba kandydatów do Zegrza

jest największa, a więc przesiew i odrzut jest bardzo duży, czego nie ma w proponowanych przez niego szkołach. A ponadto szkoły te gwarantowały w przyszłości najszybszy awans, najważniejsze w wojsku stanowiska i generalskie szlify. I tu nie kłamał, potwierdziło to później życie. Nie było to jednak po mojej myśli i pozostałem przy swojej decyzji. Zrozumiałem także, że ów oficer walczy o swoje interesy i szuka chętnych do tych szkół, do których kandydatów jest za mało.

W odpowiednim czasie otrzymałem skierowanie na egzaminy do Zegrza oraz darmowy bilet przejazdowy. Egzaminy odbywały się we wrześniu. Do stacji kolejowej odprowadził mnie ojciec. Przed samym pożegnaniem zdobyłem się na odwagę i rzekłem:

– Tato. Zostajesz teraz z Janką. Za niedługo także i ona odejdzie z domu. Zostaniesz wówczas sam. Pomyśl zatem o sobie. Moim zdaniem powinieneś się ożenić. Będzie miał kto o ciebie zadbać i nie będziesz czuł się samotny.

Ojciec po chwili odpowiedział:

– Pomyślę.

Później okazało się, że mimo, iż był atrakcyjną partią dla wielu kobiet, które się za nim oglądały i szukały kontaktu, drugi raz się nie ożenił. Może to nawet ze szkodą dla siebie i siostry, którą nie było komu nauczyć tych umiejętności, których może nauczyć tylko kobieta. Z drugiej zaś strony, gdyby ojciec trafił na jakąś wredotę, czyli wredną babę, wówczas zepsułaby życie ojcu i siostrze.

Do Zegrza jechałem przez Kraków do Warszawy Głównej, aby potem przejechać autobusem do stacji Warszawa Gdańska, a stamtąd znowu pociągiem do Zegrza Południowego, gdzie była końcowa stacja kolejowa tej linii. Ze stacji kolejowej w Zegrzu Południowym szło się przez wieloprzęsłowy most betonowo-metalowy na Bugo-Narwi do Zegrza Północnego, który był po drugiej stronie rzeki i gdzie mieściła się szkoła oficerska.

W tej podróży było mi o tyle lżej, że już w drodze do Krakowa spotkałem podchorążego. I jak się przy bliższym poznaniu okazało z Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu. Był to Józek Zięba pochodzący ze Skawiec. Podchorąży drugiego roku, a po latach mój serdeczny kolega ze studiów w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie.

Zegrze, jak już wspomniałem, dzieli się na północne i południowe. Leży przy szosie Warszawa–Białystok, po obu stronach mostu na Bugo-Narwi. Zegrze Północne mieści się na prawym, wysokim brzegu połączonego już Bugu z Narwią. W czasach zaborów wybudowano tu forty, będące częścią umocnień carskich, budowanych na prawym brzegu Wisły i Bugo-Narwi. W dawnych czasach, oprócz mostu drogowego, do fortów prowadził także most kolejowy.

Po uzyskaniu przez Polskę niepodległości, 13 września 1919 roku powstał tu Obóz Szkolenia Oficerów Łączności w składzie Szkoła Oficerska Wojsk Łączności, mieszcząca się w Warszawie i Kurs Aplikacyjny Służby Łączności. Kurs miał przerwę w działaniu w 1920 roku w związku z operacją warszawską

wojsk polskich i radzieckich. Po tym fakcie od 1923 roku, na krótko, szkolenie łącznościowców przejęła utworzona w Warszawie Oficerska Szkoła Inżynierii.

W tym czasie w Zegrzu zachodziły kolejne zmiany. Obóz Wyszkolenia Oficerów Łączności przemianowany został na Obóz Szkolny Wojsk Łączności. Rozkazem wykonawczym z 27 lipca 1929 roku wprowadzającym w życie nową strukturę wojsk łączności Obóz Szkolny Wojsk Łączności przemianowany został na Centrum Wyszkolenia Łączności. W związku z likwidacją na początku lat trzydziestych Wydziału Łączności w Oficerskiej Szkole Inżynierii w Warszawie, szkolenie podchorążych służby stałej przeniesiono w 1935 roku do Centrum Szkolenia Łączności w Zegrzu, gdzie odbywało się do wybuchu drugiej wojny światowej.

Wojna sprawiła, że polskie Szkoły Podchorążych Łączności uruchamiano we Francji, Wielkiej Brytanii, Iraku, Egipcie i we Włoszech, a także w latach 1943–1944 przy szkołach oficerskich w ZSRR w Muromie i Riazaniu. Pod koniec wojny, bo 19 października 1944 roku, powołana została Oficerska Szkoła Łączności w Zamościu, by już 20 października 1945 roku rozpocząć swoją działalność w Sieradzu.

W 1950 roku w Zegrzu powstała Oficerska Szkoła Łączności Radiowej. Od tego momentu działały dwie Oficerskie Szkoły Łączności. Przewodowa w Sieradzu i Radiowa w Zegrzu, które 22 listopada 1955 roku połączyły się w jedną Oficerską Szkołę Łączności z siedzibą w Zegrzu. Działała ona do 1967 roku. W tym roku 20 maja otrzymała status Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności. Między innymi z tej okazji oddano do użytku 1 października 1986 roku nowoczesny blok dydaktyczny oraz wzbogacono uczelnie o szereg nowych gmachów mieszkalnych i zabezpieczających działanie wyższej uczelni. Niestety, w latach dziewięćdziesiątych, w ramach restrukturyzacji sił zbrojnych, zlikwidowano Wyższą Szkołę Oficerską Wojsk Łączności. Szkolenie oficerów łączności przejęła Wojskowa Akademia Techniczna, a w Zegrzu pozostał Ośrodek Szkolenia Wojsk Łączności.

Gdy wchodziliśmy do szkoły, na bramie wejściowej koszar widniał duży transparent z napisem „WITAMY WAS". Po jej przejściu ktoś złośliwy odczytał, a my żartobliwie podchwyciliśmy, że po drugiej stronie transparentu był też napis, ale brzmiał już „MAMY WAS", co by się zgadzało z zamiarami władz wojskowych i było zgodne z prawdą.

Zakwaterowani zostaliśmy w dużych, kilkunastoosobowych namiotach. Były w nich łóżka polowe lub prycze, na których można było pospać i odpocząć. Umywalnie zbiorowe typu polowego i latryny zbudowane były na obrzeżach obozowiska. Stamtąd chodziliśmy zdawać egzaminy do bloku wyszkolenia i wożono nas do Warszawy na komisję lekarską.

Egzaminy zdawaliśmy z matematyki, historii i wiedzy o świecie współczesnym oraz wychowania fizycznego. Pytania egzaminacyjne nie były ani zbyt łatwe, ani zbyt trudne. Raczej przeciętne. Dla mnie, zaprawionego już trochę w egzaminacyjnych bojach, raczej łatwe. Zdałem więc je dobrze.

Największe spustoszenie wśród kandydatów robiła komisja lekarska. Badali nas bardzo dokładnie prawie wszyscy specjaliści medyczni. U większości z nas znajdowano jakiś wady i ułomności, które dyskwalifikowały przyszłych oficerów. U mnie, mimo iż wydawało mi się, że jestem okazem zdrowia, znaleziono skrzywienie przegrody nosowej i w związku z tym chciano uznać za niezdolnego do zawodowej służby wojskowej. Tłumaczyłem im więc, że uprawiam sport, biegam, gram w piłkę nożną, siatkówkę i nie odczuwam, iż to mi przeszkadza lub upośledza. Po tych argumentach dopisano – skrzywienie przegrody nosowej, nie upośledzające czynności organizmu. Zdolny do zawodowej służby wojskowej.

O ile na egzaminach odpadało nie więcej jak jeden na trzech, czterech kandydatów, o tyle komisja lekarska odsiała więcej niż połowę chętnych. Przy tym nie brano wcale pod uwagę wzrostu i przyszli oficerowie mieli od metra sześćdziesięciu do około dwóch metrów wzrostu.

Do przysięgi

Służbę wojskową rozpocząłem 28 września 1960 roku w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu, a dokładniej w Zegrzu Północnym koło Warszawy. Były to koszary wybudowane chyba w okresie międzywojennym, na prawym, wysokim brzegu Bugo-Narwi, po prawej stronie szosy prowadzącej z Legionowa do Pułtuska. Naprzeciwko, po drugiej stronie owej szosy, stały stare, bo jeszcze carskie forty, pokryte drzewami i krzewami, ze śladami prowadzącej do nich linii kolejowej w postaci resztek mostu kolejowego przez rzekę.

Zabudowania szkoły oficerskiej składały się przeważnie z jednopiętrowych bloków koszarowych o płaskich dachach, bardzo dużej stołówki połączonej z kuchnią, budynku komendy, budynku wartowni i oficera dyżurnego, dwupiętrowego bloku wyszkolenia w kształcie ceownika, dużego kinoteatru, ładnej sali gimnastycznej, warsztatów itp. Oprócz tego był kompleks garażowy na sprzęt techniczny, boisko sportowe, nieczynny basen na wolnym powietrzu, duży plac do musztry z trybuną honorową, strzelnica pistoletowa oraz ogródek sportowy i tor przeszkód. Na terenie szkoły wszędzie były asfaltowe i betonowe ulice, wzdłuż których prowadziły okolone żywopłotami chodniki. Rosło także sporo drzew, przeważnie topoli.

Wszystko to było ogrodzone wysokim betonowym płotem, zakończonym u góry drutem kolczastym. Za ogrodzonym terenem szkoły stało pięknie położone na skarpie i przy szosie kasyno oficerskie i hotel, a po drugiej stronie szkoły, a raczej między szkołą a rzeką, osiedle mieszkaniowe kadry oficerskiej.

Nasz rocznik zakwaterowano w budynku naprzeciwko kinoteatru i podzielono na dwie kompanie, nadając im numery trzecia i czwarta. Kompanię trzecią, do której mnie przydzielono, zakwaterowano na piętrze, a kompanię czwartą na parterze. Dowódcą trzeciej kompanii został major Jan Śmielak, a czwartej kapitan Leonard Sadowski. W kompanii trzeciej oprócz jej dowódcy

było dwóch oficerów pełniących obowiązki dowódców plutonów – kapitan Kazimierz Kaczmarek i porucznik Stanisław Skibiński oraz szef kompanii sierżant Tadeusz Szemborski.

Na piętro wchodziło się przez duży hol na parterze, a następnie szerokimi schodami rozwidlającymi się wzdłuż jego ścian na środkowy korytarz na piętrze. Na nim stał stolik podoficera dyżurnego oraz wychodziły drzwi od pomieszczeń służbowych dowódcy kompanii i dowódców plutonów. Dalej w lewo i w prawo, ale już za przeszklonymi drzwiami, mieściły się części mieszkalne i dalej gospodarcze.

Każda z części mieszkalnych składała się z sześciu boksów, odgrodzonych od siebie tylko częściowymi ścianami. Po trzech z obu stron i szerokim przejściem pośrodku. W każdym boksie stało około 14–16 metalowych łóżek, zaś przy każdym z nich metalowa mała szafka przeznaczona na przybory do mycia, golenia, czyszczenia i inne drobne rzeczy oraz taboret. Na łóżku leżał siennik napchany słomą oraz dwa prześcieradła, dwa koce i mały zagłówek. Okresowa zmiana słomy w siennikach oraz codzienne kształtowanie siennika w idealny prostopadłościan był stałym rytuałem żołnierskiego życia. Za częścią mieszkalno-sypialną znajdował się średniej wielkości korytarz służący za palarnię i pomieszczenie do czyszczenia broni, magazynki broni, umywalnia i ubikacje, szatnie i bardzo duża świetlica.

Ubrano nas w mundury drelichowe koloru wypłowiałego khaki i takież furażerki na głowy, czarne skórzane buty za kostki, sznurowane i podbite podeszwami z metalowymi ćwiekami oraz czarne, skórzane pasy. Otrzymaliśmy także broń w postaci pistoletów maszynowych PM wzoru radzieckiego. Pistolety te, mogące strzelać tylko ogniem ciągłym, były wzorowane na niemieckich pistoletach MP i masowo stosowane wraz z pistoletami PPSz-a przez wojska radzieckie w czasie drugiej wojny światowej. Obie wersje owego pistoletu maszynowego były kalibru 7,62 mm i na naboje identyczne jak pistolet TT, lecz miały inne magazynki. PM miał magazynek łódkowy o pojemności 30 lub 45 pocisków, natomiast PPSz-a była wyposażona w magazynek dyskowy o pojemności 90 sztuk amunicji. Wyposażono nas także w hełmy, plecaki, maski przeciwgazowe i łopatki saperskie.

Następnie podzielono nas na plutony i drużyny. Ja dostałem się do drugiego plutonu i trzeciej drużyny. Zaś plutony i drużyny tworzono według wzrostu. A więc najwyżsi byli w pierwszym plutonie, nieco niżsi w drugim i tak kolejno. Taką samą metodę stosowano w plutonach.

Rozpoczął się okres szkolenia unitarnego, trwającego aż do czasu złożenia przysięgi, to jest ponad dwa miesiące. W tym czasie szkolono nas przeważnie z musztry, regulaminów, strzelania, wychowania fizycznego oraz uczono żołnierskiego życia i zachowania. Przeważnie prowadzili je dowódca kompanii i dowódcy plutonów. W każdym plutonie wyznaczono pomocnika dowódcy plutonu. Był nim osobnik, który do szkoły oficerskiej przyszedł prosto z jednostki wojskowej i posiadał już jakiś stopień wojskowy. Przeważnie stopień

kaprala, ale zdarzył się także jeden sierżant. Ten był już podoficerem zawodowym i zamierzał zostać oficerem. Moim pierwszym pomocnikiem dowódcy plutonu był kapral Zachariasz, następnie sierżant Rodzeń, zaś dowódcą drużyny starszy szeregowiec Wiktor Jesion, też przybyły ze służby zasadniczej.

Okres szkolenia unitarnego był niezwykle trudny i męczący. Wymagał olbrzymiego wysiłku fizycznego i odporności psychicznej. Zgodnie z obowiązującym porządkiem dnia, każdy dzień wyglądał podobnie. Zaczynał się pobudką o szóstej rano, następnie odbywała się półgodzinna zaprawa poranna, polegająca na bieganiu i gimnastykowaniu się na świeżym powietrzu. W zależności od temperatury powietrza, biegało się w samych spodenkach lub przy temperaturach około zera, w spodenkach i podkoszulkach. Przy dużych mrozach zakładało się dodatkowo bluzę i czapkę. Codzienny ubiór podczas zaprawy porannej regulował oficer dyżurny szkoły.

Po zaprawie porannej był czas na toaletę poranną i słanie łóżek. W okresie unitarnym myliśmy się plutonami i na komendę. Najpierw pierwszy pluton, potem drugi i na końcu trzeci. Czasu było niewiele, więc wszystko robiło się bardzo szybko. Kto nie zdążył, ten był ganiany wielokroć lub przeznaczany później do najpodlejszych prac. Po tym następował apel poranny całej kompanii, na którym sprawdzano wygląd zewnętrzny, czystość poszczególnych części ciała i umundurowania, stan ubioru oraz przekazywano różne wskazówki organizacyjne. Tymi przedsięwzięciami z reguły kierował szef kompanii.

Następnie całą kompanią i ze śpiewem na ustach maszerowaliśmy do stołówki, aby spożyć śniadanie. Po nim – krótkie przygotowanie do zajęć i szkolenie trwające przeważnie od godziny ósmej do godziny czternastej. A że szkolenie było intensywne i uciążliwe należało zawsze doprowadzić się do porządku, gdyż byliśmy brudni, umorusani i przepoceni, a niejednokrotnie ubłoceni, a nawet upaprani w błocie i Bóg wie w czym. Zabiegi te odbywały się przeważnie w umywalniach i na korytarzach, niekiedy także na dworze, po czym maszerowaliśmy na obiad. Na ten posiłek prowadził nas zawsze szef kompanii, który także jadł posiłek i czuwał nad porządkiem w stołówce. Mimo że chodziliśmy na obiad o dokładnie wyznaczonej porze, to często musieliśmy czekać, aż starsze roczniki opuszczą stołówkę i zostanie ona uprzątnięta po poprzednikach.

Zaś po obiedzie mieliśmy około pół godziny czasu wolnego. Potem, aż do kolacji i z reguły codziennie, odbywało się czyszczenie broni i sprzętu, a ponadto ćwiczenia z musztry i sprzątanie rejonów. Rejony dzieliły się na zewnętrzne i wewnętrzne. Do rejonów zewnętrznych należała spora powierzchnia koszar przydzielona do sprzątania naszej kompanii. Była ona odpowiedzialna za utrzymanie czystości w swoim rejonie oraz za systematyczne jego porządkowanie. W okresie jesiennym najwięcej codziennego sprzątania przysparzały opadające z drzew i krzewów liście. Sprzątanie rejonów wewnętrznych kompanii polegało natomiast na zamiataniu, pastowaniu i froterowaniu podłóg, myciu okien i posadzek, myciu i szorowaniu umywalni i ubikacji, robienie porządku w magazynkach broni i szatniach oraz sprzątaniu świetlicy i klatki schodowej.

Kolacje podawano około dziewiętnastej, na którą maszerowaliśmy plutonami lub całą kompanią. Po niej było obowiązkowe wysłuchanie dziennika (wiadomości) oraz czytanie prasy, pisanie listów itp.

Większość czasu pomiędzy zajęciami spędzało się na zbiórkach i marszach ze śpiewem. Natomiast po kolacji, na zajęciach organizowanych przez starszych żołnierzy, to jest pomocników dowódców plutonów. Posiadali oni olbrzymią inwencję w wyszukiwaniu różnych bzdurnych zajęć i czynności, szczególnie porządkowych, w tym szlifowanie umywalni i ubikacji kawałkami cegieł i zużytymi starymi szczoteczkami do mycia zębów, zaś robienie zbiórek drużynami w różnych miejscach i w różnym czasie było ich ulubioną rozrywką. Przy czym zbiórki wykonywało się zawsze biegiem. Najgorzej było, gdy zarządzano je naprzemian, raz na piętrze, a raz przed blokiem. Wówczas można było połamać sobie nogi na schodach.

Te wszystkie intensywne ćwiczenia fizyczne oraz przebywanie w ciągłym ruchu na świeżym powietrzu, prawie od godziny szóstej do godziny dwudziestej drugiej, wywoływały olbrzymi apetyt. A na początku karmiono raczej słabo. Na śniadanie była zazwyczaj herbata lub kawa zbożowa, chleb, marmolada lub smalec, rzadziej masło lub margaryna. Na obiad w miarę smaczna zupa stołówkowa, a na drugie danie ziemniaki, kasza jęczmienna lub makaron i do tego kawałek mięsa, przeważnie mielonego. Na deser cienki kompot, herbata, budyń lub kisiel.

Obowiązkowo raz w tygodniu na obiad był śledź z ziemniakami. Bardzo duży, tłusty, łowiony na łowiskach labradorskich lub Morza Północnego. Taki, jakiego dzisiaj już się nie uświadczy. Za to prosto z beczki, tylko trochę wymoczony. Trzeba się było nieźle z nim pomęczyć, aby obrać go ze skóry oraz pozbawić szkieletu i ości, ale jadłem zawsze ze smakiem. Jednak spora część kolegów nie jadała ich w ogóle. Wymyślono więc następującą zabawę. Kładziono na stole widelec, a na jego rączce śledzia w poprzek i uderzano dłonią z całej siły w ząbki. To powodowało, iż śledź wylatywał jak z katapulty w górę i na dużą odległość. Przez to utarło się powiedzenie, że były to obiady latające, a śledzie otrzymały nazwę ryb latających.

Kolacje wyglądały podobnie jak śniadania, chociaż dość często podawano coś na ciepło, na przykład kawałek kiełbasy, jajecznicę, naleśniki, bigos itp. Dla młodych wygłodzonych organizmów wszystko to było za mało. Sygnalizowaliśmy ten problem przełożonym, lecz sprawa rozbijała się o fundusze na wyżywienie, gdyż stawka żywieniowa na jednego żołnierza była niska. Szkoła robiła w tym względzie co mogła, między innymi uprawiając swoje warzywa, ale to niewiele pomagało. Aby w pełni zaspokoić głód dopychaliśmy się chlebem, którego na szczęście było pod dostatkiem. Jedliśmy go ze wszystkimi posiłkami i daniami, nazywając to kontrowaniem lub przykontrowywaniem.

Musztrowano nas codziennie po kilka godzin, w tym szczególnie często ćwiczyliśmy czołganie i krok defiladowy. Polegał on na maszerowaniu w taki sposób, aby mając sylwetkę wyprostowaną, nogi podnosić wysoko w przód, zaś

stopy co najmniej na trzydzieści, czterdzieści centymetrów od ziemi, a następnie uderzać nimi o podłoże. Przy tym miarowo i równo machać rękami, jeśli maszerowało się bez broni, a tylko jedną, gdy maszerowało się z bronią.

Z bronią i w pełnym żołnierskim oporządzeniu ćwiczyliśmy codziennie musztrę z bronią i uczyliśmy się na sucho strzelać oraz przeważnie raz w tygodniu chodziliśmy strzelać amunicją bojową na strzelnicę garnizonową, oddaloną od szkoły kilkaset metrów. Strzelania odbywały się plutonami lub całą kompanią, a prowadzili je dowódca kompanii lub dowódcy plutonów. Chodziliśmy zawsze nosząc pełne plecaki i pozostałe oporządzenie. Było więc co dźwigać. Dojście do strzelnicy i z powrotem odbywaliśmy zawsze marszobiegiem lub ze śpiewem marszowym. Marszobieg zaś polegał na tym, że prawie cały czas się biegło, a tylko niewielkie odcinki drogi maszerowało. Często stosowano także marsz lub bieg w maskach przeciwgazowych. Było to potwornie ciężkie, gdyż do płuc dostawało się zbyt mało powietrza i tlenu i człowiek się dusił. Szczególnie często spotykało to tych, którzy nie wykonali strzelania, zachowali się niewłaściwie w szyku lub posiadali jakieś usterki w oporządzeniu i umundurowaniu.

Maszerując kompanią lub plutonami śpiewaliśmy różne piosenki marszowe. I przedwojenne i powojenne oraz powstałe w armii polskiej idącej ze wschodu. Te ostatnie były preferowane, jako najbliższe duchowi odrodzonego Wojska Polskiego. Należała do nich piosenka marszowa 1 Dywizji im. Tadeusza Kościuszki „Oka", powstała w Sielcach nad Oką oraz marsz 1-go Korpusu których pierwsze zwrotki i refreny były następujące.

Szumi dokoła las, czy to jawa, czy sen?
Co ci przypomina, co ci przypomina, (bis)
Widok znajomy ten? (bis)

Żółty wiślany piach, wioski słomiany dach,
Płynie, płynie Oka, jak Wisła szeroka, (bis)
Jak Wisła głęboka (bis).

„Marsz 1-go Korpusu"

Z poza gór i rzek,
Wyszliśmy na brzeg,
Czy stąd niedaleko już
Do grających wierzb,
Malowanych wzgórz.

Wczoraj łach, mundur dziś,
Ściśnij pas, pora iść,
Ruszaj pierwszy korpus nasz,
Z poza gór i rzek,
Na zachód marsz.

Nie były one zbyt melodyjne, ale melodie miały proste i do śpiewu marszowego dobre. Zaś do najchętniej śpiewanych piosenek historycznych i przedwojennych należały: „Kirasjerzy", „Stoi ułan na widecie" (1830), „Jak to na wojence ładnie" (1863)" „Pierwsza kadrowa" (1863), „CKM-y" (przypuszczalnie 1915), „Gdzie strumyk płynie zwolna", „Hej, sokoły", „Płonie ognisko i szumią knieje", „Przybyli ułani pod okienko" (przed 1914), „Ułani, ułani..." (przed 1914), „O mój rozmarynie..." (przed 1914), „Piechota" (1914–1918), Wojenko, wojenko..." (1917), „Rozkwitały pęki białych róż" (1917), „Morze, nasze morze" (1922–1926), „Zakochane serce" (1933), „Marysiu cześć...", „Tam nad Wisłą w dolinie", „Podchorąży", „Rozszumiały się wierzby płaczące" (1937–1939), „Dziś do ciebie przyjść nie mogę" (1942–1943), „Czerwone maki" (maj 1944), „Marsz Mokotowa" (sierpień 1944).

Treść tych piosenek jest na ogół znana. W związku z tym pozwolę sobie przytoczyć tylko dwie z nich. Pierwszą, bardzo sympatyczną piosenkę o podchorążych, którą z przyjemnością śpiewaliśmy ze względu na ładną melodię i humor słowny.

W domeczku mieszkała, prześlicznie śpiewała,
Zgrabne nóżki miała i usteczka śliczne.
No i jeszcze coś, ale o tym sza,
Jedną małą rzecz, tra-la-la-la-la.

On mieszkał w koszarach, było mu wygodnie,
Miał czarne wąsiska, z lampasami spodnie.
No i jeszcze coś.....itd.

W pięknym karnawale ona go poznała,
A jak go poznała usteczka mu dała.
No i jeszcze coś.....itd.

Teraz dziewczę płacze, no i jest w rozterce,
Bo chłopak niecnota rozkrwawił jej serce.
No i jeszcze coś.....itd.

Nie płacz dziewczę, nie płacz, próżne żale, dąsy,
Zemścij się na chłopcu – obetnij mu wąsy.
No i jeszcze coś.....itd.

Bardzo piękną piosenkę ułańską z 1830 roku śpiewaliśmy w dwóch wersjach. Oryginalnej i w przeróbce. Z piosenki oryginalnej przytoczę tylko dwie pierwsze zwrotki.

Tam na błoniu błyszczy kwiecie,
Stoi ułan na widecie,
A dziewczyna jak malina niesie koszyk róż. (bis)

Stój poczekaj moja duszko,
Skąd tak prędko stąpasz nóżką,
Jam z tej chatki, rwałam kwiatki i powracam już. (bis)

Zaś przeróbka tej piosenki była bardziej figlarna, aby nie powiedzieć, po żołniersku rubaszna. A że ma ona prawdopodobnie już ponad sto lat, dobrze będzie ją przypomnieć, gdyż da wyobrażenie o żołnierskim humorze z przed wieku.

Stoi ułan na widecie o kulbakę dupę gniecie,
A szkapina poczciwina nie chce dalej iść – do przodu. (bis)
A-ani kroku!

Stoi ułan i flirtuje, a szkapina popierduje,
Hej u licha pierdźże z cicha bo Moskale tuż-za nami. (bis)
O-o pół kroku!

Stoi ułan na okopie, a śmierć pod nim dołki kopie,
Granat trzasnął, ułan wrzasnął, głowy nie ma już-na karku. (bis)
A-ani śladu!

Niosą trumny przez dąbrowę, w jednej ułan, w drugiej głowę,
Pogrzebali, pochowali, nie ma chłopa już-w śród żywych. (bis)
A-absolutnie!

A że był on regulaminowy, trąbka wzywa, szuka głowy,
Znalazł, przyszył, przyklajstrował, no i śmieje się-ze śmierci. (bis)
I z Moskali!

Pułk już rusza do ataku, ułan pędzi do chłopaków,
Dosiadł konia z szablą w dłoni i Moskala gna-jak głupi. (bis)
Jak -szalony!

Jako zjawa w polu hula, nie bierze go szabla, kula,
Bo czy może, o mój Boże umrzeć drugi raz-w swym życiu. (bis)
A-wykluczone!
Bo nie może, o mój Boże umrzeć drugi raz.

Już po przysiędze, w zasadzie nie dyktowano nam co mamy śpiewać, choć sztandarową piosenką marszową dalej była „Oka" i „Marsz 1-go Korpusu". Jeśli chodzi o piosenki przedwojenne i wojenne to nie pochwalano jak śpiewaliśmy „1-szą Brygadę" i „Czerwone Maki". Śpiewaliśmy je wówczas, gdy chcieliśmy dokuczyć przełożonym. Zaś na swoje potrzeby śpiewaliśmy „1-szą Brygadę" o treści trochę innej od oryginału, tak zresztą, jak i czasem śpiewano ją przed wojną.

My Pierwsza Brygada,
Piłsudskiego dziada
Itd.

Oprócz piosenek marszowych śpiewaliśmy także inne. Przytoczę jedną z nich, której twórcą był bezimienny podchorąży, i którą śpiewało się na melodię dziadowskiej ballady. A oto ona.

Razu pewnego Bóg dopiął swego,
Był pewny własnego „ego",
Zebrał nad Narwią kupę łajdaków,
Spod wszystkich Zodiaku znaków.

Pomyślał sobie biedny staruszek,
Wreszcie okażą mi skruchę,
Gdy aniołkowie spod ciemnej gwiazdy,
Będą im dawać tam w dupę.

Wyrównał szereg, ubrał w kubraki
I oddał w ręce anielskie,
Aby wyplenić z ich łbów gorących,
Wszelkie zamysły diabelskie.

Nie zaznał jednak dziadziuń spokoju,
Gdyż cała przeklęta zgraja,
Zamiast zdobywać wszechstronną wiedzę,
Robiła codziennie „jaja".

Z nauki kpiny robili czyste,
Burząc tym boskie nadzieje,
Aby nasycić swoje gardziele,
Sprzedali nawet transzeję.

A w okolicy wszystkie niewiasty,
Psuli wręcz w sposób szalony,
Mając za druhów w nocnych wypadach,
Rynny i piorunochrony.

Na koniec pragnąc w tej okolicy,
Zaistnieć w pamięci na stałe,
Zrobili z pięknej i czystej Narwi,
Okropny, trujący zalew.

Miała ich dosyć cała komenda,
Kadra, szef i wszelkie nacje,
Więc dla spokoju zrobili w niebie,
Dodatkową parcelację.

Lecz na tym nie jest koniec ballady,
Niech się z was nikt nie podnieca,
Bo dalsze losy tych pomazańców,
To jedna jest wielka heca.

Miast między ludźmi snuć sieć łączności,
Rzucali ten piękny zawód,
I włażąc wszędzie, gdzie tylko można,
Rozkładają ten piękny naród.

Jedni odkryli w sobie geniuszy,
W politykierstwo się wdając,
Lecz zamiast uczyć i wychowywać,
Ludziom we łbach przewracają.

A jeszcze gorsza od tych wałkoni,
Szemrana kadrowa nacja,
Gdyż mimo ciągłych knotów i błędów,
Ich zawsze musi być racja.

Ci, którzy dumnie czoła podnoszą,
Tusząc, że sprawnie dowodzą,
W swym zaślepieniu nie dostrzegają,
Że wojska ich na psy schodzą.

A biurokraci tworzą i mnożą,
Papierzysk tomy opasłe,
I niszcząc lasy wciąż potęgują,
Tego kraju degradację.

Powiedzcie wreszcie mili ludkowie,
Jaką znaleźć na to radę
Gdyż wszyscy swoją postawą czynią,
Społeczną degrengoladę.

A kiedy taki w ząbek szarpany,
Gdziekolwiek w Polskę nie ruszy,
To pozostawia za sobą w spadku,
Jedynie z zacieru fusy.

Oj, Panie Boże cóżeś ty zrobił,
Czym żeś im łby przyozdobił,
Że ciebie w sercach wcale nie mają,
Gdyż gardła zwilżyć nie dają.

W tym okresie szkolenia uświadamiano nam, że w swoim dotychczasowym życiu nie nauczyliśmy się nic porządnie robić. Na musztrze, że nie umiemy chodzić ani pojedynczo, ani w szyku. Na bardzo częstych przeglądach, że nie umiemy się porządnie myć, golić, dbać o buty i ubranie, sprzątać, zachowywać się itp. W ogóle, że jesteśmy ciamajdy, maminsynki i rozleniwioną bandą nygusów. A więc czynności te wykonywaliśmy po wielokroć, aż pomocnik dowódcy plutonu uznał nasze wykonanie za zadowalające. To zajmowało czas wolny, a niekiedy także czas nocny, czyli przeznaczony na spanie.

Na WF-ie zaś, że jesteśmy ostatnimi łamagami, którzy o ćwiczeniach sportowych nie mają zielonego pojęcia, a oprócz tego brak nam siły, odporności i wytrzymałości oraz okazujemy bojaźń przed wykonaniem wielu ćwiczeń. W części to była prawda, gdyż spadaliśmy z drążka, poręczy, kółek i zawieszonej pionowo pięciometrowej liny, jak dojrzałe gruszki, a ten kto widział nasze pierwsze skoki przez konia i skrzynię, musiał pokładać się ze śmiechu lub pła-

kać z rozpaczy, obserwując naszą nieudolność, przewracanie się i upadki, potłuczenia i czynione inne idiotyczne figury.

Jednak najgorsze, co nas wówczas spotykało, to ćwiczenia na torze przeszkód. Były przerażająco trudne i wymagały olbrzymiego wysiłku. Trzeba było się czołgać pod bardzo niskimi zasiekami drutu kolczastego i to z bronią. Brzuchami szorowało się po ziemi, a gdy tylko podniosło się nieco plecy lub tyłek to wówczas wbijały się w te miejsca druty kolczaste, a przy bardzo szybkim czołganiu potrafiły także porozrywać nie tylko mundur, ale również skórę i ciało. Ponadto trzeba było pokonać wiele innych i też trudnych przeszkód, takich jak wysokie i gładkie ściany, rowy i transzeje różnej głębokości i szerokości, zestawy potykaczy, betonowe kręgi i pionowe liny różnej długości. Po ukończeniu toru, zmęczenie było tak wielkie, iż nie wiedziało się czy człowiek jeszcze żyje, czy już umarł.

Tak szybko mijały dni i tygodnie, aż upłynęły ponad dwa miesiące szkolenia unitarnego. Rozpoczęło się przygotowanie do przysięgi. Chyba najbardziej uroczystej chwili w życiu żołnierza. W związku z tym zwiększyła się częstotliwość ćwiczeń i treningów z musztry. Szczególnie często ćwiczyliśmy całą kompanią krok defiladowy, defiladę oraz ceremoniał składania przysięgi. Przed samą przysięgą otrzymaliśmy mundury wyjściowe podchorążych. Były ciekawe, a więc warte opisania.

Ubiór wyjściowy podchorążego wykonany był z solidnego, grubego sukna i składał się z czapki, bluzy, spodni, zimowego płaszcza oraz półbutów i pasa. Czapka typowa o okrągłym i sztywnym denku z metalowym orłem w górnej jej części. Wierzch czapki koloru khaki, otok czerwony, a daszek czarny z okutym metalowym zakończeniem. Bluza także koloru khaki, dopasowana do ciała i zapinana pod szyję na haftkę, a następnie w dół na sporo metalowych guzików z wytłoczonym orzełkiem bez korony na wierzchu. Naramienniki (pagony) i patki na końcach kołnierza były również czerwone (ilustr. 15).

Spodnie miały czarno-granatowy kolor, a po bokach obu nogawek czerwone lampasy o szerokości około pięciu centymetrów. Płaszcz zrobiony był z jeszcze grubszego sukna w kolorze khaki i sięgał prawie do kostek. Tak, jak i bluza posiadał naramienniki i patki kołnierza koloru czerwonego. Dopasowany w górnej części, od bioder rozchodził się szerzej ku dołowi, mając z tyłu długie rozcięcie oraz szereg zaszywek i zaprasowanych fałd. Ponadto skórzane oraz czarnego koloru półbuty i pas główny.

Przed przysięgą sami obszywaliśmy mundur i płaszcz, aby po złożeniu przysięgi stać się podchorążymi. I tak czerwone naramienniki obszywaliśmy srebrną, okrągłą lamówką oraz przypinaliśmy na nich metalowe symbole szkoły oficerskiej to jest połączone, a raczej przeplecione litery OS, zwane „oeskami". Na czerwonych patkach kołnierzy przypinaliśmy także metalowe znaczki przedstawiające miecz na dębowym liściu. Zaś na rękawach, poniżej łokcia a powyżej guzika bluzy i płaszcza srebrny, szeroki na około centymetr, pleciony pasek. Owe paski były symbolami roczników w szkole. Podchorążowie pierwszego roku nosili na rękawach po jednym szerokim pasku. Podchorąży-

wie drugiego roku jeden szeroki i jeden wąski, zaś trzeciego jeden szeroki i dwa wąskie na każdym rękawie.

W dniu przysięgi występowaliśmy w zimowych płaszczach, ponieważ był już grudzień oraz w hełmach i z bronią. Na plac alarmowy wyprowadzono nas przed ósmą rano i ustawiono wszystkie pododdziały w szykach kompanijnych. Głównymi postaciami tej uroczystości był komendant szkoły pułkownik Edward Gierasimczyk i jego zastępca do spraw liniowych podpułkownik Jerzy Sieradzan.

Komendant szkoły był oficerem niskiego wzrostu, lecz prezentował się dostojnie. Miał opinię bardzo sympatycznego i mądrego, a przy tym spokojnego, wielce wyrozumiałego i dbającego o podchorążych oficera. Pochodził z tej grupy oficerów, która przybyła wraz ze wschodnim frontem. Prawdopodobnie pochodził z kresów wschodnich i jak u wszystkich Polaków ze wschodu wyczuwało się u niego wschodni akcent i ten charakterystyczny zaśpiew. Widywaliśmy go raczej rzadko, przeważnie z okazji większych uroczystości i specjalnych wizyt gości. Czasami, mając służbę w bloku wyszkolenia, przymierzaliśmy jego czapkę, gdy zostawiał ją w szatni. Była rozmiaru sześćdziesiąt, a więc olbrzymia jak na jego wzrost.

Do czasu złożenia przysięgi najczęściej widzianą przez nas osobą z dowództwa szkoły był zastępca komendanta szkoły do spraw liniowych podpułkownik Jerzy Sieradzan. Odpowiadał on w szkole za wyszkolenie ogólne, przede wszystkim z regulaminów, musztry, szkolenia strzeleckiego oraz ogólny porządek i dyscyplinę. Nadzorował wiec szkolenie, kontrolując szczególnie często prowadzenie musztry i przygotowanie pododdziałów do przysięgi.

Był dla nas wówczas i pozostał do dzisiaj wzorem oficera. Przystojny, średniego wzrostu mężczyzna, zawsze pedantycznie ubrany, charakteryzujący się wielką kulturą osobistą, poza tym był człowiekiem z wielką charyzmą. Był także postacią nietuzinkową, na którą z przyjemnością się patrzyło i jeszcze większą przyjemnością słuchało. Przy tym sam potrafił pokazać na czym polega wzorowe wykonanie poszczególnych komend i wymagał podobnego wykonania od innych. Nie znosił chamstwa i wulgaryzmów, co musiało udzielać się także jego podwładnym oficerom. Zaś nas traktował jak swoich synów, z sercem, ale i wymaganiem. Jego sławne powiedzenie, które często w stosunku do nas używał brzmiało „Rycerzyku! Rycerzyki!". Pochodził z Kołomyi.

Na trybunie honorowej zajęli miejsca oficerowie dowództwa szkoły, zaproszeni goście oraz krewni i bliscy podchorążych pierwszego rocznika. Prowadzący uroczystość podpułkownik Sieradzan, przy dźwiękach wykonywanego przez orkiestrę „Marsza generalskiego", złożył komendantowi szkoły meldunek o gotowości do uroczystości. Ten zaś w towarzystwie meldującego dokonał przeglądu zgrupowania, przechodząc przed frontem pododdziałów, po czym udał się przed środek ugrupowania i przywitał się ze wszystkimi głośno mówiąc „Czołem podchorążowie!". My zaś odpowiedzieliśmy równo i głośno chórem „Czołem telu niku", co było stosowanym skrótem i oznaczało „Czołem obywatelu pułkowniku".

Przysięgę składaliśmy stojąc w szyku kompanii, z podniesioną od łokcia w górę prawą ręką i wyprostowanymi dwoma palcami, z dłonią złożoną podobnie jak do salutowania i powtarzając głośno za komendantem słowa przysięgi. Po złożonej przysiędze wysłuchaliśmy okolicznościowych przemówień komendanta i różnych oficjeli oraz otrzymaliśmy sporo kwiatów od rodzin, które brały udział w przysiędze swoich bliskich. Na zakończenie zaś odbyła się defilada przed trybuną honorową, a po niej uroczysty obiad w stołówce. Od tego momentu staliśmy się podchorążymi. A ponadto mogliśmy po ponad dwóch miesiącach spędzonych w koszarach nareszcie wyjść na przepustkę. Większość z nas pojechała do Warszawy, zwiedzić stolicę.

W związku z promocją i wyposażeniem nas w półbuty, muszę odnotować dość istotny fakt. Po raz pierwszy od przybycia do szkoły otrzymaliśmy skarpetki. Do tej pory używaliśmy onuc, będących sporymi kawałkami białej, flanelowej tkaniny bawełnianej. Zaraz po przyjściu do szkoły, owe onuce były dla nas szokiem. Prawie nikt nie umiał ich zawijać wokół stóp. Robiliśmy to źle. Przez co robiły się fałdy nie w tych miejscach co potrzeba, a od tego nagminnie obcieraliśmy stopy. Niekiedy aż do krwi, nie licząc już pęcherzy.

W związku z tym klęliśmy i dalej cierpieliśmy, bo każdy zrobiony krok był męczarnią. Zresztą jeszcze długo po przysiędze, gdyż dalej na co dzień chodziliśmy w butach za kostki i w onucach. Jednak później prawie każdy z nas stwierdził, że umiejętnie zawinięte onuce są o niebo lepsze od skarpet, szczególnie podczas długich marszów i wszelkich ćwiczeń. Miały bowiem tę zaletę, że wchłaniały pot i zapobiegały odparzeniom stóp, co zdarzało się nagminnie przy używaniu skarpet.

Podchorążowie rocznik 60-ty

Po przysiędze rozpoczęliśmy podchorążackie życie. Ogólnie jego tok nie odbiegał wiele od poprzedniego. Jednak zmieniło się to i owo. Przede wszystkim podejście do nas przełożonych, którzy zaczęli nas traktować z większą kulturą i zaufaniem, co w przyszłości przerodziło się w prawdziwe partnerstwo, w którym każda ze stron była świadoma swych praw i obowiązków. Ponadto ilość niezwykle męczących zajęć z musztry, a także z regulaminów i wyszkolenia strzeleckiego uległa znacznemu ograniczeniu. Czas od godziny ósmej do godziny czternastej spędzaliśmy przeważnie na zajęciach programowych, a od godziny szesnastej do osiemnastej trzydzieści na obowiązkowej nauce własnej. Przez cały ten czas przebywaliśmy w zasadzie w bloku wyszkolenia.

Rozpoczęliśmy naukę z szeregu nowych przedmiotów. Między innymi podstaw matematyki wyższej, elektrotechniki, teletechniki, radiotechniki, taktyki ogólnej, przedmiotów ogólnowojskowych i politycznych, a także języka rosyjskiego i służby ruchu radio.

W sumie w czasie trzech lat nauki mieliśmy 31 przedmiotów z różnych dziedzin. I tak z przedmiotów humanistycznych: filozofię marksistowską, eko-

nomię polityczną, historię ruchu robotniczego, historię wojen i wojska, pedagogikę wojskową i psychologię wojskową. Z przedmiotów ogólnowojskowych oprócz regulaminów i musztry także następujące szkolenia: taktyczne, ogniowe, opbmar (obrony przed bronią masowego rażenia), samochodowe z robieniem prawa jazdy włącznie, inżynieryjno-saperskie oraz terenoznawstwo i tajne dowodzenie. Z przedmiotów technicznych, poza wymienionymi już elektrotechniką, teletechniką, radiotechniką, jeszcze materiałoznawstwo elektryczne, zasilanie, prace warsztatowe radio, znajomość sprzętu teletechnicznego, linie łączności, węzły łączności, gospodarka materiałowa sprzętem łączności oraz znajomość sprzętu radiowego i praca na urządzeniach łączności.

Do najtrudniejszych przedmiotów należało szkolenie taktyczne, które obejmowało zachowanie się pojedynczego żołnierza na polu walki oraz taktykę drużyny i plutonu. Prowadzone było w formie teoretycznej na sali wykładowej, ale zdecydowana większość zajęć odbywała się w terenie, na tak zwanej Skubiance. Poligon Skubianka obejmował obszar kilkunastu, a może kilkudziesięciu hektarów ugorów i zakrzaczeń, w większości piaszczystych. Znajdował się w odległości około kilometra od koszar w kierunku północnym, po przeciwległej stronie drogi prowadzącej z Legionowa do Pułtuska, tuż za fortem.

Tutaj wyżywali się na podchorążych wykładowcy taktyki. Wśród nich brylował szczególnie złośliwy kapitan Sylwester Piotrowski, późniejszy wieloletni wykładowca Akademii Sztabu Generalnego, a następnie kierownik Katedry Dowodzenia Akademii Obrony Narodowej. Potrafił nie tylko wyśmienicie wymagać, ale i potwornie, a przy tym przeważnie niepotrzebnie gonić i maltretować podchorążych. Co gorsze widać było, że sprawia mu to nieskrywaną przyjemność i pełną radość. Odbieraliśmy to wszyscy okropnie, ale była to dla nas dobra nauczka na przyszłość, aby wymagając nigdy nie być złośliwym w stosunku do żołnierzy.

Ćwiczenia taktyczne odbywały się zawsze z pełnym obciążeniem, a więc wyładowanym plecakiem, bronią, sprzętem przeciwchemicznym, łopatką saperską i w hełmie. Polegały głównie na bieganiu, padaniu, czołganiu i kopaniu stanowisk strzeleckich oraz transzei. Szczególnie ciężko ćwiczyło się wówczas, gdy te czynności wykonywało się w masce przeciwgazowej na twarzy lub w całym ubiorze przeciwchemicznym. Ze zmęczenia i braku tlenu można było wówczas wyzionąć ducha.

Zaś do najprzyjemniejszych przedmiotów należała służba ruchu radio. Polegała ona nauce alfabetu Morse'a oraz nadawaniu i odbiorze tekstów literowych, cyfrowych i mieszanych przy wykorzystaniu tegoż alfabetu. Alfabet ów wyglądał w ten sposób, iż każdemu znakowi pisarskiemu odpowiadała odpowiednia kombinacja długich i krótkich sygnałów. Teksty nadawało się kluczem telegraficznym, skonstruowanym tak, że każdemu naciśnięciu klucza odpowiadał sygnał wytworzony przez generator akustyczny. Długość sygnału dźwiękowego była identyczna z długością czasu naciśnięcia klucza telegraficznego.

Szkolenie prowadzono w odpowiednio wyposażonych salach, mieszczących kilkadziesiąt stolików ze słuchawkami i kluczami telegraficznymi oraz dużego

pulpitu wykładowcy, w którym znajdował się generator akustyczny ze wzmacniaczem, głośnik, klucz telegraficzny i słuchawki oraz łącznica umożliwiająca dokonywanie połączeń każdego stanowiska z każdym i nadawanie tekstów dla wszystkich lub wybranych, a także podsłuch pracy na każdym stanowisku.

Teksty treningowe składały się z pięcioznakowych grup. Zaś każda grupa mogła być czysto literowa, w tym także z literami alfabetu rosyjskiego, cyfrowa lub mieszana. Litery były kombinacją od jednego do czterech krótkich lub długich sygnałów, a wszystkie cyfry kombinacją pięciu długich i krótkich sygnałów. Według mnie najpiękniej brzmiącą literą w alfabecie Morse'a była litera f, składająca się z następującej kombinacji sygnałów: krótki, krótki, długi, krótki, co brzmiało jak ti ti taa tit lub cio cia Kaa sia. Początkowo nadawało się kluczem i odbierało z zapisem ręcznym, a następnie z zapisem maszynowym. A więc trzeba było odebrać sygnały płynące ze słuchawek lub głośnika, a zapisać je pisząc na maszynie do pisania.

Nauka odbioru słuchowego polegała na tym, że po nauczeniu się alfabetu Morse'a, dalej cały czas doskonaliło się coraz szybsze i bezbłędne nadawanie i odbieranie tekstów. W tym zakresie stworzone zostały wymagania odpowiadające klasom radiotelegrafisty. Istniały trzy klasy radiotelegrafisty, pierwsza, druga i trzecia. W pierwszym roku nauki w szkole odbioru słuchowego uczono wszystkich podchorążych. Ale nie wszyscy nadawali się do tego ze względu na słuch. Aby zostać dobrym radiotelegrafistą trzeba mieć bardzo dobry słuch i doskonale wyrobione przeguby dłoni. A więc w wyniku przeprowadzonej selekcji wybrano około sześćdziesięciu najlepszych i po pierwszym roku utworzono z nich dwa plutony ogólnoradiowe – pierwszy i drugi.

Dla zdobycia trzeciej klasy radiotelegrafisty należało nadawać i odbierać tekst w tempie 12 grup na minutę, drugiej klasy 15 grup na minutę, a pierwszej klasy18 grup na minutę. To w efekcie dawało 60, 75 i 90 znaków na minutę, a więc od jednego do półtora znaku pisarskiego na sekundę. Aby tak nadawać trzeba było przeciętnie trzy do czterech razy na sekundę nacisnąć klucz telegraficzny.

Każdy z podchorążych plutonów radiowych zobowiązany był do zdobycia trzeciej klasy radiotelegrafisty. Polegało to na zdaniu egzaminu na sali wykładowej, podczas którego każdy miał nadać i odebrać prawie bezbłędnie określony tekst w tempie nie mniejszym niż 12 grup na minutę. Potem odbywała się praca w kierunku radiowym na radiostacjach RBM-1. Były to krótkofalowe przenośne radiostacje telegraficzne małej mocy używane jeszcze podczas drugiej wojny światowej. Posiadały płynne strojenie oraz cechowały się małą stabilnością pracy, ponieważ były radiostacjami bezkwarcowymi.

Praca wyglądała w ten sposób, że dwóch podchorążych otrzymywało w zapieczętowanych kopertach teksty do nadania i czyste blankiety do odbioru. Następnie wykładowca prowadził ich do dwóch oddalonych od siebie sal wykładowych, w których stały radiostacje i zamykał sale na klucz. Rozpoczynała się praca na radiostacjach, polegająca na nadawaniu i odbiorze otrzymanych

tekstów. Po zakończonej pracy wykładowca otwierał sale i zbierał nadane i odebrane telegramy. Potem je sprawdzał i jeśli czas pracy i ilość błędów mieściła się w którejś z klas, taką przyznawano.

Mimo że byłem dobrym, a nawet bardzo dobrym radiotelegrafistą i egzamin w sali zdałem na drugą klasę, to na sprzęcie sprawdzian zaliczałem trzy razy. Przy tym o mało co nie pobiłem kolegi i wykładowcy, który nas egzaminował. Okazało się bowiem, iż w trakcie pracy „urwała" się łączność. Byłem więc przekonany, że mój koleś w trakcie odbioru coś grzebał przy radiostacji i ją rozstroił. Wściekłem się potwornie, a gdy wykładowca otworzył sale o mało kolegi nie pobiłem.

Po godzinie, kiedy już się uspokoiliśmy, zaczęliśmy pracę jeszcze raz. I znowu okazało się, że w podobnym czasie jak uprzednio utraciliśmy łączność. Jednak już wówczas wiedziałem, że to nie może być wina kolegi, lecz radiostacji, w której „wysiadł" nadajnik. Wściekłem się więc na wykładowcę, który był odpowiedzialny za ich sprawność. Ale w tym dniu mieliśmy już dość. Kolejną próbę ponowiliśmy na drugi dzień, już na sprawdzonych i naprawionych radiostacjach. Praca poszła nam wyśmienicie i obaj otrzymaliśmy drugą klasę radiotelegrafisty.

Pod koniec drugiego roku, klasy te potwierdzaliśmy na dużych i znacznie nowszych, krótkofalowych radiostacjach średniej mocy R-118, zamontowanych na samochodach Star-66, typowych radiostacjach telegraficznych o zasięgu do osiemset kilometrów. Posiadały one dwa kanały telegraficzne i jeden telefoniczny oraz ten mankament, że ich zasięg w ruchu przy pracy fonicznej nie przekraczał trzydziestu kilometrów. W ich kanałach telegraficznych można było pracować kluczem telegraficznym lub dalekopisem. Tu potwierdziłem tylko trzecią klasę, gdyż pracowałem w kierunku ze słabszym kolegą, któremu chciałem pomóc, aby klasę w ogóle zaliczył i to się udało.

Dla porównania podam, iż najlepsi w świecie zawodowi radiotelegrafiści, przeważnie cywilni, osiągali tempo nadawania i odbioru rzędu 24–28 grup na minutę. Aby jednak osiągać takie wyniki trzeba być wybitnie uzdolnionym słuchowo, mieć niesamowicie wygimnastykowane przeguby dłoni oraz nadawać całkowicie innym kluczem telegraficznym. Zasada pracy takiego klucza telegraficznego opiera się na tym, iż jest to klucz dwustronny. Naciśnięcie w jedną stronę powoduje generowanie krótkich i idealnie równych sygnałów, zaś w drugą generowanie długich i też idealnie równych sygnałów. Takie rozwiązanie umożliwia wysyłanie większej ilości sygnałów przy mniejszej ilości ruchów ręki. Tradycyjnym kluczem używanym w wojsku można było nadawać w tempie nie większym niż 20–22 grupy na minutę.

I jeszcze jeden problem. Dlaczego w owym czasie produkowano takie radiostacje i szkolono radiotelegrafistów do takiej pracy? Odpowiedź jest stosunkowo prosta. Historycznie pierwszym rodzajem łączności technicznej była właśnie łączność telegraficzna. Ponadto za pomocą radiowej łączności telegraficznej uzyskiwało się znacznie większe zasięgi łączności niż za pomocą łącz-

ności telefonicznej. Zaś łączność telegraficzna kluczowa jest wielokrotnie bardziej odporna na zakłócenia niż łączność telegraficzna dalekopisowa, co w wojsku miało i ma olbrzymie znaczenie

Z przedmiotów technicznych na pierwszym roku dominowała elektrotechnika, w następnych latach teletechnika, a w naszym profilu najszerszym zakresie radiotechnika, znajomość sprzętu radiowego i praca na sprzęcie łączności. O ile pierwsze trzy przedmioty dawały nam bardzo dobrą podstawę teoretyczną, o tyle pozostałe stanowiły o naszych umiejętnościach praktycznych. A stały one na bardzo dobrym poziomie. Najpierw uczono budowy ogólnej, potem schematów blokowych, aby następnie przejść do schematów ideowych, w których pokazywało się wszystkie zależności i przebiegi prądowe. To w przyszłości umożliwiało nie tylko obsługiwanie sprzętu, szkolenie podwładnych, ale także dokonywanie napraw bieżących bez oglądania się warsztaty remontowe. Miało to duże znaczenie, ponieważ zawodność tego sprzętu była znaczna i ciągle wymagał on naprawy.

Nauka własna odbywała się prawie codziennie, za wyjątkiem sobót i niedziel. Jej miejscem były sale wykładowe w bloku wyszkolenia. Każdy pluton miał swoją salę do nauki własnej. Prowadził nas zawsze i nadzorował jej przebieg pomocnik dowódcy plutonu. Kadra kompanii kontrolowała naukę własną rzadko. Za to często sprawdzał nas oficer dyżurny i wykładowcy, którzy mieli dyżury w bloku wyszkolenia, a z których pomocy w tym czasie można było skorzystać.

Na pierwszym roku, szczególnie zaraz po przysiędze, nauka własna była dla nas wybawieniem od ciężkich ćwiczeń z musztry i ciągłego sprzątania. Chodziliśmy więc z zadowoleniem, bo każdy mógł w tym czasie robić co chciał, pod warunkiem, że będzie przebywał w sali. Trochę więc uczyliśmy się, ale przeważnie rozwiązywaliśmy krzyżówki, grali w szachy, opowiadali dowcipy i wspominali ciekawe przygody.

Tam właśnie narodziła się legenda o nodze Witka Jesiona. Dowódca trzeciej drużyny drugiego plutonu Wiktor Jesion, wspaniały człowiek i przesympatyczny kolega, opowiadał często jakie to było życie w jednostce wojskowej, skąd przyszedł do szkoły. Nam przed przysięgą dawano w kość, ale to co on opowiadał nie mieściło się nam w głowie. A opowiadał niezwykle barwnie i przepięknie.

– Trzy plutony stoją na zbiórce do mycia – opowiadał Wiciu. – Naraz pada komenda: do umywalni biegiem marsz. Czas mycia 5 minut. Umywalnia ma tylko sześć kranów, a razem w plutonach sześćdziesięciu chłopa. O mało futryny nie rozsadzą. Dopadli kranów, ale stoją w sześciu szeregach i każdy pcha się do przodu. Ja stoję w trzecim szeregu i staram się przełożyć do przodu pod kran choć jedną nogę. Udało się, ale umyć nie ma jak, bo ręce za krótkie. W pewnym momencie czuję, że ktoś mi myje nogę, a za moment słyszę wrzask. – K...a, to nie moja noga!

Im dalej w czasie, tym rozluźnienie podczas nauki własnej było większe. Na trzecim roku codziennie przeprowadzaliśmy zawody w ćwiczeniu „pompek".

Ponieważ pluton składał się z trzech drużyn, to zawody miały charakter indywidualny i zespołowy. Ugięcia ramion w leżeniu polegały na tym, że ćwiczący opierał palce stóp na jednym taborecie, a na dwóch kolejnych palce rąk. Ugięcia musiały być tak głębokie, że piersi i brzuch ćwiczącego każdorazowo opadały poniżej blatów taboretów.

Ćwiczyło się jednocześnie na trzech stanowiskach. Po jednym stanowisku dla każdej z drużyn. Wyniki indywidualne i zespołowe zapisywało się i sumowało na tablicy. Koniec zawodów był wówczas, gdy wszyscy biorący udział w zawodach nie mogli wykonać nawet jednego ugięcia, a dokładnie, gdy po ugięciu ramion nie mogli ich wyprostować i wrócić do pozycji wyjściowej. Na zakończenie zmagań ogłaszano wynik, kto zwyciężył indywidualnie, a która drużyna zespołowo. Nagrodą dla zwycięskiej drużyny były gratulacje od pozostałych drużyn, a zwycięzca indywidualny był niesiony w drodze powrotnej na ramionach kolegów drużyn przegrywających.

Były to ciężkie zmagania fizyczne, które przynosiły także dużo satysfakcji. Ponadto wyrabiały tężyznę fizyczną i siłę. Tylko w trakcie jednych takich zawodów obwód bicepsa wzrastał chwilowo o dwa do trzech centymetrów. W wielu przypadkach, jeśli ktoś miał lekko dopasowaną koszulę, to pękały rękawy na skutek powiększania się bicepsów. W takich ćwiczeniach najlepiej rozwijały się mięśnie przedramion, szczególnie prostowniki oraz mięśnie ramion i klatki piersiowej.

Już na drugim roku, a szczególnie na trzecim, mieliśmy grafik, według którego 2 do 3 podchorążych z plutonu codziennie „urywało" się z zajęć programowych i nauki własnej. Oficjalne preteksty były różne. A to wyjazd do przychodni lekarskiej lub lekarza specjalisty do Warszawy, a to podróż służbowa czy urlop itp. Zaś faktycznie, szczególnie latem, „pryskaliśmy" nad wodę i cały dzień plażowaliśmy.

W tym celu każdy z nas miał cywilne kąpielówki, aby w wojskowych, granatowych spodenkach nie być z daleka rozpoznanym przez oficerów ze szkoły. Przeważnie chodziliśmy na plażę, która znajdowała się po drugiej stronie szosy, za fortem i Skubianką. Fort był ogrodzony drutem kolczastym i strzeżony przez wartowników cywilnych, tak zwanych „kruków". Ta nazwa pochodziła od czarnego koloru ich mundurów. Fort przeważnie obchodziliśmy z lewa nad samą wodą lub z prawa przez Skubiankę. Przy plaży, w zaroślach wikliny rozbieraliśmy się, mundury zakopywaliśmy w suchym piasku i już jako cywile buszowaliśmy po plaży. Przeważnie od dziesiątej do obiadu i później po obiedzie.

Raz, podczas takiego plażowania zdarzyła mi się ciekawa historia. Zbliżała się pora obiadowa. Ubrałem się i zacząłem iść w kierunku szkoły. Już na początku drogi uświadomiłem sobie, że jestem potwornie głodny, a przy tym mogę nie zdążyć na obiad. Postanowiłem więc pójść na skróty przez zarośnięty drzewami i krzewami teren fortu. Przelazłem przez ogrodzenie z drutu kolczastego i wszedłem na ledwo widoczną ścieżkę prowadzącą ogólnie w kierunku szkoły. Idąc ze strachem, jak po polu minowym, raz stromo w górę, raz stromo

w dół, doszedłem do miejsca gdzie stał „grzybek" wartowniczy, pod nim stolik, a na nim duża bułka z żółtym serem. Porozglądałem się uważnie dookoła, podbiegłem do grzybka, złapałem kanapkę i w nogi.

Przebiegłem około dwadzieścia metrów, usiadłem w krzakach i ze smakiem zabrałem się do jedzenia. Po chwili usłyszałem wrzask i stek wyzwisk wartownika, wściekłego z powodu zaginięcia jedzenia. Dalej zaś szczęk przeładowywanej broni i kroki biegającego w różne strony wartownika. Przerwałem jedzenie i w pobliżu na ścieżce zrobiłem naprędce potykacz z kawałka dość grubej gałęzi. Ten zaś pędząc, zawadził o niego nogą, przekoziołkował po zboczu i padł jak długi. W tym czasie karabin wypadł mu z rąk i pozostał w pobliżu mnie. Skorzystałem z tego, podniosłem go i wyrzuciłem w górę, aby zawiesił się na drzewie lub upadł zmuszając wartownika do poszukiwań.

Zanim wartownik wstał, ja byłem już około dwadzieścia metrów od niego i zmierzałem biegiem w kierunku ogrodzenia. Ten zaś chwilę postał, chyba nie wiedząc, czy szukać broni, czy mnie gonić. Zdecydował się na to drugie. I mimo że byłem wysportowany i dosyć szybki o mało co mnie nie dopadł na ogrodzeniu, szarżując za mną jak rozjuszony byk. Po przeskoczeniu ogrodzenia pokazałem mu jeszcze „gest Kozakiewicza" i spokojnie pomaszerowałem do szkoły, słysząc coraz cichsze przekleństwa i złorzeczenia wartownika.

Po przyjściu do pododdziału opowiedziałem kolegom o zdarzeniu, przestrzegając ich przed chodzeniem tą ścieżką. Wartownika, który uczestniczył w tej przygodzie spotykaliśmy często, gdy pełnił służbę przed fortem, przy skraju szosy. Po tym zajściu, gdy przechodziliśmy grupą lub pojedynczo, pozdrawialiśmy go uprzejmie „Czołem panie kanapka" i patrzyliśmy z satysfakcją na jego paskudną minę i wściekły wzrok.

W zasadzie wszystkie potrzebne do życia przedmioty otrzymywaliśmy w naturze, także papierosy i to niezależnie od tego czy ktoś palił, czy nie. Każdemu podchorążemu przysługiwało dziesięć papierosów dziennie. Otrzymywaliśmy najtańsze i zapewne najgorsze. Były to chyba „Mazury" w dziesiątkach i w papierowym opakowaniu. Siekiery jak cholera, które trudno porównać z jakością dzisiejszych. Ci z nas, którzy nie palili, sprzedawali swój przydział palaczom lub wymieniali na inne produkty. Ponadto otrzymywaliśmy comiesięczny przydział środków czystości.

Płacono nam także żołd. Były to naprawdę niewielkie pieniądze i starczały przeważnie na dokupienie papierosów, żyletki, szczoteczki, proszek lub pastę do zębów i inne niewielkie drobiazgi. Gdyby nie to, iż ojciec przysyłał mi co miesiąc sto złotych, to żołd nie starczałby mi nawet do połowy miesiąca. A tak można się było wybrać od czasu do czasu do kina, gdyż bilety były bardzo tanie, a kinoteatr usytuowany naprzeciwko naszego bloku oraz raz na miesiąc do Warszawy. Mimo tego z dostatkiem papierosów zawsze był duży problem i pod koniec miesiąca przeważnie ich brakowało. Toteż jak ktoś wracał z domu, zawsze częstował kolegów. Tak było też pewnego razu, gdy Wiciu Jesion wrócił z domu, a pochodził z Warszawy. Usiedliśmy na korytarzu.

– Teraz będziemy palić francuskie Golois – zapowiedział Wiciu, po czym z nowo otwartej paczki poczęstował wszystkich siedzących.

Najpierw z wielkim zainteresowaniem dokonaliśmy ich oględzin, gdyż po raz pierwszy w życiu widzieliśmy takie papierosy. Potem z zachłannością nałogowców zaciągnęliśmy się głęboko. W przeciwieństwie do naszych drapiących i gryzących, te były łagodne jak baranki. Ale za to potwornie mocne. Nie czuło się ich w gardle, ani w płucach, ale nogi w kolanach zrobiły się miękkie jak wata, a w głowie szum i ciemno przed oczami.

Do Warszawy jeździliśmy przeważnie w kilku, bo było zawsze raźniej i weselej, i nie tylko na zwiedzanie miasta. Było już wieloletnią tradycją, że podchorążowie z Zegrza jeździli na Stare Miasto, a tam do Fukiera. Starej, stylowej winiarni, serwującej niezłe, jak na owe czasy wina i po przystępnej na podchorążacką kieszeń cenie. Do owych win należały Lacrima, Mistella, Magnolia, Prosek (czyt. Proszek) oraz wermouth Bachus, a także Tokaje – Aszu (czyt. Asu) i Szamordodni (czyt. Samorodni) oraz Furmint.

Mieliśmy wśród personelu winiarni dobrą opinię. Byliśmy przez nich lubiani i sympatycznie obsługiwani. Przychodziło tam także sporo stałych bywalców, którzy z chęcią przysiadali się do naszych stolików i stawiali sporo butelek. My zaś stwarzaliśmy miłą atmosferę opowiadając przeróżne „kawały" i śpiewając podchorążackie piosenki. Niektórzy z nas grali także na gitarach i mandolinach. W większości sytuacji było tak, że płaciliśmy tylko za przejazd do i z Warszawy oraz za pierwszą lampkę wina. Resztę płacili fundatorzy.

Jeśli ktoś nie miał ocen niedostatecznych i problemów z dyscypliną oraz z szefem kompanii mógł jeździć na przepustki. Przeważnie w niedzielę lub z soboty na niedzielę. Im starszy rocznik, tym więcej było przepustek.

Na urlopy ustawowe jeździło się trzy razy w roku. Na urlop zimowy, obejmujący święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok – około dziesięć dni, na urlop wiosenny przypadający w okresie Świąt Wielkanocnych – około 5 do 7 dni oraz dwudziestodniowy urlop główny we wrześniu po zakończeniu roku szkolnego. Ponadto były także urlopy okolicznościowe, udzielane jednak niezwykle rzadko i tylko w wyjątkowych przypadkach, jak na przykład śmierć członka rodziny lub inne ważne zdarzenia losowe.

Oprócz nauki i sprzątania do obowiązków podchorążych należało pełnienie służb i wart. Były to służby podoficera dyżurnego i dyżurnych kompanii, służby w bloku wyszkolenia, w biurze przepustek i w stołówce. Trwały dwadzieścia cztery godziny. Początkowo młodzi bez stopnia podchorążowie pełnili tylko służbę dyżurnych pododdziału. Podlegali wówczas bezpośrednio podoficerowi dyżurnemu, który był wyznaczany przeważnie z dowódców drużyn w stopniu kaprala lub starszego szeregowca. Dyżurni byli wykorzystywani do wszystkich bieżących brudnych robót w pododdziale oraz załatwiania spraw na zewnątrz, pełniąc rolę gońców.

Ze służbą dyżurnego kompanii wiąże się moja jedyna kara, jaką otrzymałem w szkole oficerskiej. Według nas pełniliśmy ją dobrze i staraliśmy się bar-

dzo, aby wszystko w pododdziale utrzymane było w czystości i należytym porządku. Jednak w tym dniu szef kompanii chodził „wściekły". Ze swego pomieszczenia służbowego wychodził, a po kilkunastu minutach wracał z powrotem. Powtarzało się to wielokrotnie, a za każdym razem gdy przychodził to już z parteru zaczynał „opieprzanie", rugał nas o byle co, a na piętrze warczał jak brytan. Po którymś takim spacerku, wezwał nas do siebie i „przyłupał" każdemu po pięć dni ZOK-u.

ZOK, czyli w skrócie zakaz opuszczania koszar, był karą przewidzianą regulaminem dyscyplinarnym. O tyle jednak dziwną, że zabraniał wychodzenia z koszar, a my w tygodniu i tak wcale nie wychodziliśmy poza ich obręb. Jej uciążliwość polegała na czym innym. W trakcie jej odbywania, a miało to miejsce w czasie wolnym od zajęć, a więc wcześnie rano, w czasie wolnym po obiedzie, a szczególnie między kolacją a capstrzykiem oficer dyżurny ogłaszał alarmy dla ukaranych ZOK-iem. Na taki alarm trzeba było biec i w pełnym oporządzeniu stawiać się u oficera dyżurnego szkoły. A ten lub jego pomocnik sprawdzali nie tylko obecność, ale także, a może przede wszystkim, czas stawienia, czystość i wygląd zewnętrzny, stan wyposażenia itp. Jeśli stwierdzono, że zbiórka trwała za długo lub jakiekolwiek uchybienie w czystości, a także nienajlepszy porządek w wymaganym wyposażeniu, wówczas potrafili pogonić delikwenta, czyli powtórzyć alarm, nawet kilkadziesiąt razy na dobę. Ich liczba zależała od wielu czynników, przeważnie jednak od służbistości oficera dyżurnego, jego wymagalności, niekiedy także poczucia humoru, a także od samego podchorążego i jego umiejętności przewidywania i przygotowania sobie szybkiego stawiennictwa.

Wracając jednak do naszej kary. Po kilku dniach zorientowaliśmy się co było jej przyczyną. Okazało się, że mieliśmy pecha, ponieważ w tym dniu komendant cofnął zezwolenie na sprzedaż piwa w kantynie. Zaś nasz szef kompanii był jego miłośnikiem i większość czasu wolnego spędzał z kolegami podoficerami zawodowymi – także szefami kompanii – właśnie w kantynie.

Ze służbą w kompanii wiąże się jeszcze jedno, ale tym razem przyjemne wspomnienie. Na drugim roku pełniąc już służbę podoficera dyżurnego kompanii gościłem w pododdziale attaché wojskowego Indii. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie jego sylwetka i strój. Proszę sobie wyobrazić śniadego, postawnego mężczyznę w pięknym, zbliżonym do europejskiego mundurze. O twarzy wyniosłej, pokrytej wspaniałymi długimi wąsami i okazałą brodą. Ich kolor zaś był kruczoczarny i przeplatany z lekka śnieżnobiałymi pasemkami włosów. Najciekawszy z tego wszystkiego był jednak pięknie upięty na głowie turban, koloru ciemnozielonego z bordową obwódką wokół i wspaniałą broszą spinającą turban pośrodku nad czołem.

Towarzyszyło mu trzech oficerów, dwóch z komendy i tłumacz. Będąc uprzedzony o wizycie podałem komendę „baczność" i pięknie zameldowałem.

– Panie pułkowniku, plutonowy podchorąży Mazurkiewicz melduje, że trzecia kompania podchorążych przebywa na szkoleniu programowym w bloku

wyszkolenia. Jeśli pan pułkownik pozwoli to pokażę jak podchorążowie mieszkają i udzielę wszelkich informacji.

Meldunek ten został przetłumaczony na angielski. Następnie attaché przywitał się podając rękę, a ja podałem komendę „spocznij". Po czym w mojej obecności wizytował pomieszczenia pododdziału interesując się przechowywaniem broni, wyposażeniem podchorążych, a także kto utrzymuje te pomieszczenia w czystości i porządku oraz wystrojem świetlicy i działalnością kulturalną. Na zakończenie wizyty podziękował za gościnność i przekazał, że jest pod wrażeniem wzorowego porządku i czystości oraz sprawności działania służby. Na zakończenie tego fragmentu muszę dodać, iż w owym czasie nikogo z kadry nie było w pododdziale. Z jakich przyczyn trudno mi powiedzieć.

Dużo trudniejszą i bardziej odpowiedzialną do pełnienia była służba wartownicza. Polegała na całodobowej ochronie obiektów szkoły. Każdy wartownik posiadał broń i ostrą amunicję. Przed rozpoczęciem pełnienia owej służby cały skład warty miał około dwóch godzin na przygotowanie się. Potem maszerowało się na plac, gdzie odbywała się odprawa warty. Polegała ona na tym, iż oficer dyżurny szkoły, który ją prowadził, sprawdzał dokładnie przygotowanie każdego wartownika do pełnienia warty. Owo sprawdzenie obejmowało wygląd zewnętrzny i wyposażenie, czystość broni, znajomość regulaminu służby wartowniczej i obowiązków na poszczególnych posterunkach.

Dla zaspokojenia ciekawości mogę przedstawić, jak wyglądało sprawdzenie wyglądu zewnętrznego i wyposażenia wartownika lub żołnierza ukaranego ZOK-iem. Sprawdzenie wyglądu zewnętrznego obejmowało ostrzyżenie, ogolenie, czystość szyi i uszu, rąk, nóg, w tym paznokci, bielizny i umundurowania, m.in. czy nie jest porwana i brudna, czy posiada wszystkie i regulaminowe dystynkcje, guziki, troki od kalesonów, czystość i wypastowanie butów, sznurówki itd. Przy sprawdzaniu broni oficer dyżurny patrzył czy jest w pełni kompletna, sprawna i gotowa do użycia. Broń Boże, aby gdzieś była rdza lub większe zabrudzenie. Ponadto sprawdzano wyposażenie plecaków, a w nich przybory do mycia i golenia, czyszczenia broni i butów, zapasową bieliznę, onuce lub skarpetki i inne niezbędne akcesoria, a także stan hełmów, łopatek saperskich, pasów wojskowych itp.

Jeśli oficer dyżurny stwierdził, że dany pododdział przygotowany jest należycie do pełnienia służby wartowniczej, wówczas następowało zaprzysiężenie warty przez postawienie jej na baczność i podanie hasła „Służba wartownicza". Następnie warta udawała się na wartownię i przyjmowała służbę od starej warty, w tym także zmieniając wartowników na posterunkach. Gdy zaś oficer dyżurny stwierdził usterki, pododdział odsyłany był do ponownego przygotowania, a następnie jeszcze raz sprawdzany, niekiedy kilkakrotnie, aż do skutku.

Warta składała się z dowódcy warty, czasem jego pomocnika, rozprowadzających i wartowników. Tok życia wartowników obejmował trzy fazy dwugodzinne, a następnie cykl powtarzał się. A więc dwugodzinne pełnienie warty na posterunku, dwugodzinna zmiana czuwająca na wartowni i dwugodzinny

odpoczynek, obejmujący przeważnie spanie. Była to nadzwyczaj paskudna służba i mimo młodego wieku oraz szybkiej regeneracji sił, po warcie każdy z nas był niemiłosiernie wymęczony. Całe szczęście, że wartę przyjmowało się o godzinie siedemnastej i za ponad dobę zdawało. A więc reszta dnia do capstrzyku była wolna i można było zregenerować siły.

Ze służbami i wartami, szczególnie na początku podchorążackiego życia, wiąże się szereg dowcipów i złośliwości, które podchorążowie starszych roczników wyczyniali, szczególnie przez telefon, młodym podchorążym. Jak wszędzie, tak i tu, trzeba było płacić frycowe.

U dyżurnego pododdziału dzwoni telefon. Przerażony dyżurny odbiera i przedstawia się:

– Dyżurny trzeciej kompanii podchorąży Iksiński.

W słuchawce słyszy głos:

– Tu mówi kapitan Turecki, zameldujcie się natychmiast w kadrach mieszczących się w budynku komendy szkoły.

Dyżurny pędzi we wskazane miejsce, a tam nikogo nie ma lub nikt nic nie wie. Albo też przejaw jeszcze większej złośliwości. Do dyżurnego dzwoni telefon. Ten odbiera i przedstawia się regulaminowo. A tu słyszy wrzask:

– Podchorąży, tu mówi sierżant Igrek z magazynu technicznego. Zmierzcie długość kabla od aparatu telefonicznego do ściany.

Dyżurny mierzy i podaje:

– Półtora metra obywatelu sierżancie.

A na to z drugiej strony słyszy:

– To wystarczy bałwanie, abyś się powiesił.

Do wartowników pełniących służbę w komendzie szkoły dzwoniono pytając się o co innego.

– Wartownik! – mówi porucznik Zet. – Sprawdźcie krokami jaka jest odległość pomiędzy gabinetem komendanta a toaletą. Czekam przy telefonie, natychmiast meldować.

– Dwadzieścia kroków, to jest około piętnaście metrów obywatelu poruczniku – melduje wartownik.

– Dziękuję – słychać przez telefon. – To teraz wiecie gdzie jest sracz, idźcie się wykupkać.

To były kawały i złośliwości robione przez starszych podchorążych, młodszym żółtodziobom. Były także i takie, które robiło się kadrze. Szczególnie zaś tym oficerom, którzy byli złośliwi, dokuczliwi i celowo wyżywali się na podchorążych. Na przykład dzwoniono do oficera i nie czekając aż się przedstawi pytano:

– Czy to magister Maniek?

– Nie, kapitan Maniek – padała odpowiedź.

– To trzeba się było uczyć baranie!

Dosyć często robiono także kawały telefoniczne szefowi kompanii. Dzwoniono do jego pomieszczenia służbowego lub do domu, a gdy odebrał telefon słyszał:

– Kretyn!

Nie wytrzymując więc pytał:

– Kto mówi?

I wówczas słyszał głos – wszyscy tak mówią.

Zaś do wściekłości doprowadzał go ponury i groźnie brzmiący głos, który mu przez telefon powtarzał.

– Umrzesz! Umrzesz! Umrzesz!

Nerwowo więc pytał:

– Kto mówi? Kto mówi? – i wówczas słyszał w słuchawce niezwykle stanowczo, groźnie i powoli wypowiadane słowa:

– Ten, co na ciebie czeka grzeszniku.

Chyba byłem dobrym żołnierzem i uczniem, gdyż już na pierwszym roku zacząłem awansować. W drugiej połowie roku awansowałem na starszego szeregowca. Pod koniec roku szkolnego zostałem wyznaczony na dowódcę trzeciej drużyny drugiego plutonu. Jak pamiętam w jej skład wchodzili: Witold Cieślewski, Stefan Stańczak, Bronisław Wełpa, Edmund Tymiński, Andrzej Bieńkowski, Henryk Bodzioch i Stanisław Roszkowski. Na zakończenie pierwszego roku awansowałem do stopnia kaprala, a z okazji Dnia Wojska Polskiego – 12 października, otrzymałem jako jeden z pierwszych awans na plutonowego. Na stopień sierżanta, to jest najwyższy jaki można było otrzymać w czasie szkoły, awansowałem na trzecim roku.

Mówiąc o tej problematyce należy rozróżniać dwie rzeczy: stopnie wojskowe, o których mowa powyżej, i tytuł podchorążego, przynależny słuchaczom szkoły oficerskiej. Z tym wiąże się sposób przedstawiania się. A przedstawiało się stopniem i tytułem. Na przykład starszy szeregowiec podchorąży, kapral podchorąży, plutonowy podchorąży, sierżant podchorąży.

Po zakończeniu pierwszego roku nauki, a dokładnie po egzaminach, wyjechaliśmy wszyscy na miesięczne praktyki do jednostek wojskowych. Ja otrzymałem skierowanie do Jarosławia. Pięknego miasteczka w południowo-wschodnim rejonie Polski. Tam zaś trafiłem do skadrowanego pułku artylerii lekkiej, tak zwanego PAL-u, gdzie pierwszy raz w życiu miałem okazję poznać funkcjonowanie innej jednostki wojskowej niż szkoła oficerska. Jednakże nie dała mi ona pełnego wyobrażenia o funkcjonowaniu w pełni rozwiniętej jednostki wojskowej. Z taką zapoznałem się dopiero w Choszcznie.

Trzeba przyznać, iż dopisało mi szczęście, że trafiłem w takim czasie i do tej jednostki. Pogoda przez cały miesiąc była wspaniała. Zajęć w jednostce mało. Przeprowadziłem tylko trochę zajęć z żołnierzami, których w jednostce było niewielu. Większość czasu spędziłem na podglądaniu życia jednostki oraz na wypoczynku i zwiedzaniu miasta. Jedyną niedogodnością było to, iż mieszkałem w koszarach, a stołowałem się w kasynie. A więc trzy razy dziennie trzeba było pokonywać ponad kilometr drogi do kasyna i z powrotem.

Czas wolny, szczególnie po południu, spędzałem przeważnie na zwiedzaniu miasta i okolic. W miasteczku była przepiękna, chociaż mocno zniszczona,

starówka. Przebywałem tam często z przyjaciółmi, zaglądając w każdą dziurę i zakamarek. Zamierzałem także zwiedzić olbrzymie lochy pod miastem, lecz nie miałem chętnego do towarzyszenia w tej eskapadzie i ubezpieczania mnie.

W kasynie od czasu do czasu w soboty lub niedziele odbywały się zabawy taneczne. Poszedłem tam z ciekawości. Chciałem zobaczyć jak wyglądają zabawy w mieście i do tego w kasynie oficerskim. No cóż, większego wrażenia na mnie nie zrobiły, za to poznałem dwie młode, sympatyczne dziewczyny. Jedną uczennicę technikum odzieżowego o ciekawym imieniu Zyta oraz jej przyjaciółkę, piękną i zgrabną mulatkę o imieniu Maria. Później chodziliśmy razem we trójkę, nie tylko na zabawy, ale także po mieście, tworząc dość egzotyczne trio. Żołnierz w dość dziwnym zielono-granatowym mundurze oraz czerwonymi naramiennikami i szerokimi lampasami w tymże kolorze, zgrabna mulatka o dziwnie niebieskich oczach oraz bardzo ładna i sympatyczna szatynka o przepięknej karnacji skóry. Toteż byliśmy obiektem zaciekawionych spojrzeń i różnych komentarzy.

Muszę także przyznać, iż podkochiwałem się w tej pierwszej i sądzę, że z wzajemnością. Po moim powrocie do Zegrza utrzymywaliśmy dość długo korespondencję listowną, która jakby wzmacniała wspólne marzenia, a nawet idealizowała nasze uczucia. Po roku Zyta poinformowała mnie, że wraz z wycieczką wybiera się do Warszawy. Niestety, po długich przemyśleniach, nie zdecydowałem się na spotkanie z dwóch głównych przyczyn. Po pierwsze, byłem jak zwykle bez grosza, a po drugie i najważniejsze – tę dziewczynę wyidealizowałem sobie tak, iż bałem się konfrontacji marzeń z rzeczywistością. Postanowiłem wówczas – niech to uczucie pozostanie piękne i czyste. Coś, co można wspominać latami. Los sprawił, że z Zytą spotkałem się po kilkunastu latach jeszcze raz, ale o tym opowiem znacznie później.

Z ciekawości należałoby zapytać – skąd w Jarosławiu mulatka? Mnie to też ciekawiło, więc delikatnie spytałem Marię. Niestety odpowiedzi zadowalającej nie otrzymałem. Twierdziła bowiem, iż dla jej mamy był to szok i przypadek niewytłumaczalny. Może i tak było. Ale nie ma skutku bez przyczyny. Dzisiaj sądzę, że mogła to być jedna z dwóch przyczyn. Pierwsza natury genetycznej, druga zaś okoliczności. Jeśli chodzi o pierwszą przyczynę to jest wiadomo, że niekiedy rezultaty mieszania ras widać dopiero w kolejnym pokoleniu. Przykładem czegoś takiego był Puszkin, który miał bardzo ciemną karnację po swoim bardzo dalekim przodku. W tym przypadku bardzo ciekawe były także okoliczności poczęcia. Mama Marii wywieziona była w czasie wojny na roboty do Niemiec. Wróciła do Polski dopiero w 1947 roku, a Maria urodziła się w 1946 roku. Jeśli zważymy, iż na terenie Niemiec w czasie wojny, jako jeńcy, a następnie jako zwycięzcy, przebywali żołnierze o różnej barwie skóry to wniosek narzuca się sam.

Przy powrocie z Jarosławia spotkała mnie w pociągu dziwna przygoda. Opowiadałem ją później kolegom podczas nauki własnej, ale nie dawali wiary uważając, że zmyślałem lub że przyczyna może być inna. A więc było tak. Sta-

łem sam na korytarzu w pociągu, gdy podszedł do mnie konduktor, sprawdził bilet i zwyczajowo zagadał. Była to rozmowa, jakich wiele. Pytał gdzie służę, jakie są warunki służby i czy jestem z wyboru zadowolony. Na początku byłem przekonany, że może ma krewniaka zainteresowanego szkołą oficerską i w związku z tym zasięga języka.

Jednakże w pewnej chwili powiedział, że ma do mnie osobistą prośbę. Nie wzbudziło to we mnie podejrzenia, więc zapytałem:

– O co panu chodzi?

Ten zaś rzekł, że jest chory na dziwną chorobę, w której podstawowym lekarstwem jest cudzy mocz. W związku z tym ma wielką prośbę, abym mu nasikał do garnuszka. Prośba zaskoczyła mnie zupełnie. Nie wiedziałem czy to prawda, czy wstępna gra pedała. Po przemyśleniu uznałem, że w zasadzie nic mi nie grozi, gdyż jestem silniejszy i bardziej wysportowany. Gdyby próbował coś innego zacząć, poradziłbym sobie z nim łatwo. W związku z tym oświadczyłem mu, że wyrażam zgodę. Wtenczas wyciągnął z torby konduktorskiej kubek owinięty w szmatę i podał mi go. Wszedłem do toalety, zamknąłem się i nasikałem ile trzeba. Wychodząc podałem mu, a on na moich oczach wypił cały kubek płynu do dna. Widząc to dostałem gęsiej skórki z obrzydzenia, dziwiąc się z takich niecodziennych upodobań.

Po kilkunastu latach wyczytałem w jakiejś gazecie, że faktycznie występuje taka choroba, którą się leczy ludzkim moczem. A że konduktor mnie wybrał, temu też nie należy się dziwić, gdyż słusznie uznał, że młody wojskowy jest czysty i zdrowy. I w taki oto sposób *rymnęło* mi się na koniec tej opowieści.

Czas praktyki minął szybko. Później był dwudziestodniowy urlop w Przytkowicach, a po nim powrót do Zegrza. I tak rozpoczął się drugi rok nauki, a niebawem 1962 rok. Rok ciekawy, by nie powiedzieć niezwykły z powodu dużych zmian, które wówczas miały miejsce.

Po pierwszym roku nauki nastąpiło połączenie 3 i 4 kompanii w jedną, trzecią kompanię podchorążych, dowodzoną przez majora Jana Śmielaka. Dowódcami plutonów byli: pierwszego, drugiego i trzeciego już kapitan Stanisław Skibiński, zaś czwartego, piątego i szóstego kapitan Zygmunt Mańkowski.

Kapitan Skibiński znany nam dobrze już wcześniej i kapitan Mańkowski byli absolutnymi przeciwieństwami. Pierwszy z nich to przystojny blondyn średniego wzrostu, doskonały gaduła i lejwoda, człowiek towarzyski i kobieciarz, podchodzący do życia i służby wojskowej z lekkim przymrużeniem oka, serdeczny i wyrozumiały dla podwładnych, szanujący ich i darzący pełnym zaufaniem. Człowiek o sporej ogładzie towarzyskiej i wiedzy ogólnej. Ogólnie lubiany i szanowany.

Kapitan Mańkowski był niższego wzrostu i raczej brunetem. Pod względem charakteru strasznie i do przesady regulaminowy, lubiący się wyżywać na podchorążych i to, gdy trzeba było i nie trzeba. Trochę mniej wykształcony od swojego kolegi i mniej inteligentny. Gdy prowadził zajęcia polityczne lub gadał o polityce to popełniał wiele prostych błędów, mówiąc tak jak było napisane,

na przykład DeGaule, Ajzenhofer, Churchil itd. Zawsze doprowadzał nas tym do gromkiego śmiechu i częstych przedrzeźnień.

Dla nas podchorążych, przyszłych oficerów i dowódców były to przykłady znakomite. Przez porównanie i zderzenie z sobą tych tak różnych cech, mieliśmy możność budowania swojej osobowości, wybierając cechy najlepsze, a odrzucając najgorsze i nieprzydatne w przyszłej służbie.

Połączenie kompanii było możliwe, gdyż sporo nas w ciągu roku wykruszyło się i odeszło z różnych przyczyn. Na początku sześćdziesiątego roku trzecia kompania liczyła około 170 ludzi, a czwarta około 70. Razem było nas na pierwszym roku około 240. W trakcie pierwszego roku sporo zrezygnowało ze szkoły i odeszło do jednostek wojskowych dokończyć służbę wojskową. Część zwolniono ze względu na stan zdrowia, a jeszcze kilkunastu podchorążych rozpoczęło studia w Wojskowej Akademii Technicznej. Tak więc po połączeniu zostało nas około 160–170 i mieściliśmy się wszyscy na piętrze tegoż budynku. Dla ciekawości mogę dodać, iż szkołę ukończyło 149 podchorążych naszego rocznika oraz dziesięciu eksternistów.

Nastąpił także nowy podział naszego rocznika. Utworzone zostały: pierwszy i drugi pluton ogólnoradiowy, pluton rozpoznania i zakłóceń radiowych, pluton radioliniowy, pluton lotniczy i pluton teletechniczny.

Zmieniło się także nasze otoczenie. Zakończono budowę zapory w Dębe i spiętrzono wodę, tworząc Zalew Zegrzyński, wspaniałe miejsce dla odpoczynku i sportów wodnych. Korzystaliśmy już z niego sporo, szczególnie na trzecim roku, pływając przeważnie na kajakach i to w dość odległe jego rejony.

Rok 1962 był także rokiem unowocześnienia naszego wyposażenia i polepszenia warunków żywieniowych. A więc zmieniono nam umundurowanie na nowy wzór (ilustr. 16). Było to umundurowanie nowego typu. Szewiotowe i jednolite w kolorze khaki, z koszulą i krawatem oraz bez pasa głównego. W poprzednim bluza zapinana była pod samą szyję i na haftkę, a do kołnierza od strony wewnętrznej przyszywało się stale czysty biały kołnierzyk, wystający nad nim 2 do 3 milimetrów. Zaś pod koniec pierwszego roku pozwolono nam rozprasować kołnierzyk pod szyją i nie zapinać się na haftkę. Otrzymaliśmy także półbuty w kolorze brązowym. Był to już mundur zbliżony kolorem i krojem do mundurów państw europejskich.

Wymieniono nam broń na nową. Zdaliśmy przestarzałe PM-y, a otrzymaliśmy nowiutkie PMK-a. To znaczy pistolety maszynowe Kałasznikowa zwane dzisiaj Kałaszami, o nowoczesnej konstrukcji, niezawodne i proste w użyciu, o kalibrze 7,62 milimetra. Zresztą znane i używane przez większość armii świata do dziś. Uważane za najlepszą broń maszynowa drugiej połowy XX wieku. Także w tym roku unowocześniono stołówkę podchorążych. Rozpoczęto gotowanie dużo smaczniejszych i bardziej urozmaiconych potraw, szczególnie w różnego rodzaju surówki oraz wprowadzono do obsługi kelnerki.

Był także rokiem bardzo groźnego i niebezpiecznego konfliktu kubańskiego i starcia politycznego dwóch mocarstw: Stanów Zjednoczonych i Związku

Radzieckiego, a szczególnie ich przywódców, młodego Kennedy`ego i starego Chruszczowa. Jednego doskonałego politycznego aktora, z drugim politycznym wygą, bijącym butem w mównicę ONZ.

My podchorążowie śledziliśmy ten konflikt z daleka, jeszcze nie bardzo zdając sobie sprawę z groźby, jaka zawisła nad światem. Bardziej odczuwaliśmy restrykcje bezpośrednie, polegające na tym, iż na dłuższy czas wstrzymano wszystkie urlopy i przepustki oraz rozpoczęto przygotowania, aby w razie potrzeby dokonać natychmiastowej promocji trzeciego rocznika, a nas jeszcze krótko przeszkolić i także mianować oficerami. Podobno mieliśmy już zaplanowane przydziały do jednostek wojskowych, a w magazynach czekało na nas wojenne wyposażenie. Na całe szczęście, i to nie tylko dla nas, wszystko dobrze się skończyło i zagrożenie uległo wyciszeniu.

W trakcie drugiego i trzeciego roku odbyły się trzy poważne przedsięwzięcia: zawody użyteczno-bojowe, ćwiczenia na poligonie drawskim oraz ćwiczenie dowódczo-sztabowe w Zegrzu. Zawody użyteczno-bojowe wojsk łączności organizowane były na szczeblu Wojska Polskiego i brały w nich udział wszystkie jednostki wojskowe, oddziały i pododdziały łączności. Odbywały się w wielu konkurencjach. Z plutonów ogólnoradiowych startowały obsługi krótkofalowych radiostacji średniej mocy R-118 i wozów dowodzenia. Ja brałem udział w zawodach, będąc w jednej z obsług radiostacji R-118.

W tej konkurencji startowało się parami radiostacji. Zawody polegały na rozwinięciu anten, nawiązaniu łączności oraz nadaniu i odebraniu odpowiedniej ilości telegramów, następnie zwinięciu sprzętu i przemieszczeniu się w przeciwległym kierunku, w trakcie którego należało przekazać i przyjąć informacje w postaci telegramów. Po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów znowu zatrzymanie się, rozwinięcie systemu anten, przekazanie w obydwie strony odpowiedniej ilości telegramów, zakończenie pracy i zwinięcie sprzętu.

Do zawodów dobrano najlepszych radiotelegrafistów. Wybrane obsługi starannie przygotowały sprzęt, usprawniając wiele przy istniejącym osprzęcie. Potem nastąpił okres ponad dwumiesięcznych intensywnych treningów, w których z treningu na trening osiągaliśmy coraz lepsze rezultaty. W efekcie końcowym poprawiliśmy prawie 50% osprzętu, co doprowadziło do radykalnego zmniejszenia czasu rozwijania i zwijania radiostacji. Przed zawodami osiągaliśmy czasy pracy niższe o 100% od tych, które uzyskały zwycięskie zespoły w poprzednim roku. Wydawało się nam, że w cuglach zwyciężymy.

Przyszedł czas zawodów. Pierwszą fazę przeszliśmy jak burza. Praca w ruchu też wypadła bardzo dobrze. Po niej zaś rozwinęliśmy błyskawicznie system antenowy i nadaliśmy telegramy. Komisja konkursowa patrzyła na nas z podziwem i chyba jak na faworytów, gdyż biliśmy wszystkie rekordy. Lecz w tym momencie nastąpił „zgrzyt". Przestaliśmy słyszeć korespondenta. Początkowo wydawało się, że to odbiornik rozstroił się lub uszkodził. Przestroiłem go błyskawicznie, a kolega sprawdził jego sprawność. Okazało się wszystko bez zarzutu, a łączności nie było. Następnie wykonaliśmy to jeszcze raz i jeszcze raz.

Też bez spodziewanego efektu. Przeprowadziłem zasadnicze pomiary – były bez zastrzeżeń. A sygnał dalej nie przychodził. Opadły nam ręce, a nerwy sięgały zenitu. W tej sytuacji zdenerwowany wyskoczyłem z radiostacji, potykając się o fider łączący antenę odbiorczą z wyjściem odbiornika.

W tym momencie usłyszałem, jak któryś z kolegów będących w środku radiostacji krzyknął:

– Słyszę korespondenta, pracujemy dalej!

Zorientowałem się natychmiast, że przerwany jest jeden przewód fidera i że przez to sygnał z anteny nie dochodzi do odbiornika. Połączyłem więc błyskawicznie przerwany przewód i po kilkunastu minutach zakończyliśmy przekazywanie informacji. Cóż z tego, skoro straciliśmy przez owo uszkodzenie około dwadzieścia minut i zwycięstwo przeszło nam koło nosa. Na nasze usprawiedliwienie można tylko dodać, że używany przez nas sprzęt był w znacznie gorszym stanie technicznym niż ten w jednostkach, gdyż intensywność jego wykorzystania w szkole była wielokrotnie większa. W związku z tym, mimo troskliwej opieki i systematycznych napraw, podatny był na częste awarie i trudne do przewidzenia uszkodzenia.

W miesiącach letnich odbyły się na poligonie drawskim bardzo duże ćwiczenia podchorążych wszystkich szkół oficerskich. Nasz rocznik z Zegrza rozlokował się w ładnym liściastym lasku nad jeziorem Lubie. Spanie było zorganizowane w małych, kilkuosobowych namiotach, zaś jedzenie gotowano na kuchni polowej i spożywano w dużym namiocie stołówkowym.

Zadaniem łącznościowców było zapewnienie łączności podchorążym innych rodzajów wojsk. Mnie akurat przydzielono do artylerzystów-moździerzystów, na korzyść których pracowałem i z którymi przebywałem i jeździłem na odkrytym samochodzie ciężarowym razem z moździerzami.

W czasie przygotowania do ćwiczeń było ciepło i pogoda była przepiękna – słoneczna. Zaś w trakcie kilkudniowych ćwiczeń, od czasu do czasu, lał siarczysty, przelotny deszcz. Byliśmy więc kilka razy przemoczeni do suchej nitki. Nasze pistolety maszynowe, mimo że ukryte w tym czasie pod plandeką, solidnie podrdzewiały i przysparzały nam potem samych kłopotów.

Mimo tego, co rusz, od używanych petard, nabojów sygnałowych i innych środków pozoracyjnych palił się poligon. W związku z tym często przerywaliśmy ćwiczenia i „bawiliśmy się" w strażaków. A trzeba było działać bardzo szybko, bo na poligonie pełno było wrzosowisk i lasów iglastych, wśród których pożar rozprzestrzeniał się błyskawicznie, obejmując swoim zasięgiem duże obszary i stanowił zagrożenie dla ludzi i sprzętu.

W ciągu trzech dni takiego działania wyglądaliśmy bardziej na czarnuchów niż na białasów, nie mówiąc już o stanie naszych mundurów. W tych ćwiczeniach byliśmy na tak zwanym suchym prowiancie, a więc konserwach, sucharach itp. Największe problemy mieliśmy z piciem. Wodę dowożono rzadko, a upał był potworny, szczególnie w czasie gaszenia pożarów. Tam po raz pierwszy zobaczyłem, jak czołgi wykorzystuje się do gaszenia pożarów.

Były niezwykle skuteczne w odcinaniu rejonu pożaru i blokowaniu jego rozprzestrzeniania się poprzez wykonywanie gąsienicami pasów przeciwpożarowych. Ponadto, po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z grozy pożarów kompleksów leśnych oraz z szybkości ich rozprzestrzeniania na terenach wrzosowisk i lasów iglastych. Sprzyjały temu powstające różnice temperatur wytwarzające ciągi powietrzne, zwiększające znacznie prędkość rozprzestrzeniania się pożarów.

Do organizowanego przez komendę szkoły ćwiczenia dowódczo-sztabowego wykorzystano sprzęt własny, w tym wszystkie wozy dowodzenia i radiostacje przenośne, a także wypożyczone wyposażenie z innych jednostek, przeważnie z pułku łączności w Białobrzegach i batalionu łączności z Legionowa. Było to ćwiczenie dzienno-nocne, rozpoczynające się w pobliżu szkoły i prowadzone w ogólnym kierunku na Pułtusk. Nasze zadanie polegało na przekazywaniu zadań, przyjmowaniu meldunków oraz wszelkich rodzajów informacji. W tym ćwiczeniu wykorzystano także pozorację, a poszczególne grupy podchorążych podgrywały pododdziały rodzajów wojsk maszerując po nakazanych trasach i zwalczając pozorowanego przeciwnika.

Jednym z głównych autorów i organizatorów tego ćwiczenia był ówczesny kapitan Bonifacy Sumera, popularny Benek – wykładowca taktyki wojsk łączności i organizacji łączności w szkole. Jak pamiętam było ono doskonale przygotowane i wspaniale zorganizowane. Byliśmy z niego wówczas bardzo zadowoleni, gdyż dawało przedsmak prawdziwego działania łącznościowców na polu walki. Cały eter rozbrzmiewał komendami, rozkazami, meldunkami i innymi informacjami, a wokoło słychać było serie z broni maszynowej, huk petard imitujących ogień artylerii oraz krzyki, rozkazy i zwykłe wrzaski, którymi zawsze przepełnione jest pole walki. Do dziś pamiętam niektóre kryptonimy radiostacji dowódców biorących udział w tym ćwiczeniu. Do najciekawszych należały „Amarant Koliber", „Błękitna Sójka", „Złota Wilga", „Czerwony Gil", „Siwa Czapla" z odpowiednio dodanymi numerami.

Do ćwiczeń wytrzymałościowych należały okresowo organizowane marsze na duże odległości. Na pierwszym roku zaczynaliśmy od kilkunastu kilometrów, kolejne były coraz dłuższe. Ostatni nasz marsz zaplanowany był na 30–35 kilometrów. Jednakże nasi przełożeni planując trasę marszu i odległość wyliczali linijką na mapie. W efekcie tego partactwa, jak później sami sprawdziliśmy, trasa owego marszu wynosiła ponad 40 kilometrów.

Ćwiczenia rozpoczynały się pobudką w nocy i trwały kilka, a nawet kilkanaście godzin. Wykonywało się je zawsze w pełnym oporządzeniu i z bronią, co razem ważyło około 25 kilogramów. Należały do uciążliwych fizycznie i niezwykle męczących. Najbardziej we znaki dawały stopy. Owinięte onuce obcierały niemiłosiernie, niekiedy aż do krwi, zaś skarpetki powodowały rozległe odparzenia. Jednak najgorzej było, gdy buty były prawie nowe, jeszcze niedopasowane do stóp lub zbyt małe. W takiej sytuacji marsz kończył się w karetce sanitarnej.

Jeszcze bardziej męczące były marszobiegi w pełnym oporządzeniu i z bronią. Jak sama nazwa wskazuje powinny składać się z marszu i z biegu. To znaczy powinno się na przemian maszerować i biec. Niestety normy były tak wyśrubowane, że trzeba było cały czas biec. Konkurencję tę zaliczało się zespołowo, biegnąc przeważnie plutonami i liczył się czas tego, który przybył ostatni, a więc czas najsłabszego. To wymuszało prawdziwe koleżeństwo i pomoc słabszym w dobrze pojętym interesie całej grupy. Dość często oglądało się takie sytuacje, w których mocniejsi objuczeni byli ponad miarę sprzętem, a słabsi biegli odciążeni, a niekiedy także ciągnięci lub podtrzymywani przez silniejszych.

Oprócz wspomnianych powyżej ćwiczeń dla ciała, serwowano także coś dla ducha. Były to okresowo organizowane bale podchorążych. Odbywały się zawsze za murami koszar, w pięknie położonym pałacyku, w którym mieściło się także kasyno oficerskie.

Organizowano je dla każdego rocznika oddzielnie w sali balowej. Sala robiła spore wrażenie. Była duża i bardzo wysoka, a jej ściany pokryte były lustrami i gęsto zdobione złotą sztukaterią. Do sali balowej przylegała mniejsza sala bufetowa, gdzie serwowano na koszt zamawiającego napoje bezalkoholowe i zakąski. W sali bufetowej i wokół ścian sali balowej, a także na antresoli ustawione były stoliki z krzesełkami, gdzie między tańcami toczyło się życie towarzyskie. Do tańca przygrywała zawsze kapela muzyczna podchorążych i grała zawsze to, co najbardziej lubiliśmy.

Do balu niezbędne były dziewczyny, zapraszano je ze Studium Pielęgniarskiego przy ulicy Wilczej i Liceum Pedagogicznego mieszczącego się przy ulicy Barcickiej. Kontakt i dobre stosunki z tymi szkołami były zasługą kapitana Skibińskiego i wytypowanych przez nas podchorążych, którzy w tym dziele wspierali go, jak umieli najlepiej. Przywożono i odwożono je do Warszawy autokarami szkoły. Przyjeżdżały chętnie, gdyż podchorążowie umieli się bawić z kulturą oraz tworzyli sympatyczny nastrój, a poza tym można było zapoznać przyszłego męża. Potwierdziło się to w przyszłości, gdyż sporo z nich związało się później z podchorążymi, tworząc szczęśliwe rodziny.

Wydawałoby się, iż marsze i bale nie mogą mieć z sobą wiele wspólnego. A jednak. Ostatni marsz, ten najdłuższy, czterdziestopięciokilometrowy, odbył się z piątku na sobotę. Rozpoczął się po trzeciej w nocy i trwał do godzin popołudniowych w sobotę. Zaś na sobotni wieczór zaplanowaliśmy nasz bal podchorążych i wszystko do niego było już zapięte na ostatni guzik.

Tym alarmem i marszem przełożeni zaskoczyli nas zupełnie. Nawet przez myśl nam nie przeszło, że mogą nam zrobić takie świństwo. Podejrzewam, iż zrobili to celowo, aby sprawdzić na co nas jeszcze stać po tak dużym wysiłku. Byliśmy w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Zmęczeni do tego stopnia, iż sporo z nas nie poszło nawet na obiad. Po marszu leżeliśmy na łóżkach, jak skóry zdjęte z niedźwiedzi. Bez czucia i życia, z nogami poobcieranymi do krwi.

Jednakże po dwóch, trzech godzinach odpoczynku i po solidnej kąpieli większość z nas była gotowa do balu. Bawiliśmy się nieźle, jednak gorzej było

z tańcem, ponieważ poobcierane i zmęczone nogi dawały o sobie znać, a i głowy były bardziej podatne na działanie alkoholu. Po zabawie byliśmy dumni z siebie i swojej wytrzymałości a także z tego, że pokazaliśmy przełożonym na co nas stać, że nie jesteśmy mięczakami.

W szkole oficerskiej wielką wagę przywiązywano do wychowania fizycznego i sportu, ale niewyczynowego. Dobrze organizowano zajęcia, szczególnie w hali sportowej i na ogródkach sportowych. Nacisk kładziono na ćwiczenia gimnastyczne oraz biegi. Zajęcia z WF-u odbywały się 2–3 razy w tygodniu w godzinach dopołudniowych i pod kierunkiem wykładowcy, osławionego majora Kocielskiego „Kocioła", a także w godzinach wieczornych już na własną rękę.

W hali sportowej ćwiczyliśmy gimnastykę z wykorzystaniem drążków, poręczy, kółek, drabinek, koni, skrzyń, piłek lekarskich, hantli, ciężarków i sztang itp. Zaś na boisku sportowym przeróżne biegi i inne konkurencje lekkoatletyczne. Ponadto w hali sportowej grywało się często w koszykówkę i piłkę ręczną, a na boisku sportowym w piłkę nożną. Te konkurencje były jednak poza programem i grywaliśmy dla własnej przyjemności.

Dość często rozgrywaliśmy mecze piłkarskie między reprezentacjami poszczególnych roczników. Przynosiły one wiele radości i satysfakcji, gdyż kibiców było zawsze pełno, w tym także oficerów z dowództwa szkoły, wykładowców i uczestników różnych kursów i przeszkoleń. Te rozgrywki posłużyły nam w pewnym momencie do zrobienia swoistej demonstracji.

Ponieważ otrzymywaliśmy zawsze za duże i w kiepskim stanie spodenki gimnastyczne, a zgłaszanie tego problemu szefowi kompanii nie przynosiło rezultatu, postanowiliśmy zaprezentować ich jakość i fason podczas meczu. Wybraliśmy więc drużynę piłkarską złożoną z najniższych wzrostem podchorążych naszego rocznika i założyliśmy im największe i najbardziej sprane oraz poprzecierane spodenki. W takich też, ku uciesze podchorążych i zdziwieniu oficerów, wystąpili w czasie meczu.

Widok był przewspaniały. Jedna drużyna wyglądała w miarę normalnie. W drugiej spodenki sięgały zawodnikom prawie do kostek, a krok po kolana. Wyglądało to bardzo zabawnie, a poczynania tak ubranych zawodników wywoływały huraganowy śmiech. Była to taka cyrkowa piłka nożna. A tak ogólnie to granatowe, bawełniane spodenki nazywaliśmy w skrócie kbks-ami, co oznaczało krótkie bojowe kalesonki sportowe. Od czasu tego meczu dostawaliśmy spodenki w miarę ludzkiej wielkości i w przyzwoitym stanie.

Wśród podchorążych naszego rocznika było sporo dobrych ciężarowców, gdyż ta dyscyplina cieszyła się w szkole dużym powodzeniem. Należeli do nich Stefan Fręśko, Andrzej Bischoff i inni. Mieliśmy również niezłej klasy lekkoatletów, jak Bronek Wełpa, w tym szczególnie biegaczy, takich jak Władek Urbaniak oraz koszykarzy. Ja należałem do grupy dobrych gimnastyków, sprinterów i piłkarzy. Moją piętą Achillesową były biegi długie oraz pływanie. Przypuszczam, że przyczyną moich słabych wyników w biegach długich były

przebyte we wczesnym dzieciństwie zapalenia płuc, zaś pływania brak większej wody w moich rodzinnych stronach i późna nauka samego pływania.

Najlepszą formę sportową osiągnąłem pod koniec trzeciego roku. W tym czasie dwa przeciwległe boksy sypialne opustoszały i zamontowano w nich sprzęt sportowy, a więc drążek, poręcze i inne mniejsze przyrządy. W tej sytuacji prawie co wieczór wszyscy ćwiczyli, mając te przyrządy niemal pod samym nosem. W tych ćwiczeniach doszedłem do takiej formy, że wchodziłem na drążek na prostych rękach, kręciłem olbrzyma na drążku i poręczach, a podciągnięć lub wymyków na drążku i ugięć ramion na poręczach mogłem robić prawie bez ograniczenia. Także na linie wspinałem się w parę sekund za pomocą samych rąk i z nogami wyprostowanymi w poziomie.

Od samego początku podchorążackiego życia towarzyszyła nam organizacja młodzieżowa o nazwie Koło Młodzieży Wojskowej, w skrócie KMW. W zasadzie po przysiędze zapisali się do niej prawie wszyscy. Także ja, który do tej pory nie należał do żadnej organizacji. Nie licząc tego, że w szkole podstawowej zapisałem się do harcerstwa, ale na zapisie się skończyło. W okresie zapisywania do KMW sądziliśmy i potem to się potwierdziło, że na jej forum można będzie poruszyć i załatwić te sprawy, z którymi nie można było sobie poradzić przy wykorzystaniu drogi służbowej.

Organizacja dawała także poczucie samorządności, szczególnie jeśli chodziło o artykułowanie naszych potrzeb na zewnątrz, aż do komendy szkoły włącznie oraz rozwiązywanie spraw koleżeńskich, co do których nie chcieliśmy, aby wiedziała o nich lub włączała się kadra. Organizacja ta wiele spraw dla nas korzystnych wymuszała także na naszych przełożonych, którzy słuchali jej głosu i byli przychylni jej prośbom. W tym czasie Koła Młodzieży Wojskowej, szczególnie nasze koło, miały taki autorytet, iż nasi dowódcy obawiali się go nie mniej niż swoich przełożonych.

Dla zilustrowania tych słów przytoczę jeden fakt, który to potwierdza a nawet pokazuje, że nasze koło miało jeszcze większe znaczenie. Jednakże przed tym muszę powiedzieć kilka słów o naszym morale. Według mojej oceny było bardzo wysokie. Nie zdarzyło się bowiem, aby jeden drugiemu bezinteresownie nie pomagał w potrzebie. Prawie wszyscy dzielili się z kolegami, tym co mieli lub dostali najlepszego z domu. Także papierosami, których przeważnie brakowało. Wystarczyło, że jeden miał papierosy to palili i ci, co nie mieli. W okresie ponad dwóch lat nie zdarzył się przypadek, aby komuś coś najmniejszego zginęło, a przecież szafki przyłóżkowe, szatnie i inne pomieszczenia, za wyjątkiem magazynków broni, nie były zamykane.

W takiej sytuacji zaczęły ginąć pasy główne, spodnie i kurtki. Zarząd koła wytypował grupę śledczą do zbadania sprawy. Ta zabrała się do roboty i wykryła, że to nasz kolega Franek K. wynosi je z pododdziału i sprzedaje na bazarze Różyckiego w Warszawie. Zarząd przedstawił wyniki śledztwa dowódcy kompanii i nastała chwilowa cisza. Nie wytrzymaliśmy i zwołane zostało zebranie naszego koła. Na nim głosami wszystkich postanowiliśmy, że nie chcemy przebywać dalej razem

ze złodziejem. Niech więc opuści mury szkoły. Taką decyzję przedstawiliśmy komendantowi szkoły za pośrednictwem dowódcy kompanii.

Komenda, a szczególnie organa partyjno-polityczne były za tym, aby sprawcę ukarać i pozostawić w szkole. Może brali pod uwagę poniesiony koszt nauki, a może coś innego, o czym mogliśmy nie wiedzieć. Gdy ta opinia dotarła do nas, podtrzymaliśmy naszą decyzję, a delegacja koła przekazała komendantowi szkoły, że jeśli nie zostanie wyrzucony, to załatwimy to sami. Na owe dictum komendant dyscyplinarnie zwolnił delikwenta ze szkoły, kierując go do jednostki wojskowej.

Swój cel osiągnęliśmy, gdyż nie wydawało nam się możliwe, aby mieszkać w dalszym ciągu ze złodziejem, tym bardziej, że ów złodziej zostałby niedługo oficerem. Uważaliśmy wówczas, że przynosiłby wstyd całej kadrze oficerskiej wojska. Nasz cel nie został jednak w pełni osiągnięty, gdyż po naszej promocji Franek K. wrócił do szkoły i ją ukończył. Ale już na to nie mieliśmy wpływu.

Jak wspominałem, w szkole działała także organizacja partyjna. Jako podchorążowie byliśmy świadomi, że do partii należeć trzeba. Dlatego większość z nas zapisywała się do niej. Niektórzy pod koniec pierwszego roku, inni, tak jak ja, na drugim roku, a jeszcze inni na trzecim. Byli i tacy, którzy do partii nie zapisali się wcale. I było ich niemało. Sądzę, że około 20–30%. Procedura przyjęcia do PZPR była dość ciekawa, gdyż trzeba było mieć dobre oceny oraz nienaganne konto dyscyplinarne. Ponadto dwóch polecających członków partii. Jeśli to wszystko było pozytywne, wówczas uroczyście przyjmowano daną osobę na kandydata PZPR, a po rocznym stażu i dobrej opinii dopiero na członka tej organizacji.

Muszę przyznać, że nie posiadam zbyt interesujących wspomnień dotyczących działalności partii w tym czasie. O ile pamiętam była to raczej działalność polegająca na odbywaniu zebrań partyjnych, płaceniu niewielkich składek i realizowaniu zadań odgórnych, szczególnie czynów społecznych. Zebrania partyjne były sztampowe, mało ciekawe i przeideologizowane.

Ostatnie dwa lata szkoły szybko minęły i 19 sierpnia 1963 roku odbyły się egzaminy końcowe. Zdawaliśmy je z pięciu przedmiotów: filozofii marksistowskiej, szkolenia taktycznego, wychowania fizycznego, szkolenia ogniowego, znajomości sprzętu radiowego i pracy na urządzeniach łączności. Ze szkolenia taktycznego i pracy na urządzeniach łączności otrzymałem oceny bardzo dobre, ze znajomości sprzętu radiowego i szkolenia ogniowego dobre, a z filozofii marksistowskiej i wychowania fizycznego dostateczne. Co zaś tyczy ostatnich egzaminów, to słabsze wyniki w pierwszym przypadku podyktowane były moim filozofowaniem i wygłaszaniem w wielu kwestiach własnego zdania, zaś w drugim – słabszymi wynikami w pływaniu i biegu na pięć kilometrów. W sumie jednak ze wszystkich przedmiotów wykładanych w szkole uzyskałem na koniec średnią 4,10.

Od egzaminów do promocji, planowanej na dzień 1 września 1963 roku, pozostało ponad dziesięć dni. W tym czasie otrzymaliśmy już częściowe zalicz-

ki na poczet przyszłej pensji. A więc prawie wszyscy starali się godnie uczcić zdane egzaminy. Najczęściej wychodząc nad zalew, idąc do Zegrza Południowego lub jadąc do Serocka albo do Pułtuska.

Jedna z grup, już prawie oficerów, udała się na pijacką biesiadę do Serocka. W jednej z knajp dobrze zakropili i wracali autobusem kursującym po trasie Pułtusk – Warszawa, a że wszyscy mieli dobrze w czubie, prawie pusty autobus należał do podchorążych. Było wesoło, gwarno i alkoholowo. Nasz serdeczny kolega Wiciu Jesion siedział prawie pośrodku autobusu, po lewej stronie za kierowcą. W pewnej chwili zaczął robić dziwne ruchy głową i grdyką oraz wołać:

– Dalej nie wytrzymam. Muszę wysiąść.

Wiedzieliśmy co się święci, więc mówimy do kierowcy:

– Kochany panie! Zatrzymaj pan, bo nasz kolega zachorzał.

On zaś na to, że nie może i prosi, aby mu nie przeszkadzać. No i zaczęło się. Wiciu jak gąsior wyciągnął łeb do przodu, odchylił cały tułów w tył i nadymając strasznie policzki „puścił olbrzymiego pawia", który przeleciał pięknym wysokim łukiem do przodu i „obsiadł" z tyłu sylwetkę kierowcy.

Ten zatrzymał autobus, szkoda że za późno, i wściekły doprowadził do potwornej awantury. Broniliśmy się, jak mogli perswazją, ale niewiele to pomagało. Udobruchał się dopiero wówczas, gdy jeden z kolegów przeszedł z czapką po autobusie, zebrał sporą gotówkę i wręczył ją kierowcy.

Inna duża grupa udała się do kasyna, gdzie mocno „dała do wiwatu". Ale niektórym było to za mało, więc poszli na piechotę przez most do Zegrza Południowego. Tam w knajpie doprawili się zupełnie. Nie mając już sił wrócić, zatrzymali woźnicę z furmanką i kazali się wieź przez most do szkoły. Ten zaś zażądał zapłaty. Obrażeni na to koledzy uznali, że skoro tak, to oni będą płacić rzucając pieniądze do tyłu za furmankę. Widok był podobno taki, że podchorążowie leżeli na wozie jak barany, a woźnica co rusz się zatrzymywał i zbierał rzucane pieniądze. W efekcie dotarli jednak z powrotem pod kasyno, ale to już był kres ich możliwości.

Ci jednak, którzy wrócili wcześniej, choć też niemiłosiernie zalani, powiadomili o sytuacji kolegów pozostających w pododdziale. Wyruszyła grupa poszukiwawcza, która znalazła ich w pobliżu kasyna. Byli w różnym stanie. Dwóch z nich leżało pod krzakiem w pozycji odwróconej, śpiąc spokojnie. Jednakże pozycja ta sprawiła, że wymiotując wybrudzili sobie wzajemnie ubranie od kolan w dół. Trzech leżało w rowie, do którego wpadli po nieudanej próbie przejścia przez płot. Inny wisiał na betonowym płocie zakończonym drutem kolczastym i nie mógł zejść ani w jedną ani w drugą stronę. Wszyscy przyniesieni zostali do pododdziału w pałatkach i umieszczeni tak, aby nie wpaść w oko szefowi pododdziału lub któremuś z oficerów.

Droga Pułtusk–Warszawa biegła obok szkoły. Na niej więc wsiadło się do autobusu lub łapało okazję wyjeżdżając z Zegrza. Jednakże samochodów w tamtym czasie było niewiele i jeździły stosunkowo rzadko. Jakież więc było kiedyś zdziwienie Mietka Jaźwieckiego, gdy zatrzymał się dobry samochód i otrzymał zaproszenie do środka, a tam okazało się, że w samochodzie siedzi sam

premier Józef Cyrankiewicz. Były to takie czasy, że wysokie władze rzadko jeździły z obstawą. Cyrankiewicz zaś był znany z tego, że sam lubił prowadzić, a przy tym nie znosił eskorty i w większości przypadków jeździł sam. Wówczas wracał sam z Jadwisina, leżącego koło Serocka, a lubił pogadać z młodymi i nie znosił samotności. Zawiózł nawet Mietka bezpośrednio pod wskazany adres, mimo tego, że ten wzbraniał się przed tym okropnie.

Koleżeńskie więzi

Życie w szkole nie było usłane różami. Szczególnie trudno było na samym początku, a i później też nielekko. Olbrzymi wysiłek fizyczny, ciągłe musztrowanie, żelazna dyscyplina i stała presja przełożonych były tymi czynnikami, które cementowały nasze więzi. Szybko doszliśmy do przekonania, że tylko wzajemna pomoc, osłona jednego przez drugiego, a także solidarność i działanie w grupie pozwolą nam przeżyć, zachować godność i lepsze samopoczucie.

To zaś powodowało, że rodziły się między nami solidne koleżeńskie więzi, wzajemne zaufanie, poczucie wzajemnej wartości, a także zdrowe zasady moralne, które nas zespalały i umacniały nasze przyjaźnie. Widać to było na każdym kroku już w szkole, toteż czuliśmy się rocznikiem wyjątkowym, szczególnie pod względem zgrania, koleżeństwa, wzajemnych więzi i reputacji w szkole. Potwierdziła to późniejsza rzeczywistość, gdy już wszyscy opuściliśmy mury naszej szkoły i rozproszyliśmy się po całej Polsce i po różnych jednostkach wojskowych.

Po skończeniu szkoły w Zegrzu utrzymywaliśmy więzi dwojakiego rodzaju. Więzi grupowe i całego rocznika. Jeśli do jakiejś jednostki poszła grupka naszych łącznościowców, to tworzyła tam grono zgranych przyjaciół, trzymających się razem i wzajemnie się wspierających. Wielokroć zdarzało się, że koledzy z rocznika bywali świadkami na ślubach, ojcami chrzestnymi i tworzyli inne bardzo ścisłe związki.

Więzi całego rocznika podtrzymywane były przez organizowanie zjazdów i spotkań koleżeńskich. Zjazdy miały miejsce co pięć lat, począwszy od zjazdu z okazji 10-ciolecia promocji, zaś spotkania co kilka lat między zjazdami, a od początku lat 90. nawet co roku.

Zjazdy i spotkania były nie tylko miejscem spotkań absolwentów naszego rocznika i ich rodzin, ale też okazją do wspólnej zabawy. Zjazdy odbywały się zawsze w Zegrzu, a spotkania w Zegrzu, Ryni, Warszawie, Borównie, Helu, Lidzbarku Warmińskim, Karpaczu, Tleniu, Mrągowie, Spale i Okuninee nad jeziorem Białym.

Wielką zasługę w organizowaniu zjazdów i spotkań naszego rocznika należy przypisać stałemu komitetowi organizacyjnemu R-63, który działa w składzie: przewodniczący Jerzy Goliński, członkowie: Andrzej Bischoff, Karol Kociałkowski, Brunon Majewski, Jerzy Mazurkiewicz, Piotr Michalski i Antoni Wieczorek.

Z okazji 20-lecia promocji Jurek Goliński i Zdzisiek Jawor napisali słowa hymnu naszego rocznika pt. „Nasz jubileusz" śpiewanego na melodię „Już taki jestem zimny drań". A oto słowa:

Zaśpiewajmy tę piosenkę
Skoro przyszedł na to czas
Niech popłyną skoczne dźwięki
I niech wspomni każdy z nas
Lata piękne i ambitne
Pełne wrażeń – to się wie
Bo przecież każdy dzisiaj przyzna,
Że nie było źle.

Jesteśmy rocznik –63
Ten rocznik nieraz nam się śni
Bo w tym jest rzeczy sedno,
Że nam NIE wszystko jedno
Co pozostało z tamtych dni.

Przeleciało już 20-cia
Lat nie łatwych co tu kryć
Mniej lub więcej było szczęścia
Jednak warto było żyć,
By zaśpiewać dzisiaj chórem
Aby nikt się nie czuł sam.
Vivat! Alma Mater –Zegrze
Niechaj żyje nam!

Jesteśmy rocznik – 63 ...

Lat 30–ci szybko minie
Wtedy spyta każdy z nas,
Fajnie było lecz co dalej
Co nam sprezentował czas?
Jedni poszli w generały,
Inni w hodowanie róż,
I niech nas dalej łączy przyjaźń
By się spotkać znów.

Jesteśmy rocznik-63 ...

Więc trzymamy się chłopaki
Musi nam wystarczyć sił,
Aby dowieść, że rok taki
W Zegrzu tylko jeden był:
Co ma zjazdy i spotkania
Jak rodzina trzyma się,
Więc pamiętajcie! Za lat 10
Znów spotkamy się.

Jesteśmy rocznik 63 ...

Dopisano z okazji XXV-lecia promocji R-63
Borówno – wrzesień 1988

Pięć z dziesięciu już minęło
Siwe głowy młody duch.
Nikt nie myśli o spoczynku
Może jeść i pić za dwóch,
A że żony ciągle młode,
I że każdy z nas jest chwat
Więc tak jak widać się zanosi
Święcić i 100 lat!

Jesteśmy rocznik-63 ...

Dopisano z okazji XXX-lecia promocji R-63
Zegrze – wrzesień 1993

Większość z nas już jest w rezerwie
Mamy wnuki, wolny czas.
Najwytrwalsi jeszcze w służbie
I generał jest wśród nas,
Ale nam to nie przeszkadza
Znamy się jak z bratem brat,
Bo my jesteśmy po promocji
Już 30-ci la

Jesteśmy rocznik-63 ...

A czas jest nieubłagany
Widać na nas jego ząb
By otuchy sobie dodać
Mamy towarzystwo żon
Lecz niczego nie kończymy
Póki płynie w żyłach krew
I jeszcze nieraz się spotkamy
Gdy ktoś poda zew.

Jesteśmy rocznik-63 ...

Dopisano z okazji spotkania R-63
Lidzbark Warmiński – wrzesień 1996

Rok kolejny szybko minął
Gdy wiatr morski smagał nas,
I tęsknota za spotkaniem
Znów przezwyciężyła czas.
A po Helu wita Lidzbark
Kto następny poda zew
Bo nadal chcemy się spotykać
By się rozległ śpiew.

Jesteśmy rocznik-63 ...

Dopisano z okazji XXXV-lecia promocji R-63
Zegrze – wrzesień 1998

Tleń i Lidzbark już historią
Dziś znów Zegrze wita nas
Bo jak widać to lubimy
W takim gronie spędzać czas
Niech żałują nieobecni
Nie nadrobią już tych strat
I będą mieć ogromną lukę
Wspomnień z wielu lat.

Jesteśmy rocznik-63 ...

W służbie dzisiaj tylko sześciu
Podchorążych z tamtych lat
Szkołę nam zlikwidowano
Winnych niech rozliczy kat
Lecz w pamięci naszej Zegrze
Pozostanie aż po grób
Gdyż rozpoczęło wiele wspólnych
Przyjacielskich dróg.

Jesteśmy rocznik-63 ...

Dopisano z okazji XL-lecia promocji R-63
Zegrze – wrzesień 2003

Wzrok słabiutki, słuch marniutki
Z głosem także kiepsko jest
Jeść się nie da, pić nie można
Drapał żesz to wszystko pies,
Tekstu też nie pamiętamy,
Choć z pamięcią jest – OK.!
Lecz refren wszyscy zaśpiewamy
Bo go każdy zna!

Jesteśmy rocznik-63 ...

Na zjazdach i spotkaniach hymn ten śpiewamy zawsze na rozpoczęcie i zakończenie uroczystości. Oprócz niego śpiewamy piosenki podchorążych z wydanego przez Jurka Golińskiego w 1984 roku śpiewnika „Zegrzyniacy R-63". Zaś na zakończenie każdej uroczystości, biorąc się wszyscy za ręce i tworząc olbrzymi łańcuch lub koło, śpiewamy piosenkę „Upływa szybko życie". Oto jej słowa.

Upływa szybko życie
Jak potok płynie czas,
Za rok, za dzień, za chwilę (bis)
Razem nie będzie nas. (bis)

Kiedy się rozstaniemy
Pójdziemy wszyscy w dal,
A w sercach pozostanie (bis)
Tęsknota, smutek, żal. (bis)

Więc póki młode lata
Póki wiosenne dni,
Niechaj przynajmniej teraz (bis)
Nie płyną gorzkie łzy. (bis)

W 1993 roku w związku z XXX. rocznicą promocji, z mojej inicjatywy oraz według mojego projektu, wykonana została Odznaka Pamiątkowa Absolwenta Oficerskiej Szkoły Łączności 1963. Niewielkiego rozmiaru odznaka do noszenia w klapie marynarki w formie proporczyka z nałożonym na nim orłem. Proporczyk srebrny o barwach niebiesko-czarnych z biało-czerwonym pasem w pośrodku. U góry tłoczone litery OSŁ, poniżej dwie symetrycznie ułożone złocone błyskawice, między zakończeniami których widnieje liczba 63, upamiętniająca rok promocji oficerskiej. Pomiędzy literami OSŁ, a liczbą 63 nałożony orzeł. Proporczyk wykonany z metalu srebrzonego i oksydowanego, emaliowanego i częściowo złoconego. Na rewersie wybity jest kolejny numer odznaki, data 11 IX 1993 r. oraz nazwisko grawera.

Z okazji XXXV-lecia promocji, podczas zjazdu w Zegrzu, odbyło się odsłonięcie tablicy upamiętniającej uroczystą promocję podchorążych rocznika 1963 roku. Tablica owa spoczywa na olbrzymim głazie-obelisku w pobliżu kasyna oficerskiego i wykonana jest z grubej mosiężnej blachy. Napis zaś brzmi.

„Tkwię tu dając dowód umiłowania Ojczyzny
i prawdziwej męskiej przyjaźni"

W 35-LECIE PROMOCJI OFICERSKIEJ
PODCZAS X ZJAZDU KOLEŻEŃSKIEGO

ABSOLWENCI
OFICERSKIEJ SZKOŁY ŁĄCZNOŚCI 1963 r.

Zegrze, wrzesień 1998 r.

Po jednym ze spotkań stałego komitetu organizacyjnego R-63 udaliśmy się z Piotrem Michalskim do lokalu gastronomicznego, gdzie w zacisznej atmosferze prowadziliśmy ożywioną dyskusję i snuliśmy różne plany. W pewnym momencie dyskusja zeszła na nasz rocznik. Zaczęliśmy wspominać ciekawe historie i zdarzenia. W tej rozmowie doszliśmy do wniosku, że trzeba napisać książkę o naszym roczniku.

Ja byłem za tym, aby to zrobił Piotr, gdyż był znany z lekkiego pióra, a ponadto miał sporo materiałów z podchorążówki. Napisał także świetny artykuł po śmierci naszego szefa kompanii zatytułowany „Epitafium dla de Gaulle`a". Piotr zaś wykręcał się lenistwem i brakiem czasu. W tamtym czasie na tym stanęło.

Nie dawało mi to jednak spokoju. Zacząłem o tym myśleć i w efekcie doszedłem do następujących wniosków. Tej książki nie może napisać jedna osoba. Powinna mieć ona w większości charakter wspomnieniowy. Należy zatem ułożyć jej plan, podzielić role, zaagitować do tego pomysłu kolegów, opracować i rozesłać do wszystkich pismo zapraszające do współpracy. To wziąłem na siebie.

W październiku 1999 roku, na spotkaniu u mnie w domu, stały komitet organizacyjny zaakceptował pomysł i koncepcję książki, tytuł całości i poszczególnych rozdziałów i treść pisma powiadamiającego kolegów o przedsięwzięciu i zapraszającym ich do współpracy. Potem zaczęła się moja żmudna, trzyletnia praca polegająca na wyławianiu wśród kolegów chętnych do pisania wspomnień, agitowaniu i przekonywaniu do tego niezdecydowanych, poprawianiu nadesłanych rękopisów i przygotowaniu ich do druku. Następnie zebraniu pieniędzy niezbędnych na wydanie książki, znalezieniu drukarni, która mogłaby ją wydać po przystępnej cenie oraz zaprojektowaniu okładek.

W ten sposób, na jubileusz naszej 40. promocji, w maju 2003 roku ukazała się nasza książka pt. ZEGRZYNIACY – Rocznik 63. Książka o absolwentach Oficerskiej Szkoły Łączności w Zegrzu, promowanych w 1963 roku. Roczniku, jak sądzimy, niezwykłym przez swoje koleżeństwo oraz łączące go długoletnie, trwałe więzi.

W książce znajduje się dwadzieścia dziewięć wspomnień dwudziestu trzech autorów, ponadto krótka historia Zegrza i wojskowego szkolnictwa łączności, a także dokumenty i ilustracje.

Wspomnienia obejmują zdarzenia z ponad czterdziestu lat, poczynając od drogi do szkoły oficerskiej i pobytu w niej, poprzez służbę w jednostkach wojskowych, pracę w akademiach i uczelniach wojskowych oraz instytucjach centralnych ministerstwa obrony na różnych stanowiskach i w różnych regionach kraju.

Zawiera najciekawsze i najbardziej charakterystyczne momenty życia i służby, interesujące i ważne dla autorów oraz kolegów łącznościowców. Umieszczone w książce wspomnienia i przeżycia autorów dają subiektywny, ale w miarę obiektywny obraz tamtej rzeczywistości i warunków życia oraz przybliżające odpowiedź na pytanie, jacy byli Zegrzyniacy R-63. Ilustracja 17 przedstawia uczestników zjazdu zorganizowanego z okazji czterdziestolecia promocji. W jej górnym lewym rogu widnieje odznaka pamiątkowa R-63, a w dolnym prawym tablica pamiątkowa.

16. W mundurze wyjściowym nowego wzoru. 1963 r.

15. W mundurze wyjściowym starego wzoru na trybunie honorowej. Na dłoniach białe rękawiczki przysługujące członkom kompanii honorowej szkoły. 1962 r.

17. Uczestnicy zjazdu organizowanego z okazji czterdziestolecia promocji. W górnym lewym rogu

Rozdział szósty

Choszczański rzut

Przeznaczenie

Był sierpień 1963 roku. Zbliżał się czas promocji, a my podchorążowie byliśmy w trakcie egzaminów końcowych lub już po nich. Czas wspaniały przynajmniej z dwóch powodów. Dopisywała piękna pogoda, a nowo utworzony zalew był tak blisko. Ponadto byliśmy już po przymiarkach oficerskich mundurów galowych, szytych na miarę w wojskowym zakładzie krawieckim w Warszawie. Także atmosfera panująca wśród podchorążackiej braci, będącej w większości w stopniach sierżantów i plutonowych podchorążych, była wyjątkowa, rozluźnienie dyscypliny widoczne i dające przedsmak wolności oficerskiej.

Myliłby się jednak bardzo ten, kto by przypuszczał, że rozluźnienie było wielkie. Przez to między innymi, że na straży dyscypliny stał sławny „de Gaulle", szef trzeciej kompanii podchorążych starszy sierżant Tadeusz Szemborski. Przydomek ten otrzymał ze względu na szczupłą i wysoką sylwetkę oraz wygląd zbliżony do wodza Francuzów.

Potrafił skutecznie hamować wolnościowe i rozrabiackie zapędy podchorążych, prawie równych sobie stopniem wojskowym i za moment oficerów. Umiał trzymać na wodzy te „młode wilki", zmuszając nas nieraz do stania przez długi czas na zbiórkach, szczególnie przed i po posiłkach oraz na apelach, zachowując przy tym stoicki spokój i „wstawiając" swoje osławione mowy.

Któregoś dnia dotarła do nas wiadomość. Przyjechali „kupcy". Tak nazywano oficerów kadr, którzy decydowali o dalszym losie młodych oficerów. To od nich zależało, gdzie, kogo przydzielić, szczególnie jeżeli chodzi o rodzaje sił zbrojnych i okręgi wojskowe, choć jak się później okazało – nie tylko.

Procedury stawania przed komisją i zasady skierowań do służby były podobne. Komisja składająca się z kilku, jeśli nie więcej osób, wzywała pojedynczo podchorążych na rozmowę. Jej członkowie byli dobrze przygotowani do działania i mieli z góry przygotowany przydział każdego z nas. Z reguły nie ulegał on zmianie w trakcie prowadzonej rozmowy.

Pytano się każdego z nas do jakiego rodzaju sił zbrojnych (wojska lądowe, marynarka wojenna, wojska lotnicze i obrona powietrzna) i do jakiego okręgu wojskowego chciałby iść i mimo otrzymywanej odpowiedzi, kierowano tam gdzie chciano, czyli zgodnie ze swoimi planami. Na przykład mnie zapytano: gdzie chcę iść? Odparłem, że do Warszawskiego Okręgu Wojskowego, ponieważ okręg ten obejmował swoim zasięgiem południowo-wschodnie obszary Polski, w tym Ziemię Krakowską i Karpaty, skąd się wywodzę. Zapytano oczywiście dlaczego? Przedstawiłem więc motywację, iż chcę służyć i pracować w południowo-wschodniej Polsce, ze względu na sentyment do gór i rodzinnych stron.

Członkowie komisji ze zrozumieniem pokiwali głowami, a przewodniczący orzekł, że mnie rozumie, lecz moje miejsce jest gdzie indziej, to znaczy w Pomorskim Okręgu Wojskowym. Okręgu przodującym, pierwszorzutowym, wyposażonym w nowoczesny sprzęt i potrzebujący nowej, młodej i prężnej kadry. Tam więc jest moje miejsce i żadnego odwołania od tej decyzji być nie może. A kraina to piękna, pełna jezior, lasów i na pewno ją polubię, co się zresztą później w pełni potwierdziło. Potwierdziło się także i przodownictwo, bo później utarło się powiedzenie, że w Wojsku Polskim są dwa okręgi przodujące (śląski i pomorski), a trzeci im dorównuje (warszawski). A wszystkiego były trzy okręgi. Stosunek komisji do kandydatów na oficerów można uogólnić w jednym zdaniu: jeśli chcesz pójść do określonego okręgu, to pójdziesz gdzie indziej.

W wyniku prac komisji stworzone zostały listy z przydziałami przyszłych oficerów do poszczególnych rodzajów sił zbrojnych i okręgów wojskowych. A więc od tego momentu, nie było to już tajemnicą. Jednak na tych listach, bystre oko któregoś z podchorążych wypatrzyło dziwne małe znaczki, poczynione ołówkiem przed nazwiskami niektórych podchorążych. Wyglądały one jak literki S i budziły szerokie komentarze i domysły. Większość podchorążackiej braci skłaniała się ku temu, że może to oznaczać przydział do jednostki lub jednostek specjalnych. Ale jakich i gdzie by one się mieściły nikt nie wiedział. Znaczki te postawione były przy niektórych nazwiskach podchorążych z pierwszego i drugiego plutonu, a więc plutonów zwanych ogólnoradiowymi. Dotyczyło to również i mnie. Tworzyło więc określoną tajemniczość i niepewność co do dalszych moich losów.

Następnie było fasowanie sortów mundurowych, czyli całego ubioru służbowego oficera i niezbędnego na czas „W" (wojenny), w tym między innymi menażki, manierki, niezbędnika, będącego zestawem sztućców polowych. Wszystko to mieściło się w olbrzymim worze, z materiału w kolorze khaki i skórzanymi rączkami do dźwigania. Jego ciężar i wielkość sprawiały duży kłopot, nawet najsilniejszym, nie mówiąc już o niższych wzrostem i wagą, szczególnie z piątego i szóstego plutonu. A trzeba pamiętać, że byliśmy bardzo dobrze wysportowani, silni i młodzi.

Po przeprowadzonej przez generała Wojciecha Jaruzelskiego w dniu 1 września 1963 roku, w obecności kadry dowódczej szkoły, zaproszonych

gości oraz rodzin młodych oficerów, promocji (ilustr. 17, 18), wieczorem odbył się oficerski bal promocyjny. Bal ten miał miejsce w niezwykle urokliwym pałacyku, wybudowanym jeszcze przed drugą wojną światową. Utrzymany bardzo starannie i położony na wysokiej skarpie wśród drzew sosnowych, po prawej stronie drogi Nieporęt-Serock, zaraz za kończącą się taflą zalewiska pałacyk, był wymarzonym miejscem dla takiej imprezy.

Niektórzy oficerowie zaraz po promocji, inni po balu, z przydziałowymi tobołami udawali się do rodzinnych domów na miesięczny urlop. Po nim zaś wraz z całym swoim dobytkiem do dowództwa rodzaju sił zbrojnych lub okręgu wojskowego, do którego otrzymali przydział.

Do Choszczna marsz

Spotkanie w dowództwie Pomorskiego Okręgu Wojskowego w Bydgoszczy miało chyba miejsce drugiego października w godzinach przedpołudniowych. I tu również działała komisja, już okręgowa, składająca się z oficerów dowództwa, w tym oczywiście także kadr, przydzielająca młodych oficerów już do poszczególnych jednostek wojskowych. Nas wszystkich, którzy mieliśmy wcześniej postawioną przy nazwiskach literkę S, skierowano od razu do Choszczna. Było nas ośmiu. Wymienię w kolejności alfabetycznej: Konstanty Karmelitow, Karol Kociałkowski, Stanisław Lubiak, Jerzy Mazurkiewicz, Mieczysław Miciak, Zygmunt Sznepka, Jan Worm i Zygmunt Ziętek.

Po tym spotkaniu już wiedzieliśmy, że w Choszcznie tworzy się nowa, bardzo ważna dla sił zbrojnych jednostka wojskowa. Ale jaki jest jej charakter oraz gdzie ta miejscowość dokładnie leży, nikt początkowo nie wiedział. Toteż gorączkowo szukaliśmy jej na mapie i odkryliśmy jako kilkutysięczne miasteczko na trasie kolejowej Poznań–Szczecin. Natomiast jego urok i walory mieliśmy poznać dopiero na miejscu.

Po zjedzeniu obiadu, już w godzinach popołudniowych „choszczański rzut", ze wszystkimi swoimi tobołami, udał się na stację kolejową Bydgoszcz–Główna, a następnie pociągiem do Choszczna. Podróż przebiegła nadzwyczaj spokojnie. Trochę dyskusji o nieznanym, trochę żartów, a poza tym spanie i drzemki regenerujące siły.

Do Choszczna przyjechaliśmy w godzinach nocnych. Wysiedliśmy na dworcu kolejowym. Wydawał się solidny i stosunkowo duży, jak na taką miejscowość. Budynki stacyjne były jasnoszare, niezniszczone i dobrze oświetlone. Jakże inne od budynków stacyjnych w południowej, centralnej i wschodniej Polsce. Wewnątrz przestronna poczekalnia z kasami biletowymi i dużym bufetem. Dopiero później zorientowaliśmy się, że jest to stacja węzłowa dla kierunków Szczecin–Poznań i Barlinek–Kalisz Pomorski.

Przed dworcem czekał już na nas samochód ciężarowy, skrzyniowy z plandeką oraz kierowcą i dysponentem. Jadąc do jednostki z zaciekawieniem ob-

serwowaliśmy miasto. Było nieoświetlone i jak gdyby wymarłe. Przez około półtora kilometra jazdy, począwszy od dworca kolejowego, aż do rynku, naliczyliśmy tylko kilka domów wyglądających na zamieszkałe. Reszta to były puste przestrzenie i ruiny domów.

Rynek przedstawiał sobą widok żałosny. Na środku stał kościół z dużej, czerwonej, starej cegły i zerwaną wieżą, a wokół same ruiny. Dalej jechaliśmy brukowaną drogą wśród pól i łąk, aby nareszcie dotrzeć do jednostki. Przed nią stało kilka budynków mieszkalnych, następnie brama wjazdowa i byliśmy wreszcie w jednostce. Podwieziono nas pod internat, gdzie otrzymaliśmy zakwaterowanie w wyznaczonych pokojach. Z reguły po kilku w jednym i z niewesołymi minami położyliśmy się spać, rozmyślając jeszcze długo o tym gdzie „wdepnęliśmy" i co nas czeka. Następne dni upłynęły pod znakiem poznawania koszar, przydziału stanowisk służbowych, zwiedzania miasta i oswajania się z oficerskim życiem w jednostce wojskowej.

Poniemieckie koszary

Koszary okazały się solidne, poniemieckie i niezniszczone. Całkowicie inne od tych dotychczas mi znanych z Zegrza lub z obszarów byłego zaboru rosyjskiego i austriackiego. Rozmieszczone były około jednego kilometra od wylotu z miasta, po prawej stronie drogi do Drawna i Kalisza Pomorskiego.

Był to kompleks nowoczesny, bo zbudowany w 1937 roku. Dzielił się na dwie części. W części lewej znajdowała się jednostka radiotechniczna lotnictwa, kasyno, izba chorych, hala sportowa, internat dla kadry i duży zespół garażowy. Zaś po prawej stronie, za drugą bramą koszarową, zespół otynkowanych budynków koszarowych, składający się z pięciu gmachów dwupiętrowych i dwóch jednopiętrowych typu niemieckiego, o wysokich czterospadowych dachach pokrytych czerwoną dachówką. Dalej był duży kompleks garażowy wraz ze stacją naprawy sprzętu technicznego.

Prawą część koszar zajmowała jednostka wojskowa 1609, będąca w istocie 20 Brygadą Artylerii, powstałą 1 kwietnia 1944 roku na naszych dawnych kresach wschodnich. Była to nazwa oficjalna. Nieoficjalnie stanowiła armijną brygadę rakiet operacyjno-taktycznych (ABROT). A to oznaczało, że była brygadą Pomorskiego Okręgu Wojskowego, z którego na wypadek wojny wydzielano armię ogólnowojskową, przewidzianą do działań operacyjnych w północnych Niemczech, na Półwyspie Jutlandzkim oraz Wyspach Duńskich.

Rozlokowana była w ten sposób, że zaraz za biurem przepustek i ogrodzeniem stał blok koszarowy, w którym mieściły się: dowództwo brygady, oficer dyżurny i wartownia, garnizonowy węzeł łączności (GWŁ) i kompania maszyn inżynieryjnych. Dalej w rzędzie, w kierunku południowym, pierwszy blok zajmował 16 dywizjon artylerii, będący 1 dywizjonem rakiet operacyjno-taktycznych, a drugi bateria dowodzenia brygady i bateria techniczna.

Po przeciwległej stronie placu alarmowego jednostki, vis a vis tych bloków stały dwa inne. Bardziej wysunięty na południe zajmowała bateria meteorologiczna oraz sale wykładowe, w tym także baterii dowodzenia brygady, a drugi blok zajmował 17 dywizjon artylerii, będący w istocie 2 dywizjonem rakiet operacyjno-taktycznych. Naprzeciw drugiej bramy, poprzecznie w stosunku do pozostałych, stały dwa budynki jednopiętrowe. Mieściły się w nich stołówki żołnierskie oraz klub żołnierski z biblioteką. Zamykały one od północy plac alarmowy. Od południowej strony plac zamykał budynek pierwotnie przeznaczony na halę sportową, a ówcześnie stanowiący halę, w której odbywały się treningi startów rakiet oraz obsługi rakiet i wyrzutni.

Każdy dwupiętrowy blok koszarowy składał się z piwnic, parteru i dwóch pięter. Ich struktura wewnętrzna i rozkład pomieszczeń na poszczególnych kondygnacjach były takie same. Do każdego bloku prowadziły dwa wejścia na klatkę schodową. Na każdej kondygnacji klatki schodowej było troje drzwi. W lewo prowadziły do korytarzyka, a stamtąd do dwóch pomieszczeń i toalety. Za czasów niemieckich pomieszczenia owe przeznaczone były na mieszkanie dla szefa kompanii i jego rodziny. Po wojnie, z reguły były to pomieszczenia służbowe kadry zawodowej. Na prawo drzwi prowadziły do pojedynczej sali średniej wielkości, która miała różne przeznaczenie. Mogła być salą żołnierską, salą wykładową lub pokojem służbowym kadry zawodowej. Na wprost duże, dwuskrzydłowe drzwi wahadłowe prowadziły do głównej części mieszkalnej. W niej długi przez cały blok korytarz z dużą wnęką pośrodku dzielił kondygnację na dwie długie części. Po obu stronach korytarza znajdowały się duże sale żołnierskie, mogące pomieścić od ośmiu do szesnastu żołnierzy.

W części środkowej, po drugiej stronie korytarzowej wnęki, znajdowało się bardzo duże pomieszczenie, będące z reguły świetlicą. Magazynki broni, ubikacje i umywalnie były umiejscowione na obu końcach korytarza. Miejsce pełnienia służby podoficera dyżurnego pododdziału mieściło się na korytarzu, przeważnie na wprost wnęki korytarzowej. Pomieszczenia były dobrze doświetlone i solidnie wykonane. Na korytarzach leżała beżowa lub ceglasta terakota, a na salach żołnierskich (sypialnych) był parkiet lub deski podłogowe. Zdziwienie budziły rozmieszczone w ścianach korytarzy wnęki z uchwytami na karabiny.

Był to dla nas poniekąd szok, bowiem byliśmy przyzwyczajeni, że broń zamykana jest zawsze w solidnych magazynach lub magazynkach broni i pilnie strzeżona przez służbę dyżurną lub wartę i systematycznie nadzorowana przez kadrę. W związku z tym, pierwszy raz zdałem sobie sprawę, że w naszym wojsku, przecież ludowym i powołanym do obrony słusznej sprawy, zaufanie do żołnierza musi być w takim razie wielokrotnie mniejsze niż w armii hitlerowskiej. Jednakże przyczyny owego zjawiska mogły być także inne. Lata sześćdziesiąte to lata pokoju, w których bezpieczeństwo ludzi liczyło się najbardziej. Może chodziło o zapobieganie nieszczęśliwym wypadkom, na które młodzi ludzie mogli być narażeni.

Jednostka wojskowa 1609 posiadała trzy strefy dostępu. Strefa pierwsza – wejścia do kompleksu koszarowego. Strefa druga – wejścia do kompleksu koszarowego 20 Brygady, to jest przez bramę drugą i trzecia strefa – wejścia na teren garaży, gdzie przechowywane były bojowe wyrzutnie i nosiciele głowic, czyli rakiety oraz głowice ćwiczebne. Zaostrzone były także rygory zachowania tajemnicy przez kadrę i żołnierzy, a każdorazowo przy wyjeździe wyrzutni z rakietami na poligon i brygadowy plac ćwiczeń, mieszczący się w odległości kilku kilometrów od koszar, oraz w czasie powrotu, wygaszano wszystkie światła w koszarach i w tej części miasta, która była najbliżej.

Dlaczego w Choszcznie

Kiedy zorientowałem się do jakiej jednostki trafiłem zacząłem szukać przyczyn. Myślę zresztą, że nie tylko ja. Zadawałem sobie pytanie: co takiego się stało, że przeznaczono mnie do służby w tej jednostce? Ja i moi koledzy zdawaliśmy sobie bowiem sprawę, iż przy kierowaniu do tej jednostki musiała obowiązywać selekcja i że dobierano nas według określonych kryteriów, ale jakich – nie wiedzieliśmy. Wiązało się to z tym, iż na owe czasy była to jednostka super tajna, o najnowocześniejszym sprzęcie, najwyższej technologii i olbrzymim znaczeniu dla działań operacyjnych i strategicznych.

Po długich rozmyślaniach stwierdziłem, że zasług politycznych nie miałem, a do partii wstąpiłem dosyć późno w szkole oficerskiej. Doszedłem więc do wniosku, iż musi to być „winą" Józefa Zięby. Ów winowajca to przedwojenny podoficer zawodowy wojska, daleki krewny po kądzieli mojego ojca i mieszkający w tej samej wsi. W latach pięćdziesiątych był sołtysem albo wójtem w Przytkowicach, mojej rodzinnej wsi. Wykonywał swoje obowiązki doskonale, posiadał wysoki autorytet u władz oraz mieszkańców wsi. Był lubiany i ogólnie szanowany.

Mimo tego, znany ze swojej zgryźliwości wujek Fryderyk, nie mógł mu wybaczyć, iż przed wrześniem 1939 roku zgrywał chojraka. Opowiadał więc wielokrotnie, iż pytany o przyszły rezultat wojny z Niemcami pan sierżant Zięba, mężczyzna postawny i elegancki, rozwijał zamaszyście noszoną z fantazją pelerynę żołnierza podhalańczyka i głęboko przekonany prawił, że nie odda nawet jej kawałka, a co dopiero ziemi polskiej, oraz że zwycięstwo jest pewne. Jak wiadomo historia negatywnie zweryfikowała te słowa i dała wujowi powód do częstych drwin z mądrości politycznej naszego sołtysa.

Jak wiadomo, o każdym z nas i naszych rodzinach przed pójściem do szkoły oficerskiej zbierano opinie. Mnie i mojemu ojcu opinie te wystawiał właśnie ów sołtys, a przy tym krewny. Musiała więc być wyśmienita, mądrze napisana i politycznie znacznie na wyrost. Dająca mi pewien, jeśli nie znaczny, w zasadzie niezasłużony handicap.

Mój ojciec nigdy do partii nie należał. Był jednak w owych czasach uznawany za człowieka postępowego, akceptującego podstawowe reformy ustrojowe. Mimo swojego spokoju i flegmatycznego usposobienia, w wielokrotnie prowadzonych dyskusjach ustosunkowywał się krytycznie do wszelkiego zła, nieprawości, a szczególnie idiotyzmów ideologicznych i ekonomicznych, mających swoje odzwierciedlenie w negatywnej działalności ludzi.

Szczególnie ostre starcia polityczne prowadził ze starym działaczem PPR, a potem PZPR Janem Lenkiewiczem. Można więc powiedzieć, że dzięki częściowo zafałszowanej opinii byłego podoficera zawodowego armii przedwrześniowej i krewnego rozpocząłem służbę w jednej z najnowocześniejszych i najpilniej strzeżonych jednostek rakietowych Układu Warszawskiego na ziemiach polskich.

Nasz przyjazd do Choszczna związany był z utworzeniem na przełomie 1962 i 1963 roku w Choszcznie brygady rakiet operacyjno-taktycznych. Najpierw przybyła tu grupa organizacyjna pod dowództwem pułkownika Kazimierza Makolądry, której zadaniem było przygotowanie obiektu koszarowego oraz organizacyjne zabezpieczenie tworzenia tejże brygady. W skład tej grupy wchodziło także kilkunastu oficerów z innych jednostek rakietowych, szczególnie z brygady rakiet operacyjno-taktycznych z Bolesławca.

Wraz z nami do Choszczna dotarła także pokaźna grupa oficerów innych specjalności, na przykład: czterech specjalistów wojsk inżynieryjnych, czterech specjalistów wojsk radiotechnicznych (do baterii meteorologicznej, której wieloletnim dowódcą był znany z „urody", ilości potomstwa i niekonwencjonalnego zachowania, kapitan, a później major Zdzisław Zawierta), ponad dziesięciu uzbrojeniowców i jeszcze zdecydowanie więcej artylerzystów. Razem było nas około 50 podporuczników, przeznaczonych głównie do obsadzenia stanowisk dowódców plutonów i równorzędnych. Był to także olbrzymi potencjał męski, jak na takie miasteczko.

Pięćdziesięciu młodych, jurnych i dobrze prezentujących się w mundurach młodych mężczyzn, to przecież była wymarzona gratka dla choszczańskich dziewcząt, z której sporo skwapliwie skorzystało. Widać to także na przykładzie naszej grupy, z której pięciu na ośmiu ożeniło się z choszczniankami. W związku z tym, po latach, powtarzałem często żartobliwie, że dziewczyny z Choszczna powinny postawić pomnik temu, kto podjął decyzję o utworzeniu brygady w Choszcznie. No niestety, jak to w życiu, z konsumowaniem bywa nieźle, gorzej jest z zapłatą.

W jednostce wykorzystano nas w ten sposób, że do tworzącej się baterii dowodzenia brygady przydzielono Karola Kociałkowskiego, Stasia Lubiaka, mnie i Zygmunta Sznepkę. Karol został dowódcą plutonu radiostacji średniej mocy R-118, Stasiu plutonu radiowego, ja plutonu węzłowego, a Zygmunt plutonu radioliniowego, w którym były taktyczne stacje radioliniowe R-405. Mietek Miciak i Jasiu Worm trafili do baterii dowodzenia 16 dywizjonu na sta-

nowiska dowódcy plutonu radiowego i dowódcy plutonu węzłowego, a Zygmunt Ziętek i Kostek Karmelitow na podobne stanowiska do baterii dowodzenia 17 dywizjonu.

Rozpoczęła się systematyczna praca polegająca na przyjmowaniu żołnierzy przychodzących z poboru oraz sprzętu, po który trzeba było przeważnie jeździć do innych jednostek, zakładów produkcyjnych lub remontowych. Przyszedł także czas na intensywne podstawowe szkolenie żołnierzy w okresie do przysięgi, a następnie dalsze szkolenie ogólnowojskowe i fachowe, czyli specjalistyczne, do wykonywania czynności związanych z przydzieloną na stałe funkcją.

W dni robocze po godzinach pracy, to jest w zasadzie późną porą popołudniową lub wieczorową oraz w dni świąteczne przebywaliśmy w internacie lub bywaliśmy na mieście. W związku z tym kilkanaście zdań o miasteczku do którego rzucił nas los na dobre kilka lat.

Historia miasteczka

Ziemia choszczańska zasiedlona została przez Słowian, a następnie włączona do Polski przez Mieszka I. Jako ziemia graniczna, aż do trzeciej ćwierci trzynastego wieku należy do Polski, a jej status zależy od stosunku królów polskich do książąt pomorskich. Pod koniec trzynastego wieku przeszła jednak pod panowanie Marchii Brandenburskiej (Nowej Marchii).

Choszczno istniało jako osada słowiańska dużo wcześniej, lecz prawa miejskie otrzymało około 1285 roku. Wraz z wejściem w skład Marchii zmieniono jego nazwę, prawdopodobnie niemożliwą do wymówienia przez Niemców, na Arnswalde, co oznacza tyle co Adlerswarde, czyli orli las.

W 1402 roku zakon krzyżacki uprzedzając Polskę nabył w zastaw Nową Marchię od ówczesnego margrabiego brandenburskiego Zygmunta Luksemburga, a wraz z nią i Choszczno. W wyniku zwycięstwa Jagiełły pod Grunwaldem, Choszczno na krótko, to jest od 1433 do 1454 roku przeszło pod panowanie Polski, aby znów wrócić pod władzę Hohenzollernów i Brandenburgii, a potem Prus i Niemiec, aż prawie do końca drugiej wojny światowej.

We wrześniu 1939 roku na bazie miejscowych koszar Niemcy zorganizowali specjalny obóz Oflag II B Arnswalde. Przebywało w nim ponad trzy tysiące jeńców polskich – oficerów wojny 1939 roku. Przywiezieni zostali do Choszczna na początku listopada 1939 roku ze Stargardu Szczecińskiego i przebywali tam do 1942 roku. Następnie zostali przeniesieni do obozu w Kłominie (Oflag II D Westwalenhof–Grossborn), gdzie przebywali do 1945 roku. W tymże obozie w Choszcznie przebywało także od 1940 roku kilkuset jeńców francuskich.

Choszczno zostało wyzwolone w wyniku operacji wiślańsko-odrzańskiej prowadzonej przez wojska radzieckie i polskie. Zacięte walki o Choszczno

toczyły się od 9 do 22 lutego, z ich kulminacją w dniach 16 i 17 oraz zdobyciem 22 lutego 1945 roku. Długotrwałe walki o Choszczno były wynikiem z dobrego przygotowania obrony przez Niemców oraz przeciwuderzenia wykonywanego przez grupę armii „Wisła" („Weichsel"), dowodzonej przez nie byle kogo, bo H. Himmlera, w skrzydło wojsk Frontu Białoruskiego idących na Berlin.

W wyniku długotrwałego ostrzału i wielokrotnego przechodzenia z rąk do rąk poszczególnych kwartałów miasta i pojedynczych budynków zostało ono niemal doszczętnie zrujnowane. W dobrym stanie zachowała się tylko enklawa przylegająca do środkowej części jeziora Klukom, której głównymi ulicami były ulice Adama Mickiewicza i Bolesława Chrobrego. Wynikało to z faktu, iż ta część miasta nie leżała na kierunku głównego uderzenia i nie miała znaczenia militarnego. O dziwo, także koszary nie ucierpiały na skutek działań wojennych.

Samo miasto położone na równinie w otoczeniu łąk i pól uprawnych, z dala od lasów, było turystycznie mało ciekawe. Z dawnych zabytkowych budowli zachowały się tylko: kościół, barbakan, w którym mieściła się biblioteka miejska oraz resztki murów obronnych, szczególnie w północnej części miasta. Jako miasto powiatowe posiadało dom kultury, kino, wspomnianą już bibliotekę publiczną oraz liceum ogólnokształcące, mieszczące się na końcu ulicy Chrobrego, zasadniczą szkołę zawodową przy dworcu PKP i dwie szkoły podstawowe. Były także dwa zakłady przemysłowe: mała fabryka radiatorów żeliwnych leżąca blisko dworca kolejowego i dosyć spora mleczarnia przy cmentarzu komunalnym.

Do podstawowych całorocznych rozrywek oferowanych przez miasto można było zaliczyć restaurację „Zacisze", seanse filmowe w kinie oraz różne imprezy organizowane w domu kultury. Największym wzięciem cieszyło się jednak „Zacisze". Restauracja mieściła się w jednym budynku z komitetem powiatowym PZPR, w pobliżu jeziora, przy zbiegu ulic Bolesława Chrobrego i Piastowskiej, oferowała niezłe jedzenie i picie oraz trzy razy w tygodniu (w środę, sobotę i niedzielę) dancing. Te oferowane atrakcje przyciągały nas młodych. Lokal ten posiadał bardzo dużą salę dancingową, wokół której ustawione były stoliki, kilka sal mniejszych bezpośrednio połączonych z salą dancingową oraz salę bufetową i całe niezbędne zaplecze.

Bywaliśmy więc na dancingach z reguły dwa razy w tygodniu. Na początku dochodziło do scysji z młodymi choszcznianami, ale potem się uspokoili i pogodzili z faktem naszej dominacji, ponieważ przychodziło nas najczęściej kilkunastu. Tam także zrodziło się szereg męskich przyjaźni, które przetrwały później przez wiele lat.

Przy tej okazji rodzi się pytanie. Jak nam na te imprezy wystarczało pieniędzy? W owym czasie, czyli na początku zawodowej służby wojskowej w Choszcznie zarabialiśmy po 1780 złotych. Taka była pensja podporucznika. Z tego płaciło się ponad 600 złotych za całomiesięczne codzienne wyżywienie

w kasynie, a resztę przeznaczaliśmy różnie. Przeważnie na papierosy, napoje, alkohol, podróże, książki i prasę oraz różne drobiazgi. Większość jednak na przyjemności związane z przebywaniem w „Zaciszu". Należy także nadmienić, że niewiele wydawaliśmy na ubrania, ponieważ panował zwyczaj chodzenia stale w mundurach, w tym także przebywania w nich w lokalach gastronomicznych.

W okresie letnim wspaniały relaks i wypoczynek oferowało jezioro z kąpieliskiem miejskim mieszczącym się przy Górze Miejskiej, naprzeciw budynku liceum ogólnokształcącego. Kąpielisko to wyposażone było w pomosty, odgrodzone miejsca kąpielowe i skocznie. Można było wspaniale się opalać i zażywać kąpieli, a także wypożyczyć kajak i popływać po jeziorze. Co wytrwalsi brali dziewczyny i płynęli przepięknymi przesmykami na drugie jezioro, a następnie na jezioro Raduń.

Obszarowo nieduża Miejska Góra, zwana potocznie Małpim Gajem, była jedynym miejscem zalesionym w pobliżu miasta. Ciekawie położona, ze stromymi zboczami w kierunku jeziora i miasta, ze śladami niewielkiego, pradawnego cmentarza oraz wieloma dróżkami i ścieżkami tworzyła miejsce często odwiedzane, szczególnie przez młodych. Utarło się nawet przekonanie, że jest to miejsce najczęściej traconej przez choszcznianki cnoty. Znawcy tego zagadnienia twierdzili natomiast, że jest to miejsce unikalne, jako że przypada tu najwięcej traconych cnót na metr kwadratowy powierzchni. Oczywiście latem.

Do większej przyjemności można było także zaliczyć wyjazdy poza Choszczno do Państwowego Gospodarstwa Rolnego Nadarzyn, w którym dyrektorem był poznany przez Zygmunta Sznepkę, niewiele starszy od nas Janusz Frąckowiak. W gospodarstwie tym była także stadnina koni oraz gorzelnia. Przyjeżdżaliśmy tam z dziewczynami, ale nie wszyscy. Co chętniejsi jeździli konno, a wszyscy uwielbiali towarzystwo gospodarzy oraz ajerkoniak robiony na spirytusie gorzelnianym i jajkach z własnej hodowli kur przez przesympatyczną Terenię, żonę Janusza.

W jednostce wojskowej 1609

Przyjemność przyjemnością, ale pora nam wrócić do spraw służby wojskowej. Dowódcą nowo utworzonej jednostki został pułkownik Włodzimierz Kobylański. Mężczyzna więcej niż średniego wzrostu, postawny i przystojny, o nieco gruzińskiej urodzie. Miał twarz z dość charakterystycznym długim cienkim nosem, pod nim zaś solidny wąs, a także czarne gdzieniegdzie posrebrzone włosy, mógł się podobać kobietom. Jednocześnie energiczny, o władczym charakterze i wysokiej kulturze osobistej. Dowódcą był lubianym i szanowanym. Nie zajmował się drobiazgami, zostawiał je swoim podwładnym. Bardziej reprezentował jednostkę na zewnątrz i czynił starania o jej dobrą opinię w środowisku Choszczna oraz u przełożonych niż zajmował się sprawami wewnętrznymi.

Szefem sztabu brygady był pułkownik Józef Dynkowski, człowiek serdeczny, spokojny i życzliwy dla podwładnych, a przy tym bezpośredni przełożony baterii dowodzenia brygady, w której służyliśmy oraz odpowiedzialny przed dowódcą za dowodzenie i łączność. Obowiązki zastępcy dowódcy do spraw liniowych pełnił wspominany już pułkownik Kazimierz Makolądra, zastępcy dowódcy do spraw politycznych pułkownik Władysław Ura, a zastępcy dowódcy do spraw technicznych pułkownik Władysław Kowalow.

Była to ekipa nad wyraz udana. Dobrze i z wysoką kulturą dowodząca jednostką, a przy tym stanowiąca grupę zapalonych myśliwych i niezłych brydżystów. Pozwalała podwładnym na dużą samodzielność w działaniu. Nie bała się powierzać trudnych zadań młodym oficerom i miała do nich zaufanie. Oficerów dowództwa cechowała także wyrozumiałość w ocenie popełnianych błędów przez podwładnych. Przykład przedstawię poniżej. W takiej atmosferze pracowało się wydajnie i rzetelnie, bez zbytnich stresów i ciągłych złośliwych kontroli.

Systematycznie szkoliliśmy żołnierzy oraz bardzo często braliśmy udział w treningach taktycznych i ogniowych, a także ćwiczeniach, ponieważ jednostka nasza przygotowywała się do startów bojowych rakiet w ZSRR. Odbyły się one już w 1964 roku na poligonie nad Morzem Kaspijskim. Z łącznościowców brał w nich udział tylko Jasiu Worm, który w zasadzie był odpowiedzialny za zapewnienie łączności w eszelonie i łączności przewodowej na samym poligonie. Łączność radiową w czasie startów rakiet zapewniali Rosjanie. Jak tłumaczyli, ze względu na konieczność zachowania tajemnicy przebywania Polaków w tamtym rejonie.

Na strzelanie wyjechało dowództwo brygady, dowództwa dywizjonów i dwie baterie startowe. Po jednej z każdego dywizjonu. Odpalano rakiety R-300. Były to udoskonalone wersje rakiety V-2, a więc rakiety balistyczne o zasięgu do 300 kilometrów i apogeum około 80 km, na paliwo ciekłe, a więc naftę i utleniacz. Strzelania wypadły bardzo dobrze, tak przynajmniej ocenili je Rosjanie.

Łącznościowców szkoliliśmy w salach wykładowych oraz na sprzęcie w koszarach i w terenie. Może przypomnę dwa epizody z tych szkoleń. Wraz z Zygmuntem Sznepką wyjechaliśmy ze swoimi plutonami za strzelnicę garnizonową w celu szkolenia załóg w terenie. Pluton radioliniowy Zygmunta ćwiczył rozwijanie anten radioliniowych i nawiązywanie łączności, zaś mój rozwijanie anten wozów dowodzenia i linii kablowych.

W pewnym momencie zapachniało burzą. Na horyzoncie zaczęły gromadzić się chmury deszczowe. Anteny stacji radioliniowych na masztach czternastoipółmetrowych były rozwinięte. Jeden z żołnierzy z obsługi podszedłdo stacji. Chciał wyciągnąć dodatkowe kolanko masztu antenowego. Miał jeszcze około metra do wozu, gdy wyciągnął ręce do przodu. W tej chwili między obudową stacji, a rękami żołnierza zauważyliśmy silną niebieską poświatę. Żołnierzem wstrząsnęło. Opuścił ręce i dalej stał nieruchomo.

Patrząc z odległości kilku metrów byliśmy przekonani, że porażony żołnierz zaraz upadnie. Tak się jednak nie stało. Podbiegliśmy do niego. Był cały sztywny i w szoku. Odnieśliśmy go na bok i położyli na trawie. Przez długi czas nie mówił i nie mógł dojść do siebie po przebytym szoku, mimo naszej troskliwej opieki. A przyczyna wypadku była jak zwykle prozaiczna. Stacja radioliniowa nie była uziemiona. I co ciekawe, chociaż ten przypadek nie zdarzył się w czasie burzy, to różnica potencjałów elektrycznych między zjonizowanym powietrzem a ziemią była tak duża, że mogła doprowadzić do nieszczęśliwego wypadku.

I drugi epizod. Był wrzesień, ciepła i piękna pogoda. Zgodnie z planem miałem prowadzić szkolenie żołnierzy w budowaniu dalekosiężnych linii kablowych w terenie lesistym. Wybrałem więc rejon dużego kompleksu leśnego na południe od Drawna, w tak zwanych Lasach Niemieńskich. Po wczesnym śniadaniu i przejechaniu około trzydziestu kilometrów, byliśmy na miejscu o godzinie ósmej. Przed rozpoczęciem szkolenia zrobiłem krótką przerwę na załatwienie potrzeb osobistych. Po kilku minutach wracający z lasu żołnierze nieśli mnóstwo dorodnych grzybów, w większości borowików i gorączkowo namawiali mnie na natychmiastowe grzybobranie. Nie wyraziłem na to zgody, lecz obiecałem im, że po zakończeniu szkolenia, a więc o godzinie trzynastej, pozwolę na godzinne zbieranie grzybów. Tak też się stało. Po przeprowadzonym szkoleniu i omówieniu uzyskanych wyników, żołnierze udali się na grzyby.

Co się później działo trudno opisać. Chłopcy nosili prawdziwki i nosili. Kładli je w pryzmach na „pałatkach", to znaczy pelerynach, z których można było także budować jednoosobowe namioty. Nazbierali cztery i pół pałatki. Była to olbrzymia ilość prawdziwków. Tyle prawdziwków widziałem po raz pierwszy.

Gdy zbieranie zakończyło się, nakazałem żołnierzom, aby zabrali grzyby, zapakowali je na samochód i zawieźli do koszar, ponieważ byłem przekonany, że zbierają je dla siebie. Ci jednak powiedzieli, że nie mogą zjeść więcej niż pół pałatki, nawet z kolegami. Namawiali więc mnie, abym pozostałe zabrał. Nie bardzo chciałem, ponieważ nie miałem co z nimi zrobić. Byłem wówczas kawalerem. W pewnym momencie wpadłem na pomysł, aby zawieź te grzyby do domu mojej sympatii, na ulicę Mickiewicza. Tak też uczyniłem. W sporym pokoju wysypane grzyby pokryły podłogę kilkunastocentymetrową warstwą. Opowiadano mi później, że pani domu ze swoimi córkami pracowała przy nich trzy dni. Daje to także wyobrażenie o ich ilości.

Ćwiczenia w brygadzie odbywały się często, lecz trwały krótko. Z reguły od trzech do pięciu dni. Myślę że wynikało to z tego, iż uważano brygadę za jednostkę tak zwanego krótkiego życia, ponieważ była priorytetowym celem wojsk rakietowych i lotnictwa nieprzyjaciela. Ćwiczenia przebiegały w następujący sposób: z koszar wyjeżdżało się w nocy, nad ranem rozwijało łączność na polowych stanowiskach dowodzenia i między nimi, w dzień kiedy ćwiczyły do-

wództwa zabezpieczało się łączność, pod wieczór zwijało sprzęt i linie łączności oraz ustawiano kolumny do wymarszu, w nocy przemieszczano w nowe rejony, nad ranem rozwijało się i tak w kółko przez kilka dni.

W nocy nie można było odpocząć, ponieważ każdy oficer i podoficer zawodowy był dowódcą (dysponentem) pojazdu lub prowadził kolumnę marszową, wieczorem i rankiem kierowało się zwijaniem i rozwijaniem elementów łączności, a w dzień trzeba było nadzorować pracę sprzętu i załóg oraz naprawiać stale psujący się sprzęt.

O intensywności tych ćwiczeń niech świadczy fakt, że w czasie ich trwania w zasadzie się nie spało, a i o drzemkę było niezwykle trudno. Pamiętam, że w trakcie kilku ćwiczeń chciałem chociaż raz zdjąć buty z nóg. Udało się to jednak połowicznie. Po zdjęciu jednego z nich, otrzymałem sygnał wzywający mnie natychmiast do sztabu. Największym utrapieniem były jednak długie, nocne jazdy w kolumnach, szczególnie w ostatnich dniach ćwiczeń, kiedy już wszyscy byli potwornie zmęczeni.

Dla zwiększenia bezpieczeństwa przewożonych ludzi i sprzętu, kierowcy pojazdów mieli zagwarantowane osiem godzin snu na dobę, natomiast kadra walczyła ze zmęczeniem i snem na różne sposoby. Często wychylało się głowę z kabiny, prowadziło czasami nawet bzdurne rozmowy z kierowcami lub stosowało się różne indywidualne sztuczki zapobiegające zasypianiu.

Zdarzało się jednak nieraz, iż w czasie jazdy usnął kierowca i dysponent. Wówczas wóz wjeżdżał do rowu lub w pole, a także stawał na szosie, powodował zderzenie lub uderzał w drzewo. Mnie zdarzyły się dwa lub trzy przypadki, gdy kierowca zasnął za kierownicą, a mnie obudziło trzęsienie samochodu jadącego już po poboczu szosy. Tylko mój szybki refleks i nagły skręt kierownicą uratowały nas przed wjechaniem do rowu. Wypadki i kraksy w czasie ćwiczeń bywały różne.

Na przykład radiostacja średniej mocy R-118 zamontowana na samochodzie ciężarowym Star 66, jadąc z dużą prędkością na zakręcie wyleciała z szosy i ruchem korkociągu stoczyła się z kilkunastometrowego nasypu na bagnistą łąkę. Jadąc za nią z przerażeniem obserwowałem co się dzieje i w jakim położeniu znajduje się pojazd po wypadku. Leżała na boku i wyciekały z niej oleje i benzyna. Najbardziej obawiałem się o los ludzi siedzących w środku, wiedząc że przy takim korkociągu i upadku mogły pozrywać się agregaty prądotwórcze, zamontowane w środku i inne urządzenia łączności oraz pojemniki z częściami zapasowymi i naprawczymi.

Gdy zobaczyłem, jak przez boczne okienko wyszła po kolei cała załoga, odetchnąłem z ulgą. Resztę można było naprawić. Swoją drogą to załogę uratowało jej niechlujstwo, ponieważ swoje rzeczy osobiste, w tym plecaki, koce i materace, wrzucili między dwa przedziały agregatowe. Gdy więc dwa słabo przymocowane zespoły spalinowo-elektryczne zerwały się, ugrzęzły w ich rzeczach osobistych, ratując im zdrowie, a może i życie.

Będąc dowódcami plutonów w baterii dowodzenia brygady, w większości ćwiczeń, to my prowadziliśmy kolumny marszowe stanowiska dowodzenia brygady oraz planowaliśmy jego przemieszczenie, rozmieszczenie sprzętu w rejonach dla potrzeb dowodzenia. Rola dowódcy brygady, a w zasadzie szefa sztabu, była taka, że wskazywał, gdzie należy przemieścić stanowisko dowodzenia i o której powinno być czynne w nowym rejonie. Ponieważ dowódca baterii dowodzenia, był zajęty innymi sprawami i nie kwapił się zbytnio do prowadzenia kolumny, toteż rola ta przypadała któremuś z nas.

Przy okazji kilka zdań o dowódcach baterii dowodzenia brygady. Pierwszym jej dowódcą w trakcie organizacji, a później dowódcą plutonu ochrony, był oficer ogólnowojskowy porucznik Wacław Bloch. Natomiast najbarwniejszą postacią był długoletni dowódca baterii dowodzenia brygady kapitan Zygmunt Borowiec. Przystojny, złocisty blondyn o szczupłej i wysportowanej sylwetce. Szalony jeździec na motocyklu Jawa. Typ urodzonego dowódcy. Posiadał tę iskrę , która przyciąga ludzi jak magnes i pozwala nad nimi panować bez krzyku i przymusu. Był typem watażki, za którym w ogień skoczyłaby kadra i zwykli żołnierze. Dla nas młodych oficerów stanowił wzór do naśladowania, a dla mnie do tej pory jest największym ideałem dowódcy i przełożonego. W latach późniejszych dowódcą baterii dowodzenia był także Karol Kociałkowski.

Konstap

W maju 1965 roku dowództwo brygady i jej bateria dowodzenia zostały poddane przez przełożonych pierwszemu gruntownemu sprawdzianowi, biorąc udział we frontowym ćwiczeniu pod kryptonimem „Narew". Od początku było ono okryte wielką tajemnicą. Charakteryzowało się także dużym zaangażowaniem dowództwa i znacznym wysiłkiem kadry i żołnierzy. Dotyczyło nas bezpośrednio i cechowało wieloma ciekawymi faktami i wartymi wspomnienia doświadczeniami.

W ramach przygotowania do tego ćwiczenia sprzęt już dużo wcześniej został ustawiony na placu alarmowym w gotowości do wyjazdu. Pogoda była wspaniała, słoneczna. Czekaliśmy jeden dzień, drugi dzień. W trzecim dniu porządnie już wymęczeni upałem i bezczynnością poszliśmy we trójkę: Zygmunt Sznepka, Rysiu Saga – dowódca plutonu ochrony i ja, do kasyna na obiad. Po obiedzie zostaliśmy jeszcze w bufecie, by zaspokoić pragnienie. Od zimnych napojów przeszliśmy jednak do wódeczki. W sumie przez dwie, trzy godziny wypiliśmy niedużo, bo nie więcej niż jedną (półlitrową) butelkę wódki. Wydawało nam się, że jest wszystko w porządku. Tak jednak nie było.

Pierwszy sygnał o tym, że będzie wyjazd przyniósł jeden z oficerów łączności, który jak zwykle kręcił się blisko dowództwa i przeżywał najmocniej sprawy służbowe. Został przez nas, a szczególnie Zygmunta, przepędzony pod

groźbą użycia pistoletu. Następnie pojawił się sam szef sztabu pułkownik Dynkowski, który łagodnie i z wielką kulturą tłumaczył nam, że mamy już dość w czubie i powinniśmy iść do swoich żołnierzy. Po chwilowym ociąganiu udaliśmy się na drugą stronę koszar. Po drodze Rysiu Saga „odstawił" wojenne pożegnanie ze swoją żoną i dziećmi. Odbyło się ono przed bramą wejściową do brygady, w pobliżu dyżurki oficera dyżurnego na klęczkach i ze łzami. Następnie udaliśmy się do swoich pododdziałów.

Na tym epizodzie „film mi się urwał". Oprzytomniałem w kabinie samochodu. Było już ciemno, a wokół świeciły latarnie. Otworzyłem drzwi kabiny i wyszedłem z samochodu. W zasadzie nie wyszedłem, a wypadłem na pysk z dużej wysokości. Nie wiedziałem, że samochód stał już na platformie kolejowej na stacji i do ziemi było około dwa, trzy metry. Całe szczęście dla mnie, że pociąg nie był w ruchu. Podniosłem się z trudem i spostrzegłem, że w pobliżu stoi dowództwo brygady i szef łączności major Janusz Dąbrowski. Dowódca brygady patrząc na mnie, ze stoickim spokojem powiedział tylko:

– Patrzcie majorze Dąbrowski jakich macie oficerów.

Pozbierałem się szybko i udałem do swoich żołnierzy. Po drodze z przerażeniem stwierdziłem, że mam pustą kaburę i brak w niej pistoletu. Ogarnął mnie chwilowy przestrach. Myślałem intensywnie, co mogło się stać. Doszedłem do wniosku, że mógł to zrobić kawalarz Rysiu Saga. Odszukałem go więc i mocno nim potrząsnąłem. Przyznał się natychmiast do żartu pod wściekłą groźbą obicia po pysku i pistolet oddał. Następnie zacząłem szukać Zygmunta Sznepkę. Idąc wzdłuż eszelonu (pociągu z transportem wojskowym) zobaczyłem stacje radioliniowe, a w jednej z nich Zygmunta, który błogo spał sobie w kabinie.

Dotarłem wreszcie do swoich żołnierzy, którzy rozwijali łączność przewodową w eszelonie. Kierował nimi mój zastępca sierżant Roman Krzyżanowski, lat około trzydziestu, podoficer z dużym doświadczeniem zawodowym, a przy tym dobry organizator i dowódca. Miał tylko jedną sporą wadę. Jak dostał żołd (miesięczną wypłatę) natychmiast wyjeżdżał do Szczecina i nie było go dwa, trzy, a nieraz cztery dni, to jest do czasu, aż przehulał wszystkie pieniądze. Później już, jak skruszony grzesznik, pracował uczciwie do końca miesiąca.

Łączność przewodową w eszelonie rozwijało się w ten sposób, iż zapewniało się oficerowi dyżurnemu eszelonu łączność z komendantem eszelonu, maszynistą, wartownią oraz wartownikami, a szczególnie wartownikiem na końcu składu pociągu.

Od samego początku jazdy eszelonu, nikt z ćwiczących nie wiedział jaka jest docelowa stacja kolejowa. Pierwszy z maszynistów miał wpisaną w dokumenty nazwę Konstap. Myśleliśmy więc, że jest to nazwa stacji docelowej. Szukaliśmy jej na mapach, lecz bez rezultatu. Sytuacja nieco się rozjaśniła, jak zmieniano na trasie kilka razy parowozy i każdy z maszynistów miał wpisaną jako stację docelową Konstap. Te zmiany parowozów prawdopodobnie podyktowane były potrzebą zachowania w tajemnicy całej trasy przejazdu eszelo-

nu i miejsca odbycia ćwiczeń. Dopiero pod koniec podróży koleją dowiedzieliśmy się, iż Konstap jest skrótem końcowej stacji przeznaczenia.

Jazda eszelonem trwała przeszło dobę i w jej efekcie dotarliśmy do Puszczy Białej w rejon Chorzele, Zimna Woda. Tam rozwinęliśmy stanowisko dowodzenia brygady, a w jego ramach węzeł łączności. Zapewnialiśmy wewnętrzną łączność przewodową na stanowisku dowodzenia brygady oraz dalekosiężną łączność radioliniową i pocztową ze stanowiskami dowodzenia armii. Łączność radiowa pracowała w zasadzie na odbiór. Wszystko przebiegało w miarę spokojnie, a łączność działała należycie.

Pewnego dnia w godzinach przedpołudniowych, kiedy odpoczywaliśmy z majorem Januszem Dąbrowskim w zacisznym i nieźle nasłonecznionym miejscu zaczął się niespodziewany ruch w okolicach centrum kierowania uderzeniami jądrowymi. Słychać było także mocno podniesione głosy. Podeszliśmy więc nieco bliżej i zobaczyliśmy bardzo dużo samochodów wyższego dowództwa, to znaczy samochody Wołga i inne, będące na wyposażeniu dowództwa armii i frontu. Ponadto kilku generałów, którzy podniesionymi głosami „rugali" dowódcę brygady. Był to widok niecodzienny i bardzo szokujący.

Przyczyna tego stanu rzeczy była nad wyraz ciekawa. Zaczęło się od tego, że pewien młody oficer łącznościowiec zawsze lubił kręcić się koło dowództwa i przebywać w centrum kierowania. Skorzystali z tego oficerowie artylerzyści, stare wygi w swoim fachu, pełniący tam nocny dyżur. Pozostawili w nocy owego oficera samego na dyżurze. Co prawda udzielili mu instruktażu i pokazali, jak przyjmuje się komendy ogniowe, rozkodowuje informacje, koduje i przekazuje do dowództwa armii, lecz był to proces dosyć trudny, ponieważ kodowanie było podwójne lub potrójne i łatwo było się pomylić. I tak też się stało.

W nocy przyszły komendy do wykonania uderzeń jądrowych. Oficer ten zrealizował określone procedury i przesłał zakodowane informacje o ich wykonaniu. Po sprawdzeniu okazało się jednak, że brygada (czytaj: ten oficer) wykonała uderzenie na stanowisko dowodzenia własnej armii. W ten sposób przestało ono istnieć, a bezrobotni generałowie przybyli na stanowisko dowodzenia brygady „wyrazić swoją opinię" o dowództwie brygady i jego umiejętnościach.

Już z perspektywy czasu można więc uznać, iż oficer ten, chociaż nieświadomie wyprzedził historię, rozpoczynając „swoją prywatną wojnę z komunizmem" od przypadkowego zniszczenia stanowiska dowodzenia armii. W tym kontekście można go więc uznać za kombatanta godnego wyróżnień i medali, tym bardziej, że pełniąc później szereg zaszczytnych i ważnych funkcji w naszych siłach zbrojnych swoją zawsze solidną i gorliwą pracą skutecznie przyczyniał się do ich systematycznego osłabiania. Oczywiście żartuję.

Na tym ćwiczeniu zdarzył się jeszcze jeden wart wspomnienia przypadek. Kostek Karmelitow spacerując po lesie z lekarzem wojskowym porucznikiem Mokrskim napotkał i zapoznał ładną leśniczankę, Alicję z krainy czarów,

a może moczarów i oczarów. Efektem tego zdarzenia były potem częste wyjazdy Kostka w te rejony, a finałem ich ślub, który miał miejsce pod koniec 1965 roku.

Oprócz tych zdarzeń ćwiczenie przebiegło sprawnie, a udział w nim brygady oceniono pozytywnie, uznając wyeliminowanie własnego stanowiska dowodzenia armii jako wypadek przy pracy. Następnie wróciliśmy transportem kolejowym do Choszczna, a ćwiczenie zakończyło się dopiero po doprowadzeniu sprzętu do ponownej gotowości bojowej.

Wiedzieliśmy jednak, że wisi nad nami kara. Zaplanowaliśmy więc szkolenie pododdziałów poza koszarami, myśląc że nam się upiecze, jak nie będziemy pod ręką. Niestety. Pewnego dnia w rejon szkolenia przybył dyżurny baterii i zameldował, że czeka na nas w bateryjnej świetlicy szef sztabu brygady. Po naszym niespiesznym przybyciu pułkownik Dynkowski trochę nas – winowajców postrofował i ukarał każdego trzema dniami aresztu domowego. Polegał on na tym, iż od godziny szóstej do dwudziestej drugiej należało przebywać w koszarach, a w nocy spało się w internacie. Kary te darowano nam i skreślono z ewidencji już 22 lipca z okazji święta Odrodzenia Polski.

Dalsze dzieje

A teraz kilka słów o szefie łączności brygady majorze Januszu Dąbrowskim. Był nie rzucającym się w oczy mężczyzną średniego wzrostu. Niezwykle spokojnym, sympatycznym i szanującym swoich podwładnych. Zwracał się do nas, młodych oficerów, przez pan, co w tamtych czasach było ewenementem. Zawsze zapracowany i obłożony stertami papieru. Mistrz w opracowywaniu wszelkich sprawozdań. Nieraz mówił do mnie:

– Panie Mazurkiewicz, ja już więcej napisałem w życiu niż sam Mickiewicz, chociaż nie wierszem.

Pisząc sprawozdania raz zerkał na papier, a raz ostentacyjnie na sufit i tym sposobem sprawozdania były napisane wzorowo, zawsze zadawalały przełożonych. Miał żonę Basię, ładną filigranową i niezwykle rozrywkową panią. Wodziła zawsze prym w towarzystwie, w tym szczególnie wśród młodych oficerów łączności.

W ciągu trzech lat pobytu w Choszcznie jako pierwszy odszedł z 16 dywizjonu do Szczecina Mietek Miciak. Zaś na jego miejsce poszedł z baterii dowodzenia brygady Stasiu Lubiak. Ponadto z 17 dywizjonu odszedł na stanowisko kierownika polowej stacji pocztowej brygady Kostek Karmelitow, który oprócz pełnienia tych obowiązków, pomagał także w pracy szefowi łączności brygady.

Rok 1966 to rok awansów na stopień porucznika. Ja otrzymałem awans 22 lipca w związku ze świętem Odrodzenia Polski, a koledzy 12 października z okazji dnia Wojska Polskiego. W następnych latach mnie skierowano do 17,

a Karola do 16 dywizjonu, obu nas na stanowiska o łączonych funkcjach: starszego pomocnika szefa sztabu dywizjonu, szefa łączności i dowódcy baterii dowodzenia.

Bateria dowodzenia dywizjonu składała się z plutonu radiowego, plutonu węzłowego, samodzielnej dziesięcioosobowej drużyny przeciwlotniczej i sekcji przygotowania danych (SPD). W plutonie radiowym występowały dwie, krótkofalowe radiostacje średniej mocy R-118 i wozy dowodzenia R-125 różnych typów na gazikach (samochodach osobowo-terenowych GAZ). W plutonie węzłowym były: aparatownia węzłowa RWŁ-1, dwie drużyny przewodowej łączności wewnętrznej i trzy drużyny przewodowej łączności dalekosiężnej. Łącznie bateria dowodzenia liczyła około pięćdziesięciu żołnierzy i odpowiadała swoim składem i wyposażeniem kompanii łączności pułku zmechanizowanego.

W porównaniu z bateriami startowymi mieliśmy prawie dwukrotnie więcej żołnierzy. Przy tym w bateriach startowych było zawsze po kilkunastu żołnierzy zawodowych, a u nas najczęściej nie tylko brakowało kadry, lecz nie było także podoficera zawodowego na stanowisku szefa baterii. Mimo tego dawaliśmy sobie nieźle radę, a jeżeli chodzi o stan dyscypliny i porządek w pododdziałach oraz wyszkolenie żołnierzy byliśmy lepsi od baterii startowych. Bateria dowodzenia 17 dywizjonu była przez dobrych kilka lat prawie etatową kompanią honorową 2 Pomorskiej Brygady Artylerii (byłej 20 Brygady Artylerii). Pod moim dowództwem jako kompania honorowa brała także udział w uroczystej odprawie wart przy Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Aby podnieść i utrzymać wysoki poziom dyscypliny i szkolenia, w sytuacji kiedy dowódcami plutonów, drużyn, załóg, aparatowni i radiostacji oraz szefem baterii byli żołnierze służby zasadniczej, obmyśliłem konkurs na żołnierza miesiąca. Opracowałem odpowiedni regulamin tego konkursu, zapoznałem z nim wszystkich żołnierzy, a na zebraniu żołnierskim powołaliśmy wspólnie komisję konkursową. Komisja obradowała miesiąc, oceniała wyniki i proponowała wyróżnienia. Dla żołnierza miesiąca przewidziane było trzy dni urlopu, za drugie miejsce dwa dni urlopu, a za trzecie przepustka jednorazowa.

Oceniać żołnierzy było stosunkowo łatwo, ponieważ szkolenie polityczne i ogólnowojskowe prowadziłem osobiście z całą baterią. Szkolenie specjalistyczne oceniali dowódcy plutonów i samodzielnych drużyn. Do oceny dyscypliny i porządku włączaliśmy także szefa baterii.

Rezultaty współzawodnictwa były nadspodziewane. Żołnierze sami się mobilizowali, a wszystkiego pilnowali dowódcy plutonów, samodzielnych drużyn i szef baterii. Ja tylko stałem na straży sprawiedliwego oceniania i obiektywnego działania komisji. W efekcie tego współzawodnictwa przez wiele lat nie miałem problemów z dyscypliną żołnierzy i ich wyszkoleniem, mimo wakatów na etatach żołnierzy zawodowych. O dobrym wyszkoleniu specjalistycznym niech świadczy fakt, iż w okręgowych zawodach wojsk łączności Pomorskiego Okręgu Wojskowego drużyna kablowa z baterii dowodzenia 17 dywizjonu zdobyła pierwsze miejsce, a więc była najlepsza w okręgu. Także we

wszystkich ćwiczeniach, sprawdzianach i egzaminach bateria wypadała dobrze i bardzo dobrze.

Jak już wspominałem dużo ćwiczyliśmy w terenie. Ze względu na osobiste wątki i fakty prawie nie do uwierzenia przypomną dwa z nich. Raz na polecenie szefa sztabu dywizjonu majora Zbigniewa Mitrągi wyjechałem z baterią dowodzenia w teren, w okolice Stargardu Szczecińskiego. Miałem stanowić końcowe ogniwo w ćwiczeniu armijnym. Polegało to na tym, iż zapewniałem łączność radioliniową ze stanowiskiem dowodzenia armii i garnizonem w Choszcznie oraz radiową, krótkofalową za pomocą radiostacji R-118 na odbiór, w celu przyjmowania komend startowych z armii i przekazywaniu meldunków o ich wykonaniu drogą radioliniową. Cele były zawczasu przygotowane, a więc treść przekazywanych meldunków także.

Moja rola była więc prosta i bezproblemowa. Musiałem jednak przyjmować i przekazywać komendy startowe z centrum kierowania uderzeniami jądrowymi. Tworzyły go dwa połączone autobusy sztabowe, wyposażone w urządzenia głośnomówiące, wzmacniające i zasilające. W tym celu połączone były z radiostacją R-118 i aparatownią węzłową RWŁ-1C. W skład tej ostatniej wchodziła między innymi stacja radioliniowa R-405 Z, mogąca zapewnić czterokanałową łączność (w tym telefoniczną i telegraficzną) w dwóch kierunkach radioliniowych i w dwóch zakresach – metrowym i decymetrowym.

W czasie pełnienia dyżuru w centrum kierowania, w pewnym momencie popłynęła z głośników piękna muzyka. W pierwszej chwili pomyślałem, że to obsługa aparatowni przestroiła odbiorniki radioliniowe na częstotliwość, na której pracuje jakaś rozgłośnia radiowa, co było surowo zabronione. Wypadłem więc w złości z centrum kierowania i poszedłem do aparatowni. Po wejściu do środka stwierdziłem, że nikt nie słucha muzyki, a częstotliwości odbiorników ustawione są zgodnie z danymi eksploatacyjnymi. Byłem pewny, że żołnierze widząc jak się zbliżam zdążyli z powrotem przestroić odbiorniki. Trochę więc ich obsztorcowałem i wróciłem do centrum, a tam znowu muzyka gra pełną parą. Wróciłem do aparatowni ponownie, a tam sytuacja bez zmian. Odbiorniki ustawione właściwie, a żołnierze zarzekali się, że nie przestrajali odbiorników. W tej sytuacji zacząłem się zastanawiać, jaka może być przyczyna tego zjawiska. Mając zaufanie do żołnierzy postanowiłem zbadać inne ewentualności. Poleciłem odłączyć kable łączące centrum kierowania z aparatownią węzłową i radiostacją R-118. Po sprawdzeniu wykonania tych czynności poszedłem ponownie do centrum kierowania, a tam muzyczka gra dalej. Usiadłem i był to moment zwątpienia w wiedzę, którą posiadałem. Nie mieściło mi się w głowie, aby mogły to robić same głośniki, bez urządzeń radiowych, w tym detektorów. Wszystko to wglądało na jakieś dziwne cuda, sprzeczne z podstawową wiedzą z zakresu radiotechniki.

Długo siedziałem i w myślach dokonywałem przeglądu sytuacji. W pewnym momencie nastąpiło olśnienie. Spojrzałem na mapę. Patrząc na nią uważnie stwierdziłem, że jesteśmy niecały kilometr od masztu antenowego nadajni-

ka radiowego emitującego na falach długich program dla Polaków za granicą. Jego moc była tak duża, a odległość od niego tak mała, że nawet w okablowaniu wozów i urządzeniach głośnomówiących następowała detekcja sygnału i głośniki pracowały normalnie. Odetchnąłem z ulgą, zmieniłem sposób sterowania i wykorzystania urządzeń głośnomówiących, przywracającym tym samym niezakłóconą łączność i wiarę w wiedzę.

W jednym z kolejnych ćwiczeń 17 dywizjon w komplecie wyjechał transportem kolejowym z Choszczna na poligon toruński. Tam rozpoczęliśmy ćwiczenie „na kołach", czyli na własnych środkach lokomocji. Trasa prowadziła przez Nakło nad Notecią, a stamtąd ponownie transportem kolejowym do Choszczna.

Jadąc w wojskowej kolumnie samochodów w pewnej chwili uświadomiłem sobie, iż przejeżdżamy przez rejon, w którym mieszka ciotka Kaśka oraz jej syn i córka, moi kuzyni. Aby zrozumieć zaistniałą sytuację muszę przypomnieć, że byłem tam tylko raz, na weselu kuzyna *Leksyka*, gdzie także po raz pierwszy poznałem ciotką i kuzynkę Elę. Wszystko to było bardzo dawno, wówczas gdy chodziłem jeszcze do szkoły podstawowej.

Patrząc z przejeżdżającego samochodu na okolice, w pewnym momencie zauważyłem gospodarstwo, które wydawało mi się znajome. To znaczy wyglądało na gospodarstwo, w którym byłem na weselu, czyli gospodarstwo rodzinne mojej ciotki. Zaznaczyłem więc je na mapie i pojechaliśmy dalej, aż za Margonin.

Tam w pobliżu jakiegoś PGR-u rozwinęliśmy stanowisko dowodzenia i węzeł łączności oraz zapewnialiśmy łączność dowódcy i sztabowi dywizjonu. Były to godziny południowe, a mnie stale nurtowała sprawa mojej rodziny, choć nie miałem żadnej pewności, że mieszkają tam gdzie mi się wydaje. Przy tym żadnego ich adresu nie miałem. Postanowiłem jednak pójść do szefa sztabu dywizjonu i poprosić go o zwolnienie, aby zobaczyć się z mieszkającą w pobliżu rodziną. Szef sztabu chyba nie uwierzył, ale pojechać zezwolił. Przyjechałem w to upatrzone miejsce, ale już z bliska zabudowania te wyglądały inaczej. W rozmowie z gospodarzem upewniłem się, że to istotnie pomyłka. Wracając z powrotem pytałem kilkakrotnie o ciotkę, podając jej nazwisko – Leśko. Jeden z pytanych odparł, że człowiek o podobnym nazwisku Leszko pracuje w POM-ie w Margoninie. Ponieważ było to po drodze zatrzymałem się i w ośrodku maszynowym odszukałem tego człowieka. Podchodząc do niego, już z odległości kilkunastu kroków miałem pewność, że to krewniak. Był bowiem bardzo podobny do mojej babki i ciotki, też Kaśki. Dla pewności jednak zapytałem. Jak się nazywa? Czy jego matka ma na imię Katarzyna? Po potwierdzeniu przedstawiłem się jako jego kuzyn, podałem swoje nazwisko i imię, skąd pochodzę i co aktualnie robię w Margoninie. Gdyby było inaczej to w polowym mundurze, w stopniu kapitana, mogłem go solidnie przestraszyć, tym bardziej, że prawie nic o mnie nie wiedział. Ja zresztą o nim także, widząc go pierwszy raz na oczy.

W rozmowie dowiedziałem się, że ciotka mieszka w PGR-rze Wilcze Laski lub może Pietronki, gdzie także mieszka i pracuje jej córka z mężem. Natomiast kuzyn *Leksyk* prowadzi ich dawne gospodarstwo w innej miejscowości.

Po serdecznej rozmowie pożegnałem się i wsiadłem do samochodu. Otworzyłem mapę i nie bardzo wierzyłem własnym oczom. Ten PGR, przy którym rozwinęliśmy stanowisko dowodzenia, to był PGR Pietronki. Wróciłem więc i szybko znalazłem dom, w którym mieszkała ciotka z kuzynką. Był oddalony niecałe 150 metrów od rejonu ćwiczeń, jako że lasek, w którym się rozmieściliśmy przylegał bezpośrednio do zabudowań PGR-u.

Wchodząc do domu byłem ciekawy, czy ciotka mnie pozna. Powiedziałem dzień dobry i rozpocząłem rozmowę nie przedstawiając się. Pytałem co słychać, jak żyje się w Pietronkach. Pytałem także o zdrowie i inne sprawy, nie zdradzając kim jestem. Okazało się, że ciotka mimo podeszłego wieku wyglądała zdrowo i nad wyraz sympatycznie, przypominając prawie dosłownie moją babkę, a jej matkę Kaśkę. W trakcie rozmowy przyglądała mi się uważnie i w pewnej chwili powiedziała:

– Ty jesteś synem Antośki – argumentując, że jestem do niej bardzo podobny. Przywitaliśmy się więc serdecznie, ucałowałem ciotkę ze wzruszeniem, a ona sama uroniła sporo łez. Niestety po krótkim czasie musiałem opuścić dom ciotki i udać się w rejon ćwiczeń. Obiecałem jednak, że wrócę po dwóch godzinach i porozmawiamy dłużej. Ciotka odrzekła, że będzie już wówczas kuzynka Ela z mężem, z którą chciałem się także zobaczyć.

Następnie udałem się na stanowisko dowodzenia, aby zameldować szefowi sztabu swój powrót i zapoznać się z aktualną sytuacją taktyczną, sytuacją w łączności i zamiarami przełożonych. Z oceny sytuacji wynikało, że będę miał około dwóch godzin wolnego czasu do rozpoczęcia kolejnej fazy ćwiczenia. Po uzyskaniu zgody szefa sztabu, który z zaciekawieniem, ale i niedowierzaniem wysłuchał mojej opowieści, wróciłem ponownie do mieszkania ciotki. W międzyczasie przygotowano małe przyjęcie, składające się z jadła i napitku. Przy tej okazji poznałem męża Eli oraz ich sąsiadów, a także warunki ich życia i pracy. Dowiedziałem się także gdzie mieszka *Leksyk* i jak mu się powodzi. Pytany, opowiadałem dużo o moich i ich rodzinnych stronach, rodzinie oraz zmianach, które zaszły w czasie ich nieobecności. I tak szybko minęły dwie godziny. Po serdecznym pożegnaniu i złożonych sobie życzeniach wróciłem na stanowisko dowodzenia, gdzie czekało mnie nadzorowanie zwijania węzła łączności i ustawianie pojazdów w kolumnę marszową.

Przed nami była kolejna faza ćwiczenia, w której przeciwnik w naszym pobliżu wykonał uderzenie jądrowe, a ludzie i sprzęt ulegli skażeniu promieniotwórczemu. Założyliśmy wszyscy maski przeciwgazowe oraz odzież ochronną i całym dywizjonem w kolumnach marszowych na pojazdach udaliśmy się w rejon zabiegów specjalnych. Zabiegi te prowadził armijny, samodzielny batalion zabiegów specjalnych. Polegały na tym, że wszystkie pojazdy mechaniczne były niezwykle starannie myte wodą z dodatkiem specjalnych substancji deter-

gentowych, a ludzie podlegali kąpieli i pełnej wymianie bielizny i umundurowania.

Po przebytych zabiegach specjalnych, dowództwo dywizjonu miało dylemat; którą z dwóch dróg wracać w poprzedni rejon, który zgodnie z planem był wówczas rejonem wyczekiwania na załadowanie na transport kolejowy. Obie prowadziły wzdłuż jeziora, lecz po przeciwległych jego brzegach. Zasugerowałem więc, że jedna z nich jest lepsza. I tak się stało. Dowódca przychylił się do mojego wniosku i wracaliśmy sugerowaną przeze mnie drogą. Po drodze przekazałem dowodzenie swojemu zastępcy i udałem się do kuzyna.

Spotkanie było ciekawe, bo nieprzewidziane i odbyło się późną porą, około godziny dwudziestej drugiej. Kuzyn z żoną, zaskoczeni zupełnie, krzątali się jeszcze wokół swojego dobytku, to znaczy żywego inwentarza. Posiedzieliśmy jednak około godziny, pogadali i powspominali z *Leksykiem* dawne „dobre" czasy. Gospodarstwo kuzyna znalazłem w nienajlepszym stanie, a i on na zadowolonego z życia nie wyglądał. A może to noc sprawiła, że *Leksyk* wydał mi się przygaszony i zniszczony życiem, a gospodarstwo, szczególnie budynek i pomieszczenia w nim, mało zadbane.

Po pożegnaniu wróciłem przez Gołańcz z powrotem do poprzedniego rejonu. Byłem pewny, że cały dywizjon jest już na miejscu. Jakież było moje zdziwienie, gdy zobaczyłem zupełną pustkę i oprócz dwóch naczep pod wyrzutnie nie było nikogo. W tej sytuacji sądziłem, że już się odbywa załadowywanie dywizjonu na transport kolejowy w Czarnkowie. Poczekałem jednak jeszcze sporą chwilę i ukazała się kolumna naszych pojazdów.

Okazało się, że dywizjon zmarnował ponad godzinę czasu na zawracanie kolumny, która utknęła w uliczce bez wyjazdu w miasteczku Gołańcz. O ile stosunkowo łatwo zawrócić w wąskiej uliczce pojedynczym samochodem, o tyle trudno samochodem ciężarowym z przyczepą, a niewyobrażalnie trudno całą kolumną, szczególnie jeśli w jej skład wchodzą olbrzymie ciągniki, na przykład Kamaz, Tatra, ciągnące naczepy, na których znajdują się olbrzymie wyrzutnie rakietowe. Zawrócenie taką kolumną wymaga dużego kunsztu, sprawności organizacyjnej i czasu. Dlatego też w brygadzie zawsze przywiązywano wielką wagę do znajomości topografii oraz umiejętności doskonałego czytania map i posiadania wyobraźni, jako że aktualność map z reguły nie nadążała za zmianami w terenie, a złe warunki atmosferyczne, szczególnie śnieżyce i obfite deszcze znacznie utrudniały orientację w terenie. Następnie załadowaliśmy się w Czarnkowie na transport kolejowy i wróciliśmy do Choszczna.

Ta przygoda pokazuje, jak zwykły przypadek może sprawić, że nieraz przebywamy bardzo blisko kogoś, kogo bardzo dawno nie widzieliśmy, a chcielibyśmy zobaczyć. Nie szukając tracimy szansę spotkania, nieraz jedyną w życiu. Tak było i ze mną. To spotkanie było moim drugim i ostatnim spotkaniem z rodziną mieszkającą w rejonie Margonina.

Teraz powrócę od spraw osobistych naszej grupy. Zwykłą koleją rzeczy szukaliśmy partnerek, w tym na całe życie. I wcześniej, czy później każdy z nas

na taką trafił. Ja ożeniłem się pierwszy, bo już w kwietniu 1965 roku z Danutą Pieszko. W tym samym roku ożenił się także Kostek Karmelitow z Alicją, poznaną we wspominanych już ćwiczeniach. Następnie ożenili się Karol Kociałkowski z Wiesławą z Łodzi, poznaną na przysiędze wojskowej jej brata, służącego w Choszcznie oraz Zygmunt Ziętek ze Stenią mieszkającą po sąsiedzku przy koszarach. W dalszej kolejności, chociaż trochę później, związki małżeńskie zawarli Stasiu Lubiak, Jasiu Worm i Zygmunt Sznepka. Wszyscy wzięli za żony rodowite choszczninanki. Chociaż w Choszcznie wybór dziewczyn w stosunku do potrzeb nie był zbyt duży, to trzeba przyznać, że łącznościowcy otrzymali za żony bardzo dorodne i urodziwe dziewczyny. Przy tym pracowite i poważnie podchodzące do życia. Efektem tego jest kilkudziesięcioletnie szczęśliwe pożycie tych par i brak rozwodów. Zaś wymieszanie krwi sprawiło, że rodziły się dzieci dorodne i mądre, na pociechę rodziców i dziadków.

Dla większości z nas Choszczno było bardzo ważnym, ale tylko etapem w życiu prywatnym i służbowym. Każdy z nas, wcześniej czy później, myślał o dalszym kształceniu, a to wiązało się z wyjazdem z Choszczna.

Pierwszym, który wyjechał z Choszczna na studia w Wojskowej Akademii Technicznej był Kostek Karmelitow. Następnie ubył w rodzinne strony Zygmunt Ziętek. Odszedł do Lublina na garnizonowy węzeł łączności, którego był potem długoletnim szefem. Karol Kociałkowski jako pierwszy, a ja następny rozpoczęliśmy studia w Akademii Sztabu Generalnego, zaś Stasiu Lubiak w Wojskowej Akademii Politycznej. Zygmunt Sznepka ubył do Kazunia, a potem do Kielc. Ukończył studia w Wyższej Akademii Wychowania Fizycznego i zajmował się sportem w wojsku. W Choszcznie pozostał tylko Jasiu Worm, który ukończył studia inżynierskie i pełnił obowiązki szefa łączności brygady. Stamtąd też odszedł na zasłużoną emeryturę.

18. Trybuna honorowa podczas promocji. Przemawia komendant OSŁ płk Edward Gierasimczyk, po prawej gen. Wojciech Jaruzelski. 1963 r.

19. Promuje gen. dyw. Wojciech Jaruzelski.
Na pierwszym planie po prawej autor. 1963 r.

Rozdział siódmy

Rodzina

Dana

W listopadzie 1963 roku, w restauracji „Zacisze", poznałem moją przyszłą żonę. A zaczęło się tak. W kilkuosobowej grupie kolegów wybraliśmy się do „Zacisza". Zajęliśmy stolik stojący pod ścianą dużej sali tanecznej i jak zwykle poprosiliśmy o butelkę wódki, zakąskę i z zaciekawieniem przyglądaliśmy się tańczącym na parkiecie parom. Szczególnie zaś dziewczynom. Były różne. Ładne i brzydule też.

Jak pamiętam długo nie mieliśmy ochoty na tańce, a szczególnie ja. Potem jednak, w jednej z mniejszych sal, dostrzegłem siedzące przy stoliku dosyć młode małżeństwo z dwoma dziewczynami. Jedna z nich była filigranową, ciemną i trochę rudawą blondynką, zaś druga, średniego wzrostu szatynką. I jak dobrze pamiętam bardziej wpadła mi w oko ta pierwsza, filigranowa blondynka. Zatańczyłem więc z nią raz i drugi, ale bez większego entuzjazmu.

W międzyczasie tańcząca często jej koleżanka tak prowadziła w tańcu partnerów, by być zawsze blisko naszego stolika. Przy tym przypatrywała mi się uważnie. Wyglądało tak jakby była bardziej zainteresowana moją osobą niż partnerem z którym tańczyła. W ten sposób zaciekawiła mnie swoją osobą i sprowokowała, abym poprosił ją do tańca. Najpierw był jeden, potem drugi i kolejne tańce. Niezwykle sympatyczna rozmowa i odprowadzenie później dziewczyny pod jej dom. I tak to się zaczęło. Z ręką na sercu muszę wyznać, że do dnia dzisiejszego nie jestem pewny „kto kogo wówczas poderwał". Czy ja moją przyszłą żonę, czy ona mnie?

Dziewczyna miała na imię Danuta. Nie lubiła jednak zbytnio swojego imienia, a szczególnie jego zdrobnień Danka, Danusia. Wolała, by mówić do niej Dana. I tak też pozostało do dziś.

Zainteresowała mnie jej ciekawa osobowość i charakter. Jak już wspominałem była średniego wzrostu szatynką. Miała wysportowaną sylwetkę, harmonijną budowę ciała i typowe kobiece wdzięki. Piękne i jędrne piersi. Duża piąt-

ka. I niech się schowają Amerykanki ze swoimi piersiami z suchotniczą przerwą pośrodku biustu. Jej sylwetkę wyróżniała też ostra talia, kształtna pupcia i płaski brzuszek. Zwróciła również moją uwagę charakterystyczna fryzura – włosy upięte na sposób japoński w kok. Po jego rozpuszczeniu włosy sięgały do połowy łydek, co niewątpliwie było wielkim atutem jej urody.

Z tymi pięknymi włosami mojej żony wiąże się wiele przygód. Do najciekawszych należy przygoda poczdamska. Pojechaliśmy samochodem do Berlina i Poczdamu, gdzie chcieliśmy zobaczyć przede wszystkim zespół pałacowo-parkowy Sanssouci i miejsce podpisania aktu kapitulacji Niemiec hitlerowskich 9 maja 1945 roku.

Na nocleg wybraliśmy kamping pod Poczdamem, na który przyjechaliśmy wieczorem. Rozbiliśmy tam własny namiot i położyliśmy się spać. Rano, przy pięknej pogodzie, Dana wyszła przed namiot i zaczęła rozczesywać swoje długie włosy. Robiła to na klęczkach, a jej włosy otaczały ją wokół i układały się łagodnie na ziemi.

Po pewnym czasie zaczęło się na polanie niezwykłe ożywienie, a później podeszło do niej kilka kobiet i rozpoczęło rozmowę. Okazało się, że były to cyganki, które uprzedziły ją, aby zaprzestała publicznego czesania, bo w przeciwnym razie nie odpowiadają za swoich mężczyzn, którzy uwielbiają u kobiet długie włosy i są gotowi z tego powodu do każdego szaleństwa. Żona przezornie posłuchała Cyganek i wycofała się w głąb namiotu, ale i tu nie czuliśmy się bezpiecznie, więc szybko zwinęliśmy namiot i wyruszyliśmy w drogę.

Wracając do urody Dany muszę dodać, iż miała bardzo sympatyczną, stosunkowo niewielką, kształtną i pociągłą buzię, a na niej, szczególnie zaś na policzkach, rzadko rozsiane piegi. Ponadto nad wyraz jędrną, a przy tym aksamitnie gładką skórę na całym ciele. Rarytas, palce lizać.

Im bardziej ją poznawałem, tym bardziej ceniłem jej charakter. Była bowiem nie tylko pracowita, ale także przedsiębiorcza i zaradna. Przy tym bardzo dojrzale patrząca na życie, a jednocześnie wesoła, figlarna i rezolutna. Także dobra organizatorka, o dużym doświadczeniu harcerskim.

Dana urodziła się 8 maja 1945 roku w Drewinikach koło Grodna, w polskiej rodzinie Pieszków. W 1946 roku w ramach repatriacji rodzina jej przybyła na Pomorze Zachodnie i osiedliła się, najpierw na krótko w Drawnie, które w owym czasie nazywało się Kniazie, a następnie na stałe w Choszcznie. Zamieszkali w czterorodzinnym domu jednopiętrowym przy ulicy Adama Mickiewicza. A więc w tej enklawie Choszczna, która przylegała do jeziora i nie była zniszczona przez walczące w 1945 roku wojska.

Dana uczęszczała najpierw do szkoły podstawowej, a następnie do liceum w Choszcznie, gdzie była zawsze rzetelną i solidną uczennicą (ilustr. 20).Po ukończeniu liceum starała się na studia w Szczecinie. Niestety, nie powiodło jej się i to o dziwo z matematyki, z której zawsze była najlepsza. Sądzę, że można to przypisać wielkiemu stresowi, a także po części pechowi. Gdy ją poznałem

ukończyła już liceum i była nauczycielką w szkole podstawowej. Wcześniej widziałem ją raz czy dwa razy w mieście, ubraną w garsonkę oraz płaszcz ortalionowy, o ciekawym różowym kolorze.

Ród Pieszków

Ród Pieszków jest polskim rodem wywodzącym się z Litwy. Nazwa jego bierze swój początek od słowiańskiego słowa – chodzić pieszo. Dawniej w Koronie były różne odmiany tego nazwiska, na przykład Paszko, Paszkowski, Peszko, Peszkowski, na Litwie zaś Pieszko, a w Rosji Pieszkow. To ostatnie nazwisko nosił także znany pisarz Maksym Gorki.

Po mieczu, dziadkiem Dany był Romuald Pieszko, a babcią Aniela z domu Michałowska. Po kądzieli zaś dziadkiem Kazimierz Michałowski urodzony w Szumsku i zmarły w Drewinikach, a babcią Aniela z domu Taraszkiewicz, urodzona w Drewinikach i zmarła w Choszcznie w 1960 roku (ilustr. 21).

Syn Romualda i Anieli Pieszko, a ojciec Dany – Karol urodził się w Drewinikach w 1917 roku, zaś córka Kazimierza i Anieli Michałowskich, a matka Dany – Janina urodziła się w Wilnie w 1918 roku. Po ślubie zamieszkali w Drewinikach, gdzie przyszło na świat dwoje dzieci. Jako pierwszy 4 stycznia 1942 roku urodził się syn, któremu nadano imię Mirosław, zaś po trzech latach 8 maja 1945 roku córka Danuta. W Drawnie 3 kwietnia 1947 roku przyszła na świat córka Krystyna, a 17 stycznia 1952 roku urodziła się już w Choszcznie najmłodsza i ostatnia z dzieci – Agnieszka.

Karol miał przedwojenne wykształcenie buchalteryjno-księgowe i pracował w Choszcznie jako księgowy, a później główny księgowy w różnych zakładach, przeważnie związanych z rolnictwem. Gdy go poznałem w latach sześćdziesiątych był wówczas przystojnym i eleganckim mężczyzną w sile wieku. Nieco poniżej średniego wzrostu szatynem o lekko śniadej karnacji, usposobienia spokojnego, a nawet flegmatycznego. Z natury był dobrym i wyrozumiałym człowiekiem (ilustr. 23).

Jego charakter i usposobienie najlepiej obrazuje następujący przykład. Karol prowadząc rozmowę w pewnym momencie mówi o kimś:

– No, wiecie ten, ten. Ten co ma takie polskie nazwisko na ski. No! No! OO!! Już wiem – Szulc.

Jego podstawowym zadaniem było dostarczanie pieniędzy na utrzymanie domu i rodziny. Co mu się zresztą nieźle, jak na owe czasy, udawało. Ale z racji wykonywanej pracy i konieczności załatwiania różnych interesów narażony był na częsty kontakt z alkoholem. A że był człowiekiem spolegliwym i ulegającym wpływom kolegów, więc dosyć często mówił, że musiał „pochmielić".

Przed wojną służył w 4 Pułku Ułanów Zaniemeńskich. W czasie kampanii wrześniowej brał udział w walkach na froncie i forsowaniu Bugu. Opowiadając te historie często wspominał, że forsowało się w ten sposób, iż ułani pokony-

wali przeszkody wodne trzymając się końskich popręgów lub ogonów. Ułańskie czasy wspominał z rozrzewnieniem, a śpiewanie, np. piosenki „Ułani, ułani" zawsze przyprawiało go o łzy.

Będąc z gruntu uczciwym człowiekiem nie znosił matactwa, kłamstwa i różnych machlojek, szczególnie politycznych. Dlatego też mówił zawsze prosto w oczy wszystko to, co myślał o sposobach ówczesnego gospodarowania oraz powiatowej kamaryli partyjnej i politycznej. Z tego powodu był niewygodny dla władzy i przez nią prześladowany, włącznie z tym, że nie mógł znaleźć zatrudnienia w Choszcznie. Musiał więc pracować jako główny księgowy, ale już tylko w pobliskich Państwowych Gospodarstwach Rolnych lub ośrodkach maszynowych, mimo że w owym czasie był najlepszym specjalistą w swojej profesji na tym terenie.

Jego żona Janina była średniego wzrostu blondynką, bardzo zgrabna i ładna w młodości Wilnianka (ilustr. 22), po wyjściu za mąż zajmowała się domem i dziećmi Niezwykle spokojna, opanowana i pełna mądrości życiowej kierowała domem, szczególnie dbając o dzieci nie tylko własne, ale i sąsiadów. Była wybitną specjalistką od potraw rybnych oraz bigosów. Muszę z żalem przyznać, że po tych wspaniałościach pozostało tylko wspomnienie, wystawiające jak najlepsze świadectwo pani domu. Z biegiem lat i wraz z ilością przybywających dzieci bardzo przytyła. Tusza jednak nie pozbawiła jej resztek dawnej urody.

Moje pierwsze zetknięcie z jej kuchnią wypadło nieszczególnie, choć gotowała wyśmienicie. Wynikało to z różnych sposobów dotychczasowego odżywiania. Ja, od dzieciństwa przyzwyczajony byłem jeść chudo, a tu zetknąłem się z kuchnią litewską, w której wszystko pływało w tłuszczu. A więc tłuste i mięsiste bigosy, zupy z grubą warstwą tłuszczu na wierzchu, kotlety pływające w tłuszczu podczas smażenia, a także ziemniaki na talerzu polane taką ilością tłuszczu, że najbardziej odpornego chłopa zwaliłyby z nóg i doprowadziły do sensacji wątrobowo-żołądkowych. Do kuchni jeszcze powrócę, ale później i przy innej okazji.

Pieszkowie posiadali także krewnych, przybyłych na Ziemie Zachodnie w ramach repatriacji. Byli to: matka i siostra Janiny oraz brat Karola z rodzinami. Najstarszą w rodzinie była matka Janiny, a babcia Dany, Aniela Michałowska z domu Taraszkiewicz, mieszkająca razem z rodziną swojej drugiej córki – Jadwigi Brazewicz. Rodzina Brazewiczów mieszkała także przy ulicy Adama Mickiewicza i jak wiele rodzin z tamtych stron miała bardzo „pokręcone losy".

Jadwiga wraz z seniorką rodu Anielą oraz Pieszkami przybyła w ramach repatriacji do Choszczna. Jej mąż Kazimierz, w czasie drugiej wojny światowej został wcielony do Armii Andersa i z nią przez Iran, Egipt dotarł do Włoch i brał udział w bitwie pod Monte Cassino. Tam został ciężko ranny. Po wyzdrowieniu i zakończeniu wojny wrócił do Polski. Brazewicze mieli dwóch synów. Starszego Zbyszka i młodszego Tadzika, o bardzo różnych charakterach. Zbyszek był nieśmiały, spokojny i bardzo przyjaźnie nastawiony do wszystkich. Tadzik natomiast sympatyczny, rezolutny i bardzo niefrasobliwy w zachowaniu i poczynaniach.

Brat Karola – Stanisław wraz z rodziną osiedlił się w Szczecinku. Była to rodzina wielodzietna, której syn – Jan Pieszko – został znanym piłkarzem warszawskiej Legii, a później trenerem piłki nożnej.

Jak już wspominałem, Pieszkowie mieli czwórkę dzieci. Wszystkie ukończyły liceum ogólnokształcące w Choszcznie. Najstarszy Mirek wstąpił następnie do Oficerskiej Szkoły Wojsk Inżynieryjnych we Wrocławiu. Po jej ukończeniu pracował jako oficer wojsk inżynieryjnych o specjalności saperskiej w Szczecinie. Był na tym terenie uznanym specjalistą od rozminowywania terenu. Ożenił się dość wcześnie z choszczninanką Anią Palewską i zamieszkali w Szczecinie. Mieli trójkę dzieci: Izę, Adę i Marka. Niestety wydarzyła się tragedia. Ada i Marek, pod nieobecność rodziców, zatruli się gazem w domowej kuchni. Mimo szybkiej pomocy Marek młodszy i mniejszy od Ady zmarł. Ada zaś przeżyła i powróciła do zdrowia.

Po dwudziestu kilku latach służby wojskowej i dużej utracie słuchu Mirek rozstał się z mundurem, jako inwalida wojskowy pierwszej grupy. Po tym otworzył firmę cywilną, która specjalizowała się w cięciu metali pod wodą metodą mikro wybuchów, a następnie burzeniem obiektów naziemnych metodą wybuchową. Ta ostatnia praca okazała się rozwojowa i przynosząca duże dochody. Córki powychodziły za mąż, a z Mirka zrobił się biznesmen pełną gębą.

Młodsza od Dany Krysia po ukończeniu liceum pracowała jakiś czas w sztabie brygady w Choszcznie, w dziale samochodowym. W tym czasie poznała odbywającego w Choszcznie praktykę po studiach – geodetę Henryka Komincza. A że była dziewczyną obrotną, tak się koło niego zakręciła, że zaprowadziła go do ołtarza. Następnie przenieśli się do Szczecina, gdzie osiedlili się na stałe. Mają dwie córki – starszą Alę i młodszą Olę. Dziewczyny piękne i zgrabne jak marzenie; Ala śniada szatynka i Ola jasna blondynka.

W międzyczasie Krysia ukończyła studia pedagogiczne o specjalności sportowej i uczyła wychowania fizycznego i biologii w szkołach średnich Szczecina. Zaś Henio długo pracował jako geodeta w Wydziale Geodezji Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie. W czasie zmian systemowych w Polsce dostrzegł swoją szansę i otworzył własną firmę geodezyjną. A że był zawsze człowiekiem niezwykle akuratnym, rzetelnym i pracowitym, dla którego praca była wszystkim, a więc wysiłkiem, przyjemnością, odpoczynkiem i modlitwą, a przy tym niespotykanie spokojny, lubiany i kontaktowy człowiek, pracy miał zawsze dużo, a klientów jeszcze więcej. W związku z tym powodziło się jemu i jego rodzinie bardzo dobrze.

Najbardziej rozpieszczona i najładniejsza z córek – Agnieszka, poznała pracującego w choszczańskiej brygadzie młodego i przystojnego oficera – absolwenta Wojskowej Akademii Technicznej – Jurka Dobryłkę. Pobrali się i zamieszkali najpierw w Choszcznie, a później w Elblągu, gdzie mieszkają do dziś. Jurek w wojsku był specjalistą od spraw samochodowych i technicznych. Na takich stanowiskach pracował w Choszcznie, zaś w Elblągu pełnił obowiązki zastępcy dowódcy Ośrodka Szkolenia Wojsk Lądowych im. Rodziny

Nalazków do spraw technicznych. Agnieszka, oprócz okresowej pracy w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Elblągu, zajmowała się domem i wychowywaniem, a raczej rozpieszczaniem jedynego syna Marcina.

Z racji swojej specjalności i znajomości języka angielskiego, Jurek kilka razy wyjeżdżał w misjach pokojowych na Bliski Wschód, do Egiptu i na Wzgórza Golan oraz do Azji Południowo-Wschodniej, a dokładnie do Tajlandii. To poprawiało znacznie ich domowy budżet i pozwalało żyć na nieco wyższej stopie, niż rodzinom innych oficerów. Po zakończonej, w stopniu pułkownika, służbie wojskowej pracował już jako cywil w zakładzie usługowym Toyoty w Elblągu, kierując działem naprawy i usług serwisowych firmy.

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią powrócę jeszcze na moment do rodziców Dany. Karol po pięćdziesiątce zaczął poważnie chorować. Zaczęło się od wycięcia woreczka żółciowego, następnie bólów nóg w czasie dłuższego chodzenia i konieczności zatrzymywania się co jakiś czas. Naukowo zwało się to chromaniem przestankowym. Był to jednak już skutek silnej arteriosklerozy, czyli zwężenia prześwitu tętnic i żył oraz słabego ukrwienia i dotlenienia kończyn. Choroba ta rozwijała się błyskawicznie i nawet leczenie szpitalne nie przynosiło rezultatu. Zmarł 8 maja 1975 roku mając 58 lat, pochowany został na cmentarzu w Choszcznie.

Po śmierci męża Janina przeniosła się do mniejszego, za to ze wszystkimi wygodami, nowego mieszkania w centrum miasta. Pracowała także w liceum, prowadząc szkolny bufet. Jednakże waga ciała i sposób odżywiania dał znać o sobie. Kłopoty ze zdrowiem zaczęły się od niegojących się ran na nodze, pobytu w szpitalu, złamaniu nogi, a następnie najpierw jednego, a później drugiego wylewu do mózgu. Miało to miejsce pod koniec lat siedemdziesiątych. Od tego czasu, już jako osoba niepełnosprawna i leżąca, przebywała najpierw przez wiele lat u córki Krystyny, a następnie na zmianę u Dany i Agnieszki.

Analizując oba powyższe przypadki, nie sposób nie dostrzec, że oboje małżonkowie choć tak różni genetycznie, stosunkowo szybko zachorowali na choroby układu krążenia, w wyniku których Karol bardzo szybko zmarł, zaś Janina po dwóch wylewach żyła długo tylko dlatego, że zmieniono jej radykalnie dietę i odchudzono o około połowę wagi ciała. Wszystko to świadczy o szkodliwości tłustej i ciężkiej litewskiej diety w jej wykonaniu.

Małżeństwo

Po zapoznaniu w „Zaciszu" zaczęliśmy coraz częściej bywać razem. Zimową porą chodziliśmy przeważnie na dancingi do „Zacisza". Z tym wiąże się pewna moja mistyfikacja. Podczas dancingu oznajmiłem Danie, że przenoszą mnie do innego garnizonu. Dostrzegłem, że wiadomość ta zasmuciła ją. Żadne przyjemne słowa i obiecanki, a także tańce nie poprawiły jej nastroju. Była smutna i niepocieszona.

Po upływie dwóch, trzech godzin nie wytrzymałem i powiedziałem, że to z mojej strony głupi żart i przeprosiłem ją serdecznie. Uradowała się ogromnie i ucałowała mnie w oba policzki. Po tym z radości wypiła kilka kieliszków wódki i chyba o jeden za dużo. Po wyjściu z „Zacisza" wziąłem ją pod ramię i prawie niosąc zaprowadziłem do domu. Przy tym przez całą drogę była rozkosznie wesoła i szczebiotała jak skowronek.

Wiosną i latem chodziliśmy na spacery, przeważnie na Miejską Górę i w kierunku Smolenia. Latem, gdy pogoda dopisywała często przebywaliśmy na plaży miejskiej (ilustr. 25). Tam opalaliśmy się leżąc na trawie lub na pomostach bądź kąpaliśmy się w jeziorze. Korzystając z kajaka pływaliśmy wąskimi kanałami na drugie i trzecie jezioro. Brzegi tych kanałów były zarośnięte drzewami i gęstymi krzakami, a wodne przesmyki wyglądały niezwykle tajemniczo i tworzyły niezapomniany nastrój. Dawały także wiele cienia i ochłody w upalne i słoneczne dni.

W czerwcu Dana zakończyła rok szkolny i rozpoczęła dwumiesięczne ferie, podczas których nie próżnowała jednak. Jako działaczka harcerska, w stopniu harcmistrza, zorganizowała i prowadziła obóz harcerski w Zatomiu. Korzystając z okazji i jej zaproszenia zabrałem się do obozowiska razem z dowożonym prowiantem. Obóz harcerski urządzony był obok leśniczówki w głębi dużego kompleksu leśnego, ale blisko asfaltowej szosy i brzegu rzeczki. Tworzył zbiorowisko dużych namiotów starego typu, przeznaczonych do spania i pod kuchnię, umywalnię na świeżym powietrzu oraz plac apelowy z flagą i totemem harcerskim. W namiotach przeznaczonych do spania stały drewniane prycze lub łóżka polowe.

W tym wszystkim widać było dobrą rękę organizatorów i wychowawców oraz ich ogromne zaangażowanie. Aby lepiej zrozumieć dawne czasy należy dodać, iż te imprezy harcerskie organizowane były w zasadzie społecznie, a organizatorzy, którzy poświęcali temu wiele energii i swój wolny czas nie otrzymywali za to wynagrodzenia pieniężnego, z wyjątkiem niewielkich nagród. A że pensje nauczycielskie były w tym czasie bardziej niż skromne, więc liczyła się każda dodatkowa, chociaż niewielka kwota. Jednakże znając Danę i jej koleżanki muszę podkreślić, iż robiły to bardziej z przekonania do działalności harcerskiej i chęci pomagania dzieciom niż dla tych niewielkich nagród pieniężnych.

Jak już wcześniej wspominałem bywaliśmy z Daną i kolegami w stadninie koni u Frąckowiaków. Tam także niezwykle miło spędzaliśmy czas. Jesienią często jeździliśmy pociągiem na grzybobranie do lasów, aż za Drawno. Naszą przewodniczką po tych grzybnych terenach była ciocia Jadzia lub sąsiadka, Wala Iwaszkiewicz, mieszkająca także przy ulicy Mickiewicza. Bardzo lubiłem zbierać grzyby, ale jeszcze bardziej Dana. Podczas tych wypadów, przy jej pomocy, poznałem szereg nieznanych mi do tej pory grzybów jadalnych. Należały do nich gąski, czyli zielonki, kołpaczki, muchowiki, sitaki i inne. Ogólnie były to grzyby rosnące na podłożu piaszczystym, a więc rosnące na innych ziemiach niż na Podkarpaciu.

Ponadto byłem coraz częstszym gościem w domu Pieszków i zaczynałem powoli być traktowany jak domownik. Sprzyjała temu pełna gościnności atmosfera domu, ale w gruncie rzeczy magnesem przyciągającym mnie na ulicę Mickiewicza była Dana. Im bliżej ją poznawałem, tym bardziej zyskiwała w moich oczach i sercu. Okazywało się, że poza urodą ma wspaniały charakter. A co najważniejsze, można było na niej polegać, być pewnym jej zachowań i wierzyć, iż nasze wspólne życie będzie szczęśliwe, które może dać mężczyźnie tylko kochająca kobieta.

Szybko minęło lato i jeszcze szybciej jesień. Wczesną zimą rozmyślałem już poważnie o małżeństwie, chociaż był to dla mnie stan obcy i nie bardzo uświadamiałem sobie, jak to będzie w małżeństwie i czy się do tego w pełni nadaję. Mimo tych obaw oświadczyłem się swojej sympatii, a oświadczyny zostały przyjęte z radością. Datę ślubu uzgodniliśmy z urzędem stanu cywilnego na 18 kwietnia, a więc w święta wielkanocne.

Przed ślubem i weselem nastąpił tradycyjny podział ról i odpowiedzialności. Ja zapewniałem obrączki ślubne i alkohol na wesele, zaś przyszli teściowie weselny dom oraz jadła i napitki. Z mojej strony przygotowaniem alkoholu, rozprowadzaniem spirytusu i tworzeniem wódek, w tym także sławnej porterówki, zajmował się Karol Kociałkowski, jak zwykle pełen wigoru i chęci działania.

W dniu 18 kwietnia 1965 roku odbył się ślub i wesele. Ślubowaliśmy w urzędzie stanu cywilnego mieszczącym się w budynku Powiatowej Rady Narodowej, przy głównej ulicy Choszczna – ulicy Wolności. Dana wystąpiła wówczas w jasno beżowej garsonce i z bukietem róż koloru kości słoniowej. Ja natomiast w mundurze oficerskim (ilustr. 24). W czasie tej uroczystości towarzyszyli nam rodzice i grono przyjaciół. Świadkami byli – ze strony Dany, Ania żona brata Mirka, a z mojej kolega ze szkoły oficerskiej i z jednostki wojskowej, wspominany już wcześniej Karol Kociałkowski, który jak widać grał wówczas pierwsze skrzypce.

Po ślubie udaliśmy się do domu weselnego na ulicę Mickiewicza, gdzie przed domem czekał na nas podwójny szpaler utworzony przez naszych kolegów w mundurach, a na schodach rodzice z chlebem i solą. Po tym rozpoczęło się przyjęcie weselne, które trwało dwa dni. W pierwszym do późnych godzin nocnych i w drugim od godzin przedpołudniowych do późnego wieczora. Wśród gości weselnych była choszczańska rodzina Pieszków i sąsiedzi, a także przyjaciele Dany, a z mojej strony ojciec i ciotka Maryśka z Przytkowic, a także koledzy łącznościowcy promocji R-63, służący w jednostce wojskowej w Choszcznie.

Z okazji ślubu otrzymaliśmy sporo upominków. Były to przeważnie przedmioty potrzebne w przyszłym domu. Na przykład serwis obiadowy od gości z Przytkowic, serwisy do kawy i herbaty, żelazko do prasowania, piękną stylową cukiernicę od państwa Mieszkowskich – nauczycieli licealnych Dany.

Po ślubie zamieszkałem u Dany, jednak na bardzo krótki czas, gdyż już w czerwcu otrzymaliśmy z wojska mieszkanie. Mieściło się w budynku przy

ulicy Mur Północny, gdzie wybudowano kilka identycznych, czteropiętrowych, dość nowoczesnych budynków dla potrzeb kadry wojskowej. Nasze mieszkanie znajdowało się na wysokim parterze w budynku stojącym najbliżej miejskiej kotłowni i rynku wraz z kościołem. Miało niewiele ponad czterdzieści metrów kwadratowych i składało się z dwóch pokoi, kuchni, łazienki i przedpokoju. Podłogi pokryte były płytkami PCV.

Według obowiązujących norm metraż ten był dla nas za duży, a więc, aby otrzymać to mieszkanie musieliśmy znaleźć jeszcze współlokatora. To się udało. W tym czasie Stasiu Lubiak nie śpieszył się jeszcze z żeniaczką, więc bardzo chętnie przystał na to, aby go fikcyjnie wpisać na sublokatora do naszego mieszkania. Taki stan trwał jednak bardzo krótko, gdyż pod koniec czerwca urodził się nam pierworodny i ten układ przestał obowiązywać.

Na nowym mieszkaniu zaczynaliśmy od zera, nie mając żadnych zasobów finansowych i oszczędności. Dana zarabiała niewiele, więc trudno jej było poczynić jakiekolwiek oszczędności. Ja też nie miałem odłożonych pieniędzy. Zaś mój równoważnik mundurowy, to jest coroczna kwota pieniężna otrzymywana w kwietniu z przeznaczeniem na zakup przedmiotów mundurowych, będąca zawsze sporym zastrzykiem ratującym corocznie oficera, poszła na wesele.

Z domu wzięliśmy tylko taboret i to z nadłamaną poprzeczką, dorabiać musieliśmy się wszystkiego sami. Było ciężko, ale też od początku mieliśmy satysfakcję, że nikomu nic nie zawdzięczamy i że wszystko, to co mamy pochodzi z naszej pracy i gospodarności.

Pierwszym i najważniejszym, a zarazem najłatwiejszym naszym zakupem był stolik i taborety do kuchni. Po ich zakupie mieliśmy już na czym usiąść i na czym jeść. Potem dokupiliśmy łóżeczko dla Radka, a następnie zaczęliśmy się rozglądać za dalszymi meblami. Z tym był największy problem, gdyż mebli brakowało i trzeba było na nie „polować". Szczególnie, gdy chciało się kupić coś ładniejszego.

To był jeden problem. Drugi to brak pieniędzy. Na nasze warunki finansowe meble lepszej jakości były bardzo drogie. Całe szczęście, że funkcjonował tak zwany ORS. W ORS-ie, czyli w obsłudze ratalnej sprzedaży, można było kupić drogie przedmioty, w tym przede wszystkim meble, i spłacać je ratami. W naszej sytuacji było to dobrodziejstwo. Dzięki tym udogodnieniom nie musieliśmy przez wiele lat dorabiać się na umeblowanie mieszkania.

Poszukiwaliśmy mebli w Choszcznie, Stargardzie Szczecińskim i w Szczecinie. I dopiero w Szczecinie znaleźliśmy dość ciekawy i niebrzydki zestaw mebli na ścianę, tak zwaną meblościankę. Niestety, zanim podjęliśmy decyzję o ich zakupieniu, już zostały sprzedane. Kontynuowaliśmy więc dalsze poszukiwania. Po jakimś czasie znaleźliśmy w dużym magazynie meblowym w Szczecinie ładny komplet mebli węgierskich, w sam raz do naszego mieszkania. Komplet na nóżkach, lakierowany lub raczej politurowany, w ładnej ciemnej okleinie orzechowej. W jego skład wchodziły: dwie biblioteczki oraz barek i bieliźniarka, rozkładany stół z czterema krzesłami, rozsuwany, dwuosobowy tapczan-kanapa

z ruchomymi poduszkami oraz pojemnik na pościel i stół-ława z dwoma fotelami. Wszystko co potrzebne nam było do życia i urządzenia mieszkania.

Kupiliśmy ten komplet na kredyt w ORS-ie, zaznaczając na rachunku kolor tapicerki – siwy z czarnym przeplotem i szczęśliwi przyjechaliśmy do Choszczna. Po przyjeździe załatwiłem w jednostce samochód i za dwa dni pojechałem z kilkoma żołnierzami po odbiór tych mebli. Jakżeż byłem zaskoczony, gdy w magazynie powiedziano mi, że ów siwy komplet jest sprzedany. Ponadto jego właścicielka wzięła już do domu poduszki z foteli. Pozostał więc tylko drugi komplet w kolorze siarczystej zieleni, który nam się nie podobał. Od tego momentu zaczęły się moje przepychanki ze sprzedawcami i kierownictwem magazynu. Trwały około czterech godzin. Wiedziałem, iż całe ich machlojki z tymi zestawami wynikły z tego, że za łapówkę sprzedali po raz drugi ten sam komplet.

Coraz bardziej wściekły i zdeterminowany, w pewnym momencie, kazałem podjechać samochodem bezpośrednio pod drzwi magazynu, a żołnierzom na siłę wynieść ów komplet i załadować na samochód. Kierownictwu zaś oświadczyłem, że z kompletem wyjeżdżam do Choszczna, nie podpisując im pokwitowania odbioru kompletu. Wówczas obsługa magazynu zmiękła i po naradzie zaproponowano mi, że wyślą ze mną swojego pracownika i pojedziemy do owej pani, u której znajdują się poduszki na fotele.

Tak też zrobiłem. Tam jednak trzeba było stoczyć nową batalię, gdyż kobieta nie chciała nawet słyszeć o oddaniu poduszek i zgodzić się na zielony komplet. Jednakże w wyniku ponad dwugodzinnej dyskusji i przedstawionych argumentów, iż wyjeżdżam z tym kompletem do Choszczna, a ona i tak te poduszki musi zwrócić, wreszcie zmiękła i poduszki oddała. My zaś, prawie już nocą, wróciliśmy z tym ciężko wywalczonym kompletem mebli do Choszczna.

Przy pomocy żołnierzy wnieśliśmy nasze wymarzone mebelki do mieszkania. Odprowadziłem samochód do jednostki i po powrocie ustawiliśmy meble w dużym pokoju, skierowanym na południe. Muszę przyznać, że pierwsze ich ustawienie było optymalne i przetrwało przez cały czas. Pod ścianą wschodnią ustawione były dwie biblioteczki i barek, a pośrodku nich stół, na którym stał także telewizor. Pod północną ścianą, naprzeciw okna, stał tapczan, zaś pod ścianą zachodnią stół-ława z fotelikami. Bieliźniarka umieszczona była w pokoju dziecinnym, gdzie przez długi jeszcze czas szafę zastępowały nam, wykonane sposobem gospodarczym, dwa metalowe stojaki i pozioma rurka, na której wieszaliśmy wszelakie ubrania.

W czasie wakacji żona zmieniła pracę. Pożegnała się ze szkołą i rozpoczęła pracę w Powiatowym Domu Kultury jako instruktorka kulturalno-oświatowa. Zarabiała nieco więcej, a praca była bliżej domu i mniej stresująca niż w szkole.

W budynku, w którym mieszkaliśmy mieliśmy sporo przyjaciół, jako że był zasiedlony przeważnie przez młode małżeństwa. Do najlepszych zaliczaliśmy Piątkowskich i Lulewiczów, na których można było zawsze liczyć i z wzajemnością. Były to sympatyczne młode małżeństwa, wśród których czuliśmy się dobrze i swojsko, chociaż każdy z nas miał swoje przywary i słabości.

Dzieci

Jak to w młodym małżeństwie bywa, przyszły i dzieci. Pierworodny urodził się 28 czerwca 1965 roku w Szpitalu Powiatowym w Choszcznie. Ważył 3,5 kilograma i miał 55 centymetrów długości. Syn po porodzie był pięknym niemowlakiem, o małej buźce i czarnych włoskach na głowie.

Dana dobrze zniosła poród i po kilku dniach byliśmy już razem w domu. Mieszkaliśmy wówczas u teściów na ulicy Mickiewicza. To tutaj wybieraliśmy dla syna imiona. Mnie podobały się imiona słowiańskie, a z nich najbardziej Radosław. Kojarzyło mi się z radością i sławą oraz z jednym z dowódców powstania warszawskiego – Mazurkiewiczem, pseudonim „Radosław". W tamtym czasie było to imię bardzo rzadkie. Danie najbardziej podobało się imię Piotr. Daliśmy więc mu dwa imiona – Radosław Piotr.

Pierwsze dni w domu były dla Dany trudne, gdyż wszystkiego, co dotyczyło pielęgnacji niemowlęcia musiała się uczyć. Szczególnie zaś w tym czasie, kiedy teściowa wyjechała do męża, który pracował w Stradzewie, a ja musiałem pojechać do Przytkowic. Najwięcej problemów sprawiały żonie kąpiele. Bała się, czy sobie poradzi. Wprawdzie sąsiadka deklarowała jej pomoc, ale żona nie bardzo jej dowierzała i nie skorzystała z zaoferowanych usług. Mimo początkowych trudności i obaw, żona pielęgnowała syna wspaniale. I nie tylko w domu teściów, ale także w nowym mieszkaniu, które niebawem otrzymaliśmy.

Dana była od początku bardzo kochającą matką. Miłość macierzyńska spowodowała, że zaprzestała działalności w harcerstwie. Zajęła się całkowicie synem, domem i pracą. Najtrudniejsze było dla niej pierwsze rozstanie z Radkiem, kiedy musiała pójść do szpitala na operację wyrostka robaczkowego. Obawiała się także, czy sobie poradzę. Te obawy były tak duże, że jak mówiła – zapominała o bólu. Ja natomiast nie mając innego wyjścia oddałem Radka do żłobka. Było to dobre rozwiązanie, bo od tego czasu do trzeciego roku życia Radek chodził do żłobka. W zasadzie innego rozwiązania nie było, gdyż ja pracowałem w jednostce cały dzień i dopiero wieczorami bywałem w domu. Dana także pracowała i wracając z pracy odbierała syna ze żłobka.

W pierwszych latach wszystkie wolne chwile Dana poświęcała Radkowi, czytając mu bajki i wiersze Brzechwy, Tuwima i innych autorów. W słoneczne dni razem z przyjaciółkami i ich dziećmi wychodziła z Radkiem na podwórze przed domem i na dłuższe spacery. W tym czasie myśleliśmy także o drugim dziecku. Nie chcieliśmy, aby było to za szybko. Jednocześnie wiedzieliśmy, że nie może to być zbyt późno, ponieważ zbyt duża różnica wieku między dziećmi osłabia więzi między nimi.

I tak oto po niecałych trzech latach przyszedł na świat nasz drugi syn, któremu daliśmy także słowiańskie imię – Przemysław. Urodził się w nocy z niedzieli na poniedziałek 27 maja 1968 roku, także w Szpitalu Powiatowym w Choszcznie. Po urodzeniu ważył 3,75 kilograma i mierzył 55 centymetrów długości.

Tym razem wystąpiły komplikacje poporodowe. Dana dostała wysokiej temperatury. Przez kilka dni nie mogła kontaktować się z dzieckiem, co mocno przeżywała. Tęskniła także bardzo za Radkiem. Z tych powodów prosiła mnie, abym przez żonę swojego dowódcy – panią Borowcową – załatwił jej wyjście ze szpitala na własne żądanie. To się udało, a po powrocie do domu Dana i Przemek szybko powrócili do zdrowia.

O ile Radek był bardziej podobny do mojej rodziny, o tyle Przemek wdał się bardziej w rodzinę Pieszków. Pamiętam jaki dumny był teść Karol, gdy woził Przemka w wózeczku lub nosił na rękach. Wówczas ich twarze były do siebie podobne, jak dwie krople wody, przy czym widoczna była tylko różnica wieku. Obaj synowie byli bardzo ładnymi chłopcami i podobali się wszystkim. Mieli przy tym bujne fryzury, strzyżone według ówczesnej mody na pazia.

Były to czasy, kiedy wszystkiego brakowało, a jeśli już było, to nienajlepszej jakości. Poza tym pieniędzy też nie było za wiele. A że bardzo kochaliśmy naszych maluchów, bo byli dla nas najważniejsi, to ubolewaliśmy – szczególnie Dana – że nie możemy im kupić wszystkiego tego, na co zasługują. W tych poczynaniach wspomagała nas Krysia Pieszko, która często przynosiła dzieciom przeróżne zabawki. Dzisiaj młode matki mają znacznie lepiej, gdyż mogą kupić gotowe potrawy, wspaniałe pieluchy jednorazowe, kolorowe ubranka oraz mnóstwo przeróżnych, kształcących zabawek. Mają za to mniej czasu dla dzieci. Te niedobory Dana rekompensowała synom troskliwszą opieką i zwiększoną macierzyńską miłością oraz starając się ich rozmiłować w bajkach, wierszach i literaturze dla dzieci.

Czas płynął szybko. Dzieci podrosły i chodziły już do przedszkola. W tym czasie ja dostałem się na studia w Leningradzie. Dana długo zastanawiała się, czy sobie poradzi, ale jak sama mówiła – nie mogła dopuścić, abym stracił szansę. Wyjechałem, gdy Radek miał sześć lat, a Przemek trzy lata. Dana została sama z dziećmi w Choszcznie na wiele lat. Wiedziała, że będzie jej trudno. Musi przecież sprostać trzem zadaniom: dobrze wychować chłopców, pracować w Powiatowym Domu Kultury i prowadzić dom. Ponadto Dana podjęła także studia na kierunku Oświata i Kultura Dorosłych w Poznaniu. W tym czasie Radek zaczął chodzić do szkoły podstawowej, a Przemek dalej uczęszczał do przedszkola.

Dana korzystając z tego, że pracowała w domu kultury jako instruktor kulturalno-oświatowy, a później zastępca dyrektora, zapisała Radka na naukę gry na fortepianie. Od początku szło mu to opornie. Nie przejawiał także zbyt wielkich chęci do systematycznych ćwiczeń, które odbywały się kilka razy w tygodniu. Szkoda, bo chociaż Chopinem by nie został, to umiejętność grania na fortepianie zawsze by się w życiu przydała i stanowiłaby dużą przyjemność.

Praca Dany w domu kultury wymagała częstych wyjazdów z zespołem pieśni i tańca na różne koncerty, a także pracy popołudniami. Przez to chłopcy stali się częstymi gośćmi domu kultury. Często także zabierała jednego z nich na wyjazdy – najczęściej Przemka – gdyż w tym czasie był małym psotnikiem

i trzeba było mieć go na oku. Radka bez obaw mogła zostawić samego, tym bardziej, że był starszy.

Chłopcy byli najszczęśliwsi, kiedy zostawiała ich samych w domu. Dostawali wówczas pieniądze na kolację w pobliskim barze. Czuli się wtedy tacy dorośli, kiedy wchodzili do bardzo nowoczesnego, jak na owe czasy, baru i zamawiali kolację. Menu dobierali zawsze tak, aby oprócz jedzenia mogli wypić po oranżadzie. Później wracali do domu i czekali na jej powrót. Aż dziw bierze, że byli tacy odpowiedzialni.

Zimowe niedzielne popołudnia żona spędzała z synami na sankach na Miejskiej Górze lub na łyżwach na jeziorze. Z tym wiąże się pewne zdarzenie. Podczas jazdy na łyżwach Przemek był już zmęczony i chciał iść do domu, natomiast Radek chciał jeszcze pojeździć. Zaufanie Dany do Radka było tak duże, iż pozwoliła mu jeszcze pozostać, licząc na to, że wróci o określonej przez żonę godzinie. Gdy teściowa dowiedziała się o tym, potraktowała to za nieodpowiedzialną decyzję. To jeszcze spotęgowało u Dany uczucie strachu graniczące z obłędem. Na całe szczęście Radek spóźnił się tylko kilka minut oraz wrócił cały i zdrowy.

Żona organizowała także wiele imprez kulturalnych, w tym także dla dzieci. A więc wyjazdy do Teatru Pleciuga w Szczecinie, wyświetlanie w Barbakanie filmów „Przygody Bolka i Lolka" oraz prowadziła Teatr Kukiełkowy dla dzieci przychodzących do domu kultury. Chłopcy byli dumni, że organizatorem tych wszystkich imprez jest ich mama. Rodzinę w komplecie przedstawia ilustracja 26.

20. Danuta Pieszko z koleżanką Haliną Huk. 1956 r.

21. Kazimierz i Aniela Michałowscy. 1930 r.

23. Karol Pieszko. 1968 r.

22. Janina Pieszko z domu Michałowska. 1937 r.

24. W dniu ślubu. Jerzy i Danuta Mazurkiewicz z domu Pieszko. 1965 r.

25. Danuta Pieszko na pomoście plaży miejskiej. 1964 r.

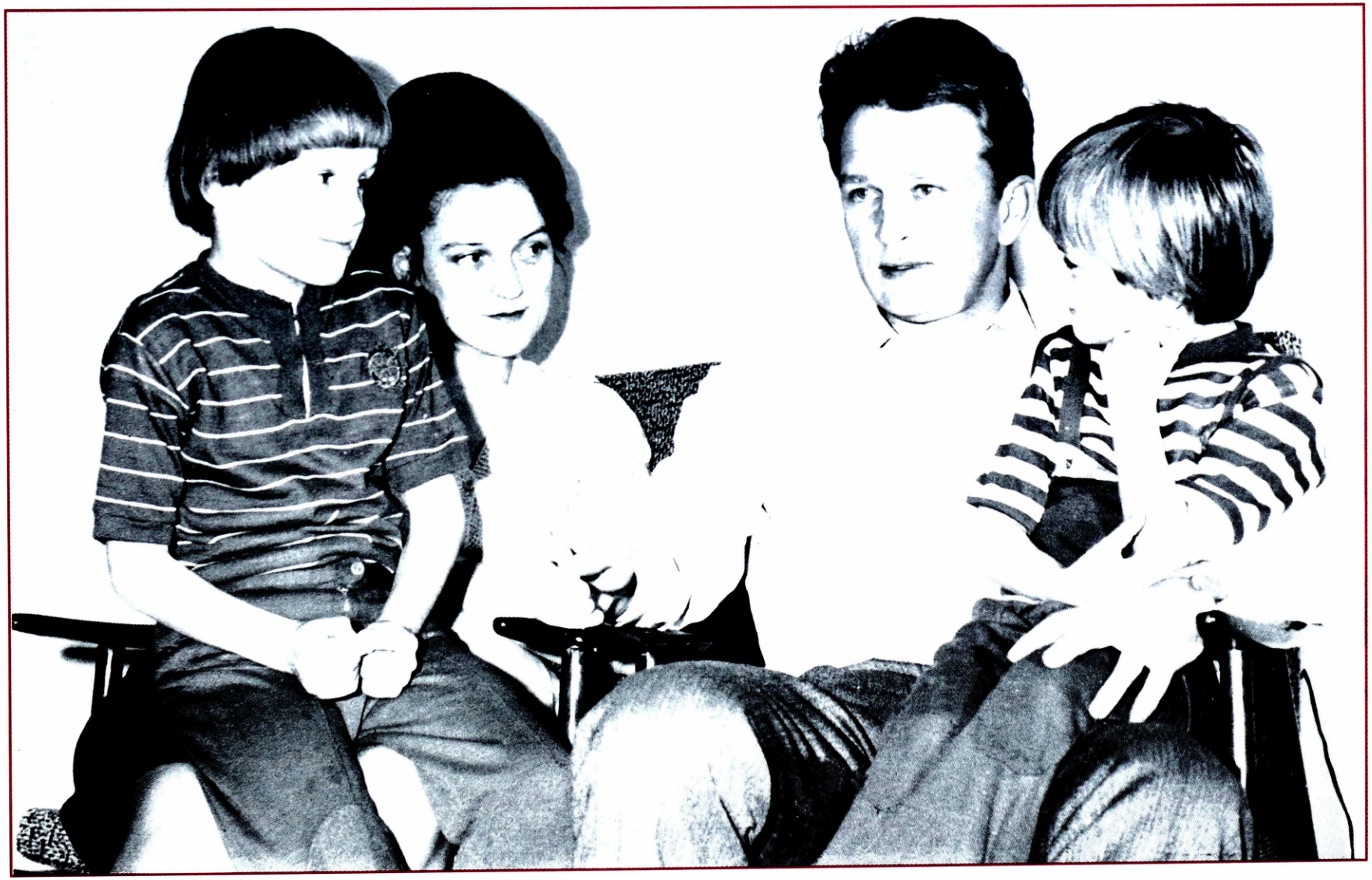

26. Rodzina w komplecie. 1973 r.

Rozdział ósmy

Po nauki

Co dalej

Przez kilka lat pełniłem już w Choszcznie obowiązki szefa łączności – dowódcy baterii dowodzenia. Ale w pewnym momencie stanąłem przed dylematem. Co dalej z moją przyszłością? Wiedziałem bowiem, że jeśli nie pójdę na studia, zostanę starym kapitanem lub najwyżej majorem z niewielką pensją, jak wielu starszych wiekiem oficerów w mojej jednostce.

Po konsultacji z żoną, która mobilizowała mnie i wspierała w tych poczynaniach, postanowiłem rozpocząć studia. Miałem do wyboru kilka możliwości. Pierwsza, to zrobić zaoczne studia inżynierskie w Zegrzu Północnym. Było to możliwe, gdyż w 1968 roku powstała w Zegrzu Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Łączności kształcąca już inżynierów, a także umożliwiająca absolwentom OSŁ ukończenie studiów inżynierskich. Z tej możliwości skorzystał później Jasiu Worm. Druga, to podjęcie studiów na uczelniach cywilnych Poznania lub Szczecina. I trzecia, studiowanie na jednej z trzech akademii wojskowych: Wojskowej Akademii Politycznej, Wojskowej Akademii Technicznej i Akademii Sztabu Generalnego.

Każdy z tych wariantów miał swoje plusy i minusy. Studia inżynierskie należały do najłatwiejszych, ale w przyszłości nie dawały zbyt wiele, gdyż były studiami pierwszego stopnia. Po ich ukończeniu trzeba było myśleć o studiach magisterskich. Studia na uczelniach cywilnych były interesujące, ale żeby otrzymać zezwolenie na studia należało wybrać kierunek przydatny w wojsku. Ponadto trudno było sobie wyobrazić studia zaoczne na tych uczelniach, przy tak dużym reżimie pracy i służby w naszej jednostce oraz częstych wyjazdach na ćwiczenia i poligony.

Pozostały więc akademie wojskowe, gdzie można było studiować stacjonarnie i zaocznie. Studia w Wojskowej Akademii Politycznej nie bardzo mi odpowiadały pomimo tego, że praca oficerów politycznych w jednostkach woj-

skowych nie należała do ciężkich. Jednakże oficerowie ci, nie cieszyli się wśród kadry autorytetem i nie byli zbytnio lubiani.

Oficerowie po ukończeniu Wojskowej Akademii Technicznej zajmowali w sztabach i jednostkach wojskowych funkcje raczej techniczne, a więc nie robili zbytniej kariery wojskowej i finansowej. A ponadto w obu akademiach studia magisterskie, czyli drugiego stopnia, trwały cztery i pół roku. Zdecydowałem się więc na studia operacyjno-taktyczne w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie. Trwały tylko trzy lata i były studiami drugiego stopnia.

Złożyłem drogą służbową, czyli na ręce dowódcy dywizjonu, prośbę do szefa kadr Ministerstwa Obrony Narodowej o zezwolenie na podjęcie studiów stacjonarnych w ASG. Prośba ta poprzez dowódcę brygady, dowództwo Pomorskiego Okręgu Wojskowego dotarła do szefa kadr MON, który odpowiadał za szkolenie i przygotowywanie kadr w wojsku. A że w jednostce osiągałem świetne wyniki i miałem bardzo dobre notowania, więc i poszczególne opinie musiały być bardzo dobre.

Wezwano mnie wreszcie na rozmowę kwalifikacyjną do sztabu okręgu w Bydgoszczy. Był to okres naboru do akademii wojskowych, byłem więc jednym z wielu oficerów starających się na studia. Każdego z nas przyjmowała komisja, która na podstawie dokumentów i opinii oraz rozmowy kwalifikowała na tak zwane kursy przygotowawcze.

Gdy wszedłem do pomieszczenia komisji, przeglądnięto moje papiery i zapytano:

– Czy obywatel kapitan nie chciałby studiować w Związku Radzieckim, w Leningradzie w Wajennoj Akadiemi Swiazi (Wojskowej Akademii Łączności), otwierającej później duże perspektywy w sferze awansu i zajmowania wysokich stanowisk dowódczo-sztabowych w Wojsku Polskim.

Poinformowano mnie także, iż studia trwają trzy lata, czyli tyle, co w naszej ASG, a po roku można do Leningradu sprowadzić rodzinę. Było to dla mnie sporym zaskoczeniem, gdyż nastawiałem się na studia w kraju. Jednocześnie uświadomiłem sobie błyskawicznie, że są to warunki lepsze niż w Polsce, a także otwiera się dla mnie i rodziny niepowtarzalna i jedyna szansa studiowania i pobytu za granicą i do tego w pięknym mieście. Przyjąłem więc propozycję i wyraziłem zgodę. Ale padło zaraz pytanie:

– Co na to rodzina?

Byłem przekonany, że Dana to zaakceptuje, więc odpowiedziałem:

– Na pewno zaakceptuje ten wybór.

Później zaś zapytano:

– Jak wasza znajomość języka rosyjskiego?

Odpowiedziałem więc:

– Uczyłem się go przez ponad dziesięć lat, lecz przez ostatnie kilka lat niewiele miałem z nim do czynienia.

Zadano mi kilka pytań po rosyjsku. W tym:

– Jak po rosyjsku mówi się herbata z cytryną? – Co akurat wiedziałem. Odpowiedziałem także, iż języków obcych uczę się szybko, więc nie powinno być kłopotów z przypomnieniem i szybkim doskonaleniem języka rosyjskiego. Na koniec poinformowano mnie, że o rezultatach zostanę powiadomiony w jednostce. Na tym rozmowa kwalifikacyjna została zakończona i wróciłem do Choszczna.

Po powrocie opowiedziałem żonie o przebiegu rozmowy i złożonej mi propozycji. Moją decyzję przyjęła ze zrozumieniem, a nawet ucieszyła się. Ja zaś oczekiwałem na odpowiedź. I doczekałem się. Otrzymałem zawiadomienie, iż zostałem kandydatem na studia w ZSRR i mam stawić się na kurs przygotowawczy organizowany w Rembertowie.

Kurs przygotowawczy

Kurs przygotowawczy organizowany w ASG dla kandydatów do tej uczelni oraz kandydatów na studia w ZSRR miał dwa zasadnicze cele. Pierwszy – to wyrównanie poziomu wiedzy wszystkich kandydatów oraz przeszkolenie ich z zakresu działań bojowych batalionu, a drugi – przygotowanie do egzaminów i studiów na tych uczelniach.

Pierwszy cel podyktowany był różnym poziomem wiedzy taktycznej oficerów ogólnowojskowych, czyli wojsk zmechanizowanych i pancernych, oraz oficerów specjalistów, do których zaliczali się specjaliści wojsk rakietowych i artylerii, wojsk obrony przeciwlotniczej, wojsk inżynieryjnych, wojsk łączności, wojsk obrony przeciwchemicznej oraz tyłów, to jest dzisiejszej logistyki. Wynikało to stąd, że specjaliści w szkołach oficerskich przerabiali taktykę do szczebla kompanii włącznie, a w akademiach rozpoczynano studia taktyczne od szczebla pułku zmechanizowanego i pułku czołgów. Gdyby takiego kursu nie było, wówczas nikt ze specjalistów nie dostałby się na studia, a gdyby nawet, to nie poradziłby sobie w czasie studiów. Miałby także lukę w wiedzy taktycznej, dotyczącej sposobów i możliwości działania batalionu zmechanizowanego i batalionu czołgów. Kurs ten był więc kursem przygotowawczo-wyrównawczym. Tym zaś, którzy nie dostali się na studia, zaliczano kurs przygotowawczy jako kurs doskonalący, podnoszący ich kwalifikacje.

Kurs trwał około miesiąca i kończył się egzaminami. Jak dobrze pamiętam, było nas na kursie ponad pięćset osób. Zdecydowaną większość zakwaterowano na najwyższej kondygnacji bloku 25. Bloku historycznego, z którego schodów marszałek Piłsudski rozpoczynał przewrót majowy w 1926 roku i marsz na Warszawę. Na najwyższej kondygnacji tego bloku była olbrzymia hala, którą na czas kursów przygotowawczych adoptowano na salę sypialną. Mieściło się w niej ponad trzysta łóżek, przy czym większość z nich była piętrowa.

Na kursie zajęcia prowadzone były w grupach. W tym celu utworzono ponad dwadzieścia grup szkoleniowych. Każda z nich miała swojego wykładowcę-opiekuna grupy, który także prowadził zajęcia z najważniejszych przedmiotów, a więc taktyki i armii obcych. Naszym opiekunem grupy i zarazem wykładowcą taktyki i armii obcych był podpułkownik Jagliński. Człowiek spokojny i przyzwoity, starający się nas sporo nauczyć, choć niestroniący od kielicha, szczególnie w późniejszym okresie, gdy był wykładowcą przedmiotu obrona terytorium kraju. Ponadto zajęcia prowadzone były z języka rosyjskiego, topografii i wychowania fizycznego.

Grupa, do której mnie przydzielono, liczyła ponad piętnastu oficerów łącznościowców, kandydatów do akademii w Leningradzie. Rozpoczęło się szkolenie. Zajęcia z taktyki prowadzone były w salach wykładowych i w terenie. Na samym początku obejmowały trochę wykładów, prowadzonych w dużych aulach dla kilku grup jednocześnie. Potem jednak były to typowe zajęcia grupowe na mapach, gdzie na bazie ćwiczenia taktycznego batalionu, głównie przerabialiśmy podejmowanie decyzji, opracowywanie wariantów rozwiązań zadań taktycznych, zabezpieczenie wykonania zadań przez pododdziały różnych rodzajów wojsk, a także doskonaliliśmy pracę na mapach. Cała ta problematyka dla specjalistów była obca i ciężka, gdyż z taką tematyką niewiele mieliśmy wspólnego i swoją wiedzą znacznie odbiegaliśmy od poziomu oficerów ogólnowojskowych.

Jeszcze gorzej było w terenie. Nasza wyobraźnia taktyczna była prawie zerowa. Nie potrafiliśmy prowadzić orientacji topograficznej i taktycznej, a wszystkie zajęcia w terenie od nich się zaczynały. Orientacja topograficzna polegała na tym, żeby w terenie wskazać dokładnie i zgodnie z mapą punkt stania, a ponadto kierunek północy i wszystkie ważniejsze elementy terenu, na przykład drogi, wzgórza i pagórki, miejscowości i ich nazwy oraz odległości tych wszystkich elementów od punktu stania. Na pozór może wydawać się, że jest to proste, ale tak nie jest. Trzeba sporo ćwiczyć i mieć wrodzone zdolności do szybkiej orientacji, aby sprawnie i bezbłędnie tego dokonać.

Orientacja taktyczna była jeszcze trudniejsza. Oprócz umiejętności orientowania topograficznego należało także posiadać wiedzę o ugrupowaniu własnym i przeciwnika, a więc jakie posiada siły i środki oraz gdzie są one rozmieszczone w terenie i jakie działania prowadzą. Jeśli do tego dodać, że w owym terenie nie było żadnych wojsk, a wszystko to trzeba było sobie tylko wyobrazić i tę wyobrażoną sytuację referować, to nawet bardzo dobra wiedza, nie mogła wystarczać i trzeba było mieć także niezłą wyobraźnię taktyczną i giętki język.

Na zajęcia w teren wyjeżdżaliśmy samochodami ciężarowymi w dalsze okolice Warszawy. Dla każdej grupy przydzielony był jeden samochód. A że wszystkie grupy ćwiczyły na tym samym tle taktycznym, więc zajęcia ze wszystkimi grupami prowadzone były w jednym niedużym rejonie, w zasadzie w zasięgu wzroku i słuchu. Rejon ten mieścił się z reguły w ugrupowaniu kompanii pierwszego rzutu, a miejscem przebywania grupy było miejsce wyznaczone

przez ćwiczącego dowódcę do przeprowadzenia rekonesansu. Przeważnie znajdowało się ono na niewielkim wzniesieniu, z dobrym widokiem na przedpole walczących wojsk i dające dobry wgląd w ugrupowanie nieprzyjaciela.

Najczęściej w roli dowódcy batalionu uściślaliśmy zadania dla dowódców kompanii pierwszego rzutu, organizowaliśmy współdziałanie i bojowe zabezpieczenie działań. W czasie tego szkolenia zdarzały się czasami ciekawe przypadki. Narażeni na deszcz i wiatr, gdyż staliśmy na tak zwanych „górkach", byliśmy wielokrotnie przemoczeni do suchej nitki. Zaś mapy, sklejane zawsze przez ćwiczących zwykłym klejem, rozjeżdżały się arkuszami i nie nadawały do użytku. Dlatego należy dodać, że to co było na nich wrysowane i przygotowane rozpływało się i trzeba było wszystko improwizować z głowy.

Każdorazowo z ciekawością przyglądali się nam okoliczni chłopi. Pewnie bardzo ich to dziwiło. Olbrzymia ilość oficerów w kilkudziesięciu grupach wykrzykuje coś głośno i dobitnie, machając przy tym rękami i pokazując w różne strony, także w kierunku ich zabudowań. Wyglądało to bowiem co najmniej dziwnie, jeśli nie groźnie. Czasami przychodziła delegacja co odważniejszych chłopów pytając:

– Szanowni panowie oficerowie! Może wybuchła wojna, a my o tym nic nie wiemy? A może będą brać do wojska?

Wówczas jeden z wykładowców zapewniał ich, że wojny nie będzie, a ćwiczymy dlatego, aby umieć ich bronić i aby wojny nie było.

Także zajęcia z topografii były ciekawe. Można powiedzieć, iż cechowały się wyższą szkołą jazdy w tym przedmiocie. Zaczęły się od przypomnienia i utrwalenia wszystkich znaków taktycznych oraz ich opisu. Później była kartografia, a w niej wszystko o mapach i ich klasyfikowaniu oraz czytanie różnorodnych map topograficznych i zdjęć lotniczych. A na końcu praktyczne orientowanie się w terenie. I to było najciekawsze i najtrudniejsze, tym bardziej, że wykładowcy tego przedmiotu doskonale potrafili organizować zajęcia i dobierać przykłady.

Zaczynało się od tego, że wożono nas w teren samochodami pod plandeką, robiąc przy tym różne pętle i ósemki. Po zatrzymaniu wręczano nam mapy i każdy indywidualnie musiał dokładnie określić na mapie punkt, w którym się znajdował. Były także zajęcia, w których wręczano nam mapy już w Rembertowie. Jadąc śledziliśmy więc trasę i w zasadzie byliśmy pewni, że dokładnie potrafimy określić na mapie miejsce aktualnego stania. Jakież było nasze zdziwienie, gdy okazywało się, że to co wskazujemy na mapie nie odpowiada rzeczywistości.

Dlaczego tak było? Przyczyna jak zwykle prozaiczna, ale przez nas na początku nie brana pod uwagę. Mapy miały już dobrych kilka lub kilkanaście lat, a pokrycie terenu od tego czasu uległo zmianie, podrósł las, wybudowano nowe domy i drogi, niektóre drogi i zakręty wyprostowano, ich trasa przebiegała trochę inaczej niż na mapie. To wszystko bardzo utrudniało znalezienie i dokładne określenie miejsca, w którym się stało i którego szukało się na mapie.

Najtrudniejszymi sprawdzianami były sprawdziany nocne. Jechało się pod plandeką, niewiele więc było widać w terenie, a także na mapie. W takiej sytuacji liczył się każdy dostrzeżony podczas jazdy w terenie szczegół oraz dobry wzrok, a także dobra organizacja pracy w danym rejonie, gdzie przychodziło nieraz całej grupie poszukiwać punktów charakterystycznych i ułatwiających identyfikację miejsca.

I tak w szybkim tempie zbliżaliśmy się do egzaminów kwalifikacyjnych. Czas mijał niepostrzeżenie, gdyż pracy było bardzo dużo. Od śniadania do obiadu sześć godzin zajęć. Po obiedzie króciutki odpoczynek i do kolacji wspólna nauka własna w grupie. W tym klejenie i rysowanie map, przygotowanie do codziennych zajęć lekcyjnych, opracowywanie przeróżnych decyzji, kalkulacji itp. Po kolacji chwila odpoczynku, czasami oglądaliśmy jakiś film, ale przeważnie dalej studiowaliśmy literaturę i robiliśmy notatki.

Zdawaliśmy egzaminy z taktyki ogólnej i rodzajów wojsk – pisemny i ustny, z wychowania fizycznego, języka rosyjskiego i testy, które pokazywały poziom naszej wiedzy ogólnej. Poszły mi nieźle, bo jak się później okazało, jako jeden z pięciu z całej grupy zakwalifikowałem się na studia w Leningradzie. Oprócz mnie zakwalifikował się także kapitan Niewiadomski, pracujący w Warszawie na węźle łączności MON, porucznik Kubera i porucznik Markowicz, obaj ze Śląskiego Okręgu Wojskowego oraz porucznik Palonka z Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

Bardzo żałowałem, że nie dostał się na te studia mój serdeczny kolega ze szkoły oficerskiej, także oficer z Pomorskiego Okręgu Wojskowego Zbyszek Berliński. Mimo że w trakcie kursu współpracowaliśmy i uczyliśmy się sporo razem brakło mu trochę szczęścia i zdolności teoretycznych oraz umiejętności analizy i syntezy, a także wnioskowania. Mimo że nie ukończył studiów piastował potem szereg odpowiedzialnych stanowisk dowódczych, między innymi dowódcy pułku zabezpieczenia dowództwa POW, gdzie wykazał się prawdziwym talentem organizatorskim i dowódczym.

Leningrad

Po kursie wróciłem do jednostki, czekając na wyniki egzaminów. Pod koniec lipca otrzymałem z kadr MON wiadomość o zdaniu egzaminów i zakwalifikowaniu na studia. Pozostało mi więc około półtora miesiąca do wyjazdu. W tym czasie musiałem wykorzystać urlop i przekazać obowiązki swojemu następcy. Urlop trwał miesiąc, a reszta czasu przeznaczona była na przekazanie obowiązków. Było to zajęcie dość czasochłonne, gdyż na mnie spoczywała cała odpowiedzialność materialna za baterię dowodzenia. Dotyczyło to między innymi sprzętu kwaterunkowego, szkoleniowego, mundurowego, uzbrojenia, łączności, samochodowego itp. Przekazywanie sprzętu odbywało się komisyjnie i sprawdzano wszystkie egzemplarze, ale jeśli chodzi o sprzęt samochodo-

wy i łączności, to także pełne jego ukompletowanie w części zapasowe i pomocnicze, stan techniczny itd.

Zgodnie z nakazaną datą stawiennictwa i spakowany według wymogów kadr MON udałem się pociągiem do Warszawy. Zbiórka wyjeżdżających miała miejsce w budynku kadr MON, gdzie otrzymaliśmy paszporty, bilety oraz ruble na pierwszy miesiąc pobytu. W tym samym czasie do Leningradu, oprócz nas, pięciu łącznościowców, wyjeżdżali także artylerzyści i tyłowcy, ponieważ Akademia Wojsk Rakietowych i Artylerii oraz Akademia Tyłów mieściły się także w Leningradzie.

Wszyscy jechaliśmy w mundurach. Zajęliśmy wcześniej zarezerwowane miejsca w pociągu i spokojnie dojechaliśmy do granicy. Przekroczyliśmy ją w Kuźnicy Białostockiej. Tam też po raz pierwszy widziałem przeprowadzaną wymianę wózków jezdnych pod wagonami kolejowymi, co związane było ze zmianą szerokości torów kolejowych.

Niezwykle popularny i złośliwy w Polsce pogląd na tę sprawę głosił, iż szerszy rozstaw torów kolejowych, wprowadzony dawniej w Rosji, spowodowany był decyzją cara i niezrozumieniem jego woli przez bojaźliwych poddanych. Ponieważ zapytany car:

– Jaki ma być rozstaw torów w kolejach rosyjskich? Szerszy czy taki sam jak w Europie Zachodniej?

Odpowiedział:

– Na ch... szersze!

A bojaźliwi podwładni zrozumieli to dosłownie i rozpoczęli budowę kolei o rozstawie torów szerszych o długość męskiego narządu, od przyjętych w Zachodniej Europie.

Po około godzinnej przerwie, spowodowanej m.in. odprawą celną, pojechaliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się chyba dopiero w Wilnie, gdzie staliśmy ponad pół godziny. I tu zdarzyła się ciekawa historia, która po części wynikała z nieznajomości miejscowych realiów, a także zapomnienia przez niektórych oficerów uwarunkowań historycznych.

Po kilkunastominutowym postoju, jeden z naszych oficerów wyszedł na peron i po rosyjsku zapytał kolejarza:

– Gdzie można cos kupić do picia?

Ten mu grzecznie wskazał i odchodząc głośno po polsku wyrzekł takie słowa:

– Tylko co granicę przejechał, a już języka polskiego zapomniał. Tfu – i splunął ciężko.

Nie muszę mówić, iż oficerowi temu, a i nam, którzy oglądaliśmy to przez okno i byliśmy świadkami tego zdarzenia, nie było do śmiechu. Czuliśmy się tak, jakby ktoś dał nam po pysku. Była to gorzka lekcja, ale jakże pouczająca. Przecież wszyscy powinniśmy wiedzieć, że od dziesiątków lat na tych terenach to Polacy tworzyli i obsługiwali linie kolejowe, a zawód ten przechodził z ojca na syna. A najbardziej dotyczyło to właśnie Wilna.

W czasie jazdy zaciekawieni patrzyliśmy przez okna pociągu. Jak też wygląda ta kraina? Jaki jest stan wsi i miasteczek? Czym różną się od polskich? Niestety, niewiele widzieliśmy, gdyż po obu stronach torów prawie na całej ich długości posadzone były pasy drzew i zakrzaczeń. Uniemożliwiały one lub skutecznie utrudniały spojrzenie w teren i najbliższe okolice z przejeżdżającego pociągu.

Resztę trasy wiodącej przez Psków przebyliśmy w nocy, aby w godzinach późno rannych znaleźć się na Dworcu Warszawskim w Leningradzie. Po odprawie celnej, przedstawiciele konsulatu polskiego i akademii powitali nas, po czym zostaliśmy odwiezieni do internatu mieszczącego się w starej części Leningradu. Internat dla innostrancow (obcokrajowców) zlokalizowany był w pobliżu głównego gmachu uczelni, w którym mieściła się także komenda akademii. Był to kompleks ogrodzony i strzeżony, znajdujący się prawie w połowie odległości między Smolnym a Newskim Prospektem.

W internacie mieszkaliśmy razem z Bułgarami, Węgrami, Niemcami z NRD, Wietnamczykami, Kubańczykami oraz oficerami z niektórych państw arabskich. Przeważnie w pokojach dwuosobowych. Nasza piątka zamieszkała w dwóch pokojach. Kapitanowie razem i porucznicy razem. Warunki zamieszkania mieliśmy niezłe. Oprócz pomieszczeń mieszkalnych były także kuchnie, w których stały lodówki oraz pomieszczenia gospodarcze, gdzie można było wyczyścić buty, uprać koszulę i wyprasować spodnie.

Do najciekawszych pomieszczeń należały toalety: jakże inne od naszych. Już gdy wchodziło się do tych pomieszczeń czuło się spory smród, jak gdyby załatwiano się w latrynach. Tak jednak nie było, gdyż stały tam muszle sedesowe, które spłukiwało się bieżącą wodą. Ale przy bliższym poznaniu okazało się, że do podcierania służyły kawałki gazet, a po podtarciu nie wrzucało się ich do muszli, lecz stojącego w pobliżu kosza. To z nich tak paskudnie waniało (śmierdziało). Do tego dziwnego zwyczaju trzeba się było przyzwyczaić, gdyż po wrzuceniu papieru do miski klozetowej zapychała się natychmiast. Okazało się bowiem, że cała dawna kanalizacja wykonana została z rur o niewielkich przekrojach i stąd ten dziwny sposób wrzucania zużytego papieru do koszy, a następnie wynoszenie ich przez sprzątaczki do śmietnika.

Zajęcia prowadzone były w dwóch miejscach, ponieważ akademia składała się z dwóch kompleksów, sporo od siebie oddalonych. Jeden kompleks budynków znajdował się w starej części Leningradu, a drugi daleko po drugiej stronie Newy.

W pierwszym miesiącu mieliśmy dużo zajęć z przedmiotów politycznych, w tym historii Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, matematyki wyższej, ekonomii politycznej, a także przedmiotów wojskowych, szczególnie w zakresie organizacji jednostek wojskowych i ich wyposażenia w sprzęt łączności.

Przeprowadzono także pokaz sprzętu łączności, będącego na wyposażeniu pułku łączności, który zabezpieczał działanie akademii. Muszę szczerze przyznać, iż jakością i stanem tego sprzętu byłem rozczarowany. Sprzęt taki sam jak

u nas, a nieraz nawet starszej generacji. Jedyną nowością, którą tam widziałem, była ultrakrótkofalowa radiostacja średniej mocy R-137, zamontowana na transporterze opancerzonym. U nas występowała ona wówczas, jak też podobna do niej lecz krótkofalowa radiostacja średniej mocy R-140, jako radiostacja zamontowana na terenowym samochodzie ciężarowym Star 660. Utwierdziło mnie to w podejrzeniach, że nasz, polski sprzęt łączności nie ustępuje radzieckiemu, a w niektórych rodzajach nawet go przewyższa.

W związku z tymi radiostacjami przypominają mi się krążące od lat wśród oficerów łączności opowiadania. Dotyczyły one prototypów. Podobno nasz wywiad zdobył plany techniczno-technologiczne nowoczesnej, francuskiej, jednowstęgowej radiostacji średniej mocy, mającej od kilku do kilkunastu częstotliwościach zawczasu strojonych. Na podstawie tych planów polski przemysł wyprodukował prototypową radiostację o nazwie roboczej „Kania". Ta zaś wraz z dokumentacją wysłana została na wystawę technicznego sprzętu wojskowego do Kijowa. Tam ślad po niej zaginął, zaś po kilku dobrych latach w Związku Radzieckim wyprodukowano typoszereg radiostacji R-137 i R-140, prawie identycznych jak nasza „Kania".

Ciekawą formą szkolenia politycznego były spotkania z dziennikarzami i politykami. Odbywały się raz lub dwa razy w miesiącu i brali w nich udział prawie wszyscy, a więc oficerowie z komendy akademii, wykładowcy, słuchacze, pracownicy cywilni uczelni, a nawet sprzątaczki. Były niezwykle interesujące i przeważnie obejmowały problematykę niepodawaną lub nienaświetlaną w prasie ze względu na to, aby nie zdradzać prawdziwych intencji, zamiarów i kierunków działań politycznych, stosowanych rozwiązań przez polityków radzieckich. Tam też po raz pierwszy usłyszałem oficjalnie, że Związek Radziecki prowadzi politykę globalną, a to oznacza, iż prowadzi interesy w każdym zakątku kuli ziemskiej. Łatwo więc sobie przetłumaczyłem, że przecież to nic innego, jak polityka imperialna o zasięgu światowym, czyli globalna, którą wcześniej, lecz w mniejszej skali, prowadziła zawsze Rosja, a która z socjalizmem nie ma i nie może mieć nic wspólnego.

Inną i w Polsce niespotykaną formą uprawiania propagandy i agitacji były gablotki, rozmieszczone na przystankach komunikacji miejskiej, przy wejściach do dużych sklepów i w metrze. W gablotach rozwieszano stale aktualne gazety codzienne, a ludzie czekający na trolejbus, metro lub stojący pod sklepem czytali je z zaciekawieniem.

W akademii szkolono według różnych programów. Rosjan, a dokładnie oficerów radzieckich, szkolono według jednego programu. Oficerów z europejskich krajów demokracji ludowej, zwanych później złośliwie „demoludami", szkolono według drugiego programu, chociaż różnice między nimi były niewielkie. Zaś pozostałych oficerów szkolono według jeszcze innego, znacznie skróconego programu i ograniczonego tylko do informacji jawnych i poufnych.

Z literatury niejawnej mogliśmy korzystać tylko w czasie nauki własnej. Kończąc samokształcenie pobrane materiały zdawaliśmy z powrotem do bi-

blioteki. Zeszyty, w których zapisywaliśmy informacje niejawne były przesznurowane i opieczętowane oraz zarejestrowane i kończąc zajęcia dopołudniowe, a później naukę własną, zamykaliśmy je do sejfów grupowych i oddawaliśmy do biblioteki.

Październik i listopad nasycone były różnymi świętami i rocznicami. A więc 12 października Dzień Wojska Polskiego, potem święto armii bułgarskiej, następnie rewolucji październikowej itp. Muszę przyznać, że Rosjanie przywiązywali dużą wagę do obchodzenia tych świąt. Z okazji Dnia Wojska Polskiego odbyła się uroczysta akademia z występami artystycznymi, w której wzięli udział nie tylko Polacy, ale i cała „wierchuszka" uczelni i wszystkie „nacje". Tak było i z innymi świętami. Co by nie mówić o „radzieckich", to można się było od nich uczyć kultury podejścia, umiejętności rozwiązywania problemów oraz szacunku dla słabszych partnerów, jakimi byliśmy w ramach Układu Warszawskiego.

Dla uczczenia, już mniej oficjalnie i we własnym gronie, Dnia Wojska Polskiego wysłaliśmy jednego z kolegów do Moskwy, aby kupił sporo dobrej, polskiej wódki. Był tam duży sklep polskiej Baltony, gdzie wódka była tania, a w Sajuzie (w skrócie po rosyjsku Związku Radzieckim) święto bez wódki, to nie święto.

Świętowaliśmy prawie trzy dni. Na pierwszy ogień poszedł nasz opiekun grupy (pałkownik) Pieriemitin, niektórzy wykładowcy oraz starsi koledzy z Polski, którzy w tym czasie byli na trzymiesięcznym kursie, na przykład pułkownik Hodyr. Na tej imprezie po raz pierwszy zetknąłem się z dość ciekawymi, a przy tym sympatycznymi zwyczajami obowiązkowego wznoszenia toastów. Wznosiło się je przed każdym wychyleniem kieliszka (stakańczika) lub szklanki (stakana) wódki, zachęcając tym innych. Toasty były różne, na przykład państwowotwórcze, partyjne, osobiste, okolicznościowe, żartobliwe. Przeważnie składały się z kilkunastu zdań opowiadania zakończonego jakąś puentą, życzeniami lub żartem. W tym czasie funkcjonowało tam prawie oficjalne powiedzenie, że picie wódki bez toastów to pijaństwo, zaś z toastami to praca partyjno-polityczna.

Na koniec daliśmy ognia z zaprzyjaźnionymi Bułgarami. Lubili pociągnąć i mogli sporo wypić. Pod koniec tej biesiady wypiliśmy całą naszą wódkę. Smakowała im wybornie, a że apetyty mieli niezłe przynieśli swoją rakiję. Smakowała jak bimber. Ale jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Wypiliśmy i to. Na koniec przynieśli resztki ze swoich zapasów w postaci anyżówki. Była to ciekawa wódka. Mocna jak cholera, a jak się ją rozrzedzało wodą robiła się biała jak mleko. No i dopiero ona położyła nas całkowicie na łopatki, a kaca po niej leczyliśmy przez kilka dni.

Do ważniejszych problemów z jakimi mieliśmy do czynienia na samym początku należało jedzenie. Na miejscu nie było stołówki. Śniadania i kolacje robiliśmy więc sobie sami, kupując wcześniej chleb, bułki, jajka i inny nabiał oraz byle jaką wędlinę. Na obiady chodziliśmy do pobliskich barów. Trudno

nam było przywyknąć do owej kuchni. Wszystkie zupy, czyli szczi, smakowały dużo gorzej niż nasze, a przy tym pokryte były grubą warstwą dosyć starego, roztopionego tłuszczu. Ziemniaki prawie nie do jedzenia, gdyż nie uznawano tam innych niż piure. Przy czym nie odlewano wody z ugotowanych ziemniaków, lecz rozgotowywano je na taką rzadką ciapę, którą podawano na talerzu. Coś ohydnego. Gdy pytaliśmy:

– Dlaczego to robią? – odpowiadano nam: – Aby nie wylewać z wodą witaminy C.

Było to mało prawdopodobne lub wręcz nieprawdziwe wyjaśnienie. Prawdopodobnie przyczyna była inna. Tam zawsze lub prawie zawsze brakowało ziemniaków, a tak ugotowane były bardziej wydajne.

Podejrzewałem, że takiego problemu nie mieli Wietnamczycy, którzy otrzymywali około trzy razy mniejszy żołd od innych nacji, więc musieli żywić się sami, gotując wszystkie posiłki na miejscu. A że ich kuchnia była specyficzna, więc zawsze porządnie śmierdziało w całym internacie. Niekiedy aż tak, że trudno było wytrzymać.

Za to można było kupić zawsze lody, które jedzono tam o każdej porze roku i w każdych warunkach oraz smaczny, a nieznany w Polsce kwas chlebowy. Piwo zaś mieli podłe w smaku, gdyż przypominało pomieszane dwa cienkusze piwne, ciemne z jasnym.

Leningrad to piękne miasto. Położone na bagnistym terenie po obu stronach wpadającej do Zatoki Fińskiej Newy i poprzecinane wieloma kanałami, zwane było Wenecją Północy. Było kiedyś miastem bogatym, siedzibą carów i metropolią europejską. Mimo zniszczeń porewolucyjnych i wojny domowej oraz długotrwałego oblężenia przed Niemców, zostało w nim wiele pięknych zabytków.

Aby je zwiedzić jechało się metrem, trolejbusem lub płynęło wodolotem. Metro widziałem po raz pierwszy w życiu i zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie. Po pierwsze – swoim wystrojem, przepychem i sprawnością funkcjonowania, a po drugie – maestrią technicznej realizacji. Gdy sobie uświadomiłem, że cały Leningrad leży na bagnach i mokradłach, to doceniłem kunszt projektantów i budowniczych, którzy wybudowali metro w tych warunkach. Dlatego też jest to metro zagłębione na kilkadziesiąt metrów, aby ominąć powierzchniowe i podpowierzchniowe kurzawki oraz w niektórych miejscach dwupoziomowe, szczególnie w obrębie stacji, gdzie krzyżują się linie metra. Jest to na pewno jeden z technicznych cudów świata.

Trolejbusy stanowiły niezwykle dogodny środek lokomocji i można było nimi dojechać prawie wszędzie. Wchodząc do trolejbusu wrzucało się do specjalnego pojemniczka trzy kopiejki, odrywało z rolki bilet i jechało do dowolnego miejsca. Ci zaś, którzy mieli bilety miesięczne lub okresowe wchodząc do trolejbusu wyciągali posiadany bilet i pokazywali współpasażerom, że nie jadą na gapę. Nawet to mi się podobało, gdyż w ten sposób funkcjonowała prawdziwa społeczna kontrola środków lokomocji. Zdarzało się także, że jeśli jakaś

osoba nie dopełniła tej formalności, wówczas pasażerowie zwracali jej uwagę lub domagali się okazania posiadanego biletu.

Mój zachwyt budziły przepiękne gmachy i cerkwie oraz dawna bogata zabudowa. Do najpiękniejszych gmachów należał Pałac Zimowy, a w nim przewspaniałe muzeum Ermitaż, Gmach Admiralicji, Isakijewskij Sabor, Chram na Krowi (świątynia na krwi, miejscu zamachu na cara) i dziesiątki innych, także niezwykle pięknych i okazałych.

Ermitaż zaś zrobił na mnie piorunujące wrażenie. Tyle bogactw na raz, łącznie ze wspaniałymi insygniami carskimi i o takiej okazałości, widziałem po raz pierwszy. Bezsprzecznie największe wrażenie na mnie wywarły oryginalne obrazy największych malarzy świata. Widziałem co prawda w Polsce ich reprodukcje, ale jakość miała się nijak do oryginałów. Na przykład, jak stanąłem przed obrazem Leonarda da Vinci „Madonna z dzieciątkiem" to stałem przez długi czas jak urzeczony. Takiej wspaniałości nie widziałem do tej pory. W tym trzy dominujące, intensywne i jaskrawe kolory – niebieski, czerwony i zielony, które powinny się ze sobą gryźć, tu wspaniale współgrały, dając przecudny artystyczny efekt. Tu także uświadomiłem sobie, że co prawda część tych skarbów była podarunkami innych władców i możnych tego świata dla rodziny carskiej, ale większość z nich zdobyto grabiąc państwa europejskie i azjatyckie.

Uroku Leningradowi dodawało położenie nad Newą, prawie 3-krotnie szerszą od Wisły, oraz duża ilość kanałów i mostów. Największe z nich stały na Newie, na której kotwiczyła także Aurora. Mosty stanowiły wielkie dzieła inżynierskie, gdyż były to mosty zwodzone lub obrotowe, umożliwiające pływanie po Newie nawet dużym statkom i okrętom. Wśród ich budowniczych byli także Polacy, o czym Rosjanie dobrze wiedzieli, gdyż pokazywali nam ozdobne tablice z ich nazwiskami wmurowane w podpory mostów. Do bardziej znanych polskich budowniczych należał inżynier Kierbedź, budowniczy mostu przez Wisłę w Warszawie, zwanego do dziś mostem Kierbedzia.

Szerokość niektórych ulic leningradzkich budziła także zazdrość. Były bardzo szerokie, wielopasmowe i z dobrą sygnalizacją świetlną, szczególnie Newski Prospekt. Ale żeby było dziwnie, to ruch był niewielki, a przechodzący po nich ludzie wcale nie zwracali uwagi na światła i chodzili jak chcieli.

Newski Pospekt poprzecinany był kanałami, które przebiegały pod jezdnią, a zaznaczone były tylko przez jakieś posągi lub ozdoby. Na jednym z takich przepustów, po obu stronach Newskiego stały posągi olbrzymich lwów. I jak rosyjska wieść gminna niosła, miały głośno ryczeć, gdyby przechodziła w pobliżu dziewczyna cnotliwa, mająca powyżej osiemnastego roku życia. Niestety do takiego incydentu jeszcze nie doszło, choć wszyscy wyczekują go z dużym zaciekawieniem.

Blisko Pałacu Zimowego i Newy stał wspaniały i artystycznie piękny pomnik twórcy Piotrogrodu – cara Piotra I, a na drugim brzegu rzeki niewielka chatka, która, jak opowiadali Rosjanie, była pierwszą siedzibą Piotra na początku budowy tego miasta.

Poza Leningradem istniało kilka przepięknych miejsc do zwiedzania. Do najciekawszych należały: Pietrodworiec, czyli Pałac Piotra i Puszkin (dawne Carskije Sioło). Pietrodworiec znajdował się w przepięknej okolicy, na wysokim, południowym brzegu Zatoki Fińskiej, oddalony od Leningradu w kierunku zachodnim o kilkadziesiąt kilometrów. Najszybciej podróżowało się do niego wodolotem, który przy dużej szybkości poruszania prawie się nie zanurzał i osiągał bardzo dużą prędkość. Był to olbrzymi pałac-muzeum, pięknie odrestaurowany i wypełniony wspaniałymi malowidłami, obrazami i rzeźbami. Także otoczenie wokół niego wyglądało prześlicznie. Z zatoki do pałacu prowadził kanał wodny, na którego brzegach rozlokowano wiele rzeźb i fontann. Od niego zaś do pałacu prowadziły olbrzymie kaskadowe schody. Sam pałac był okazałą bryłą architektoniczną z licznymi złoceniami i przepięknymi kolorami ścian, usytuowaną w olbrzymim parku z ciekawym drzewostanem i z niezwykłą ilością wspaniałych marmurowych i brązowych rzeźb.

Carskije Sioło było zaś kompleksem pałacowym, stanowiącym niegdyś letnią rezydencje carów. Położone w uroczym zielonym otoczeniu, na południe od Leningradu, dawało władcom i ich dworskiej kamaryli ochłodę i upragniony spokój w okresie dużej wilgoci i upałów. Pałace i budynki w tym kompleksie były wspaniałe, a w największym i najbogatszym z nich mieściła się onegdaj sławna bursztynowa komnata. Prawie wszystkie budowle pomalowane były w kolorach biało-niebieskich, które doskonale kontrastowały z naturalną zielenią drzew i krzewów, tworząc prawie bajkowy zakątek.

Oba te obiekty w czasie drugiej wojny światowej były zdobyte, splądrowane i zniszczone przez Niemców podczas długiej, bo trwającej około dziewięćset dni blokady Leningradu. Co wówczas działo się w oblężonym Leningradzie trudno opisać słowami. Świadkiem tego po dziś dzień jest wielka nekropolia Leningradu – Piskariewskoje Kładwiszcze (Piskariewski Cmentarz), gdzie leży ponad sześćset tysięcy mieszkańców Leningradu, którzy w zdecydowanej większości zmarli z głodu i zimna.

Pod koniec października i na początku listopada klimat dał znać o sobie. Dni były krótkie, a przy tym zimne i bardzo wilgotne. W takich warunkach rozgrywaliśmy mecze w piłkę siatkową. A że zawziętość i honor narodowy były w cenie, mecze rozgrywaliśmy z wielką zaciętością. To chyba sprawiło, że nagle zachorowałem. Dostałem potwornych bólów części lędźwiowo-krzyżowej, które promieniowały do pachwin i wzdłuż kończyn dolnych. Były nie do wytrzymania. Najpierw zabrano mnie do przychodni akademickiej. Tam robiono mi różne badania i faszerowano środkami przeciwbólowymi. Bez żadnego rezultatu.

Za to poznałem tam kilku przesympatycznych ludzi. Pierwszy z nich był Gruzinem. Przy bliższej rozmowie okazało się, że jego i mój ojciec mają te same imiona – Władysław. Wiele także opowiadał o służbie wojskowej na Kaukazie i pięknie Gruzji. Według jego opowieści przeciętny dzień oficera wyglądał w ten sposób, że do obiadu pracowało się w jednostce wojskowej.

Następnie zbierało się kilku oficerów i razem szli na obiad, a dokładnie na biesiadę do prywatnej szaszłykarni. Po drodze kupowali żywe jagnię, które oddawali właścicielowi lokalu. Ten zaś, za to jagnię serwował im przeróżne baranie przysmaki. Wszystko to mocno popijali winem, które tam było tanie, jak przysłowiowy barszcz, śpiewali gruzińskie pieśni i wspaniale biesiadowali. I tak prawie codziennie.

Co się zaś tyczy południowych nacji Związku Radzieckiego, takich jak Gruzini, Ormianie, a nawet wyznających islam Azerowie, to byli oni niezwykle przyjacielsko nastawieni do Polaków. Myślę, że wiązało się to z naszą opinią, jako narodu miłującego wolność, pomagającego innym i przysparzającego dużych kłopotów wspólnemu nadzorcy i hegemonowi.

W lazarecie akademickim poznałem także Wietnamczyka. Bardzo sympatycznego, o trochę dziecięcym wyglądzie i zachowaniu. Byłem nadzwyczaj ciekaw ich mentalności. Na pozór wydawało się, że zachowują się dziecinnie, ale przy bliższym poznaniu okazywało się, że była to nic nie znacząca powierzchowność. Gdy rozmowa schodziła na sprawy Wietnamu, rodziny i uwarunkowań politycznych, ich wzrok twardniał, rysy tężały i od razu było w nich coś z Chińczyków i Japończyków. Coś nieokreślonego, ale takiego, czego należało się obawiać, a nawet bać.

Jednocześnie z rozmów z nim wywnioskowałem, że dla niego i jego współziomków czas przebywania w Związku Radzieckim był czasem błogosławionym. Jako syn wysokiego urzędnika państwowego dostał się na studia w Sojuzie, które chroniły go przed szybką śmiercią w ojczyźnie. Jak sam mówił, czas życia u nich na froncie był nie dłuższy niż jeden miesiąc i oni o tym dobrze wiedzieli. Patrząc na Wietnamczyków w internacie i w lazarecie zawsze zastanawiałem się ile mają lat. Byłem zaszokowany ich dziecinnym i młodzieńczym wyglądem. Przy bliższym poznaniu okazywało się, że są znacznie starsi niż na to wyglądają. To wynikało co najmniej z dwóch rzeczy. Po pierwsze z braku typowych dla białej rasy zmarszczek i po drugie, braku owłosienia twarzy. U Wietnamczyków dopiero starcy miewali niewielkie zarosty w postaci rzadkiej kępki włosów na brodzie.

Z akademickiego lazaretu przewieziono mnie do szpitala wojskowego, gdyż w moim zdrowiu nie było żadnej poprawy. Tam przebadano mnie wszechstronnie, aplikując różne lekarstwa, ale tak naprawdę dalej nie wiedziano co mi jest. A ból był przerażająco wściekły i nie ustępował. Moją sytuację można porównać do życiowych mądrości medycznych, które mówiły: jeśli bada wenerolog, to on wie na co pacjent jest chory i pacjent także wie, na co jest chory. Jeśli bada chirurg i otworzy jamę brzuszną, to wie na co pacjent jest chory, ale pacjent nie. Natomiast jeżeli neurolog bada pacjenta, to ani neurolog ani pacjent nie wiedzą na co pacjent jest chory. I ze mną było podobnie.

Mimo wszelakich badań i licznych konsyliów lekarze nie wiedzieli co mi dolega, a raczej jakie są przyczyny moich dolegliwości. Dopiero po kilku tygodniach dostałem na prawym boku dziwną wysypkę. Uznali to za typowy objaw

półpaśca. Choroby wrednej, ale uleczalnej. Mimo diagnozy postępów w leczeniu nie było, a ból pozostawał taki sam. Wściekły i niepoddający się żadnym środkom przeciwbólowym. Tak wielki i dokuczliwy oraz trwający bez przerwy i nasilający się w pozycji nieruchomej, że gdybym nie miał dzieci i żony, to wyskoczyłbym przez okno z czwartego piętra sali, w której leżałem.

Przebywając w szpitalu poznałem wielu ludzi. Przeważnie starszych, a i ogólne metody i środki leczenia. Nasłuchałem się także opowiadań o wojnie i obronie Leningradu, warunkach życia, przetrwania i przeżycia. Byłoby tego na oddzielne opowiadanie. Jednocześnie zbliżając się do tych ludzi bliżej, poznawałem ich lepiej, a oni otwierali się przede mną. Jak się potem okazywało, ponad połowa z nich miała jakieś związki z Polską. A to babcia, dziadek lub dalsi krewni byli Polakami, a to żona była Polką lub polskiego pochodzenia. Jeden z nich mawiał, że języka polskiego nie zna, ale zapamiętał powiedzenie swojego teścia, które on często powtarzał. Było to zdanie – wszystko mi jedno. Byli także i tacy, którzy wyzwalali Polskę i żyli tymi wspomnieniami.

System i zastraszenie, które tam panowało zmuszało ludzi do milczenia lub ukrywania prawdy. Toteż gdy rozmawiało się z ludźmi w cztery oczy byli otwarci i szczerzy. Wystarczyło gdy podchodziła trzecia osoba, a rozmowa się urywała i schodziła na inne, bezpieczne tory. W rozmowach prywatnych ze mną mówili, że podoba im się to, co się w Polsce dzieje. I że chcieliby, aby tak jak u nas, można było mówić co się chce, a ludziom żeby żyło się lepiej. Byli jednak i tacy, którzy mówili, że „lis nie ptica, a Polsza nie zagranica".

Rozmawiając z pacjentami szpitala doszedłem do wniosku, że w Sojuzie istnieją trzy podstawowe i szeroko stosowane środki lecznicze: witaminy, bańki i gorczycznik. Witaminy nie były jak obecnie pod postacią tabletek, lecz proszków, które w aptekach rozsypywano do niewielkich torebek. Zażywało się je podobnie jak w Polsce przedwojennej proszki od bólu głowy, sławne „Kogutki", w ten sposób, że ich zawartość wsypywało się do ust i popijało wodą. Taka konsystencja witamin wynikała chyba z braku technologii produkcji nowoczesnych opakowań tych środków w postaci tabletek, kapsułek itp.

Niezwykle popularnym środkiem leczniczym były bańki. Prawie w każdym domu wykorzystywano je w przypadku zapalenia płuc, przeziębień, bólów pleców i innych dolegliwościach. O dziwo, stosowano je także szeroko w szpitalu. Gdy zdziwiony tym procederem pytałem lekarzy, twierdzili że jest to, co prawda, bardzo stary sposób leczenia, ale naturalny i niezwykle skuteczny. Uważali także, że w wielu przypadkach wystarcza to do leczenia danej choroby i nie ma potrzeby stosowania antybiotyków.

No i gorczycznik. W Polsce gorczycę stosuje się w musztardzie i przeważnie w różnych przyprawach. Tam zaś, używany jest jako doskonały środek leczniczy. Zmieloną gorczycę stosuje się przy przeziębieniach, w celu rozgrzania ciała, pobudzenia przepływu krwi i szybszego wyleczenia. Sypano ją przeważnie do skarpet, niekiedy także do rękawiczek. Gorczycznik był papierowym lub płóciennym plastrem z nałożoną grubą warstwą gorczycy. Najlepszy i naj-

bardziej wypróbowany sposób leczenia tymi plastrami polegał na tym, iż brało się gazetę – podobno najlepsza była „Prawda" – moczyło się ją w wodzie i kładło na plecy. Na gazetę zmoczone zaś gorczyczniki. Po czym przykrywało się chorego pierzyną lub kocami. Podłożenie gazety pozwalało na kilkudziesięciominutowe rozgrzewanie pleców lub innej części ciała, która bolała, na przykład ręki, nogi itp. Im dłużej się wytrzymało tym lepiej. Dlatego wskazana była gazeta, bez niej nie można było dłużej wytrzymać niż kilka minut.

I jeszcze o jednym specyfiku, o którym słyszałem od chorych w szpitalu. Ci, którzy mieszkali na Syberii lub mieli z nią związek twierdzili, że najlepszym środkiem profilaktycznym i leczniczym na prawie wszystkie choroby jest oblepicha. Wyrabiano z niej soki i dżemy oraz oblepichowyje masło (olej oblepichowy). Leczył on wspaniale stany zapalne, goił rany, wrzody żołądka i inne choroby, podobno także raka żołądka. Zaś soki i dżemy zawierały olbrzymie ilości witaminy A i C oraz E i były skarbnicą zdrowia.

Długo nie wiedziałem co to jest oblepicha, aż po latach przeczytałem, że jest to zwyczajny rokitnik, który rośnie także w Polsce, a upodobał sobie nieużytki, wydmy i pas nadmorski. W miastach sadzony jest jako drzewokrzew ozdobny, o zielono-srebrzystych małych listkach i niezwykle jaskrawo żółtych, prawie pomarańczowych, drobnych owockach, zebranych w duże kiście, którymi oblepione są drzewka wokół gałęzi. Stąd może ich nazwa, że owocki gęsto oblepiają wnętrze owych drzewek. I na koniec opowieści o tej niezwykłej roślinie trzeba dodać, że jest ona rozdzielnopłciowa, a więc są osobniki (drzewka) męskie i osobniki żeńskie. Spotykamy więc drzewka żeńskie oblepione owocami i męskie bez owoców.

Do niezwykle chwalonego specyfiku polskiego w Związku Radzieckim należał oxykort, maść antybiotykowa stosowana w Polsce na drobne zranienia, oparzenia i miejscowe stany zapalne. Pani lekarz w rozmowie ze mną nie mogła się go nachwalić, uważając, że jest panaceum na wszystko. Dodała także, iż próbowali wielokrotnie zrobić ową maść u siebie, ale nie dawała żadnych efektów. A że baba był dosyć zarozumiała powiedziałem jej, że u nas oxykort stosuje się przeważnie na pryszcze, a do większych chorób są lepsze lekarstwa. Poskutkowało.

Po około miesięcznym leczeniu w szpitalu i braku większych rezultatów tegoż leczenia, lekarze rozłożyli ręce i przyznali, że nic więcej nie mogą wskórać. Jeśli więc chcę, mogę dalej leczyć się w Polsce. Przystałem na to ochoczo, gdyż choroba była dokuczliwa, a nadzieja na wyleczenie prawie żadna. Wyszedłem ze szpitala i przygotowywałem się do powrotu do kraju. Przed tym jednak należało kupić jakiś upominki. W tamtym czasie złoto w Sojuzie było sporo tańsze niż w Polsce, więc kupiłem Danie pierścionek i grubą obrączkę. Zaś staremu synowi mały zegarek na rękę, a obu synom różne zabawki techniczne, w tym sterowane pojazdy, na przykład pojazd księżycowy – Łunochod.

Na pamiątkę chciałem wygrawerować napis na zegarku i obrączce. Poszedłem z tym do grawera i poprosiłem o wygrawerowanie na obrączce napisu

„Danie – Jurek 01.01.1973. Fachowiec ten znał alfabet łaciński, ale interesowało go co oznacza Danie. Wyjaśniłem więc, że to zdrobnienie od imienia Danuta. Pojął w lot. Poprosiłem ponadto, aby z tyłu na zegarku wygrawerował „Radkowi J.M. 01.01.1973. Popatrzył uważnie na ten napis i zapytał, oczywiście po rosyjsku:

– Co to takiego Radek?

Ja zaś odpowiedziałem:

– Nie udawajcie, przecież powinniście znać to słowo, gdyż znany działacz komunistyczny aresztowany i uwięziony przez Stalina, zmarły w więzieniu, miał pseudonim Radek (prawdziwe nazwisko Sobelson). W tym przypadku chodzi jednak o zdrobniałe imię mojego syna Radosława. Radosław w skrócie Radek.

Na to on porozumiewawczo uśmiechnął się i rzekł:

– Dziękuję wam, zrozumiałem. Życzę wszystkiego dobrego.

Po zrobieniu zakupów, załatwieniu formalności i biletu lotniczego, rozliczeniu się z uczelnią i pożegnaniu z kolegami, z lotniska w Leningradzie odleciałem do kraju.

Walcz

W samolocie, który leciał na wysokości około dziesięciu tysięcy metrów, dostałem strasznych bólów w okolicy lędźwiowo-krzyżowej, pachwin i kończyn dolnych. Ledwo wytrzymałem dwugodzinny lot do Warszawy. Z lotniska taksówką podjechałem do kadr MON, a stamtąd, po załatwieniu formalności, szybko karetką do Centralnego Wojskowego Szpitala Klinicznego na ulicę Szaserów.

Tam wszystko zaczęło się od nowa, gdyż dokumentacji choroby nie było i mimo starań nie dostarczono jej nigdy. Znowu były różne środki lecznicze, ale przeważnie przeciwbólowa pyralgina w zastrzykach domięśniowych, a jak to nie pomagało, to także brałem ją doustnie. Trochę pomagała, ale niewiele. Powodowała raczej większe oszołomienie i przytępienie niż uśmierzała ból. Odkryłem, że najlepiej mi robią ćwiczenia gimnastyczne, zmniejszające okresowo ból. Lekarze wyjaśniali to stosunkowo prosto. Przy gimnastyce zwiększa się ukrwienie komórek, w tym i nerwowych, a więc zmniejsza się ból i przyspieszona jest ich regeneracja. Jednocześnie poinformowano mnie, że regeneracja (wymiana) zwykłych komórek trwa kilkanaście dni, zaś nerwowych kilka lat. Później potwierdziło się to w praktyce, gdyż z tymi dolegliwościami zmagałem się około czterech lat, aż całkowicie ustąpiły.

W czasie późniejszej kuracji stosowałem także niekonwencjonalne sposoby leczenia. Wynikało to stąd, że z jednej strony nie bardzo dowierzałem wiedzy medycznej lekarzy i poziomowi medycyny w ogóle, a z drugiej strony zawsze siedział we mnie duch poszukiwań, eksperymentów oraz otwarcia na wszystko,

co mnie otacza. Przypomniałem sobie o kuracji pszczelej, którą stosowała mama. Będąc w Przytkowicach zastosowałem ją także. Natychmiastowych efektów nie było, jak w przypadku mamy, ale stopniowo dolegliwości ustępowały, dawało się żyć i studiować.

Po prawie miesięcznym pobycie w szpitalu i otrzymaniu około półtoramiesięcznego zwolnienia lekarskiego na rekonwalescencję i rehabilitację udałem się znowu do kadr. Tam poinformowano mnie, że otrzymuję czasowy przydział służbowy do Wałcza. Uzasadniono to bliskością garnizonu wałeckiego od Choszczna i możliwością częstszego przebywania w domu, a ponadto potrzebą odbycia praktyki w pułku łączności. Praktyki niezwykle przydatnej w dalszej mojej służbie w wojskach łączności oraz na studiach w Akademii Sztabu Generalnego, mieszczącej się w Warszawie – Rembertowie. Tak więc moja praktyka w Wałczu miała trwać do końca września. W tym czasie miałem także wykorzystać przysługujący mi miesięczny urlop wypoczynkowy.

W Wałczu zameldowałem się na przełomie lutego i marca u dowódcy pułku łączności, niezwykle sympatycznego i przystojnego pułkownika Stanisława Markowskiego. Pułk ten miał dwojakie podporządkowanie. Pod względem operacyjnym podlegał Sztabowi Generalnemu, a na wypadek konfliktu zbrojnego dowództwu frontu, zaś pod względem zabezpieczenia tyłowego czasu pokoju – Pomorskiemu Okręgowi Wojskowemu, na którego terytorium stacjonował.

W tym czasie tworzyły go: dwa bataliony dowodzenia, batalion transmisji informacji, batalion łączności kwatermistrzowskiego stanowiska dowodzenia (KSD), kompania dowodzenia wysuniętego stanowiska dowodzenia, szkoła podoficerska i kompania zaopatrzenia. Głównym jej przeznaczeniem było tworzenie polowych, mobilnych węzłów łączności stanowisk dowodzenia frontu, a więc węzłów łączności stanowiska dowodzenia (SD), zapasowego stanowiska dowodzenia (ZSD), kwatermistrzowskiego stanowiska dowodzenia (KSD) i wysuniętego stanowiska dowodzenia (WSD). Posiadał sprzęt łączności różnych typów i rodzajów, rozwijany w ramach stanowisk dowodzenia i zapewniający wszechstronną łączność oficerom dowództwa frontu przebywającym na tych stanowiskach.

Pułk łączności zajmował poniemieckie koszary, trochę starszego typu niż w Choszcznie. Nie wyglądały więc jak jednakowe pudełka nakryte dachami i były ciekawsze architektonicznie oraz kolorystycznie niż choszczańskie. Zaraz za główną bramą wjazdową, po lewej stronie, stał budynek dowództwa i sztabu, gdzie pełnił także służbę oficer dyżurny. Następnie był duży plac koszarowy, wokół którego posadowione zostały budynki koszarowe, dalej zaś garaże, za nimi tor przeszkód i część sportowa. Kasyno oficerskie oddalone było od koszar o kilkaset metrów, a w pobliżu niego stało sporo budynków zamieszkałych przez kadrę jednostki. W tym czasie w Wałczu stacjonował także w oddzielnych koszarach pułk zmechanizowany oraz na skraju miasta rozmieszczony był duży Rejonowy Szpital Wojskowy.

Wałcz to piękne poniemieckie miasteczko, położone nad jeziorem, wśród dużych borów Pomorza Środkowego. W swoim herbie posiada skrzyżowane pióro (a może gałązkę trzciny) z mieczem, nad którymi widnieje gwiazda, a nad nią korona. Wszystkie te elementy są w kolorze złotym na niebieskim tle. Wałcz, znacznie większy od Choszczna i prawie niezniszczony w czasie wojny, prezentował się ciekawie, szczególnie jego zabytkowe centrum. W pobliżu Wałcza mieściło się poniemieckie centrum przygotowań olimpijskich, wykorzystywane także współcześnie przez sportowców oraz willa – była letnia rezydencja Ewy Braun, kochanki Hitlera.

Przez Wałcz prowadziła szosa i linia kolejowa łącząca Bydgoszcz ze Szczecinem. O ile szosy zapewniały dobrą komunikację samochodową i autobusową, o tyle połączenia kolejowe były słabe, a pociągi jeździły w żółwim tempie. Szczególnie z Wałcza do Szczecina przez Złocieniec, Drawsko Pomorskie, Stargard Szczeciński. Aby dostać się na linię Warszawa–Szczecin, należało przesiadać się w Stargardzie Szczecińskim lub w Pile, a następnie w Krzyżu. Zatrzymałem się nad tym nieco dłużej, aby pokazać, że odległość w prostej linii między Wałczem a Choszcznem wynosiła około 70 kilometrów, to jechało się pociągiem dobrych kilka godzin.

W pułku otrzymałem etat zastępcy komendanta Szkoły Podoficerskiej. Była to szkoła kształcąca podoficerów służby zasadniczej, nie tylko dla pułku, ale także dla innych jednostek wojskowych. Szkolenie trwało około sześciu miesięcy i w jego wyniku szkołę opuszczali młodsi specjaliści łączności, mogący pełnić funkcje dowódców radiostacji, aparatowni różnych typów, drużyn kablowych i innych, w stopniach kaprali. Po ukończeniu szkoły rozsyłani byli do oddziałów i pododdziałów łączności, gdzie dalej pełnili służbę wojskową.

Jednocześnie większość czasu pracowałem w sztabie pułku, w sekcji operacyjnej i planowania szkolenia. Tutaj zapoznawałem się ze specyfiką pułku, pracą i działaniem dowództwa, dokumentacją ćwiczebną i bojową, planowaniem szkolenia oraz innych przedsięwzięć. Brałem także aktywny udział w ćwiczeniach, w których pułk zapewniał łączność dowództwu frontu. Pozwalało mi to poszerzyć horyzonty, zdobyć doświadczenie w pracy dowódczo-sztabowej na szczeblu operacyjno-strategicznym. Uczestniczyłem również w szkoleniu przyszłych podoficerów, a szczególnie kontroli bieżącej, okresowej i końcowej ich postępów w nauce i efektów podsumowujących szkolenie.

Mieszkałem w internacie wojskowym, zajmując samodzielny pokój. W czasie wolnym przeważnie czytałem książki beletrystyczne oraz literaturę fachową i wojskową, chodziłem na spacery i jeździłem w pobliskie lasy na grzyby. A że najwięcej zbierałem kurek, z którymi nie wiedziałem co dalej robić, więc je suszyłem. Później jednak nie nadawały się w całości do gotowania lub smażenia, albowiem robiły się gumowate i niesmaczne. Dopiero po jakimś czasie wpadliśmy z żoną na pomysł, aby je zmielić w nowym młynku do kawy na drobny proszek, który dodawany do zup i sosów zapewniał wspaniały aromat i zdecydowanie poprawiał ich smak.

Tak przeleciało te kilka miesięcy, w których poznałem także niezwykle sympatycznych ludzi. Należeli do nich przede wszystkim Łojkowie. A więc Olek Łojko, też łącznościowiec i absolwent Zegrza, tylko kilka lat młodszy i jego żona Zuzanka. Olek w tym czasie był szefem sztabu batalionu łączności KSD, a później zastępcą szefa sztabu brygady, jako że pułk przemianowano potem na brygadę. Zuzanka zaś pracowała w administracji Powiatowego Zarządu Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Niezwykli to byli i są ludzie. Nadzwyczaj uczciwi, serdeczni, uczynni oraz wielkiego serca i dobroci. Przyjaźnimy się do dziś, odwiedzamy i wspieramy wzajemnie. Ze świecą szukać takich przyjaciół.

Wiele także zawdzięczam Witoldowi Kowalskiemu, który wprowadzał mnie w arkana pracy sztabowej i operacyjnej. Człowiekowi z wysoką kulturą osobistą, wiedzą specjalistyczną, umiejętnościami organizatorskimi i o niekłamanym autorytecie. Do moich niezwykłych i przesympatycznych kolegów należał także Bogdan Mikołajczak, którego przyjaźń i koleżeństwo wspominam do dziś. Tam też spotkałem kolegę z naszego rocznika z Zegrza i z jednego plutonu Jasia Juszkiewicza, zwanego Wańką. Radził sobie nieźle w pracy, ale miał szereg problemów rodzinnych, które przyczyniły się do tego, że zbyt często zaglądał do kieliszka, co mu na zdrowie nie wyszło. W Wałczu zakończył też zawodową służbę wojskową i odszedł na emeryturę.

Rembertów

Rembertów znany w studenckiej gwarze jako Rembrantów lub Rembridż, był dzielnicą prawobrzeżnej Warszawy. Te potocznie stosowane przez studentów nazwy miały swoje uzasadnienie. Określenie Rembrantów pochodziło od nazwiska znanego niderlandzkiego malarza Rembrandta van Rijn, ponieważ w akademii kwitła sztuka rysowania i malowania, ale map taktyczno-operacyjnych oraz Rembertowa. Zaś Rembridż był trawestacją nazwy jednej z dwóch najstarszych i najszacowniejszych oraz elitarnych uczelni angielskich – Cambridge. Sądzę, że taką najstarszą i elitarną uczelnią wojskową w Polsce była właśnie Akademia Sztabu Generalnego WP w Rembertowie. Druga nazwa nawiązywała także do najpopularniejszej gry w akademii, jaką był brydż sportowy.

Jej prekursora – Szkołę Rycerską – utworzono w 1765 roku, której podstawowym celem edukacyjnym było wykształcenie oficera oraz wychowanie Polaka – patrioty, żołnierza i obywatela. Organizatorem szkoły i jej pierwszym komendantem został książę Adam K. Czartoryski, marszałek Sejmu i członek Komisji Edukacji Narodowej. Uczelnia ta działała do 1794 roku.

Żyjący ówcześnie Kanclerz Wielki Koronny Andrzej Zamoyski (1716–1792), tak pisał o szkolnictwie, w tym wojskowym.

„Nie dość na tym ustanowić rządy, ustanowić prawa, trzeba jeszcze uformować ludzi, żeby umieli kochać i bronić Ojczyznę, prawa stanowić i być posłusznymi. Trzeba uformować

serce, uformować umysł ...przyzwoitą nauką do rządów Rzeczypospolitej w czasie wojny i w czasie pokoju ...Takie Rzeczypospolite będą, jakie jej młodzieży chowanie."

W latach 1820–1831 w stolicy Królestwa Polskiego w Warszawie istniała kolejna uczelnia wojskowa – Aplikacyjna Szkoła Wojenna. W okresie niewoli narodowej tworzono szkoły wojskowe na emigracji. Ich absolwenci brali udział w walkach o niepodległość Polski i innych narodów, zgodnie z historycznym zawołaniem „Za wolność Waszą i Naszą".

Tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej z inicjatywy Józefa Piłsudskiego powstały szkoły, będące zalążkiem współczesnego systemu szkolnictwa wojskowego. Przygotowywały one kadry oficerskie dla przyszłych sił zbrojnych odradzającej się Polski.

W czerwcu 1919 roku rozpoczęła działalność Szkoła Oficerów Sztabu Generalnego, którą w styczniu 1920 roku przemianowano na Szkołę Sztabu Generalnego, a następnie w sierpniu na Wyższą Szkołę Wojenną. Jej absolwenci, tak jak obecni, otrzymywali tytuł oficera dyplomowanego. Uczelnia ta wniosła znaczny wkład w przygotowanie kadr dowódczo-sztabowych i pomnażanie polskiej myśli wojskowej. Podczas drugiej wojny światowej (do roku 1946) kształcenie oficerów kontynuowała Wyższa Szkoła Wojenna w Szkocji.

Nowy rozdział w historii polskiego szkolnictwa wojskowego rozpoczął się 22 października 1947 roku. Dekretem Rady Ministrów powołano Akademię Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Początkowo mieściła się w Warszawie przy ulicy Opaczewskiej 2, a następnie od 1954 roku w historycznym, wojskowym kompleksie szkoleniowym II Rzeczpospolitej – w Rembertowie.

Kompleks akademicki w Rembertowie mieścił się na przedłużeniu ulicy Wieczorkiewicza, prowadzącej od stacji kolejowej Rembertów w kierunku poligonu Wesoła i lasów okuniewskich. Była to szeroka ulica dwupasmowa, mająca po dwie jezdnie w obu kierunkach, przy której stały parterowe i jednopiętrowe, jeszcze przedwojenne i w większości drewniane domy, przypominające typową żydowską zabudowę.

Pięknie położony wśród wiekowych dębów i starych sosen Rembertów, z wieloma odmianami ciekawych drzew i krzewów oraz przeróżnych zagajników, a także otoczony z dwóch stron przez lasy był oazą ciszy i świeżego powietrza. W latach siedemdziesiątych obejmował historyczną i zabytkową bramę wejściową do kompleksu akademickiego, która jakby zamykała i dzieliła ulicę Wieczorkiewicza (obecnie generała Chruściela) na dwie części, część miejską i część akademicką. Za bramą dalej prowadziła ulica Wieczorkiewicza. Po jej lewej stronie znajdowały się między innymi: blok 101 i blok 25 oraz przychodnia lekarska, wydział wydawniczy, drewniany hotel oficerski, budynki koszarowe dla żołnierzy służby zasadniczej, zabezpieczających pracę akademii, stołówka żołnierska, a także budynki magazynowe i gospodarcze.

Blok 101 był głównym gmachem akademii zbudowanym już po drugiej wojnie światowej. Tu mieściła się komenda akademii, katedry nauczające taktyki, sztuki operacyjnej wojsk lądowych i strategii oraz sale wykładowe. Miał

około sto metrów długości i cztery kondygnacje. Blok 25, zwany także blokiem lotniczym, zbudowany zaraz po uzyskaniu niepodległości, czyli na początku lat dwudziestych, był także blokiem czterokondygnacyjnym. Mieściły się tam między innymi katedry lotnicze i obrony powietrznej kraju oraz sale wykładowe. W tej części mieścił się także Wojskowy Instytut Chemii i Radiometrii, nienależący do akademii.

Po prawej stronie ulicy Wieczorkiewicza, dzielącej kompleks akademicki na dwie części, stały przedwojenne domy mieszkalne kadry w postaci kilkupiętrowych bloków oraz dwurodzinnych willi, a ponadto olbrzymi budynek zwany blokiem 14, blok 56 i kasyno wojskowe.

Blok 14 był przepięknym architektonicznie zespołem mieszkalnym wybudowanym na początku lat trzydziestych. Z góry przedstawiał sobą widok stylizowanego orła w locie. Służył jako internat dla słuchaczy studiów dyplomowych i podyplomowych. W nim także mieściła się olbrzymia aula i biblioteka główna akademii. W bloku 56 mieściła się biblioteka beletrystyczna, klub, sala kinowa, gdzie także odbywały się ważniejsze uroczystości akademickie, katedry przedmiotów humanistycznych i politycznych oraz sale wykładowe.

Kasyno zbudowano w kształcie litery T. W jej nóżce znajdowało się parterowe zaplecze kuchenne. Górna część litery obejmowała cztery olbrzymie sale. Po dwie na parterze i na piętrze. Pośrodku zaś duży holl, z którego szerokie i rozgałęziające się od półpiętra schody prowadziły na piętro. Sale na parterze służyły do spożywania codziennych posiłków, zaś na piętrze mieściła się restauracja, w której odbywały się także, trzy razy w tygodniu, dansingi. Była to sławna i znana przez wszystkich „górka". Swoją potoczną nazwę zawdzięczała temu, iż była na piętrze. A więc patrząc z parteru na górce, czyli wyżej. Druga sala na piętrze rzadko kiedy była wykorzystywana. Przeważnie wówczas, gdy miały miejsce dodatkowe szkolenia, kursy, ćwiczenia lub w czasie remontu i odnawiania innych sal, a także z okazji zabaw sylwestrowych lub innych, dużych uroczystości.

W kasynie była jeszcze jedna, ale już znacznie mniejsza sala na piętrze. Wchodziło się do niej ze szczytu budynku. Najpierw do średniej wielkości hollu na parterze, gdzie była szatnia i niewielkie zaplecze gospodarcze, a raczej kelnerskie. Stamtąd dopiero na piętro i do tej sali. Sala zwana była „degolówką", gdyż w latach dwudziestych wykładowcą w Wyższej Szkole Wojennej w Rembertowie był, nie kto inny jak ówczesny kapitan armii francuskiej, późniejszy generał i prezydent Francuzów Charles de Gaulle. To on właśnie i inni koledzy z armii zachodnich w czasie swego pobytu w Rembertowie stołowali się w tym pomieszczeniu i od niego wzięła potoczną nazwę. Za moich studenckich czasów była w dyspozycji komendanta akademii i służyła raczej celom reprezentacyjnym.

W tej części terenów akademickich mieściły się także: kompleks sportowy w postaci sal gimnastycznych i basenu oraz boiska sportowego, strzelnic pistoletowej i sportowej, a także nienależące do akademii – Wojskowy Instytut Hi-

storyczny i Centralne Archiwum Wojskowe. Za nim zaś osiedle wojskowe zwane „Polanka".

To tyle o terenie akademii, który należy do ładniejszych, jakie widziałem w życiu. Naprawdę warto go zwiedzić, szczególnie wiosną, latem i jesienią. Zadziwiają wówczas wczesnoporanne śpiewy przeróżnych ptaków, stukanie i pukanie dzięciołów, szum drzew w czasie wiatru oraz duszna i wilgotna atmosfera po deszczu w zagajnikach, przypominająca zapachy lasów tropikalnych.

Rozkazem MON nr 0206 z dnia 4 września 1973 roku zostałem przyjęty na studia w Akademii Sztabu Generalnego. Wszyscy przyjęci zjawili się w Rembertowie w ostatnich dniach września i zostali zakwaterowani, czyli zamieszkali w historycznym bloku nr 14, w pokojach dwu i trzyosobowych.

Wszyscy przeszli kurs przygotowawczy i zdali egzaminy. Mnie zaliczono egzamin zdawany w poprzednim roku na studia do Sojuza. Słuchaczami byli oficerowie ze stanowisk dowódców batalionów, szefów sztabów batalionów oraz dowódców kompanii (baterii) i równorzędnych. Z wojsk zmechanizowanych i pancernych przeważali porucznicy, gdyż szybciej awansowali na wyższe stanowiska służbowe. Z rodzajów wojsk przeważnie kapitanowie, ponieważ tam wyższych stanowisk było znacznie mniej i było o nie znacznie trudniej. Do grup tyłowych przyjmowano zaś kapitanów i majorów do trzydziestego piątego roku życia. Wszyscy kandydaci na studia musieli mieć co najmniej kilkuletnią praktykę liniową w dowodzeniu batalionem, kompanią (baterią).

W owym czasie kształcenie odbywało się w większości w kilkunastu osobowych grupach szkoleniowych. Było kilka (przeważnie sześć) grup ogólnowojskowych, które tworzyli oficerowie wojsk zmechanizowanych, pancernych, desantowych, obrony terytorium kraju, ochrony pogranicza. Ponadto po jednej grupie oficerów rodzajów wojsk. A więc były grupy wojsk: rakietowych i artylerii, przeciwlotniczych, inżynieryjnych, łączności, chemicznych oraz dwie grupy tyłowe (kwatermistrzowskie). Było więc 13 grup szkoleniowych, średnio po piętnastu słuchaczy, czyli razem około dwustu oficerów wojsk lądowych na pierwszym roku. Ponadto grupy lotnicze i zabezpieczenia lotnictwa

Grupę wojsk łączności tworzyło tylko jedenastu oficerów. Należeli do nich w kolejności alfabetycznej: kapitan Leszek Buchnajzer, porucznik Paweł Chudzyński, kapitan Antoni Korepta, kapitan Henryk Kozłowski, kapitan Marian Kruszyński, kapitan Jan Kubiak, kapitan Jan Lichwała, kapitan Jerzy Mazurkiewicz, kapitan Józef Wasiak, kapitan Józef Zięba, porucznik Krzysztof Zaczek-Zaczyński.

Starszym grupy wojsk łączności został Marian Kruszyński ps. „Maniuś", który przyszedł do akademii ze stanowiska dowódcy batalionu rozpoznania i zakłóceń z Giżycka. Miał bardzo dobrą opinię z jednostki wojskowej, najwyższy z nas etat, a ponadto jego szwagier był wykładowcą taktyki wojsk obrony przeciwlotniczej w akademii. Bardzo spokojny, zrównoważony i koleżeński pełnił tę funkcję przez trzy lata. Był jednak najniższy z nas wzrostem. A że lubiliśmy go, szczególnie ja, więc początkowo mówiłem do niego „mały". Nie

złośliwie, a wręcz przeciwnie z sympatią. Nadszedł jednak dzień, kiedy po którymś tam kieliszku zdobył się na odwagę i powiedział:

– Jurek! Możesz mówić na mnie jak chcesz, tylko nie mów mi mały.

Wówczas zrozumiałem, że ma kompleks niskiego wzrostu. Przeprosiłem go serdecznie, mówiąc mu prawdę, iż nie wiedziałem, a nawet nie domyślałem się jego kompleksu. I zaprzestałem na zawsze mówić mu mały. Ale na drugim roku stało się znane nazwisko krakowskiego redaktora telewizyjnego Kruszelnickiego. Tak mi się ono spodobało, że od tego momentu mówiłem o Marianie lub do Mariana – Kruszelnicki.

Dwóch oficerów przyszło ze Śląskiego Okręgu Wojskowego – Jasiu Lichwała i Józek Zięba. Jasiu Lichwała był typowym, szczupłym i piegowatym blondynem, ze sterczącymi na długiego jeża ostrzyżonymi i rozwichrzonymi włosami. Przed przyjściem do akademii służył w Międzyrzeczu, pełniąc obowiązki dowódcy kompanii łączności. Był szybki do tego stopnia, że idąc na śniadanie potrafił po drodze załatwić kilka spraw. Mówiliśmy, że jest jak Latający Holender lub że przemyka się między promieniami słońca i kroplami deszczu. I to pasowało do niego jak ulał, albowiem był bardzo jasnym i w dodatku piegowatym blondynem, poruszającym się zawsze z szybkością błyskawicy.

Józek Zięba był chłopakiem z moich stron. To z nim jechałem na egzaminy do Zegrza i który wcześniej niż ja ukończył szkołę oficerską. Należał do bardzo spokojnych, sympatycznych i średnio zdolnych kolegów, którzy jednak dawali sobie nieźle radę na studiach. Marzył, aby zaraz po studiach wrócić w rodzinne strony, co mu się nie bardzo udało. Dopiero w dalszych latach przeniósł się do Krakowa.

Z Pomorskiego Okręgu Wojskowego było nas dwóch: Józiu Wasiak i ja. Józiu przed przyjściem do akademii służył w elbląskiej dywizji pancernej i pełnił obowiązki szefa sztabu batalionu łączności. Była to niezwykle barwna postać. Szczególnie jak wstawił się w stan wskazujący na spożycie. Bardzo koleżeński i lubiany przez kolegów. Nie błyszczał jako najlepszy taktyk i operator, ale pracowitością nadrabiał pewnie niedomogi. Zapalony gracz w brydża. Wielbiciel Bażanciarni w Elblągu, mogący o niej opowiadać godzinami. Sprawdziłem to później. Miał całkowitą rację. Bardzo piękne, wręcz unikalne miejsce na Wysoczyźnie Elbląskiej i nie tylko.

Antek Korepta przybył z Olsztyna, a więc z Warszawskiego Okręgu Wojskowego, gdzie był dowódcą pododdziału łączności w olsztyńskiej dywizji. On, Marian Kruszyński i ja byliśmy z jednego wypustu szkoły oficerskiej, promocji 1963 roku. Znaliśmy się więc jak łyse konie i przyjaźniliśmy od lat. Niewątpliwie przystojny i mający powodzenie u kobiet Antek brylował na bankietach i parkiecie, będąc jednak wierny swojej żonie, do której jeździł regularnie.

Łącznościowcami z wojsk lotniczych byli: Leszek Buchnajzer ps. „Lesio" i Heniu Kozłowski. Starszy z nich, Heniu przyszedł z malborskiej dywizji lotniczej, gdzie pełnił obowiązki dowódcy pododdziału łączności. Natomiast Leszek Buchnajzer z podobnego stanowiska, lecz ze Śremu. Po ukończeniu

studiów obaj wrócili do swoich macierzystych garnizonów, a potem zostali: Heniu – kwatermistrzem dywizji, a Leszek dowódcą 6 Pułku Łączności Wojsk Lotniczych w Pile.

Z nich dwóch zdolniejszy był Leszek Buchnajzer, który nie tylko posiadał wybitne zdolności dowódcze, ale także sokoli wzrok. Mimo wysokiego wzrostu, mógł w trakcie zajęć, stojąc czytać wszystko z zeszytu lub książki leżącej na ławce i to tak, że wykładowca był przekonany, iż mówi z głowy. Heniu o mocno śniadej cerze i kruczoczarnych włosach miał w sobie wiele z azjatyckiej urody. Wiązało się to chyba z tym, iż wraz matką powrócił po wojnie do Polski właśnie z terytoriów azjatyckich Związku Radzieckiego.

Jasiu Kubiak ps. „Policjant" był u nas odmieńcem. Przyszedł ze stanowiska pomocnika szefa sztabu kieleckiej brygady łączności, która wówczas była brygadą wojsk wewnętrznych, dawniej Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (KBW). A że w brygadzie nosiło się granatowe otoki, więc kolor i funkcję brygady łączyło się z granatową, przedwojenną policją. I tak otrzymał ów przydomek.

Bardzo sympatyczny, szczupły i wysportowany, choć może mało urodziwy spisywał się dobrze jako student i kolega. Był jednak trochę znerwicowany i dosyć mocno trzęsły się mu ręce. Niekiedy aż tak, że miał problemy z jedzeniem łyżką. Przy tym defekcie podziwialiśmy jego umiejętności w rysowaniu i opisywaniu map. Wypracował sobie technikę polegającą na tym, iż brał w rękę kredkę lub flamaster i wpierw przyciskał je do mapy, a później rysował mając dłoń położoną i dociśniętą do mapy. Nikt by nie uwierzył widząc jego defekt, że wyniki w rysowaniu i malowaniu map może mieć tak dobre.

Przedstawicielem marynarki wojennej był Paweł Chudzyński, który przybył do akademii z pułku łączności marynarki wojennej stacjonującego w Wejherowie. Należał do trójki najlepszych studentów w grupie. Przystojny i nad wyraz spokojny, z wyrobionymi pewnymi nawykami w stylu angielskim, cieszył się ogólną sympatią w grupie. Po skończeniu studiów powrócił do Wejherowa na stanowisko dowódcy batalionu łączności, a następnie pełnił obowiązki zastępcy dowódcy pułku.

Na koniec kilka zdań o Krzysiu, dwojga nazwisk Żaczek-Zaczyński. Do akademii przybył z Instytucji Centralnych MON (IC MON). Rodzinę miał w Warszawie, więc sporo czasu spędzał w domu, szczególnie wieczory, noce i dni świąteczne. Sympatyczny, chociaż trochę nygusowaty i niepalący się do pracy i nauki. Jednakże zdolny i dający sobie radę we wszystkich okolicznościach. Po studiach został wykładowcą na AWF-ie w Warszawie. Zrobił także doktorat.

Inauguracja roku akademickiego odbyła się pierwszego października 1973 roku w obecności komendanta uczelni, generała broni Bolesława Chochy. Człowieka wykształconego i nietuzinkowego, byłego szefa Sztabu Generalnego WP. Posiadającego obszerną wiedzę i szerokie horyzonty z zakresu prowadzenia wojen, strategii, sztuki operacyjnej i taktyki oraz doskonałe pióro. Autora

wielu opracowań książkowych z zakresu obronności państwa i sztuki wojennej. Osobowości o niezwykłej kulturze i wiedzy, a przy tym człowieka skromnego i wyrozumiałego. Kierującego wspaniale akademią, tworzącego dobrą atmosferę do pracy, nauki i partnerstwa w rozwiązywaniu wszelakich problemów. Niestety, zbyt często zaglądającego do kieliszka, co też wykorzystywało wielu, a także jego wrogowie w czasie naszej promocji w 1976 roku. Doprowadzili wówczas do jego upicia się i wystąpienia w takim stanie w czasie uroczystości. Nie był to widok przyjemny, a ja osobiście obawiałem się, że komendant upadnie na oczach wszystkich i przyniesie wstyd sobie i nam. Było to przyczyną późniejszego zwolnienia go z tego stanowiska i przejścia na emeryturę. Żal takiej głowy i osobowości. Ale tak to już jest w życiu, że ludzie wybitni często nadużywają alkoholu.

Pierwsze dni poświęcono zapoznaniu z uczelnią i jej zapleczem. Potem już rozpoczął się proces kształcenia. Kolejno od wykładów, seminariów do ćwiczeń grupowych, dowódczo-sztabowych, szkieletowych, kolokwiów i egzaminów.

Ogólny podział toku studiów był taki, że pierwszy rok obejmował dużo wiedzy ogólnej oraz zakres działania oddziału, a więc pułku zmechanizowanego (pz) i pułku czołgów (pcz). Drugi rok zakres działania związku taktycznego, a więc dywizji zmechanizowanej (DZ) i dywizji pancernej (Dpanc). Pierwszy i drugi rok obejmowały więc szczebel taktyczny. Trzeci rok przeznaczony był na zapoznanie ze szczeblem operacyjnym, a więc działaniem armii ogólnowojskowej i armii pancernej. Wiązało się to z ogromem wiedzy operacyjnej i niemożliwością jej zgłębienia w przeciągu jednego roku. Problematyka operacyjna pogłębiana była na podyplomowych studiach operacyjno-strategicznych, prowadzonych w uczelni dla oficerów starszych z dowództw okręgów wojskowych, rodzajów sił zbrojnych oraz Sztabu Generalnego i instytucji centralnych MON.

Na pierwszym roku mieliśmy 26 przedmiotów, z tego 10 na ocenę i 16 na zaliczenie. Należały do nich następujące przedmioty taktyczne: taktyka ogólna i taktyki poszczególnych rodzajów wojsk, a więc wojsk rakietowych i artylerii, wojsk obrony przeciwlotniczej, wojsk inżynieryjnych, wojsk łączności, wojsk chemicznych, wojsk lotniczych oraz rozpoznanie wojskowe i armie obce, a także taktyka tyłów. Ponadto: organizacja i mobilizacja wojsk, historia sztuki wojennej, topografia, metodyka szkolenia taktycznego, matematyka wyższa, język obcy (angielski lub niemiecki, do wyboru), praca partyjno-polityczna, filozofia i socjologia, ekonomia polityczna, pedagogika. A także elementy logiki, dydaktyka, techniki pracy umysłowej, administracja wojskowa, psychologia, teoria organizacji i zarządzania oraz wyszkolenie fizyczne i ogniowe.

Jak widać sporo było przedmiotów ściśle taktycznych. A więc uczących taktyki, to jest sposobów prowadzenia walki i pokonywania przeciwnika. Oczywiście rodzi się pytanie – dlaczego tak dużo? Sądzę, iż z powodu tego, że jest to dziedzina działalności niezwykle skomplikowana i wymagająca wysokich

kosztów, tj. śmierć i duże zniszczenia. Porównując ją do gier, można powiedzieć, że odpowiada ona połączonej grze w szachy i brydża.

Szachy przypomina pod względem skomplikowania, wielowariantowości rozwiązań oraz przeróżnych zależności i posiadanych możliwości użycia sił i środków walki. Jednak tak jak w brydżu, grę tę komplikuje jeszcze niewiadoma lub niepewność dotycząca sił przeciwnika oraz zamiarów i sposobów jego gry. Jeśli to sobie uzmysłowimy i dodamy, że operujemy jeszcze potencjałem ludzkim, którego zachowanie na polu walki jest także w pewnych granicach nieprzewidywalne i niesprawdzalne wcześniej, wówczas mamy przed sobą skalę złożoności problemów, składających się na taktykę ogólną i taktykę rodzajów wojsk. Na wyższych szczeblach dowodzenia dotyczy to jeszcze bardziej sztuki operacyjnej i strategii.

Aby osiągnąć kunszt taktyczny trzeba posiąść wiedzę teoretyczną, a przede wszystkim doświadczenie i umiejętności praktyczne. Temu ostatniemu celowi służyły ćwiczenia, ale jakże inne od ćwiczeń prowadzonych w uczelniach cywilnych. Były one różne pod względem celu, formy i metod ich prowadzenia.

Biorąc pod uwagę cel dydaktyczny dzieliły się na: zapoznawcze, główne, doskonalące i kontrolne. Celem ćwiczeń zapoznawczych lub wprowadzających było zapoznanie słuchaczy z określoną problematyką, wyrobienie poglądu na rolę, miejsce i sposób działania związku operacyjnego, taktycznego i oddziału. W takich ćwiczeniach słuchacze odgrywali raczej rolę bierną i tylko studiowali gotowe założenia i sytuacje taktyczne (operacyjne) oraz przedstawione im gotowe rozwiązania problemów.

Na ćwiczenia główne przeznaczonych było najwięcej godzin, a w ich trakcie rozwiązywało się wszystkie zasadnicze problemy walki zbrojnej, to jest taktyki ogólnej oraz taktyki rodzajów wojsk. Ćwiczenia główne charakteryzowały się tym, że były w zasadzie ćwiczeniami standardowymi, w których zachowywane były wszystkie regulaminowe zasady, sposoby oraz możliwości ich prowadzenia.

Ćwiczenia doskonalące miały na celu rozwijanie umiejętności rozwiązywania problemów walki zbrojnej w nietypowych sytuacjach taktycznych, terenowych i organizacyjnych. Poszerzały one horyzonty myślowe i umiejętności słuchaczy w prowadzeniu działań w rzeczywiście trudnych i nietypowych warunkach. O ile w ćwiczeniach głównych doceniano raczej rozwiązania standardowe, typowe, o tyle w doskonalących preferowano rozwiązania nieszablonowe, ciekawe i zaskakujące, byleby miały odpowiednie uzasadnienie i rokowały wykonanie zadania.

Ćwiczenia kontrolne prowadzono po zakończeniu cyklu tematycznego lub taktycznego, a egzaminacyjne na koniec roku akademickiego. Te ostatnie trwały przeważnie sześć godzin i obejmowały sprawdzian z taktyki ogólnej i taktyki rodzajów wojsk. Rozwiązanie z taktyki ogólnej przedstawiało się na mapie, przeważnie w postaci decyzji dowódcy oraz w części opisowej. Z taktyki wojsk łączności (na egzaminie) przeważnie w postaci opisowej.

Pod względem formy ćwiczeń najczęściej stosowano ćwiczenia grupowe, dowódczo-sztabowe, treningi sztabowe i ćwiczenia szkieletowe. Większość ćwiczeń, w tym szczególnie ćwiczenia główne, prowadzono w formie ćwiczeń grupowych. Polegały one na tym, że na każdych zajęciach i do każdego tematu wszyscy słuchacze występowali w tej samej roli, na przykład dowódcy pułku, szefa sztabu pułku, oficera operacyjnego, szefa łączności, szefa artylerii itd. Każdy ze słuchaczy przygotowywał jednak własne rozwiązanie, które było oceniane.

Ćwiczenia dowódczo-sztabowe i treningi sztabowe polegały głównie na tym, iż każda grupa szkoleniowa tworzyła oddzielne dowództwo, na przykład pułku, a każdy z oficerów grupy pełnił inną funkcję. W takim ćwiczeniu nie tylko doskonaliliśmy się pod względem merytorycznym, ale przede wszystkim w ramach działania dowództwa i współdziałania oficerów wewnątrz sztabu. Prowadzone były przeważnie w czasie ćwiczeń i pobytu w terenie.

Ćwiczenia szkieletowe były najwyższą formą ćwiczeń w akademii. Zastępowały ćwiczenia z wojskami, które były bardzo drogie i w zasadzie niemożliwe do przeprowadzenia w warunkach akademickich, gdyż wymagały użycia dużej ilości jednostek wojskowych. Polegały na tym, że ćwiczyły tylko dowództwa, ale za to z pełnymi środkami zabezpieczenia, a więc sprzętem samochodowym, wozami dowodzenia na transporterach opancerzonych, środkami łączności i własnym zapleczem logistycznym. Prowadzono je w dalszych okolicach Warszawy i wówczas ich działanie zabezpieczały: pułk łączności z Białobrzegów, Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Łączności z Zegrza oraz batalion łączności 1 DZ im. Tadeusza Kościuszki z Legionowa, a także na terenie Pomorskiego i Śląskiego Okręgów Wojskowych, czyli okręgów pierwszorzutowych.

Ćwiczenia dowódczo-sztabowe i szkieletowe dzieliły się na jednoszczeblowe i wieloszczeblowe. Z jednoszczeblowymi mieliśmy do czynienia wówczas, gdy ćwiczyły dowództwa tylko jednego szczebla, na przykład dywizji, a pozostałe szczeble organizacyjne, czyli przełożonego i podwładnego, były tylko podgrywane. Oznaczało to, że zamiast tych dowództw tworzyło się tylko niewielkie grupy, które podgrywały ich działanie. Ćwiczenia wieloszczeblowe miały miejsce wówczas, gdy ćwiczyły dowództwa co najmniej dwóch szczebli organizacyjnych, na przykład pułku i dywizji.

Mieliśmy także do czynienia z ćwiczeniami jednostronnymi i dwustronnymi oraz metodycznymi. W ćwiczeniach dowódczo-sztabowych jednostronnych występowała tylko jedna strona konfliktu (walki), na przykład „Czerwoni", lub „Wschodni', zaś w ćwiczeniach dwustronnych także przeciwnik, przeważnie w postaci „Niebieskich' lub „Zachodnich". W ćwiczeniach dwustronnych podstawową metodą sprawdzenia poprawności przyjętych rozwiązań, podjętych decyzji, opracowanych planów działań, zabezpieczenia i współdziałania były konfrontacje, w których porównywano przedstawione rozwiązania oraz wskazywano zwycięzcę.

Ćwiczenie metodyczne miało absolutnie inny cel. Uczyło opracowywania ćwiczenia. Na pierwszym roku było to ćwiczenie „Opracowanie i organizacja

ćwiczenia z wojskami na temat: „Działanie bojowe batalionu piechoty". Jak widać obejmowało poziom o szczebel niższy od pułku, a więc już nam znany. Tym lepiej mogliśmy skoncentrować się na sprawach metodycznych.

Jakież to ćwiczenia były prowadzone na pierwszym roku studiów? Pierwsze ćwiczenie obejmowało „Obronę obszaru powiatu", drugie „Organizację planowania i kierowania osiąganiem wyższych stanów gotowości bojowej" i trzecie „Marsz pułku zmechanizowanego po uprzednim osiągnięciu gotowości bojowej w rejonie alarmowym". Dalej zaś ćwiczenie główne „Natarcie pułku zmechanizowanego" oraz doskonalące „Natarcie pułku zmechanizowanego w terenie górzystym w warunkach zimy", „Działanie pułku czołgów w górach, jako oddziału wydzielonego w warunkach zimy", „Batalion powietrzno-desantowy w działaniach na tyłach przeciwnika", „Natarcie pułku zmechanizowanego na miasto". Cykl ten zamykało ćwiczenie kontrolne na temat „Natarcie pułku zmechanizowanego".

Po nim następowało ćwiczenie główne „Obrona pułku zmechanizowanego pierwszego rzutu DZ", już ze znacznie mniejszą ilością godzin niż ćwiczenie główne z natarcia pułku, a po nim znowu ćwiczenie kontrolne na temat „Działania obronne pułku zmechanizowanego". Potem przyszły doskonalące ćwiczenia dowódczo-sztabowe: „Natarcie pułku zmechanizowanego", „Bój spotkaniowy pułku czołgów", „Wejście do walki i działanie pułku zmechanizowanego drugiego rzutu DZ w natarciu", „Forsowanie przez pułk zmechanizowany przeszkody wodnej z marszu", „Natarcie i obrona pułku zmechanizowanego oraz walka z kawalerią powietrzną". Na koniec roku ćwiczenia owe zwieńczało ćwiczenie szkieletowe „Natarcie i obrona pułku zmechanizowanego".

Przy uważnym zapoznaniu się z tą problematyką widać wyraźnie logiczny ciąg zależności oraz pewne uwarunkowania. Tematyka zaczyna się od obrony powiatu, czyli określonego terytorium kraju, aby potem przejść do osiągania gotowości bojowej przez pułk i jego marsz na dużą odległość, gdzie później w ramach dywizji wchodzi do walki i naciera w jej pierwszym rzucie. Następnie doskonali formy natarcia w różnorodnych warunkach pola walki.

Kolejna część tematyczna ćwiczeń obejmuje ćwiczenia z drugiego zasadniczego rodzaju walki – obrony. Na te zajęcia przeznaczono już znacznie mniej godzin, a więc nie były to działania preferowane przez ówczesnych radzieckich i naszych teoretyków prowadzenia wojen. Potem następowało ponownie doskonalenie działań zaczepnych i obronnych, zakończone ćwiczeniami szkieletowymi, w których praktycznie doskonalono działanie dowództw, współdziałanie w ramach sztabów oraz wykorzystanie technicznych środków dowodzenia i łączności.

W ćwiczeniach wykorzystywało się bardzo dużą ilość map topograficznych. Na pierwszym roku otrzymywaliśmy komplety pojedynczych arkuszy i trzeba było je samemu sklejać, opisywać i z pisemnych założeń nanosić na nie wyjściowe sytuacje taktyczne i rodzajów wojsk. Dopiero tak przygotowane mapy służyły do wrysowywania podjętych decyzji oraz wszelkich planów działania, współdziałania

i zabezpieczenia. A że nowe mapy robiło się prawie do każdych zajęć w ćwiczeniach, więc tych map wykonało się na pierwszym roku sporo ponad setkę.

Tę pracę traktowaliśmy jako niepotrzebną stratę czasu, gdyż prawie codziennie trwoniliśmy na te czynności zbyt wiele drogocennych minut. W związku z tym postulowaliśmy zmianę tego stanu rzeczy. Jednakże na pierwszym roku bez widocznego rezultatu. Tłumaczono nam, iż akademia nie ma tak zwanych mocy przerobowych, co w tłumaczeniu na normalny język brzmiało, że nie ma kto zająć się mapami. Dopiero w latach następnych otrzymywaliśmy już mapy sklejone i z naniesioną sytuacja początkową. Znacznie później jednak stwierdziliśmy, że w tym szaleństwie była jakaś metoda. Nauczyła nas bowiem bezbłędnie dobierać mapy i radzić sobie z nimi w przeróżnych okolicznościach, szybko i starannie je opisywać oraz nanosić niezwykle złożone sytuacje taktyczne w postaci obowiązujących znaków taktycznych.

Tu sytuacja wcale nie była ani prosta, ani łatwa. Nie tylko należało znać na pamięć setki znaków taktycznych, ale także umieć je wrysowywać w odpowiednich kolorach i wielkościach. Na przykład długość kresek na mapie oznaczających linie obronne, ugrupowanie w natarciu i obronie, w rejonach wyjściowych itp. musiała ściśle odpowiadać wielkości tych ugrupowań i odzwierciedlać dokładnie ich położenie w terenie. Trzeba więc było mieć odpowiednią wiedzę o wielkości tych ugrupowań i ich rozmieszczeniu. Oczywiście zgodnie z obowiązującą zasadą dotyczyło to nie tylko własnego ugrupowania, ale jeszcze o szczebel niżej.

Całe szczęście, że tego procederu zaniechano po pierwszym roku, albowiem na drugim roku mapy były jeszcze większe, zaś na trzecim mapy planowanych operacji lądowych lub kombinowanych, to znaczy lądowo-morskich i lądowo-powietrznych, składały się nawet z kilkudziesięciu arkuszy i zajmowały niekiedy sporą część sali wykładowej. Już samo nanoszenie na nie informacji, wypracowywanie decyzji i innych elementów odbywało się w ten sposób, że chodziło się po mapach w skarpetkach, a rysowało na kolanach lub w pozycji leżącej.

I jeszcze jedna ciekawa sprawa techniczna w zakresie rysowania map. Na pierwszym roku zaczęliśmy w sposób tradycyjny, jak nasi poprzednicy praktykowali to przez wiele lat, a więc od rysowania kredkami o nazwie „Taktyka", wytwarzanymi przez zakłady z Pruszkowa. Muszę przyznać, że miały w sobie wiele uroku oraz dwie dobre strony. Po pierwsze, można było po błędnym wrysowaniu wymazać i poprawić symbole lub dane, a ponadto wspaniale podcieniowywać malunki, co je uwypuklało i dodawało odpowiedniej głębi.

Na drugim roku bardzo powoli i ku niezadowoleniu wykładowców zaczęliśmy posługiwać się flamastrami. Tu już trzeba było mieć pewną rękę i głowę nabitą wiedzą, gdyż każde błędne wrysowanie mogło się skończyć „robieniem" mapy od nowa. Dlatego też, na początku stosowaliśmy technikę mieszaną. Do opisów wykorzystywaliśmy flamastry, a do rysowania kredki. Na trzecim roku, za zgodą i przyzwoleniem wykładowców, posługiwaliśmy się już tylko samymi flamastrami.

Na koniec muszę dodać, że w owym rysowaniu map słuchacze, a potem absolwenci byli naprawdę dobrzy. Wśród nas zdarzali się jednak prawdziwi artyści. „Robione" przez nich mapy były prawie prawdziwymi dziełami sztuki. Można było na nie patrzeć i podziwiać kunszt ich wykonania i artystyczny smak malowidła. Ich prace pokazywane były na omówieniach, odprawach, kontrolach.

Tok naszego życia w akademii był dość monotonny. Śniadanie od godziny siódmej do siódmej czterdzieści pięć w kasynie. Zajęcia programowe od godziny ósmej do trzynastej trzydzieści lub czternastej piętnaście, tj. sześć, siedem godzin lekcyjnych lub sześć godzin zajęć w terenie. Potem wytyczne, ukierunkowania i instruktaże wykładowców do zajęć na dzień następny. Obiad między godziną trzynastą trzydzieści a piętnastą. Po obiedzie, czas od godziny piętnastej do szesnastej trzydzieści spożytkowywany był nagminnie przez słuchaczy na poobiednią drzemkę i regenerację sił. Potem wspominane już przygotowywanie map i przygotowywanie się do zajęć na następny dzień, które odbywało się w salach grupowych.

Kolacja miała miejsce około godziny dziewiętnastej. Potem następowało studiowanie literatury, wykonywanie notatek i dla relaksu około godziny gry w brydża w czwórkę lub gra w trzy, pięć, osiem w trójkę. Po grze jeszcze trochę nauki. Spać chodziło się różnie, przeważnie jednak między godziną jedenastą a dwunastą w nocy.

Zajęcia odbywały się sześć dni w tygodniu. Jeśli więc sobotnie popołudnie i wieczór przeznaczaliśmy na relaks i całkowity odpoczynek, to uczyliśmy się i przygotowywali do zajęć w niedzielę i na odwrót. Do domów i rodzin jeździliśmy przeważnie raz w miesiącu. Otrzymywali wówczas wszyscy trzy dni urlopu. Złośliwi mówili iż po to, aby policzyć dzieci, żonie oddać pieniądze i podmuchać w ognisko domowe. Za to na święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc mieliśmy więcej dni wolnych. W grudniu od Wigilii po Nowy Rok, a na wiosnę około tygodnia. To już było coś.

Przy tym wszystkim stale miało się do czynienia z literaturą niejawną, mapami niejawnymi i notatkami sporządzanymi w zeszytach niejawnych. Było to dodatkowe obciążenie psychiczne, powodowane strachem przed konsekwencjami ich zagubienia. Mogło ono spowodować wydalenie z akademii. Przy dokumentach tajnych i tajnych specjalnego przeznaczenia należało się nawet liczyć z postępowaniem prokuratorskim i karami więzienia oraz wydalenia z wojska.

Zdarzały się więc przedziwne historie z tym związane. Na przykład, kiedy zimową porą byliśmy całym rocznikiem na zajęciach w terenie, pogoda paskudna, padał śnieg i wiał silny wiatru, w pewnym momencie silniejszy podmuch wiatru wyrwał słuchaczowi rozłożoną mapę i zaczął ją unosić nad polami, aż znikła nam z oczu. A ponieważ mapa była tajna, przerwano natychmiast zajęcia i cały nasz rocznik ustawiono w tyralierę i w takim szyku skierowano, szeroką ponad dwustumetrową ławą, z kierunkiem wiejącego wiatru,

w poszukiwaniu tej nieszczęsnej mapy. Szukaliśmy jej ponad trzy godziny w śnieżnej zadymie, ku zadowoleniu słabiej przygotowanych do zajęć kolegów. Jakaż była radość wykładowców i owego pechowca, gdy mapa została znaleziona w odległości około dwóch kilometrów od miejsca zdarzenia, na skraju niewielkiego lasku.

Zdarzały się także, chociaż niezwykle rzadko, zagubienia dokumentów niejawnych z winy słuchaczy. Uznawano to zawsze za duże wykroczenie i o sporych konsekwencjach dla sprawcy. Zagubienia te wynikały przeważnie z dwóch przyczyn: z niefrasobliwości i bałaganiarstwa danych osób lub złośliwości innych, którzy te dokumenty celowo niszczyli, aby sprawić kłopot nielubianym kolegom lub konkurentom w przodownictwie i w wynikach studiów. Miało to najczęściej miejsce w grupach ogólnowojskowych, w których byli ludzie o olbrzymich ambicjach i sporo mniejszych możliwościach, i dla których każdy sposób był dobry, aby tylko prowadził do upragnionego celu.

Ogółem na pierwszym roku studiów odbyło się osiemnaście ćwiczeń ocenianych, osiem kolokwiów (z rozpoznania wojskowego i armii obcych, organizacji i mobilizacji wojsk, matematyki wyższej, języka obcego – w moim przypadku niemieckiego oraz taktyk: ogólnej, wojsk inżynieryjnych, wojsk chemicznych i wojsk łączności).

W trakcie roku akademickiego pisało się także indywidualną pracę roczną, mającą na celu przygotowanie do opracowania przyszłej pracy dyplomowej. Koniec pierwszego roku wieńczył egzamin pisemny i ustny z taktyki ogólnej i rodzajów wojsk. Egzamin pisemny polegał na tym, iż otrzymywało się założenie oraz mapę z naniesioną sytuacją taktyczną. Zadaniem słuchacza było podjęcie decyzji w roli dowódcy pułku, „wrysowanie" jej na mapę oraz przeważnie opracowanie rozkazu bojowego. Przeznaczone były na to cztery godziny lekcyjne. W następnych dwóch godzinach występowaliśmy w roli szefów łączności pułku i opracowywaliśmy zamiar organizacji łączności, organizację łączności radioliniowej i przewodowej lub określoną część organizacji łączności radiowej.

Egzamin ustny, który odbywał się w innym dniu, składał się przeważnie z dwóch części. Pierwszej, polegającej na uzasadnieniu pewnych wycinkowych rozwiązań przyjętych w części pisemnej oraz drugiej, składającej się z odpowiedzi na przeważnie cztery pytania z zakresu taktyki ogólnej i rodzajów wojsk, zawartych na losowo ciągnionych biletach. Do tego mogły dochodzić także dowolne pytania członków komisji.

Z egzaminu uzyskałem ocenę bardzo dobrą, z kolokwiów średnią 4,75 a z ćwiczeń 4,16. Pierwszy rok studiów ukończyłem z ogólną ocena bardzo dobrą.

Potem był zasłużony miesięczny urlop, a po nim dwutygodniowa praktyka kwatermistrzowska w Wałczu i miesięczne szkolenie specjalistyczne na sprzęcie łączności w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu. Oba z tych przedsięwzięć były bardzo ciekawe i celowe.

Praktyka kwatermistrzowska ukierunkowana była na zdobycie wiedzy praktycznej, czego nie mogła dać akademia. A była nam potrzebna jako przy-

szłym absolwentom akademii i dowódcom jednostek łączności. Natomiast szkolenie specjalistyczne łączności pozwoliło nam opanować w teorii i praktyce ten sprzęt łączności, który był na wyposażeniu dywizji zmechanizowanej i pancernej, podstawowych związków taktycznych w Wojsku Polskim. Było to niezbędne przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze – poszerzało naszą wiedzę z zakresu techniki łączności, a po drugie – dawało wszystkim równy start w rozwiązywaniu problemów łączności na drugim roku studiów, który obejmował właśnie ten szczebel. Bez tego kursu trudno byłoby sobie wyobrazić rozwiązywanie złożonych problemów organizacyjnych, a przede wszystkim techniczno-eksploatacyjnych przy organizacji i kierowaniu systemami łączności dywizji i innych związków taktycznych.

Wiodącymi wykładowcami na pierwszym roku studiów byli: podpułkownik Marian Banasik i kapitan Stanisław Koziej. Podpułkownik Banasik pełnił funkcję kierownika naszej grupy szkoleniowej i zarazem wykładowcy taktyki wojsk łączności, zaś kapitan Koziej wykładowcy taktyki ogólnej. Oba te przedmioty miały kluczowe znaczenie w ramach kształcenia łącznościowców w akademii.

Podpułkownik Banasik ukończył Wojskową Akademię Techniczną, a na wykładowcę do Katedry Taktyki Wojsk Łączności przybył ze stanowiska szefa łączności dywizji żagańskiej. Opiekował się nami przez cały pierwszy rok, dbając o to, abyśmy nie byli na bakier z dyscypliną i osiągali dobre wyniki w nauce. Wielkim orłem nie był, ale w miarę znośnie można było z nim żyć. Posiadał znacznie lepszą wiedzę techniczną niż taktyczną, co wyczuliśmy od razu i umiejętnie to wykorzystywaliśmy. Mnożyliśmy więc problemy taktyczne ponad miarę i zmuszaliśmy go do sporej gimnastyki umysłowej.

Posiadał także swoje popularne powiedzonko, którego często nadużywał. Należało do niego słowo „Obywatelu", zawsze specyficznie akcentowane. Jak się łatwo domyślić stało się to jego „ksywą". A więc mówiliśmy o nim: co powiedział obywatel, gdzie jest obywatel, powiedz obywatelowi lub niech nas obywatel pocałuje.

Najciekawsze były cotygodniowe apele poranne, prowadzone przez kierowników grup szkoleniowych w każdy poniedziałek tygodnia. Odbywały się przeważnie w bocznych uliczkach osiedla, w pobliżu bloku mieszkalnego numer 14. To tutaj kierownik sprawdzał zawsze naszą obecność, wygląd zewnętrzny i dawał nam „cenne ukazania" i czasami „rugał" za byle co.

Tak było i wówczas, kiedy przez zwykły przypadek na „horyzoncie" pojawił się szef naszej katedry pułkownik Jermanowski. Stary frontowiec, trzymający się jednak i wyglądający niezwykle dziarsko oraz zajmujący się namiętnie przede wszystkim polowaniami i ogólnie myślistwem. Ten zaś zamyślony szedł prosto na naszą grupę, chyba wcale o tym nie wiedząc. Widząc to „obywatel" dostał sporego „cykora" i podenerwowany podał komendę „Baczność", po czym sprężystym krokiem podszedł do szefa katedry i z wrażenia zameldował „Obywatelu pułkowniku, podpułkownik Banasik melduje grupę łączności pierwszego roku do przeglądu kadrowego". Oczywiście była to nieprawda

i czysta pomyłka wynikająca ze strachu lub wrażenia. Powinien bowiem zameldować grupę w czasie cotygodniowego przeglądu i instruktażu. Zaś przegląd kadrowy jest zupełnie czymś innym i dokonywany jest przez etatowych pracowników kadr.

Szef katedry nie bardzo wiedział o co Banasikowi chodzi, ale przypatrzył się nam z sympatią i powiedział:

– Cymes jesteście chłopcy. Tacy eleganccy i dorodni. Pięknie wyglądacie. Po czym spokojnie odszedł.

My zaś, za niewielką chwilę, naskoczyliśmy na „Obywatela" wytykając mu to, iż nas opieprzał, a szef katedry powiedział później, że jesteśmy super w porządku. A to oznacza, że jego oceny są błędne i niesłusznie nas się „czepia".

Kapitan Koziej, późniejszy szef Katedry Taktyki Ogólnej, szef Katedry Sztuki Operacyjnej, komendant Wydziału Wojsk Lądowych, wysoki oficer Biura Bezpieczeństwa Narodowego, profesor i generał był wówczas niezwykle ambitnym, początkującym wykładowcą taktyki ogólnej, mającym sporą wiedzę z tego przedmiotu. Dużo nas nauczył wyjaśniając i uzasadniając wiele rozwiązań taktycznych oraz obficie ilustrując je przykładami klasycznych zasad i historycznych przykładów.

Dużą uwagę przywiązywał do ogólnego oczytania ze sztuki wojennej i literatury przedmiotu. Dlatego też studiowaliśmy wiele dzieł teoretyków i praktyków niemieckich, poczynając od Clauzewitza, a skończywszy na Guderianie, rosyjskich i radzieckich, a także brytyjskich, francuskich i amerykańskich. Dla nas duże znaczenie miało także studiowanie dzieł polskich strategów i taktyków okresu II Rzeczpospolitej, a było ich niemało i dzieła były znakomite.

Jak z tego widać nie robiono w akademii podziału na lepszych i gorszych, czy też słusznych, bo radzieckich i błędnych. A to oznaczało, że dysponowaliśmy szeroką i najbardziej aktualną wiedzą z zakresu sztuki wojennej.

Będąc przy tym temacie, trzeba obiektywnie stwierdzić, iż w dziedzinie sztuki wojennej do drugiej wojny światowej zdecydowanie przodowali Niemcy. Zaś potem spuściznę tę przejęli Rosjanie, rozwijając i wzbogacając ją znacznie. Pod tym względem przodowali i przewodzili w świecie w drugiej połowie XX wieku. I gdyby nie potężna centralizacja uprawnień i podejmowania decyzji, wynikająca z braku zaufania do podwładnych niższych szczebli dowodzenia, a przejawiająca się przede wszystkim w ograniczaniu swobody decyzyjnej i wykonawczej podwładnych oraz koniecznością wykonywania olbrzymiej ilości dokumentów, szczególnie planistycznych, i zatwierdzaniu każdej, nawet najmniejszej zmiany w planach, to rzeczywiście nie mieliby sobie równych w teorii i praktyce.

Aby nie być gołosłownym przytoczę jeden, ale za to znaczący przykład maestrii radzieckich strategów. W trakcie zmian ustrojowych w Europie Środkowej i Wschodniej, w wyniku których padł mur berliński i nastąpiło zjednoczenie Niemiec, w ręce wywiadu amerykańskiego dostał się komplet planów operacji strategicznej państw Układu Warszawskiego w Europie Zachodniej. Operacja strategiczna na Zachodnim Teatrze Działań Wojennych nosiła różne

nazwy. Najczęściej uprzedzającej operacji strategicznej, której celem było zajęcie całej natowskiej Europy.

Zgodnie z procedurami w tym względzie, plany te były później szczegółowo studiowane przez specjalne amerykańskie gremia dowódczo-sztabowe. W wyniku badań i analiz tych dokumentów specjaliści wojskowi USA doszli do zgodnego wniosku, iż poziom tych ręcznie wykonanych dokumentów jest tak wysoki, że póki co nieosiągalny dla nich, nawet przy zastosowaniu techniki komputerowej.

Powróćmy jednak do niektórych osób i nazwisk. Do niezwykle trudnych, acz frapujących przedmiotów na pierwszym i drugim roku studiów należała filozofia i socjologia. Ich wykładowcami byli trzej pułkownicy doktorzy filozofii: dwóch Mazurów, Kazimierz i Emil oraz Czesław Łuszczyna.

Kazimierz był wysokim i niezwykle przystojnym mężczyzną, a całkiem siwe i gęste włosy dodawały mu dostojeństwa i uroku osobistego. Doskonały nauczyciel akademicki, wyrozumiały i życzliwy dla studentów człowiek o niespotykanej kulturze osobistej i autorytecie. Zresztą w owych czasach także lektor Komitetu Centralnego PZPR. Emil zaś był jego przeciwieństwem, szczególnie pod względem wzrostu i wyglądu. Obaj Mazurowie byli frontowcami, rannymi w czasie wojny. O ile obaj Mazurowie nie za bardzo się lubili, o tyle tolerowali się i współpracowali ze sobą. Obaj zaś lekceważyli Łuszczynę, szczególnie jego podręczniki i skrypty, uważając go za przygłupa i ekscentryka.

Tenże Czesiu Łuszczyna, średniego wzrostu pan, o misiowatym wyglądzie i twarzy niezbyt urodziwego kartofla, był niezwykle ciekawą postacią. Po pierwsze – doskonałym wykładowcą i nauczycielem, o niezwykłym darze mowy i przekonywania. Potrafił przez dwie godziny panować doskonale nad audytorium, wciskając im skutecznie wiedzę filozoficzną, przerywaną co raz anegdotami i dykteryjkami. Dla osiągnięcia celów dydaktycznych potrafił nawet wejść na katedrę i „grzmieć jak piorun na ambonie". Krążyła także o nim fama, jakoby za młodu był w seminarium duchownym, zaś jego stosunek do religii spowodował, iż wśród słuchaczy nosił nazwanie „osobistego wroga Pana Boga".

Po drugie – był zapalonym numizmatykiem. Z tego też powodu na przerwach między lekcjami, jak i częściowo na zajęciach, wiele na ten temat dyskutowaliśmy, on zaś opowiadał o pieniążkach jak natchniony. Wystarczyło, że ktoś przyniósł i pokazał jakiś stary pieniążek, aby oczy zaczęły mu się świecić i cała jego uwaga zaprzątnięta była tym, jak ten numizmat zdobyć. I po trzecie – był niezwykłym łasuchem i żarłokiem. Potrafił równocześnie napychać się cukierkami, śledziami, czekoladą, kiełbasą i szynką, a jego ulubioną potrawą były pieczone świńskie golonki zagryzane śliwkami w czekoladzie i popijane wódką. Doświadczyliśmy tego wielokrotnie zapraszając go na spotkania, szczególnie po zaliczeniach, kolokwiach i egzaminach.

Grupę łączności uczył przez dwa lata, stąd niezła znajomość jego osobowości. Filozofię lubiłem i nie sprawiała mi ona zbytnich trudności. Miałem także swoje zdanie, które wypowiadałem w dyskusji na zajęciach, szczególnie

na drugim roku studiów. Raz jednak doszło prawie do karczemnej awantury w wykonaniu Czesia, a ja myślałem, że wylecę ze studiów. Dotyczyło to marksistowskich praw dialektyki.

Po elokwentnym wywodzie Łuszczyny zadałem mu pytanie:

– Jak to jest, że prawa dialektyki odkryte i sformułowane przez Georga Wilhelma Hegla na bazie idealizmu obiektywnego są prawdziwe dla materializmu Marksa, a nieprawdziwe dla idealizmu obiektywnego? Czy więc nie jest to logiczny absurd?

I rozpętało się piekło, gdyż podważyłem jeden z podstawowych kanonów filozofii marksistowskiej. Całe szczęście, że nie był zbyt pamiętliwy i po krótkim czasie puścił to w niepamięć.

Do ciekawszych i wesoło kojarzących się nazwisk w tamtym i późniejszym okresie w akademii należały: Zapała, Zadrąg i Bień. Niby nazwiska zwyczajne, a skojarzenia przednie. Dwa pierwsze nosili wykładowcy. W czasie szkolenia w terenie chodzili przeważnie na czele grup, aby zająć odpowiednie miejsca w terenie, gdzie prowadzili zajęcia, jako kierownicy grup szkoleniowych lub specjaliści rodzajów wojsk. Aby skierować studentów do odpowiedniego wykładowcy pobrzmiewały w związku z tym takie organizacyjne odzywki jak – „Trzymajcie się Zapały" (za pały) lub w liczbie pojedynczej „trzymaj się Zadrąga" (za drąga), oznaczające, iż określona grupa słuchaczy lub pojedynczy student ma dołączyć do tego wykładowcy i wraz z jego grupą udać się na miejsce szkolenia.

Natomiast major Bień przyszedł do akademii na stanowisko związane z organizacją i zabezpieczeniem szkolenia. Był sympatycznym człowiekiem, a przy tym zapalonym myśliwym, poza nim świata bożego nie widział, a pracę traktował jak piąte koło u wozu. W związku z tym zaraz ukuto powiedzonko, że „akademia dostała osłabienia" (osła Bienia).

Oddzielnym tematem w akademii był szef wydziału wydawniczego podpułkownik, a później pułkownik Bronisław Podemski. Człowiek pełen energii i pasji działania oraz bardzo dobry organizator i kierownik. Jego wydział zarządzany był żelazna ręką i osiągał znakomite wyniki. Jednocześnie ten przodujący kierownik ukończył tylko szkołę oficerską i jakieś dodatkowe kursy, a zatem swoim poziomem intelektualnym odbiegał od poziomu wykładowców. W związku z tym robili mu różne figle i psikusy, a on sam często popełniał wiele lapsusów. Zapytany raz – jak ty to robisz, że osiągasz tak dobre wyniki w pracy? – odrzekł:

– Prosto. Opier... personel, opier... i vice wersa.

Zaś w czasie rozmów z kolegami, miedzy innymi wykładowcami matematyki wyższej, organizacji i zarządzania oraz cybernetycznych podstaw dowodzenia pułkownikami: Rospondkiem i Stangretem, chwalił się jakim to on był zdolnym podchorążym w szkole oficerskiej mówiąc:

– Ja się tak dobrze uczyłem na podchorążówce, że nawet prymasem byłem.

Na takie dictum pułkownik Rospondek rzekł:

– Skoro Broniu byłeś prymasem, to musiałeś mieć infułę.

Nie zbity z tropu tym stwierdzeniem pułkownik Podemski z całą powagą odparł:

– No, oczywiście.

Drugi rok studiów obejmował dalej szczebel taktyczny, a więc związek taktyczny wojsk lądowych czyli dywizję zmechanizowaną (DZ), dywizję pancerną (Dpanc), dywizję powietrznodesantową (DPD) i dywizję desantową (DD). Mieliśmy razem dwadzieścia sześć przedmiotów nauczania, z tego dwadzieścia jeden było ocenianych i pięć zaliczanych. Do przedmiotów ocenianych należały: taktyka ogólna, służba sztabów, rozpoznanie wojskowe i armie obce, taktyka wojsk rakietowych i artylerii, taktyka wojsk obrony przeciwlotniczej, taktyka wojsk lotniczych, taktyka wojsk inżynieryjnych, taktyka wojsk łączności, taktyka wojsk chemicznych, taktyka tyłów, organizacja i mobilizacja wojsk, obrona terytorium kraju, praca partyjno-polityczna, metodyka szkolenia taktycznego, historia sztuki wojennej, filozofia i socjologia, ekonomia polityczna i polityka gospodarcza, praktyczna znajomość regulaminów sił zbrojnych PRL, wychowanie fizyczne, język obcy (niemiecki) i teoria organizacji i kierowania. Zaś zaliczaliśmy tylko: walkę radiotechniczną, cybernetyczne podstawy dowodzenia, zaopatrywanie i obsługę wojsk w czasie pokoju, administrację wojskową i wyszkolenie ogniowe.

Zdawaliśmy trzy egzaminy końcowe (roczne) z: taktyki ogólnej i rodzajów wojsk, filozofii i socjologii oraz ekonomii politycznej i polityki gospodarczej. Ponadto siedem kolokwiów z takich przedmiotów, jak: taktyka ogólna, taktyka wojsk rakietowych i artylerii, taktyka wojsk obrony przeciwlotniczej, taktyka tyłów, taktyka wojsk łączności, teoria organizacji i kierowania oraz język obcy.

Ze wszystkich egzaminów otrzymałem oceny bardzo dobre. Z pięciu kolokwiów oceny bardzo dobre, a z dwóch dobre. Na dwadzieścia jeden przedmiotów ocenianych otrzymałem dziewiętnaście ocen bardzo dobrych i dwie dobre.

W ramach przedmiotów taktycznych, szczególnie taktyki ogólnej i taktyki wojsk łączności brałem udział w piętnastu ćwiczeniach oraz pisałem także pracę indywidualną (roczną). Tematami owych ćwiczeń były: „Osiąganie wyższych stanów gotowości bojowej i mobilizacyjne rozwinięcie związku taktycznego", „Marsz dywizji na dużą odległość", „Natarcie dywizji" oraz kontrolne na ten sam temat, „Natarcie dywizji zmechanizowanej w górach w warunkach zimy", „Wprowadzenie dywizji pancernej, jako drugiego rzutu operacyjnego armii do bitwy", „Obrona dywizji" i ćwiczenie kontrolne na ten temat, „Natarcie dywizji zmechanizowanej z forsowaniem przeszkody wodnej z marszu", „Działanie batalionu łączności dywizji w natarciu" (ćwiczenie specjalistyczne łączności), „Natarcie dywizji zmechanizowanej w terenie lesisto-jeziornym", „Wprowadzenie do bitwy i działanie dywizji pancernej w oderwaniu od sił głównych armii", „Obrona obszaru województwa", „Działania bojowe dywizji", „ Marsz, natarcie i obrona dywizji". Dwa ostatnie tematy przerabiane były w ramach ćwiczenia szkieletowego.

Na tych ćwiczeniach pełniłem różne funkcje, przeważnie ogólnowojskowe, takie jak: szef sztabu dywizji, zastępca dowódcy dywizji do spraw liniowych, szef wydziału operacyjnego lub jego zastępca oraz szefa wydziału łączności sztabu dywizji, zwanego skrótowo szefem łączności dywizji. Z piętnastu ćwiczeń otrzymałem oceny bardzo dobre, a z dwóch i z pracy indywidualnej – dobre.

Drugi rok studiów, tak jak i pierwszy, ukończyłem także z oceną bardzo dobrą i należałem do przodujących słuchaczy w akademii. Ponadto nasza grupa szkoleniowa łączności osiągała też dobre i bardzo dobre wyniki nauczania i we współzawodnictwie grupowym zdobyła tytuł „Przodującej grupy szkoleniowej'.

Ten rok zapisał się w pamięci jeszcze jednym zdarzeniem przyjemnym i jednym faktem nieprzyjemnym. Do przyjemnego można zaliczyć to, że Marian Kruszyński i ja awansowaliśmy do stopni majorów, a więc przeszliśmy do grupy oficerów starszych. Zaś faktem paskudnym było, że zacząłem chrapać jak lokomotywa i to szczególnie na wykładach. Już po piętnastu, dwudziestu minutach zaczęło brakować w aulach tlenu i prawie wszystkich ogarniała wszechpotężna śpiączka. Mnie również. Jeszcze nie całkiem wyłączałem świadomość, a już słyszałem swoje potężne chrapanie. Mimo że kolega budził mnie co rusz, to i tak o mało co nie nabawiłem się potężnej nerwicy.

Na drugim roku zmieniła się większość naszych nauczycieli. Taktykę ogólną prowadził już nie kapitan Koziej, lecz major Rudolf Sznajder ps. „Rudi". Ślązak z pochodzenia, niezwykle inteligentny i doświadczony nauczyciel akademicki. Bardzo krytycznie, a zarazem twórczo podchodzący do wiedzy, obowiązujących zasad, reguł i metod postępowania w zakresie taktyki i w ogóle sztuki wojennej. Muszę przyznać, że nauczył mnie krytycznie patrzeć na wszystkie aspekty wiedzy oraz twórczego i nieszablonowego podejścia do ich rozwiązywania.

Porównując wiedzę taktyczną pierwszego i drugiego roku można ogólnie powiedzieć w ten sposób, iż na pierwszym roku uczono nas walczyć zgodnie z historycznie wypracowanymi zasadami i przyjmowanymi normami regulaminowymi, zaś na drugim roku, jak zwyciężać odchodząc od tych zasad, walcząc nieszablonowo i całkowicie inaczej niż spodziewa się przeciwnik, lecz efektywnie i z jak najmniejszymi stratami własnymi. I takie też rozwiązania preferowane były i wysoko oceniane w akademii.

Taktykę wojsk łączności prowadził z nami pułkownik Marian Romatowski. Absolwent Wojskowej Akademii Technicznej, który przybył do akademii ze stanowiska szefa łączności dywizji zmechanizowanej w Koszaline. Człowiek nadzwyczaj prostoduszny i wielkiego serca, chociaż jakby stale trochę przestraszony i bojaźliwy. Z postury kawał grubokościstego chłopa, mimo średniego wzrostu. Uczył nas organizacji łączności związków taktycznych solidnie, ale bez większego polotu, zwracając przede wszystkim uwagę na rzeczy praktyczne, co nam później, po zakończeniu akademii wyszło na dobre.

Po drugim roku, w okresie od dwudziestego sierpnia do szesnastego września, odbywaliśmy praktyki liniowe w dowództwach jednostek łączności lub sztabach związków taktycznych. Ja, wybrałem praktykę w 12 Dywizji Zmechanizowanej w Szczecinie z kilku powodów. Przede wszystkim, że blisko domu, a i rodzina żony, czyli brat Mirek i siostra Krysia mieszkali w Szczecinie. Szczecin był stosunkowo blisko Choszczna i można było częściej wpadać do domu. Nie bez znaczenia było także i to, iż 12 DZ była dywizją przodującą, którą w dawnych latach dowodził przecież generał Jaruzelski. W związku z tym można tam było dużo się nauczyć i skorzystać z ich bogatego doświadczenia.

Praktykowałem tam na stanowisku szefa łączności 12 DZ, zapoznając się z organizacją samej dywizji, jej stacjonarną i polową łącznością oraz wykonywanymi dokumentami łączności. Brałem także udział w opracowaniu ćwiczenia łączności i w samym ćwiczeniu. Wielce mi to pomogło, gdy później obejmowałem obowiązki szefa łączności 7 Dywizji Desantowej.

W taki oto sposób znalazłem się na trzecim roku studiów, roku dyplomowym, którego studenci traktowani byli przez pozostałych z wielką estymą i czuli się jak arystokracja wśród słuchaczy. Także zakres studiów uległ zmianie, gdyż na trzecim roku studiowało się już sztukę operacyjną, której treścią były operacje armijne.

Trzeci rok obejmował dwadzieścia cztery przedmioty, z czego dziewiętnaście ocenianych i pięć zaliczanych. Do przedmiotów ocenianych należały: sztuka operacyjna, służba sztabów, taktyki (wojsk rakietowych i artylerii, wojsk obrony przeciwlotniczej, wojsk inżynieryjnych, wojsk łączności, wojsk chemicznych i tyłów), taktyka i sztuka operacyjna lotnictwa, rozpoznanie wojskowe i armie obce, walka radiotechniczna, organizacja i mobilizacja wojsk, geografia wojenna, praca partyjno-polityczna w działaniach bojowych, historia sztuki wojennej, obrona terytorium kraju, praktyczna znajomość regulaminów sił zbrojnych PRL i wychowanie fizyczne. Zaś zaliczaliśmy tylko: naukowy komunizm, metodykę szkolenia taktycznego, zaopatrywanie i obsługę wojsk, administrację wojskową i wyszkolenie ogniowe.

W trakcie trzeciego roku zdawaliśmy siedem kolokwiów, a więc ze sztuki operacyjnej, taktyki i sztuki operacyjnej lotnictwa, taktyki wojsk łączności, obrony terytorium kraju, geografii wojennej, ekonomiki wojennej, pracy partyjno-politycznej oraz egzamin ze sztuki wojennej. Ponadto braliśmy udział w trzech olbrzymich ćwiczeniach „Operacja zaczepna armii", „Operacja obronna armii" oraz w ćwiczeniu szkieletowym w ramach dowodzenia armią.

Z jedynego egzaminu otrzymałem ocenę bardzo dobrą, jak również ze wszystkich kolokwiów. Na dziewiętnaście przedmiotów ocenianych, z siedemnastu otrzymałem ocenę bardzo dobrą, a z dwóch dobrą. Także ze wszystkich ćwiczeń oceny bardzo dobre. Ogólnie więc ukończyłem trzeci rok studiów również z ocena bardzo dobrą.

A teraz jeszcze kilka słów o ćwiczeniach, jako najbardziej charakterystycznych przedsięwzięciach w szkolnictwie wojskowym. Do tej pory wspominałem

o formie tych ćwiczeń. Spróbuję więc pokrótce scharakteryzować ich organizację. Najważniejsze ćwiczenia prowadzone były w formie ćwiczeń grupowych na salach wykładowych i w terenie. Aby nie wyjeżdżać za daleko i nie marnować czasu, odbywały się one w okolicach Warszawy, przeważnie na wschód i południowy-wschód od Warszawy, na kierunku zwanym żartobliwie „Kołbielsko-mlądzkim kierunkiem strategicznym". Nazwa pochodziła od dwóch niewielkich miejscowości Kołbiel i Wólka Mlądzka. W początkowym okresie także ćwiczenia szkieletowe odbywały się w pobliżu Warszawy, a w sprzęt zabezpieczały je: pułk łączności z Białobrzegów, Wyższa Szkoła Oficerska Wojsk Łączności z Zegrza oraz batalion łączności z 1 DZ z Legionowa. Potem już ćwiczenia szkieletowe odbywały się przemiennie raz w Pomorskim a raz w Śląskim Okręgu Wojskowym.

Zdecydowana większość pozostałych ćwiczeń odbywała się w ramach tak zwanych obozów letnich i zimowych oraz ćwiczeń pociągowych, podróży wojskowo-historycznych i wojskowo-geograficznych. Obozy letnie miały miejsce przeważnie na Mazurach w Orzyszu, Węgorzewie, Giżycku, zaś zimowe w Bieszczadach i Kotlinie Kłodzkiej. W trakcie trwania obozu mieszkało się w koszarach, a ćwiczenia prowadziło w terenie, w odległości nie większej niż kilkadziesiąt kilometrów od bazy koszarowej. Mniej więcej porządek był taki, iż do obiadu, a niekiedy też po obiedzie, wyjeżdżało się w teren, zaś w godzinach popołudniowych i wieczornych pracowało się do późna w noc w salach koszarowych.

W ćwiczeniach pociągowych dowództwa pracowały w specjalnych wagonach i w terenie. Zaś pociąg przemieszczał się przeważnie raz na dobę w inny rejon. W pociągu były nie tylko miejsca pracy, ale odpoczynku i spania oraz kuchnia i stołówka, które zaspokajały potrzeby bytowe uczestników ćwiczenia.

Podróże wojskowo-historyczne i wojskowo-geograficzne odbywały się w określonych oraz charakterystycznych i ciekawych rejonach kraju. Środkami lokomocji były akademickie autobusy, zaś jedzenie i spanie zapewniały wybrane jednostki wojskowe. Podróże wojskowo-historyczne organizowane były szlakami wielkich kampanii wojennych, na przykład napoleońskich, pierwszej wojny światowej, kampanii wrześniowej czy też walk 1 i 2 Armii Wojska Polskiego w 1944 i 1945 roku. Podróże wojskowo-geograficzne ukierunkowane były na poznanie najbardziej charakterystycznych, z punktu widzenia wojskowego, regionów kraju oraz najpiękniejszych pod względem formy i pokrycia terenu.

Tak w ćwiczeniach pociągowych, jak i podróżach obu typów prowadzone były intensywne ćwiczenia taktyczne, czy też operacyjne w formie ćwiczeń dowódczo-sztabowych, a dopiero przy okazji szeroko naświetlano ich walory historyczne i geograficzne. Zresztą czyniono to zawsze, także na innych ćwiczeniach, lecz wówczas zakres tych działań był znacznie mniejszy. W ten sposób poznaliśmy dokładnie wszystkie najciekawsze geograficznie i historycznie zakątki Polski, nie wyłączając także takich miejsc kultu, jak: Jasna Góra, Katedra Oliwska, Święta Lipka, kaplica czaszek w Kotlinie Kłodzkiej i wiele, wiele innych.

Na zakończenie chcę mocno podkreślić, że tak niezwykle ciekawe i wielce pouczające przedsięwzięcia szkoleniowe, jak ćwiczenia pociągowe oraz podróże wojskowo-historyczne i wojskowo-geograficzne były wypracowane za czasów II Rzeczpospolitej w Wyższej Szkole Wojennej i z powodzeniem stosowane za moich czasów.

Na trzecim roku studiów ćwiczenia ze sztuki operacyjnej prowadził pułkownik Karol Krasowski, frontowiec, były żołnierz Armii Czerwonej, potem 1 Armii WP. Uczył solidnie, jak dobry rzemieślnik, lecz bez polotu i maestrii. Dla niego świętością była „metodyczka", to jest opracowanie metodyczne prowadzonych zajęć, z proponowanymi przez autorów ćwiczenia rozwiązaniami problemów, przykładowych decyzji itp. Trzymał się ich jak prawnik kodeksu i nie odchodził od tych rozwiązań nawet na krok. A że przez znajomości z paniami w bibliotece można było je nielegalnie na krotki czas wypożyczyć, mieliśmy więc „gotowce" i z nich referowaliśmy, co niezwykle podobało się „towarzyszowi Karolowi", bo było zgodne z metodyczką i nie zmuszało go do zbytniego „główkowania". My też mieliśmy święty spokój i niewiele roboty za wyjątkiem wcześniejszego przepisywania owych „kwitów". Efekt jednak był taki, iż wielkiej wiedzy i umiejętności praktycznych z tego przedmiotu nie posiedliśmy, gdyż podczas zajęć nie zmuszano nas do myślenia.

Doszło nawet do tego, że na czas spodziewanej kontroli zajęć otrzymaliśmy wcześniej od pułkownika Krasowskiego zadanie wypracowania trzech różnych decyzji z tej samej sytuacji operacyjnej: jednej do operacji zaczepnej, drugiej do operacji obronnej i trzeciej kombinowanej. Było to dla nas dziwne, bo sprzeczne z jego metodyczką, ale preferowane w akademii, która wymagała i stawiała na nieszablonowe i wielowariantowe rozwiązania. Temu zaleceniu, choć tylko na czas kontroli, musiał ulec, acz niechętnie, i sam pułkownik Krasowski.

Kierownikiem grupy łączności na trzecim roku był stary i doświadczony belfer akademicki pułkownik Henryk Kitkowski ps. „Kitek". Wspaniały wykładowca, dobry człowiek, ale i człowiek trunkowy. Lubił zaglądać do kielicha, szczególnie w towarzystwie słuchaczy. Aby temu zadaniu sprostać, wzorem poprzednich roczników, mieliśmy przygotowany „składkowy barek" i wyznaczoną zawsze „parę dyżurną", która zmieniała się kolejno w towarzyszeniu Kitkowi, gdyż żaden z nas nie miał tyle zdrowia, aby temu podołać. Ten zaś potrafił wypić dużo, a przy tym nie miał umiaru i duszę zwykle niespokojną.

Często się przydarzało, że gdzieś narozrabiał lub usnął w kasynie z krawatem w bigosie. Przy czym im więcej pił, tym większa ogarniała go fantazja. Przeważnie zaczynał tak:

– No i cio dalej oficierowie! Cio dalej z tak dobzie rozpociętym wieciorem – mówił, stukając końcem zakrzywionego wskazującego palca w blat stołu.

– A mozie by tak do „Gaśtronomii" (niezła knajpa w Warszawie) cio?

Jak nie było odzewu, to zaczynał od nowa:

– A mozie by tak do „Maziowii" (Mazovia, knajpa nad Zalewem Zegrzyńskim). Cio wy na to, rusiać się młodzież.

No i przeważnie kończyło się nocą w Warszawie lub nad zalewem, skąd „zapranego zdrowo" holowaliśmy do domu, kupując po drodze kwiaty i z przeprosinami wręczając jego małżonce. I aby było dziwniej, to ta ekipa, która balowała z nim do późna w noc była rano ledwo żywa, a on już od siódmej elegancko ogolony i w nowym, świeżo wyprasowanym mundurze przechadzał się po korytarzu. Potem zaś na zajęciach najbardziej „rzeźbił" tych, którzy z nim pili.

Długo nie wiedzieliśmy jaka jest przyczyna tego, że po każdym pijaństwie tak elegancko wyglądał. Dopiero znacznie później dowiedzieliśmy się, że w czasie picia miał „przerwę w życiorysie", a wiec nie był świadom, jak się zachowywał i czy gdzieś nie narozrabiał. W związku z tym, już wcześnie rano przygotowany był stawać do raportu za swoje przewinienia, które mógł popełnić w stanie zamroczenia alkoholowego.

Tę alkoholowa przywarę miało sporo starszych oficerów w akademii. Ale co dziwne, nie miała ona żadnego wpływu nie tylko na jakość prowadzonych zajęć, ale i na ich wymagalność. Jednym z takich przykładów był podpułkownik Karaś, wykładowca taktyki ogólnej. Prowadził on zajęcia z moim serdecznym kolegą, jeszcze z Choszczna, Zdzichem Skulskim, który był słuchaczem grupy tyłowej.

Karaś, dawny dowódca pułku czołgów z Budowa, był doskonałym taktykiem i wymagającym nauczycielem, lecz często lubił zaglądać do kieliszka, w tym także w trakcie ćwiczeń w terenie. A że Zdzichu miał kłopoty ze zdaniem u niego kolokwium, więc widząc go leżącego w słońcu na skraju lasku, w stanie „wskazującym na spożycie", pomyślał, że trafił na dobry moment i w tej sytuacji łatwo zda owo kolokwium.

Podszedł więc do Karasia. Na to ten otworzył najpierw jedno oko, potem drugie i spytał podpitym głosem:

– O co chodzi?

Zdzich zaś zgodnie z prawdą odrzekł:

– Chciałbym zdać kolokwium.

Karaś jak to usłyszał, otrzeźwiał natychmiast. Otrząsnął się, usiadł i o to samo poprosił Zdzicha. Po czym przez ponad dwie godziny tak go „przemaglował", że cały mokry z wysiłku intelektualnego Zdzich zarzekał się później, że już nigdy z takiej sytuacji nie skorzysta. Sprawiedliwie jednak przyznał, że w tym czasie Karaś nie tylko pytał, ale i wyjaśnił mu wiele rzeczy, których dotąd nie rozumiał i kolokwium zaliczył. Nawiązując jeszcze do Karasia, w owym czasie znane było określenie, że Mazowsze to laski, piaski i karaski (małe karasie).

Alkohol nigdy nie szedł w parze z zajęciami. Był jednak pewien wyjątek i dotyczył zajęć w polu, w czasie ćwiczeń. Gdy wyjeżdżało się w teren to zajęcia trwały przeważnie sześć godzin i przez cały czas stało się „na górkach". Gdy przychodziła późna jesień, zima i wczesna wiosna to wystać tyle godzin na wietrze, zimnie, a niekiedy w deszczu i śniegu było niezwykle trudno.

W związku z tym jeden ze słuchaczy w grupie był tak zwanym kwatermistrzem, odpowiedzialnym za pełne termosy „herbaty z prądem" i kiełbaski na

ognisko. Gdy nadchodziła długa przerwa częstował wykładowcę i wszystkich kolegów ową diabelską herbatą i piekliśmy na ognisku kiełbaski z cebulką.

Było to coś, co pozwalało przetrzymać te długie wietrzne i zimne godziny, zespolić bardziej grupę z wykładowcą, chociaż w żaden sposób nie wpływało na wymagalność wykładowców w stosunku do słuchaczy. Podobnie było na ćwiczeniach prowadzonych w terenie, w różnych rejonach Polski.

Co by nie powiedzieć to czasy studenckie były pięknym okresem, chociaż trochę zmąconym oddaleniem od rodziny i widywaniem jej przeważnie raz w miesiącu. W owym czasie zajęcia trwały sześć dni w tygodniu i wyjazd na jeden dzień do Choszczna był prawie niemożliwy. A był to piękny okres przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze – niewiele się miało na głowie oprócz studiów. A po drugie – był to wczesny okres gierkowski, w którym ludziom, także i nam wojskowym, żyło się stosunkowo dobrze. Pensję oddawało się co miesiąc żonie, zostawiając sobie pieniądze na wyżywienie oraz spore kieszonkowe. Można więc było pobyć od czasu do czasu w kasynie, zjeść smaczną golonkę z ciupką, czyli gotowanym wspólnie grochem z kapustą kiszoną i wypić trochę wódki bez większego uszczerbku finansowego. Zaś ze wspólnego oszczędzania uzbieraliśmy z żoną, a szczególnie ona, na pierwszy nasz samochód, którym była Skoda S-100 w kolorze piasek pustyni.

Ostatni rok studiów był także czasem pisania pracy dyplomowej. Z wielu tematów wybrałem „Wykorzystanie środków radiowych w działaniach bojowych dywizji zmechanizowanej". Jako kierownika przydzielono mi pułkownika doktora Mieczysława Borzęckiego, doskonałego nauczyciela akademickiego. Niestety, wiele szczęścia nie miałem, gdyż poza akceptacją planu pracy i tematów rozdziałów faktycznie nią nie kierował, uważając, że sam sobie poradzę. Potem poważnie zachorował i zjawił się dopiero, aby pracę podpisać i być przy jej obronie.

Egzamin dyplomowy składałem w pierwszym tygodniu lipca. Obejmował on egzaminy z taktyki rodzajów wojsk i sztuki operacyjnej oraz naukowego komunizmu, a także obronę pracy dyplomowej. Egzaminy zdawało się przed komisją, w skład której wchodzili między innymi: pułkownik Kazimierz Pachowski – zastępca szefa wojsk łączności WP i pułkownik docent doktor habilitowany Lesław Wojtasik – zastępca szefa Głównego Zarządu Politycznego WP oraz szef Katedry Taktyki Wojsk Łączności – pułkownik Kazimierz Patkowski, a także oficerowie, przedstawiciele Katedry Taktyki Ogólnej, Katedry Taktyki Rodzajów Wojsk i Katedry Sztuki Operacyjnej. Przy obronie pracy dyplomowej występowali także: pułkownik Borzęcki i major Ignacy Soczewka, doktorant naszej katedry. Pierwszy w roli konsultanta, zaś drugi – oponenta. Egzaminy zdałem i pracę obroniłem na ocenę bardzo dobrą.

Tuż przed egzaminem złożono mi propozycję, abym pozostał w katedrze, zasilając ją jako młody narybek. Po dłuższym przemyśleniu i konsultacji z żoną wyraziłem zgodę, chociaż wiedziałem, iż w pewnym sensie w armii, tak jak w cywilu, szkolnictwo jest trochę bocznym torem i prawdziwej kariery tu się

nie zrobi. Miałem jednak świadomość, że jeżeli pójdę „do linii", to powrócę do Pomorskiego Okręgu Wojskowego, skąd wyszedłem i mogę służyć w Świeciu, Wałczu, Kwidzynie itp., gdzie etaty są wysokie, a możliwości kształcenia synów żadne. Trudno bowiem było sobie wyobrazić, że będzie nas stać łożyć na kształcenie synów w innych miastach. Dodatkowym bodźcem było i to, że Dana chciała zamieszkać w stolicy, co i zresztą mnie także odpowiadało, a szczególnie funkcja nauczyciela akademickiego.

Jednak komisja kadrowa uznała, że przed pracą w akademii muszę odbyć roczną praktykę na wysokim stanowisku specjalistycznym. Zatem gdy rozdzielano nas do poszczególnych jednostek, mnie zaproponowano na rok czasu stanowisko szefa łączności dywizji desantowej w Gdańsku. Muszę się przyznać, że trafiono mi w dziesiątkę, gdyż było to najciekawsze miejsce i stanowisko, jakie zaproponowano w całej naszej grupie.

Uroczystości promocyjne odbyły się około 15 lipca i składały się z trzech części. Części oficjalnej na placu głównym akademii, gdzie w obecności generalicji, kadry dydaktycznej, zaproszonych gości i rodzin oraz przy współudziale kompanii honorowej ze sztandarem uczelni, odbyło się wręczenie dyplomów i odznak absolwenta ASG. Z mojej rodziny w uroczystości uczestniczyli: ojciec i wujek Frydek oraz Dana. Potem w hali sportowej zorganizowano spotkanie przy lampce wina absolwentów i ich żon z komendą akademii i wykładowcami katedr.

Organizatorami owego spotkania byli: kwatermistrz akademii i kierownik kasyna. Mimo olbrzymiej liczby osób biorących w nim udział było świetnie zorganizowane i miło przeprowadzone. Ja wziąłem ze sobą na to spotkanie ojca. Jak się później dowiedziałem, czym przyjemnie zaskoczyłem swoich wykładowców i mam nadzieję sprawiłem dużą radość ojcu. Uzyskałem bowiem wyższe wykształcenie i poznałem go z szefem katedry i moimi nauczycielami akademickimi.

Natomiast wieczorem odbył się w kasynie na piętrze, czyli „na górce", uroczysty bal absolwentów, w którym uczestniczyli wszyscy absolwenci z żonami. Dana na tą uroczystość założyła jedwabną, ręcznie malowaną, długą do kostek suknię w przepięknych kolorach półtęczy od żółtego, przez pomarańczowy, do różnych odcieni brązu, aż po sam ciemny bordo. Do tego rozpuściła swoje długie, bo aż za kolana włosy. Wyglądała prześlicznie.

Bawiliśmy się wszyscy wspaniale do późna w nocy, dziękując naszym małżonkom za ich trud w czasie naszej nieobecności w domu oraz kolegom za dobrą współpracę i mocne, zdrowe więzi koleżeńskie, które łączyły nas przez trzy lata studiów. Po tym ojciec z wujkiem wrócili do Przytkowic, a my z Daną do Choszczna. Na mnie zaś, po miesięcznym urlopie, czekał Gdańsk i piąty rok z dala od rodziny. Ilustracja 27 przedstawia kadrę i słuchaczy Katedry Taktyki Wojsk Łączności w czasie odprawy katedralnej, a następna ilustracja 28 przodujących nauczycieli akademickich i słuchaczy Katedry Taktyki Wojsk Łączności.

27. Odprawa kadry i słuchaczy Katedry Taktyki Wojsk Łączności. 1975 r.

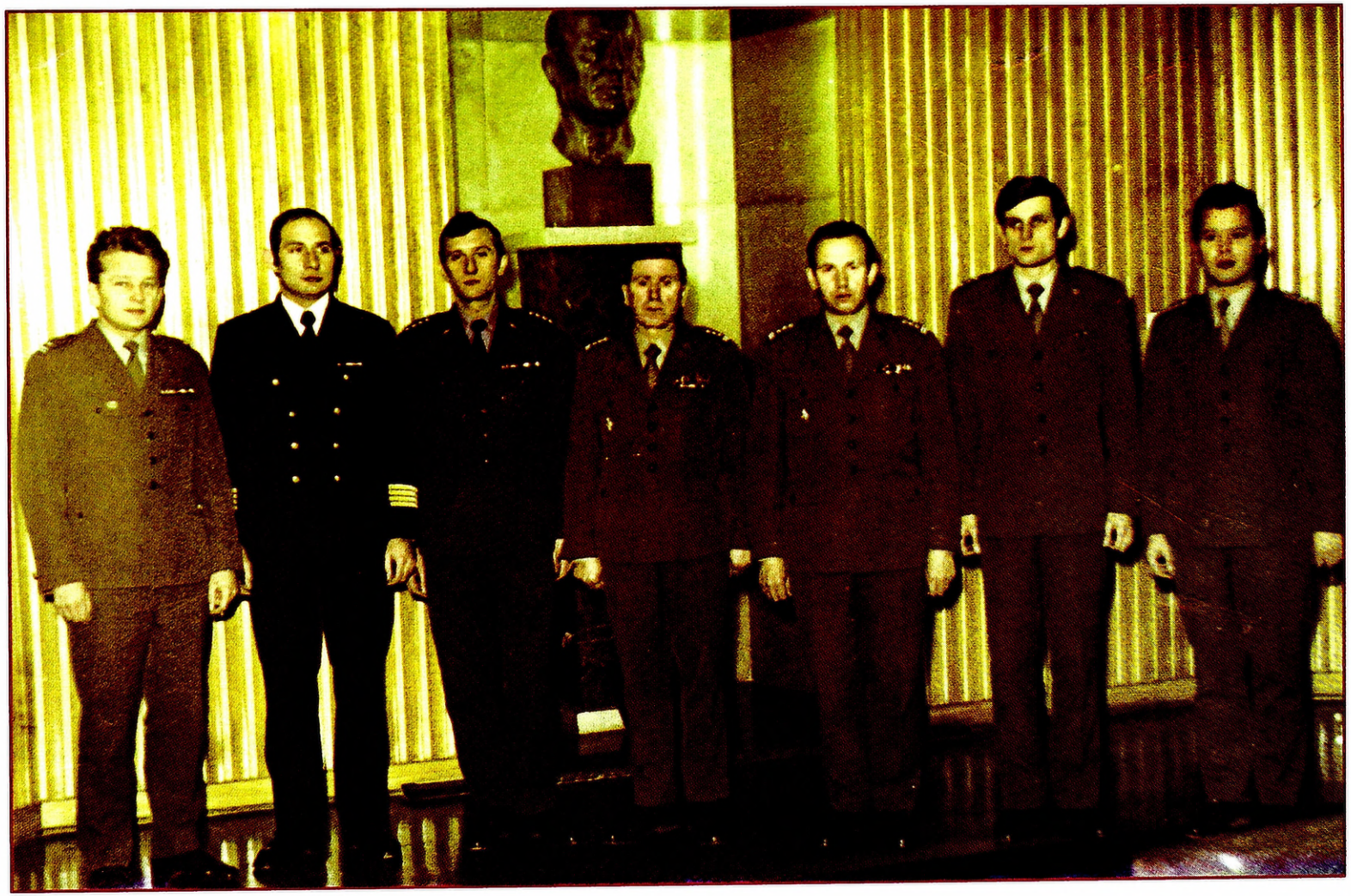

28. Przodujący nauczyciele akademiccy i słuchacze. Od lewej: autor, kpt. marynarki Paweł Chudzyński, kpt. Leszek Buchnajzer, płk. Henryk Kitkowski, płk. Józef Mackiewicz, kpt. Janusz Kopacz i kpt. Henryk Starobrat. 1975 r.

Rozdział dziewiąty

Niebieski beret

Dywizja desantowa

W owym czasie istniały w Polsce dwie dywizje desantowe. Dywizja powietrznodesantowa z dowództwem w Krakowie i dywizja desantu morskiego, której dowództwo mieściło się w Gdańsku. Obie wysoce mobilne i przeznaczone do wykorzystania na tyłach przeciwnika. Te dwie dywizje posiadały specyficzny sprzęt, inną strukturę organizacyjną oraz znacznie mniejsze stany osobowe niż zwykłe dywizje zmechanizowane i pancerne. O ile jednak dywizja powietrznodesantowa posiadała strukturę batalionową, o tyle dywizja desantowa strukturę pułkową, pułki zaś podobnie jak w dywizji pancernej – strukturę kompanijną.

Dywizja desantowa, której pełna niejawna nazwa brzmiała 7 Łużycka Dywizja Desantowa (7 ŁDD) posiadała nazwę jawną – Jednostka Obrony Wybrzeża. Jej oddziały i samodzielne pododdziały stacjonowały w Gdańsku, Lęborku i Słupsku. Była to jednostka wojskowa odpowiadająca typem radzieckiej piechocie morskiej i amerykańskiej marines. Jednakże jej podporządkowanie było nieco inne. Radzieckie i amerykańskie jednostki piechoty morskiej wchodziły organicznie w skład sił morskich, zaś nasza dywizja desantowa była częścią składową Pomorskiego Okręgu Wojskowego i podlegała jego dowództwu.

Posiadała trojakie przeznaczenie. Mogła być wykorzystana do desantowania na wybrzeżu zajętym i bronionym przez nieprzyjaciela w celu uchwycenia przyczółków oraz rozwinięcia i prowadzenia natarcia w głąb. W naszym przypadku głównie na wyspach duńskich. Działania w składzie armii ogólnowojskowej na kierunku nadmorskim, gdzie występuje dużo szerokich ujść rzecznych oraz rozlewisk, a także bronić wybrzeża morskiego w rejonach najdogodniejszych dla przeciwnika do desantowania.

W wyposażeniu dywizji desantowej znajdowały się czołgi pływające PT-76 i pływające transportery opancerzone typu TOPAZ. Czołgi były produkcji radzieckiej, zaś transportery, o dziwo, czeskiej. Oba te typy wozów bojowych charakteryzowały się większą objętością, czyli większymi gabarytami, nieco

mniejszą grubością pancerzy oraz mniejszymi kalibrami uzbrojenia. Wszystko to w celu uzyskania odpowiedniej wyporności i pływalności. Także opancerzone wozy dowodzenia i wozy dowódczo-sztabowe były wykonane na bazie transporterów TOPAZ.

Żołnierze dywizji desantowej chodzili w identycznych mundurach, jak dywizji powietrznodesantowej. Jednakże ich berety i emblematy na rękawach były już inne. Nosili niebieskie berety w identycznym odcieniu, jak żołnierze kontyngentów ONZ, zaś na lewym rękawie bluzy, nieco poniżej naramiennika okrągły niebieski emblemat, na którym widniała biała kotwica w otoczeniu wieńca laurowego. Taki emblemat nosili na mundurach wyjściowych wszyscy żołnierze. Natomiast na mundurach polowych kolor tła tych emblematów był różny. Każdy oddział i samodzielny pododdział posiadał inny kolor tła. Dowództwo dywizji nosiło emblematy, których tło miało kolor wiśniowy.

Dywizja desantowa była jednostką mającą dobrą markę tak wśród przełożonych, jak i służących w niej żołnierzy. Należała do jednostek specyficznych i elitarnych oraz ściśle współpracujących w ramach ćwiczeń z naszą marynarką wojenną oraz Radziecką Flotą Bałtycką i marynarką wojenną NRD. Żołnierze zaś tej dywizji zwani byli przez złośliwców i zawistnych „moczydupkami" lub „żabochlapami".

Działania desantowe bezpośrednio zabezpieczała Flotylla Obrony Wybrzeża, to jest 8 Flotylla Okrętów Desantowych stacjonująca w Świnoujściu. Jednakże ilość posiadanych przez nią okrętów desantowych starczała jedynie na jednorazowe załadowanie sprzętu i ludzi jednego pułku desantowego. Pozostałe pułki i samodzielne pododdziały dywizji musiały być ładowane na radzieckie okręty desantowe lub polskie statki handlowe i promy. Przewożone na statkach i promach miały stanowić drugi rzut dywizji, wchodzący do walki dopiero po uchwyceniu przyczółków i portów przez siły pierwszego rzutu.

W Gdańsku w kompleksie koszarowym przy zbiegu ulic Grunwaldzkiej i Juliusza Słowackiego stacjonował jeden pułk desantowy oraz prawie wszystkie samodzielne pododdziały dywizji. Tam też znajdował się garnizonowy węzeł łączności (GWŁ). Dowództwo dywizji mieściło się w willi przy ulicy Władysława Hibnera. Następne dwa pułki desantowe stacjonowały poza Gdańskiem, jeden w Lęborku, a drugi w Słupsku.

Szef łączności dywizji

W willi na Hibnera przyjął mnie dowódca dywizji, generał brygady Leszek Kozłowski w asyście szefa sztabu dywizji, a później mojego bezpośredniego przełożonego, pułkownika Franczaka oraz zastępcy do spraw politycznych podpułkownika Bagniuka.

Dowódca dywizji był postawnym mężczyzną średniego wzrostu o marsowej minie i dużym, czarnym wąsie pod stosunkowo małym sosem. Jego zna-

kiem rozpoznawczym była olbrzymia łysina, która lśniła zawsze, gdy generał chodził lub przebywał bez beretu na głowie. Muszę przyznać, iż w berecie wyglądał znacznie przystojniej i mógł podobać się kobietom.

Obecność szefa sztabu wynikała stąd, że szef sztabu odpowiadał przed dowódcą za dowodzenie i łączność. Jemu też w ramach sztabu podlegał wydział łączności, a więc i szef łączności dywizji.

Po przywitaniu, już w trakcie przyjęcia dowódca stwierdził, że to dobrze, iż na stanowisko szefa łączności otrzymuje „akademika". Jednocześnie wyraża niezadowolenie z faktu, że będę pełnił tę funkcję tylko jeden rok. Wyjaśnił przy tym, że nie lubi karuzeli stanowisk, bowiem zbyt częste zmiany na stanowiskach dezorganizują pracę dowództwa. Na zakończenie rozmowy podkreślił w stanowczy sposób, iż życzy sobie, abym dołożył wszelkich starań przy pełnieniu trudnych obowiązków szefa łączności.

Ponadto określił mi ogólny zakres zadań. Obejmował on między innymi pełnienie roli szefa łączności dywizji i jednocześnie szefa łączności garnizonu Gdańsk. Wiązało się to z tym, iż dowódca dywizji był jednocześnie dowódcą garnizonu. W tym sensie podlegała mu cała łączność polowa dywizji, jak i stacjonarna garnizonu Gdańsk.

Było to trudne, ponieważ Garnizonowy Węzeł Łączności (GWŁ) Gdańsk i sieć stacjonarna podlegały w ramach Międzygarnizonowego Systemu Łączności Ministerstwa Obrony Narodowej szefowi węzła łączności MON, a nie dowódcy garnizonu. Jednakże w trakcie początkowych rozmów z szefem GWŁ Gdańsk ułożyłem sobie z nim stosunki na zasadzie dobrego partnerstwa i współpracy. Utrzymały się one do końca mojej pracy w Gdańsku.

Na początku nie była to jednak sprawa prosta, gdyż szef GWŁ chciał być samodzielny nie tylko w stosunku do mnie, ale także dowódcy garnizonu. Aby wybić mu to z głowy, użyłem następującego wybiegu. Poinformowałem go, że generał wyznaczył mnie także na stanowisko szefa łączności garnizonu, co było oczywiście prawdą. Ponadto wszystkie zadania określone przez dowódcę będzie otrzymywał za moim pośrednictwem i przede mną będzie się rozliczał. Jeśli będą problemy z ich realizacją to dowódca dywizji wystąpi z wnioskiem do szefa węzła łączności MON o natychmiastowe zwolnienie szefa GWŁ Gdańsk z pełnionej funkcji. A że Gdańsk był bardzo atrakcyjnym garnizonem to absolutnie wystarczyło, aby przywołać go do porządku i pozbyć się większych kłopotów w czasie całej współpracy.

Obowiązki szefa łączności przyjmowałem od podpułkownika Drózda. Starszego, przystojnego i niezwykle sympatycznego pana o gęstej, siwej czuprynie. Odchodził na emeryturę, a w zasadzie na rentę, ze względu na stan zdrowia. W wydziale łączności pracowali jeszcze: major Jerzy Siatecki i major Bronisław Kubacki. Obaj starsi już panowie bez wyższego wykształcenia.

Major Siatecki zajmował się w wydziale sprawami organizacyjnymi oraz organizacją łączności radioliniowej i przewodowej. Był przesympatycznym człowiekiem, otwartym, pogodnym i życzliwym dla wszystkich oraz niezwykle pra-

cowitym, przy tym wielkiej dobroci serca i przyzwoitości. Z racji chętnego wyjazdu na ćwiczenia i szkolenia w terenie zwany „marszałkiem polnym".

Natomiast major Kubacki zajmował się materiałowo-technicznym zabezpieczeniem łączności. Należał do ludzi dość zamkniętych w sobie, pilnie strzegących swoich praw i dosyć trudno zawierających bliższe znajomości. Początkowo wydawało się, że był mocno obrażony i powściągliwy, gdyż uważał, że przyszedł do pracy „młodzik" bez doświadczenia i chce nim rządzić. Jednak z czasem przekonał się, że w sprawach fachowych wiem znacznie więcej od niego, a przy tym nie wymądrzam się i traktuję obu majorów z szacunkiem, jak przystało na starszych kolegów.

W wydziale łączności nie było specjalisty od łączności radiowej, najważniejszej w zapewnieniu łączności dywizji w działaniach bojowych, oraz od łączności specjalnej (kodowej i szyfrowej), a także pocztowej. Te więc obowiązki spoczywały bezpośrednio na mnie.

W budynku przy ulicy Hibnera oprócz dowództwa dywizji mieściły się także elementy łączności, takie jak: stacja transmisji informacji i stacja szyfrowa. Regułą w Wojsku Polskim było, że te elementy łączności były częścią składową garnizonowych węzłów łączności. W Gdańsku było inaczej, ponieważ GWŁ mieścił się w kompleksie koszarowym przy ulicy Słowackiego, a budynek dowództwa dywizji przy ulicy Hibnera. Aby zabezpieczyć utajnianie informacji wychodzących i odtajnianie przychodzących wybrano takie rozwiązanie. W przeciwnym wypadku, na odcinku pomiędzy dowództwem dywizji a garnizonowym węzłem łączności, te same informacje przekazywane byłyby jako jawne, a dalej w międzygarnizonowym systemie łączności MON jako tajne. To powodowałoby, iż łatwo można by porównać oba rodzaje informacji i złamać system utajniania, a tym samym posiąść dostęp do wszystkich informacji wychodzących i przychodzących do dowództwa dywizji. Na owych stacjach były więc urządzenia do automatycznego utajniania rozmów telefonicznych i telegraficznych oraz urządzenia do mechanicznego i automatycznego kodowania i szyfrowania przekazywanych informacji oraz ich rozkodowywania i deszyfracji.

W następnej kolejności zapoznałem się z pracą dowództwa i z poszczególnymi szefami rodzajów wojsk i służb oraz wydziałów sztabu. Byli to w przytłaczającej większości absolwenci Akademii Sztabu Generalnego, więc szybko znalazłem z nimi wspólny język, a współpraca między nami układała się doskonale. Potem już przystąpiłem do spraw fachowych, a więc przyjęcia dokumentacji łączności dotyczącej osiągania wyższych stanów gotowości bojowej, różnych planów, map i wszelkiej dokumentacji.

Szczególną uwagę zwróciłem na specyfikę organizacji łączności dywizji w działaniach bojowych, w tym przede wszystkim na zapewnienie łączności w poszczególnych fazach operacji desantowej oraz współdziałania z marynarką wojenną i Dowództwem Flotylli Okrętów Desantowych. No i na koniec wizytowałem wszystkie pododdziały łączności w Gdańsku, Lęborku i Słupsku, wyrabiając sobie opinię o dowodzeniu nimi, stanie sprzętu, wyszkoleniu kadry

i żołnierzy służby zasadniczej oraz przygotowaniu ich do wykonywania zadań bojowych.

Po dwóch tygodniach przystąpiłem do pełnienia obowiązków. Oficjalnie nastąpiło to w pierwszych dniach października, na uroczystości pożegnania oficerów odchodzących do cywila i oficjalnego przedstawienia ich następców.

W garnizonie i na ćwiczeniach

Na czas pracy w Gdańsku zamieszkałem w internacie garnizonowym, mieszczącym się wojskowym hotelu, zajmując jeden samodzielny pokój na pierwszym piętrze. W pobliżu mieścił się klub garnizonowy z kasynem oficerskim. Była to wygoda, gdyż posiłki spożywałem w kasynie, a drugie śniadanie w kawiarence – bufecie, mieszczącym się w piwnicach budynku dowództwa dywizji przy ulicy Hibnera. Po sąsiedzku z hotelem garnizonowym, ale już na terenie koszar pułku desantowego znajdowała się także duża hala sportowa. Można więc było poćwiczyć, pograć w piłkę siatkową lub nożną. A więc wykorzystać dla zdrowia wolny czas.

Po zadomowieniu się w Gdańsku odwiedziłem starych znajomych ojca, państwo Pieprzyków. Mieszkali dalej przy ulicy Feliksa Dzierżyńskiego, w domu pod numerem 46/48. Wówczas byli już rzeczywiście w sile wieku. Pan Antoni już dawno na emeryturze, a pani Jadwiga, jak dawniej, trochę szyła i dorabiała w ten sposób do emerytury męża. Dzieci nie mieli. Zaś opieką, którą otoczyli swego czasu dalszego krewniaka Fredka i serce, które włożyli w jego wychowanie, niestety nie zaowocowały. Odszedł od nich, zaczął grać po knajpach, trochę się rozpił i ze swoją rodziną też miewał większe lub mniejsze kłopoty. Żyli więc dalej sami, w starym mieszkaniu i wśród starych mebli.

Widząc mnie ucieszyli się bardzo. Na powitanie wręczyłem pani Jadwidze piękny bukiet róż. Porozmawialiśmy serdecznie, opowiedziałem im o ojcu, którego zresztą usilnie namawiałem do przyjazdu. Przy pierwszej wizycie nie mogłem wyjść z ich domu i zostałem do następnego dnia. Późniejsze wizyty były już znacznie krótsze, ale nie mniej ciepłe. Przy pierwszej wizycie powiedzieli też, iż są szczerze zaskoczeni moim wyglądem, stanowiskiem i ogólnie powodzeniem w życiu. Jakby trochę zazdrościli, że Fredkowi tak się nie udało.

Pełnienie obowiązków rozpocząłem od uaktualnienia dokumentów planu osiągania wyższych stanów gotowości bojowej (OWSGB) dywizji. Częścią tego planu był plan łączności i plany osiągania wyższych stanów gotowości bojowej przez pododdziały łączności. Ich aktualność i forma pozostawiała wiele do życzenia i wymagała pilnego opracowania według najnowszych i obowiązujących wzorów.

Zgodnie z zarządzeniem Sztabu Generalnego WP musiałem także opracować nowe dane radiowe dla wszystkich sieci i kierunków radiowych całej dywizji. Była to praca bardzo pilna, gdyż termin ich opracowania już minął, a po-

nadto trudna, żmudna i pracochłonna, którą należało wykonać niezwykle dokładnie, ponieważ pomyłka nawet w jednej cyfrze zmieniała całkowicie sens tych danych i prowadziła do braku łączności. Musiałem je opracować osobiście, gdyż jak już wspominałem, żaden z oficerów wydziału łączności nie był radiowcem. Pracowałem nad tym około miesiąca, a następnie maszynistka szefa sztabu, jako najbieglejsza w swoim fachu, przepisywała to wszystko na maszynie w kilku egzemplarzach. Dalej już, zgodnie z rozdzielnikiem, należało je wysłać do Sztabu Generalnego, w tym Zarządu II, Dowództwa POW w Bydgoszczy oraz poszczególne wyciągi, to jest odpowiednie części, do wszystkich oddziałów i samodzielnych pododdziałów dywizji. Było to kilka zestawów i kompletów danych radiowych, na których pracowało się w czasie pokoju, a więc wszelkiego rodzaju ćwiczeń, okresów osiągania WSGB oraz planowane do użycia na okres wojny, czyli w działaniach bojowych dywizji.

Jednocześnie w październiku i listopadzie cały zespół dowództwa dywizji i dowództwa podległych jednostek pracowały niezwykle pilnie nad opracowaniem kalendarzowego planu szkolenia dywizji w nadchodzącym roku kalendarzowym. Podstawą owych czynności było wiele dokumentów przełożonych, takich jak dyrektywa MON do szkolenia na 1977 rok, wytyczne dowództwa POW, przydział poligonów oraz centralnych i okręgowych obiektów szkoleniowych. Ponadto przydzielone limity amunicji, kilometrów, paliwa oraz stan wyszkolenia oddziałów i pododdziałów dywizji. Praca ta dotyczyła także łączności, gdyż bądź partycypowaliśmy w określonych przedsięwzięciach, bądź zabezpieczaliśmy konkretne działanie lub współdziałanie, a także musieliśmy szkolić pododdziały łączności zgodnie z opracowanymi planami.

W ramach szkolenia kadry dywizji przeprowadziłem wykład na temat możliwości zapewnienia ciągłości łączności dywizji desantowej w działaniach bojowych prowadzonych w warunkach silnego radioelektronicznego oddziaływania przeciwnika. Po ukończeniu akademii miałem świeżo nabitą głowę wiedzą, która znacznie wykraczała poza standardy przyjmowane w jednostce. Toteż w przeprowadzonym wykładzie pokazałem nowoczesną technikę radioelektroniczną przeciwnika i jej możliwości oraz trudności z jakimi możemy się spotkać w zapewnieniu dowodzenia i łączności dywizji w walce. W tym kontekście skupiłem się na tych przedsięwzięciach organizacyjnych i technicznych, które mogą nam umożliwić zapewnienie łączności, chociaż nie takiej jakości jakiej chcielibyśmy. Podkreśliłem także to, co zależy od oficerów dowództw, a co od samych łącznościowców.

Mimo że powyższe problemy przedstawiałem w sposób możliwie obiektywny i bardzo oględny, to uświadomiłem wszystkim, że nie jest tak różowo jak sądzili i że zapewnienie łączności dywizji desantowej w działaniach bojowych będzie niezwykle trudne, a w niektórych momentach i okresach wręcz niemożliwe.

Wykład ten musiał wzbudzić spory oddźwięk wśród kadry oraz dowództwa i wywołał szeroką dyskusję. Jak mi się zdaje był także tematem odprawy

u „wodza", gdyż w jej wyniku zostałem wezwany „na dywanik", to jest do gabinetu dowódcy dywizji i w jego obecności ustawiany politycznie przez zastępcę do spraw politycznych. Podstawowy zarzut jaki mi postawiono sprowadzał się do tego, że wszystko widzę w czarnych barwach i sieję defetyzm, co szkodzi morale kadry. Wysłuchałem cierpliwie wszystkiego i odpowiedziałem:

– Obywatelu generale. Nie jestem politycznym głupcem, jak się niektórym wydaje. Zdając sobie sprawę z wagi problemu, przedstawiłem go w sposób wyważony, ale taki, aby zasadniczo nie wprowadzać kadry w błąd, czego by mi – jak sądzę – obywatel generał nie wybaczył. Jednak w tym gronie mogę powiedzieć, iż prawda jest o wiele bardziej przykra i złożona niż to nakreśliłem w wykładzie. Wymaga także od nas większego wysiłku szkoleniowego, większej wiedzy, a nie chowania głowy w piasek i udawania, że wszystko jest w porządku.

Po tym zastępca dowódcy zamilkł, a dowódca podziękował mi za wyjaśnienie. Na tym owo spotkanie zakończyło się.

Po uporaniu się z pracą nad planem szkolenia oraz po opracowaniu danych radiowych dywizji przyszedł czas na kontrolę szkolenia w pododdziałach łączności. Prowadziłem ją w Gdańsku, Lęborku i Słupsku. Było to ważne przedsięwzięcie z tego względu, że na przełomie stycznia i lutego planowany był wyjazd całej dywizji na poligon. Pododdziały łączności do tego przedsięwzięcia musiały być dobrze przygotowane, aby móc sprawnie zapewnić dywizji łączność w trakcie przegrupowania i pobytu na poligonie.

Raz w miesiącu, a niekiedy i częściej, pełniłem służbę oficera operacyjnego dywizji i garnizonu Gdańsk. Służbę tę pełniło się 24 godziny w pomieszczeniach znajdujących się na pierwszym piętrze budynku, w którym mieścił się garnizonowy węzeł łączności, a więc w budynku koszarowym przy ulicy Słowackiego. Oficer operacyjny miał także pomocnika, który go zastępował w trakcie posiłków spożywanych w kasynie oraz w nocy, kiedy trzymali służbę na zmianę, odpoczywając po cztery godziny.

Pomieszczenia dyżurnego operacyjnego wyposażone były w urządzenia automatycznego alarmowania telefonicznego w garnizonie oraz urządzenia telefonicznego i telegraficznego alarmowania dalekosiężnego, umożliwiające przekazywanie sygnałów alarmowych drogą radiową i przewodową ze Sztabu Generalnego WP i Pomorskiego Okręgu Wojskowego do oficera operacyjnego dywizji, a stamtąd do dowództwa dywizji, dowództw podległych i współdziałających jednostek, służb dyżurnych oraz instytucji przewidzianych do powiadamiania i na odwrót. Ponadto oficer operacyjny uczestniczył, a niekiedy także organizował w wybrane dni miesiąca treningi ostrzegania i alarmowania.

Cały szkopuł tych działań polegał na tym, że informacje przychodziły zakodowane według odpowiednich tabel. Należało je rozkodować, następnie przekazać do wykonania, zebrać meldunki o ich wykonaniu przez podległe służby oraz zameldować służbie dyżurnej Sztabu Generalnego. Istotna trudność polegała na tym, iż obowiązujące czasy obiegu tych informacji były niezwykle krótkie, na przykład 2–3 minuty. Jeżeli więc służby nie były należycie

wytrenowane, to nie mieściły się w owym wymaganym czasie i meldunki były spóźnione. To zaś powodowało przekazywanie uwag do dowódcy dywizji i jego odpowiednie reprymendy, których owym oficerom operacyjnym nie żałował. Było więc zasadą, że po przyjęciu służby oficera operacyjnego ćwiczyło się podległe służby operacyjne dotąd, aż zapewniały spełnienie tych bardzo wyśrubowanych norm.

Jesień to także czas wykopków. Nasza dywizja, jak zresztą wszystkie inne, pomagała PGR-om i spółdzielniom produkcyjnym w tym terminowym przedsięwzięciu. Z dywizji wyjechały kilkudziesięcioosobowe grupy żołnierzy w rejony Warmii i Mazur oraz Pomorza Zachodniego. Z nimi wszystkimi musieliśmy zorganizować i zapewnić łączność, aby w przypadku ogłoszenia alarmu lub wyższych stanów gotowości bojowej dla dywizji natychmiast ich ściągnąć do jednostek, w czasie nieprzekraczającym kilku godzin.

Dzisiaj, przy tym stanie techniki łączności, wydaje się to dziecinnie proste. W owym czasie było to jednak przedsięwzięcie trudne, gdyż nie w każdym PGR-ze był nawet telefon, a więc niektóre grupy należało wyposażać we własne środki radiowe i organizować z nimi łączność.

Przeważnie raz w miesiącu organizowane były, także w garnizonach, treningi sztabowe lub ćwiczenia dowódczo-sztabowe na mapach. Treningi dotyczyły wycinkowej działalności, przeważnie praktycznej, potrzebnej do nabycia odpowiednich umiejętności. Z ramienia łączności organizowałem dla oficerów dowództwa treningi sztabowe w pracy na radiostacjach osobistych i ogólnych sztabu w przekazywaniu wiadomości przez techniczne środki łączności oraz utajnianiu i odtajnianiu informacji przy pomocy tabel kodowych i sygnałowych. W związku z tym, iż praca przez techniczne środki łączności, a szczególnie radiostacje, nie była łatwa, gdyż należało surowo przestrzegać obowiązujących przepisów prowadzenia korespondencji, a utajnianie i odtajnianie przekazywanych wiadomości było niezwykle praco- i czasochłonne, aby utrzymać kadrę w należytej kondycji dowódczej, treningi te były niezbędne.

Ćwiczenia dowódczo-sztabowe na mapach doskonaliły umiejętności planowania działań w różnych warunkach taktycznych i operacyjnych, wykonywania niezbędnych dokumentów i podejmowania decyzji w określonych sytuacjach. W tym celu opracowywane były odpowiednie założenia i sytuacje do każdego ćwiczenia, na bazie których następnie je prowadzono. Według nich każdy oficer dowództwa miał do wykonania określoną pracę w danym ćwiczeniu. Każde z ćwiczeń miało swój kryptonim w celu ukrycia tematu i problematyki ćwiczenia. Kryptonimy były przeróżne, niekiedy bardzo tajemnicze. Jedno z takowych ćwiczeń nosiło kryptonim „Edredon". Jak się okazało była to nazwa kaczki polarnej, posiadającej najcieplejszy i najlżejszy puch, który miał zastosowanie w ubiorach polarnych i wysokogórskich.

Dużo ćwiczeń dowóczo-sztabowych na mapach dotyczyło lądowo-morskiej operacji kombinowanej, a w jej ramach morskiej lub powietrzno-morskiej operacji desantowej. Główne założenia sojuszniczego współdziałania zakładały dzia-

łanie polskich wojsk na północno-nadmorskim kierunku operacyjnym. A więc polskie armie, w tym szczególnie dwie, tworzone z wojsk Pomorskiego i Śląskiego Okręgu Wojskowego, miały prowadzić działania w Północnych Niemczech i na Półwyspie Jutlandzkim, zaś nasza dywizja we współdziałaniu z Radziecką Flotą Bałtycką i ich piechotą morską miała desantować na wyspy duńskie i opanować je. A więc w zdecydowanej większości nasze ćwiczenia dowódczo-sztabowe na mapach dotyczyły operacji desantowych na wyspy duńskie.

Mieliśmy rozpoznane najdogodniejsze do desantowania plaże. Na Zelandii należały do nich plaże nad zatokami Koge i Fakse. Pierwsza z nich położona bezpośrednio na południe od Kopenhagi, zaś druga znacznie dalej na południe. Plaże niezwykle pojemne, łagodne i sprzyjające desantowaniu, tym samym cechowały się południowo-wschodnie brzegi mniejszych już wysp: Falster i Lolland.

W tym czasie wydawało się nam, iż znamy każdy szczegół owych wysp i nic nie może stanowić dla nas tajemnicy. Tak jednak nie było. Po kilku latach dowiedzieliśmy się, że do tych plaż Duńczycy doprowadzili podziemne rurociągi. Ich przeznaczenie polegało na tym, że w czasie desantowania miały zalać paliwem plaże i przybrzeżne wody, a podpalone uniemożliwić wysadzenie desantu.

Zgodnie z planem szkolenia dywizji w 1977 roku czekały nas następujące duże ćwiczenia: „Obóz zimowy – Orzysz", „Ćwiczenie – Ustka-77", „Obóz letni – Drawsko" i „Ćwiczenie – Fala-77".

„Obóz zimowy – Orzysz" trwał miesiąc, na przełomie stycznia i lutego. Brała w nim udział cała dywizja. W garnizonach pozostały jedynie służby dyżurne i pododdziały przeznaczone do ochrony koszar. Dowództwo dywizji przemieściło się na poligon w kolumnie kołowej, zaś sprzęt gąsienicowy i podległe jednostki – transportem kolejowym.

Dywizja na poligonie Orzysz otrzymała rejon stacjonowania na południe od miejscowości Klusy. Na tydzień przed wyjazdem dywizji na poligon, w rejon ten wysłano grupy organizacyjno-przygotowawcze mające na celu przygotowanie obozowisk i łączności.

Każda z jednostek otrzymała swój rejon, gdzie z namiotów urządzono obozowiska. Każdy rejon był podzielony na sektory, w których oddzielnie rozlokowane były pododdziały, na przykład kompanie i samodzielne plutony, a oddzielnie sprzęt bojowy. Namioty ustawione były w rzędy, pomiędzy którymi prowadziły uliczki i ścieżki. W każdej jednostce były namioty: oficera dyżurnego, wartowni, świetlicy oraz namioty sypialne, oddzielne dla kadry i żołnierzy służby zasadniczej. Obok namiotów urządzone były także umywalnie, kuchnie polowe, stołówki żołnierskie i kasyno.

Łączność na poligonie została zorganizowana przy pomocy środków polowych i stacjonarnych, w sposób podobny jak w garnizonach. Polowy węzeł łączności stanowiska dowodzenia dywizji dowiązano środkami polowymi, a więc kablem polowym i stacjami radioliniowymi oraz stałą linią napowietrzną do garnizonowego węzła łączności Orzysz. Przez niego zamówiono i na okres

miesiąca zestawiono stałe łącza do GWŁ Gdańsk. A dalej już normalnie funkcjonował międzygarnizonowy system łączności MON. Uruchomiono również na poligonie radiostację R-140, która pracowała bezpośrednio w sieci radiowej Sztabu Generalnego dla POW.

Rozwinięto także pomiędzy wszystkimi jednostkami polową łączność przewodową i zorganizowano łączność pocztową. Prawie całą łączność przewodową rozwinął Jurek Siatecki, który wyjechał na poligon wcześniej z odpowiednią grupą żołnierzy łącznościowców.

Jako nowość, która później okazała się bardzo uciążliwa, zaplanowaliśmy zorganizowanie systemu alarmowania na poligonie, opierając się na urządzeniach stacjonarnych, zasilanych z baterii akumulatorów o napięciu 60 volt. Było to świetne rozwiązanie, zapewniające natychmiastowe alarmowanie wszystkich jednostek, podobnie jak w garnizonach służyła też rozmowom okólnikowym i konferencyjnym. Jednocześnie miała podstawowy mankament. Sprawiała sporo kłopotu, gdyż kable polowe nie były dostosowane do tak wysokiego napięcia, a ponadto były już częściowo wyeksploatowane i oporność ich izolacji była znacznie mniejsza. To doprowadzało do częstego przebicia izolacji, fałszywych alarmów i awarii. Awaryjność tej sieci była tak duża, że wyznaczyliśmy na stałe spory zespół do natychmiastowego usuwania awarii.

Na poligonie zastała nas sroga zima. Mrozy dochodziły do minus dwudziestu stopni Celzjusza, a opady śniegu sięgały pół metra wysokości. Nie należy zapominać, iż ów rejon i suwalskie należą do polskiego bieguna zimna. Obozy wyglądały malowniczo, ale wymagały olbrzymiej pracy przy ich użytkowaniu.

Przy tak dużych opadach śniegu i mrozie mieliśmy sporo problemów z techniką wojskową, szczególnie z pojazdami mechanicznymi. Problemy były nie tylko z uruchamianiem samochodów, ale także z jazdą w terenie, szczególnie w głębokim śniegu lub po oblodzonych drogach. Ale była to doskonała szkoła dla kierowców. W tych warunkach jakże często kierowcy musieli korzystać z wyciągarek, popularnych „lebiodek", które ratowały ich z zimowych opresji, a przy tym ich użycie nie było wcale łatwe.

Podobnie przedstawiała się sprawa z wykorzystaniem techniki łączności. Agregaty prądotwórcze często przerywały pracę lub nie dawały się uruchomić. Przyczyną tego zjawiska było najczęściej zanieczyszczone wodą paliwo. Przy dużych mrozach bardzo trudno było budować maszty antenowe stacji radioliniowych i radiostacji. Maszty powstawały z łączenia kolejnych odcinków rur aluminiowych i mierzyły od 14 do 25 metrów wysokości. Przy silnym mrozie były trudności z łączeniem odcinków, przymarzaniem palców i rąk do metalu oraz wbijaniem metalowych kołków w zmarzniętą ziemię. Do owych kołków mocowane były liny utrzymujące maszty w pionie. Na początku treningów przyczyny te opóźniały znacznie rozwijanie elementów węzłów i nawiązywanie łączności. I dopiero systematyczny trening doprowadzał do tego, iż załogi aparatowni, stacji radioliniowych i radiostacji doszły do wprawy i pokonały trudności związane z zimowymi warunkami.

W ramach obozu zimowego zarządziłem dla łącznościowców całej dywizji zgrupowanie sił i środków na otwartej przestrzeni między lasami, leżącej pośrodku wszystkich jednostek. W tak ciężkich warunkach terenowych i przy olbrzymim mrozie ćwiczyliśmy drużyny, załogi, obsługi w rozwijaniu i zwijaniu oraz pracy na sprzęcie łączności. Udział brały obsługi krótkofalowych radiostacji średniej mocy, wozów dowodzenia, różnych aparatowni łączności, stacji radioliniowych, drużyn kablowych itp. Sądzę, że pomysł był niezły, gdyż miałem pod kontrolą większość obsług łączności dywizji, które pod moim okiem ćwiczyły według jednolitego planu.

Po przeszło dwutygodniowym szkoleniu, już pod koniec trwania obozu przeprowadziłem ćwiczenie taktyczno-specjalne pododdziałów łączności, które przygotowywało ich do działania w systemie łączności dywizji (ilustr. 29). Owo ćwiczenie dzienno-nocne trwało 24 godziny i przeprowadzone zostało po olbrzymiej pętli, a więc zaczynało się i kończyło w tym samym rejonie. W jego trakcie przemieściliśmy pięć razy węzeł łączności stanowiska dowodzenia i węzeł łączności kwatermistrzowskiego stanowiska dowodzenia dywizji i po dziesięć razy węzły łączności stanowisk dowodzenia pułków i samodzielnych pododdziałów dywizji. W trakcie pracy węzłów łączności zapewnialiśmy łączność radioliniową i przewodową oraz pocztową, zaś w trakcie ich przegrupowania łączność radiową i także pocztową. Grupy podgrywające opracowywały olbrzymie ilości telegramów i informacji taktycznych, które obsługi przekazywały przez środki łączności.

Na zakończenie obozu zimowego odbyło się ćwiczenie dowódczo-sztabowe dywizji połączone z bojowym działaniem niektórych pododdziałów i ze strzelaniem amunicją bojową. Po takich treningach łączność zdała egzamin bardzo dobrze, a cała dywizja spisała się na medal.

Pomysł z organizacją obozu zimowego na poligonie Orzysz był bardzo trafnym przedsięwzięciem szkoleniowym, gdyż odbywał się w bardzo trudnych warunkach klimatycznych i meteorologicznych. Tu dopiero uwidoczniły się trudności organizacyjne, zaopatrzeniowe, szkoleniowe oraz wiele innych. Uświadomiliśmy sobie wszyscy, żołnierze służby zasadniczej i kadra, o ile więcej wysiłku trzeba włożyć i jakie umiejętności trzeba posiadać, aby w tych warunkach dobrze realizować stojące przed każdym zadania. Ponadto dywizja ćwicząc w tych warunkach poszerzała wachlarz swoich umiejętności i stawała się bardziej uniwersalna w swoim przeznaczeniu.

Tylko co otrząsnęliśmy się z trudów ćwiczenia zimowego, a już trzeba było przygotowywać się i opracowywać dokumenty do następnego ćwiczenia. Było nim duże ćwiczenie przeprowadzane na poligonie w Ustce. Ćwiczenie niezwykle ciekawe, gdyż brały w nim udział siły lotnicze wojsk lądowych i marynarki wojennej, marynarka wojenna i nasza dywizja. Poligon Ustka był centralnym poligonem, gdzie przeciwlotnicy z całej Polski, prawie przez cały rok, doskonalili swoje umiejętności strzelając do celów powietrznych nad Bałtykiem i do celów nawodnych.

Nasza dywizja, a dokładnie jej pułki słupski i gdański, występowała w podwójnej roli. Jeden pułk był desantowany z morza, zaś drugi organizował obronę przeciwdesantową w rejonie desantowania. Do tego celu zaangażowane były pełne siły 8 Flotylli Okrętów Desantowych. Działało także lotnictwo, śmigłowce uzbrojone i jednostki artylerii przeciwlotniczej.

Ćwiczenie zostało zorganizowane w ten sposób, iż pułk desantowy z Gdańska załadowany został na plaży w Gdańsku Brzeźnie na okręty desantowe, które następnie wyszły w morze, aby desantować tenże pułk w rejonie Ustki. A pułk desantowy ze Słupska, po ogłoszeniu alarmu, zajął rejon obrony przeciwdesantowej przylegający na odcinku Jarosławiec–Rowy do morza, a następnie przystąpił do przygotowania obrony.

Ćwiczenie, które obserwowałem z okrętu dowódczo-sztabowego, gdzie czuwałem nad zapewnieniem łączności dowodzenia i współdziałania, rozpoczęło się od działania lotnictwa. Bombardowało ono wyznaczone rejony na obszarze poligonu Ustka. Artyleria przeciwlotnicza zwalczała cele powietrzne, strzelając do ciągnionych za samolotami rękawów oraz cele nawodne na obu skrzydłach zbliżającego się do brzegu desantu.

Widok sił desantowych był frapujący. Najpierw rozpoczęła strzelanie artyleria rakietowa okrętów desantowych. Po oddaniu kilku salw na siły obrony przeciwdesantowej w głębi lądu, każdy okręt desantowy odpalił w kierunku lądu ładunek wydłużony z wyrzutni znajdujących się na dziobach okrętów. Sama wyrzutnia miała kształt łódki. W niej umieszczona była mała rakietka, do której przymocowany był ładunek wydłużony, wyglądający jak poskręcana i poukładana, długa na ponad sto metrów kicha wypełniona ładunkiem wybuchowym.

Po odpaleniu rakiety, ciągnęła ona za sobą ów ładunek i gdy już został rozwinięty na całą długość opadał na wodę i wybuchał. Było to zjawisko przedziwne, gdyż towarzyszyło mu powstanie wysokiej na kilkanaście metrów i długiej na ponad sto pięćdziesiąt metrów fontanny wodnej.

Ładunki wydłużone wykorzystywano w celu wykonania przejść w polach minowych. Tak w polach minowych na lądzie, jak i zaminowanych wodach przybrzeżnych. W te przejścia wpływały kutry desantowe, które wysadzały na ląd grupy rozpoznawcze i saperów. Ci zaś rozminowywali odcinki plaż, na które lądowali następni żołnierze w celu uchwycenia przyczółków, a za nimi transportery opancerzone i czołgi pływające.

Patrząc na owych żołnierzy, którzy skakali do wody, niekiedy głębokiej i zimnej, uświadamiałem sobie, iż rzeczywiście obładowani różnymi ładunkami i z bronią na plecach lub w podniesionych dłoniach, wyglądają faktycznie jak skaczące do wody żaby, a moczą nie tylko tyłki, skąd ich wcześniej przytoczone nazwy.

W trakcie odpalania ładunków wydłużonych, z nad lądu wyleciał klucz śmigłowców, który przelatując jeden za drugim skrajem plaży, tuż nad wodą, pozorował zwalczanie sił broniących plaży. A że nie było to dokładnie zsynchronizowane więc ładunek wydłużony przeleciał między pierwszym a drugim

transportem kolejowym i kołowym, tym razem na poligon Drawsko. Po urządzeniu obozowisk w wyznaczonych dla niej rejonach rozpoczęła intensywne szkolenie, przygotowując się do końcowych, dużych ćwiczeń taktycznych ze strzelaniem amunicją bojową. Ćwiczenie to miało być kontrolowane przez dowództwo okręgu, co oznaczało, że wystawiało cenzurkę całej dywizji i podsumowywało wysiłek włożony we wszystkie dotychczasowe ćwiczenia.

Z pobytu na poligonie przedstawię dwie interesujące migawki. Pierwsza związana z siłami natury i druga z działaniami taktycznymi. Moc sił natury poznaliśmy podczas ćwiczenia dowódczo-sztabowego ze środkami łączności. W godzinach późno wieczornych, prawie już o zmroku, zgodnie z wcześniej opracowanym planem rozwinęliśmy w sosnowym lesie węzeł łączności stanowiska dowodzenia dywizji.

Aby jednak mieć wyobrażenie o co chodzi powiem, iż owy węzeł tworzyło zgrupowanie kilkudziesięciu środków łączności, w tym aparatowni i stacji różnych typów, wozów dowodzenia i dowódczo-sztabowych, autobusów sztabowych i zaplecza kwatermistrzowskiego. Wszystko to było rozmieszczone na

dużym obszarze w ten sposób, że poszczególne pojazdy były oddalone od siebie na odległość 30–50 metrów, a tworzone z nich grupy od jednego do trzech kilometrów. Wszystkie elementy były ze sobą połączone różnymi kablami polowymi, rozwijanymi na tym obszarze. W sumie rozwinięto ponad piętnaście kilometrów kabla.

Wszystkie środki węzła łączności pracowały pełną parą, bo też dowództwo dywizji pracowało intensywnie nad wypracowaniem decyzji do natarcia w dniu następnym. Napływały więc informacje od podwładnych, a także współdziałania oraz przekazywane były zadania do wykonania w okresie przygotowawczym i w dniu jutrzejszym.

W pewnym momencie zaczęła od zachodu naciągać burza. Rozpoczęła się od dalekich błyskawic i grzmotów. Po jakimś czasie zrobiło się bardzo ciemno że oko wykol. Potem przyszedł wiatr, który nasilał się w wicher. Stwierdziłem, że jeszcze kilka minut i będziemy w samym centrum burzy. Kazałem więc przerwać łączność, wyłączyć wszystkie stacje, sprawdzić ich uziemienie, odłączyć anteny od radiostacji i aparatowni oraz wszystkie kable od elementów, które ich łączyły, a szczególnie zaś aparatowni telefonicznych i telegraficznych.

Gdy tylko to zostało wykonane, rozpoczęło się prawdziwe piekło. Drzewa wyginały się w przeróżne strony, a między odgłosami grzmotów słychać było trzask łamanych konarów i gałęzi drzew. Po czym wichura, jak gdyby zmniejszyła się, a zaczęły walić pioruny w okoliczne drzewa tak gęsto, iż wydawało się, że nie ma drzewa, w które nie uderzyłby piorun. Widno było prawie jak w dzień, zaś zapach ozonu i przypalanej kory sprawiał wrażenie piekielnego smrodu.

W tym czasie, zgodnie z otrzymanymi poleceniami, wszyscy ćwiczący przebywali w miejscach pracy, jednak nie podchodzili do aparatów telefonicznych i innej aparatury oraz do metalowej obudowy pojazdów. Burza jak szybko przyszła, tak szybko przeszła, zostawiając po sobie straszne pobojowisko. Masę opadłych na ziemię i połamanych konarów i gałęzi oraz zniszczeń, które dopiero mieliśmy rozpoznać.

W wyniku przeprowadzonych oględzin tego naturalnego pobojowiska i przyjętych meldunków okazało się, iż prawie całą sieć wewnętrzną stanowiska dowodzenia trzeba wymienić, gdyż nie nadaje się do użytku. Zniszczeniu uległa także połamana antena radioliniowa. Straty spowodowane wichurą były nieznaczne, zaś wyładowania elektryczne zniszczyły około dwunastu kilometrów kabla polowego. Po raz pierwszy i chyba ostatni w mojej karierze zawodowego łącznościowca zmuszony byłem przerwać pracę węzła łączności na skutek warunków atmosferycznych, a także po raz pierwszy w życiu widziałem tak porozdzieraną i porozrywaną na różnej długości izolację kabli.

Z tymi kablami mieliśmy potem sporo kłopotów, gdyż specjaliści z Pomorskiego Okręgu Wojskowego nie zgadzali się na ich wybrakowanie, nie dowierzając naszym argumentom. Dopiero przyjazd z okręgu specjalnej komisji, która na własne oczy zobaczyła ich stan, sprawił, iż kable wybrakowano i przezna-

czono do zniszczenia, a więc zdjęto ze stanu ewidencyjnego dywizji i uzupełniono nowymi.

Powróćmy jednak na poligon. Radiostacje i stacje radioliniowe rozpoczęły pracę od zaraz. Wymiana sieci kablowej trwała kilka godzin nocnych i nad ranem węzeł łączności, jako zespolony już organizm, zaczął pracować pełną parą. Jednak największym naszym sukcesem był fakt, że nikt z żołnierzy nie został porażony i nie ucierpiał na zdrowiu, a kompleksową łączność przywróciliśmy w miarę szybko i sprawnie.

Uwieńczeniem pobytu na poligonie drawskim było ćwiczenie z wojskami połączone ze strzelaniem amunicją bojową. Ze względu na szerokość pasa, w którym dywizja mogła prowadzić natarcie, nacierała pojedynczo pułkami.

Pierwszy pułk, wcześnie rano, przełamywał obronę przeciwnika. W tym czasie na strzelnicy czołgowej prowadzone były strzelania bojowe. Po przełamaniu obrony nieprzyjaciela, wprowadzono drugi pułk, który w ramach prowadzonego natarcia wykonał strzelanie z broni strzeleckiej na przygotowanych ku temu strzelnicach. W godzinach popołudniowych wprowadzono do walki kolejny pułk, którego zadaniem było forsowanie z marszu jeziora i uchwycenie przyczółków. Po wykonaniu tego zadania, pułki biorące wcześniej udział w walce, wprowadzono znów do walki w celu poszerzenia zdobytych wcześniej przyczółków i zorganizowania obrony nakazanego rejonu.

Wcześniej, rzadko kiedy oglądałem z bliska ćwiczenia pododdziałów piechoty zmechanizowanej oraz czołgów i nigdy w takiej skali. Tym bardziej, iż w czasie całego ćwiczenia przebywałem wraz z dowódcą dywizji w wozie dowodzenia, a więc przeważnie w miejscach skąd był największy wgląd w teren i najlepiej było widać działające w pierwszym rzucie pododdziały.

Obraz bitwy był frapujący. Jak okiem sięgnąć w lewo i w prawo na pozycjach wyjściowych stały czołgi i transportery opancerzone, a artyleria wykonywała ogień na wybrane cele ćwiczebne w ugrupowaniu przeciwnika. Ogień artyleryjski potęgowali saperzy, pozorujący wybuchy pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych.

Po przygotowaniu artyleryjskim i strzelaniu do tarcz przez czołgi i transportery opancerzone, pułk ruszył do natarcia w kurzu, dymie, chrzęście gąsienic i towarzyszących mu wybuchów. Czołgi i transportery opancerzone szły, a raczej pędziły w szykach rozwiniętych. W niektórych momentach przechodziły w szyki marszowe dla pokonania pól minowych, po czym znów rozwijały się i prowadziły natarcie na pozorowanego i wycofującego się przeciwnika.

A że był to upalny miesiąc i duża susza, więc dosyć często zapalały się wrzosowiska i zagajniki. Do ich gaszenia przewidziane były zawczasu i dobrze wyekwipowane pododdziały gaśnicze, które w takich momentach wkraczały natychmiast do działania. Takie rozwiązanie umożliwiało kontynuowanie ćwiczenia bez odrywania walczących pododdziałów od wykonywanych zadań bojowych i zapewniało natychmiastowe gaszenie powstających pożarów.

I tak, ćwiczenie toczyło się wartko i zgodnie z planem. Patrząc na to wszystko, czyli tony stali i masę pędzącego uzbrojenia, myślałem o wrażeniach, jakie wywołuje nie tylko wśród wycofującego się przeciwnika, ale także wśród własnych żołnierzy. Umorusanych, zakurzonych jak nieboskie stworzenia, zmęczonych, ale jakże pełnych wigoru i poświęcenia żołnierskiemu działaniu.

W tym dniu, a dokładniej w tej dobie walki, wszyscy byliśmy na suchym prowiancie i jadło się niewiele. W zasadzie dopiero pod wieczór. Natomiast picie było konieczne, a więc za każdą walczącą kompanią podążały cysterny lub pojemniki z wodą lub kawą zbożową do picia, aby żołnierze mogli gasić straszne pragnienie, wynikające z olbrzymiego upału i wysiłku.

W ćwiczeniu dwa epizody były dla mnie niezwykle frapujące. Pierwszy dotyczył grzybów. W pewnym momencie zatrzymaliśmy się wśród brzózek na dużym wrzosowisku. Wystawiłem głowę z wozu dowodzenia, następnie usiadłem na dachu i oniemiałem z wrażenia. Wokół, jak okiem sięgnąć, wrzosy miały kolor czerwony. Po dokładnym przypatrzeniu okazało się, że na całym tym obszarze gęsto rosną grzyby, których kapelusze mają kolor czerwony. Były to czerwone koźlaki, zwane także „krawcami", „krakowiakami" lub „podbrzeźniakami". Jakiż to był piękny widok. Ale niestety tylko na podziwianiu musiało się zakończyć.

Drugi epizod dotyczył wrażeń taktycznych. Po raz pierwszy obserwowałem, jak czołgi pływające i transportery forsowały jezioro w ten sposób, że rozpędzone do dużej prędkości skakały z wysokiego brzegu na taflę jeziora, jak kaczki. Była w tym jednak znacząca różnica. Kaczki w takiej sytuacji nie toną, utrzymując się od razu na powierzchni. Nasze transportery i czołgi, dużo przecież cięższe, w pierwszej fazie po skoku zanurzały się dosyć głęboko i dopiero po chwili wynurzały się na powierzchnię. W tym czasie kierowcy, trzymając się kurczowo sterów, musieli przestawić napęd z gąsienicowego na pędnikowy. Nie każdemu to się od razu udawało, więc sporo męczyło się chwilę, stojąc jakiś czas nieruchomo i dopiero potem ruszając po wodzie na drugi brzeg.

Z poligonu do garnizonów udaliśmy się w podobny sposób jak przyjechaliśmy, zaś szkolenie na poligonie zakończyło się zgodnie z tradycją dopiero wówczas, gdy w garnizonach wyczyszczono sprzęt i doprowadzono go do ponownej gotowości bojowej.

„Fala-77"

Międzysojusznicze ćwiczenie pod kryptonimem „Fala-77" miało odbyć się w pierwszej połowie lipca na terenie NRD. Ich gospodarzem była Narodowa Armia Ludowa (NAL) NRD, a uczestniczyły w nim jednostki morskie i lądowe Armii Radzieckiej i Wojska Polskiego.

W celu należytego przygotowania do owego prestiżowego ćwiczenia, dowódca dywizji zarządził, iż weźmie w nim udział pułk desantowy z Lęborka,

znaczna część dywizyjnej kompanii łączności oraz wytypowana grupa dowództwa dywizji. Pułk desantowy na okres jednego miesiąca zajmie wyznaczony rejon na wyspie Wolin, gdzie wybuduje obozowisko i przejdzie intensywne szkolenie przygotowawcze do desantowania w ramach ćwiczenia „Fala-77". Kompania łączności rozwinie polowy węzeł łączności w rejonie Przytór, skąd zapewni dowódcy dywizji łączność po łączach stałych z garnizonem Gdańsk, dowództwem 8 Flotylli, komendą portu Świnoujście oraz za pomocą kabli polowych i środków radiowych i radioliniowych łączność z dowództwem pułku desantowego w rejonie szkolenia i przygotowania do ćwiczenia. Zapotrzebowaliśmy także śmigłowiec dowodzenia PED-3 (powietrzny element dowodzenia), kilkuosobowy, z zainstalowanymi dwoma radiostacjami UKF małej mocy oraz radiotelefonem K-1.

Przybyłem z kompanią łączności w rejon Przytór nieco wcześniej, gdzie nadzorowałem rozwijanie i przygotowanie łączności do pracy oraz rozbudowę zaplecza bytowego kadry i żołnierzy, a więc kuchni, stołówki, umywalni i namiotów odpoczynku. W pobliżu znajdowało się także wyznaczone lądowisko śmigłowcowe. Po przybyciu dowódca dywizji zakwaterował się w autobusie sztabowym, skąd miał już zorganizowaną łączność we wszystkich kierunkach.

Przygotowanie i szkolenie pułku rozpoczęło się od dokładnego sprawdzenia stanu technicznego sprzętu desantowego, jego uszczelnienia oraz umiejętności załóg. Potem trwały codzienne treningi pływania w zatokach Zalewu Szczecińskiego i odnogach Świny. W drugiej fazie szkolenia plutony i kompanie wypływały w morze, stamtąd desantowały na plaże i wracały lądem do obozowiska.

Do większych problemów podczas pływania po wodach zalewu, a szczególnie odnóg Świny, należały pływające na powierzchni odpady i kawałki drewna. Blokowały one pędniki i uniemożliwiały dalsze pływanie, gdyż wówczas czołg lub transporter kręcił się dookoła własnej osi. Ich usuwanie też było niełatwe. Aby je usunąć żołnierze musieli leżeć na wierzchu transportera lub czołgu i wybijać z pod wody zablokowane w pędnikach kawałki drewna. W wielu przypadkach musieli używać masek tlenowych i jak nurkowie pracować pod wodą.

W tym czasie jeździłem razem z dowódcą nadzorować szkolenie desantowców. Było to o tyle ważne, że na wodzie działaniem zespołowym plutonów i kompanii można było kierować tylko drogą radiową. Podczas pływania kierowcy-mechanicy tych pojazdów byli prawie ślepi, gdyż woda zakrywała wizjery, a niekiedy przelewała wierzchem pojazdów. Żadne wychylanie się z pojazdu przez włazy nie było możliwe pod groźbą zalania wodą.

Korzystałem więc z okazji i sprawdzałem działanie aparatury radiowej w trakcie pływania. Muszę przyznać, że robiło to duże wrażenie, gdyż w trakcie szybkiego pływania przez wierzch pojazdów przelewały się fale, a w środku czuło się jak w łodzi podwodnej. Jeżeli nawet transporter zatrzymał się z powodu awarii i gdy wychodziło się na zewnątrz, to wierzch pojazdu niewiele wystawał ponad wodę, co nie należało do zbytniej przyjemności.

Po kilku dniach treningu podziwiałem już doskonałe manewrowanie pojazdami w wodzie i pływanie w szykach plutonowych i kompanijnych. Zmniejszanie i zwiększanie prędkości pływania pojazdów, zmianę szyków, akcje ratunkowe i wiele innych działań niezbędnych w wyszkoleniu desantowców.

Oprócz nadzorowania funkcjonowania łączności oraz wyjazdów z dowódcą do ćwiczących pododdziałów, korzystałem także z PED-3 i z własnej inicjatywy przeprowadziłem szereg badań i doświadczeń z określeniem zasięgów łączności na poszczególnych radiostacjach, w zależności od wysokości lotu śmigłowca. Badania te prowadziłem przez kilka dni. W ich wyniku powstały tabele zasięgów łączności w półstacjonarnym łączu (PED-3 w locie, wóz dowodzenia na postoju) przy wykorzystaniu różnych środków radiowych i ich anten oraz wysokości lotu śmigłowca.

Oprócz pracy i badań zdarzały się także i duże przyjemności. Pierwsza z nich dotyczyła uczty śledziowej. Jeden z chorążych miał krewniaka zajmującego się rybołówstwem i mieszkającego w okolicach Dziwnowa, który przygotował dla nas kilka skrzynek własnoręcznie złowionych i uwędzonych śledzi. Jeszcze były ciepłe, gdy je przywieziono do Przytóru. W stołówce zaczęła się biesiada, będąca rozkoszą dla podniebienia. A że „rybka lubi pływać", wódeczności też nie zabrakło. Muszę obiektywnie przyznać, że w swoim życiu zjadłem już sporo ryb, ale te wędzone śledzie były wyjątkowe. Ten smak był wspaniały, może dlatego, że śledzie były świeżutkie, jeszcze ciepłe i wędzone przez gospodarza dla siebie, a nie na handel. Inna sprawa, że przy świeżym morskim powietrzu apetyty dopisywały nam ponad miarę.

Drugą przyjemność zrobiła mi rodzina, przyjeżdżając naszym samochodem, „sławną" Skodą S-100 na Wolin. Prowadziła Dana, z czego była bardzo dumna. Ja ze swej strony załatwiłem pokój gościnny u gospodarza mieszkającego w pobliżu, więc mogliśmy pobyć razem, a dzieci odpocząć i co nieco zobaczyć, w tym także z techniki wojskowej. Po tygodniowym pobycie żona wyjechała z dziećmi do Choszczna, a ja dalej zostałem na Wolinie.

W ten dzień najadłem się jednak porządnego strachu, gdyż zaraz po ich wyjeździe rozszalała się straszna burza. Lało jak z cebra i pioruny biły gęsto. Dana zaś jechała w tym deszczu, a chłopcy prowadzili obserwację. Jeden w tył, drugi w przód. I tak wspólnymi siłami, sporo spóźnieni i z bogactwem wrażeń dojechali do Choszczna.

Jedną z większych ciekawostek tego pobytu była woda do picia, która miała słonawy smak i zaparzona w niej herbata nie bardzo smakowała. Okazało się, że podobny smak ma woda prawie na całej wyspie Wolin. Oznaczało to, że w warstwach powierzchniowych i głębszych ziemi mamy do czynienia z wodą morską.

Nadszedł czas ćwiczenia. Pułk desantowy załadował się na okręty 8 Flotylli w Świnoujściu i wyszedł w morze, zaś grupa dowodzenia udała się rzutem kołowym w rejon ćwiczeń. Dowództwo polskich sił desantowych stanowili: dowódca dywizji – generał Kozłowski, jego zastępca do spraw politycznych –

podpułkownik Bagniuk, szef wydziału operacyjnego sztabu dywizji – podpułkownik Paszko oraz ja, czyli szef łączności dywizji. Dowódcy towarzyszył także adiutant i kronikarz dywizji, który robił zdjęcia i dokumentację z ćwiczenia. Do swojej dyspozycji mieliśmy środki transportu, radiostację średniej mocy, radiostacje przenośne małej mocy i radiotelefony przenośne. Jednak nie pozwolono nam wykorzystać powietrznego elementu dowodzenia (śmigłowca).

Po przekroczeniu granicy w Ahlbeck udaliśmy się w rejon Zinnowitz i dalej na plażę w pobliżu Peenemunde. Tam, prawie przy samej plaży zorganizowano trybuny oraz stanowiska i punkty dowodzenia desantem. Wszystko to było odpowiednio zamaskowane siatkami maskującymi. I o ile poszczególne stanowiska i punkty dowodzenia były usytuowane w wykopach ziemnych, o tyle trybunę wzniesiono wysoko ponad piaski plaży, umożliwiając tym lepszą obserwację wód przybrzeżnych i rejonu lądowania (ilustr. 30).

Pierwsza faza ćwiczeń polegała na desantowaniu połączonych sił na plaży, a następnie natarciu tych wojsk w kierunku zachodnim i dojściu ich do szerokiego ujścia Piany. Druga zaś faza przewidywała sforsowanie owego ujścia i zorganizowanie na jego drugim brzegu, na północ od Wolgastu, mityngu przyjaźni.

Poszczególne dowództwa sił desantowych zajęły miejsca na stanowiskach i punktach dowodzenia, a na trybunie zgromadziła się spora „wierchuszka" radziecka, polska i niemiecka. W większości byli to „marszały" z Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej oraz generałowie ze Sztabów Generalnych WP i NAL NRD.

Po około godzinnym oczekiwaniu, na morskim horyzoncie ukazała się flota okrętów desantowych. W środku szły okręty Radzieckiej Floty Bałtyckiej, po lewej Polacy, a po prawej Niemcy-enerdowcy. Pierwsze ich rzuty szły wyrównane jak pod sznurek. Od pewnego momentu zagrała jednak krew oraz narodowe ambicje i każda z nacji chciała pokazać, że jest najlepsza i zacząć desantowanie jako pierwsza.

Rozpoczął się wyścig do plaży. Po dymiących kominach i wyrzucanych spalinach widać było, że okręty szły na maksymalnej mocy. Rozpoczęło się desantowanie. Nasza flotylla dopłynęła do brzegu pierwsza i rozpoczęła wysadzanie desantu, transporterów opancerzonych i czołgów pływających.

Widząc to, Rosjanie nie wytrzymali nerwowo i niektóre ich okręty otworzyły wrota desantowe za wcześnie, jeszcze na głębokiej wodzie. To spowodowało, że jeden z czołgów T-55 schodząc z rampy przekoziołkował na grzbiet i poszedł pod wodę. Z zainteresowaniem obserwowaliśmy co będzie dalej. Tym bardziej, że dosyć gęsto rozmieszczone środki ewakuacyjno-ratunkowe mogły natychmiast przystąpić do akcji ratowniczej. Okazało się jednak, że do zakończenia desantowania żadnej akcji ratowniczej nie było, pomimo tego, że żaden żołnierz nie wypłynął na powierzchnię. Trochę później pytaliśmy o to oficerów radzieckich. Zgodnie odpowiadali, ż nic się nie stało, a obsługa sama dała sobie radę.

Po wysadzeniu desantu, siły te zajęły plażę, a następnie rozpoczęły i prowadziły natarcie w kierunku zachodnim, spychając pozorowanego przeciwnika do ujścia Piany. Dowodzenie owymi siłami oraz współdziałanie odbywało się z międzysojuszniczego stanowiska dowodzenia, w którego skład wchodziliśmy.

W tej sytuacji zdarzyła mi się zabawna przygoda fachowa. Na tym stanowisku pracowało w bezpośredniej bliskości siebie szereg radiostacji. Ja zaś stale nosiłem przy sobie radiotelefon przenośny, zapewniający łączność z naszymi oficerami przebywającymi w tym rejonie. W chwili gdy okręty desantowe pokazały się na horyzoncie zaczęliśmy nawiązywać z nimi łączność za pomocą radiostacji przenośnych małej mocy. Okazało się jednak, że ile razy jestem w ich pobliżu, tyle razy nie ma łączności z desantem. Gdy tylko oddalałem się na kilkadziesiąt metrów, łączność zaczęła pracować należycie. Każda próba mojego zbliżenia się do tego miejsca powodowała utratę łączności.

Dziwiło mnie to bardzo, gdyż było sprzeczne z moją wiedzą o tym problemie. Wiedziałem przecież, że moja osoba nie może wprowadzać żadnych zakłóceń, a radiotelefon pracował na odbiór, więc nie miał włączonego nadajnika, który mógł wprowadzać zakłócenia u sąsiadów w czasie swojej pracy. No, ale fakt był faktem, a ja wyglądałem na Jonasza.

Po krótkim czasie doszedłem jednak do wniosku, który zresztą sprawdziłem, że owe zakłócenia wprowadza radiotelefon. Więc udając się zawsze w pobliże pracujących radiostacji zdejmowałem go z ramienia i wieszałem z dala na kołku. Natomiast po powrocie z ćwiczeń zacząłem studiować literaturę fachową, a dokładniej budowę i działanie radiotelefonu i okazało się, że heterodyna odbiornika radiotelefonu, pracując jako generator, zakłóca na jednej z częstotliwości – swoją harmoniczną – pracę radiostacji, a do tego będąc z nią w przeciwfazie.

Następnie ku mojemu niepomiernemu zaskoczeniu, a jeszcze większym generalicji na trybunie, która wpadła w prawdziwy popłoch, gdy z oparów morskiej mgły z hukiem zaczęły się wyłaniać i pędzić z ogromną prędkością wprost na trybunę, trzy olbrzymie poduszkowce. Ich wysokość sięgała dwupiętrowych domów. Ale pędząc w pewnym momencie zatrzymały się prawie w miejscu przed samą trybuną, a z ich gardzieli wyłoniło się kilka czołgów średnich.

Widziałem jak wszyscy byli potwornie zaskoczeni, bo nikt z nas nie przypuszczał, że Rosjanie dysponują taką techniką. Na wszelki wypadek przypominam, że był to rok 1977 i wówczas nie słyszało się jeszcze, aby jakaś armia wykorzystywała poduszkowce, a do tego takich rozmiarów. Był to naprawdę prawdziwy szok i temat wielu późniejszych dyskusji.

Tutaj też zawarłem bliższą znajomość z szefem łączności niemieckiej dywizji ze Schwerina, ćwiczącej razem z nami. Był to absolutnie antynordycki typ o śniadej karnacji, ponadto wysoki i tłuściutki, bardzo sympatyczny grubas. Ojciec prawie tuzina dzieci i dobrej klasy obżartuch. Utrzymywaliśmy stały kontakt i wymianę informacji w ramach współdziałania między gospodarzami

ćwiczenia, a naszymi siłami desantowymi. Przy okazji byłem także tłumaczem dowódcy, którego znajomość języka rosyjskiego pozostawiała wiele do życzenia (ilustr. 31).

Następnie, w ślad za nacierającymi wojskami, udaliśmy się na prawy brzeg ujścia Piany. Po drodze z zaciekawieniem oglądaliśmy ruiny i resztki obiektów, które pozostały z kompleksu rakietowego V-1 i V-2, skąd Niemcy w czasie drugiej wojny światowej wysyłali pociski rakietowe nad Anglię i ostrzeliwali Londyn.

Po przybyciu w rejon ujścia Piany okazało się, że fala jest prawie sztormowa, a w związku z tym niebezpieczna dla desantowania. Dotarło więc do mnie zapytanie od towarzyszy radzieckich i Niemców. Czy jesteśmy gotowi w tych warunkach do pokonania ujścia Piany i wyjścia na jej zachodni brzeg? Nasz „wódz", jak na prawdziwego kawalerzystę przystało, podjął decyzję i polecił mi przekazać ją sojusznikom. Odpowiedź brzmiała:

– Jesteśmy odpowiednio wyszkoleni i gotowi do forsowania w tych warunkach.

Początkowo sojusznicy nie bardzo w to wierzyli, więc musiałem ich osobiście kilka razy zapewniać, iż decyzja naszego dowódcy jest przemyślana i oparta na rzeczywistym wyszkoleniu załóg, że jesteśmy zdolni i gotowi do forsowania. Aby sprawdzić możliwości naszych mechaników i potwierdzić swoje słowa, dowódca dywizji polecił, aby trzy plutony dały popis swoich umiejętności. Po otrzymaniu rozkazu weszły do wody jak burza, a ich manewry prowadzone przy zamkniętych włazach były wykonywane jak na paradzie. Patrząc na to byliśmy dumni, a oficerowie radzieccy i niemieccy patrzyli na to także z wielkim podziwem.

W tej sytuacji decyzja kierownictwa ćwiczenia była jednak inna. Nie zdecydowano się na forsowanie. Zamiast tego podstawiono kilka mniejszych poduszkowców, mieszczących po około trzydziestu żołnierzy, które przewoziły na drugi brzeg żołnierzy polskich i niemieckich w rejon organizowanego mityngu przyjaźni.

Do ciekawostek związanych z poduszkowcami należy też to, że po posadzeniu ich na plaży miały potem problemy z wybraniem odpowiedniego kierunku i wystartowaniem. Dlatego siadały przeważnie w pobliżu drzew, aby móc o nie zaczepić linę i tym sposobem obrócić się i zmienić początkowy kierunek ruchu.

Po mityngu (ilustr. 32), który miał bardzo uroczystą oprawę organizacyjną i w zasadzie był bardzo sympatyczny dla wszystkich żołnierzy biorących udział w ćwiczeniu, nasz pułk załadował się na okręty desantowe i wracał do garnizonu, a my z powrotem w rejon szkolenia. Tam zwinęliśmy węzeł łączności i wszystkie pozostałe środki i także powróciliśmy do Gdańska.

W nawiązaniu do kawaleryjskiej decyzji naszego dowódcy podczas tego ćwiczenia muszę przyznać, że dywizja miała szczęście do dobrych dowódców. Jednakże w opinii bardzo wielu ludzi do najlepszych, a wręcz legendarnych,

należał pułkownik Tadeusz Urbańczyk. Późniejszy generał, dowódca 8 dywizji stacjonującej w Koszalinie, zastępca dowódcy Pomorskiego Okręgu Wojskowego i zastępca komendanta Akademii Obrony Narodowej do spraw naukowych.

Posiadał bowiem prawdziwy talent dowódczy i olbrzymią charyzmę. Ponadto, szalone żołnierskie szczęście, bez którego trudno sobie wyobrazić karierę wojskową i dowodzenie olbrzymią machiną bez wypadków nadzwyczajnych i śmiertelnych. Jednym z przykładowych jego pomysłów, zrealizowanych jak zwykle wzorowo i z fantazją, było przeprowadzenie forsowania Zatoki Gdańskiej. W obecności wielu bonzów partyjnych i różnego rodzaju oficjeli przeprowadził całą dywizję wpław od plaży w Brzeźnie do Półwyspu Hel w dość trudnych warunkach pogodowych. Jeżeli uświadomimy sobie jaka to jest odległość i jaka głębokość zatoki oraz ilość sprzętu rzuconego na wodę i dokonanie tego przy prędkości około 7 do 10 kilometrów na godzinę bez większych wypadków i strat, to trzeba przyznać, że teza o jego umiejętnościach i żołnierskim szczęściu jest na pewno prawdziwa.

Mnie znany jest także generał Urbańczyk jako osobisty wróg mojego późniejszego przyjaciela w akademii Staszka Ptaszyńskiego, który pracując jeszcze w wydziale łączności sztabu dywizji desantowej rywalizował bezpośrednio z Urbańczykiem o względy tej samej pani. Prowadziła ona kawiarenkę w budynku dowództwa dywizji przy ulicy Hibnera. Podobno była dziewczyną nieprzeciętnej urody i wyjątkowo zgrabna. Miała wielu adoratorów i zalotników, a do najpoważniejszych zaś należeli: dowódca dywizji i oficer z jego wydziału łączności, czyli pułkownik Urbańczyk i kapitan Ptaszyński. Byli więc bezpośrednimi rywalami o względy tej samej pani. Przy tym, jak się później okazało, owa dama skłaniała się bardziej ku młodszemu i przystojniejszemu, czyli kapitanowi. Widząc to dowódca dywizji postarał się, aby owego kapitana przenieść z Gdańska, kierując go na studia do Warszawy i w ten sposób pozbył się rywala i oczyścił sobie przedpole do dalszych batalii miłosnych.

Pożegnanie

W lipcu poprosił mnie na rozmowę dowódca dywizji. Ocenił moją dotychczasową działalność, wyraził zadowolenie z mojej pracy i zaproponował mi, abym nie wracał do akademii, lecz pozostał w dywizji. Ze swej strony zapewnił, że do końca roku kalendarzowego otrzymam mieszkanie służbowe w atrakcyjnym miejscu w Gdańsku.

Było to dla mnie sporym zaskoczeniem, czego przed nim nie kryłem. Podziękowałem za wysoką ocenę mojej działalności oraz poprosiłem o czas do namysłu i przemyślenia nowej sytuacji, argumentując to powagą takiej decyzji i potrzebą skonsultowania jej z rodziną.

Analizując ową propozycję brałem pod uwagę wszystkie czynniki przemawiające za i przeciw. Pozostanie w Gdańsku dawało dobrą pracę w atrakcyjnym

miejscu, ale na krótko, gdyż szef łączności dywizji miał etat podpułkownika, a ja już drugi rok chodziłem w stopniu majora. Więc za dwa lata mogłem otrzymać awans do stopnia podpułkownika. Aby jednak myśleć o dalszym awansie należało szukać nowego, pułkownikowskiego etatu.

Taki etat był już bardzo wysokim i trudnym do zdobycia w wojskach łączności. Można było na niego liczyć w Sztabie POW w Bydgoszczy oraz na stanowiskach dowódców pułków łączności w Świeciu i w Kwidzynie, a także na stanowisku dowódcy brygady łączności w Wałczu. Bydgoszcz do atrakcyjnych miejsc nie należała, a pozostałe miejscowości były przysłowiowymi „dziurami", gdzie o pracę dla żony byłoby trudno, nie mówiąc już o możliwości kształcenia synów. Aby zapewnić im studia, należało ich wysłać na uczelnie w dużych miastach, gdzie musieliby zamieszkać w akademikach lub na stancjach prywatnych. Miałem świadomość, iż z mojej oficerskiej pensji byłoby to niemożliwe do realizacji. A więc Gdańsk nadawał się na krótką metę, na dalsze życie – nie.

Ponadto w ciągu roku przyglądnąłem się dobrze programowi szkolenia kadry i żołnierzy łączności oraz wymaganym normom oraz sposobom prowadzenia kontroli. Okazało się, iż były one tak pomyślane, że nawet przy najlepszej pracy i organizacji szkolenia oraz włożonym maksymalnym wysiłku, nie można było być pewnym pozytywnych wyników.

A oto jeden z wielu przykładów, który dotyczył radiotelegrafistów i radiotelefonistów. Wyszkolony radiotelegrafista musiał odbierać na słuch i nadawać kluczem telegraficznym minimum dwanaście grup pięcioznakowych na minutę, czyli sześćdziesiąt znaków pisarskich na minutę. Nie byłoby w tym nic strasznego, gdyby nie to, że z otrzymywanych ludzi trudno było wybrać takich, którzy posiadaliby słuch umożliwiający zostanie radiotelegrafistą. Pozostali zaś nigdy nie mogli sprostać wymaganiom stawianym radiotelefonistom, to jest odbierać i nadawać telegramy z szybkością ośmiu grup na minutę. Wiedzieli o tych idiotyzmach w założeniu wszyscy i gdy ktoś nie cieszył się łaskami, a więc nie był gorliwy i nad wyraz spolegliwy dla przełożonych, miał swoje zdanie i pewną dumę, wówczas przysyłano kontrolę i kontrolowano te dziedziny, gdzie z góry wiedziano, że będą oceny niedostateczne.

Byłem przyzwyczajony do odpowiedzialności za to co robię i do solidnej pracy. Nie chciałem jednak być w sytuacji, że gdy ja pracuję uczciwie, łaska przełożonych nie zależy od rezultatów pracy, tylko od ich widzimisię. Był to drugi zasadniczy argument przemawiający za dalszą służbą poza jednostkami wojskowymi.

Trzeci argument przemawiający za pracą w Warszawie należał do żony. Podobała się jej Warszawa i zaspokajała ambicję mieszkania w stolicy. A więc chciała się przenieść do Warszawy. Ja zaś byłem świadomy, że praca i kariera nauczyciela akademickiego, tak w wojsku jak i w cywilu, traktowana jest, delikatnie mówiąc, bez większych preferencji i tu możliwości zrobienia kariery generalskiej są znikome. Jednakże etat pułkownika był w zasięgu ręki i praca spokojna, systematyczna i bez okropnych huśtawek występujących w linii.

Przekonsultowaną z żoną decyzję przedstawiłem dowódcy dywizji. Był wyraźnie niezadowolony, chociaż twierdził, że rozumie przesłanki, które mną kierowały. W tym też czasie był u mnie na praktyce w wydziale łączności major Włodzimierz Niedźwiecki, absolwent Wojskowej Akademii Technicznej, który później przyjął ode mnie obowiązki szefa łączności.

Mój pobyt w niebieskich beretach wieńczyło uroczyste spotkanie u dowódcy dywizji, gdzie w gronie swoich zastępców pożegnał mnie uroczyście, między innymi wręczając mi dyplomy i podziękowania.

Dla moich kolegów – szefów wydziałów sztabu i szefów rodzajów wojsk oraz najbliższych współpracowników zorganizowałem pożegnalne przyjęcie w kasynie garnizonowym przy ulicy Słowackiego. Podziękowałem im serdecznie za wspaniałą współpracę i koleżeńskość, szczególnie szefowi wydziału operacyjnego – podpułkownikowi Romanowi Paszko, z którym z racji pełnionych funkcji współpraca nasza była najpełniejsza i najbardziej owocna. Zapewniłem także kolegów, że zawsze będę ambasadorem niebieskich beretów w akademii oraz wszędzie, niezależnie od sytuacji i pełnionych funkcji.

29. W trakcie opracowania ćwiczenia na poligonie Orzysz. 1977 r.

30. Moment rozpoczęcia sojuszniczego ćwiczenia pk. „Fala-77" w NRD. Od lewej: dowódca dywizji gen. bryg. Leszek Kozłowski, z-ca dowódcy ds. politycznych płk Bagniuk, oficer organizacyjny, autor i adiutant d-cy dywizji. 1977 r.

31. Na stanowisku dowodzenia kierownictwa ćwiczenia w Peenemünde. Uzgadnianie łączności dowodzenia i wspt ółdziałania z szefem łączności dywizji niemieckiej ze Schwerina. Z lewej autor, z prawej adiutant d-cy dywizji. 1977 r.

32. Podczas zakończenia ćwiczenia „Fala-77" wśród żołnierzy polskich, niemieckich i radzieckich. 1977 r.

Rozdział dziesiąty

Za katedrą

Katedra Łączności

Na początku października, po pożegnaniu się z dywizją, niebieskim beretem i mundurem desantowym oraz wykorzystaniu części urlopu, zameldowałem się w Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie u szefa Katedry Taktyki Wojsk Łączności pułkownika dyplomowanego magistra inżyniera Kazimierz Patkowskiego. Był on absolwentem Wajennoj Akadiemii Swiazi (Wojskowej Akademii Łączności) w Leningradzie i Akademii imienia Woroszyłowa w Moskwie. Na stanowisko szefa (kierownika) katedry przybył w 1976 roku ze stanowiska zastępcy szefa Wojsk Łączności Ministerstwa Obrony Narodowej. Nie był to awans. Ani prestiżowy, ani finansowy, chociaż pozostawiono mu dotychczasowe uposażenie.

Jak wieść gminna niosła i rozpowszechniane tu i ówdzie plotki, przyczyną utraty jego łask w Sztabie Generalnym WP były wybryki syna. Trzeba jednak przyznać, że wniósł sporo nowego w pracę katedry i swój duży autorytet, jakim cieszył się w Wojskach Łączności. Do jego przybycia katedra reprezentowała bardzo dobry poziom operacyjno-taktyczny i organizacyjny, lecz znacznie słabszy poziom techniczny, chociaż w jej składzie przeważali znacznie nauczyciele z wykształceniem inżynierskim. Nad tym więc szef katedry pracował i wymagał od wykładowców i słuchaczy najpierw oswojenia się, a potem pogłębiania wiedzy technicznej, ze szczególnym uwzględnieniem problemów eksploatacyjnych i możliwości optymalnego wykorzystania sprzętu łączności w działaniach bojowych.

Akademią kierował wówczas Jego Magnificencja, generał broni Józef Kamiński, oficer frontowy, późniejszy długoletni dowódca Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Posiadał bogate doświadczenie w kierowaniu dużymi zespołami ludzkimi, był doskonałym administratorem i człowiekiem z prawie nieograniczonymi znajomościami wśród wysokich wojskowych i polityków oraz możliwościami załatwienia wielu spraw. Ponadto ludzki w podejściu do kadry na-

ukowo-dydaktycznej i słuchaczy; raczej pomagający niż przeszkadzający żyć i pracować, wyrozumiały i uczynny oraz lubiany przez społeczność akademicką, chociaż niekiedy nerwus i raptus.

Do jego popularnych powiedzonek należało – wiecie rozumiecie, tak czy nie? Znana była jego rozmowa z podpułkownikiem Wiesławem Pająkiem, cechującym się ciętym językiem i odwagą w głoszeniu dowcipów politycznych i wypowiadaniu różnych uwag krytycznych. Po zameldowaniu się tego ostatniego u komendanta, ten rozpoczął mu udzielać reprymendy, która brzmiała mniej więcej tak:

– Wiecie rozumiecie pułkowniku Pająk, waszym największym wrogiem nie jest ustrój ani też komendant akademii, ale wasz niewyparzony język, tak czy nie?

O dziwo, słuchacze byli zadowoleni, gdy podczas zdawania przez nich egzaminów przejściowych, końcowych i obrony prac dyplomowych pojawiał się komendant. Wówczas każdorazowo po zakończeniu egzaminu lub obrony pracy dyplomowej, przewodniczący komisji egzaminacyjnej pytał najpierw komendanta – jak ocenia wystąpienie danego oficera? A że komendant był życzliwy i pomagał zawsze w zdawaniu egzaminu oraz oceniał znacznie wyżej niż komisja egzaminacyjna, oficerowie pozbywali się nerwowości i zwykle zdawali znacznie lepiej, ku zadowoleniu obu stron.

W tym czasie trzon akademii stanowiły samodzielne katedry wojsk lądowych i wojsk lotniczych oraz obrony powietrznej kraju, które podlegały bezpośrednio komendzie akademii. Razem było ich około dwudziestu; poza tym funkcjonowało szereg komórek zabezpieczających pracę naukowo-dydaktyczną akademii. Należały do nich: wydział wydawniczy, biblioteka beletrystyczna, kasyno, przychodnia zdrowia, internaty dla kadry i słuchaczy oraz hotele, wydział techniczny i kwatermistrzostwo, a także biblioteka naukowa o statusie biblioteki głównej, posiadająca dział jawny, dział tajny oraz magazyn map i materiałów szkoleniowych.

Ponadto na terenie akademii znajdowały się: Wojskowy Instytut Chemii i Radiometrii, Wojskowy Instytut Historyczny, Centralne Archiwum Wojskowe oraz powstałe trochę później Centrum Doskonalenia Oficerów. Były to jednostki samodzielne i nie podlegały organizacyjnie akademii.

Katedra Taktyki Wojsk Łączności, a później Katedra Wojsk Łączności, potocznie zwana Katedrą Łączności, składała się z dwóch zakładów – taktycznego i operacyjnego. Zakład taktyczny zajmował się problematyką łączności w pułku i dywizji wojsk lądowych oraz zapoznawczo w wojskach lotniczych i OPK. Natomiast zakład operacyjny problematyką łączności w armii ogólnowojskowej i pancernej na trzecim roku studiów dyplomowych oraz we froncie na podyplomowym studium operacyjno-strategicznym.

Historia katedry, jak i jej szefów, była niezwykle ciekawa i odzwierciedlała polityczne zawirowania w Polsce. Jej pierwszym szefem po wojnie był generał Cepa, który pod koniec drugiej wojny światowej pełnił obowiązki szefa wojsk

łączności na zachodzie. Potem napłynęli do Wojska Polskiego oficerowie radzieccy i kilku z nich było także szefami Katedry Taktyki Wojsk Łączności. Po okresie kilku lat i odejściu z Polski marszałka Konstantego Rokossowskiego, ster kierowania katedrą przejęli znowu Polacy. Między innymi należeli do nich: Kołatkowski – późniejszy szef wojsk łączności MON, Roman, Jermanowski i inni.

W katedrze, oprócz szefa katedry, był także jego nieetatowy zastępca. Ówcześnie obowiązki te pełnił długoletni nauczyciel akademicki pułkownik doktor Mieczysław Borzęcki. Średniego wzrostu i szczupłej budowy ciała okularnik z wysokim czołem i siwymi włosami. Wykładowca doskonały posiadający ten rzadki dar mówienia o rzeczach niezwykle skomplikowanych bardzo prostym językiem. Miał jednak, jak większość oficerów jego pokolenia, jedną przypadłość. Lubił od czasu do czasu wypić i to w dość dużych ilościach.

Kierownikiem zakładu operacyjnego był wspominany już wcześniej pułkownik dyplomowany Henryk Kitkowski. Człowiek prawie frontowy, biorący udział w utrwalaniu władzy ludowej i zabezpieczaniu powojennego referendum. Zakład tworzyli: pułkownik doktor Józef Mackiewicz, podpułkownik dyplomowany Stanisław Ptaszyński, major dyplomowany Andrzej Kukowski i kapitan magister inżynier Włodzimierz Poleski. W następnych latach dołączyli do niego nasi absolwenci: major dyplomowany Henryk Starobrat i kapitan dyplomowany Władysław Korbela.

Józef Mackiewicz, starszy już pan, był absolwentem Wajennoj Akadiemii Swjazi w Leningradzie, gdzie też ożenił się, a następnie sprowadził żonę do Polski. Był człowiekiem niezwykłego spokoju i dobroci. Zawsze chętny do pomocy i serdeczny dla wszystkich. Dusza nie człowiek.

Stanisław Ptaszyński to także absolwent naszej akademii. Do katedry przybył ze stanowiska szefa sztabu okręgowego pułku łączności w Białobrzegach. Człowiek sympatyczny, acz przy tym niezwykle energiczny i nerwowy. Z tego powodu dusił się potwornie w katedrze, nie cierpiał pracy „papierkowej" i siedzenia za biurkiem. Najlepiej czuł się w „linii", w organizowaniu i dowodzeniu. W życiu był trochę zbyt zasadniczy i uparty, co nie ułatwiało mu służby i pracy. Zaprzyjaźniliśmy się, a potem i nasze rodziny, ze względu na służbę w tych samych niebieskich beretach w Gdańsku.

Miał także bardzo ciekawe i charakterystyczne powiedzonko. Gdy o kimś chciał dosadnie i źle powiedzieć, to przeważnie mówił:

– Ale smętny cap!

A jeśli ktoś mocno mu dogryzł i chciał go obrazić, to krzyczał mu prosto w nos:

– Ty smętny capie.

Zaś jego podejście do życia i zwierząt charakteryzowało takie powiedzonko:

– Co nie można. Wszystko można. Dajcie mi kota na tydzień, to ze smakiem będzie zjadał nawet słone śledzie.

Będący w moim wieku i pochodzący z wojsk wewnętrznych Andrzej Kukowski ukończył także naszą uczelnię. Należał do najzdolniejszych i najinteli-

gentniejszych oficerów w katedrze. Jednocześnie nielubiący się zapracowywać a szczególnie pracować bezsensownie. Do jego ulubionych, żartobliwych powiedzonek należało:

– Jak nachodzi mnie chęć do pracy odstawiam krzesło od biurka, siadam w kącie i spokojnie czekam, aż mi przejdzie.

Włodzimierz Poleski był absolwentem Wojskowej Akademii Technicznej i najmłodszym oficerem w tym zakładzie. Do akademii przybył ze stanowiska szefa sztabu pułku radioliniowo-kablowego w Świeciu nad Wisłą. Niezwykle sympatyczny i koleżeński, ale przy tym trochę beztroski w zachowaniu. Lubiany jednak przez wszystkich i przez wielu traktowany jak sympatyczna maskotka i trochę rozkapryszony młodzieniec.

Henryk Starobrat i Władysław Korbela byli jakby swoją przeciwnością. Henryk spokojny, prawie flegmatyczny, pracujący powoli oraz starannie i dokładnie, zaś Władysław nerwus, choleryk, któremu robota paliła się w rękach. Mimo przeciwstawnych charakterów stanowili dobraną parę kolegów.

Kierownikiem zakładu taktycznego był uprzedni mój kierownik taktyczny grupy na drugim roku studiów, pułkownik inżynier Marian Romatowski. Należał do starszego pokolenia oficerów, którzy brali udział w walkach na froncie, czyli „frontowców" lub po wojnie w walkach z bandami i utrwalaniu władzy ludowej, czyli „utrwalaczy". Należał więc, tak jak Borzęcki i Kitkowski do tej drugiej grupy oficerów, zwanych „utrwalaczami".

W skład zakładu wchodzili ponadto: podpułkownik magister Jan Kublik, podpułkownik inżynier Marian Banasik, major magister inżynier Edmund Sikorski, major magister inżynier Stanisław Jędruszczak i ja. W tym zakładzie, wszyscy oprócz mnie byli absolwentami innych uczelni. W następnych latach do zakładu taktycznego dołączyli kolejni nasi absolwenci – major dyplomowany inżynier Józef Michniak i kapitan dyplomowany Piotr Gryciuk.

Jan Kublik, mężczyzna postawny, pełny i rumiany na twarzy, a ponadto okaz zdrowia, miał chyba najbarwniejszy życiorys. W czasie okupacji hitlerowskiej służył w Armii Krajowej i działał na obszarze warszawsko-mińskim (chodzi o Mińsk Mazowiecki). Podobno w podziemiu zajmował się wieloma rzeczami, a między innymi goleniem głów kobietom zadającym się z Niemcami. Po przejściu frontu, aby skryć się i uchronić od prześladowań, zgłosił się jako ochotnik do wojska. W jego szeregach walczył na froncie, gdzie był ranny, a następnie brał udział w potyczkach z bandami lub jak kto woli partyzantką antykomunistyczną. Skończył po wojnie szkołę oficerską, a następnie studia administracyjno-prawne na uczelni cywilnej, a w jaki sposób znalazł się w katedrze trudno powiedzieć.

Był niezwykle sympatycznym człowiekiem, chociaż jakby trochę tajemniczym i zamkniętym w sobie. Mimo tych cech, miał jedną wybitną zdolność. Zawsze bezbłędnie trafiał tam, gdzie zaczynało się przyjęcie i wódka stała na stole. Można było się założyć, że nie upłynie nawet pięć minut od momentu, gdy butelka pojawi się na stole, do momentu wejścia Jana. I tak było zawsze.

Trzeba jednak przyznać, że choć sam nigdy nie stawiał wódki, to umiał się zachować i zawsze pierwszym kieliszkiem wznosił toast za pomyślność fundatora, dzisiaj powiedzielibyśmy sponsora.

Marian Banasik w katedrze przebywał stosunkowo krótko, odszedł do Inspekcji Sił Zbrojnych.

Edmund Sikorski, ojciec wielodzietnej rodziny oraz wyjątkowej dobroci i niespotykanego spokoju człowiek, był stosunkowo niskiego wzrostu oficerem, niezwykle grzecznym, taktownym oraz sumiennym i pracowitym. W młodości ukończył Oficerską Szkołę Wojsk Pancernych i w takim charakterze pełnił służbę w jednostkach wojskowych Śląskiego Okręgu Wojskowego. Następnie studiował w Wojskowej Akademii Technicznej na kierunku łączności. Po ukończeniu studiów pracował jako wykładowca w Oficerskiej Szkole Łączności, a następnie w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu. Stamtąd przybył do Rembertowa i rozpoczął pracę w katedrze.

W katedrze był także etat referenta. Zajmowały go zawsze panie, do obowiązków których należało przepisywanie tekstów na maszynie oraz załatwianie spraw administracyjno-biurowych. Przez katedrę przewinęło się ich kilka. Były panny i mężatki, przeważnie żony oficerów, na przykład Ela Brylińska: mała, sympatyczna, o harcerskim rodowodzie, niezwykle zaradna i pracowita osóbka. Pod względem urody zdarzały się różne, ładniejsze i brzydsze oraz młodsze i starsze.

Osobną grupę w katedrze stanowili doktoranci stacjonarni, to jest przebywający na studiach dziennych. Było ich przeważnie kilku. Ich liczba zmieniała się w czasie. Na samym początku należeli do nich major magister inżynier Eugeniusz Piedziuk i major magister inżynier Ignacy Soczewka. Jeden radioliniowiec, drugi zaś radiowiec. Z doktoratami męczyli się dość długo, ale je obronili. Ignacy Soczewka, zwany Igorem, wrócił do Szefostwa Wojsk Łączności MON, a Eugeniusz Piedziuk poszedł do Szefostwa Wojsk Rakietowych i Artylerii MON.

Kolejnymi doktorantami byli: major dyplomowany Władysław Bryliński i kapitan dyplomowany Janusz Kopacz, obaj absolwenci naszej akademii oraz dwóch absolwentów WAT, kapitan magister inżynier Jan Hajdak i kapitan magister inżynier Jarosław Piszkiewicz. Dwóch pierwszych, w trakcie studiów doktoranckich zmieniło swój status i zostało pracownikami katedry. To umożliwiło im dokończenie doktoratów, gdyż robili je zbyt długo i prawdopodobnie nie zmieściliby się z nimi w czasie trwania dziennych studiów doktoranckich.

Dwaj pozostali, niestety nie zmieścili się w wyznaczonym czasie studiów i odeszli z katedry nie przedkładając prac doktorskich do obrony. Będąc już w jednostkach wojskowych i sztabach kontynuowali częściowo pracę naukową, ale doktoratów nie obronili.

Byli to dwaj wspaniali, młodzi ludzie. Pełni werwy i energii, ciągle zalatani i załatwiający wiele różnych spraw. Mimo to różni. Janek bardziej flegmatyczny i refleksyjny, zaś Jarek zawsze szybki i bystry jak srebro. Do ulubionych dowcipów opowiadanych przez Janka należał dowcip (inaczej kawał, wic) o Fiszgol-

cu. Rzeczywiście zawierał on wszystko co potrzeba, a więc satyrę na biurokrację, wojnę, koniec świata i ciekawą, chociaż drastycznie rubaszną puentę. A przedstawiał się tak:

Do sekretariatu dyrektora wchodzi skromny człowieczek, ot zwyczajny petent, i uprzejmie pyta asystenta dyrektora:

– Czy jest szef?

Ten zaś spojrzał z pode łba, podniósł się trochę i mówi:

– Szefa nie ma.

Petent więc wyszedł, ale wraca następnego dnia i znowu pyta:

– Czy jest szef?

Asystent zaś odpowiada mu podobnie, ale bardziej niegrzecznie. Petent podziękował, wyszedł i znowu wrócił kolejnego dnia wiedząc, iż dyrektor na pewno jest w pracy. Ukłonił się i znowu grzecznie mówi:

– Panie asystencie, chciałbym pilnie widzieć się z dyrektorem.

Na to asystent podniósł się na całą swoją wysokość i rozeźlonym głosem mówi:

– Szefa nie ma.

Tym razem petent nie wyszedł, tylko stojąc zaczął mówić do asystenta:

– Proszę posłuchać, coś panu opowiem. Był sobie raz Fiszgolc, zwyczajny Fiszgolc ani lepszy, ani gorszy od innych ludzi. Wybuchła jednak olbrzymia wojna i Fiszgolc poszedł na front. Walczył dzielnie i odważnie. Niestety w pobliżu wybuchła wielka bomba i z Fiszgolca prawie nic nie pozostało. Szukano więc długo, ale znaleziono tylko męski „interes". Mimo to pochowano go w grobie, a na nagrobku napisano – Tu leży Fiszgolc. Minęło wiele, wiele lat i nastał koniec świata. Archaniołowie swoimi trąbami wzywają wszystkich przed oblicze Pana na sąd ostateczny. Święty Piotr wyczytuje po kolei nazwiska i w pewnym momencie czyta – Fiszgolc. A tu cisza i niebiańska konsternacja, bo Fiszgolca nie ma na sądzie ostatecznym. W tej sytuacji aniołowie otrzymują od świętego Piotra polecenie. Znaleźć Fiszgolca i sprowadzić go na sąd ostateczny. Przylecieli więc na Ziemię i latają nad nią w kółko, zaglądając we wszystkie jej zakamarki. Po pewnym czasie widzą grób z napisem – Tu leży Fiszgolc. Zatrzymali się i wspólnymi siłami głoszą nad mogiłą – w imieniu Pana wstań. A tu nic. Czynią to więc po raz drugi. I także nic. A więc ponawiają jeszcze raz – w imieniu Pana wstań!

Na tym petent przerywa opowiadanie i kieruje się w kierunku drzwi. Jednakże tak zaciekawił opowiadaniem asystenta, że ten podniósł się na całą swoją długość i zaciekawiony pyta:

– I co dalej? I co dalej?

Na to petent zatrzymuje się, zwraca w kierunku asystenta i mówi:

– Po trzecim wezwaniu poruszyła się ziemia na grobie, wychylił się z niej i stanął przed nimi taki palant jak pan i mówi – szefa niema.

Pierwsze kroki dydaktyczne

Moja praca nauczyciela akademickiego rozpoczęła się od udziału w rocznym Podyplomowym Studium Specjalistycznym z zakresu pedagogiki wojskowej, opracowania ćwiczenia metodycznego i prowadzenia zajęć, przeważnie w ramach grupowych ćwiczeń na pierwszym i drugim roku studiów.

Studia podyplomowe obejmowały cotygodniowy udział w wykładach i seminariach z tej dziedziny oraz prowadzenie zajęć wizytowanych i ocenianych przez wykładowców i uczestników studium. Kończyły się egzaminem komisyjnym oraz opracowaniem i obroną pracy studyjnej pt. „Jedność zadań dydaktycznych i wychowawczych w procesie kształcenia słuchaczy ASG WP".

Do tej pory słuchacze grup łączności, jak zresztą wszyscy pozostali specjaliści, uczyli się opracowywać ćwiczenie ogólnowojskowe, na przykład – batalion piechoty w natarciu. Umiejętność ta była niewiele warta dla specjalistów, a więc artylerzystów, saperów, artylerzystów przeciwlotników, łącznościowców, chemików, tyłowców (dzisiejszych logistyków) itp. Dlatego też w trakcie naszych studiów postulowaliśmy, aby można było uczyć się opracowywania i prowadzenia ćwiczeń specjalistycznych. I tak się stało, ale ich opracowanie dla grup łączności trafiło akurat na moją osobę.

W tej dziedzinie, w zasadzie nie było żadnych wzorców, a ogólną instrukcję o opracowaniu i prowadzeniu ćwiczeń taktycznych w wojskach wprowadzono znacznie później. Występowały więc dwa poważne problemy do rozwiązania. Pierwszy: jak pod względem metodycznym skonstruować takie ćwiczenie, aby efektywnie uczyło opracowania ćwiczeń specjalistycznych oraz drugi – co pod względem treści i formy powinno zawierać, aby było przydatne i dobrze uczyło opracowywania i prowadzenia ćwiczeń w wojskach łączności.

Przy opracowywaniu koncepcji metodycznej ćwiczenia oparłem się na ćwiczeniach metodycznych wojsk zmechanizowanych, jednak przystosowując je do specyfiki wojsk łączności. Natomiast pod względem specjalistycznym, korzystałem z własnych doświadczeń. Podzieliłem ćwiczenia na zgrywające pododdziały łączności i tworzone przez nie złożone elementy systemów, na przykład węzły łączności oraz doskonalące działanie całych systemów łączności danego szczebla dowodzenia.

Pierwsze z nich prowadzone było pod koniec pierwszego roku studiów. Obejmowało działanie kompanii łączności pułku zmechanizowanego, pułku czołgów i tworzonego na jej bazie węzła łączności stanowiska dowodzenia pułku. Aby jednak ćwiczenie owo spełniło swoje zadanie, oprócz sił i środków użytych do rozwijania i eksploatacji węzła łączności stanowiska dowodzenia, musiała także działać grupa podgrywająca pracę środków łączności przełożonego, współdziałających oddziałów i podległych pododdziałów. A więc powinny być utworzone grupy: ćwicząca i podgrywająca, a także kierująca ćwiczeniem i zabezpieczająca ćwiczenie.

To ćwiczenie prowadziłem w 1978 roku. W następnym roku, jakby „idąc za ciosem" opracowałem kolejne i także nowe ćwiczenie metodyczne dla grupy łączności, ale już drugiego roku. Było to ćwiczenie doskonalące działanie systemu łączności dywizji zmechanizowanej, znacznie bardziej złożone, wymagające znacznie większych sił i środków łączności, a także partycypowania w nim przełożonego (wyższego szczebla od ćwiczących) w podgrywaniu swoich elementów. Było to ćwiczenie kompleksowe i bardzo pouczające.

Po przeprowadzeniu owych dwóch ćwiczeń metodycznych byliśmy pewni, że absolwenci kierunku łączności poradzą sobie w jednostkach wojskowych i sztabach z opracowaniem i prowadzeniem każdego ćwiczenia taktyczno-specjalnego, treningów sztabowych, gier wojennych i dowódczo-sztabowych i będą one prezentowały wysoki poziom metodyczny i merytoryczny.

Umiejętność opracowywania i prowadzenia ćwiczeń przez oficerów, absolwentów naszej akademii była jednym z ważniejszych wyznaczników ich wiedzy i posiadanych kwalifikacji. Przykładem takiego podejścia był fakt, iż gdy w latach późniejszych studiowali w naszej uczelni oficerowie radzieccy, czechosłowaccy, węgierscy i innych nacji to, gdy do jednej z radzieckich jednostek przybył nasz absolwent, wówczas dla sprawdzenia jego wiedzy i umiejętności, dowódca jednostki postawił owemu oficerowi proste, ale jakże trudne zadanie.

W ciągu kilku dni należało opracować ćwiczenie z wojskami, które ma być przeprowadzone za dwa tygodnie. Następnie wyposażono owego oficera w odpowiednie narzędzia pracy i mapy oraz zamknięto w samotności, bez możliwości uzyskania jakiejkolwiek pomocy z zewnątrz. Po pięciu dniach dowódca obejrzał opracowane przez owego oficera dokumenty, wysłuchał uważnie referowanych problemów i sposobów ich realizacji, a następnie ćwiczenie zatwierdził i nakazał jego przeprowadzenie. Tym samym bardzo wysoko ocenił, nie tylko owego oficera, ale także i naszą akademię, o czym nie omieszkał nas zawiadomić ów absolwent i serdecznie za to podziękować.

Aby wyobrazić sobie na czym polegało opracowanie ćwiczenia z wojskami należy wiedzieć, że pułk wojsk lądowych posiadał kilka tysięcy ludzi, a dywizja kilkanaście. Jeśli więc porównamy to z zakładami przemysłowymi o takich zatrudnieniach, to ćwiczenie takowe polegałoby na zaplanowaniu działania takiego zakładu w określonych uwarunkowaniach i przeprowadzenie jego rozruchu oraz produkcji wstępnej. Przy czym dochodziła jeszcze, nie występująca w cywilu, mobilność tego złożonego obiektu oraz celowe utrudnianie jego działania przez przeciwnika.

Do podstawowych zadań w zakresie dydaktyki w akademii należało opracowywanie ćwiczeń, w tym w większości grupowych oraz ich prowadzenie ze słuchaczami. Ćwiczenia stanowiły bowiem około 75% wszystkich zajęć w akademii. Pozostałe zaś to wykłady, seminaria, repetytoria, konwersatoria i inne formy dydaktyczne. Wykłady prowadzili przeważnie szefowie katedr, kierownicy zakładów oraz doświadczeni nauczyciele akademiccy, zaś ćwiczenia – młodzi pracownicy dydaktyczni.

Ćwiczenia grupowe i dowódczo-sztabowe opracowywały zespoły interdyscyplinarne. Kierownikiem zespołu opracowującego ćwiczenie był zawsze wykładowca z Katedry Taktyki Ogólnej lub Sztuki Operacyjnej, zespół tworzyli przedstawiciele wszystkich katedr, którzy partycypowali w zakresie swoich specjalności w opracowywaniu założenia operacyjno-taktycznego oraz opracowywali problematykę swoich rodzajów wojsk.

Ćwiczeń nowych lub uaktualnianych w każdym roku było dużo. Z reguły 60–80%. Wynikało to stąd, iż szybko traciły one swoją aktualność na skutek różnych czynników. Do podstawowych należały: zmiany doktrynalne, czyli zmiany poglądów na przygotowanie i prowadzenie wojny oraz idące w ślad za tym zmiany regulaminu walki i wszelkich instrukcji, zmiany organizacyjne we własnych siłach zbrojnych oraz potencjalnych przeciwników, a także szybkie zmiany ilościowe i jakościowe w technice wojskowej, mające znaczący wpływ na sposoby prowadzenia walki i operacji wojskowych. Zdarzały się także częste zmiany nie wymuszane merytorycznie, a tylko przez własne widzimisię przełożonych ze Sztabu Generalnego lub komendę akademii.

Faktów merytorycznych wpływających na potrzebę i konieczność corocznego opracowywania nowych i uaktualniania starych ćwiczeń można by przytaczać wiele. Ograniczę się jednak tylko do kilku dosyć charakterystycznych. Pierwszym – były poglądy na użycie broni masowego rażenia, to jest broni jądrowej, chemicznej i biologicznej. Zmieniały się one w czasie dość znacznie, a wiele z nich wymuszały konwencje międzynarodowe.

Największy zakres zmian dotyczył broni jądrowej oraz sposobów jej użycia. Jak pamiętam, zaczęło się od możliwości jej wykorzystania na szczeblu strategicznym, potem operacyjnym, aby później wprowadzić ją w niewielkich ilościach na szczebel taktyczny. Następnie doszło do tego, iż w pasie natarcia dywizji zmechanizowanej lub pancernej o szerokości kilkunastu kilometrów i głębokości sześćdziesiąt i więcej kilometrów planowano od piętnastu do dwudziestu własnych uderzeń jądrowych, nie licząc uderzeń przeciwnika. Był to już szczyt paranoi, gdyż straty przy ich wykonaniu byłyby tak wielkie, że żadna ze stron nie mogłaby dalej prowadzić walki i osiągnąć zakładanych celów. Jeśli do tego dołożymy taki fakt, iż strona „Wschodnich" używała do tego celu głowic o mocy od 10 do 40 KT (kiloton) każda, bo Rosjanie prawdopodobnie nie dysponowali wówczas technologią produkcji głowic o mniejszej sile wybuchu, to możemy mieć obraz pola walki oraz stanu zdrowotnego i morale żołnierzy, a także stanu techniki wojskowej.

Do zmiany poglądów prowadziło także założenie, iż dywizja zmechanizowana bądź pancerna może osiągnąć dobowe tempo natarcia 60 do 100 i więcej kilometrów. Dawało to średnie tempo natarcia od 5 do 10 kilometrów na godzinę, ponieważ za dobę walki uważało się 10 do 12 godzin, pozostałą część doby przeznaczając na konieczne odtworzenie zdolności bojowej i przygotowanie się do kolejnego dnia walki. Było to więc tempo olbrzymie, które stawiało strasznie wygórowane wymagania walczącym pododdziałom i jeszcze większe systemom łączności, gdyż dla większości sprzętu łączności, a przede

wszystkim radioliniowego i przewodowego niezbędny był czas na rozwinięcie i przygotowanie do pracy w każdym rejonie. Po pracy należało go zwinąć i przemieścić w nowy rejon rozwinięcia. To wszystko wymagało czasu, wysiłku organizacyjnego, perfekcyjnego wyszkolenia i skoordynowanego działania.

Czynnikiem, który bardzo „mieszał szyki" łącznościowcom był impuls elektromagnetyczny, będący jednym z czynników rażenia broni jądrowej. Przez wiele lat przemilczany bądź okryty wielką tajemnicą i przez to nie tylko niedoceniany, lecz niebrany w ogóle pod uwagę. Wynikało to prawdopodobnie stąd, że w pierwszych próbach jądrowych nie dostrzeżono jego istnienia. Później dopiero okazało się, że czynnik ów powoduje nie mniejsze spustoszenia w sprzęcie, niż fala uderzeniowa i fala cieplna, powodując, że technika staje się martwa i bezużyteczna. Wszystko to przez zaindukowanie się w obwodach elektrycznych urządzeń technicznych olbrzymich napięć elektrycznych, przepalających i niszczących wszystkie instalacje elektryczne.

O skutkach impulsu elektromagnetycznego niech świadczy następujący przykład. Przy wybuchu jądrowym o mocy jednej megatony (MT) na wysokości około 10 kilometrów od powierzchni centrum Europy, zniszczeniu bądź znacznemu uszkodzeniu ulega cała infrastruktura techniczna na obszarze Europy, a przede wszystkim sieć energetyczna, sieci telekomunikacyjne budowane metodą tradycyjną, czyli za pomocą kabli metalowych i linii napowietrznych oraz wszystkie urządzenia techniczne, w składzie których znajdują się zespoły elektryczne i elektroniczne.

Wiele zmian w zasadach i sposobach działania wojsk spowodowane było użyciem śmigłowców bojowych na polu walki, dynamicznym rozwojem środków walki radioelektronicznej, w tym szczególnie środków i sposobów wykrywania, namierzania i zakłóceń oraz skonstruowaniem nadajników zakłócających jednorazowego użytku, a także możliwością ich przenoszenia przez bomby, pociski samosterujące i pociski artyleryjskie.

Dla łączności była to broń niebezpieczna, niezwykle skuteczna w działaniu, a przy tym w miarę tania w produkcji. Nadajniki te mogły być zrzucane w rejony węzłów łączności i pojedynczych stacji. Posiadały niewielkie rozmiary i małą moc (do 1 wata) oraz zdolność zakłócania szerokiego pasma częstotliwości w taki sposób, iż było to odbierane jako naturalny brak łączności spowodowany pogorszeniem się warunków propagacji fal radiowych. Mimo swojej niewielkiej mocy były w działaniu niezwykle skuteczne, gdyż pracując w bezpośredniej bliskości zakłócanych odbiorników radiowych, wytwarzały sygnały silniejsze niż daleko rozmieszczone własne nadajniki radiowe.

Mogły więc skutecznie obezwładniać pracę prawie wszystkich technicznych środków łączności emitujących fale radiowe, czyli środków bezprzewodowych. Przy tym były trudne do wykrycia i zniszczenia, ponieważ brakowało do tego specjalnego sprzętu.

Najszybszym i najlepszym sposobem zneutralizowania działania takich nadajników była zmiana miejsca pracy. Trzeba więc było opuszczać dany rejon

i przenosić się do innego. Było to jednak możliwe tylko w sytuacji, gdy nie wykonywano jednocześnie narzutowych pól minowych, czyli tak zwanych uderzeń mieszanych. Rozrzucone powierzchniowo miny działały przeważnie na poruszające się pojazdy, uniemożliwiając jakikolwiek manewr. Aby opuścić skażony radioelektronicznie rejon trzeba było wpierw oczyścić drogi wyjazdowe i pobocza z min narzutowych, co wymagało dużo czasu i wydłużało znacznie okres braku łączności.

Śmigłowce mogły dysponować ruchomymi stacjami zakłóceń oraz być uzbrojone w pociski samonaprowadzające się na środki emitujące energię elektromagnetyczną lub promieniowanie podczerwone. Dotyczyło to także samolotów, które dysponowały tak zwaną bronią inteligentną i wysoce precyzyjną. Zapewnienie w tych warunkach odpowiedniej żywotności i mobilności systemów łączności oraz ciągłości, skrytości i trwałości łączności było wyczynem nie lada. Wymagało doskonałej wiedzy taktycznej i systemowej oraz odpowiednich umiejętności organizatorskich. Wszystko to dawały ćwiczenia taktyczne (grupowe, dowódczo-sztabowe i szkieletowe) oraz specjalistyczne (taktyczno-specjalne).

Oddzielnym, ale jakże ważnym problemem w pracy specjalistów łączności było zapewnienie zgodliwej pracy wszystkich elementów technicznych łączności w ramach węzłów łączności i całego systemu, zwanej kompatybilnością. Były to problemy techniczne niezwykle trudne i skomplikowane. Wynikały zaś z olbrzymiej ilości współpracujących ze sobą elementów i ich różnorodności technicznej, a ponadto każdy ich rodzaj miał inne parametry usługowe i techniczno-eksploatacyjne oraz charakterystyki i uwarunkowania pracy. Do tego dochodziła konieczność zapewnienia kompatybilności elektromagnetycznej środków emitujących energię elektromagnetyczną w ramach jednego obiektu, na przykład wozu dowodzenia, węzła łączności i całego systemu. Chodziło w gruncie rzeczy o to, aby zapewnić wzajemnie niezakłóconą pracę własnych środków łączności, a prościej, aby się samemu nie zakłócać.

Nie było to wcale łatwe zadanie i bez komputera w zasadzie nierozwiązywalnym. Podstawową przyczyną tego zjawiska były małe zakresy częstotliwości radiostacji, a szczególnie stacji radioliniowych oraz występowanie częstotliwości harmonicznych, lustrzanych itp. Ponadto duże moce nadajników radiostacji, skutecznie zakłócających pracę najbliższych sąsiadów.

Jakby tego było mało, w obszarze bezpośredniego starcia wojsk pracowało jeszcze masę środków radiowych przeciwnika oraz stacji zakłócających obu walczących stron. Tworzyło to obszar olbrzymiego zagęszczenia środków radioelektronicznych i potwornego skażenia radioelektronicznego, w którym musiały pracować nasze środki łączności.

Olbrzymi postęp w telekomunikacji cywilnej i wojskowej skutkował nowymi kompletami sprzętu pracującego już w oparciu o technikę cyfrową. Należało więc zapewnić niezwykle trudną współpracę nie tylko pomiędzy sprzętem wojskowym i cywilnym, ale także pomiędzy środkami pracującymi w technice analogowej i środkami pracującymi w technice cyfrowej. Powstawały także

nowe jakościowo systemy zintegrowane, wymuszające nowe podejście do problemu łączności wojskowej.

W tym czasie brałem także udział w pracach zespołu MON, opracowującego i wdrażającego temat zintegrowanego systemu łączności polowej. Był to jakościowo całkowicie nowy system, z podobnymi możliwościami i identyczny technicznie jak zastosowany w wojskach francuskich, o cyfrowej strukturze sygnału, umożliwiającej zapewnienie automatycznej łączności wielofunkcyjnej na szczeblu operacyjnym. Należy przy tym nadmienić, że Francuzi przodowali w świecie w telekomunikacji i nowoczesnej wojskowej technice łączności.

Jak ten system był różny technicznie od dotychczasowych, analogowych, niech zilustruje następujący fakt. Gdy opracowałem o nim artykuł do akademickich niejawnych Zeszytów Naukowych, chciałem ten materiał skonsultować z doskonałym i doświadczonym fachowcem z branży łączności wojskowej szczebla operacyjnego pułkownikiem Henrykiem Kitkowskim. Ten przeczytawszy powyższy tekst stwierdził, że jest to wiedza, o której nie ma pojęcia i w związku z tym nie może mi pomóc.

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych system ów był już na etapie prototypów, ale na tym w zasadzie się skończyło, gdyż Rosjanie przyjęli, inny od naszego, sposób podejścia do budowy nowoczesnych systemów dowodzenia i łączności. Nasz system był nowocześniejszy i miał być wdrażany od góry do dołu, a więc od szczebla operacyjnego w dół. Rosjanie zaś planowali wdrażanie swojego systemu od szczebla taktycznego, przez operacyjny do strategicznego. Czyli akurat odwrotnie, niż my. Jednakże w efekcie końcowym nasz system wszedł do wojsk z dużym opóźnieniem i w bardzo ograniczonym zakresie, tak zresztą jak i radziecki. Główną przyczyną tego zjawiska była sytuacja polityczna, gospodarcza i militarna lat osiemdziesiątych.

W dowodzenie wkraczała informatyka i automatyka. Zaczęto tworzyć zautomatyzowane systemy dowodzenia, na przykład PASUW ZT. Radziecki system dowodzenia szczebla taktycznego (poliewaja automatizirowannaja sistiema uprawlienia wajskami) wprowadzono w połowie lat osiemdziesiątych w dywizji żagańskiej. W swojej istocie był trochę dziwny, gdyż Rosjanie rozpoczęli budowę zautomatyzowanych systemów dowodzenia od dołu, a pierwszym szczeblem było ogniwo związek taktyczny (dywizja) – oddział (pułk).

Musieli tego dokonać pod wielką presją czasu i współzawodnictwa w tej dziedzinie ze Stanami Zjednoczonymi i NATO, gdyż był zrobiony na chybcika. Dowodem na to była różnorodność techniczna poszczególnych jego urządzeń. Jedne z nich zostały pozyskane z samolotów, inne z marynarki wojennej, rakiet balistycznych, wojsk OPK. Stąd różnorodność występujących sygnałów. Były więc sygnały cztero-, pięcio-, sześcio- , ośmio- i dziewięcioelementowe. To zaś wymagało stosowania olbrzymiej ilości samych tylko urządzeń zamiany i unifikacji sygnałów. Niewielkie pojemności i pamięci użytych komputerów i szybkości operacji były bardzo niskie. Toteż, aby ów system w miarę dobrze pracował przygotowano wcześniej i wykorzystywano doskonałe jego oprogramowanie.

Główną zaletą owego systemu było to, że w ogóle powstał i był, a także zmienił nasze spojrzenie i wiedzę na temat systemów zautomatyzowanych. Ponadto pokazał nam możliwości wykorzystania najnowocześniejszych środków łączności i informatyki do przekazywania informacji z mapy, zautomatyzowanego dowodzenia przy wykorzystaniu programów komputerowych oraz przekazywania wszelkiego rodzaju informacji w czasie rzeczywistym lub wielokrotnie skróconym, z gwarantowanym automatycznym ich utajnieniem.

Po ukończeniu Podyplomowego Studium Specjalistycznego i rocznej już pracy w roli nauczyciela akademickiego zostałem wyznaczony na kierownika taktycznego grupy łączności pierwszego roku studiów. Moja rola polegała na opiekowaniu się grupą, ukierunkowywaniu jej działania i kształcenia oraz prowadzeniu z nią zajęć z wiodącego przedmiotu, to jest taktyki wojsk łączności, obejmującej problemy organizacji łączności pułku zmechanizowanego i pułku czołgów oraz działania pododdziałów łączności na polu walki. Kierownik taktyczny grupy prowadził także jeszcze jeden bardzo ważny przedmiot, to jest metodykę szkolenia taktycznego w wojskach łączności, a także kierował opracowaniem prac rocznych, kierował słuchaczy na praktyki i organizował szkolenie grupy łączności w jednostkach wojskowych.

Było to duże obciążenie dydaktyczne, gdyż na szkolenie specjalistyczne łączności, to jest taktyki wojsk łączności, program przewidywał bardzo dużo godzin. Do wszystkich zajęć należało się solidnie przygotowywać i opracowywać obowiązujące nauczycieli konspekty do zajęć.

W związku z brakiem w akademii aktualnych materiałów szkoleniowych na temat organizacji łączności w morskiej operacji desantowej, a korzystając ze zdobytej wiedzy i doświadczenia podczas pobytu w „niebieskich beretach", opracowałem także w tym czasie obszerny skrypt na temat „Organizacja łączności w morskiej operacji desantowej". Był on potem wykorzystywany przez nauczycieli akademickich, słuchaczy III roku studiów dyplomowych i słuchaczy studiów podyplomowych, na przykład Podyplomowego Studium Operacyjno-Strategicznego, w ćwiczeniach doskonalących problematykę organizacji i prowadzenia kombinowanych operacji desantowych w akwenie Bałtyku.

Gdy grupa łączności, którą prowadziłem na pierwszym roku rozpoczęła drugi rok studiów, obejmujący działania bojowe związków taktycznych, pozostałem dalej jej kierownikiem i prowadziłem ją do końca drugiego roku i egzaminów rocznych, a następnie przekazałem pod opiekę zakładowi operacyjnemu.

Te dwa lata pracy z grupą łączności wiele mnie nauczyły. Zmusiły bowiem do pogłębienia zdobytej już wiedzy i zajęcia się wieloma problemami, które nie miały dotychczas odzwierciedlenia w literaturze przedmiotu i w praktyce. Do takich problemów należała między innymi dynamika działania węzłów łączności stanowisk dowodzenia szczebla taktycznego, metodyka pracy szefa łączności związku taktycznego i oddziału, uwarunkowania działania systemów łączności na współczesnym polu walki i inne, nie mniej ważne problemy.

Próbowałem je rozwiązywać na bieżąco podczas zajęć ze słuchaczami. Z natury rzeczy były to wówczas rozwiązania dosyć płytkie i ogólne. Dały mi jednak impuls do późniejszej pracy nad nimi i uzyskania znacznie lepszych rezultatów, ale o tym w dalszej części wspomnień.

Warszawiści

Zgodnie z obiegowymi poglądami, mieszkańcy Warszawy dzielą się na Warszawiaków i Warszawistów. Warszawiacy to mieszkańcy Warszawy z dziada pradziada, zaś Warszawiści to ludzie przyjezdni i zamieszkali w Warszawie. Do tych ostatnich zalicza się także nasza rodzina.

Po rozpoczęciu na początku października pracy w akademii poczyniłem starania o sprowadzenie rodziny do Warszawy. Jednak sytuacja mieszkaniowa w Warszawie nie była zbyt ciekawa, gdyż na mieszkanie z prawdziwego zdarzenia oczekiwało się dobrych kilka lat, chociaż wówczas budowało się bardzo dużo (300 tys. mieszkań rocznie), chyba najwięcej w całym powojennym pięćdziesięcioleciu.

Mimo tego, że o przydział mieszkania w Warszawie wystąpiłem już rok wcześniej, bo przed pójściem do Gdańska, to i tak musiałem jeszcze sporo czekać. A przecież już ponad pięć lat byłem poza domem, w rozłące z rodziną i tej sytuacji miałem już dosyć.

Zacząłem więc starać się o mieszkanie zastępcze. Wypełniłem odpowiednie dokumenty i poszedłem z nimi do pułkownika Borzęckiego, który wówczas pełnił obowiązki zastępcy szefa katedry. Ten przyjął mnie życzliwie i obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy i że jakie takie znajomości w organach zakwaterowania to on jeszcze ma. Rzeczywiście, w listopadzie załatwił niezłe, jak na zastępcze, mieszkanie, w Rembertowie przy ulicy Marsa 120. W budynku trzypiętrowym na parterze.

Sam budynek usytuowany był w narożniku ulic Marsa i Płatnerskiej, w sąsiedztwie składów wojskowych „Pocisk" i oddalony od dość ruchliwej ulicy Marsa o około 60–80 metrów. Przed domem od strony południowej mieścił się ogrodzony warzywniak, w którym każdy z lokatorów miał małą działeczkę do uprawiania warzyw. Stanowiło to dużą frajdę i sprawiało dużo radości oraz zapewniało trochę pracy fizycznej na świeżym powietrzu.

Po drugiej stronie ulicy Marsa, aż do ulicy Żołnierskiej i torów kolejowych rozciągał się piękny i pokaźny dębowo-brzozowo-sosnowy lasek. Wiosną pokryty kępami zawilców i innych wczesnych kwiatów, potem konwaliami, a późnym latem i jesienią dzikimi malinami i rosnącymi tu i ówdzie grzybami, także borowikami. Spacerowaliśmy tam często, tak latem jak i zimą oraz jeździliśmy na rowerach.

Przy ulicy Żołnierskiej był w miarę równy, asfaltowy parking przeznaczony na samochody spacerowiczów. Służył nam do grania w tenisa. Przez środek

parkingu, na wysokości tenisowej siatki, przeciągaliśmy linkę, następnie kredą rysowaliśmy pola do gry i często z Radkiem graliśmy dla relaksu i zabawy, ale i ze sporym zacięciem, szczególnie ze strony mego syna. Nigdy nie chciał być gorszy od ojca, i słusznie.

Rodzinę i cały nasz dobytek sprowadziłem do Warszawy na początku grudnia 1977 roku. Meble i składany garaż przywiezione zostały, przysługującym na tę okoliczność samochodem wojskowym z przyczepą. Zamieszkaliśmy w mieszkaniu składającym się z dwóch pokoików, łazienki z ubikacją i kuchni. W mieszkaniu było centralne ogrzewanie, ale niestety nie było gazu. Po rozpakowaniu i ustawieniu mebli w mieszkaniu, żona zabrała się do rozpalania w piecu kuchennym. Okazało się jednak, że ani jej, ani moje umiejętności w tym względzie nie wystarczą. Załadowaliśmy węgiel do otworu bocznego, podpaliliśmy drewno i zaczął się cyrk. Palić się nie chciało, a cały dym wychodził na kuchnię. Po kilku próbach daliśmy sobie spokój i poszliśmy po poradę do sąsiadki, niezwykle sympatycznej pani Bębnowej.

Kiedy przyszła do naszego mieszkania wyjaśniła nam, że węgiel należy ładować do pieca od góry, zdejmując wpierw żeliwne kółka w blasze. Zaś otwór, do którego wkładaliśmy węgiel to popielnik, służący na spadający popiół ze spalonego węgla oraz dający ciąg powietrza, umożliwiający palenie się węgla.

Po takim instruktażu rozpoczęliśmy rozpalanie pieca od nowa. Jednakże okazało się, że rezultat był podobny, przy tym jeszcze bardziej spotęgowany. Prawie załamani poszliśmy znowu po pomoc do sąsiadki. Okazało się, że trzeba opanować jeszcze jedną sztukę. Aby piec „złapał cug" i zaczęło się dobrze palić należało otworzyć drzwiczki do przewodu kominowego i wrzucić tam zapaloną gazetę. To powodowało ruch powietrza do góry i jak gdyby zassanie powietrza z kuchni przez popielnik, palenisko, aż do komina.

Z mojej opowieści może wynikać, że w Choszcznie już tak się ucywilizowaliśmy, iż zapomnieliśmy jak się pali węglem w zwykłych piecach. Jest to oczywiście nieprawda, ale rembertowskie piece były konstrukcją rosyjską (pozaborową) bądź mazowiecką, inną od używanych w Polsce, gdzie piece miały zawsze dwa otwory boczne. Jeden do paleniska, drugi do popielnika. Zaś brak ciągu kominowego był chyba związany z wadą konstrukcyjną tego pieca.

Najważniejsze w tym wszystkim było to, że byliśmy razem. Chłopcy zmienili szkołę i zaczęli chodzić do szkoły podstawowej, mieszczącej się na Nowym Rembertowie przy ulicy Dwóch Mieczy. Budynek tej szkoły prezentował się okazale, ale z poziomem nauczania było gorzej. Dowodem tego była sytuacja z Przemkiem. W Choszcznie otrzymywał oceny dobre i bardzo dobre, gdy więc przyjmowano go do szkoły w Rembertowie, a jego papiery z Choszczna jeszcze nie dotarły, zapytano żonę – jakie oceny otrzymywał syn dotychczas. Żona zgodnie z prawdą odparła, że dobre i bardzo dobre. Takie też oceny na początku otrzymywał Przemek, dopóki nie dotarły do Rembertowa jego dokumenty z Choszczna.

Prawdopodobnie z obawy przed konfrontacją poziomów nauczania szkół i wyobrażeniem sobie, iż w Warszawie ich poziom musi być o wiele wyższy niż na prowincji, drastycznie i nieuczciwie zaniżono ostatnie oceny szkolne Przemka. To zaś doprowadziło do tego, że od tego momentu nauczyciele rembertowscy oceniali syna znacznie niżej niż na to zasługiwał.

Z Radkiem zaś, który był nad wyraz zdolny, sumienny i pracowity, sytuacja był trochę inna, ale także symptomatyczna. Gdy kończył szkołę podstawową i zamierzał zdawać do liceum ogólnokształcącego okazało się, że posiada spore luki z matematyki. Wynikały one z faktu, iż przez długi czas nieobecny był nauczyciel z tego przedmiotu lub zastępowali go nauczyciele o bardzo słabych kwalifikacjach. Musieliśmy więc pomóc Radkowi i skierować go na płatne korepetycje z matematyki. Po tym zdał wyśmienicie egzamin do XIX Liceum Ogólnokształcącego, mieszczącego się na Pradze Południe przy ulicy Zbaraskiej. Znane ono było z tego, że reprezentuje wysoki poziom nauczania, a jego absolwenci dostawali się bez żadnych problemów na wszystkie kierunki studiów.

A teraz kilka zdań o rembertowskim przeboju Przemka. W ciepły letni dzień 1979 roku otrzymałem zawiadomienie, aby stawić się na komisariacie milicji w Rembertowie. Tam okazało się, że Przemek i jego koledzy, także synowie oficerów, są złodziejami. Mało tego, dywersantami i sabotażystami, mogącymi spowodować katastrofy kolejowe. Na początku relacji milicjantów byłem zszokowany, ale później sytuacja stawała się coraz jaśniejsza.

Chłopcy, będąc pod wrażeniem telewizyjnego serialu „Stawka większa niż życie", a w nim przygód porucznika Klosa, bawili się w okolicznym lasku w partyzantkę. Urządzali więc na leśnej polanie lotnisko polowe i chcieli, aby było odpowiednio oświetlone. Do tego potrzebowali lamp i latarek. A że chodzili wszędzie po okolicy, więc odkryli, że na stacji kolejowej w Rembertowie stoją pociągi, a na ich końcach lampy sygnalizacyjne o zasilaniu akumulatorowym. Uznali więc, że mogą im posłużyć do oświetlenia lotniska polowego. W tym celu pozdejmowali z pociągów tylne światła sygnalizacyjne. Mogli tym przyczynić się do katastrofy lub sporych kłopotów kolei, gdyż brak tylnych świateł sygnalizacyjnych jadącego pociągu oznaczał brak ostatnich wagonów, a także mogło spowodować najechanie na ostatni wagon od tyłu, doganiającego go pociągu.

Była w tym zdarzeniu także część mojej winy, gdyż widziałem walające się w domu małe akumulatory. Były jednak w takim stanie, iż sądziłem, że chłopcy wygrzebali je gdzieś w śmietniku i nie pytałem o nie więcej. Gdybym był bardziej dociekliwy, to ową niebezpieczną zabawę przerwałbym w zarodku.

Afera skończyła się jednak pomyślnie. Przekonaliśmy milicjantów, że przecież to nic więcej tylko głupia, dziecinna zabawa, a więc powinna skończyć się umorzeniem sprawy, załatwieniem przez nas roszczeń kolei oraz sprawieniem tęgiego lania winowajcom. Nie pamiętam czy takie lanie Przemkowi sprawiłem, ale on stanowczo twierdzi, że swoją porcję otrzymał. Jeśli tak, to jedyny raz w życiu.

Z Choszczna przywieźliśmy także metalowy garaż z blachy falistej, kupiony przez Danę w Reczu, tuż przed samą przeprowadzką. W związku z tym napisałem do komendanta akademii, jako dowódcy garnizonu Rembertów, pismo z prośbą o umożliwienie mi postawienia owego garażu na terenie wojskowym. Ten zaś parafował to pismo i polecił kierownikowi Wojskowej Administracji Mieszkaniowej załatwienie sprawy w ramach posiadanych możliwości. Kierownik GAM umożliwił mi postawienie garażu na ogrodzonym, garażowym placu przy ulicy Płatnerskiej, w odległości około 150 merów od domu. Służył nam potem ponad dziesięć lat. Nawet wówczas, gdy mieszkaliśmy już na Gocławiu.

Na początku Dana była Warszawą przerażona i z trudem się z nią oswajała. Szczególnie przerażała ją rozległość miasta, skomplikowana komunikacja oraz duża ruchliwość, pośpiech i nerwowość ludzi. Po dwóch miesiącach znalazła pracę. Zaczęła pracować w RSW „Prasa, Książka, Ruch", a w zasadzie w zarządzie przedsiębiorstwa „RUCH" przy ulicy Wroniej 23, zajmującego się kolportażem prasy i sprzedażą drobnych produktów pierwszej potrzeby. W tej firmie, na różnych stanowiskach, przepracowała ponad dwadzieścia lat. Z tego przeszło dziesięć jako dyrektor Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki (KMPiK-u) przy ulicy Zwycięzców na Saskiej Kępie.

W październiku 1980 roku otrzymałem mieszkanie służbowe na osiedlu Gocław. Zgodnie z przepisami należało mi się mieszkanie M-5. Przeważnie było to mieszkanie czteropokojowe o powierzchni około 70–80 metrów kwadratowych. Niestety na taki mieszkanie trzeba było znacznie dłużej czekać niż na bardziej popularne, mniejsze i trzypokojowe M-4. Zdecydowaliśmy się na to, aby wziąć mniejsze, a szybciej. Wybraliśmy mieszkanie szczytowe na czwartym piętrze z oknami wychodzącymi na południe i zachód.

Mieszkanie było zgodne z ówczesnymi standardami. Posiadało powierzchnię 61 metrów kwadratowych i składało się z trzech pokoi, kuchni, oddzielnej łazienki i ubikacji i dużego przedpokoju z zaznaczonym podziałem na część większą i mniejszą. Były oczywiście: prąd, gaz i woda oraz centralne ogrzewanie i centralna ciepła woda. Poza tym żadnych luksusów. Podłoga z PCV oraz nierówno i fatalnie wykończone powierzchnie ścian i sufitów. W łazience, ubikacji i kuchni olejną farbą wymalowane lamperie. Na czołowej ścianie dużego pokoju i w najbardziej widocznym miejscu wisiał duży, paskudny kaloryfer.

Wprowadzaliśmy się z radością, gdyż poprawa warunków była znaczna i wreszcie mieliśmy mieszkanie z prawdziwego zdarzenia. Czekały nas jednak duże wydatki i masę roboty. Zaczęliśmy urządzać mieszkanie od królestwa żony, czyli od kuchni. Kupiliśmy za dolary i bardzo drogą glazurę i terakotę, które ułożyliśmy w kuchni. Meble kuchenne w rustykalnej okładzinie dębowej załatwiałem w fabryce mebli kuchennych w Gdańsku. Pomógł mi w tym Włodek Niedźwiecki, który w owym czasie pełnił obowiązki szefa łączności dywizji w Gdańsku. Miał „chody" w tym zakładzie, gdyż zgodnie z zawartym porozumieniem o współpracy, żołnierze łącznościowcy często pracowali w nim w zamian za meble i inne wyposażenie pomieszczeń koszarowych.

Przy zakupie mebli oficjalnie występowałem jako brat Włodka, bo tylko w ten sposób mogłem te meble kupić. Było to nawet wiarygodne, ponieważ obaj byliśmy blondynami o podobnej urodzie. Meble rzeczywiście były piękne, a do tego mogłem nawet wybrać jeden komplet z kilku. Służą nam po dzień dzisiejszy, a kuchnia nadal wygląda pięknie. Trochę później zaprojektowałem pod górne szafki ładną półkę, którą wykonał znajomy stolarz, a która dodała jeszcze większego smaku wystrojowi kuchni.

Natomiast lodówkę z prawdziwego zdarzenia „wystała" Dana z chłopcami w sklepie przy ulicy Grochowskiej. Wpierw były zapisy na listę kolejkową, później jej sprawdzanie i odhaczanie nazwisk stojących osób, a następnie stanie w kolejce przez parę dni i nocy. W końcu udało się i szczęście z tego powodu było duże.

Potem przyszedł czas na poprawianie i równanie ścian w stołowym pokoju, likwidację owego paskudnego kaloryfera i powiększanie kaloryfera podokiennego. Pokusiłem się także o wykonanie sztukaterii na suficie. Robiłem ją sam, przy pomocy odpowiednio zaprojektowanych i wykonanych w Krakowie form. Początkowo używałem zwykłego gipsu, ale okazał się zbyt kruchy, a do tego za ciężki. Wykombinowałem więc od naszego byłego sąsiada z Choszczna – Józka Jurkowskiego, mieszkającego w tym czasie już w Słupsku, gips dentystyczny, czy też chirurgiczny. Był lekki i mocny, a sztukaterię przyklejałem do sufitu za pomocą wodnego kleju o nazwie wikol.

W międzyczasie doprowadziliśmy do jakiej takiej kultury łazienkę i ubikację. Położyliśmy taką sama jak w kuchni terakotę i glazurę, ale już polską. Wymieniliśmy wannę, sedes i umywalkę oraz założyliśmy nowe oświetlenie i dodatkowe akcesoria. Poprawiłem także wszystkie nadtynkowe gniazdka elektryczne i wyłączniki, które wyglądały paskudnie i tandetnie. Kułem więc dziury w betonie i zakładałem gniazdka i wyłączniki podtynkowe. We wszystkich drzwiach wewnętrznych wymieniłem klamki oraz szyby w miodowym kolorze.

W Krośnie udało się nam kupić parkiet bukowy. Po przywiezieniu do domu okazało się, że spora jego partia nie „trzyma" norm. Złożyliśmy więc reklamację do zakładów wytwórczych. Całe szczęście, że ją uznali, gdyż po ułożeniu wyglądałby fatalnie, mając sporo różnych szpar. Niestety musiałem posiadany parkiet sam znieść do samochodu fabrycznego i wynieść nowy na czwarte piętro. Po wysezonowaniu parkietu w mieszkaniu, układał go pan Burakowski, zwany przez nas „Bucyną". Ułożył pięknie, starannie i równo, z czego byliśmy bardzo zadowoleni, bo mieszkanie uzyskało piękny wygląd. Żonie tak się podobał, że po dzień dzisiejszy nie ma dywanu w stołowym pokoju, aby nie zasłaniał jego piękna.

Później przyszedł czas na boazerię w przedpokojach. Pomysł był prosty. Ponieważ nie było mnie stać na boazerię fabryczną, skorzystałem z okazji, iż wujek Frydek chciał wyciąć sporo modrzewi, dębów i jesionów na jednym z kawałków swojej ziemi, którą otrzymał z reformy rolnej. Czynił to wówczas szybko, gdyż był zmuszony do odsprzedania spółdzielni tego zalesionego kawałka ziemi. Za pomoc przy ścinaniu drzew, jego wywózce z lasu oraz trans-

porcie do tartaku i z powrotem, otrzymałem od niego około kubika (metra sześciennego) przetartych w tartaku pni.

Boazerię wykonano w Zebrzydowicach koło Kalwarii Zebrzydowskiej, czyli prawie na miejscu, bo po sąsiedzku. Oprócz boazerii zamówiłem także dużą szafę wnękową i dwa pawlacze do przedpokoju, w stylu tejże boazerii. W międzyczasie przygotowałem na to wyposażenie przedpokój, wiercąc w betonie około 200 otworów i mocując listwy pod boazerię. Po przywiezieniu boazerii do domu, razem z Przemkiem, przez kilka miesięcy montowaliśmy ją mozolnie, na pewno zatruwając spokój i życie sąsiadów. Był to jednak okres, gdy każdy lokator coś w mieszkaniu przybijał, wiercił i szlifował.

W tym czasie zaczęła się także nasza pogoń za meblami do pokoju chłopców. Kupiliśmy je także okazyjnie, ale były niezbyt ładne i wygodne, szczególnie tapczaniki. Stopniowo potem kupowaliśmy również inne meble, gdyż kupione wcześniej w Szczecinie już się zużyły. Dana, jak i jej siostry, urządzała swoje mieszkania w dębie rustykalnym. Ja zaś, z kupionych okazyjnie na Pomorzu płyt wiórowych w surowej okleinie dębowej, zrobiłem ściankę boazeryjną w sypialni, regały na książki w dwóch pokojach oraz półkę w kuchni. I tak, wreszcie zamieszkaliśmy jak cywilizowani ludzie końca dwudziestego wieku.

Synowie uczyli się dalej. Przemek skończył szkołę podstawową w Rembertowie i zdał egzamin do Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Curie-Skłodowskiej. Jednakże wraz ze zmianą mieszkania przeszedł do Liceum im. Bolesława Prusa, mieszczącego się przy ulicy Zwycięzców, w sam raz po przeciwnej stronie KMPiK-u.

W 1984 roku Radek zrobił maturę i rozpoczął studia w Szkole Głównej Planowania i Statystyki, przemianowaną później na Szkołę Główną Handlową, na kierunku Zarządzanie i Marketing. Po roku przeniósł się na najbardziej prestiżowy i najmocniej obsadzony kierunek studiów, jakim był Handel Zagraniczny. Studiował i uzyskiwał doskonałe wyniki. Jednak na czwartym roku studiów, na pół roku, wyjechał na „saksy" do Nowego Jorku i tam pozostał, wiążąc swoje życie na długie lata z kontynentem Ameryki Północnej.

Przemek także ukończył liceum i zdał maturę. Za przykładem brata i za namową Dany, także wystartował na SGPiS. Egzamin zdał, lecz zabrakło mu punktów. W związku z tym zatrudnił się na uczelni w charakterze pracownika fizycznego, w celu zdobycia dodatkowych punktów, a jednocześnie uczęszczał na wybrane zajęcia i wykłady oraz zaliczał niektóre przedmioty. Wraz z nowym rokiem akademickim rozpoczął studia i studiował półtora roku Organizację i Zarządzanie. Po wyjeździe Radka nie mógł jednak wytrzymać na miejscu i w ślad za nim wyjechał do Nowego Jorku, ale o tym już w rozdziale XII.

Kierownik zakładu

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych w akademii nastąpiło sporo zmian, szczególnie organizacyjnych. Na bazie samodzielnych katedr wojsk lądowych utworzono Wydział Wojsk Lądowych (WWL). W związku z tym były już dwa wydziały: Wojsk Lądowych oraz Wojsk Lotniczych i Obrony Powietrznej Kraju. Wydział Wojsk Lądowych był pośrednim ogniwem organizacyjnym między komendą akademii, a katedrami wojsk lądowych. Ponadto istniało sporo katedr samodzielnych, na przykład Katedra Historii Sztuki Wojennej, Katedra Nauk Społeczno-Politycznych czy Katedra Strategii, której szefem był zawsze komendant akademii. W ślad za tym zlikwidowano Radę Naukową uczelni, a jej rolę przejęły Rady Wydziałów.

Pierwszym komendantem Wydziału Wojsk Lądowych mianowany został szef Katedry Taktyki Ogólnej generał brygady, profesor doktor habilitowany Czesław Dęga. Żołnierz prawie od dzieciństwa, ponieważ nosił już mundur kadeta. Z wykształcenia artylerzysta. W swoim czasie był także obserwatorem ONZ w Wietnamie. Człowiek wspaniały, o wysokiej kulturze osobistej i wielkim autorytecie u podwładnych.

Koniec lat osiemdziesiątych był także okresem odejścia z katedry starszych kolegów, naszych byłych nauczycieli akademickich. Odeszli na emeryturę: pułkownik Mieczysław Borzęcki, pułkownik Henryk Kitkowski, pułkownik Marian Romatowski, pułkownik Jan Kublik, pułkownik Józef Mackiewicz oraz podpułkownik Stanisław Ptaszyński. Poza szefem katedry pułkownikiem Kazimierzem Patkowskim, w katedrze pozostała młodsza kadra naukowo-dydaktyczna. Najstarszymi z nich byli: podpułkownik Stanisław Jędruszczak i podpułkownik Edmund Sikorski.

W tej sytuacji nieetatowym zastępcą szefa katedry mianowany został podpułkownik Władysław Bryliński, który w międzyczasie obronił doktorat. Kierownikiem zakładu operacyjnego został podpułkownik Andrzej Kukowski. W jego skład wchodzili majorowie, a po awansach podpułkownicy: Henryk Starobrat, Włodzimierz Poleski i Władysław Korbela.

Na kierownika zakładu taktycznego wyznaczono moją skromną osobę. Zakład ten składał się z dwóch zespołów: dywizyjnego i pułkowego. Kierownik zakładu taktycznego był jednocześnie kierownikiem zespołu dywizyjnego, zaś kierownikiem zespołu pułkowego został podpułkownik Edmund Sikorski.

Do moich obowiązków należało proponowanie i wprowadzanie zmian w programach kształcenia z dziedziny łączności na I i II roku studiów, organizowanie procesu dydaktycznego z zakresu łączności na dwóch pierwszych latach studiów, kierowanie opracowaniem problematyki łączności we wszystkich ćwiczeniach szczebla taktycznego, prowadzenie zajęć dydaktycznych z dziedziny łączności, organizowanie i prowadzenie instruktaży do zajęć dla podległych nauczycieli, kierowanie opracowywaniem i własnoręczne opracowywanie literatury przedmiotu i materiałów poglądowych do zajęć itp.

Podstawowym naszym zadaniem była praca dydaktyczna. Widać to nawet z przedstawionego powyżej zakresu obowiązków. Obciążenie dydaktyczne potęgował udział w różnego rodzaju odprawach, naradach szkoleniowych i konferencjach oraz pracach zespołów interdyscyplinarnych przygotowujących założenia, wytyczne i inne materiały. Kierownik zakładu przy pomocy kierownika zespołu pułkowego planował także i nadzorował wykonanie różnych pomocy szkoleniowych i obudowy dydaktycznej prowadzonych zajęć, w postaci różnego rodzaju plansz, plakatów, schematów, przeźroczy i innych materiałów poglądowych, niezbędnych w trakcie prowadzenia wykładów, seminariów, ćwiczeń i innych form dydaktycznych.

Specyfika Katedry Wojsk Łączności polegała także na tym, że jako jedyna w akademii odpowiadała za rzeczywiste funkcjonowanie swojej branży w ćwiczeniach szkieletowych. Wszystkie inne katedry opracowywały materiały aplikacyjne do tych ćwiczeń, a podlegli im słuchacze w terenie ćwiczyli także aplikacyjnie, to znaczy tylko na mapach. Katedra nasza opracowywała dwa równorzędne rodzaje dokumentów: aplikacyjne i rzeczywiste. Tak więc nasi słuchacze w czasie ćwiczeń szkieletowych pracowali podwójnie. Pełnili obowiązki szefów łączności w ćwiczących aplikacyjnie dowództwach pułków i dywizji, rozwiązując określone problemy operacyjno-taktyczne i łączności oraz wykonując odpowiednie dokumenty. Pełnili także rzeczywiste obowiązki szefów łączności i dowódców pododdziałów łączności rzeczywistych zgrupowań sprzętu łączności i zapewniali łączność ćwiczącym kolegom innych specjalności.

Były to zawsze problemy mocno złożone, gdyż organizacja rzeczywistej łączności w ćwiczeniu szkieletowym była zdecydowanie inna od aplikacyjnej. To uwarunkowanie wynikało z tego, iż z wielu względów nie można było wyprowadzić w pole wszystkich etatowych środków łączności przysługujących i będących na wyposażeniu dywizji i pułków, a także nie można było rozwijać stanowisk dowodzenia i węzłów łączności w planowanych na mapach rejonach i miejscach, ze względu na uwarunkowania pokojowe i możliwość wyrządzenia znacznych szkód materialnych.

Także i kadra była obciążona podwójnie, tak w okresie opracowywania i przygotowywania ćwiczenia szkieletowego, jak i podczas jego prowadzenia. W zasadzie, co roku kilka osób z zakładu pracowało przez kilka miesięcy w ramach zespołu interdyscyplinarnego nad owym ćwiczeniem. Część z nich odpowiadała za stronę aplikacyjną. Druga część za rzeczywistą, a więc zaplanowanie i zorganizowanie łączności rzeczywistej do ćwiczenia szkieletowego. Tej pracy było sporo, gdyż należało nie tylko zorganizować i uzgodnić ilość i rodzaj sprzętu, który przyjdzie z wojsk, ale przede wszystkim opracować złożoną i pracochłonną dokumentację eksploatacyjną, bez której nie można było zapewnić łączności.

Ponadto kierowaliśmy opracowywaniem przez słuchaczy prac rocznych i dyplomowych. W związku z tym, iż w każdej grupie szkoleniowej łączności było po kilkunastu słuchaczy, więc każdy z nas przeważnie prowadził po dwie-trzy prace roczne i jedną – dwie prace dyplomowe.

Oprócz pracy dydaktycznej, która była naszą podstawowa produkcją, każdy z nauczycieli obowiązany był prowadzić pracę naukową i naukowo-badawczą. Owe prace prowadziliśmy w ramach programów cywilnych, MON-u, akademii oraz własnych zainteresowań i potrzeb. Było ich zawsze dużo i z wyjątkiem akademickich i własnych były płatne, choć raczej skromnie. W tematach cywilnych, MON i akademickich w zasadzie tylko uczestniczyliśmy, zaś w akademickich i własnych realizowaliśmy również własne tematy. Odgórnie narzucone tematy były różne, przeważnie drętwe i mało ciekawe, więc skupię się tylko na tych, które mnie zafrapowały, wynikały z moich zainteresowań i według mojej oceny były niezbędne w poszerzaniu wiedzy kadry wojsk łączności oraz w procesie kształcenia słuchaczy.

Jak już wcześniej wspominałem pierwszym tematem własnym, realizowanym samodzielnie był problem czasoprzestrzennego działania węzłów łączności stanowisk dowodzenia szczebla taktycznego, czyli dywizji i pułków. Problem ów wynikał z faktu, iż do tej pory za podstawę planowania ich użycia na polu walki brano normy szkoleniowe rozwijania i zwijania tych węzłów. A były to tylko określone normy czasowe ich rozwijania i zwijania, odpowiadające poszczególnym ocenom, od bardzo dobrej do niedostatecznej.

Taka sytuacja miała się nijak do niezwykle dynamicznych działań bojowych prowadzonych na szczeblu taktycznym. Po głębszym przemyśleniu problematyki doszedłem do wniosku, że taki stan wiedzy doprowadziłby w przyszłej wojnie do tego, że węzły łączności stanowisk dowodzenia przemieszczane byłyby intuicyjnie, co doprowadzałoby do długich okresów braku łączności i w zasadzie zerwania ciągłości dowodzenia, ze wszystkimi związanymi z tym tragicznymi skutkami.

Musiałem więc rozwiązać następujące problemy:

– ile razy w określonej sytuacji taktycznej należy przemieścić stanowisko dowodzenia i jego węzeł łączności, aby zapewnić nieprzerwaną łączność i od czego to zależy;

– w jaki sposób tempo walczących wojsk wpływa na zakres rozwijania i czasokresy pracy węzłów łączności w każdym z rejonów ich rozwinięcia;

– w jakim momencie i w jakiej sytuacji taktycznej rozpoczynać zwijanie węzła łączności danego stanowiska dowodzenia i przemieszczać go w nowy rejon rozwinięcia;

– w jaki sposób na szczeblu dywizji przemieszczać węzły łączności stanowiska dowodzenia i zapasowego stanowiska dowodzenia, aby zapewnić ciągłość działania stanowisk dowodzenia i węzłów łączności;

– w jakich okolicznościach, gdzie i na jaki okres proponować dowódcy rozwinięcie wysuniętego stanowiska dowodzenia i użycie powietrznego elementu dowodzenia (PED) przez dowódcę dywizji.

Według mnie problematyka ta była bardzo ważna, gdyż bez tej wiedzy, każdy z szefów łączności mógł doprowadzić do tego, że nacierające wojska mogły oderwać się od organów dowodzenia na zbyt dużą odległość i utracić

z nimi łączność, a w obronie lub działaniach obronno-opóźniających nieprzyjaciel mógł rozjechać i zniszczyć węzły łączności, którym zbyt późno nakazano zwijanie i przemieszczenie się w głąb.

W wyniku mojej pracy wszystkie te problemy ująłem w zależności matematyczne i wyprowadziłem końcowe wzory, przy zastosowaniu których można było dokładnie zaplanować działanie węzłów łączności w danym obszarze walki, jak również kierować ich dynamicznym działaniem w trakcie walki.

Po przedstawieniu moich badań i ich wyników na szkoleniu katedralnym, opracowałem następnie odpowiednie materiały szkoleniowe, a wyniki opublikowałem w Zeszytach Naukowych ASG. Muszę także dodać, iż owa problematyka dała początek rozwijanej później, nowej dziedzinie w łączności wojskowej, to jest topologi sieci, zajmującej się właściwościami sieci łączności niezmieniającymi się przy przekształceniach wzajemnie jednoznacznych i ciągłych, bez zrywania łączności oraz przekształcaniem sieci łączności polowej, tak aby niezależnie od warunków zachować ciągłość jej działania.

W tym czasie brałem także udział w pracach zespołu naukowego MON, opracowującego i wdrażającego temat zintegrowanego systemu łączności polowej. Był to całkowicie nowy system, zbliżony możliwościami i identyczny technicznie z wojskowym systemem francuskim. A więc systemem cyfrowym, zapewniającym automatyzację procesów dowodzenia na szczeblu operacyjnym oraz automatyczną, wieloraką i wielokanałową łączność w mobilnej sieci telekomunikacyjnej i radiowej.

Kolejnymi problemami naukowymi, które podjąłem z własnej inicjatywy, mając świadomość występujących luk w fachowej wiedzy wojskowej, były problemy zabezpieczenia bojowego (operacyjnego) łączności oraz kierowania łącznością wojskową i wojskowymi systemami łączności.

Łączność wojskowa i wojskowe systemy łączności pracowały w diametralnie innych warunkach niż systemy cywilne. Inne było ich otoczenie i podlegały innym, bardziej złożonym i niewystępującym w czasie pokoju oddziaływaniom. O ile walka ogólnowojskowa miała wypracowane zasady zabezpieczenia bojowego działań, o tyle łączność wojskowa i wojskowe systemy łączności w działaniach bojowych niestety – nie. Zaś bez nich trudno było wyobrazić sobie ich efektywne działanie w ogóle.

Wzorując się na zabezpieczeniu bojowym działań ogólnowojskowych, podjąłem problemy zabezpieczenia bojowego (operacyjnego) łączności. Dochodziłem do tego stopniowo. Najpierw, po raz pierwszy w naukach wojskowych, zdefiniowałem pojęcie otoczenia wojskowych systemów łączności, a następnie grup przedsięwzięć, bez których ich działanie w walce i operacji byłoby niemożliwe lub nieefektywne. Tak stopniowo rodził się nowy dział wiedzy wojskowej, który później włączyłem do zarysu teorii wojskowych systemów łączności.

Pracowałem także nad doskonaleniem metod i treści pracy szefów łączności oddziałów i związków taktycznych. Opracowanie powyższe stanowiło póź-

niej podstawowy materiał szkoleniowy dla słuchaczy i zwierało nie tylko teorię problemu oraz algorytmy działania szefów łączności podczas podejmowania przez dowódców ogólnowojskowych decyzji prowadzenia działań bojowych, lecz również przykładowe rozwiązania podstawowych problemów podejmowanych przez owych szefów.

Praca nad tą problematyką stanowiła przedpole do podjęcia szerszej problematyki kierowania łącznością wojskową i wojskowymi systemami łączności. Ta zaś przyczyniła się do wybrania przeze mnie problematyki kierowania systemem łączności dywizji wyposażonej w polowy zautomatyzowany system dowodzenia wojskami związku taktycznego (PZSDW ZT), jako tematu rozprawy doktorskiej.

Przy tej okazji muszę wspomnieć co nieco o pracach doktorskich w katedrze, gdyż odbiegało to od ogólnej normy akademickiej i rzutowało na poziom naukowy i prestiż katedry.

Jak już wspominałem wcześniej, szefem naszej katedry był absolwent dwóch radzieckich akademii, lecz nieposiadający doktoratu, pułkownik dyplomowany magister inżynier Kazimierz Patkowski. Dobry fachowiec i nauczyciel, ale trochę, a może nawet sporo zawistny i niepozwalający, aby ktoś z jego podwładnych mógł zdobyć wyższe od niego kwalifikacje i go przeskoczyć. W związku z tym był niezwykle krytyczny w stosunku do wyników prac naukowych, a szczególnie doktoratów – swoich podwładnych. Dlatego też doktoraty robione w naszej katedrze trwały bardzo długo i często kończyły się niepowodzeniem. Zrażało to kadrę i nie motywowało ją do opracowywania rozpraw doktorskich i habilitacyjnych.

Omal klinicznym przypadkiem i doskonałą ilustracją owej sytuacji był Staszek Jędruszczak. Dość wcześnie przygotował doktorat. Było to wówczas, gdy studiowałem jeszcze na trzecim roku. Z zainteresowaniem przeczytałem ową rozprawę i byłem pod jej dużym wrażeniem. Charakteryzowała się wysokim poziomem merytorycznym, logiką i konsekwencją rozumowania oraz przedstawiania problemów naukowych i sposobów ich rozwiązywania. Korzystałem z niej wówczas kilka razy w trakcie przygotowywania się do zajęć.

Okazało się jednak, że przez kilka następnych lat musiał ją wielokrotnie przerabiać, gdyż zawsze szef katedry oświadczał, że taki poziom nie zadawala go i wystawi jej negatywną opinię. Ocena pracy doktorskiej należała do recenzentów, a następnie do komisji, przed którą była broniona. Jednakże opinia szefa katedry zawsze się liczyła i w wielu przypadkach mogła poważnie zaszkodzić.

Stąd też mimo moich zainteresowań naukowych i prowadzonych prac badawczych, do opracowania rozprawy doktorskiej przystąpiłem dosyć późno. Jedną z zasadniczych przyczyn wymieniłem powyżej. Były także inne, nie mniej ważne. W początkowym okresie było to intensywne przygotowywanie się i uczenie zawodu nauczyciela, a także duże obciążenie dydaktyczne. Potem zaś długa przerwa w pracy naukowej spowodowana obowiązkami kierownika za-

kładu oraz stanem wojennym, o czym opowiem w następnym rozdziale. Do ważnych przyczyn muszę zaliczyć także brak motywacji w tym kierunku. Bycie doktorem nie bardzo mnie podniecało, a profity służbowe i finansowe z tego były żadne.

Przyszedł jednak czas, że dojrzałem do tego, tym bardziej, że i szef zmienił swój stosunek do doktorantów i doktoratów oraz zdobywania stopni i tytułów naukowych. Zmiana jego postawy wynikała z nacisków kierownictwa wydziału i akademii, które napominały go stale i krytycznie za stan doktoryzacji i habilitacji w katedrze. Rzeczywiście, odstawaliśmy znacznie od innych katedr, mimo że pole do popisu w tym względzie mieliśmy znacznie lepsze.

Z szerokiego kręgu moich zainteresowań wybrałem więc następujący temat „Kierowanie systemem łączności dywizji (DZ, Dpanc) wyposażonej w PZSDW ZT". Pracowałem już wcześniej nad teorią kierowania, a wprowadzanie nowej techniki dawało szansę i zmuszało do rozwiązywania wielu nowych i niezwykle skomplikowanych problemów. Przy tym, tak się złożyło, że zainteresowanie owym tematem wykazywał także doktorant z Zegrza, studiujący u nas zaocznie, absolwent akademii w Leningradzie, podpułkownik Andrzej Świstek. Po głębszej analizie tematu i wynikających z niego problemów badawczych uświadomiłem sobie, że temat ów jest zbyt obszerny na jedną osobę, a Andrzej, znający bardzo dobrze język rosyjski będzie nieodzowny, gdyż wszystkie materiały dotyczące PASUW-u były w języku rosyjskim.

Postanowiliśmy więc wspólnie pracować nad rozprawą doktorską, skrupulatnie określając podział swoich zadań i kompetencji. Przy czym ja miałem już wcześniej wypracowaną pełną koncepcję naukową i merytoryczną tej problematyki. Dokonaliśmy więc podziału zadań. Połowę wszystkich rozdziałów oraz wstęp i zakończenie opracowałem ja, zaś drugą połowę rozdziałów oraz rozdział metodologiczny – Andrzej.

Nad rozprawą pracowaliśmy niewiele ponad rok. Ja wziąłem sześciomiesięczny urlop naukowy i ten czas poświęciłem na opracowanie wcześniej prowadzonych już badań owej problematyki. Andrzejowi szło to bardziej opornie, gdyż pracował w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu, a ponadto miał wielodzietną rodzinę, która go znacznie bardziej absorbowała. Pod koniec naszej pracy nad doktoratem, aby przyspieszyć jej wykonanie, trochę mu pomogłem i w ten sposób doktorat gotowy był do obrony. Po oprawieniu wyszły z tego dwa opasłe tomiska, zawierające opracowanie powyższej problematyki – jako rezultatów badań naukowych. Na zakończenie pracy przedstawiliśmy swój warsztat badawczy i wyniki badań.

Kolejnym etapem w naszej drodze do doktoratu były egzaminy zdawane komisyjne ze sztuki operacyjnej i taktyki, filozofii i socjologii oraz języka obcego. Po zdaniu egzaminów i uzyskaniu pozytywnych recenzji przystąpiliśmy do obrony pracy doktorskiej. Odbyła się w sali Rady Naukowej Wydziału Wojsk Lądowych, a komisji przewodniczył pułkownik profesor doktor habilitowany Henryk Piekarski, dobry duch łącznościowców w akademii, gdyż był dawnym

pracownikiem Katedry Łączności i zawsze z wielką życzliwością wspierał działania naukowe łącznościowców.

Oprócz komisji i recenzentów na obronie obecnych było także wielu oficerów z Szefostwa Wojsk Łączności Ministerstwa Obrony Narodowej, naszej akademii oraz Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności z Zegrza. Obrona przebiegała gładko i mniej więcej w ten sposób, że na początek kolejno przedstawiliśmy w skrócie wyniki swoich badań naukowych. Następnie odczytano recenzje i postawiono nam wiele pytań. Pytania zadawali członkowie komisji oraz osoby będące na sali. Dotyczyły one różnej problematyki związanej z wynikami naszych prac. Potem kolejno odpowiadaliśmy na zadane pytania, aż do ich wyczerpania. Kolejnym etapem obrony była dyskusja merytoryczna nad wartością pracy, osiągniętymi wynikami i sposobami ich przedstawienia. Na tym w zasadzie był już koniec. Komisja udała się na naradę i po kilkunastu minutach, już po jej powrocie z narady, dowiedzieliśmy się, że obroniliśmy doktorat, a wyniki naszych prac oceniono wysoko.

Podczas obrony mieliśmy dużą tremę. Mnie było może trochę łatwiej niż Andrzejowi, gdyż na tej sali systematycznie odbywały się posiedzenia Rady Wydziału, której byłem przez kilka lat wybieralnym członkiem. Byłem więc oswojony z jej wyglądem i panującą tam atmosferą. Mimo to, było to ciężkie przeżycie. Zresztą nie tylko moje, bo wszyscy doktoranci bardzo mocno to przeżywali. Tak było nawet z zastępcą komendanta akademii generałem brygady Tadeuszem Urbańczykiem, podczas obrony doktoratu. Już po wszystkim, kiedy wyszedł z sali i trochę odetchnął powiedział: jeszcze nigdy w życiu nie trzęsły mi się spodnie, tak jak dzisiaj. A przecież te spodnie były już z generalskimi, granatowymi lampasami, a generał był nie byle kim, bo zastępcą komendanta naszej akademii.

Po pozytywnym werdykcie komisji oraz przyjętych od przełożonych i kolegów gratulacjach udaliśmy się sporą grupą do kasyna, gdzie już wcześniej zamówiliśmy przyjęcie z tej okazji. Była wódeczka i toasty, gorące i zimne zakąski oraz pełna luzu i radości dyskusja. Gdyby ktoś bardzo ciekawy zadał pytanie – czy zawsze tak było? Odpowiem, chyba tak. Był nawet raz taki przypadek, którego byłem świadkiem, bo uczestniczyłem w posiedzeniu Rady Wydziału, że bankiet odbył się nawet wówczas, gdy kolokwium habilitacyjne nie zostało pozytywnie zaliczone.

A teraz, już na koniec, pewna ciekawostka obrazująca stan wiedzy Szefostwa Wojsk Łączności MON w tej dziedzinie i jego stosunek do niej. Pod koniec opracowywania rozprawy udałem się do szefostwa na konsultację. Przedstawiłem tam temat, rozwiązywane problemy i efekty jakie chciałem osiągnąć. Gdy zakończyłem swoje wystąpienie, jeden z większych i mających znaczny autorytet specjalistów szefostwa oświadczył, że nie widzi potrzeby zajmowania się owym problemem. Zbaraniałem doszczętnie, gdyż jego głupota w tym zakresie była porażająca. Opanowałem się jednak szybko i uznałem, że w takim przypadku moje wyjaśnienie niewiele by dało. Trzeba więc zadziałać inaczej,

szybko i dosadnie. Nie ustosunkowując się więc do opinii owego „mądrego" specjalisty zadałem mu pytanie:

– Czy pan także zautomatyzowanymi systemami dowodzenia i łączności zamierza kierować na piechotę?

Po takim pytaniu otrzeźwiał, zmienił front i przestał się dalej wygłupiać. Ja zaś otrzymałem zielone światło do dalszych badań i pracy nad doktoratem.

W połowie lat osiemdziesiątych zakończył służbę wojskową i odszedł na emeryturę pułkownik Kazimierz Patkowski. Obowiązki po nim przejął jego nieetatowy zastępca pułkownik doktor Władysław Bryliński. Jednak katedrą kierował stosunkowo krótko i ze zmiennym szczęściem, po czym odszedł do pracy w Szefostwie Wojsk Łączności MON. Następnym szefem katedry został pułkownik doktor inżynier Eugeniusz Piedziuk, były zastępca do spraw naukowych komendanta WSOWŁ w Zegrzu. Przyszedł do nas jako „spad", po serii nadzwyczajnych wypadków w szkole. Mówiąc bardzo oględnie, stara komenda szkoły została zastąpiona nową.

Był postacią niezwykle kontrowersyjną i od samego początku dziwną. Wraz z nim przybyła także do pracy w katedrze jego sekretarka ze szkoły. Razem stanowili niezwykle „dobraną" parę. Atmosfera w katedrze zaczęła się szybko psuć, powstawały różnego rodzaju waśnie, tworzone i podsycane przez ową parę. Zaś wszelkie animozje i konflikty upubliczniane były w akademii i nie tylko. Katedra traciła prestiż i autorytet, szczególnie za sprawą swego szefa.

Swoim charakterem przypominał postać gospodarza domu Stanisława Anioła z filmu „Alternatywy 4". Przy tym był niezwykle energiczny i przebojowy, idący po trupach do zwycięstwa i stosujący wszystkie chwyty, szczególnie te „poniżej pasa". Gorący zwolennik zasady „dziel i rządź" oraz metody „cel uświęca środki". Osobnik, który miał w sobie więcej z hochsztaplera niż z porządnego człowieka, a zasady moralne były mu zdecydowanie obce.

Dla ilustracji tej opinii przytoczę dwa zdarzenia. W katedrze na długo przed jego przybyciem utworzony został i stale funkcjonował, tak zwany fundusz koleżeński. Co miesiąc wpłacaliśmy do niego niewielkie sumy pieniędzy, przeznaczone na koleżeńskie upominki imieninowe lub wypadki losowe. Nowy szef, bez naszej zgody, uznał, że może go wykorzystywać na swoje cele reprezentacyjne i inne przedsięwzięcia. Po zwróceniu mu uwagi o niestosowności jego zachowania obraził się i był wściekły na wszystko i wszystkich, a nasze argumenty wcale do niego nie docierały. W związku z tym zlikwidowaliśmy ów fundusz.

Drugi przypadek dotyczył działalności pisarskiej. Do tej pory prawa autorskie w akademii i w katedrze były rzeczą świętą i nikt nie miałby odwagi na ich naruszenie, gdyż stanowiłoby to moralną dyskredytację. Nie pozwalał na to oficerski honor i etyka pracownika naukowego. Dotyczyło to nawet opracowywanych ćwiczeń. Jeśli więc ktoś tylko uaktualniał wcześniej opracowane ćwiczenie, wówczas autor ćwiczenia pozostawał dalej bez zmian, tylko dopisy-

wało się formułę: Ćwiczenie w 19.... roku uaktualnił (stopień wojskowy, imię i nazwisko).

W takiej sytuacji wspomniany szef poprosił mnie o przeczytanie i zredagowanie jego materiału, przeznaczonego do jakiegoś periodyku. Nie mogłem odmówić, gdyż uważałem to za koleżeński obowiązek. Zacząłem więc czytać i redagować ów materiał. W trakcie tych czynności uświadomiłem sobie, że materiał ten jest zbiorem różnych, oderwanych od siebie myśli i twierdzeń, z których nie da się zrobić spójnej całości. Taką też opinię przedstawiłem autorowi, oddając ten materiał pisarski. Dziwiłem się jednak, jak można coś takiego pokręconego i nietrzymającego się kupy napisać. Kładłem to jednak na karb jego dłuższego oderwania od działalności pisarskiej i wydawniczej oraz konieczności wciągnięcia się w tę robotę.

Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilku miesiącach wpadły mi w ręce podręczniki i materiały, w których pozaznaczane były cyframi odpowiednie ustępy w tekstach. Tknęło mnie podejrzenie, że ktoś bezczelnie „przecina" owe teksty, tak mi przecież znajome. Gdy opowiadałem o tym swoim kolegom, uśmiechnęli się tylko i powiedzieli, iż nie tylko bezprawnie korzystał z tekstów bez powoływania się na źródła, lecz także do ich przepisywania wykorzystywał studentów. Wówczas dopiero zrozumiałem, dlaczego ów dany mi tekst był taki, a nie inny.

Koniec lat osiemdziesiątych oraz przełom lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych był okresem rozpoczynającego się upadku zasad moralnych przy korzystaniu z tekstów i materiałów źródłowych. Nagminne stało się wykorzystywanie przez szefów i przełożonych materiałów podwładnych bez pytania ich o zgodę, a nawet nie wspominając o ich prawdziwym autorze. Wiązało się to z ogólną sytuacją polityczną i wkraczaniem szybkim tempem i bez zbytnich skrupułów w kapitalizm.

Także w drugiej połowie lat osiemdziesiątych nastąpiła znacząca reorganizacja naszej uczelni. W związku z dużo wcześniejszym utworzeniem czteroletnich wyższych szkół oficerskich, będących wyższymi szkołami pierwszego stopnia, zmieniono program i ilość lat studiów w akademii. Wprowadzono studia zintegrowane, a następnie skrócono podstawowe studia dzienne do dwóch lat. Akademia spełniała więc rolę uczelni wyższej drugiego stopnia, dającą inżynierom-dowódcom tytuł oficera dyplomowanego. Ponadto kształcącą także oficerów starszych i generałów na studiach podyplomowych.

Jednakże studia zintegrowane polegały na tym, że wszystkie grupy szkoleniowe i słuchacze kształcili się według prawie jednolitego programu. Nie było już grup specjalistycznych, w których bardzo dużo godzin przeznaczonych było na problemy fachowe, każdej specjalności. O ile więc ten program mógł być lepszy dla oficerów ogólnowojskowych, to był znacznie gorszy dla oficerów specjalistów. Oficerowie ci z taktyki i sztuki operacyjnej umieli tyle samo, co oficerowie ogólnowojskowi, za to ze swojej specjalności niewiele, nad czym ubolewaliśmy i co ciągle sygnalizowaliśmy komendzie akademii. Ocenialiśmy, że według

nowego programu każdy z absolwentów łącznościowców umiał na tyle, że z taktyki i dowodzenia potrafił tyle samo, co dowódca ogólnowojskowy. A więc potrafił go krytykować, gdyż miał ku temu wiedzę, ale niestety nie umiał zapewniać dobrej łączności w walce i operacji, bo takiej umiejętności nie wynosił.

To systematyczne i znaczące zmniejszanie ilości godzin przeznaczonych na kształcenie specjalistyczne zaowocowało ciągłym zmniejszaniem się stanu osobowego katedry. Kolejno z katedry odchodzili: Janusz Kopacz do Wydziału Wojsk Lądowych na sekretarza Rady Wydziału, Stasiu Jędruszczak i Edmund Sikorski do cywila, Andrzej Kukowski i Heniu Starobrat oraz Władek Korbela do instytucji centralnych MON.

W Akademii Obrony Narodowej

Ewolucja sytuacji politycznej w kraju w latach osiemdziesiątych, zakończona w 1989 roku „okrągłym stołem", miała także znaczący wpływ na siły zbrojne, w tym na naszą uczelnię. Była to także nowa sytuacja w szkolnictwie wojskowym, w którym funkcjonowały już czteroletnie Wyższe Szkoły Oficerskie, kształcące na poziomie studiów zawodowych – inżynierów dowódców. Stworzyły one nową jakość w stosunku do dawnych szkół oficerskich. Oprócz tego narastała tendencja odchudzania sił zbrojnych, a szczególnie szkolnictwa wojskowego.

Na mocy rozporządzenia Rady Ministrów RP z dnia 21 maja 1990 roku powołano do życia Akademię Obrony Narodowej. Powstała ona na bazie Akademii Sztabu Generalnego w Rembertowie oraz niektórych komórek organizacyjnych rozwiązanej Wojskowej Akademii Politycznej im. Feliksa Dzierżyńskiego. Z połączenia naszych samodzielnych katedr nauk społeczno-politycznych z owymi komórkami byłej WAP powstał Wydział Nauk Humanistycznych AON, przemianowany po dwóch latach na akademicki Instytut Nauk Humanistycznych. Pierwszym komendantem – rektorem uczelni został mianowany generał dywizji profesor doktor inżynier Tadeusz Jemioło. Z wykształcenia informatyk, wysoki pracownik Sztabu Generalnego oraz uprzedni poseł na sejm. Człowiek spokojny, kulturalny i taktowny, jednakże słaby specjalista z zakresu sztuki wojennej. W tej wiodącej więc dziedzinie w akademii rzadko się wypowiadał, mało zabierał głos i miał niewielki wpływ na kierunek jej rozwoju, nad czym należało ubolewać.

Akademia Obrony Narodowej powstała jako wielowydziałowa uczelnia dowódczo-sztabowa. W jej strukturze funkcjonowały i dalej funkcjonują również pozawydziałowe instytuty i zakłady, Centrum Informatyki, Studium Języków Obcych oraz Biblioteka Główna. Warunki socjalne uczelni zabezpieczane były przez służby logistyczne i administracyjne.

Podstawowymi jednostkami organizacyjnymi uczeni zostały wydziały prowadzące studia w następujących głównych kierunkach: taktyki i sztuki opera-

cyjnej wojsk lądowych, taktyki i sztuki operacyjnej wojsk lotniczych i obrony powietrznej oraz strategiczno-obronnym i polityki bezpieczeństwa narodowego. Ponadto wydziały organizowały i prowadziły studia podyplomowe oraz kursy specjalistyczne.

Studentami uczelni (na studiach dyplomowych) byli oficerowie mający ukończoną wyższą szkołę oficerską, pięcio-, siedmioletnią praktykę liniową oraz stopień wojskowy kapitana lub porucznika. Studia trwały dwa lata (cztery semestry) i były poprzedzane półrocznym kursem nauczania języków obcych, a dla studentów innych państw, dziesięciomiesięcznym kursem języka polskiego.

Kształcenie na Podyplomowym Studium Operacyjno-Strategicznym trwało rok (dwa semestry); na kursach zaś od czterech tygodni do sześciu miesięcy. Oprócz sztuki wojennej dużą uwagę w akademii przywiązywało się do studiowania prawa wojennego, zagadnień zbiorowego bezpieczeństwa, doskonalenia języków obcych i retoryki.

Kadry naukowe, głównie dla sił zbrojnych, kształciły się na czteroletnich studiach doktoranckich. Przewody doktorskie mogły być realizowane również w trybie indywidualnym. Akademia była podstawową instytucją prowadzącą badania z zakresu nauk wojskowych. Szeroko rozumiana działalność naukowa obejmowała badania podstawowe i stosowane oraz przygotowanie kadr naukowych. Rozwiązując interdyscyplinarne problemy naukowe uczelnia rozwijała teorię walki zbrojnej, wpływając tym samym na skuteczność systemu obronnego państwa i bezpieczeństwa narodowego. Kadra uczelni rozwijała bardzo dynamicznie kontakty z zagranicznymi uczelniami wojskowymi i placówkami naukowo-badawczymi. Wyrazem tego były studia wymienne, gościnne wykłady, wspólne konferencje, seminaria i sympozja naukowe oraz wymiana wydawnictw naukowych, dydaktycznych i programów kształcenia.

Poważne przeobrażenia przechodziła także katedra. Stale zmniejszał się jej skład osobowy. Od komendanta (dziekana) Wydziału Wojsk Lądowych pułkownika profesora doktora habilitowanego Stanisława Kozieja wyszła koncepcja integracji trzech katedr: Katedry Dowodzenia, Katedry Łączności i Katedry Rozpoznania i Armii Obcych. Jej realizację w stosunku do Katedry Dowodzenia i Katedry Łączności przyspieszyła postawa i opinia kierownika tej ostatniej – pułkownika doktora inżyniera Eugeniusza Piedziuka. Koncepcja połączenia obu katedr w Katedrę Dowodzenia i Łączności pozwalała pozbyć się jej kierownika. Dołączenie do nich Katedry Rozpoznania nastąpiło znacznie później, bo dopiero na początku XXI wieku.

W ramach nowej katedry powstał Zakład Systemów Łączności, w którym pozostało już tylko czterech oficerów. Wszyscy pułkownicy z tytułami doktorów, a więc Piotr Gryciuk, Jerzy Mazurkiewicz, Józef Michniak i Włodzimierz Poleski. Jego pierwszym kierownikiem mianowano mnie jako najbardziej doświadczonego, wieloletniego kierownika zakładu taktycznego w katedrze i najstarszego z nas wiekiem i stażem w akademii.

Wszyscy czterej byliśmy doświadczonymi nauczycielami akademickimi, ale tak mały skład utrudniał lub wręcz uniemożliwiał prowadzenie szerokich prac naukowo-badawczych. Prawie cały swój wysiłek kierowaliśmy więc na zabezpieczenie procesu dydaktycznego, tym bardziej, że stale zmieniały się programy kształcenia, a wraz z nim tematy, formy i metody prowadzenia zajęć dydaktycznych.

Kierownikiem nowo powstałej Katedry Dowodzenia i Łączności został dotychczasowy kierownik Katedry Dowodzenia pułkownik docent doktor habilitowany Sylwester Piotrowski. Jak już wcześniej wspominałem, wykładowca taktyki w Oficerskiej Szkole Łączności w Zegrzu w latach sześćdziesiątych. Człowiek z pozoru sympatyczny, ale też spory intrygant i złośliwiec, a do tego zmieniający często zdanie, typowy karierowicz.

Pierwsze starcie między nami nastąpiło z powodu programu kształcenia. Jako szef katedry, mając o łączności niewielkie pojęcie, chciał narzucić zakres tematyczny kształcenia łączności, a co gorsze znacznie zmniejszyć ilość godzin przeznaczonych na łączność i metodykę szkolenia z zakresu łączności. Odpowiadając za rezultaty kształcenia z łączności nie mogłem do tego dopuścić. Stwierdziłem więc kategorycznie, iż takie działania są bezprawne, gdyż wykraczają poza kompetencje kierownika katedry. Jeżeli więc nie cofnie swojej decyzji, sprawę przedstawię prorektorowi ds. kształcenia. I tak się stało. Na skutek mojej interwencji – co zresztą było moją powinnością służbową – decyzja kierownika katedry została przez komendanta wydziału cofnięta. Nie muszę mocno uzasadniać, że tą interwencją nadepnąłem pułkownikowi Piotrowskiemu na odcisk, o czym długo później pamiętał i od czasu do czasu rewanżował mi się wrednymi złośliwościami.

Po ponad rocznym kierowaniu zakładem zrezygnowałem z tej funkcji, gdyż moja współpraca z kierownikiem katedry nie układała się najlepiej, delikatnie zresztą określając. Następnym kierownikiem zakładu został Piotr Gryciuk, ale i on po roku zrezygnował ze stanowiska i odszedł do Inspekcji Sił Zbrojnych. Później, krótko, kierował nim jeszcze Włodek Poleski, z którym prawie równocześnie odeszliśmy do cywila. Pozostał zatem tylko Józek Michniak, który do pomocy dostał jednego oficera z Zegrza i dwóch naszych świeżo upieczonych absolwentów. Wszyscy zrezygnowaliśmy, gdyż warunki pracy w akademii i współpracy w ramach katedry były fatalne. Praca stała się bardzo nerwowa, chaotyczna i niekiedy bez sensu.

Głównym jednak impulsem mojego odejścia była odmowa udzielenia mi półrocznego urlopu naukowego, niezbędnego do zakończenia rozprawy habilitacyjnej. Gdy złożyłem odpowiednią prośbę, kierownik katedry zażyczył sobie, abym przedstawił zaawansowanie pracy. Tak też uczyniłem. Po jakimś czasie otrzymałem od komendanta Wydziału Wojsk Lądowych, notabene kolegi pułkownika Piotrowskiego, odpowiedź, iż ze względu na ogrom pracy w zakładzie i olbrzymie obciążenie zadaniami, wyraża zgodę na udzielenie takiegoż urlopu, ale dopiero w 1997 roku.

Odczytałem to jako typową w stosunku do mnie złośliwość. Zgodnie bowiem z pragmatyką kadrową tamtego czasu, oficer w stopniu pułkownika mógł służyć w armii tylko do 58 roku życia. Tak więc proponowanie mi urlopu w 1997 roku na dokończenie rozprawy musiałoby spowodować, iż kolokwium habilitacyjne mógłbym zdawać najwcześniej dopiero wiosną 1999 roku. A przecież byłbym już w cywilu.

Uznałem więc, że gra się ze mną nie fair i nie szanuje mojej pracy, ani mojej osoby. A że miałem duże nadciśnienie tętnicze oraz pobyt w szpitalu związany z niedotlenieniem mięśnia sercowego, a dokładnie jego odcinka T, czyli stan przedzawałowy, przekazałem więc komendantowi akademii pisemną prośbę, że ze względu na stan zdrowia proszę o skierowanie mnie na komisję lekarską w celu orzeczenia stanu zdrowia.

Po przeprowadzonych badaniach powyższa komisja uznała, iż stan mojego zdrowia uniemożliwia dalsze pełnienie zawodowej służby wojskowej. Przyznała mi także inwalidztwo wojskowe w związku ze służbą wojskową. W ten sposób 16 sierpnia 1996 roku, po 36 latach zawodowej służby wojskowej, odszedłem w stan spoczynku, czyli jak mówią wojskowi „pod kapelusz".

Ostatnie lata pracy w akademii pozwoliły mi na zajęcie się zaległymi i niedokończonymi tematami. A było ich sporo, gdyż funkcja kierownika zakładu była bardzo absorbująca i niewiele czasu pozostawało na własne zainteresowania naukowe. Dokończyłem więc pracę naukową nt. „Wojskowe systemy łączności. Teoria problemu." Był to raczej zarys teorii, lecz pierwszy tego typu, ogarniający i porządkujący całą problematykę oraz wyznaczający jej kształt i ramy. Rozwinięcie tej pracy stanowiła rozprawa habilitacyjna, nad którą pracowałem.

Pod koniec 1994 roku ujrzało światło dzienne, ale już w formie obszernego podręcznika akademickiego, drugie moje dzieło pt. „Projektowanie i ocena wojskowych systemów łączności". Sądzę, że cechowało je nowatorskie podejście, które umożliwiało projektowanie i ocenę wojskowych systemów łączności, ponieważ określało metodologię oraz zapewniało projektowanie i ocenę jego zasadniczych cech systemowych według przedstawionego w pracy obszernego warsztatu matematycznego.

Rok 1995 był rokiem zakończenia mojej ponad pięcioletniej pracy nad „Leksykonem Łączności Wojskowej", wydawnictwem akademickim, zawierającym ponad 1200 haseł z dziedziny łączności wojskowej. Hasła te zostały zdefiniowane i opatrzone objaśnieniami etymologicznymi lub odpowiednikami w języku angielskim. Leksykon zaś był zbiorem pojęć z dziedziny łączności. Powstał w wyniku obserwowanych wśród łącznościowców oraz studentów i uczących się problematyki łączności wojskowej, zwiększających się coraz bardziej trudności ze zrozumieniem występujących w łączności wojskowej pojęć i poprawnym ich stosowaniu. Jestem przekonany, że było to pierwsze takie opracowanie w wojskowej literaturze europejskiej, a nawet światowej.

Wydanie to zostało wznowione w akademii w 1996 roku. W tym roku ukazał się także podręcznik akademicki pt. „System dowodzenia i łączności związ-

ku taktycznego". Wspólne dzieło pułkownika Kulmy i moje. Typowy ponad dwustustronicowy podręcznik akademicki dla studentów drugiego roku studiów. Tak jak i leksykon szeroko zresztą wykorzystywany nawet wówczas, kiedy mnie już dawno w akademii nie było.

Ilustracja 33 przedstawia autora w holu Wydziału Wojsk Lądowych Akademii Obrony Narodowej. Po lewej stronie popiersie Tadeusza Kościuszki, a po prawej emblematy rodzajów wojsk lądowych. Od góry: wojsk zmechanizowanych, wojsk pancernych, wojsk łączności, wojsk rakietowych i artylerii, wojsk inżynieryjnych, wojsk przeciwchemicznych i tyłów (logistyki). Na ilustracji 34 autor prowadzi zajęcia przy wykorzystaniu stołu plastycznego, obrazującego rozwinięty w terenie węzeł łączności stanowiska dowodzenia armii. Kolejna 35 ilustracja przedstawia czterech oficerów, którzy tworzyli Zakład Systemów Łączności w ramach Katedry Dowodzenia i Łączności. Od lewej pułkownik Piotr Gryciuk, autor, pułkownik Józef Michniak i pułkownik Włodzimierz Polewski. Ilustracja przedstawia uroczystość pożegnania odchodzących do cywila nauczycieli akademickich przez komendę akademii w dniu zakończenia zawodowej służby wojskowej.

34. W trakcie zajęć przy stole plastycznym, obrazującym rozwinięty w terenie węzeł łączności stanowiska dowodzenia armii. 1990 r.

33. W holu Wydziału Wojsk Lądowych. Z lewej popiersie Tadeusza Kościuszki, z prawej emblematy rodzajów wojsk lądowych. Od góry wojsk: zmechanizowanych, pancernych, łączności, rakietowych i artylerii, inżynieryjnych, przeciwchemicznych i tyłów. 1990 r.

35. Oficerowie nowo utworzonego Zakładu Systemów Łączności. Pułkownicy, od lewej: Piotr Gryciuk, autor, Józef Michniak i Włodzimierz Poleski. 1992 r.

36. Uroczyste pożegnanie odchodzących do cywila nauczycieli akademickich przez komendę akademii w sali tradycji. W środku autor, z prawej komendant-rektor akademii. 1996 r.

Rozdział jedenasty

Stan wojenny

Przed stanem wojennym

Stan wojenny nie był czymś samoistnym samym w sobie oraz oderwanym od realiów i przyczyn historycznych. Był jednocześnie zjawiskiem tak złożonym, że ciągle trwa spór polityków i historyków, nie tylko o szczegóły, ale także o pryncypia. Toteż nie zamierzam pisać o generaliach, lecz o tym czego doświadczyłem osobiście i jak te zjawiska wówczas oceniałem.

Pierwszą oznaką nadciągającego kryzysu była podjęta w czerwcu 1976 roku przez rząd premiera Piotra Jaroszewicza decyzja o podwyżce cen mięsa. Pamiętam jak dziś wystąpienie premiera. Słuchaliśmy go w swoich pokojach w bloku czternastym w Rembertowie. Po wystąpieniu, które było dla mnie szokiem, powiedziałem, że dobrze to się nie skończy i chyba będzie to musiał odwoływać. Po kilku dniach tak się stało.

Była to pierwsza poważna rysa na wizerunku harmonijnego i przyspieszonego rozwoju kraju. Oznaka załamywania się gierkowskiej koncepcji budowy potęgi gospodarczej, braku zaufania do rządu i jego decyzji oraz nie wyrażania przez społeczeństwo zgody na obniżanie poziomu życia.

W 1976 roku miały miejsce wydarzenia radomskie, później rozwój struktur opozycyjnych oraz znane i sławne wypadki w Szczecinie i w Gdańsku, początkujące powstanie NSZZ (Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego) „Solidarność".

Muszę powiedzieć, że powstanie Solidarności przyjęte zostało w wojskowym środowisku akademickim z dużą nadzieją, by nie powiedzieć z radością. Mieliśmy bowiem świadomość, że oto idzie nowe, które przyniesie nowy powiew demokracji i doprowadzi do pozytywnych zmian w funkcjonowaniu państwa i kraju.

Jednakże z biegiem czasu, okazywało się, że ów powiew stawał się coraz bardziej niszczący, stawiane warunki nierzeczywiste i niemożliwe do spełnienia oraz rozwalające nie tylko gospodarkę, ale i całe państwo. Także jej przywódca

Lech Wałęsa pokazywał swoje oblicze warchoła, pieniacza, lenia i głupca. Wszystkie te klasyczne cechy, które w naszej historii doprowadziły do upadku potęgi państwa polskiego, jego rozbiorów i wielowiekowej niewoli oraz zależności od europejskich potęg.

Ja i moje otoczenie było świadome, że sytuacja idzie w bardzo złym kierunku. Był to przecież okres Breżniewa, a więc twardej polityki imperialnej i mocnego trzymania za uzdę wszystkich krajów demokracji ludowej. Krajów, które w wyniku drugiej wojny światowej oraz przyzwolenia, szczególnie Anglii i USA, dostały się pod wpływy wyzwoliciela, czyli Związku Radzieckiego.

Było dla mnie oczywiste, że mimo tego, iż nasz „wielki brat" był już zaangażowany w Afganistanie, to nie mógł pozwolić, aby Polska „wyszła z bloku". I to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze – obszar od Karpat do Bałtyku był zawsze i jest obszarem strategicznym w skali Europy. Jedynymi wrotami do Europy Wschodniej lub Zachodniej, którymi można przepchnąć dużą ilość wojsk, zdolną do opanowania całej Wschodniej lub Zachodniej Europy. Po drugie – na terenie NRD stacjonowało wówczas dwadzieścia pięć radzieckich dywizji pancernych i zmechanizowanych. Olbrzymia siła militarna, nieporównywalna z siłami około jednego korpusu zaangażowanego wówczas w Afganistanie. Zmiana w owym czasie orientacji politycznej w Polsce sprawiłaby, iż te olbrzymie siły radzieckie w NRD zostałyby odcięte od macierzystego zaplecza i możliwości wsparcia w razie konfliktu zbrojnego. Z punktu polityczno-militarnego tylko głupiec lub chory na umyśle mógł się na to zgodzić.

Od początku 1980 roku sytuacja w kraju zaostrzała się w postępie geometrycznym. W związku z tym patrzyłem z coraz większym przerażeniem na to, co się dzieje. Moja początkowa radość i zadowolenie z powstania Solidarności przeradzało się stopniowo we frustrację i przygnębienie.

Tym bardziej, że i druga strona, czyli rządowa, miotała się przeraźliwie, była w wielu przypadkach nieszczera i popełniała sporo niepotrzebnych, by nie powiedzieć idiotycznych błędów. Z jednej strony zalecano, aby członkowie partii (PZPR) masowo wstępowali do Solidarności. Nie dotyczyło to jednak wojskowej kadry zawodowej. Zaś z drugiej, gdy w akademii odbywała się uczelniana konferencja partyjna z udziałem ówczesnego I sekretarza KC PZPR, generała Wojciecha Jaruzelskiego, wszystkie ciekawe, nowatorskie i mądre wystąpienia w dyskusji zostały skrytykowane, a ich autorzy mieli później wiele nieprzyjemności. Ton tej konferencji nadawały wystąpienia „po linii i na bazie", nic lub prawie nic niewnoszące w odnowę partii. Ot, takie „betonowe" dyrdymały.

Wiosna była groźna, lato jeszcze bardziej, a na jesieni zagrożenie jeszcze się wzmogło. Odczuwaliśmy je na własnej skórze. A i obserwowane zjawiska oraz wnioski przerażały i porażały. Tylko w samym Rembertowie, na terenie radzieckiej brygady łączności przy ulicy Marsa, stały gęsto upchane czołgi, transportery i wyrzutnie rakietowe. Czołg przy czołu, wóz przy wozie. Podobnie było po sąsiedzku, w lasach na Marysinie. W całym kompleksie leśnym między

Rembertowem a Okuniewem rozlokowane były radzieckie jednostki pancerne i zmechanizowane.

Piszę to, co widziałem na własne oczy. Budziło to grozę, tym bardziej, że byłem przekonany, iż Rosjanie nie zawahają się użyć tych sił. Od naszych pilotów – nauczycieli akademickich – wiedzieliśmy, że wszystkie te środki przerzucono mostem powietrznym, przy pomocy olbrzymich transportowców lądujących co piętnaście minut przez trzy dni na lotnisku wojskowym w Mińsku Mazowieckim.

W 1981 roku trwały bezustannie ćwiczenia wojskowe na terenie całej Polski. W lasach Beniaminowa nad Zalewem Zegrzyńskim rozlokowane zostało i stale pracowało polowe stanowisko kierowania państwem i siłami zbrojnymi. W pierwszych miesiącach tego roku zagrożenie zewnętrzne stale wzrastało. Wydawało się, że w każdej chwili zostaną użyte, przebywające w naszym kraju wojska radzieckie oraz pod pozorem ćwiczeń wkroczą do naszego kraju wojska radzieckie, niemieckie i czechosłowackie.

Następnie zagrożenie interwencją zbrojną jakby powoli malało. Rosło jednak zagrożenie wewnętrzne powodowane strajkami, drastycznym zmniejszaniem się produkcji we wszystkich dziedzinach, pustkami w sklepach, anarchizowaniem życia publicznego i eskalacją form, i metod działania Solidarności. Społeczeństwo było nie tylko coraz bardziej zmęczone tą wojną nerwów na górze, ale także przerażone sytuacją i mogącą nastąpić katastrofą.

Osobiście uważałem, że użycie wojsk sojuszniczych do opanowania sytuacji politycznej w Polsce przyniesie absolutnie inne rezultaty niż w Czechosłowacji w 1968 roku. Miałem świadomość, że Polacy to nie Czesi i Słowacy, pokorni i przedkładający dobra materialne nad podstawowe pryncypia narodowe. U nas taka interwencja groziła nie tylko powstaniem narodowym, ale także bratobójczą wojną. Jak uczy historia, i to nie tak odległa, byłaby także prawdopodobnym zarzewiem kolejnej wojny światowej i może ostatniej dla gatunku ludzkiego.

Dla czytającego wspomnienia, może to stwierdzenie wydać się na wyrost lub nadinterpretacją faktów. Jednakże ówczesna sytuacja militarna w świecie była taka, że Związek Radziecki – jako super potęga militarna i nuklearna był w zasadzie gospodarczym karłem. Amerykanie wiedzieli o tym doskonale, a ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych Ronald Reegan, chyba świadomie i z lubością zakładał im gospodarczą pętlę na szyję. Rosjanie, czytaj przywódcy partyjni Kremla ze starym i sklerotycznym Breżniewem na czele, czuli się jak skazańcy, którym zakładają pętlę wisielczego powrozu. Miałem wówczas tego świadomość i potwornie bałem się, że Rosjanie będąc w tak rozpaczliwej sytuacji, jak wisielec, mogą w ostatniej chwili kopnąć wieszającego, uruchamiając wszystkie swoje arsenały jądrowe. W myśl zasady – po nas choćby potop – lub nowszej jej odmiany – po nas choćby nuklearna zagłada świata.

Dowódca grupy operacyjno-kontrolnej

W katastrofalnej już sytuacji – nie tylko politycznej, ale i społeczno-gospodarczej, powołano do życia wojskowe grupy operacyjno-kontrolne. Wojsko miało zawsze autorytet i wysokie notowania w społeczeństwie. Na samym początku do tego pomysłu byłem ustosunkowany dość sceptycznie. Miałem bowiem świadomość, że przecież w wojsku nie ma specjalistów od spraw gospodarczych, administracyjnych, rolnictwa, przemysłu i wielu innych dziedzin gospodarki. Wydawało mi się, że może to przerastać siły i możliwości oficerów, jednocześnie szkodząc armii, jako jedynemu w owym czasie autorytetowi w społeczeństwie.

Dziś muszę powiedzieć, iż cieszę się, że moje prognozy i opinie w tej kwestii nie sprawdziły się. Oficerowie doskonale radzili sobie w tej złożonej i niełatwej sytuacji. Pomagali ludziom we wszystkich sprawach i bolączkach. Naprawiali błędy i administracyjno-biurokratyczne zaniedbania, upraszczali procedury, naprawiali krzywdy i to niezależnie od tego, kto jaką opcję polityczną prezentował. Oficerowie starali się być apolityczni, a ich autorytet w społeczeństwie uległ jeszcze wzmocnieniu. Jak się później okazało, stworzyło to pewien dobry grunt i zapewniło chyba „miękkie" przejście stanu wojennego.

Decyzja o grupach operacyjno-kontrolnych dosięgła także i mnie. Po jednodniowym przeszkoleniu większość kadry kierowniczej wydziałów i katedr akademii powołano do grup operacyjno-kontrolnych. Z naszej katedry oddelegowanych było początkowo pięciu oficerów. Obaj kierownicy zakładów, jeden kierownik zespołu oraz dwóch doświadczonych wykładowców.

Mnie dostała się chyba najgorsza działka, o jakiej mogłem myśleć. Wręczono mi skierowanie na dowódcę grupy operacyjno-kontrolnej w Kombinacie Metalurgicznym Huta im. Lenina w Krakowie, a raczej w Nowej Hucie. Miało to miejsce we wrześniu 1981 roku.

Pojechałem więc w nieznane. Nie wiedząc jaki będzie skład grupy i nie znając się na hutnictwie i funkcjonowaniu tak wielkiego zakładu. Pocieszeniem było to, że znalazłem się w swoich rodzinnych stronach i że miałem chociaż niewielkie doświadczenie dotyczące funkcjonowania zakładu, gdyż pracowałem krótko w Skawińskich Zakładach Materiałów Ogniotrwałych, produkujących dla hutnictwa i należących do zjednoczenia przemysłu hutniczego.

W Wojewódzkim Sztabie Wojskowym w Krakowie przydzielono mi trzech miejscowych oficerów. Wszystkich w stopniu majorów. Jeden z nich był pracownikiem Wojskowej Komendy Uzupełnień (WKU) Nowa Huta, a dwóch Wojskowego Rejonowego Zakładu Kwaterunkowo-Budowlanego (WRZKB) w Krakowie. Pierwszy z nich major Wojda był bardziej przydatny, gdyż będąc z Nowej Huty miał większą wiedzę o kombinacie i jego załodze.

Po odprawie w krakowskim Wojewódzkim Sztabie Wojskowym i otrzymaniu stosownych upoważnień udaliśmy się do kombinatu, a tam do dyrektora

naczelnego, doktora inżyniera Eugeniusza Pustówki. Przyjął nas raczej bez większego entuzjazmu, traktując pewnie jako zło konieczne. W tym czasie kombinat zatrudniający ponad trzydzieści trzy tysiące pracowników pracował w miarę dobrze i rytmicznie, mimo częstych strajków. Specyfiką huty było przecież to, że sporo jej zakładów pracowało w ruchu ciągłym. Zaś wygaszenie wielkich pieców było równoznaczne z ich zniszczeniem i koniecznością budowy ich od nowa. Jednymi z najbardziej newralgicznych zakładów były: siłownia i tlenownia. Ilość tlenu w zbiornikach była taka, że w przypadku wybuchu zmiotłoby z powierzchni ziemi całą Nową Hutę i pół Krakowa.

Mimo że dla Solidarności kombinat był jednym z kluczowych zakładów i systematycznie przyjeżdżali tu prominentni jego działacze, a kierunkowym z ramienia Komisji Krajowej NSZZ Solidarność był nie kto inny, jak sam Adam Michnik, to dyrektor naczelny nieźle, jak na te warunki, radził sobie ze związkowcami.

Z nagraniami magnetofonowymi ze spotkań Michnika z hutnikami zetknąłem się po wprowadzeniu stanu wojennego. Było ich sporo i wskazywały na częstą bytność redaktora w kombinacie. Pozwoliłem sobie je przesłuchać. Były niezwykle ciekawe, mądre i dowcipne. Zaś jego lekkie jąkanie powodowało, że odbierało się go niezwykle przyjaźnie. Szkoda, że nie zachowałem tych taśm, ponieważ byłyby ciekawym dokumentem historycznym.

Po zapoznaniu nas z kadrą kierowniczą kombinatu, to jest dyrektorami ds. ekonomicznych, produkcyjnych, technicznych oraz pracowniczych, zajęliśmy duże pomieszczenie w Dziale Wojskowym, które służyło nam, aż do stanu wojennego. Było to dobre rozwiązanie, ponieważ jego pracownicy, a szczególnie kierownik, pomagali nam szybko poznać kombinat, jego podstawowe problemy, bolączki, słabe i mocne strony. Mieliśmy także bezpośredni wgląd do dokumentów produkcyjnych, szczególnie dotyczących produkcji wojskowej. Za nią byliśmy w pierwszym rzędzie odpowiedzialni.

Oprócz tego zapoznaliśmy się w szczegółach z całym kombinatem. Byliśmy we wszystkich zakładach, w tym także w Bochni. Poznaliśmy kierowników zakładów, ich zastępców, a także niższą kadrę kierowniczą. Było to jak znalazł w późniejszych ciężkich czasach w kombinacie. Procentowało w osobistych kontaktach, wyrabiało wzajemny szacunek i zaufanie oraz pomagało we wspólnym rozwiązywaniu wielu trudnych spraw.

W owym czasie obowiązki sekretarza komitetu partyjnego kombinatu pełnił towarzysz Miniór, który jednocześnie był członkiem Komitetu Centralnego PZPR. Miał więc pewien autorytet poparty członkostwem w KC. Stosunkowo młody, między trzydziestką a czterdziestką, wygadany i elokwentny działacz partyjny. Jednakże słaby organizator i bojaźliwy człowiek.

Pewnego razu zaproszono mnie na posiedzenie komitetu partyjnego kombinatu. Byłem ciekaw jak wyglądają obrady takowego, cywilnego gremium. Mimo przyjętego wcześniej porządku posiedzenia, polegało ono na ględzeniu o wszystkim i o niczym, miałem świadomość, że bardziej chyba chodzi o wy-

gadanie się, odreagowanie na atmosferę w kombinacie i zaszczuwanie ich przez członków Solidarności. Zrozumiałem wówczas, że partia w kombinacie to tylko szyld bez pokrycia. Bo jeżeli działacze są w takiej kondycji, to co powiedzieć o jej szeregowych członkach.

Pod koniec tego posiedzenia nie wytrzymałem i pozwoliłem sobie, chociaż nie miałem do tego prawa, na wygłoszenie swoich uwag. Powiedziałem, że poziom tego posiedzenia jest więcej niż mierny. Na ponad dwudziestu mówców, tylko dwóch mówiło na temat. Nie było też żadnych wniosków i zadań do realizacji. Jest więc źle lub bardzo źle, a środków zaradczych nie podjęto żadnych. A na zakończenie, że gdyby taka sytuacja miała miejsce w wojsku, to już dawno by się rozpadło. Ponadto dodałem aby wzięli się do roboty i nie czekali tylko na wojsko, które za nich załatwi wszystkie sprawy. Tu muszę wyjaśnić, że bardzo dużo członków partii, szczególnie tych prominentnych, oczekiwało od dawna siłowego rozstrzygnięcia ówczesnego kryzysu.

Wiedziałem, że tymi słowami ryzykuję dużo. Po posiedzeniu powiedziałem jednak Miniórowi, że nie zgłoszę tej oceny moim przełożonym. Jeśli zaś dojdzie innymi drogami, to w dwójnasób naprawię swój błąd. I rzeczywiście była cisza, ale także cisza przed zbliżającą się burzą.

Poznałem także wielu działaczy Komisji Robotniczej Hutników NSZZ „Solidarność" w kombinacie, a szczególnie jej przewodniczącego Mieczysława Gila i przewodniczącego Samorządu Robotniczego Edwarda Nowaka. Rozmawiałem z nimi wielokrotnie. We dwójkę oprowadzali mnie po kombinacie, pokazując przede wszystkim jego słabe strony. Przestarzałe części zakładów, nie zmodernizowane ciągi technologiczne, a także przykłady bałaganu i marnotrawstwa. Z wieloma ich ocenami zgadzałem się, z wieloma nie. Z krytyką techniczną i organizacyjną mocno przesadzali. Kombinat, mimo że powstał w latach pięćdziesiątych na licencji radzieckiej, ta zaś na technologii amerykańskiej lat trzydziestych, w znacznej większości był zmodernizowany. Wiele zakładów było zbudowanych przez Japończyków lub na ich licencjach i pracowało na najnowszych technologiach. Rozumiałem jednak, że z racji swoich funkcji musieli krytykować istniejący stan kombinatu.

To, że nie zawsze mają rację i na rzeczywistość powinni patrzeć realnie, a nie politycznie, udowadniałem im na wielu przykładach, w tym na przykładzie Zakładu Materiałów Ogniotrwałych, który oni uważali za przestarzały, a ja jako spełniający wymagania nowoczesności. Było to bowiem zakład pracujący metodą tunelową, ciągłą. Jak już wspominałem wcześniej, pod koniec lat pięćdziesiątych pracowałem w podobnym zakładzie w Skawinie. Tam piece były komorowe. Ładowało się do nich materiał do wypalania, kiedy były jeszcze gorące i wybierało się go po wypaleniu w bardzo wysokiej temperaturze. Prawdziwe piekło dla pracujących tam ludzi. W piecach tunelowych, towar po załadowaniu go na wózki szynowe, automatycznie wjeżdżał do pieca i sam wyjeżdżał z pieca już wypalony. Był to proces zautomatyzowany i przyjazny obsługującym go ludziom. Mimo istniejących między nami różnic, odbierałem pa-

nów Gila i Nowaka jako ludzi mądrych, rozsądnych, którym dobro kombinatu i pracujących tam ludzi leżało na sercu.

Mieczysław Gil był typowym przykładem młodego krakowskiego inteligenta, mądrego i przyjaznego ludziom, lecz bardziej teoretyka niż praktyka. Z głową raczej w obłokach oraz głęboko i szczerze wierzącego w ideę i ludzi. Znacznie później uczestnik „okrągłego stołu", organizator struktur wspierających kandydaturę Wałęsy na prezydenta. Chyba przez swoją dobroć i idealizm większej kariery politycznej jednak nie zrobił. Zdecydowanie inną osobowością był Edward Nowak. Intelektualnie stojący niżej, lecz wyjątkowo zaradny życiowo organizator. Późniejszy krakowski biznesmen, a następnie wiceminister przemysłu lub gospodarki w solidarnościowych rządach.

Jako grupa operacyjno-kontrolna wypełnialiśmy swoje obowiązki, jak umieliśmy najlepiej. Mieliśmy pełny wgląd w funkcjonowanie kombinatu. Pomagaliśmy jego kierownictwu w realizowaniu zadań oraz wielu ludziom skrzywdzonym przez życie i los. I co ważne, nie robiliśmy absolutnie żadnej różnicy politycznej. Nie miało dla nas znaczenia, czy ktoś należał do PZPR lub Solidarności. Liczył się tylko człowiek i jego problemy.

Zorganizowałem także dwa znaczące spotkania. Pierwsze, gdzieś w połowie listopada, z przedstawicielami władz Komisji Robotniczej Hutników kombinatu. Odbyło się ono w jednej z dużych sal budynku dyrekcji. Naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stołu, zasiedli przywódcy związku. Pierwsze słowa jakie padły po przywitaniu ze strony Gila brzmiały tak:

– Jak to jest możliwe, że uczestniczy pan w tym spotkaniu sam? Czy, aż takie ma pan zaufanie we władzach wojskowych, że nie musi pan mieć osoby towarzyszącej, odpowiedzialnej i donoszącej, gdzie trzeba.

Moja odpowiedź była mniej więcej taka:

– Jestem oficerem i człowiekiem honoru. Mnie nie potrzeba pilnować, ani kontrolować, a to co robię ma akceptację moich zwierzchników.

Późniejsza dyskusja dotyczyła wielu tematów. Były argumenty i kontrargumenty. Rozmawialiśmy o polityce, sytuacji w kraju, gospodarce i funkcjonowaniu kombinatu. Wiele by o tym pisać. W wielu punktach byliśmy zgodni. Jak na przykład roli samorządu zakładowego, jako instytucji zbliżonej do sejmiku samorządowego i jego przeważającej roli w stosunku do związków zawodowych. Zgadzaliśmy się wówczas, a ja także znacznie później, że załoga kombinatu musi się najpierw poczuć, chociażby w części, gospodarzem kombinatu, nauczyć się nim współzarządzać, aby mogła go lepiej szanować i swoje interesy z nim utożsamiać.

Były to moje argumenty na alienację załogi i olbrzymią presję roszczeniową, bez zastanawiania się skąd na to brać. Tłumaczyłem także, że kombinat zjadają koszty nieprodukcyjne, takie jak: utrzymanie klubu sportowego „Hutnik" z całym jego zapleczem rekreacyjnym, żywienie pracowników kombinatu przez dotowane stołówek zakładowych, rozbudowany system świadczeń socjalnych, a także kombinatowych obiektów wczasowych, wypoczynkowych,

rekreacyjnych, a ponadto utrzymywanie związków zawodowych, partii politycznych, innych organizacji itd.

Owo spotkanie pozwoliło się nam poznać, oswoić ze sobą i nabrać podstawowego względem siebie zaufania. Sądzę, że przekonaliśmy się, iż współpraca między nami jest możliwa i „nie taki diabeł straszny, jak go malują". Myślę także, że był to jeden z ważnych elementów, który wpłynął później na łagodny przebieg stanu wojennego w kombinacie.

Drugie spotkanie odbyło się na początku grudnia. Było to już w okresie spotęgowania politycznej działalności Solidarności. Po ogłoszeniu przez Solidarność listu do narodów Europy Wschodniej, wzywającego do pójścia w jej ślady. Wówczas miałem świadomość, że Solidarność opanował polityczny amok. I nie wiedziałem, ile jest w tym głupoty politycznej, zmierzającej do samounicestwienia się, a ile celowej działalności opłacanej przez zachód, skierowanej przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Wówczas domyślałem się, że o ile na to co się dzieje w Polsce, „wielki brat" może częściowo przymykać oczy, to nie dopuści do tego, aby ta idea mogła mu zagrozić. Przecież wiedziałem, jaki może być stosunek radzieckich postrewolucjonistów bolszewickich do jakichkolwiek form kontrrewolucji. Muszę uczciwie przyznać, że byłem tą sytuacją absolutnie dobity.

I to był jeden czynnik. Drugi, to rozwijająca się determinacja Solidarności w walce politycznej, chociaż nie była partią polityczną. Radomskie spotkanie jej władz nie dawało nadziei. Zaś grożenie przez Wałęsę władzom i straszenie „targaniem po szczękach" nie pozostawiało żadnych złudzeń.

W takiej sytuacji zorganizowałem spotkanie z pracownikami kombinatu i ich rodzinami. Odbyło się w zakładowym Domu Kultury. Uczestniczyło w nim chyba kilkaset osób. Byli to pracownicy kombinatu, chociaż nie tylko. W tej liczbie bardzo dużo kobiet. Pracownic, ale także żon i matek pracowników.

Dla mnie była to sytuacja, w której domyślałem się, że może dojść do stanu wojennego. Jednocześnie miałem nadzieję, że stanie się jakiś cud, np. Solidarność opamięta się, a i władze zrobią jakiś znaczący krok. Świadomość czyhającego, czy ciążącego w najbliższym czasie nieszczęścia była inspiracją tego spotkania. Zadanie, które sobie postawiłem było dość proste. Uświadomić ludziom groźbę i powagę sytuacji oraz prosić o ich mądrość, roztropność, nieuleganie emocjom i przekonać, że w skrajnym przypadku może to zakończyć się wojną domową, najstraszniejszą z wojen. A więc przekazywałem własne, osobiste przemyślenia i wnioski, odpowiadałem na pytania, przekonywałem do rozwagi, niezależnie od wyznawanych poglądów politycznych. Na pytania, kiedy wreszcie zostanie użyte wojsko, odpowiadałem wielokrotnie, że na pewno jest to ostateczność. I najlepiej byłoby, aby Polacy mogli dogadać się bez stosowania przemocy. Sami bez swoich sprzymierzeńców, gdyż efekty ich wejścia na Węgrzech i w Czechosłowacji są znane.

Komisarz - Pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju

W sobotę 12 grudnia przyjechałem do domu, co czyniłem raz na tydzień lub raz na dwa tygodnie. Z Krakowa wyjechałem późnym popołudniem, byłem więc w Warszawie wieczorem. W tym dniu odbywały się imieniny Alka Łojko, mieszkającego w Rembertowie, więc Dana była u nich w gościnie. Po jej powrocie trochę pogadaliśmy i o godzinie dwudziestej trzeciej poszliśmy spać.

Pierwsza doba stanu wojennego. W nocy rozległo się walenie do drzwi. Za drzwiami stał żołnierz, goniec z akademii, w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmie i z bronią. Zameldował, że ogłoszono stan wojenny oraz poprosił o potwierdzenie na piśmie otrzymanej wiadomości.

Po krótkim spotkaniu w akademii, na którym polecono nam zabrać pełne wojenne wyposażenie i zgłosić się w Wojewódzkich Sztabach Wojskowych, na obszarze których działaliśmy, udałem się wraz z kolegami, pociągiem do Krakowa. Tam zapoznano nas z Komisarzem – Pełnomocnikiem Komitetu Obrony Kraju na obszar województwa krakowskiego, generałem brygady Sulimą, zresztą byłym dowódcą brygady rakiet w Choszcznie, w której także służyłem przez wiele lat. Od tego momentu generał był naszym zwierzchnikiem i jemu bezpośrednio podlegaliśmy. Wręczono nam także odpowiednie dokumenty komisarzy – pełnomocników Komitetu Obrony Kraju.

Niestety nasze pytania, o dekret o stanie wojennym, zakresy naszych uprawnień i obowiązków, pozostały bez odpowiedzi. Działo się to z tej prostej przyczyny, że owego dokumentu w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym (WSzW) jeszcze nie było. I nie tylko w WSzW Kraków. Jak pokazuje historia, nawet prymas Polski Józef Glemp, o czym mówił w 2001 roku, otrzymał go dopiero w godzinach południowych 13 grudnia. I co ciekawe, był to dokument w jakimś sensie szablonowy, coś w postaci niepełnej matrycy, bez konkretów, dat, z wykropkowanymi dla tych celów miejscami. Z tego należy sądzić, że stan wojenny był tak utajniony, iż na dzień 13 grudnia nie było opracowanej odpowiedniej dokumentacji szczegółowej. Nawet nie dokonano odpowiednich uaktualnień tego opracowanego dużo wcześniej szablonu.

Pod koniec tej odprawy wiedziałem więc, że nic lub prawie nic nie wiem. Mam odpowiadać za cały kombinat i za wszystko co się w nim dzieje, a nie znam podstawowego dokumentu, który określa ramy prawne działania oraz zakresy moich zadań i uprawnień. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie wiedziałem też jaka jest aktualna sytuacja nie tylko w kombinacie, ale i w całym mieście.

Zapytałem więc wprost o sytuację w Krakowie i w kombinacie. Na to przedstawiciel WSzW odpowiedział, że nie mają rozeznania w sytuacji jaka panuje w mieście, a co dopiero w kombinacie. Na takie dictum moja odpowiedź była natychmiastowa:

– Skoro mam wykonać zadanie w kombinacie, proszę więc zabezpieczyć moje dotarcie do kombinatu.

Po pewnym czasie potwierdzono, że otrzymam dziesięcioosobową drużynę spadochroniarzy, która będzie mi towarzyszyła w drodze do kombinatu oraz zapewni moje bezpieczeństwo w jego obrębie. Było to wsparcie niewielkie, prawie symbolicznie. Należało więc popróbować. A że wszystko to działo się późnym popołudniem, prawie wieczorem, więc moje działanie mogło nastąpić dopiero poniedziałkowym rankiem 14 grudnia.

Drugi dzień stanu wojennego. W poniedziałek około godziny dziewiątej, w towarzystwie spadochroniarzy, bez większych przeszkód podjechałem pod kombinat. Zajechałem na duży plac, który z dwóch bocznych stron otaczały budynki dyrekcji, przypominające wyglądem i stylem weneckie pałace Dożów. Zaś front owego placu stanowiły, stale zamknięte, olbrzymie żeliwne bramy. Po obu ich stronach usytuowane były małe budynki mieszczące biura przepustek i dalej, wysoki żelazny płot dochodzący do owych budynków. Mimo że do obu budynków dyrekcji wchodziło się z placu głównego przed kombinatem, to wówczas owe wejścia były zamknięte i przejście odbywało się tylko przez biura przepustek.

Spadochroniarzy rozstawiłem w strategicznych punktach placu i w stroju służbowym z bronią udałem się do biura przepustek, aby dostać się do dyrekcji kombinatu. Niestety, oba biura opanowane były przez Solidarność. Tam zatrzymali mnie wartownicy z biało czerwonymi opaskami na rękawach i z napisem Solidarność. Wyjaśniłem im, że jest stan wojenny, kombinat zostaje zmilitaryzowany i podlega wszystkim prawom wojennym. W związku z tym jestem jedyną osobą upoważnioną przez władze wojskowe do kierowania działaniem kombinatu w stanie wojennym. Utrudnianie mi pracy podlega więc stosownym karom. Mimo tych ostrzeżeń, nie wpuszczono mnie na teren kombinatu. W związku z tym zażądałem powiadomienia o tym ich władz.

Tak też się stało. Jednakże dopiero po dwóch godzinach zjawili się w biurze przepustek przedstawiciele Solidarności. Nie było już wśród nich znanych mi działaczy. Dopiero później dowiedziałem się, że w dniu 13 grudnia przybyli do huty i przebywają na Zgniataczu, gdzie ukonstytuował się komitet strajkowy kombinatu. Tam też Komisja Robotnicza Hutników przejęła funkcję centrum decyzyjnego dla całego regionu „Małopolska".

Nowi działacze przedstawili się jako komitet strajkowy. Oświadczyłem im, że ich działanie i strajk są nielegalne, gdyż jest stan wojenny, a kombinat został zmilitaryzowany. Moje argumenty nie docierały jednak do moich rozmówców. Stawili wiele żądań i nierealnych postulatów.

W pewnym momencie pomyślałem. Może pójść na skróty. Mam przecież dziesięciu nieźle wyszkolonych spadochroniarzy, którzy wykonają każdy rozkaz. Znam kombinat prawie jak własną kieszeń. Jego słabe i mocne strony. Wiedziałem także, iż wyłączenie jego centrali telefonicznej spowoduje odcięcie kombinatu od wszystkich informacji zewnętrznych, a przede wszystkim sparaliżuje system informacyjny kombinatu, bez którego nie może działać komitet strajkowy. Jeśli więc rozstawię żołnierzy na poszczególnych bramach (biurach

przepustek), to można kontrolować stan osobowy kombinatu. A więc panować nad tym kto wchodzi i wychodzi z kombinatu. Wiedziałem także, gdzie mieszczą się miejsca kierowania organizacjami związkowymi, w tej sytuacji wykorzystywane prawdopodobnie jako miejsca obrad i działania zakładowych komitetów strajkowych.

Jednakże doszedłem do wniosku, że takie rozwiązanie było dobre w dniu wczorajszym, kiedy organizacja strajku była w powijakach. Dziś zaś niesie zbyt dużo niewiadomych, zbyt wielkie ryzyko i zbyt małe prawdopodobieństwo osiągnięcia celu. Mówiąc krótko, można już na początku zepsuć wszystko na tyle, że później nie da się tego naprawić.

W tej sytuacji miałem więc dwa wyjścia. Pierwsze – to twardo żądać respektowania praw stanu wojennego, o których w tym momencie nie miałem większego pojęcia, zerwać rozmowy i wycofać się z kombinatu. Wówczas jednak znikłaby jakakolwiek szansa na pokojowe rozwiązanie problemu, wzrosłoby zagrożenie dla ludzi oraz kombinatu i Krakowa. Mogło także dojść do zatrzymania produkcji i wielomiliardowych strat. Miałem także świadomość, że w pierwszych dniach stanu wojennego nie było w Krakowie i okolicy jednostek wojskowych zdolnych do przeprowadzenia operacji siłowego przywrócenia wojennego porządku w kombinacie. Moje twarde podejście mogło także doprowadzić do większej desperacji przywódców strajku i załóg zakładów oraz zaostrzenia form protestu w stosunku do mnie i wojska w ogóle.

I drugie – prowadzić dialog i przekonywać przedstawicieli komitetu strajkowego i pracowników do przyjęcia rozwiązań pokojowych i bezpiecznych. Zdecydowałem się na ten drugi, chociaż znacznie trudniejszy wariant. Na początku tłumaczyłem im spokojnie, że muszą zrozumieć, iż wraz z ogłoszeniem stanu wojennego ich sytuacja zmieniła się diametralnie. Za takie działania grożą im olbrzymie sankcje prawne. Jednocześnie dawałem oficerskie słowo, że jeśli nastąpi porozumienie i w kombinacie nastąpi spokój, żadne sankcje im nie grożą. Niestety, moje argumenty do nich nie docierały. W związku z tym zapisałem wszystkie zgłaszane żądania i postulaty oraz potwierdziłem, że przekażę je do Warszawy. Jednocześnie uprzedziłem, że prawdopodobnie w tej sytuacji nie przyniosą pożądanego skutku. Na tym rozstaliśmy się, z zapowiedzią, że wrócę następnego dnia rano.

Żołnierzy odstawiłem do jednostki, gdyż uznałem, że sytuacja w Krakowie jest prawie normalna, a milicja i ZOMO (Zmilitaryzowane Odwody Milicji Obywatelskiej) panują nad sytuacją w mieście na tyle, że zapewnia to w miarę swobodne poruszanie się i dojazd do kombinatu. Następnie, w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym, przedstawiłem sytuację w kombinacie oraz postulaty komitetu strajkowego, które natychmiast przekazano do Warszawy. W godzinach wieczornych owego dnia nadeszła oczekiwana odpowiedź: żadnych postulatów i żadnych żądań nie respektować. Komitet strajkowy i związki zawodowe mają natychmiast zaprzestać swojej działalności. Kombinat natychmiast zmilitaryzować. Łatwo rozkazać, ale znacznie trudniej zrobić.

Trzeci dzień stanu wojennego. We wtorek, 15 grudnia rano, w czasie jazdy do kombinatu, oceniałem swoją sytuację. Nie wyglądała najlepiej. Miałem świadomość, że działam na „ziemi niczyjej". A więc między dwoma zwalczającymi się stronami. W czasie walki, od każdej z nich mogłem oberwać i nikt się do tego nie przyzna. Mało tego, dla wyższego dobra, niepowodzenia lub winy każdej ze stron mogły spaść na mnie. Mogłem także w każdej chwili zostać kozłem ofiarnym i być złożony na ołtarzu historii. Także na jakiekolwiek wsparcie ze strony władzy nie miałem co liczyć. Nie byłem także pewny, czy jak wejdę do kombinatu, to nie wrzucą mnie do wielkiego pieca lub nie podłożą pod zgniatacz. A wtedy ani pary ze mnie nie zostanie.

W kombinacie sytuacja była już znacznie trudniejsza. Na olbrzymim rondzie, za bramą główną, zebrał się spory tłum. Miał stanowić wsparcie psychiczne i moralne dla komitetu strajkowego oraz tworzyć nacisk i być przestrogą dla mojej osoby.

Do pierwszej rozmowy z przedstawicielami komitetu strajkowego doszło, jak w dniu poprzednim, w biurze przepustek przy bramie głównej. Przedstawiłem komitetowi strajkowemu stanowisko władz oraz oświadczyłem, że w obecnej sytuacji mają dwa wyjścia. Pierwsze: nie wpuścić mnie na teren kombinatu oraz kontynuować strajk. To groziłoby natychmiastowym i siłowym wejściem na teren kombinatu jednostek pancernych i zmechanizowanych oraz ZOMO. W wyniku czego może dojść nie tylko do rozlewu krwi, lecz także do wypadków śmiertelnych. Drugie: pozwolić mi wypełniać swoje obowiązki w kombinacie. Prowadzić ze mną dalsze rozmowy i dążyć do uzyskiwania choćby częściowych kompromisów i warunków dla siebie dogodnych. Ponadto, dopóki działam w kombinacie, nie grozi im siłowe rozstrzygnięcie.

Przystali na moje warunki i w towarzystwie kilkunastu związkowców, jakby pod eskortą, udałem się do pomieszczeń dyrekcji. Tam zaś, przed gabinetem naczelnego, napotkałem kolejną grupę strajkujących pilnujących do niego dostępu.

Po przywitaniu się z dyrektorem naczelnym i dyrektorami branżowymi, uzgodniliśmy, iż rozmowy z komitetem strajkowym odbędą się w składzie: komisarz, dyrekcja kombinatu i komitet strajkowy oraz rozpoczną o godzinie trzynastej w gabinecie dyrektora naczelnego. Do tego czasu wysłuchałem naczelnego i poszczególnych dyrektorów, którzy zreferowali sytuację ogólną w kombinacie, w poszczególnych zakładach i branżach. Ponadto ocenili wzajemne relacje między dyrekcją, a aktualnym komitetem strajkowym oraz scharakteryzowali pokrótce niektórych działaczy tego komitetu.

Następnie określiliśmy podstawową strategię naszego wspólnego działania. Była ona następująca: główny wysiłek skupić na pokojowym rozwiązaniu konfliktu w hucie, bez użycia wojska, milicji i ZOMO. Jednocześnie czynić odpowiednie przygotowania, w przypadku gdyby nasze działanie nie przyniosło spodziewanego rezultatu. A więc rozpoznać dokładnie sytuację w kombinacie, śledzić ją na bieżąco i przygotować odpowiednie dokumenty, umożliwiające

przeprowadzenie sprawnej akcji na kombinat, zmniejszającej lub nawet likwidującej wszelkie zagrożenie dla życia i zdrowia.

W tym celu rozesłałem po kombinacie odpowiednich ludzi, którzy mieli zbierać i stale aktualizować informacje o sytuacji i występujących zagrożeniach. Informacje te na bieżąco były nanoszone na plan kombinatu, dając aktualny obraz tego, co dzieje się w kombinacie i jak ta sytuacja rozwija się i w jakim kierunku ewoluuje.

W czasie spływania informacji okazało się, że w ramach wsparcia strajkujących hutników do kombinatu przybyli studenci uczelni krakowskich. Według jednych źródeł było ich około setki, według innych ponad trzystu. Mieli z sobą śpiwory i inne akcesoria umożliwiające dłuższe bytowanie. Według mnie było to najgorsze, co w tej sytuacji mogło się przydarzyć. Miałem pełną świadomość, że stanowili oni element niezwykle radykalny i młodzieńczo nieodpowiedzialny, podatny na panujące nastroje oraz manipulowanie nimi, a przy tym nie znający specyfiki huty i istniejących zagrożeń. Powstawał więc niezwykle gorący problem, który w każdej chwili mógł wymknąć się spod kontroli i doprowadzić do katastrofy.

Rozpoczęliśmy zaplanowane spotkanie. Od początku stroną atakującą stali się działacze komitetu strajkowego. Powtarzali w kółko swoje żądania, od odwołania stanu wojennego, do przejęcia kierowania kombinatem włącznie.

To drugie niezwykle kulturalnie, grzecznie, ale skutecznie wybijał im z głów dyrektor naczelny i inni dyrektorzy, pokazując wszystkie niebezpieczeństwa i zagrożenia z tym związane, ich brak wiedzy i umiejętności oraz ciążącą odpowiedzialność. Ja zaś uświadamiałem im sytuację geopolityczną i wszystkie płynące z niej implikacje. Na zarzuty o wprowadzeniu stanu wojennego odpowiadałem niezłomnie:

– Jeśli nie my, to porządek zrobią towarzysze radzieccy, a wówczas wasza i nasza, czyli wspólna sytuacja byłaby nie tylko o wiele gorsza, ale także tragiczna. Mimo że się z tym nie zgadzacie, co oczywiście rozumiem i szanuję, to powinniście myśleć kategoriami interesów państwa i narodu oraz przede wszystkim to mieć na względzie, a więc w tej sytuacji nie przedkładać własnych partykularnych korzyści ponad wszystko.

Mówiłem także jasno i wyraźnie:

– Jeśli dojdziemy do porozumienia i kombinat wróci do normalnej pracy, to nikt nie poniesie żadnych konsekwencji. Tym bardziej, że przecież kombinat pracował cały czas, bowiem pracowały piece hutnicze, stalownia, walcownie, siłownia, zakłady o ruchu ciągłym i służby utrzymania ruchu. Ponadto zrobię wszystko, co jest możliwe, aby chronić działaczy Solidarności przed restrykcjami stanu wojennego i uzasadniałem dlaczego.

Jednakże dwóch lub trzech działaczy biorących udział w tym spotkaniu i prowadzonych rozmowach prezentowało postawę niezwykle nieprzejednaną, prawie zaciekłą, a ich argumenty świadczyły o całkowitej głupocie politycznej lub perfidii doskonale przeszkolonych agentów. Do końca nie mogłem zro-

zumieć ich postawy, motywacji oraz olbrzymiej zapiekłości w prowadzonej dyskusji. Byli to ludzie stosunkowo młodzi, chyba bez większego doświadczenia życiowego i potrzebnej wiedzy. Ot, takie zapalczywe i żarłoczne „młode jastrzębie".

W wyniku prowadzonych rozmów osiągnęliśmy sporo kompromisów. Pierwszym było zrezygnowanie z chęci kierowania kombinatem. Drugim, po długich i mozolnych przekonywaniach, i chyba największym osiągnięciem tego dnia, była decyzja komitetu strajkowego o wycofaniu studentów z huty. Były także mniej istotne, ale ważne chociażby z tego powodu, że dobrze rokowały na przyszłość i dawały nadzieję na pokojowe rozwiązanie konfliktu.

Rozmowy toczyły się z przerwami, wykorzystywanymi na konsultacje i dyskusje w grupach. Dotyczyło to w zasadzie strony solidarnościowej. Ja zaś w czasie przerw, szczególnie w godzinach porannych, pracowałem także nad mapą sytuacyjną kombinatu, bazującą na jego planie przestrzennym. Naniosłem na nią prawie wszystkie elementy decydujące o jego funkcjonowaniu oraz wszystkie przeszkody i utrudnienia wykonane przez strajkujących. Były więc pokazane te elementy, które należy opanować w pierwszej i następnej kolejności: centrala telefoniczna kombinatu, miejsce działania komitetu strajkowego huty, bramy wjazdowe i sposób przygotowana ich do obrony, ilość i rodzaj wagonów ustawionych i przyspawanych do szyn na skrzyżowaniach z drogami kołowymi, hale produkcyjne i budynki, w których bramy i wejścia były zamknięte, przyspawane i zablokowane, miejsca, w których drogi wewnętrzne kombinatu podchodziły do ogrodzeń i mogły być wykorzystane w operacji oraz wiele innych szczegółów. Ponadto te miejsca i obiekty, których uszkodzenie może doprowadzić do katastrofy i nieodwracalnych strat. W godzinach popołudniowych zaufany człowiek, ze schowaną za cholewą mapą, dotarł do adresata, czyli generała Sulimy.

W międzyczasie na rondzie, za bramą główną stale gęstniał tłum. Z dachów stojących tam autobusów, skrzyni, ciągników i przygotowanych platform przemawiali mówcy. Używali różnych tub, urządzeń nagłaśniających i głośno mówiących. Atmosfera gęstniała z godziny na godzinę.

My prowadziliśmy zaś ciągle rozmowy, w których raz byliśmy bliżej, a raz dalej od osiągnięcia celu, czyli zawarcia porozumienia i zakończenia strajku. W wielu sytuacjach obserwowałem, iż większość przychylała się do rozwiązania pokojowego, a to co głównie stało na przeszkodzie to obawa jak przyjmą tę ugodę w poszczególnych zakładach kombinatu, a także, jaka jest sytuacja w kraju, w Solidarności i w innych zakładach przemysłowych. I tak mijał czas i uciekały godziny. W czasie krótkich przerw obserwowaliśmy przez okna potęgujący się i żyjący już jakby własnym życiem tłum, będący w stanie olbrzymiego podniecenia i euforii. Ciągłe podsycanie nastrojów, zapalczywe przemowy, skandowanie haseł, śpiewanie pieśni religijnych i patriotycznych doprowadzało do sytuacji, której chyba nie mogli oprzeć się przedstawiciele strajkujących hutników. To także sprawiało, że usztywniali swoje stanowisko.

Przyszedł więc moment, w którym zapytaliśmy się wzajemnie. Czy jest jeszcze choćby cień szansy na osiągnięcie kompromisu? Niestety odpowiedź brzmiała – nie. Po tym fakcie przedstawiciele strajkujących opuścili gabinet dyrektora. Po krótkiej przerwie na kawę, zadzwoniłem przez aparat „WCz" (utajniający rządowy) do generała Sulimy. Przedstawiłem sytuację i wyniki rozmów. Po tym fakcie generał Sulima nakazał mi opuszczenie kombinatu. Jednakże w związku z tym, iż dyrekcja w komplecie pozostawała w hucie, poprosiłem generała o zezwolenie na pozostanie na miejscu. Stanowczo jednak odmówił. Ponowiłem więc prośbę argumentując, że mogę być przydatny na miejscu, w tych trudnych chwilach. Odpowiedział zdecydowanie:

– Wszystko, co było możliwe do zrobienia w tej sytuacji to pan zrobił. Teraz czas na działanie innych.

Zrozumiałem, że nadszedł czas siłowego rozwiązania problemu, a tym zajmą się już inni.

Jak zwykle, w te trudne dni, budynek dyrekcji opuszczałem w towarzystwie członków komitetu strajkowego. Wychodziliśmy jak zawsze bocznym wejściem, prowadzącym na rondo, a następnie przez biuro przepustek mieszczące się w bramie głównej na plac przed kombinatem. Ale w ten dzień, począwszy od gabinetu dyrektora naczelnego, aż do ronda przechodziłem przez szpaler ustawionych na schodach, wokół ścian i wzdłuż przejść, hutników. Tym razem, także sytuacja na rondzie była zdecydowanie inna. Kłębił się tam tłum zapełniając szczelnie cały plac. Tłum dziwny i groźny. Śpiewający, krzyczący i wznoszący przeróżne okrzyki. Między innymi: precz z komuną, precz z milicją i ZOMO, niech żyje Solidarność, niech żyje wojsko, niech żyje nasz komisarz, wojsko z nami itp. Musiałem więc przejść przez ten tłum, a nie było to wcale łatwe. Na czele szli związkowcy, torując mi drogą. Ja za nimi pozdrawiany przez wiwatujący tłum, który naciskał mnie ze wszystkich stron. Ponadto całowano mnie po policzkach, klepano po ramionach oraz podawano dłonie do przywitania.

Byłem tym lekko oszołomiony. Jednakże kaburę z pistoletem przesunąłem na pasie do przodu, aby mieć ją na widoku i uchronić się przed ewentualnym wyjęciem z niej pistoletu i użyciem go przez nieodpowiednią osobę. Wiedziałem także, że muszę panować nad tłumem znajdującym się w bezpośredniej styczności. Przechodząc z podniesioną głową i witając się z ludźmi, patrzyłem im prosto w oczy. A to, co obserwowałem mogło każdego zatrwożyć. Twarze w jakiejś ekstazie. Oczy nienaturalnie rozszerzone, pałające dziwnym blaskiem, a jednocześnie jakby nieobecne, bezmyślne i zimne.

Nie doszedłem jeszcze do połowy placu, gdy uświadomiłem sobie, że przy takim stanie emocji wystarczyłby jeden wrogi okrzyk pod moim adresem, jedno zawołanie np. – wykończyć wojskowego sługusa – aby tłum rozdeptał mnie na miazgę, a tę resztę, która została zaniesiono by tryumfalnie do któregoś z wielkich pieców i ostentacyjnie spalono. Nie pozostałby po mnie żaden ślad, nie tylko materialny, ale i historyczny, gdyż w każdej postaci byłbym wówczas niewygodnym świadkiem dla obu stron.

Na całe szczęście nic takiego się nie przytrafiło. Wyszedłem w miarę spokojnie przez bramę główną i dopiero tam odetchnąłem z ulgą. Wsiadłem do samochodu i frasując się oraz myśląc o tym, co nastąpi, udałem się do Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego, a następnie do internatu, gdzie mieszkali wszyscy zamiejscowi komisarze.

Dzień czwarty i następne stanu wojennego w kombinacie były już inne. Gdy zajechałem rano przed kombinat, w biurze przepustek stali już żołnierze i wartownicy cywilni. Udałem się więc bez przeszkód do dyrektora naczelnego, który od poprzedniego dnia przebywał stale w kombinacie. Tam przedstawiono mi aktualną sytuację. Zaś przy kawie, wszyscy dyrektorzy opowiadali wrażenia z przebiegu nocnych zdarzeń. A było czego posłuchać.

Po północy kolumna czołgów i wozów opancerzonych z rykiem czołgowych silników i chrzęstem gąsienic, z zapalonymi wszystkimi reflektorami i z włączonymi na stałe syrenami i klaksonami nadciągnęła główną ulicą w stronę kombinatu. Przed samym kombinatem rozdzieliła się na trzy części. Jedna pojechała na wprost atakując główną bramę. Druga w prawo, a trzecia w lewo. Pierwsza kolumna zatrzymała się na bramie głównej, a jej pierwszy czołg nie mógł poradzić sobie z solidną żeliwną bramą oraz blokującymi ją od wewnątrz autobusami, ciągnikami i innym ciężkim sprzętem. Brama uległa tylko uszkodzeniu, ale nie zdobyciu.

Ta kolumna zawróciła i dołączyła chyba do innych kolumn, których czołgi zrobiły wyłomy w murach ogrodzenia, przez które wjechały na teren huty, a za nimi wozy opancerzone i samochody ciężarowe z ZOMO.

Czołgi i transportery opancerzone zajęły strategiczne miejsca w kombinacie, a więc na skrzyżowaniach dróg wewnętrznych, przed budynkami kierownictw zakładów oraz przy wszystkich bramach prowadzących do kombinatu. Funkcjonariusze ZOMO kolejno „czyścili" poszczególne zakłady ze strajkujących. Do godzin rannych, w zasadzie wszyscy strajkujący opuścili kombinat. Pozostali tylko hutnicy pracujący w ruchu ciągłym, bez których nie mógł kombinat funkcjonować.

Po wysłuchaniu opowiadań dyrektorów przedstawiłem credo dalszego działania. Oświadczyłem, że zgodnie z prawem stanu wojennego (którego nadal w pełni nie znałem), jako komisarz – pełnomocnik KOK-u, jestem odpowiedzialny za działanie kombinatu w stanie wojennym. W związku z tym będę sprawował pełny nadzór nad jego działalnością. W ręce dyrektora naczelnego przekazuję jednoosobowe dowodzenie kombinatem i czynię go odpowiedzialnym za to, co się w nim dzieje. Ponadto wszystkie decyzje strategiczne oraz codzienne narady dyrekcji mają odbywać się z moim udziałem. Objąłem także w posiadanie duży gabinet, mieszczący się naprzeciwko gabinetu dyrektora naczelnego, do którego prowadziło wspólne wejście z holu głównego.

W tym dniu osobiście sprawdziłem w zakładowej przychodni zdrowia i w szpitalu hutniczym, czy w wyniku nocnych zajść są ranni i poszkodowaniu na zdrowiu. Okazało się, że nikogo nie położono w szpitalu, a do przychodni

zgłosiły się tylko dwie lub trzy osoby, których obrażenia były niewielkie i prawdopodobnie nie wynikały z pobicia. Trzeba przyznać, że odbyło się to wszystko niezwykle sprawnie i na pewno bardzo szczęśliwie. Na całe szczęście.

Przez pierwszych kilka dni po rozwiązaniu siłowym, militaryzowaliśmy kombinat. Do pomocy miałem już wówczas trzech wspomnianych oficerów, którzy pracowali ze mną przez cały następny rok. Wszyscy przychodzący do pracy pouczani byli o obowiązkach i rygorach obowiązujących w zakładzie zmilitaryzowanym. Ponadto pracownicy otrzymali odpowiednie nowe przepustki, chroniące przed przedostaniem się na teren kombinatu różnych niepowołanych elementów.

Kolejne zadanie jakie sobie postawiłem, to zapoznanie załogi z przebiegiem rozmów prowadzonych przez te dni z komitetem strajkowym. Uważałem, że szacunek jakim mnie do tej pory darzyli hutnicy zasługuje na to, aby znali całą prawdę o przebiegu rozmów. Nie miałem bowiem pewności, iż to co im przekazywano nie było celowo zniekształcane. Opracowałem więc na piśmie wystąpienie, które następnie wygłosiłem przez radiowęzeł kombinatu. Powtarzano je potem wielokrotnie i sądzę, że dotarło prawie do wszystkich pracowników.

Że spełniło swoje zadanie potwierdziły później moje bezpośrednie, codzienne kontakty z hutnikami i stosunki jakie między nami panowały, a także szacunek jakim mnie w dalszym ciągu darzyli, mimo siłowego przejęcia kombinatu. Już po kilku dniach od odblokowania kombinatu jeździłem po nim i byłem obecny we wszystkich zakładach. Tam rozmawiałem z kierownictwem zakładów i chodziłem bez żadnej eskorty oraz rozmawiałem z wieloma pracownikami. O dziwo, bardzo wielu rozumiało zaistniałe fakty i dziękowało za informacje przekazane przez radiowęzeł. Mówiło także otwarcie, że nareszcie czują ulgę i cenią sobie zaistniały spokój. Były także i inne głosy, ale wyrażane spokojnie i bez złośliwości pod moim adresem.

Miałem także kontakty i z drugą stroną. Kilku działaczy Solidarności kombinatu dzwoniło do mnie lub pisało listy. Mieli mi za złe, że publicznie opowiadałem o przebiegu rozmów oraz że wskazywałem wyraźnie na komitet strajkowy jako przyczynę niepowodzenia negocjacji, a następnie siłowego rozwiązania.

Następne dni to już była w zasadzie spokojna praca. Codziennie rano – narada w dyrekcji, potem wyjazd do któregoś z zakładów oraz przyjmowanie różnorodnych interesantów. Wśród nich było bardzo wielu pokrzywdzonych przez życie, biednych i niezaradnych. Zdarzali się także cwaniaczki, żerujący na zmianach i chcący coś zyskać lub załatwić. Pomagaliśmy wielu ludziom, w tym także pokrzywdzonym przez stan wojenny i prześladowanym przez przełożonych, władze lub milicję. Interweniowaliśmy w sprawie internowanych pracowników huty lub zatrzymanych przez milicję. Gwarantowaliśmy za nich, iż wrócą do pracy i zaniechają działalności politycznej. Robiliśmy to niekiedy na wyrost, ale nie mogliśmy odmówić ich rodzinom, a szczególnie żonom i mat-

kom. Nieraz wystarczył tylko jeden telefon, aby załatwić sprawę i ulżyć człowiekowi. Niekiedy jednak trzeba było robić wiele zachodu i kosztowało to sporo trudu. Było i tak, że nie mogliśmy wiele wskórać, poza otoczeniem opieką danej rodziny.

Najczęściej interesanci zgłaszali się ze sprawami mieszkaniowymi. W tej kwestii przyjąłem twardą zasadę. Nie zastępuję komisji mieszkaniowej, która przydziela mieszkania. Tłumaczyłem więc ludziom, że jest to ciało społeczne i wieloosobowe, i jako takie najbardziej sprawiedliwe i niepodatne na korupcje. Jeśli więc widzą, że dzieje się niesprawiedliwość, komisja bierze łapówki, uprawia prywatę i jeśli taką sprawę zgłoszą, natychmiast się nią zajmiemy i krzywdę naprawimy. Niestety, nikt nam takiego problemu nie zgłosił.

Po niecałym tygodniu po rozwiązaniu siłowym zapanował spokój. Kombinat pracował już rytmicznie i bez przeszkód. W przeciwieństwie do wielu zakładów w kraju, które jeszcze strajkowały. Szczególnie sporo ich było na Śląsku, w tym Huta Katowice oraz inne huty i kopalnie.

Toteż przypominam sobie, jak przedzwonił do mnie komisarz z Huty Katowice pytając o panującą u nas sytuację.

– Czy to prawda, że kombinat pracuje normalnie? – zapytał na początek.

Odpowiedziałem:

– Tak, oczywiście.

Kolejne pytanie brzmiało:

– Czy przyjmiecie delegację komitetu strajkowego Huty Katowice?

Odpowiedziałem bez wahania:

– Oczywiście, poinformujcie nas tylko, kiedy to nastąpi. Będziemy czekać i pokażemy wam to, co chcecie.

Za dwie godziny połączono mi rozmowę z przewodniczącym tegoż komitetu strajkowego. Prosił o przedstawienie aktualnej sytuacji w kombinacie oraz zgodę na przylot do huty delegacji komitetu strajkowego Huty Katowice. Ponownie wyraziłem zgodę.

Do wizyty jednak nie doszło, z przyczyn dla nas nieznanych. Na ile moje informacje i zaproszenie pomogło rozwiązać sytuację w Hucie Katowice, także nie wiem. Sądzę jednak, że nie było bez wpływu na to, co się tam działo i stanowiło poważny argument za zakończeniem akcji strajkowej w tej hucie.

Mimo że stan wojenny przebiegał stosunkowo łagodnie, to zdarzały się działania skierowane przeciw porządkowi, który sobą wprowadził. O ile jednak w kombinacie było w zasadzie spokojnie, nie licząc pokazujących się napisów na murach, wywieszania flag i transparentów, szczególnie w dniach rocznic i miesięcznic związanych z poprzednią działalnością Solidarności, o tyle w Nowej Hucie było bardziej groźnie. Zgodnie ze swoim hasłem „Zima wasza, wiosna nasza", od wiosny podziemna Solidarność zaczęła organizować manifestacje na placu przed kombinatem. Było to o tyle groźne, że te działania mogły przenieść się do kombinatu lub przynajmniej znacznie zaostrzyć w nim sytuację.

Zdawałem sobie sprawę, że coś trzeba z tym zrobić, bo sytuacja stawała się nieciekawa. Demonstracje mogły przecież wciągnąć pracowników huty. Zresztą chyba na to liczono, ponieważ były organizowane w godzinach wyjścia z pracy największej grupy pracowników. W związku z tym, że wiece organizowali przyjezdni z Krakowa, szczególnie studenci, a także przyjezdni z poza krakowskiego regionu, należało nie dopuścić ich do kombinatu.

W tym celu zadziałaliśmy na trzech kierunkach. Dyrektor naczelny naciskał na prezydenta miasta, sekretarz Miniór na pierwszego sekretarza komitetu wojewódzkiego partii, a ja na komendanta wojewódzkiego milicji. Wszyscy zgodnym chórem twierdziliśmy, że opozycji chodzi o to, aby obudzić politycznie kombinat, z którym później władzy trudno będzie sobie poradzić.

W zasadzie wygraliśmy tę batalię. Niebezpieczeństwo odsunięto od kombinatu. Przeprowadzono to jednak bardzo nieudolnie. Na początku, w myśl moich sugestii, milicja sprawdzała wszystkich jadących tramwajami i autobusami w kierunku huty. Tych, którzy nie byli pracownikami huty wysadzano ze środków komunikacji miejskiej i zawracano. To działanie odbywało się w dość bezpieczny sposób i zapobiegało wiecom przed kombinatem.

Opozycja w mieście nie dawała jednak za wygraną i zaczęła organizować manifestacje uliczne w centrum Nowej Huty, które potem kierowano pod kombinat. Były to już działania bardzo groźne, a milicja musiała używać armatek wodnych, gazów łzawiących, no i oczywiście pałek i innych akcesoriów przemocy. Ale robiła to niezbyt sprawnie. Dostawała się więc jakby w dwa ognie i z obu stron była atakowana kamieniami oraz różnymi podręcznymi przedmiotami.

O ile pamiętam, w owym czasie zdarzył się jeden wypadek śmiertelny. Miał jednak miejsce w centrum Nowej Huty i z kombinatem tylko pośredni związek. Zabity z broni palnej został pracownik kombinatu, chyba o nazwisku Wąsik, zaś człowiek, który go śmiertelnie postrzelił był także z kombinatu. W związku z tym, że ta sprawa dotyczyła ludzi pracujących w kombinacie leżała w sferze mojego zainteresowania. Przy bliższym badaniu tej sprawy okazało się, że strzelającym był funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, pracujący w hucie i „opiekujący się" jednym z jej zakładów.

Jak doszło do tej tragedii? Według informacji, które otrzymałem, dosyć prosto, a zarazem głupio. Mimo że ów funkcjonariusz był znany pracownikom tego zakładu, o czym jego przełożeni powinni wiedzieć, wysłali go na miasto w czasie demonstracji. Pewnie po to, aby zbierał materiały operacyjne. Do akcji wziął broń, chociaż podobno był zakaz jej noszenia podczas tej akcji. W tłumie został rozpoznany przez demonstrantów, wzięty w kółeczko i solidnie pobity. Gdy upadł i zaczęto go kopać i deptać po nim, wyciągnął pistolet i strzelił do napastników, raniąc śmiertelnie jednego z nich. Mówiono mi, że strzał padł od dołu, a więc przez leżącego, co potwierdzałoby przedstawioną powyżej tezę. Jeśli to jest cała prawda, bo stuprocentowej pewności nie mam, to owa tragedia była splotem wspólnej głupoty władz krakowskiej Służby Bezpieczeństwa, jej

funkcjonariusza i tych, którzy się na niego rzucili, rozpoczęli atak i stworzyli zagrożenie dla cudzego i własnego życia.

Skoro jestem przy wypadkach szczególnych, to przytoczę jeszcze jedną historię z dosyć przedziwną puentą. Po siłowym wejściu do kombinatu milicji, ZOMO i wojska, spora część przywódców strajku opuściła kombinat. Byli także wśród nich Gil i Nowak. Jednakże po niedługim ukrywaniu się zostali zatrzymani i osadzeni w ośrodkach internowania. Następnie odbył się ich proces przed sądem wojskowym. Byli oskarżyciele, adwokaci i świadkowie. Oskarżał prokurator, a na świadków powołano mnie, dyrektora naczelnego i jego asystenta oraz niektórych dyrektorów, a także pracowników huty, ich kolegów związkowców. My w większości byliśmy świadkami oskarżenia, zaś związkowcy obrony. I co się w końcowym efekcie okazało? Otóż to, że świadkowie oskarżenia zeznawali na korzyść oskarżonych, a świadkowie obrony na ich niekorzyść. Dziwne, ale prawdziwe.

Główny zarzut dotyczył łamania praw stanu wojennego i utrudniania militaryzacji zakładu. Przy tym zarzucie, ja byłem świadkiem koronnym dla oskarżyciela.

– Czy obywatel pułkownik poinformował oskarżonych o prawach stanu wojennego i grożących im konsekwencjach? – padło pytanie prokuratora.

Wiedziałem, że jest to kluczowe pytanie w sprawie wyroku. Nie chciałem dla nich surowego wyroku, gdyż na niego nie zasługiwali, więc odpowiedziałem:

– Mówiłem o tym kilka razy, lecz nie pamiętam, czy oskarżeni byli przy tym obecni, czy nie.

Potem otrzymałem od obrońców kilka pytań mających potwierdzić, że działanie oskarżonych nie było szkodliwe dla kombinatu i że cechowała je troska o losy i bezpieczeństwo kombinatu. Potwierdziłem to, zresztą zgodnie z prawdą i sumieniem.

Podobnie postąpili dyrektorzy, którzy ich szanowali i w zasadzie nie byli koniunkturalistami, a tym bardziej ich wrogami. Natomiast ich koledzy, chyba dla ratowania swoich tyłków, dołożyli im na tyle, że otrzymali wyrok skazujący, chociaż stosunkowo nieduży.

Przejdźmy jednak do wspomnień mniej dramatycznych, związanych z pracą kombinatu. Nie wiem czy ktoś jeszcze pamięta, że w 1981 roku zaczęto w ograniczonym zakresie wprowadzać pierwsze elementy reformy gospodarczej. Dotyczyła ona zakładów pracy i polegała ona na tym, że wprowadzono w nich rozrachunek gospodarczy. Liczono więc koszty surowców i pracy, ceny sprzedaży oraz dochodowość zakładów.

Jak dziś pamiętam wyliczenia dyrektora ekonomicznego, które pokazywały olbrzymie straty kombinatu. Byłem zaskoczony i wydawało mi się, że mimo iż nie bardzo znałem się na tym, to coś tu nie gra. Zasięgnąłem więc rady głównego księgowego. I co się okazało! To ekonomista bujał w obłokach bądź był pożal się boże specjalistą. Główny księgowy przedstawił mi czarno na białym,

że za minione miesiące tego roku kombinat ma się dobrze i jest na dużym plusie. Aby jeszcze było dziwniej, to dyrektor ekonomiczny miał stopień naukowy doktora, a główny księgowy przedwojenną szkołę.

Nie muszę wiele opowiadać, co było później. Gdy przedstawiłem owe odkrycia na naradzie dyrektorów, dyrektor ekonomiczny stracił twarz i jeszcze długo potem był przedmiotem złośliwych żartów i docinków. Przy tej okazji poznałem wspaniałego człowieka, myślę o księgowym, który nigdy dotąd nie brał udziału w naradach i posiedzeniach dyrekcji kombinatu.

Główny księgowy był człowiekiem o nadzwyczajnej kulturze osobistej i prawdziwym przedwojennym fachowcem. Spokojnym, dystyngowanym starszym panem, pewnie już sporo po sześćdziesiątce, ale za to dziarskim w poczynaniach i tryskającym poczuciem humoru. Przypominał mi bardzo zachowaniem i fachowością nieżyjącego już teścia Karola Pieszko. Ci przedwojenni specjaliści mieli coś w sobie. Nie tylko kindersztubę, ale także fachowość, rzetelność i olbrzymią uczciwość. Wraz z moimi kolegami oficerami odwiedzaliśmy go w jego gabinecie, a gdy zaczął dość często niedomagać, to i w domu.

Kolejna ciekawa sprawa dotyczyła stali uspokojonych. Przed przybyciem do huty w ogóle o stali wiedziałem niewiele, a co dopiero o stali uspokojonej. Gdyby nie jeden z inżynierów hutników, który przyszedł do mnie i przedstawił mi ów problem, nigdy bym o niej nie słyszał. A że mówił niezwykle interesująco i z przekonaniem zaraził mnie tym problemem. O co więc chodziło? Tak zwane stale uspokojone posiadały o wiele wyższe parametry techniczne niż można było uzyskać przy stalach zwykłych. A więc przy podobnych kosztach wytwarzania można było osiągnąć stal znacznie lepszej jakości, a zatem znacznie obniżyć ciężary i koszty robionych z niej konstrukcji stalowych.

Aby więcej wiedzieć na ten temat przestudiowałem trochę opracowań, a następnie zdrowo „popędziłem kota" dyrektorowi produkcji. Zmusiłem go do zajęcia się owym problemem oraz wykonania planu wdrożenia tych technologii. Okres mojego pobytu w kombinacie był jednak zbyt krótki, aby zobaczyć rezultaty tych działań.

Inną ważną sprawą dotyczącą funkcjonowania kombinatu była sprawa siłowni. Już na samym początku mojego pobytu w hucie, z ust panów Gila i Nowaka, wiedziałem o jej nienajlepszym stanie technicznym. Pod koniec pełnienia moich obowiązków jednak do niej wróciłem. Spowodował to jeden z jej pracowników, który przyszedł do mnie i przedstawił jej katastrofalny stan. Pracowałem nad tym problemem jeszcze z dwoma pracownikami siłowni przez ponad miesiąc. W efekcie, tuż przed swoim odejściem, przedstawiłem dyrektorowi naczelnemu całą prawdę o siłowni, ze wszystkimi niezbędnymi szczegółami i wynikającymi z nich zagrożeniami. Dyrektor był wstrząśnięty.

Oświadczyłem, że nie będę tej sprawie nadawał żadnego rozgłosu, lecz musi być pilnie załatwiona. Po kilku miesiącach od mojego powrotu do Warszawy, zatelefonował do mnie i oznajmił, że modernizacja siłowni trwa pełną parą. Wykonywana jest przez fachowców kombinatu, szczególnie pionu techniczne-

go siłowni. Natomiast dyrektor techniczny, który był odpowiedzialny za te zaniedbania i ukrywanie tego stanu, przeniesiony został na dyrektora Zakładów Materiałów Ogniotrwałych w Skawinie, w których niegdyś za młodu pracowałem.

Tak jak i przed stanem wojennym, także w czasie jego trwania sporo ludzi zgłaszało się, aby im ulżyć w sprawach mieszkaniowych, przydzielić mieszkanie, przyspieszyć przydział mieszkania, załatwić zamianę itp. Pomagaliśmy jak tylko mogliśmy, nie wchodząc jednak w kompetencje komisji mieszkaniowej kombinatu ani jej nie zastępując. Przy czym były to sprawy różne, mniej lub bardziej złożone i trudne. Oto jedna z nich.

Przyszła do nas mocno sterana życiem, około czterdziestoletnia kobieta. Przedstawiła swoją sytuację, która wydawała się naprawdę ponura. Pijący i bijący oraz będący na jej utrzymaniu mąż alkoholik, dwójka małych dzieci oraz jednopokojowe mieszkanie. Prosiła więc o większe mieszkanie, dwupokojowe, aby mąż alkoholik mógł być oddzielnie. Rzeczywiście sytuacja nie do pozazdroszczenia.

Przemyślałem ową sytuacje i doszedłem do wniosku, iż zwiększenie mieszkania niewiele lub nic w jej sytuacji nie zmieni. Nie zlikwiduje bowiem przyczyny tej tragedii. Mając podobną sytuację u siostry Niny i przykład będącego także na jej utrzymaniu męża pijaka i nieroba, powiedziałem jej wprost: zrobimy wszystko, włącznie ze wstawiennictwem do społecznej komisji mieszkaniowej, aby jej pomóc, ale od ręki tej sprawy nie można załatwić. Ponadto powiedziałem jej grzecznie i spokojnie, ale stanowczo, że to jej problemu nie rozwiąże. Jedynym wyjściem w tej sytuacji jest separacja i rozwód. Uchroni to dzieci przed demoralizacją, a jej zapewni spokojniejsze życie. Dla uwiarygodnienia swojej tezy przedstawiłem jej także przykład własnej siostry. Nie bardzo to, co mówiłem do niej docierało. Miałem jednak nadzieję, że jakiś skutek przyniesie.

Jakież jednak było moje zdziwienie, gdy dotarły do mnie informacje od komisarza dzielnicowego, władz dzielnicy, komitetu dzielnicowego partii i jeszcze kilku instancji. A w nich powtarzająca się teza, jakąż to krzywdę chciał jej wyrządzić komisarz kombinatu, który zamiast dać jej większe mieszkanie kazał się jej rozwieść. No cóż, petentka wyglądała biednie i nieszczęśliwie, ale tupetu i bezczelności jej nie brakowało. Okazało się bowiem, że prawie wszystko co mówiła było kłamstwem, mającym służyć do wyłudzenia większego mieszkania poza kolejnością.

A teraz kilka zdań o dyrektorze naczelnym kombinatu Eugeniuszu Pustówce, z którym przyszło mi współpracować ponad rok. Był blondynem, niezbyt wysokiego wzrostu, o okrągłej inteligentnej twarzy, doskonałym fachowcem z wieloletnią praktyką w hutnictwie, organizatorem i zarządzającym tak olbrzymim przedsiębiorstwem. Zawsze niezwykle spokojny i opanowany, potrafił doskonale rozwiązywać problemy produkcyjne i ludzkie. Dzięki tym cechom radził sobie nieźle z powstającymi nowymi związkami zawodowymi.

Na początku mojej bytności w kombinacie, jeszcze przed stanem wojennym, uważałem, że jest zbyt miękki i spolegliwy w stosunku do stawianych żądań i przedkładanych postulatów. Jednakże taka postawa oraz talent mediatorski sprawiały, że nie tylko nie był uznawany za wroga Solidarności, lecz posiadał wśród nich autorytet i nawet spore zaufanie.

To później okazało się bardzo pomocne tak w negocjacjach, jak i dowodzeniu kombinatem, szczególnie w pierwszym miesiącu stanu wojennego. Po bliższym i dłuższym poznaniu zmieniłem zdanie i takież wystawiałem mu oceny u swoich przełożonych. Pragnę przy tej okazji zaznaczyć, że oprócz wymienionych zalet posiadał również szereg innych, a przede wszystkim pracowitość, olbrzymią inteligencję i wyjątkową uczciwość. Musicie przyznać, że to wiele. Poznano się także na nim, gdyż na kolejnym zjeździe PZPR, jak ktoś już nie pamięta – Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, został wybrany członkiem jej komitetu centralnego.

Od niego to usłyszałem, jakże niewinny, ale najciekawszy i najpiękniejszy żart, który brzmiał następująco. Prowadzi dziadek wnuka przez las.

– Co to jest? – pyta wnusio, pokazując jakiś krzew.

– Czarne jagody – odpowiada dziadek.

– To dlaczego są czerwone? – dziwi się wnusio.

– Bo są zielone – odpowiada dziadek.

Patrząc na siebie zaczęliśmy obaj rechotać. Błyskawicznie zorientowaliśmy się, że oprócz pięknej i inteligentnej gry słów jest tam także podtekst polityczny, dotyczący oficerów i ich przynależności partyjnej. Dlaczegoś czerwony, boś zielony. To doskonale pasowało do kadry zawodowej wojska (koloru jej mundurów), która w tym systemie w zasadzie musiała należeć do partii.

Także w hucie zetknąłem się po raz pierwszy z pewnymi aforyzmami i powiedzonkami dotyczącymi stosunków przełożony–podwładny. Było ich zresztą wiele. Oto dwa, które zapamiętałem do dziś. „Szanuj szefa swego, bo możesz mieć gorszego", „Każdy dzień bez podlizania się szefowi jest dniem straconym". Najlepsze jednak określenie „wzorcowych" stosunków przełożony – podwładny znalazłem dużo wcześniej, a brzmi ono tak:

„Podwładny powinien przed obliczem przełożonego mieć wygląd lichy i durnowaty, tak by swoim pojmowaniem istoty sprawy nie peszyć przełożonego"

Ukaz cara Rosji Piotra I z 9 grudnia 1708 roku

Do kombinatu często przyjeżdżały różne delegacje, w tym także zagraniczne, oraz odwiedzali go rozmaici goście. W wiosennych miesiącach 1982 roku gościliśmy przedstawicieli hutników czechosłowackich. Jak przy takich okazjach bywa, oprócz spraw fachowych, wymiany poglądów i doświadczeń oraz spotkań oficjalnych, odbywały się także spotkania towarzyskie, bardziej kameralne i mniej sztywne. Rozmawialiśmy więc luźno na różne tematy. W pewnym momencie rozmowa zeszła na temat stanu wojennego.

– Zazdroszczę wam mądrości. Potrafiliście bowiem sami uporać się z własnymi problemami. Nie to co my w 1968 roku, kiedy wkroczyły wojska radzieckie i innych sąsiadów. Z tego powodu mamy kaca po dzień dzisiejszy – wyraził się wówczas jeden z naszych południowych sąsiadów.

Z okazji przypadającego czwartego maja świętego Floriana i w tym dniu święta hutnika, w kombinacie gościliśmy także władze administracyjne z prezydentem Krakowa na czele oraz władze partyjne z pierwszym sekretarzem komitetu wojewódzkiego Krystynem Dąbrową. W pewnym momencie podszedł do mnie prezydent Krakowa.

– Serdecznie dziękuję panu pułkownikowi za mądrość, wykazaną rozwagę i olbrzymi wysiłek, szczególnie w pierwszych dniach stanu wojennego. Śledziłem pana wysiłki i byłem świadom tego, jak pan był blisko pokojowego rozwiązania. Ze swej strony muszę także powiedzieć, iż czas prowadzonych przez pana rozmów dał nam możliwość odpowiedniego przygotowania organizacyjnego do późniejszego opanowania sytuacji w hucie – mówił prezydent.

Podziękowałem za te słowa. Odparłem, że prezydentowi też musiało być nielekko i wywołałem dla mnie dosyć istotny temat. A mianowicie, zamknięcia Huty Aluminium w Skawinie. Jak na owe czasy była to decyzja bardzo kontrowersyjna i niepopularna w kręgach partyjno-państwowych. Bo to była największa i jedna z dwóch hut aluminium w Polsce. A przecież stale rosło zapotrzebowanie na ten metal wykorzystywany w gospodarce i przemyśle. Jeśli się nie produkuje, to trzeba importować, a na to trzeba pieniędzy, w tym dewiz. Ponadto będzie to strata tysięcy miejsc pracy, tak ważnych w tym przeludnionym rejonie kraju. Takie argumenty przedstawiłem prezydentowi.

– No cóż – odparł prezydent – wiele ma pan racji. Jednakże taką decyzję musiałem podjąć, ratując ludność tego rejonu przed katastrofą, wynikającą z zabójczego oddziaływania fluoru na organizm ludzki. Proszę sobie wyobrazić, że według wielu raportów medycznych i prowadzonych badań oraz danych statystycznych, w tym rejonie dziesiątkom tysięcy ludzi rozsypują się kręgosłupy. To jest katastrofa, której inaczej nie można zapobiec, tylko zamykając hutę, a tym samym likwidując emitowanie fluoru do atmosfery. Jeśli ma pan wątpliwości lub pragnie głębiej zapoznać się z owym problemem, serdecznie zapraszam do siebie, wówczas pokażę panu wszystkie materiały, będące podstawą mej decyzji.

Podawał także liczby i uzasadnienia. Widać było, że mocno siedział w „tym problemie". Ja zaś zdobyłem pewność, że jest to decyzja mądra i wyważona, w której interes ludzi, a szczególnie ich zdrowie odgrywa podstawową rolę. Gwoli prawdy historycznej muszę dodać, że został on później pierwszym sekretarzem komitetu wojewódzkiego PZPR w Krakowie. Sądzę, że wówczas wybrano na to stanowisko mądrego człowieka, patrzącego realnie na rzeczywistość i mającego odwagę podejmować decyzje odważne, acz niepopularne w ówczesnych kręgach partyjnych i politycznych Krakowa.

Drugie półrocze 1982 roku cechowało się w hucie spokojem, solidną pracą i w zasadzie prawie zerowym działaniem opozycji politycznej. Co prawda

w rocznicę powstania Solidarności, a potem już po moim odejściu, w rocznicę stanu wojennego było jakieś niewielkie poruszenie, ale w gruncie rzeczy nic się nie działo. To władze bardziej panikowały, wysyłając do huty po kilkudziesięciu oficerów na te rocznice. Muszę tu wyraźnie powiedzieć, że pierwszy raz, kiedy byłem jeszcze komisarzem w kombinacie, podjęto taką decyzję wbrew mojej opinii. Jakby władza chciała mieć pewność, że nic się nie stanie lub zastraszyć do końca tych niewielu działaczy, którzy jeszcze przejawiali jako taką aktywność.

Gdy już powróciłem do akademii, w związku z rocznicą stanu wojennego, wysłano mnie jeszcze raz do kombinatu w celu wsparcia moją wiedzą i doświadczeniem pułkownika Manejkowskiego. Oprócz mnie było tam także wielu kolegów, których przydzielono do poszczególnych zakładów kombinatu. Jakież było moje zdziwienie, gdy kolega poinformował mnie, że jedna z pracownic Zakładu Mechanicznego zapytała go – czy w hucie obecny jest pułkownik Mazurkiewicz? Gdy kolega odpowiedział twierdząco, poprosiła o numer telefonu.

Po niedługim czasie zadzwonił telefon i kobiecy głos przedstawił się – mówi Zyta, a następnie przypominając jarosławskie spotkania. Po krótkiej rozmowie umówiliśmy się na spotkanie u mnie w gabinecie. W międzyczasie postarałem się o kwiaty, którymi ją przywitałem. Potem posiedzieliśmy, porozmawialiśmy i powspominaliśmy młodzieńczą znajomość. Okazało się, że jest mężatką, matką dwójki kilkuletnich dzieciaków. Mieszka z rodziną w Nowej Hucie i pracuje w Zakładzie Mechanicznym kombinatu.

Mimo iż w kombinacie przebywałem ponad rok i w Zakładzie Mechanicznym bywałem bardzo często, to w tym czasie nie spotkaliśmy się, a nazwiska Mazurkiewicz nie wiązała z moją osobą. Dopiero po wyjeździe z kombinatu zobaczyła w „Głosie Nowej Huty" moje zdjęcie i notatkę o zakończeniu działalności jako komisarza–pełnomocnika KOK. Trzeba więc było mojego powtórnego przyjazdu do kombinatu, aby doszło do naszego spotkania po wielu, wielu latach.

Osobiście oceniałem, że w 1982 roku sytuacja w hucie wyglądała normalnie, działania opozycji były prawie żadne, więc uważałem, szczególnie w drugiej połowie roku, że moja obecność w kombinacie jest zbyteczna. W związku z tym wystąpiłem z wnioskiem o odwołanie mnie z tej funkcji i powrót do akademii. Po długich moich zabiegach, tak też się stało. Pełnienie obowiązków komisarza–pełnomocnika Komitetu Obrony Kraju w Kombinacie Metalurgicznym Huta im. Lenina zakończyłem 22 października 1982 roku, po ponad rocznym pobycie w kombinacie. Wiadomość tę podał także tygodnik „Głos Nowej Huty" (ilustr. 37).

Obowiązki moje przyjął pułkownik Mieczysław Manejkowski, mój starszy kolega, także wykładowca Akademii Sztabu Generalnego. Był on do tej pory komisarzem w jednym z mniejszych zakładów przemysłowych i chyba miał o wiele większe ambicje. Tym bardziej, że był ode mnie o wiele starszy, a po-

nadto był oficerem frontowym, który przeszedł szlak bojowy od Lenino do Berlina. I wspominał, że na tym szlaku przypadało na jego powierzchnię ciała około dwóch ton amunicji. Z tego widać, że miał niesamowite szczęście. A że byliśmy razem bardzo blisko, więc mu przekornie mówiłem, iż to nie świadczy o jego odwadze, ale o umiejętności dekowania się. Był na tyle uczciwy, iż nie zaprzeczał, tylko mówił, że człowiek odważny, a do tego głupi, nie mógł tego przeżyć.

Na zakończenie wspomnień z kombinatu pozwalam sobie przedstawić krótki wywiad z inżynierem Ryszardem Kaczorem, asystentem dyrektora naczelnego kombinatu. Wywiad przeprowadziła dziennikarka „Głosu Nowej Huty" Krystyna Lenczowska, a ukazał się on w roku dla Polski znamienitym, bo „okrągłego stołu". Jest stosunkowo krotki, ale w pełni oddaje sytuację w panującą przed i po stanie wojennym w kombinacie. Chce także przypomnieć, że inżynier Kaczor był pierwszym pomocnikiem naczelnego w stosunkach z hutniczą Solidarnością i reprezentował pogląd oraz sposób działania ówczesnych władz kombinatu (ilust. 38). Ten numer gazety wraz z zakreśleniami otrzymałem od jednego z pracowników Działu Wojskowego kombinatu

Dwadzieścia lat później

Aby po dwudziestu latach odnieść się do stanu wojennego trzeba przynajmniej przypomnieć jego podstawowe tezy. A więc Rada Państwa w dekrecie o stanie wojennym z dnia 12 grudnia 1981 roku postanowiła: zakazać działalności związków zawodowych, zgromadzeń publicznych, wprowadzić godzinę milicyjną, przerwać połączenia telefoniczne na obszarze kraju, zamknąć przejścia graniczne, internować około dziesięciu tysięcy działaczy politycznych i związkowych, zamknąć szkoły i wyższe uczelnie, zmilitaryzować niektóre zakłady pracy. Zawieszono także wydawanie gazet za wyjątkiem „Trybuny Ludu" i „Żołnierza Wolności". Na czele państwa stanęła Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego pod przewodnictwem generała Wojciecha Jaruzelskiego.

Aleksander Dumas w drugim tomie swojej sławnej trylogii przedstawił dalszy ciąg historii muszkieterów po dwudziestu latach. Tutaj jednak owe dwadzieścia lat służy raczej do refleksji i oceny tego, co się zdarzyło dwadzieścia lat wcześniej.

Jest to bowiem najlepsza pora do osobistej i oczywiście subiektywnej oceny tego zjawiska. Jak wiemy, oceny stanu wojennego i opinie o nim są przeróżne. Generał Jaruzelski przez cały ten czas twierdzi, że było to mniejsze zło. W takim razie mogło być jeszcze większe. Prezydent Kwaśniewski na spotkaniu w Instytucie Pamięci Narodowej z okazji dwudziestej rocznicy stanu wojennego powiedział, że stan wojenny był złem. Jak z tego widać, dwaj prominentni funkcjonariusze państwowi wywodzący się z tej samej, dawnej opcji politycznej prezentują podobny pogląd. Zresztą prawie identyczny, jak działacze dawnej opozycji.

No cóż, mają prawo do takich ocen. Jednakże uważam, że tak złożonego zjawiska politycznego i społecznego, jakim był stan wojenny, nie powinno się rozpatrywać w kategoriach moralnych, a więc dobra i zła. Te kategorie są przecież przypisane do pojedynczych ludzi. Nie ocenia się bowiem moralności narodu, grupy etnicznej czy też klasy społecznej. Jeśli już, to powinno się mówić o ludziach odpowiedzialnych za te zjawiska, a więc o poszczególnych politykach. Jak jednak wiemy, nie po to ludzie rwą się do władzy, aby później byli osądzani.

Przez cały ten czas, od wprowadzenia stanu wojennego, sondaże prowadzone przez różne ośrodki badania opinii społecznej wykazują, że większość Polaków pozytywnie oceniała stan wojenny i uważała, że był niezbędny w tamtej sytuacji. Jego akceptacja wahała w granicach 60–70%. Także badanie CBOS-u (Centrum Badań Opinii Społecznej) przeprowadzone pod koniec 2001 roku, czyli w dwudziestą rocznicę stanu wojennego, wykazało, że w dalszym ciągu ponad połowa Polaków ocenia stan wojenny pozytywnie i uznaje za korzystny dla kraju.

Cóż na to można powiedzieć? Chyba tylko to, że opinia ta jest najbardziej miarodajna, gdyż została dokonana przez tę populację Polaków, która wówczas była w okresie dojrzałości i sama doświadczyła jego skutków. A teraz, im dalej od stanu wojennego, tym większy procent badanych będzie znał stan wojenny przeważnie z opowiadań dziadków i rodziców oraz nauki historii. Te wyniki badania opinii społecznej wskazują jeszcze na jedno ciekawe zjawisko. Otóż okazuje się, zresztą nie pierwszy raz, że społeczeństwo polskie jest mądrzejsze od swoich przywódców i działaczy politycznych różnych maści.

Na stan wojenny można patrzeć pod różnym kątem. Z punktu widzenia wojskowego warto zaznaczyć, iż operacja przeprowadzona została wzorowo. Wojsko Polskie sprawdziło się w działaniu, wykazując dobre przygotowanie bojowe, sprawną organizację oraz prężność i skuteczność w dowodzeniu. I to jest nie tylko moja opinia, ale także politycznych i wojskowych analityków zachodnich.

Jednocześnie, gdyby zapytać – czy dzisiejsze Wojsko Polskie, już po reorganizacji, modernizacji i częściowym dostosowaniu do standardów NATO, byłoby zdolne do zrealizowania podobnej operacji? To na tak postawione pytanie odpowiedź brzmiałaby – nie. I to nie z przyczyn politycznych czy moralnych, lecz, co z przykrością mówię, z powodu mizerii tej armii, wynikającej z jej słabego i przestarzałego sprzętu, trwającej cały czas reorganizacji, która póki co, jest tylko dezorganizacją, powolnego zatracenia ducha bojowego i tych wszystkich przymiotów, które cechowały armię przedwrześniową i tak zwane ludowe Wojsko Polskie, czyli armię Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Taki stan armii, mnie byłemu żołnierzowi zawodowemu, radości nie przynosi, wręcz przeciwnie. Patrzę na to zjawisko z wielką obawą i troską. A wiele przejawów frymarczenia armią, wykorzystywania jej dla wątpliwych celów osobistych i partykularnych napawa mnie niekiedy przerażeniem. Mam jednak na-

dzieję, że ten stan się zmieni i w następnych latach nie będę patrzył z przerażeniem na to, co dzieje się w armii i wokół niej.

A teraz zastanówmy się – czy była potrzeba wprowadzenia stanu wojennego? Co do tego faktu, zdania polityków, historyków i wielu Polaków są do dzisiaj i będą jeszcze przez wiele lat podzielone. Ten podział wynika z wielu uwarunkowań. Pierwszy i według mnie najważniejszy to podział polityczny. Z niego bowiem wynika cała istota sporu.

Dawna opozycja twierdzi, że był szkodliwy i opóźnił rozwój Polski. Zaś jej walka przed stanem wojennym, w trakcie i po, przyczyniła się do powstania Polski demokratycznej, niezależnej i niepodległej. Poniekąd mają rację, czemu trudno zaprzeczyć. Jednakże jak obserwowało się zwycięską opozycję w latach dziewięćdziesiątych to miało się wrażenie, że jest to jej potrzebne do nobilitacji politycznej i społecznej oraz dla uzasadnienia swoich, powiedzmy delikatnie, w wielu przypadkach wątpliwych zasług, czerpania profitów i późniejszego kombatanctwa.

I co ciekawe, jak w każdej rewolucji i przy każdej nagłej zmianie sił politycznych, w pierwszej fali do głosu i do władzy dochodzą te elementy, które najmniej na to zasługują. Jest to zjawisko tak zwanej „piany". W każdym politycznym tyglu najpierw na powierzchnię wypływają szumowiny. One zaczynają decydować, kształtować sytuację i rządzić oraz zbierać niezasłużone profity. Później naród poznaje się na nich i ogranicza ich możliwości, powoli spychając ich w polityczną nicość. Przykłady takie można mnożyć, chociażby z niedawnej naszej historii.

Była i druga grupa ludzi, która twierdziła, że owe zmiany przyniosą katastrofę w skali kraju i nie tylko. Tych którzy, jak wszyscy w historii ludzkości, nie chcieli się władzy pozbyć i ją utracić. Bo władza to nie tylko profity, ale przede wszystkim zaspokojenie instynktu dominowania i panowania. A jak mówiła ostatnia żona chińskiego przywódcy Mao Ce-tunga, to także jeden z największych narkotyków, któremu niewielu ludzi może się oprzeć.

Czy te opinie są obiektywne i wiarygodne? Mnie się wydaje, że nie, gdyż wynikają z partykularnych interesów tych grup politycznych. Czym więc kierować się przy ocenie stanu wojennego? Nie jest to takie proste. Wydaje się jednak, że zasadnicze są kryteria historyczne i racjonalne. Spróbujmy się z tym uporać.

Spójrzmy na historię Polski. Niepodległy byt narodowy straciliśmy z własnej głupoty. Ze szlacheckiej wolności jednostki, która była ponad narodem i państwem. Wiele by o tym mówić, ale nie przy tej okazji.

I co było potem. Mam nadzieje, że wszyscy wiedzą. Było wiele Powstań Narodowych, od Kościuszkowskiego, przez Listopadowe, Styczniowe do Warszawskiego, w których ginęli najlepsi synowie narodu, z najwspanialszym i najmłodszym poetą dwudziestego wieku Krzysztofem Kamilem Baczyńskim na czele. Celowo piszę te nazwy z dużej litery, bo jest we mnie olbrzymi szacunek dla ich patriotyzmu, odwagi i przedkładania interesu narodu, nad swoje życio-

we i prywatne interesy. Czy w ich wyniku coś osiągnęliśmy? Nic, za wyjątkiem strat kulturowych, moralnych i materialnych. W takiej sytuacji należy zapytać – dlaczego tak się stało?

Aby na to odpowiedzieć, przypatrzmy temu, co się stało w roku 1918, w którym Polska, po ponad stu dwudziestoletniej niewoli uzyskała niepodległość. Nie było przecież polskiego wojska, a pierwsza kompania kadrowa Piłsudskiego, bez większego poparcia maszerowała z Krakowa do Warszawy, utykając po drodze. Politycznie i militarnie nic nie znacząc i nie decydując o niczym.

A więc jak to się stało, że Polska w 1918 roku uzyskała niepodległość? Przyczyna była dosyć prosta i niespodziewana, ale zbawienna. W wyniku pierwszej wojny światowej dwóch z zaborców Polski: Austria i Niemcy zostało pokonanych, a w Rosji i Niemczech wybuchła rewolucja i osłabiła ich na tyle, że nie były w stanie podjąć wysiłku obrony obszaru własnego imperium. Zaistniały więc, prawie niezależnie od Polaków, warunki dla uzyskania niepodległości. I tak się stało. Można więc dosadnie i złośliwie powiedzieć, że otrzymaliśmy wolność na talerzu, o którą krwawo i bez rezultatów walczyliśmy w trzech powstaniach narodowych.

Dlaczego przytaczam te przykłady? Ano dlatego, aby wykazać, że chęci i marzenia nie mogą być oderwane od rzeczywistości, a szczególnie polityków oraz ludzi rządnych władzy i panowania.

W 1981 roku nie było warunków ku temu, aby Solidarność przejęła władzę. Najprościej można to ująć w ten sposób. Po pierwsze – sytuacja międzynarodowa, w tym panowanie i imperialna polityka Breżniewa z góry wykluczały powodzenie takiej akcji. Po drugie – w tym czasie sama Solidarność nie była przygotowana do objęcia władzy i rządzenia państwem. Dała tego dowód prawie po dziesięciu latach, czyli po „okrągłym stole", kiedy nawet wówczas nie była przygotowana do objęcia władzy, zaś jej umiejętności, tylko czysto destrukcyjne, doskonalone w latach walki o władzę, doprowadzały kraj do dodatkowej ruiny, nie tylko gospodarczej, ale także moralnej. Jeśli ktoś nie wierzy, niech sobie przypomni, że w przeciągu pierwszych dziesięciu lat, ilość członków Solidarności z kilku milionów zmalała do kilkuset tysięcy, aby po niespełna dalszych dziesięciu latach zmaleć do kilkudziesięciu tysięcy. Ostatecznie w przeciągu dwudziestu lat od jej powstania, z ruchu masowego stała się partią „kanapową". Przegrała więc swoją szansę polityczną i zawiodła w zdecydowany sposób oczekiwania Polaków.

Także centralne i terenowe elity władzy, czyli tak zwany „partyjny beton", nie dopuszczały myśli o podzieleniu się władzą. Ludzie ci bardziej patrzyli na Moskwę niż na polską rzeczywistość, a ich wpływ na decyzje centralne i terenowe oraz kształt państwa był znaczny.

W ostatecznej konkluzji trzeba stwierdzić, że wszystkie trzy składniki warunkujące powodzenie pokojowych przemian w Polsce na początku lat osiemdziesiątych nie zostały spełnione. A więc sytuacja polityczno-militarna w Euro-

pie, dojrzałość i przygotowanie opozycji do przejęcia władzy oraz świadomość rządzących, iż nie ma innego wyjścia niż podzielić się władzą.

O tym, że sytuacja w latach 1981–1982 groziła katastrofą na skalę europejską, może świadczyć choćby fakt, że Amerykanie wiedząc o wszystkich przygotowaniach do wprowadzenia stanu wojennego w Polsce nie zrobili niczego, aby temu zapobiec. A było tak dlatego, że nie kto inny jak ich agent, pułkownik Ryszard Kukliński, będący wysokim oficerem Sztabu Generalnego i jednym z nielicznych, który nie tylko miał dostęp do wszystkich dokumentów i decyzji stanu wojennego, ale także sam je opracowywał, informował ich na bieżąco i w pełny sposób o wszystkim.

Rodzi się zatem pytanie. Dlaczego Amerykanie, znający doskonale rozwój sytuacji w Polsce, nie powiadomili Solidarności o mającym nastąpić stanie wojennym? Przecież ją politycznie popierali i wspierali w każdej postaci. Sądzę, że prawdziwa odpowiedz jest tylko jedna i stosunkowo prosta. Amerykanie obawiali się, i słusznie, że jeśli Solidarność będzie wcześniej powiadomiona i odpowiednio przygotowana, stawi zdecydowany opór i rozpocznie się bratobójcza wojna. A stąd już krok do interwencji zbrojnej członków Układu Warszawskiego, wojny w Europie, konfrontacji dwóch super potęg i jądrowej trzeciej wojny światowej. W ten sposób także oni dali ciche przyzwolenie na wprowadzenie stanu wojennego w Polsce.

Każdy akt przemocy niesie z sobą krzywdy, ograniczenia praw i swobód obywatelskich. W skrajnych przypadkach także śmierć i zniszczenie. W stanie wojennym także mieliśmy z tym do czynienia. Wielu ludzi ucierpiało, kilkunastu także zginęło. Pamiętamy i zawsze pamiętać będziemy tragedię w kopalni „Wujek", gdzie śmierć poniosło dziewięciu górników. Nie wnikając w bezpośrednią winę sprawczą tych zabójstw, gdyż nawet dwudziestoletnie śledztwo tego nie ustaliło, jest to jednostkowy przykład tego, co mogło się stać w skali kraju, gdyby Solidarność wiedziała wcześniej o ogłoszeniu stanu wojennego, a jej konfrontacyjna polityka nie uległaby zmianie.

Należy ubolewać nad każdymi stratami, nawet jednostkowymi. Nie wyklucza to jednak szerszego spojrzenia. A w tym kontekście stan wojenny rodzi się jako akt przymusu zbrojnego, ale najmniej krwawy i uciążliwy z możliwych. Jakby wykonywany był w „białych rękawiczkach" i z myślą o wyrządzeniu najmniejszego zła swoim obywatelom, poniesieniu przez nich najmniejszych kosztów oraz nie tworzeniu sytuacji nieodwracalnych w skutkach.

To uwidoczniło się także później, w czasie trwania stanu wojennego. Szybko słabły jego rygory i życie wracało do normalności. Najpierw, już po roku, 19 grudnia 1982 roku uchwałą Rady Państwa stan wojenny zawieszono, a po następnym pół roku, 20 lipca 1983 roku stan wojenny zniesiono.

Koniec lat osiemdziesiątych to już inna jakość polityczna w Europie. Słabnie gospodarczo i politycznie Związek Radziecki, umiera Breżniew, a po jakimś czasie do władzy dochodzi Gorbaczow. Ciśnienie i zagrożenie ze wschodu maleje. W elitach naszej władzy dojrzewa przekonanie, że mimo czynionych

prób reform, system gospodarczy jest dalej niewydolny i nie zapewnia rozwoju, a stosowane restrykcje państw zachodnich go dobijają. A więc na dalszą metę, takiego stanu utrzymać się nie da.

Nie pozostało nic innego, jak konieczność podzielenia się władzą, ale tak, aby nie oddać jej za dużo. Sytuacja ku temu była sprzyjająca, bowiem Solidarność jako ruch masowy prawie nie istniała. To co się później z nią działo można określić jako jej reanimację dla celów politycznych. Sądzę, iż władza w tamtym okresie uważała, że uzyska łatwe profity oraz polityczną legalizację Zachodu oddając Solidarności cząstkę władzy. A więc w takim wymiarze, aby mieć zdecydowaną większość we wszystkich organach władzy i decydować o wszystkich sprawach.

Dzięki „okrągłemu stołowi" tak się stało. Trwało to jednak krótko. Potem zaczęły się zmiany, które doprowadziły do pełnej demokracji w Polsce, w tym także do rządów partii powstałych na bazie Solidarności, a więc Unii Demokratycznej, a później Unii Wolności, Akcji Wyborczej Solidarność (AWS) i Ruchu Społecznego AWS (RS AWS).

Pisząc te słowa jednocześnie chcę podkreślić, iż uważam, że stan wojenny i „okrągły stół" to dwa etapy tego samego procesu. Pierwszy, który go otwiera, a drugi, który wieńczy. Oba zresztą niesłusznie niedoceniane, szczególnie przez polityków tak prawicy, jak i lewicy. Zaś o przyczynach tego zjawiska wiele by mówić.

Na zakończenie jeszcze jedno, chyba najważniejsze stwierdzenie. Oba te zjawiska, a szczególnie „okrągły stół", są zjawiskami niespotykanymi w naszej historii. Świadczą bowiem o wielkiej mądrości Polaków, którzy sami potrafili przezwyciężyć swoje trudności ustrojowe i transformacyjne. Pokazali, że jedna ekipa z godnością może władzą oddać, zaś druga stosunkowo mądrze ją przyjąć. A ponadto, co było ważne dla całej Europy i świata, że zmiana ustrojowa może przebiegać bez rewolucji i wojny. Także i fakt, że to, co się u nas stało było jedną z zasadniczych przyczyn przemian w całej Europie Środkowej i Wschodniej, w tym pokojowej transformacji, która zaszła w najważniejszym kraju tego rejonu – Związku Radzieckim.

Z przyczyn oczywistych, przedstawione przemyślenia są syntetyczne i trochę ogólnikowe, za co czytelnik niech mi raczy wybaczyć. Zaprezentowałem jednak wnioski, które według mnie zasługują na uwagę, gdyż dotychczasowe materiały prezentowane przez historyków i polityków są nacechowane zbyt bliskim patrzeniem na te sprawy i występującym w nich partykularyzmem i subiektywizmem.

tygodnik GŁOS NOWEJ HUTY

Nr 28 (1330) 22 X 1982 r. Cena 5 zł

Serdecznie żegnamy!

Dziś, w piątek 22 października, serdecznie żegnany przez środowiska KM HiL zakończył w Kombinacie swe żołnierskie zadanie pplk Jerzy MAZURKIEWICZ, pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju.

W czasie pełnienia ważnych obowiązków zaskarbił sobie wśród licznych kręgów załogi i najszerzej rozumianego kierownictwa, wiele sympatii.

Funkcje pełnomocnika KOK przejmuje z dniem dzisiejszym w KM HiL płk dyplomowany Mieczysław MANEJKOWSKI.

Serdecznie żegnamy i my — „GNH" — pplk Jerzego Mazurkiewicza. Dziękujemy za współpracę, życząc wszelkiej pomyślności w wykonywaniu kolejnych odpowiedzialnych zadań

37. Informacja w „Głosie Nowej Huty" o zakończeniu misji w Kombinacie Metalurgicznym Huta im. Lenina. 1982 r.

GŁOS NOWEJ HUTY

NR 48 (1701) 15 GRUDNIA 1989 r. Cena 100 zł

BYŁEM GRACZEM ŚRODKA POLA

— Przez półtora prawie roku tkwił Pan w samym środku wydarzeń burzliwych dla kraju, dla nowohuckiego kombinatu. Chcielibyśmy, by przypomniał Pan sobie te miesiące od Sierpnia '80, od powstania „Solidarności", do wprowadzenia stanu wojennego. Był Pan wtedy asystentem dyrektora naczelnego kombinatu E. Pustowki — zwracam się do Ryszarda KACZORA, dzisiaj Głównego Inżyniera ds. techniki.

— Moja praca polegała wtedy, poza zwykłymi obowiązkami, na współpracy z ówczesnym dyrektorem naczelnym z „Solidarnością". Na co dzień od rana do wieczora, a często i od rana do rana... W porównawczej terminologii można by określić moje wówczesne zadania jako grę w środku pola. Uważałem, że „Solidarność" miała swoje racje, ale i my — dyrekcja kombinatu, też mamy swoje. Byłem spowiem dwu spierających się stron...

— Jaka była zatem postawa dyrekcji wobec faktów zaistniałych w roku 1980, po powstaniu nowego niezależnego związku zawodowego?

— Przede nie używać słowa „dyrekcja". Można tu bowiem mówić co najwyżej o kilku osobach. „Kręgosłupem" działań był dyrektor Pustowka. On — to trzeba głośno powiedzieć — odegrał ogromną rolę w tym, że w kombinacie nie doszło w sumie do tak silnych konfrontacji obu stron jak gdzie indziej. Od początku, od Sierpnia, przyjęliśmy zasadę, że partner jest odpowiedzialny i silny, co zaowocowało przez 16 kolejnych miesięcy, aż do wprowadzenia stanu wojennego, KRH rozwiązywało w sposób racjonalny problemy, wspólnie z nami. Tak było, proszę to co można skonfrontować z opinią „Solidarności".

— Czy ktoś z zewnątrz miał wtedy wpływ na decyzje podejmowane tutaj w kombinacie.

— Decydowaliśmy praktycznie sami, aczkolwiek w trudnych warunkach zewnętrznych.

— Jakie było stanowisko Komitetu Krakowskiego PZPR?

— W pierwszej fazie bardzo rozsądne, przejawiające się w wahaniu w postulaty partnera. Potem, gdy sytuacja zaognieniu się było więcej nerwowych reakcji...

— Czy przewidywaliście tu, w hucie, w dyrekcji, że nastąpi wprowadzenie stanu wojennego?

— Ja osobiście nie miałem na ten temat żadnych informacji, byłem zaskoczony.

— Ale „Solidarność" przygotowywała się na taką ewentualność...

— Było widoczne lepiej poinformowanie ode mnie (uśmiech), albo ja byłem ślepy, niedowiadczony politycznie. Z 12 grudnia 1981 roku pamiętam zdecydowanie jakieś odprężenie wśród szefów, że nie zapowiadają... Pamiętam rozmowę po posiedzeniu Krajowej Komisji „Solidarność" w Gdańsku. Czułem, że sytuacja staje się niebezpieczna. O drugiej w nocy, 13 grudnia, otrzymałem telefon od dyspozytora: proszę jej przyjeżdżać, bo coś się dzieje. Gdy podjechałem do kombinatu, główne bramy już były obsadzone przez „Solidarność". Miałem kłopoty z wejściem, ale ten telefonie na Zgniatacz, gdzie przeniesiono Komitet Strajkowy, już bez przeszkód mnie wpuszczono.

— Co się działo w dyrekcji?

— To jeszcze nikogo nie było. Zadzwoniłem do naczelnego, który przyjechał do kombinatu około 2 nocy. Potem dotarła informacja z centrali, abyśmy o 6 włączyli radio. Wystąpienie komunikatu i przemówienie generała. Od tej pory do godz. 1.05 w nocy 16 grudnia przebywałem w kombinacie. Byłem przedstawicielem dyrekcji do rozmów z Komitetem Strajkowym. Do 4 razy jeździłem w tym celu na Zgniatacz. Widok przemówy i wrogiego nastawienia strajkujących do nadawcy w osobie, otrzymanego od Komitetu Strajkowego nawet ochronę osobistą. Rozmawialiśmy o zabezpieczeniu huty, procesu produkcji. „Solidarność" podeszła do tego w sposób rozsądny.

— Przez kogoś nadawano wezwanie dyrektora do przerwania strajku?

— A czy inaczej miał się zachowywać dyrektor przed załogą, która zadanie ze swymi obowiązkami miał przeciwdziałać strajkowi... „Solidarność" jednak przerwała rozmowy, nie zgodziła się na zawieszenie strajku.

— W dyrekcji był już wówczas komisarz wojskowy...

— ...Na szczęście mieliśmy bardzo inteligentnego i mądrego wywiązującego człowieka na tym miejscu, i uważam, że było to dla kombinatu szczęśliwie sprzyjające. Zajmował stanowisko ówczesnej władzy, a dewizkrotnie rozmowy z Komitetem Strajkowym zakończyły się fiaskiem...

— Nadeszła noc z 15 na 16 grudnia...

— W tej dyrekcji siedzieli w gabinecie u dyrektora naczelnego. Ja — w szatni. O godz. 1.15 czoło podjechał do bramy głównej i usiłował ją sforsować. Udało mu się to przy szóstym podjeździe, bo po przeciwnej stronie był przygotowany autobus. Wydałem to z okien dyrekcji. O 3 weszło do mnie dwóch ZOMO-wców. Zaprowadziłem ich do gabinetu dyrektora i nastąpiły pojść do domu...

— Potem zeznawał Pan jako jeden z głównych świadków na procesie Gila i Nowaka.

— Wydaje mi się, że wtedy dałem wyraz swym poglądom na temat tego co się wydarzyło. Proszę o to też zapytać. Późniejsze wydarzenia w moim życiu były konsekwencją mojej postawy w tamtych dwóch latach...

— Jak Pan dzisiaj je ocenia?

— Trzeba ocenić konieczność wprowadzenia stanu wojennego. Jednak ja jak wiesz, jestem członkiem partii i „Solidarności" reprezentującej władzę, mogłem i przeciwdziałać wprowadzeniu w życie tego co dojrzało w 8 lat później. Ale reprezentuje także postawy wtedy było się wrogiem partii. Strachliwie te 7 lat, gospodarczo także, i my tutaj w kombinacie. Może mogłym się chwalić tym co robiłem w tamtych latach. Dziś jestem wrogiem, jako członek partii do jakiego wroga z jakimi. Do czy „Solidarność" [illegible]

Rozmawiała
Krystyna LENCZOWSKA

38. Wywiad z inżynierem Kaczorem o sytuacji przed i po wprowadzeniu stanu wojennego w kombinacie. 1989 r.

Rozdział dwunasty

Dojrzałe rozmaitości

Po złote runo

Nasi synowie ukończyli szkoły średnie. Radek XIX Liceum Ogólnokształcące im. Powstańców Warszawy, mieszczące się na Pradze przy ulicy Zbaraskiej, zaś Przemek im. Bolesława Prusa na Saskiej Kępie przy ulicy Zwycięzców. Radek w 1984 roku, a Przemek o trzy lata później.

Starszy syn bardzo zdolny i ponad swój wiek dojrzały, ambitny i odpowiedzialny zastartował do Szkoły Głównej Planowania i Statystki. Była to ówcześnie najwyższa i najbardziej renomowana uczelnia ekonomiczna w kraju. Po przemianach końca lat osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych powróciła do dawnej nazwy Szkoły Głównej Handlowej (SGH).

Wybrał kierunek Organizacja i Zarządzanie. W owym czasie niezwykle modny, który kończyli przyszli dyrektorzy różnych zakładów pracy. Uzyskując dobre i bardzo dobre rezultaty, po roku studiów na tym kierunku, przeniósł się na jeszcze bardziej prestiżowy kierunek – Handel Zagraniczny.

Tu też radził sobie doskonale, lecz na czwartym roku, już w trakcie pisania pracy dyplomowej, zdecydował się na wyjazd do Stanów Zjednoczonych. Jako student wizę dostał szybko i bez żadnego problemu. Swoją decyzją uzasadniał tym, że wszyscy koledzy studenci wyjeżdżają, aby sobie dorobić, bo rzeczywiście w kraju nikomu się nie przelewało.

Najpierw powiedział o tym matce, a potem mnie. Obawiając się bardzo o moją reakcję, gdyż wówczas były to jeszcze czasy, w których bardzo źle patrzono na wszelkie kontakty wojskowych i ich rodzin z obywatelami państw zachodnich. Syn zdawał sobie sprawę, że mogę mieć kłopoty i nieprzyjemności w pracy.

Po przemyśleniu sprawy uznałem, że interes syna jest najważniejszy. Jadąc na zachód pozna świat, zdobędzie wiedzę i doświadczenie oraz doszlifuje język angielski. To wszystko przyda mu się w przyszłej pracy. A i zarobione dolary poprawią mu samopoczucie. Nie przypuszczałem, że może tam pozostać na długie lata.

Dopiero w dniu wylotu syna zgłosiłem ten fakt kierownikowi katedry. Później byłem w tej sprawie wzywany do dziekana Wydziału Wojsk Lądowych. Obie te instancje występowały z pretensjami, dlaczego tak późno to uczyniłem. Odpowiadałem krótko:

– Syn jest dorosły i sam decyduje o swoim życiu, a o wyjeździe poinformował mnie dopiero w dniu wylotu.

Gdy zgłaszano do mnie dalsze pretensje odparłem:

– Zgodnie z konstytucją, każdy dorosły obywatel sam odpowiada za swoje czyny. Odpowiedzialności zbiorowej przecież nie ma.

Zgłaszając ten fakt w ostatniej chwili, chciałem ustrzec syna przed próbami wykorzystania go przez służby specjalne. Jeśli zaś chodzi o moją osobę, nie obawiałem się zbytnio reperkusji, gdyż moje stanowisko nie było aż tak eksponowane, abym musiał trząść spodniami.

Wyekwipowaliśmy Radka, jak umieliśmy najlepiej. Nawet w grzałkę elektryczną, nie wiedząc, iż w Stanach jest o połowę niższe napięcie prądu i inne gniazdka wtykowe. Dolarów nie mieliśmy za dużo, ale wszystkie swoje oszczędności przeznaczyliśmy na tę podróż. Starczyło na bilet w obie strony i na miesiąc życia za oceanem. W ten sposób byliśmy pewni, że nie będzie musiał spać pod mostem i w każdej chwili może wrócić.

Przed wylotem posiadał załadowany duży plecak na stelażu i obszerną torbę podróżną. Przy średnim wzroście i swojej chudości na lotnisku wyglądał, jak objuczony wielbłąd. Jego podróż przeżywaliśmy wszyscy. Dana płakała, mnie ściskało za gardło, a Przemek prawie zaniemówił. W ten sposób nasz pierworodny rozpoczął wyprawę po „złote runo".

Po wylądowaniu w Nowym Jorku udał się na Brooklyn, gdzie mieścił się spory sklep spożywczy, do którego adres dał mu kolega. Chciał tam trochę popracować i wzbogacić swoją studencką kieszeń. Ów sklep został kupiony przez trzy osoby pochodzenia polskiego, w tym jednego księdza i dwóch braci o nazwisku Zawisny. W tym czasie, kiedy zawitał tam Radek, sklep prowadził syn jednego z właścicieli o imieniu Ryszard. W sklepie pracował ojciec i jego dwóch synów. Ponadto inni najemni pracownicy.

Tam spotkał Ryśka, który zarządzał tym sklepem. Po przeprowadzonej rozmowie, Radek przypadł mu do gustu i otrzymał nie tylko pracę w sklepie, ale również bezpłatny pokój do zamieszkania w sąsiedztwie Ryśka, który mieszkał na Staten Islands. Od tego czasu datuje się praca Radka w branży spożywczej.

Jak dziś pamiętam listy pisane były wówczas w obie strony. Nasze rady i przestrogi, które dawaliśmy mu na odległość oraz wyrazy miłości i tęsknoty płynące nad oceanem do Ameryki. A w drugą stronę zapewnienia o dobrym odżywianiu, dbaniu o zdrowie oraz poznawaniu Nowego Jorku i nie żałowaniu sobie niczego, co miałoby wpływ na zdrowie i dobre samopoczucie. W tych listach czuć było oczarowanie i zafascynowanie miastem. Ponadto wspaniałością tamtego mleka i innych przetworów mlecznych, a także wędlin. Aby to

zrozumieć należy czytelnikowi przypomnieć, że w tym czasie w Polsce mleko, które sprzedawano w butelkach i w torebkach foliowych, prawie nie nadawało się do spożycia. Złośliwi mówili, iż było konserwowane proszkiem do prania „ixi". Także sery twarogowe i żółte były nadzwyczaj podłej jakości. Co zaś się tyczy wędlin, to doszło do tego, że prawdziwe polskie kiełbasy, salcesony, kaszanki i inne wspaniałości można było zjeść tylko w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. Sprawdziłem i potwierdziłem to później osobiście.

W tym czasie my dwoje, czyli żona i ja, pracowaliśmy dalej w tych samych instytucjach. Przemek zdał maturę i śladami starszego brata trafił do Szkoły Głównej Planowania i Statystyki. Egzaminy zdał pozytywnie, lecz w związku z brakiem dostatecznej ilości punktów nie został przyjęty bezpośrednio na studia, lecz musiał przepracować jeden rok na rzecz uczelni. Ponadto w tym czasie umożliwiono mu uczęszczanie na zajęcia z wybranych przedmiotów i zaliczenie dwóch egzaminów. Tak więc, z jednorocznym poślizgiem, rozpoczął studia także na kierunku Organizacja i Zarządzanie.

Jednakże po trzech semestrach studiów zapałał chęcią wyjazdu do brata. O ile na wyjazd Radka zgodziliśmy się dosyć gładko, mimo istniejących wówczas uwarunkowań politycznych, to z Przemkiem było już dużo gorzej. Przy wyjeździe Radka byliśmy pewni, że wróci. Zostało mu przecież tak niewiele do ukończenia studiów i zrobienia magisterium. Nawet gdyby chciał tam pozostać na stałe, to zawsze opłacało się wrócić na pół roku i dokończyć studia. Z Przemkiem mogło być inaczej, ponieważ jego zaawansowanie w studiach było dużo mniejsze.

Ponadto na wyjazd Radka wydaliśmy wszystkie oszczędności, a nawet trochę zapożyczyliśmy się. Nie mieliśmy więc pieniędzy na podróż Przemka. Jednakże Przemek stale nalegał i prosił, a i nam się wydawało, że we dwóch będzie im raźniej. Radek nie będzie wówczas taki samotny i jego tęsknota za krajem i rodziną się zmniejszy. Ja uważałem także, że ich wspólny pobyt z dala od kraju, rodziców i kolegów scementuje ich braterską przyjaźń, która będzie później owocowała przez wiele, wiele lat. W końcu wyraziliśmy zgodę na jego wyjazd, jednak pod warunkiem, że Radek przyśle pieniądze na podróż. Tak się stało i nasz drugi argonauta wyruszył także na swą wyprawę po „złote runo".

Za każdy wyjazdem, jakby cząstka naszej duszy ulatywała w dal, a na miejscu pozostawała coraz większa pustka i samotność rodzicielska. I tak pozostaliśmy sami, ciałem i umysłem w kraju, a sercem i tęsknotą duszy za oceanem.

Po przyjeździe do Stanów Przemek zaczął pracować razem z Radkiem w sklepie Ryśka (ilustr. 39). Zamieszkali we wspólnie wynajętym mieszkaniu, także na Staten Island, zresztą w niedalekiej odległości od domu Ryśka. Radek mający olbrzymie zacięcie do pracy, systematycznie awansował w sklepie, aby po dwóch latach zostać pomocnikiem zarządzającego. Od tego czasu pracował już w biurze, prowadząc całą rachunkowość sklepową i wszystkie zamówienia towarów. Przemek zaś jakiś czas popracował w sklepie, a następnie zmienił pracę, nie mogąc wytrzymać panującej w nim atmosfery.

Była to typowa polska atmosfera na emigracji. Pracująca w sklepie rodzina Zawisnych była bez przerwy skłócona między sobą. A stary ojciec i najinteligentniejszy z jego synów Rysiek, napuszczali bez przerwy jednych pracowników na drugich. W takiej atmosferze trudno było wytrzymać i pracować, ale stosunkowo łatwo kierować, manipulując wszystkimi i ustawiając jednych przeciwko drugim.

Dom Ryśka był typowym jednopiętrowym domem wielodzietnej amerykańskiej rodziny. Zbudowanym z drewna, o ścianach pokrytych plastikowym saidingiem i dachu krytym dachówką bitumiczną. Na zewnątrz nie wyróżniał się niczym szczególnym, no może z wyjątkiem średniej wielkości przydomowego basenu. W środku sporo przepychu na modłę amerykańską, czyli trochę cukierkowego i kiczowatego.

Celowo pokazałem warsztat pracy i dom amerykańskiego biznesmena polskiego pochodzenia. Dla amerykańskiej Polonii, Rysiek i jego rodzina byli przykładem wielkiej kariery w Stanach. Cieszyli się szacunkiem i byli szanowani. A jeśli ktoś myśli, że bujam, to opowiem coś jeszcze. W Stanach Zjednoczonych największym zaszczytem dla polskiego emigranta lub jego potomka jest prowadzić paradę Pułaskiego w Nowym Jorku. A więc co roku wśród Polonii amerykańskiej wybiera się marszałka owej parady. Z reguły zostają nimi najznamienitsi polonusi, najsławniejsi, najbogatsi i najbardziej szanowani wśród współziomków. Otóż ową paradę organizował i prowadził także nie kto inny, jak Ryszard Zawisny, współwłaściciel i zarządzający sklepem spożywczym „Eagle" (Orzeł) na Brooklynie. A sklep ten swoimi rozmiarami był znacznie mniejszy, niż u nas sklepy stawiane w oparciu o technologię jugosłowiańską lub niemiecką, na przykład takie sklepy na Gocławiu w Warszawie jak „Rema", „Globi", „Robert". Sądzę, że daje to obraz sytuacji i bogactwa Polonii amerykańskiej.

W tym sklepie Radek poznał swoją przyszłą żonę, która wraz z matką robiła tu zakupy. Jak opowiadają oboje, wzajemnie wpadli sobie w oko. Radek zafascynowany, bo miała urodę w jego guście, zaś ona, gdy go zobaczyła pomyślała „mój ci on, mój". I tak to się zaczęło. Aż dziw bierze, że to jego kochanie i przyszła żona Joanna, której imię po angielsku brzmi jeszcze piękniej, bo Dżoana, jest Polką, na dodatek warszawianką, a do tego jeszcze córką oficera i także byłego nauczyciela akademickiego Wojskowej Akademii Technicznej.

Ta znajomość zaowocowała małżeństwem. Ślub kościelny wzięli w Nowym Jorku. Ślub i przyjęcie weselne odbyły się 6 września 1992 roku z całym amerykańskim ceremoniałem (ilustr. 40), a głównym świadkiem na ślubie był Rysiek. Mieszkali już wówczas w czwórkę, Radek z Joasią, Przemek i mama Joasi, Barbara Dwornicka. Wynajmowali dom w sąsiedztwie Ryśka na Staten Islands.

Niestety, nie byliśmy na tych uroczystościach, gdyż nasi synowie nie mieli kart stałego pobytu, a więc przebywali w Stanach nielegalnie. W tej sytuacji nie mogliśmy otrzymać amerykańskich wiz. Po ślubie Radek pracował dalej u Ryśka, zaś Przemek szukał sobie innych zajęć. Pracował więc w różnych branżach,

zdobywając doświadczenie życiowe i poznając bogaty kapitalizm od podszewki, z tych dobrych i złych stron.

Synowie przebywając w Stanach corocznie uczestniczyli w tak zwanej loterii wizowej. Niestety, nie mieli szczęścia i żaden z nich nie wylosował karty stałego pobytu, mimo że Przemek dwukrotnie wyjeżdżał osobiście do Arlington na pocztę wizową. Przebywali więc w Stanach nielegalnie. Dlatego nie chroniło ich żadne prawo, chociaż płacili podatki.

Gdy Radek dowiedział się, że w ambasadzie kanadyjskiej można bez problemu otrzymać kartę stałego pobytu w Kanadzie natychmiast tam pojechał i upragnione dokumenty otrzymał. Niestety Przemek z tego nie skorzystał, gdyż w tym czasie przebywał poza Nowym Jorkiem.

I tak „Radki" wyjechali do Kanady. Zabrali cały swój dobytek i wykorzystując wypożyczony samochód meblowy z przyczepą znaleźli się w Ottawie, gdzie już wcześniej wyjechali ich przyjaciele. Zaraz też podjęli tam pracę. Radek w sklepie spożywczym sieci Robinson´s, zaś Joasia w sklepie obuwniczym Bata. Radek zaczynał na stoisku z „zielonką" czyli warzywami i owocami, a że przeszedł dobrą szkołę w Nowym Jorku, więc szybko awansował, by po niedługim czasie zastępować już kierownika sklepu, a faktycznie kierować sklepem, gdyż kierownik sklepu był pociotkiem właściciela i tylko figurantem.

Taka sytuacja nie bardzo mu jednak odpowiadała, więc stanął do konkursu na kierowników supermarketów, organizowanego przez kanadyjską sieć supermarketów Loblaws. Konkurs był trzyetapowy, ale już po drugim etapie Radek otrzymał propozycję pracy w sieci. Potem odbył roczny kurs teorii i praktyki organizowany przez tę firmę. Po jego ukończeniu objął kierownictwo jednego z supermarketów na obrzeżach Toronto. Następnie został wyznaczany i kierował przygotowaniem i otwieraniem kolejnych supermarketów tej firmy. Na tym etapie, zwieńczeniem jego kariery było wyznaczenie go do kierowana sztandarowym, wzorcowym i reprezentacyjnym supermarketem w centrum Toronto.

Supermarket ten był chlubą firmy i wzorem dla tej klasy supermarketów, nie tylko na kontynencie amerykańskim. Prezentował się naprawdę wspaniale, a wygląd jego stoisk był prawdziwym dziełem sztuki. To powodowało, że bardzo często odwiedzały go różne delegacje handlowców z całego świata, gdyż stawiany był jako wzór do naśladowania. W związku z tym kierowanie nim nie było łatwe i wymagało olbrzymich umiejętności. Praca syna w owym supermarkecie została zauważona i doceniona, bo został mianowany dyrektorem regionalnym firmy (General Menager Store Operations). Od tego czasu kierował ponad dwudziestoma supermarketami w Środkowej Kanadzie.

W ciągu pierwszych dziesięciu lat pobytu w Kanadzie odwiedziliśmy ich trzy razy. Dwa razy w Ottawie i raz w Toronto. Pierwszym razem Dana pojechała sama, gdyż nie mogła wytrzymać, aby się chociaż z jednym synem nie zobaczyć. Następnym razem byliśmy już we dwójkę, a czas pobytu w Ottawie spędziliśmy wspaniale.

Ottawa, stolica Kanady, to kilkusettysięczne miasto położone na styku anglojęzycznej prowincji Ontario i francuskojęzycznej prowincji Quebec. Miasto administracyjno-urzędnicze, czyste i zadbane oraz pięknie położone nad rzekami i kanałami. Posiada także wspaniałą wiktoriańską starówkę, której najokazalszym budynkiem jest gmach parlamentu.

„Radki" mieszkali wówczas w kilkunastopiętrowym wieżowcu, przy którym były podziemne garaże, kort tenisowy, a na ostatniej kondygnacji wspaniały basen. Korzystaliśmy systematycznie z tych wszystkich dobrodziejstw. Ponadto chodziliśmy na długie spacery do centrum miasta, na starówkę oraz wzdłuż rzek i kanałów. Zaś w weekendy wyjeżdżaliśmy przeważnie do przecudnego parku krajobrazowego Gatino, mieszczącego się w pobliżu Ottawy, a także w inne rejony Kanady, na przykład do Montrealu i na kanadyjskie safari.

Wybierając się za ocean planowaliśmy odwiedzić obu synów. Niestety Dana nie otrzymała wizy do Stanów Zjednoczonych. Tak więc będąc w Ottawie, tylko ja mogłem pojechać do Przemka do Nowego Jorku. Pojechaliśmy tam wraz z Radkiem samochodem. Podróż trwała około dziesięciu godzin. Po drodze krajobrazy były przepiękne. Dużo jezior, lasów i rzek, a ukształtowanie terenu przypominało nasze, lecz znacznie większe, Bieszczady. Drogi do jazdy wspaniałe, a po obu ich stronach rozciągały się niekończące się lasy, czasami pola uprawne i co kilkadziesiąt kilometrów większe lub mniejsze miasteczka.

Sam Nowy Jork zrobił na mnie duże wrażenie, chociaż nie we wszystkim pozytywne. Po pierwsze – zadziwiały mnie kontrasty. Wspaniałe budowle południowego Manhattanu i byle jakie, w tym drewniane reszty miasta. Piękne budynki i fabryki obok ruin i rozpadających się budynków. Olbrzymie bogactwo sąsiadujące bezpośrednio z wielką biedą. Kloszardzi obok wykwintnie ubranych ludzi. Piękno i rozmach budowli oraz Parku Centralnego i olbrzymia ciasnota, a także szpetność chińskiej enklawy Manhattanu oraz innych dzielnic Nowego Jorku. Piękne i czyste główne ulice Manhattanu, a o pięćdziesiąt metrów dalej – zasypane śmieciami i zarośnięte brudem.

Wraz z synami zwiedzałem więc miasto, w tym centrum Rockefellera (ilustr. 41), budowle World Trade Center, a z ich pomostu widokowego na ostatnim piętrze panoramę Nowego Jorku. Aby ze Staten Islands dostać się na Manhattan pływaliśmy promem, przepływając w pobliżu statuy wolności lub jeździliśmy samochodem Radka przez most Verezzano. A na promach, szczególnie w godzinach popołudniowych, większość stanowili kolorowi, na których widać było olbrzymie zmęczenie. To przypominało mi, chociaż w mniejszej skali, pociągi podmiejskie Kalwaria Zebrzydowska–Kraków i Mińsk Mazowiecki–Warszawa w godzinach szczytu.

Byłem także w domu byłego bossa Radka, Ryszarda Zawisnego, a wrażenia z tym związane opisałem wcześniej. Było mi także dane odwiedzić bossa Przemka, który mieszkał na Staten Islands. Był milionerem, a zajmował się wykupywaniem upadających przedsiębiorstw, ich naprawą, a następnie sprzedażą. Jego wspaniała willa położona była na wysokim i zalesionym stoku,

z którego roztaczał się widok na cały Nowy Jork. Mieszkaliśmy zaś w wynajmowanym przez Przemka mieszkaniu w dzielnicy Staten Islands.

Zaskoczeniem dla mnie była także otyłość Amerykanów, a szczególnie Amerykanek, ponadto jedzenie na ulicy na każdym kroku i opychanie się czym popadnie. A przy tym owo jedzenie amerykańskie, szczególnie w restauracjach, wcale mi „nie podchodziło". W większości było mało smaczne. Dlatego też byłem niezmiernie zadowolony, gdy synowie zaprosili mnie do polskiej restauracji, która serwowała schabowe z ziemniaczkami i kapustą po warszawsku, pierogi różnych typów oraz wiele innych, typowo polskich specjałów. Niestety, co dobre szybko się kończy.

Po ośmiodniowym pobycie, z bólem pozostawiliśmy Przemka w Nowym Jorku, a sami powróciliśmy do Ottawy. Przemek dalej pracował solidnie ciułając amerykańskie zielone, ale także przyjmując odwiedzających go kolegów, między innymi Krzysia Łojko i Sławka Szymczaka. Oprócz ciężkiej pracy także odpoczywał, jeździł i zwiedzał wschodnie wybrzeże oraz pływał po wodach przybrzeżnych na jachtach (ilustr. 42) i motorówkach.

Po powrocie do kraju wiele myśleliśmy o Przemku. Mimo, iż w Stanach nieźle mu się powodziło, to jednak był samotny. Brat i rodzice daleko, a przy tym nie mógł nikogo z nas odwiedzić, gdyż nie miał karty stałego pobytu. Ponadto nie mając obywatelstwa amerykańskiego był jakby obywatelem drugiej kategorii. Sądziliśmy także, że trudno mu będzie zrobić tam jakąś większą karierę. W związku z tym zaczęliśmy namawiać go do powrotu, tym bardziej, że w owym czasie warunki w Polsce były coraz lepsze. Na początku niewiele to dawało. Wiedzieliśmy jednak, że takie powroty są bardzo trudne.

Po jakimś czasie przyszła do nas znajoma Przemka z lat młodzieńczych i sąsiadka z drugiego budynku – sympatyczna i niezwykle zgrabna Ania Sienkiewicz. Powiedziała, że jest stewardesą i pierwszy raz leci do Nowego Jorku. Prosi o adres i telefon, gdyż chce Przemka odwiedzić. Później kilka razy odwiedziła Przemka w Nowym Jorku i to chyba ona sprawiła, że zdecydował się wrócić do kraju.

Nasz drugi pobyt w Kanadzie miał miejsce w 2001 roku i trwał ponad miesiąc. Wówczas Radki mieszkali już w miasteczku Aurora pod Torontem. Posiadali połowę domu bliźniaka, zaś w drugiej połowie budynku mieszkała młoda rodzina jugosłowiańska. Wybraliśmy się wówczas do Kanady razem z teściami Radka, a więc Basią i Wojtkiem Dwornickimi. Było wspaniale, tym bardziej, że atmosfera była wyśmienita i dbano o nas nad podziw.

Na ponad tydzień pojechaliśmy wszyscy do pięknej kanadyjskiej daczy w Góry Błękitne, położone na południe od jeziora Huron. Dacza była olbrzymim domem o wydłużonym kształcie i z balustradami przypominającymi statek żaglowy i zwała się „Long Kabin". Oddalona od głównej szosy, co najmniej o pięćset metrów i położona w wysokim lesie, między dwoma jeziorkami, stanowiła doskonałe miejsce do odpoczynku. Pływaliśmy więc łódką, chodziliśmy na leśne spacery, jeździliśmy rowerami w górzystym terenie, a co wie-

czór Radek wspaniale grilował różne potrawy, szczególnie prawdziwe kanadyjskie steki.

Odbyliśmy także wspaniały rejs statkiem wycieczkowym po Zatoce Jerzego (Georgian Bay) jeziora Huron. Miejscu przepięknym i unikalnym, gdyż znajduje się tam 30 000 przeróżnych wysp i wysepek. Zwiedzaliśmy często Toronto, a ponadto wodospad Niagara oraz położone w pobliżu niego winnice i wytwórnie win. O dziwo, wyrabiały one wina niewiele ustępujące winom francuskim.

Powrót w wysokie góry

W latach dziewięćdziesiątych synowie byli na kontynencie amerykańskim, a my mieszkaliśmy sami w Warszawie. Mieliśmy zatem więcej czasu dla siebie, a także większe możliwości finansowe. Mogliśmy pozwolić sobie na spełnienie naszych marzeń, by znowu chodzić w wysokie góry. Rozpoczęliśmy od Tatr słowackich, gdyż gros masywu tatrzańskiego, i to najpiękniejszego, znajduje się przecież na Słowacji, a jak dotąd tam nie bywaliśmy.

W pierwszą podróż na południe wybraliśmy się przez przejście graniczne na Łysej Polanie do miejscowości Ždiar u podnóża Tatr Bielskich (Belianskich). Była to trzecia miejscowość od granicy, po Javorinie i Podspadach. Zamieszkaliśmy w domu Wlasty Michalakowej, która prowadziła mały, prywatny pensjonat. Wlasta była artystką ludową, trochę poetką, a przy tym kobietą niezwykle sympatyczną, kontaktową i dającą się lubić, a przy tym dbała o nasze wygody wyśmienicie i karmiła solidnie.

Jej dom był naszą bazą wypadową, z którego rozciągał się doskonały widok na masyw Tatr Bielskich, z jego głównymi szczytami Muranem, Havranem i Ždiarską vidlą (Płaczliwą Skałą). Wędrówki rozpoczęliśmy od zwiedzania najbliższej okolicy. W pierwszym dniu poszliśmy do Monkovej doliny, leżącej u samego podnóża tego masywu. Przed rzeczkę, na północnym stoku, królował tam olbrzymi, nowoczesny pensjonat „Magura", zaś za potokiem trzy lub cztery góralskie chałupy, będące prywatnymi pensjonatami. Dalej poszliśmy stromą ścieżką przez las, aby wyjść na odkryte stoki z wyciągami krzesełkowymi, spełniające w zimie rolą tras narciarskich. Chodziliśmy też w kierunku północnym, po stosunkowo łagodnych zboczach Spiskiej Magury, gdzie na halach, jesienną porą było zawsze zatrzęsienie rydzów.

Zwiedziliśmy także wioskę rozmieszczoną wzdłuż starej drogi i szosy asfaltowej prowadzącej od granicy, a dalej przez Tatrzańską Kotlinę, Tatrzańską Łomnicę, Stary Smokowiec, Szczyrbskie Jezioro, Podbarskie do Liptowskiego Mikulasza i stanowiącej część wielkiej obwodnicy tatrzańskiej. Z ciekawością obserwowaliśmy góralskie budownictwo drewniane, piękną przyrodę wąskiej i dosyć stromej doliny, skansen regionalny oraz sklepy i ich zaopatrzenie. To ostatnie było nie mniej ważne, gdyż na początku lat dziewięćdziesiątych za-

opatrzenie u nas w kraju było jeszcze kiepskie, a i ceny przeważnie dużo wyższe. Odkryliśmy więc doskonałe i stosunkowo tanie piwo słowackie Zlaty fazan (Złoty bażant), bardzo smaczne słodko-kwaśne musztardy, których w Polsce nie było, a także podsuszane kiełbasy i salami w dość przyzwoitej cenie.

Pierwsza nasza wyprawa miała charakter wybitnie rekreacyjny. Byliśmy świadomi, iż nie mamy odpowiedniej kondycji, a także, że jesteśmy już trochę po pięćdziesiątce. Zwiedzaliśmy więc wszystkie podtatrzańskie miejscowości leżące na obwodnicy oraz Spiską Belę, Kežmarok i Poprad. Te pierwsze były wspaniale usytuowane u samego podnóża Wysokich Tatr, zaś drugie, chociaż położone trochę dalej od gór, miały urok zatrzymanego czasu. Tak pod względem architektury, kultury, jak i mieszkających tam ludzi. Szczególnie dla mnie, gdyż odkrywałem szczególne związki i pokrewieństwa z naszym Podkarpaciem i opowiadaniami moich babć i rodziców. Były to miasteczka, jak z bajki o Janosiku, na których piętno wywarła kultura ludów pasterskich, szczególnie wołoskich, a później węgierska. Tam można było jeszcze zobaczyć duże skupiska osiadłych cyganów, z ich kulturą i stylem życia. A w Popradzie było sporo dobrze zaopatrzonych sklepów, więc co nieco także kupiliśmy, między innymi płaskie lewockie salami, które do Polski nie docierało. Nie był to znowu jakiś wielki rarytas, ale w owym czasie ciekawostka pod względem smaku i wyglądu.

Preferowaliśmy jednak chodzenie w góry. Samochód zostawialiśmy na obwodnicy, a dalej szliśmy pieszo z plecakami w góry. Zaczęliśmy od wyjazdu kolejką linową z Tatrzańskiej Łomnicy do Skalnego Jeziorka pod szczytem Łomnicy (2632m). Nie zdecydowaliśmy się jechać na sam szczyt, gdyż trzeba było wsiąść do drugiej kolejki, a bilety były już tylko na późną godzinę. Czasu mielibyśmy więc na powrót mało, a i pogoda była nienajlepsza. Za to poszliśmy na Wielką Świstówkę, skąd podziwialiśmy dolinę Zielonego Jeziorka, w kierunku północno-zachodnim szczyty Zamarłej Turni, Jagnięcego Szczytu i Koziego Szczytu, a dalej w prawo południową przesłonę masywu Tatr Bielskich, nie mniej piękną niż północna, widziana ze Zdiaru.

To nas pobudziło, aby następnie wybrać szlak Kežmarskiej Białej Wody. I znów pozostawiliśmy samochód na obwodnicy, ale już w rejonie Kežmarskich Żlebów. Stamtąd doliną wspaniałego górskiego potoku Białej Wody poszliśmy w wysokie góry. Wyprawa była długa i męcząca. Najpierw szliśmy gęstymi świerkowymi lasami, co rusz podziwiając rwącą toń i przeczyste wody owego potoku, potem coraz większymi stromiznami, na których stale przybywało przepięknych skalnych ostańców i niezwykle urokliwych zakątków, aby dotrzeć do strefy kosodrzewiny i leżącego śniegu. Jeśli do tego dodać, iż był to koniec czerwca, a ja szedłem w krótkich spodenkach to przyznacie, że widok był rzeczywiście niecodzienny.

Jakże ten długotrwały trud się opłacił. Doszliśmy do przepięknie położonego górskiego stawu (Zelene pleso) o toni tak niezwykle zielonej, że patrzyliśmy weń długo jak urzeczeni. Jeśli dodam, że od tego niewielkiego jeziorka wyrastały pionowe, kilkusetmetrowe skalne ściany to można sobie wyobrazić,

jakie sprawiało to wszystko wrażenie. A na dodatek na jego brzegu rozgościło się schronisko górskie, w którym podawano doskonale rozgrzewającą herbatę z rumem i bardzo smaczną herbatę ziołową. Można było także coś przekąsić, chociaż byliśmy zawsze samowystarczalni. To zaś za sprawą Dany, która była nadzwyczaj gospodarna i zapobiegliwa oraz Wlasty, podającej nam dwa posiłki dziennie. Niezwykle obfite śniadania, w tym z zapasem na wspinaczkę w górach i nie mniej obfite obiadokolacje, podawane w godzinach wieczornych, kiedy zmęczeni i utrudzeni po całodniowej wędrówce po górach wracaliśmy na kwaterę.

Kolejnym naszym wyczynem było zdobycie Sławkowskiego Szczytu (Slavkovsky stit) położonego na wysokości 2452 m (ilustr. 43). Tutaj już dała o sobie znać kondycja i nasze lata. Szliśmy powoli, bo od Starego Smokowca, skąd rozpoczęliśmy wspinaczkę, do samego szczytu było przewyższenie ponad 1000 metrów. Muszę się przyznać, że momentami ból w klatce piersiowej uniemożliwiał mi dalsze wejście. W tych momentach odpoczywałem, a później dalej w drogę. W ten sposób, jakby dawkowałem obciążenie serca i zmuszałem go do pracy w granicach jego wytrzymałości. Tu muszę nadmienić, iż miałem już wówczas chorobę niedokrwienną serca, z pobytem w szpitalu włącznie. Ale nie była to moja głupota, choć wielu tak pomyśli. W tym czasie wiedziałem bowiem, że słabo ukrwione serce można i trzeba leczyć przez zmuszanie go do wysiłku w granicach rozsądku. Takim sposobem w mięśniu sercowym tworzą się nowe drogi i obejścia dla krwi, która lepiej dotlenia mięsień sercowy.

Ze szczytu zaś rozpościerał się wspaniały widok. Z jednej strony na całą południową dolinę z Popradem na horyzoncie, a z drugiej na centralną część Tatr Wysokich. Na ich ogrom, cudowne piękno i fantastyczne wytwory sił przyrody. Patrzyliśmy z zachwytem i byliśmy zauroczeni tym pięknem. To są właśnie te chwile, które rekompensują potworny wysiłek i olbrzymie zmęczenie organizmu w czasie wspinaczki. Jeśli ktoś jest wierzącym, może czuć się wówczas bliżej Boga, a ta bliskość jest porażająca, zresztą jak piękno, które wysokie góry sobą przedstawiają. Są to także chwile zwycięstwa nad samym sobą, zwycięstwa woli nad ciałem.

Następną z kolejnych dwóch wypraw w Tatry słowackie odbyliśmy z Marcinem, licealistą w owym czasie, synem Agnieszki Dobryłko. Była to jego pierwsza wyprawa w wysokie góry i na początku byliśmy pełni obaw. Bazę założyliśmy także w Ždiarze, ale już u ciotki Wlasty Michalakowej. Po krótkiej aklimatyzacji wyruszyliśmy w góry. Tak jak zwykle. Wcześnie rano obfite śniadanie, dojazd samochodem do punktu wyjściowego, dalej wielogodzinne wspinanie się po górach i powrót późnym wieczorem na kwaterę, solidna obiadokolacja, odpoczynek i spanie. I tak prawie w każdy dzień.

W pierwszych dniach nie tylko powtórzyliśmy trasy do pierwszej stacji kolejki na Łomnicę i doliną Białej wody do Brnćalovej chaty nad Zielonym Jeziorkiem. Korzystając ze wspanialej pogody pojechaliśmy kolejką, aż na sam szczyt Łomnicy (2632 m). Wrażenia z jazdy kolejką były niesamowite. Proszę sobie wyobrazić maleńki wagonik, który na linie bez żadnych podpór pokonuje

na niewielkiej odległości różnicę poziomów około ponad 400 metrów. A ze szczytu Łomnicy rozpościerał się widok na całe Wysokie Tatry tak polskie, jak i słowackie. Wspaniała i urzekająca panorama piękna gór. Myślę, że na naszym podopiecznym także zrobiło to wielkie wrażenie.

Celem kolejnej wyprawy był Jagnięcy Szczyt (Jahnaci stit) o wysokości 2229 metrów. Powtórzyliśmy więc wędrówkę doliną Keżmarskiej Białej Wody, a następnie do Brnćalowej chaty. Póki co szło gładko, chociaż już trochę odczuwaliśmy zmęczenie. Po krótkim odpoczynku nad przepięknym szmaragdowym stawem oraz wzmocnieniu się herbatą z rumem ruszyliśmy do celu. Już zaraz na początku trzeba było pokonać bardzo strome podejście. Tu poczułem, że ten rum nie sprzyja wspinaczce. Sporo osłabłem i podchodziło mi się bardzo ciężko. Za to Marcin śmigał jak fryga. Co młodość, to młodość.

Później było trochę łatwiej, bo mniej stromo, a widoki przewspaniałe, aż podeszliśmy pod sam grzebień. Tu zaczęła się kilkudziesięciometrowa stromizna, którą można było pokonać tylko przy pomocy lin, odpowiednio przymocowanych do ścian. Było to trudne wejście, więc Marcin miał iść pierwszy, Dana druga, a ja miałem ich ubezpieczać na końcu. Niestety Dana nie mogła przełamać lęku wysokości, a Marcin rozpoczął wspinaczkę. Musiałem więc go asekurować, pozostawiając Danę pod ścianą.

W ten sposób kontynuowaliśmy wspinaczkę. Marcin jako pierwszy, a ja za nim. Dotarliśmy na sam szczyt, rozkoszując się widokami rozciągającymi się z samego szczytu. Po krótkim pobycie rozpoczęliśmy zejście, obawiając się o Danę.

Spotkaliśmy ją na przełęczy, już po pokonaniu tej ściany. Jednakże potwornie zmarzniętą i cokolwiek przestraszoną. Zmarzniętą, gdyż w międzyczasie nadeszły zimne chmury, a ja zabrałem plecak, w którym były ciepłe swetry i kurtki. Zaś przestraszoną głosami i zachowaniem świstaków, kozic i innej górskiej zwierzyny. Najbardziej obawiała się, że zawita do niej tatrzański misiu. Przez to przemarznięcie i zesztywnienie doszło jeszcze do wypadku, który mógł się źle skończyć. Schodząc w dół poślizgnęła się i zatrzymała dopiero, uderzając tyłkiem w duży kamień. Strach pomyśleć, co by było, gdyby nie ten kamień, a jednocześnie strach było patrzeć na obszerne granatowo-zielone skutki tego uderzenia.

Jakby tego wszystkiego było mało, w niższych partiach złapał nas spory deszcz. Nie dość, że zrobiło się mokro, zimno i potwornie ślisko, to jeszcze ten deszcz był koloru żółtego. Proszę sobie wyobrazić lejącą się po twarzy śliską, żółtą ciecz oraz strumyki i kałuże żółtego koloru. Początkowo byliśmy wystraszeni. Czyżby to był drugi Czarnobyl i jest to rezultat zawartych w deszczu radioaktywnych pierwiastków. Po jakimś czasie odkryliśmy przyczynę. Był to czas kwitnienia świerków, a ten żółty kolor był wynikiem pomieszania pyłków świerkowych z deszczówką.

Celem jednego z naszych następnych wypadów były Rysy (2499 m). Marsz rozpoczęliśmy od Szczyrbskiego Plesa. Najpierw droga długo prowadziła

wśród drzew i była stosunkowo łatwa. W tej części natknęliśmy się na przepięknie usytuowany, symboliczny cmentarz ofiar gór. Było to zbiorowisko, krzyży przeróżnych kształtów i wielkości, najróżniejszych w formie pomników i rzeźb, poświęconych tragicznie poległym w górach lotnikom, ratownikom i taternikom. W śród nich był także przepiękny, symboliczny grób polskich bohaterskich lotników Franciszka Żwirki i Stanisława Wigury.

Potem już ścieżka zaczęła stawać się coraz bardziej stroma i prowadziła wśród kosówek. Dalej zaś pojawiły się duże stromizny, do pokonania których używało się lin i przymocowanych tam łańcuchów. I tak z mozołem i powoli podchodziliśmy pod Rysy od strony słowackiej. W niewielkiej odległości od szczytu, pod przełęczą Vaha (ilustr. 44), przykucnęła chatka, zwana Chatą pod Rysami. Był w niej bar oraz placówka górskiego pogotowia ratunkowego. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że tam dobre czeskie piwo kosztowało znacznie mniej niż zwykłe piwo w polskim sklepie. Podobnie było i z innymi produktami tam serwowanymi, chociaż były przynoszone na plecach ze Szczyrbskiego Plesa. Z tego schroniska można było także wysłać widokówkę ze specjalnym okolicznościowym stemplem.

Jeszcze trochę dużego wysiłku i już byliśmy na Rysach. I znowu wielka satysfakcja, piękna pogoda i wspaniale widoki na polskie i słowackie Tatry. A na Rysach spotkaliśmy zatrzęsienie turystów. Śmialiśmy się, że widok jak na Marszałkowskiej. Większość stanowili Polacy. Oprócz nich było chyba dwóch Węgrów, trzech Słowaków i jeden Niemiec. To przecież doskonały i namacalny dowód na prężność, ekspansywność, odwagę i wolę zdobywania, która tkwi w naszym narodzie. Mimo wszelkich przeciwieństw – nie zginiemy!

Po tych słowackich wyprawach, przeszliśmy na polskie szlaki, żałując, że jeszcze nie byliśmy na szczytach Tatr Bielskich i na moim wymarzonym Krywaniu. Ale może jeszcze będzie okazja.

Naszą bazą obraliśmy ośrodek wypoczynkowy „Ruch"-u przy ulicy Nowotarskiej w Zakopanem. Blisko centrum, z dobrym połączeniem komunikacyjnym do Kuźnic i niedaleko do wspaniałego zakopiańskiego teatru im. Stanisława Witkiewicza, czyli Witkacego na Chramcówce.

Wyjeżdżaliśmy do Zakopanego z różnym natężeniem, przeważnie jednak w trzech okresach: na przełomie kwietnia i maja, w tak zwany wydłużony weekend, latem i w okresie zimowym świąteczno-noworocznym. W pierwszej fazie pobytu dochodziliśmy do formy chodząc pieszo do Kuźnic, na Nosal (ilustr. 46), na Kalatówki lub na Gubałówkę. Potem nasze wyprawy prowadziliśmy trojako. Od razu, bezpośrednio na piechotę lub dojeżdżając mikrobusem do Kuźnic, dojeżdżając samochodem do Palenicy Białczańskiej lub do wylotów odleglejszych dolin, jak Małej Łąki, Kościeliskiej i Chochołowskiej.

W zimie – najtrudniejszym okresie w chodzeniu po górach bywaliśmy na Gubałówce, w bliższych dolinach pod Reglami, a jak warunki pozwalały i nie było zagrożenia lawinowego, chodziliśmy Ścieżką nad Reglami oraz na Łysanki i Sarnią Skałę. Drugim zimowym kierunkiem były Kuźnice i Kalatówki, a jak

zaspy pozwalały, to także trasą do schroniska na Hali Kondratowej. I to była najpiękniejsza zimowa trasa. Kręte strome ścieżki wśród ośnieżonych i pokrytych śnieżnymi czapami świerków (a jak mówią górale smreków) były zawsze tak bajeczne, że rekompensowały zmęczenie, zimno, częste zamiecie i zawieje występujące na Hali Kondratowej.

Przy tej okazji kilka ciekawostek. Sylwestra 1999 roku o mało co nie spędziliśmy w schronisku na Ornaku. Za późno dowiedzieliśmy się, że obchodzą tam sylwestra prawdziwi turyści i do tego bawiąc się doskonale. Każdy przynosi z sobą jadło i popitek oraz wykłada wszystko na stół do wspólnej konsumpcji. Kuchnia serwuje też dania gorące, a muzyka rżnie od ucha do ucha. Zaś w sali ogólnej trwają tańce, hulanki i swawole.

Wspaniały i z wielkim szumem obchodzony pierwszy dzień 2000 roku obchodziliśmy na Gubałówce. W ten piękny i słoneczny dzień spacerując po wzgórzu podziwialiśmy panoramę Tatr, a także siedzieliśmy przy olbrzymim okrągłym grilu, na którym młody góral, każdemu oddzielnie, podgrzewał doskonałe kiełbasy i podawał grzane piwo z sokiem malinowym. Smakowało wyśmienicie. Zaś Dana wydzwaniała do krewnych i znajomych w całej Polsce, składając im noworoczne życzenia.

W schronisku na Kalatówkach odkryliśmy, że znajduje się tam sporo dzieł naszego przyjaciela Stasia Sikory. Należały do nich: charakterystyczny stylizowany miś, podtrzymujący kominek w sali bufetowej, piękny i też stylizowany na góralską modę żyrandol z ceramiki oraz wiele kandelabrów i żyrandoli w salach na piętrze.

A teraz kilka słów o przygodzie w Dolinie Roztoki. Jak zwykle, na tym kierunku turystycznym, samochód zostawialiśmy na parkingu w Palenicy Białczańskiej. Stamtąd zaś tak latem, jak i zimą pieszo szliśmy kilka kilometrów do Morskiego Oka i Czarnego Stawu. Raz jednak wybraliśmy się Doliną Roztoki do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Początkowo wydawało się, że śniegu nie jest za dużo i bez problemu dojdziemy do tamtejszego schroniska. Jednakże w miarę podchodzenia sytuacja była coraz groźniejsza. Z południowego grzbietu Wołoszyna zaczęły schodzić do Doliny Roztoki małe śnieżno-kamienne lawiny. Natomiast od północnej strony grzbietu Opalone zeszły już wcześniej spore lawiny śnieżne. Oceniłem, że nie ma zbyt dużego niebezpieczeństwa i ruszyliśmy dalej. Do tej pory wszystko było w porządku, bo stromizn było niewiele.

Od tego jednak momentu musieliśmy podejść pod stromy śnieżny stok, prowadzący na poziom stawów i schroniska. Zaczęła się męczarnia. Nie dość, że było bardzo stromo, to jeszcze nogi zapadały się po kolana i nawet więcej, w dosyć stwardniały śnieg. Gdy wyciągało się nogi z głębokiego śniegu to pod spodem widać było wierzchołki kosówek. Daje to więc wyobrażenie o ilości śniegu na tej trasie i warunkach podejścia. Było tak ciężko, że prawie pod samym schroniskiem zupełnie opuściły mnie siły. Usiadłem, długo odpoczywałem i dopiero jak się nieco pożywiłem czekoladą byłem zdolny dotrzeć do

schroniska. O dziwo, w tej wspinaczce Dana dysponowała lepszą kondycją i jako pierwsza dotarła do celu. A tam zastaliśmy tylko jedną parę młodych turystów i to patrzącą na nas trochę dziwnie. Pewnie myśleli – gdzież tym starym chciało się pchać w takich warunkach! Po wypiciu gorącej herbaty i zjedzeniu czegoś na gorąco oraz sporym odpoczynku, zeszliśmy spokojnie i szczęśliwie tą samą trasą z powrotem.

Wiosną, na przełomie kwietnia i maja, wychodziliśmy w góry tak wysoko, jak to tylko było możliwe. Pewnego razu wybraliśmy się na Giewont. Jak zwykle trasą: Kuźnice, Kalatówki, Hala Kondratowa, a stamtąd już na Giewont. Pogoda była w miarę dobra, chociaż słońca mało. Do Hali Kondratowej, a następnie Doliny Małego Szerokiego szło się nieźle, prawie bez śniegu.

Problem zaczął się dopiero na stromym podejściu Piekiełka, aż do Przełęczy Kondrackiej i dalej na szczyt Giewontu. Było tam sporo śniegu i jego nawisów, a ponadto lodu i oblodzonych kamieni. Aby tego było mało, od przełęczy do samego szczytu towarzyszył nam silny, zimy wiatr ze śniegiem i deszczem. Wyziębiło nas potwornie i zmoczyło paskudnie. Mieliśmy jednak dużo satysfakcji z samego wejścia na szczyt oraz trochę szczęścia, gdyż w czasie pobytu na Giewoncie chmury rozstąpiły się na dłuższą chwilę i mogliśmy podziwiać nie tylko panoramę Zakopanego i pobliskich okolic, ale także szczyty i pasma północnej strony polskich Tatr. Przyjemności przyjemnościami, ale później odchorowałem je solidnie. Od tego czasu zaczęły się bóle kręgosłupa i kolan, z którymi następnie walczyłem przez dobrych parę lat. Autora na Giewoncie przedstawia ilustracja 45.

Za to latem chodziliśmy już bez żadnych ograniczeń. Z Kuźnic kolejką linową wjeżdżaliśmy na Kasprowy Wierch, a potem w lewo lub w prawo. W lewo przez Liliowe, Świnicę, Zawrat, Kozi Wierch do doliny Pięciu Stawów Polskich, a następnie Doliną Roztoki i dalej szosą do Palenicy Białczańskiej, skąd autobusem do Zakopanego. W prawo przez Czubę Goryczkową, Kopę Kondracką, Małołączniak, Ciemniak i w którąś z dolin lub z powrotem i z Kopy Kondrackiej pod Giewont, a dalej przez Przełęcz Bacuch, Grzybowiec do Doliny Strążyńskiej lub Małej Łąki.

Wybierając się w rejon Doliny Kościeliskiej i Doliny Chochołowskiej zatrzymywaliśmy samochód na parkingach przy wejściu do tych dolin. Następnie na piechotę dalej. Doliną Kościeliską docieraliśmy do schroniska na hali Ornak, by stamtąd, po solidnym odpoczynku, ruszyć Doliną Tomanową na Chudą Turnię i przez Uplaziańską Kopkę dotrzeć do Doliny Miętusiej, a potem dalej na parking.

W Dolinie Chochołowskiej maszerowaliśmy od parkingu, aż do schroniska Bobrowiec. Tam zawsze nieco się posilaliśmy. Pamiętam, że serwowano zawsze wspaniałą kaszą gryczaną ze skwarkami. Potem zaś najpierw szlakiem papieskim, a później Wyżną Doliną Chochołowską, Doliną Jarząbczą na Pośrednią Kopę i Trzydniowiański Wierch. Dalej zaś przez Kulawiec i Krowieniec na Polanę Trzydniówka w Dolinie Chochołowskiej, aby stamtąd już potwornie

zmęczeni dowlec się ostatkiem sił do parkingu. Na papieskim szlaku, a także na jego skrótach, w zależności od pory roku można było znaleźć piękne prawdziwki i nie mniej kuszące rydze.

Wędrowaliśmy także z Kuźnic do schroniska Murowaniec, mieszczącego się na Hali Gąsienicowej. Przeważnie czyniliśmy to tak, iż w jedną stronę szliśmy Upłazem, a z powrotem Doliną Jaworzynki lub na odwrót. Aby było ciekawiej i inaczej.

Śniadania i wikt w góry przygotowywaliśmy sobie zawsze sami, zaś na wieczorne obiadokolacje wybieraliśmy się do którejś z zakopiańskich knajp lub też robili na miejscu. W tamtych czasach do ciekawych lokali należały, między innymi Zbójnicka Chata, Obrochtówka i Bonkowa Zochylina. Jako pierwsza z tych regionalnych, góralsko-zbójnickich restauracji powstała chyba Zbójnicka Chata, umiejscowiona przy bulwarze Słowackiego. Wyróżniał ją między innymi ciekawy zwyczaj, iż zawsze mężczyzna musiał pierwszy przekroczyć próg tej chaty. Gdy miało być inaczej – dorodny juhas walił łychą w zawieszony przed chatą dzwon, strofując tym nadobne i zbyt popędliwe białogłowy. A w środku, w wystroju czysto zbójnickim królowała, a jakżeby inaczej, herbata po zbójnicku. Sakramencko mocna i dobra herbata, bo zaprawiana solidnie spirytusem, czyli „prundem". A ponadto potrawy pieczone na dużym ruszcie, stojącym prawie na środku obszernej izby, przyozdobionej po zbójnicku. Pod ścianami stały solidne drewniane ławy i duże, długie stoły, a pod sufitem wisiały przeróżne zbójnickie i góralskie narzędzia.

Obrochtówka była typowo góralską chatą z grubych drewnianych bali. Sama restauracja mieściła się w piwnicach solidnego góralskiego domu położonego przy malutkiej uliczce, odchodzącej od ulicy Zamoyskiego. Podawano tam wiele smacznych dań, jak placki po węgiersku, pstrąga smażonego w potrawce oraz przepiękne golonki, które swego czasu zaszkodziły mojej żonie. Tam także spotkaliśmy kiedyś znaną polityczną trójcę: Michnika, Litynskiego i chyba Kuronia, wszystkich w towarzystwie pań, a przy tym perorujących przy posiłku o polityce. Na zakończenie biesiady, jak to na „prawdziwych górali spod Synaju" przystało, każdy skrupulatnie płacił za siebie.

W leżącej niedaleko narciarskiej skoczni Bonkowej Zochylinie, wystylizowanej na solidny góralski dom, podawano potrawy bardziej wykwintne, chociaż w stylu góralsko-chłopskim. Będąc przy jedzeniu, pragnę także wspomnieć, że dosyć często chodziliśmy także na dobre i niedrogie jedzenie do letniego lokalu o nazwie „Restaurant", położonego na samym dole Krupówek. W początkach swego istnienia podawano tam doskonałe w smaku, duże i przy tym niedrogie dania, szczególnie przepyszne i astronomicznej wielkości steki. Jednakże, jak to u nas bywa, z roku na rok było coraz gorzej, co nas skutecznie odstraszyło od bywania w tym przybytku, później już nienajlepszego żarcia.

Wyjeżdżając z Zakopanego, przeważnie zawsze jechaliśmy trasą przez Jaszczurówkę, Toporową Cyrhlę, Palenicę Pańszczykową do szosy prowadzącej z Bukowiny Tatrzańskiej do Łysej Polany. My jednak skręcaliśmy w lewo na

Bukowinę Tatrzańską. W Bukowine zatrzymywaliśmy się zawsze w przydrożnej, góralskiej gospodzie o nazwie „Bigosówka". Tam serwowano wspaniałego, świeżego i doskonale smażonego pstrąga, a ponadto z tego miejsca roztaczał się przepiękny widok na Tatry. To było nasze stałe miejsce ostatnich pożegnań z górami. Stamtąd już przez Białkę Tatrzańską kierowaliśmy się do Nowego Targu i dalej na Kraków i Warszawę.

Ci wspaniali artyści

Po prawie dwuletniej pracy w centrali RSW „Książka, Prasa, Ruch", na początku 1981 roku Dana otrzymała propozycje objęcia Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki, który mieścił się na Saskiej Kępie przy ulicy Zwycięzców 4.

Był to duży i dość nietypowy klub, ponieważ prócz działalności statutowej stanowił jednocześnie Klub Seniora RSW. A więc był miejscem spotkań i działalności emerytowanych działaczy, dziennikarzy i innych pracowników tego koncernu. Było to towarzystwo trudne, bo nawykłe do rządzenia i mieszania się we wszystkie sprawy. Mimo tego, Dana doskonale dawała sobie radę. Rozwinęła i wzbogaciła jego działalność organizując wiele imprez, spotkań z ciekawymi ludźmi i wystaw artystycznych różnego typu.

W swojej działalności czerpała z olbrzymiego zasobu artystów warszawskich, a przede wszystkim Saskiej Kępy. Była to bowiem dzielnica pod tym względem wyjątkowa. Tu, przy ulicy Francuskiej, mieściła się ulubiona kawiarnia Agnieszki Osieckiej, gdzie przy wzmocnionej kawce, na różnych kawałkach papieru i serwetkach, powstawały najpiękniejsze wiersze i teksty jej piosenek. Od dawna mieszkali tu wybitni intelektualiści, wszelakiej maści artyści oraz ludzie wyjątkowi i nietuzinkowi. To oni byli stałymi bywalcami klubu, tworzyli jego klimat i przyciągali ludzi z całej Warszawy. Między innymi należeli do nich: małżeństwo podróżników i polarników oraz pisarzy – Alina i Czesław Centkiewiczowie, aktorka Pola Raksa, spikerka telewizyjna i przepiękna kobieta Bogumiła Wander, przedwojenna jeszcze piosenkarka i wytworna dama Ola Obarska i wielu innych.

Do najciekawszych pomysłów Dany należał cykl spotkań ze znamienitymi mieszkańcami Saskiej Kępy, zatytułowany „Mieszkają wśród nas, poznajmy ich bliżej", a ponadto „Laureaci nagrody miasta st. Warszawy", „Najpiękniejsze ogrody świata" i inne. Obejmowały one nie tylko spotkania, ale i prelekcje, wspomnienia, wystawy twórczości i dorobku.

Muszę przyznać, że były wyśmienite. Do dziś wspominam wystawę przepięknych akwarel Łucji i Józefa Oźminów, Krystyny Panasiuk-Oniśko, Zofii Czerwosz i wspaniałych szopek Bożonarodzeniowych Jerzego Chojnackiego, wykonanych z różnorodnych kawałków starych drzew przeleżałych długimi latami w wodach rzek, jezior i Bałtyku oraz naturalnie postarzałych przez słońce, wiatr i deszcz. Egzotycznych i wysmakowanych w kształtach i kolorach

ceramik Magdy Czerwosz. Obrazów malarstwa Józefa Korolkiewicza, Janusza Wildena, Bronisławy Wilimowskiej, grafiki i rzeźby wielu znanych artystów warszawskich i Saskiej Kępy.

Dzięki temu rodziła się też nasza kolekcja obrazów i innych dzieł sztuki. Wystawy owe połączone bowiem były przeważnie z ich sprzedażą. Podziwiając je, mieliśmy okazję wybrać i po wystawie kupić najpiękniejsze z nich, same perełki. Niekiedy niektóre z nich otrzymywała Dana, jako dowód wdzięczności za zorganizowanie wystawy, wydanie katalogu i popularyzację twórczości.

W tym też czasie i w takich okolicznościach zrodziły się nasze głębokie przyjaźnie z Olgą Siemaszko i Stanisławem Sikorą, częstymi bywalcami klubu. Ludźmi już co prawda niemłodymi, ale niezwykłymi w każdym calu. Ponadto jakże bliskimi nam osobowościami, spojrzeniem na życie, intelektem, kulturą i wyobraźnią.

Pierwszym, z którym zawarliśmy bliższą znajomość był Stanisław Sikora (ilustr. 47). Należał do najwybitniejszych polskich artystów. Urodził się w Stryszawie pod Babią Górą w Beskidzie Żywieckim. Po przodkach odziedziczył pracowitość, rzeźbiarski talent, wrażliwość na piękno, poetycką duszę i ciekawość świata. Był przy tym człowiekiem niezwykle skromnym i przyjaznym ludziom, a jednocześnie po góralsku zaradnym i umiejącym zadbać o własne interesy.

Jak się później okazało, związany także z moim regionem, albowiem w czasie okupacji uczył w Szkole Drzewnej w Kalwarii Zebrzydowskiej. Tam też działał w partyzantce, specjalizując się w dostarczaniu przez granicę Niemiec z Generalną Gubernią różnorodnych medykamentów, niezbędnych partyzantom w walce z okupantem.

Od 1930 roku mieszkał w Warszawie. Ostatnie dziesiątki lat na ulicy Saskiej, pod piątym, wraz żoną Joanną – artystką malarką. Zaś jego pracownia mieściła się na ulicy Obrońców. Z tym wiąże się pewna ciekawostka. W owym domu w 1948 roku, warszawscy artyści przyjmowali znamienitego gościa – Pabla Picassa. Przyjęcie odbyło się przy długim stole zbitym z desek, nakrytym czystym papierem pakowym i rozstawionymi nań butelkami z wódką, wędlinami, kiszonymi ogórkami i pieczywem. Tutaj też w 1989 roku, podczas wizyty hiszpańskiej pary królewskiej w Warszawie, odsłonięto tablicę pamiątkową, której autorem jest także Stanisław Sikora.

W jego pracowni bywaliśmy często, podziwiając nie tylko dokonania w postaci poustawianych przeróżnych rzeźb, ale także i artystyczny, swojski nieład, dający obraz artystycznych zmagań i bieżącej pracy koncepcyjno-realizacyjnej nad nowymi dziełami. Najmilej wspominamy chwile, kiedy mistrz tworzył w naszej obecności. Pokazywał nam pierwszym swoje nowe arcydzieła oraz chwile spędzone w pracowni lub na tarasie przy filiżankach kawy i lampkach dobrego, wytrawnego, czerwonego wina.

Bywał tu także Radek, który pomagał niemłodemu już przecież mistrzowi w cięższych pracach fizycznych oraz porządkowaniu przylegającego tarasu

i ogrodu. Tu także dostawał od mistrza pierwsze lekcje rysunku i artystycznego tworzenia. Dowodem tych lekcji pozostał do dzisiaj szkic autoportretu Radka, zrobiony wspólnie przez mistrza i ucznia. To tutaj, mądry mistrz przepowiedział Radkowi, iż zostanie w przyszłości prezydentem. Dzisiaj wszystko wskazuje na to, że spełni się ta przepowiednia. Nie będzie to prezydent kraju, lecz prezydent korporacji handlowej w Kanadzie. Ale w przyszłości kto wie, przecież ma jeszcze wiele lat przed sobą.

Z obecnością Radka w pracowni mistrza wiąże się jeszcze jedna przygoda. Będąc tam upatrzył sobie jedną z jego rzeźb, która podobała mu się niezwykle. Nazywała się „Podparta". Przepiękna, czterdziestopięciocentymetrowa rzeźba z patynowanego gipsu. Pewnego razu Stasiu zaproponował Danie, że w dowód wdzięczności może sobie wybrać dowolną rzeźbę z pracowni, byleby to nie była maska pośmiertna i dłoń Chopina. Gdy podzieliła się tą wiadomością w domu, Radek aż jęknął. Potem zaś prosił, aby wybrała właśnie „Podartą". W tym dniu, siedząc na wykładach nie mógł się skupić – jak opowiadał później Radek – stale myśląc, czy mama dokonała dobrego wyboru. Rzecz polegała na tym, że w pracowni było kilka podobnych do siebie rzeźb i Radek nie był pewien, czy Dana wybierze tę właściwą.

W swojej twórczości Stanisław był niezwykle wszechstronny, jak prawdziwy człowiek renesansu. Od samego początku rzeźbił, rysował, pisał wiersze i krótkie opowiadania, a także aforyzmy, myśli filozoficzne i przypowieści. O tym, że miał poetycką duszę niech zaświadczy ten dziecięcy jeszcze wiersz:

Będę łowił ryby w potoku
Od roku w potoku dużo ryb.
W niedzielę
Wyjdę z wędką
do czystej wody
i wtedy...
Wyłowię Cię kochana rybko
Wędką.

W rzeźbiarstwie zaczynał od rzeźb dużych i monumentalnych oraz kompozycji przestrzennych. Należał do nich, wykonany jeszcze przed wojną, pomnik generała Orlicza Dreszera w Gdyni oraz po wojnie pomnik w Mauthasen w hołdzie pomordowanym tam Polakom. W latach pięćdziesiątych zrealizował dziesiątki prac zdobiących gmachy Rady Ministrów i Sejmu, a także polskie placówki dyplomatyczne i handlowe w Moskwie i Londynie. Wykonał wiele dużych pomników, z których około dziesięciu znajduje się w samej Warszawie, między innymi Bolesława Prusa, Ignacego Paderewskiego, Stefana Żeromskiego, generała Franciszka Żymirskiego.

Uwielbiał Chopina. W jego pracowni, na honorowym miejscu, wyeksponowany był gipsowy odlew pośmiertny twarzy i dłoni. Według słów Stasia była to najcenniejsza rzecz, którą posiadał. To zapewne przekonanie sprawiło, że

wykonał bardzo udane popiersie genialnego kompozytora. Tak się podobało, iż posadowiono je na postumencie przed dworkiem w Żelazowej Woli, gdzie urodził się kompozytor. To popiersie wykonywał dwukrotnie i dwukrotnie zostało skradzione. Zawoziłem go do Żelazowej Woli po drugiej kradzieży i pocieszałem argumentując, że jest to największa pochwała dla twórcy, gdyż artystycznych gniotów nikt nie pragnie i nie kradnie. Później moje słowa jakby uzyskały potwierdzenie. Postawiono na to miejsce popiersie innego rzeźbiarza i stoi po dziś dzień. Widocznie się nie podoba, bo nie wierzę, aby w Polsce złodzieje już wyginęli.

Oprócz dużych pomników wykonał także wiele pomników nagrobnych, między innymi Karola Małcużyńskiego, Tadeusza Kulisiewicza, Stanisława Dygata, Romana Orłowskiego, Stefana Jaracza i wiele tablic pamiątkowych.

Od lat sześćdziesiątych zaczęło się u niego zainteresowanie medalierstwem. Miniaturową formą rzeźbiarską, która przecież daje tyle możliwości twórczych. Te jego małe formy, których powstało kilkadziesiąt, to prawdziwe artystyczne perełki. Tyle w nich piękna, pomysłu, kompozycji, drobnego reliefu i miękkości form, iż nie tylko są podziwiane w Polsce, Europie i świecie, ale także od razu rozpoznawalne. Były i są natchnieniem, wzorem do naśladownictwa dla wielu rzeźbiarzy-medalierów. W tej dziedzinie zaliczany jest do najwybitniejszych twórców, nie tylko sztuki polskiej, ale i światowej. Jego dokonania obrazują nie tylko przeróżne wystawy i foldery, ale także dziesiątki medali i międzynarodowych wyróżnień otrzymanych w dziedzinie rzeźby i medalierstwa.

Całe życie towarzyszył mu także rysunek. Były to przeważnie miniaturowe szkice do rzeźb i medali, ale nie tylko. Maleńkie dzieła sztuki, o specyficznej, jakby rzeźbiarskiej konstrukcji. Trochę odrealnione i syntetyczne, a przez to przepiękne i nowoczesne w wyrazie. Pod koniec jego życia zostały odkryte publicznie, zyskały uznanie i zbierały na wystawach wspaniale recenzje. Nie dłużej niż na pół roku przed śmiercią wydał przepiękną książkę o swojej twórczości, zatytułowaną „Jedno życie". Zawiera ona przede wszystkim garść wspomnień z młodości, przepiękne wiersze i krótkie poetyckie opowieści oraz właśnie te przewspaniałe rysunki. Gorąco zachęcam po sięgnięcie do tej publikacji.

Mieliśmy szczęście przez wiele lat obcować z niezwykłym człowiekiem. Ponadto byliśmy obdarowywani najpiękniejszymi wytworami jego talentu. Przypomnę tu „Podpartą". Niespotykanie piękną glinianą „Sieriotkę". Tak reprezentatywną dla jego twórczości i tak piękną, że nie było nikogo, kto by się nią nie zachwycał. A jej kształty jakby prosiły, aby ją pogłaskać. Przepiękne były także medale, jak na przykład z jego autoportretem, Paderewskiego, Broniewskiego i inne. Do dzieł o szczególnym wyrazie można zaliczyć ceramiczną płaskorzeźbę owieczek, będącą fragmentem dużej płaskorzeźby z ambasady polskiej w Moskwie. No i niesamowite żubry.

Ta ostatnia, była jedną z nielicznych, ukochanych przez Stasia rzeźb. A przy tym cenił ją niezwykle wysoko i trudno było mu się z nią rozstać. Mnie podobała się nadzwyczaj. Gdy nadchodziły moje sześćdziesiąte urodziny, Dana

w konspiracji postanowiła kupić ją dla mnie w prezencie od całej naszej rodziny, w tym także Radka, który z tej okazji przyleciał z Kanady. Pertraktacje z mistrzem trwały bardzo długo. Zaczęły się od oswajania go z samą możliwością sprzedaży, a później z ceną, która początkowo sporo przekraczała nasze możliwości. W końcu Dana dogadała się ze Stasiem, także i co do ceny. Przy tym jednak zaznaczył wyraźnie, że sprzedaje swoje ukochane „Żubry" tylko ze względu na moją osobę.

Nasz ukochany Stasiu, mimo podeszłego wieku, trzymał się dziarsko i prawie do końca był aktywny twórczo. W tym okresie odwiedzaliśmy go często, szczególnie ja, i pomagaliśmy jak mogliśmy, gdyż mieszkali samotnie z żoną, a ich dzieci były stale poza granicami kraju. Jednakże wiek robił swoje. Serce było już zużyte i pompowało słabo. To zaś powodowało stany niedokrwienne, zapalenia oskrzeli i płuc. Można więc powiedzieć, że zmarł w wyniku naturalnego zestarzenia się organizmu, przeżywszy 89 lat. Został pochowany na cmentarzu w Wilanowie. Jego grób przykrywa płyta z piaskowca, na której umieszczono niewielki owalny kamień, obrazujący ziarno. Na nim wycięto krzyż będący symbolem jego wiary.

Stałą wystawę jego twórczości można podziwiać w żywieckim zamku. Jest naprawdę wspaniała, a powstała z inicjatywy jego syna Tomka, znanego w świecie fotografika. Serdecznie na nią zapraszam. Każdy kto ją zobaczy będzie urzeczony.

Drugim naszym niezwykłym przyjacielem była Olga Siemaszko. Poznana i zaprzyjaźniona także w klubie. Osóbka filigranowa, ale jakże wielka duchem, a przy tym urocza i nad podziw utalentowana. Pochodziła, tak jak i Stasiu, z dawnej Galicji. Urodziła się w Krakowie, gdzie spędziła dzieciństwo i młodość. Studiowała w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Przed wojną przebywała w Warszawie, w czasie okupacji we Lwowie, a po wojnie początkowo w Łodzi, a później już mieszkała stale na Saskiej Kąpie, przy ulicy Bajońskiej. W czasie okupacji została ciężko doświadczona przez los. Umarł na chorobę zakaźną jej młody i ukochany mąż, lekarz niosący pomoc chorym podczas panującej wówczas epidemii. Odtąd artystka żyła samotnie, pozostając wierna swojej pierwszej i jedynej miłości.

W chwili poznania uchodziła już za legendę polskiej ilustracji, w tym szczególnie dziecięcej. Należała do twórców, jakże wspaniałej, polskiej szkoły ilustracji. To na jej rysunkach i ilustracjach książkowych wychowywały się i kształtowały swoją wyobraźnię pokolenia dzieci urodzonych w Polsce po wojnie.

W pierwszym, czyli łódzkim okresie twórczości była kierownikiem graficznym „Czytelnika" i redaktorem graficznym „Świerszczyka". Wówczas i później ilustrowała i zajmowała się scenografią teatralną. Realizowała scenografie na zamówienie znanych reżyserów teatralnych, między innymi Władysława Krasnowieckiego, Leona Schillera, Józefa Wyszomirskiego. Później, już w Warszawie, poświęciła się bez reszty ilustracji książkowej, w tym szczególnie dziecięcej.

W latach 1945–1987 ilustrowała ponad sto pięćdziesiąt książek, kalendarzy i innych druków akcydensowych. Głównie były to książki dla dzieci takich autorów, jak: Jerzy Afanasjew, Hans Christian Andersen, Władysław Broniewski, Jan Brzechwa, Lewis Carroll, Jerzy Ficowski, Johann Wolfgang Goethe, Wilhelm Hauff, Józef Ignacy Kraszewski, Janina Porazińska, Julian Tuwim. Z książek dla dorosłych ilustrowała między innymi takich autorów, jak: Marię i Władysława Broniewskich, Pedro Calderona de la Barca, Jarosława Iwaszkiewicza, Leopolda Staffa, Bruno Schulza, Juliana Tuwima.

Jak już wspominałem, Olga mieszkała przy ulicy Bajońskiej w mieszaniu na pierwszym piętrze, w budynku pod czwartym. Jej mieszkanie miało swoisty urok i pewną tajemniczość. Obwieszone starymi grafikami i sztychami oraz przeróżnymi w stylu pamiątkami tworzyło sanktuarium samotnej artystki. Jego główną częścią był olbrzymi pokój, stanowiący pracownię. Tam powstawały wszystkie jej dzieła. Tam mozolnie, przez opracowywanie kolejnych, coraz doskonalszych wersji, dochodziła do mistrzostwa i niesamowitych wrażeń artystycznych.

Obrazy i ilustracje wykonywała różną techniką, ale ulubioną było rysowanie piórkiem. Tak powstawały ilustracje do przeróżnych baśni, ale także do „Kwiatów polskich" Juliana Tuwima. Zaś ilustracje kolorowe wykonywała delikatnie pędzelkiem na różnym podłożu. Najciekawsze było jej malowanie na cieniutkim jedwabie.

W pracowni występował zawsze artystyczny nieład, jako że Olga zwykle nad czymś pracowała, bądź szkicowała pomysły, bądź pracowała nad kolejnymi wersjami jakiegoś tematu. Stały tam także olbrzymie butle z zalanym spirytusem dereniem, w których dojrzewała jakże ulubiona przez nią i jej gości – dereniówka. Zresztą sławna na całą Warszawę, jak i jej właścicielka.

Nasze spotkania towarzyskie w jej domu, z reguły odbywały się na styku kuchni z przedpokojem. Po obu stronach uchylanego do góry okna wewnętrznego. Siedzieliśmy na wysokich stołkach, przy blacie łączącym kuchnię z przedpokojem. Było to najcudowniejsze i chyba zaczarowane miejsce, gdyż na obramowaniu tegoż okna i nad nim rozmieszczone były przeróżne ozdoby, pamiątki i ciekawostki, tworzące swoją kompozycją odpowiedni, ciepły nastrój. Najważniejszą składową nastroju tworzyła cudowna w rozmowie i obcowaniu właścicielka tego zakątka oraz zestawy wspaniałego jadła i różnego rodzaju serwowanych przekąsek i trunków (ilustr. 48).

Nasza Olga była urodzoną gadułką. Mówiła tak pięknie i opowiadała tak wspaniale, że słuchaliśmy jej godzinami. A miała o czym opowiadać. Przed wojną znała prawie całą śmietankę intelektualną i artystyczną Warszawy z Jarosławem Iwaszkiewiczem na czele. W czasie okupacji i swojego kilkuletniego pobytu we Lwowie była naocznym świadkiem życia i perypetii polskiej inteligencji w tym mieście. W tym także okoliczności aresztowania przez radziecką milicją polityczną wielu artystów, o czym sporo pisał i naświetlał Aleksander Watt, a z czym nie zgadzała się Olga, jako autentyczny świadek tamtych zda-

rzeń. Jej okres powojenny był także niezwykle ciekawy. I to, co opowiadała o tym życiu od podszewki było stokroć bardziej ciekawe, niż najlepiej napisana podręcznikowa historia.

Słuchając tych opowiadań doszedłem do wniosku, że nie powinny one zaginąć. Co prawda nie tworzyły nowej historii, ale w jakże ciekawy sposób naświetlały oficjalne zdarzenia, ubarwiały podręcznikową historię i pokazywały klimat tamtych lat. Wiedziałem przecież, że mogą zaginąć bezpowrotnie. I pomny moich niespełnionych chęci i przegapionych możliwości utrwalenia na taśmie magnetofonowej osobowości wujka Frydka z Przytkowic, przymierzałem się do nagrania, tych jakże ciekawych wspomnień. W delikatny sposób zaproponowałem więc nagranie ich na kasetę magnetofonową. W tym samym czasie Olga otrzymała podobną propozycję od jakiegoś wydawcy. Niestety, długo to się ciągnęło i do skutku nie doszło. Żałuję bardzo, że w taki oto sposób nie zostały utrwalone jej niezwykle ciekawe wspomnienia. Może gdybym był bardziej natarczywy – zamiar by się powiódł, ale zbyt ją szanowałem, aby tak postępować.

Drugą atrakcją, oprócz pani domu, były zawsze jej potrawy. Objętościowo nie było tego bardzo dużo. I chwała Bogu, bo by człowiek za bardzo przytył, ale jakież to były smaki! Tego się nie da opisać. A szczególnie te wspaniałe przystaweczki, marzenie każdego smakosza. Wszystko to zostało wyniesione z domu rodzinnego i udoskonalone przez artystyczną duszę Olgi. Wiele przepisów było jakże prostych, a jednocześnie tworzyły dania o wspaniałym smaku. Na przykład sos do krewetek. Przez nas nazwany „trzy w jednym". Składał się z trzech równych porcji ketchupu, majonezu i śmietany. Naprawdę palce lizać. Do tego wspaniały, własnoręcznie pieczony chlebek, no i nieodzowne nalewki z królującą dereniówką na czele. Ponadto różnego rodzaju alkohole, przeważnie jednak unikatowe, przywożone przez jej znajomych z zagranicy.

W porze letniej Olga organizowała spotkania na dużym balkonie, zacienionym i umieszczonym na wysokości koron dużych lip. Wspaniałe towarzystwo pani domu oraz potrawy i trunki przez nią podawane, ale także ten niesamowity zapach kwiatu lipy, zapracowane pszczoły i sam klimat towarzyskiej biesiady tworzyły niezapomniane wrażenia.

A teraz także coś dla ducha. Jej dokonania twórcze nie tylko podziwialiśmy. Wiele z najlepszych kupiliśmy do swojej kolekcji. Mamy więc jej unikatowe ilustracje, plakaty i inne prace. Do najciekawszych i najpiękniejszych należy oryginał plakatu autorskiego, na którym przedstawiła siebie jako rybo podobnego stwora z pędzlami w płetwach i ogonie. A także zrobiona na nasze zamówienie niesamowita ilustracja do Bruno Schulza. Mamy także wiele jej kolorowych ilustracji i rysunków piórkiem.

Olga miała nie tylko wiele znajomości wśród warszawskich i polskich artystów plastyków, ale była przez nich traktowana jako artystyczna wyrocznia i autorytet. Była zapraszana na wszystkie znaczące uroczystości, spotkania i wernisaże. Z tych znajomości skorzystała także Dana, aby dotrzeć do Jana

Młodożeńca, przyjaciela Olgi, którego twórczość oboje z Daną podziwialiśmy. I tak też się stało. Korzystając z owej znajomości Dana kupiła ponad dwadzieścia prac Jana. Z tego zdecydowaną większość wysłaliśmy lub zawieźliśmy do Kanady. A to za sprawą synowej, która uwielbiała prace Młodożeńca i ozdobiła nimi swoje mieszkanie. Przez nią Dana poznała także Józefa Wilkonia, wielkiego przyjaciela Olgi i wspaniałego grafika ilustratora, którego twórczość robi furorę w całym świecie, a szczególnie w Japonii. Od niej także kupiliśmy dwa Nikifory, którego malarstwo naiwne podziwialiśmy i podziwiamy.

Mimo przejściowych kłopotów ze zdrowiem, w tym wylewem i częściowym, niewielkim paraliżem twarzy, nie poddawała się i do końca swoich dni była niezwykle żywotna i twórcza. Cały czas zapracowana i towarzyska. Jeszcze na kilkanaście dni przed śmiercią, pełna zapału i werwy, pracowała nad ilustracjami do książki pani Młynarskiej, mieszkającej w Szwajcarii. Zachorowała nagle i po kilku dniach zmarła w szpitalu. Podobnie jak Stasiu, przeżywszy 89 lat. Ale jako prawdziwa kobietka, do końca odejmowała sobie kilka lat. Pochowana została na Powązkach wojskowych u boku męża.

Z wielkim bólem żegnaliśmy swoich ukochanych przyjaciół. Niestety nic nie przywróci nam ich obecności. W rocznicę ich śmierci opublikowaliśmy w „Gazecie Wyborczej" wspomnienia, dając wyraz pamięci i bólu po ich odejściu (ilustr. 49).

W Ministerstwie Spraw Zagranicznych

W 1996 roku poszedłem pod kapelusz. Według wojskowej, a pewnie i całej mundurowej tradycji pójście pod kapelusz oznaczało przejście na emeryturę lub rentę. Zwrot ten powstał chyba dlatego, że wówczas czapkę wojskową zamieniało się przeważnie na kapelusz, będący najpopularniejszym nakryciem głowy starszych mężczyzn. Ja, co prawda w kapeluszu nigdy nie chodziłem, ale mundur zdjąłem i na emeryturę odszedłem w 1996 roku, zaczynając cywilne życie.

Jak każdy mundurowy przeżywałem to na swój sposób. Była to zresztą dosyć bolesna operacja, prawie jak ściąganie własnej skóry, którą nosiło się na grzbiecie ponad trzydzieści pięć lat. Przeszedłem ją jednak stosunkowo łagodnie, przez pierwszy rok odpoczywając oraz lecząc i regenerując nadszarpnięte nerwy.

Jesienią 1997 roku nasz serdeczny przyjaciel Alek Łojko, będący już na emeryturze wojskowej i pracujący dodatkowo w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, poinformował mnie, że jest praca w tej instytucji. Byłem z tej propozycji zadowolony i wdzięczny koledze za pamięć i pomoc w jej załatwieniu.

Po złożeniu odpowiednich dokumentów i przeprowadzonej w dniu 7 października 1997 roku rozmowie z dyrektorem Marcinem Klimaszewskim zostałem przyjęty do pracy na stanowisko specjalisty do spraw obronnych. Na tym stanowisku pracowałem do maja 2004 roku.

Był to niezwykle ciekawy czas pod względem politycznym. W czasie kiedy przychodziłem do pracy, ministrem spraw zagranicznych był Dariusz Rosati, reprezentujący opcję SLD. Po nim przyszedł Bronisław Geremek, którego zamienił Władysław Bartoszewski, zwany UZI, obaj z centroprawicy. UZI to izraelski, nowoczesny i popularny pistolet maszynowy. Zaś ów przydomek Bartoszewski zawdzięczał szybkości mówienia i związkom z diasporą żydowską. Po ponownym przejęciu władzy przez SLD w 2001 roku ministrem spraw zagranicznych został Włodzimierz Cimoszewicz.

Dyrektorami generalnymi MSZ w tym czasie byli między innymi: Jan Granat, Michał Radlicki i Zbigniew Matuszewski. Nie muszę mówić, że gdy u władzy zmieniała się opcja polityczna, zmieniało się także kierownictwo ministerstwa. I to nie tylko minister, sekretarz stanu, podsekretarze stanu i dyrektor generalny, ale również dyrektorzy departamentów i biur. Powodowało to spore perturbacje w pracy ministerstwa. Natomiast jeszcze większe zamieszanie i koszty powodowały wszelkie reorganizacje struktur, które były regułą przy zmianach opcji politycznej w ministerstwie.

Wszystkie reorganizacje i przeprowadzane zmiany miały natomiast jedną wspólną, niezależną od opcji politycznej, cechę. W ich efekcie systematycznie rosła ilość pracowników w centrali, ilość stanowisk dyrektorskich, ilość zakupionych i wykorzystywanych samochodów oraz innego sprzętu technicznego, a więc koszty funkcjonowania ministerstwa. Jeśli to porównamy z coraz gorszym stanem finansów państwa i stopy życiowej ludności to jest nad czym ubolewać. Pragnę jednak zaznaczyć, że MSZ w tych działaniach nie było odosobnione. Tak działo się w całej sferze budżetowej.

Były to także czasy, szczególnie po roku 2000, w których starannie wyremontowano i odnowiono główny gmach ministerstwa. A było co remontować, gdyż obiekt ów całe dziesiątki lat nie był odnawiany. W ramach modernizacji zlikwidowano salą kinową i na jej miejsce utworzono mniejszą salą audiowizualną i pomieszczenia do pracy. Na wysokości drugiego i trzeciego piętra wybudowano łącznik pomiędzy budynkami mieszczącymi się przy alei Szucha i ulicy Litewskiej. W ten sposób skierowano główny ruch pracowników wejściem od strony ulicy Litewskiej, pozostawiając wejście od strony alei Szucha jako wejście reprezentacyjne. W łączniku usytuowano również kilka sal wykorzystywanych, głównie do szkolenia. Zmieniono także przestarzały wystrój wewnętrzny budynków, wykładając schody i częściowo ściany płytami z marmuru i piaskowca, a podłogi wykładzinami drewnopodobnymi oraz chodnikami i dywanami.

Ściany zewnętrzne gmachów od stron mniej reprezentacyjnych także odnowiono i wymalowano. Wymieniono wszystkie okna na nowe, a wewnętrzne podwórko, między wymienianymi wcześniej budynkami, ciekawie zaprojektowano i wykonano, wykorzystując do tego elewacyjny piaskowiec szydłowiecki koloru żółtego, szare płyty i kostki granitowe dla utworzenia ciekawych kompozycji poziomych, ponadto gotową, zwijaną darń oraz sadzonki krzewów.

W 2004 roku rozpoczęto budowę nowoczesnego budynku ministerstwa, z tyłu, w bezpośredniej bliskości obecnego kompleksu, na miejscu garażu podziemnego.

Zmieniono także dotychczasową ochronę gmachu. Na miejsce straży ministerstwa, składającej się z pracowników cywilnych, wprowadzono funkcjonariuszy Biura Ochrony Rządu (BOR-u). W gmachu dokonano podziału na strefy dostępu i wyposażono pracowników w odpowiednie elektroniczne identyfikatory, zabezpieczające przed dostaniem się do gmachu osób niepożądanych oraz przebywaniu pracowników i gości w miejscach, do których nie posiadają oni dostępu.

Pierwsze lata XXI wieku były także latami nasilającego się terroru międzynarodowego i wojny w Iraku. Polska, jako sojusznik Stanów Zjednoczonych w tej kampanii i bezpośrednio biorąca udział w misji stabilizacyjnej w Iraku, była znacznie bardziej narażona na działanie terrorystyczne niż dotychczas. Dotyczyło to szczególnie placówek i agend rządowych, w tym szczególnie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Nasz wysiłek w tym względzie skupiał się więc na przedsięwzięciach eliminujących lub zmniejszających zagrożenie terrorystyczne i zapobiegających skutkom i rezultatom ewentualnych zamachów i innych działań skierowanych na centralę ministerstwa w kraju i nasze placówki dyplomatyczne za granicą. Jak do tej pory nasza praca daje odpowiednie rezultaty, gdyż nie zanotowaliśmy żadnych niebezpiecznych zdarzeń zagrażających życiu i zdrowiu pracowników ministerstwa tak w kraju, jak i za granicą.

Wśród pracowników ministerstwa miałem sporo przyjaciół i kolegów. Byli to przeważnie pracownicy Biura Spraw Wojskowych, a następnie Biura Bezpieczeństwa Dyplomatycznego. Należeli do nich przede wszystkim byli nauczyciele z Akademii Obrony Narodowej. Wspominany już Aleksander Łojko, pracujący później w Ambasadzie RP w Baku Lech Wdowski, Ryszard Kordas i Andrzej Podkowski, a także Andrzej Aniszewski, absolwent Wyższej Szkoły Oficerskiej Wojsk Łączności w Zegrzu i Uniwersytetu Warszawskiego, cywilni koledzy i przyjaciele nie zajmujący się sprawami obronnymi. Między innymi Jerzy Delegiewicz, początkowo kierownik Działu Technicznego w Zarządzie Obsługi, a następnie pracownik Biura Bezpieczeństwa Dyplomatycznego i konsul RP w Brześciu oraz Władysław Pasek i Krzysztof Piątek. Z tymi ostatnimi dzieliłem przez kilka lat pomieszczenia służbowe. Wszyscy byli wspaniałymi ludźmi, kolegami i przyjaciółmi, z którymi współpraca układała mi się doskonale i dla których uczucia wielkiej życzliwości, serdeczności i wdzięczności zachowuję w głębokiej pamięci.

Wspominając przyjaciół z pracy w ministerstwie, nie sposób nie wspomnieć o warunkach pracy i cechach odróżniających ją od służby i pracy w wojsku. Tym bardziej, że było to dla mnie ciekawe doświadczenie.

Na początek wspomnę o znacznie mniejszej dyscyplinie formalnej panującej w ministerstwie i formalnie mniejszym autorytecie przełożonych. Między innymi przejawiało się to w mniejszej punktualności przychodzenia do pracy i opuszczaniu miejsca pracy oraz przychodzenia na spotkania, narady i szkole-

nia. Większość z nich zaczynała się z kilkunastominutowym opóźnieniem, przy czym prowadzący i kierownicza kadra przychodzili zawsze pierwsi i czekali na uczestników danego przedsięwzięcia. Dosyć często zdarzało się także wychodzenie i przychodzenie w trakcie odbywającego się przedsięwzięcia. Było to absolutnie czymś nowym i innym niż w wojsku, w którym obowiązywała punktualność, a uczestnicy zebrań, narad i innych wojskowych przedsięwzięć oczekiwali zawsze na dowódcę, szefa, prowadzącego szkolenie. Nie mówiąc już, że każde z nich zaczynało się i kończyło meldunkiem.

Drugim ciekawym zjawiskiem był stosunek do pracy. Jakże inny od wojskowego. Pracownicy ministerstwa byli niezwykle pracowici oraz przejawiali wiele inicjatywy w ramach swoich obowiązków i przepisów, które ich obowiązywały. Nie mówię tu o poziomie merytorycznym, bo to zależało od poziomu wiedzy i umiejętności, z którymi przychodzili nowo przyjmowani do pracy, a to kształtowało się różnie, szczególnie w okresach zmian politycznych. Całe szczęście, że w niewielki sposób dotykało ono podstawowych pracowników merytorycznych ministerstwa, dzięki którym ministerstwo w miarę dobrze funkcjonowało, także przy owych zmianach i po nich. Jednocześnie ministerstwo robiło wiele w tym zakresie szkoląc pracowników, szczególnie przed wyjazdem na placówki dyplomatyczne, a w późniejszym okresie powołując do życia Akademię Dyplomatyczną.

Przy tym wszystkim jednak pracownicy ministerstwa byli „niewolnikami" przepisów. Na wszystko szukali przepisów, powoływali się na przepisy i postępowali zgodnie z nimi. Jeśli na coś nie było przepisów lub stanowiły one inaczej, wówczas była to bariera nie do pokonania i działanie w tym względzie zamierało. Co dziwne, w wojsku pod tym względem była większa swoboda. Oprócz istniejących oczywiście regulaminów i innych przepisów obowiązywała kadrę inicjatywa, przedsiębiorczość, dążenie do osiągnięcia założonego celu i wykonania każdego rozkazu, wszelkimi dostępnymi sposobami, nawet łamiąc niektóre przepisy i prawo, jeśliby stały na przeszkodzie w wykonaniu zadań.

Jest to dość ciekawy paradoks wynikający z różnych funkcji wojska i instytucji cywilnych. W cywilu kładzie się nacisk na wykonanie zadań i obowiązków instytucji oraz pracowników w ramach istniejącego i obowiązującego prawa, zaś w wojsku na takie działanie, które pozwala zrealizować zamierzone cele i wykonać każde postawione przed wykonawcą zadanie.

W okresie mojej pracy w ministerstwie miało miejsce wydarzenie, o którym warto wspomnieć. Było to spotkanie z generałem Wojciechem Jaruzelskim przedstawicieli naszego rocznika szkoły oficerskiej, promowanego przez niego w 1963 roku. Odbyło się ono wiosną 1999 roku w gabinecie generała w Al. Jerozolimskich. W spotkaniu wzięli udział przedstawiciele Stałego Komitetu Organizacyjnego R-63 w osobach: Jurek Goliński, Karol Kocialkowski, Piotr Michalski i ja. Na tym spotkaniu – jako twórca odznaki pamiątkowej absolwenta Oficerskiej Szkoły Łączności 1963 dekorowałem nią osobiście naszego promotora generała Wojciecha Jaruzelskiego (ilustr. 50). Generał otrzymał od nas także

album ze zdjęciami z promocji, a także zjazdów i spotkań oraz nasz śpiewnik i wykaz promowanych w owym czasie oficerów. Spotkanie przebiegło w niezwykle ciepłej i pełnej życzliwości atmosferze.

Zauroczenie

Około 120 kilometrów od Warszawy, jadąc w kierunku Lublina i dalej przez Puławy, rozsiadł się nad brzegiem Wisły – Kazimierz Dolny. Miasteczko niezwykłe. Przepiękne, urokliwe i mające duszę. Miasteczko, którym można się zauroczyć, w którym można się zakochać i stracić dla niego głowę. I to nas spotkało.

Ale najpierw skąd to się wzięło? Kazimierz Dolny leży na terenie Małopolskiego Przełomu Wisły. W jego najwęższej i krajobrazowo najpiękniejszej części. Pomiędzy Kazimierzem a Janowcem ma bowiem miejsce największe zwężenie doliny Wisły, a wysokość lessowych zboczy wynosi tu od osiemdziesięciu do stu metrów.

Kazimierz przycupnął na niezwykle pooranym prawym brzegu Wisły, wśród głębokich lessowych wąwozów i jarów oraz przepięknej, przebogatej i niekiedy unikatowej roślinności. Wszystko to tworzy urokliwy zakątek nie tylko w skali Polski, gdyż na niewielkiej przestrzeni nastąpiło spiętrzenie pięknego krajobrazu, wspaniałej starej architektury, ciekawej historii i jedynej w swoim rodzaju artystycznej atmosfery.

Historia, sława i uroda Kazimierza wyrosły w dawnych wiekach na handlu zbożem, o czym świadczą stojące jeszcze w pełnej krasie, chociaż oddalone już od nurtu rzeki, kazimierzowskie spichlerze. Są historycznymi pamiątkami, które już przy wjeździe do miasteczka można podziwiać. Dają także przedsmak oczekującego nas oczarowania.

Pod Górą Trzech Krzyży usytuowany jest kazimierzowski rynek z przepiękną, olbrzymią, drewnianą, starą studnią pośrodku (ilustr. 51, 52). Okalają go zabytkowe kamieniczkami, a także murowane i drewniane oraz pełne swej krasy kościoły. Z farnym w roli głównej, posadowionym nieco powyżej rynku, przy drodze prowadzącej do zamku, zabytkowej wieży i w rejon Góry.

Kamieniczki w rynku są w różnym stanie i o przeróżnej architekturze. A więc murowane, otynkowane i z wieloma ozdobami na frontonach. Do najpiękniejszych, o wystroju barokowym, należą kamienice „Pod św. Mikołajem" i „Pod św. Krzysztofem" oraz kamienica gdańska w rynku i nieco dalej położona kamienica celejowska. Do bardzo pięknych należą także domy drewniano-kamienne, kryte drewnianymi gontami. O wspaniałej kompozycji, przeważnie z podcieniami oraz kontrastowej kolorystyce, powstałej przez zestawienie ścian z białego kazimierzowskiego kamienia wapiennego, z poczerniałym ze starości drewnem. Dachy kamieniczek i domków kazimierzowskich pokryte były bądź czerwoną dachówką ceramiczną, bądź sczerniałymi gontami drewnianymi.

Kazimierz Dolny nad Wisłą jako osiedle, zwane ongiś Wietrzną Górą, istniało od zamierzchłych czasów Słowiańszczyzny. Początkowo, z nadania Bolesława Chrobrego w 1007 roku, należało do klasztoru Benedyktynów na Łysej Górze. Za panowania Kazimierza Sprawiedliwego, w 1181 roku Wietrzna Góra, przechodzi w posiadanie Norbertanek Zwierzynieckich i prawdopodobnie od tego czasu zmienia nazwę na Kazimierz.

Całkowicie zniszczony przez najazdy tatarskie, zostaje odbudowany przez Kazimierza Wielkiego, który buduje także port rzeczny i szereg spichlerzy. Jednocześnie na spadzistym wzgórzu król wzniósł zamek obronny i basztę, aby w ten sposób zabezpieczyć ten obszar przed najazdem Rusinów, Jadźwingów i Tatarów, a także zapewnić bezpieczny transport wodny i spław zboża Wisłą.

W ten sposób Kazimierz, pod troskliwą opieką króla i jego następców, rozwijał się pomyślnie. Stał się punktem handlowym dla zboża z żyznej Małopolski. Na przełomie XVI i XVII wieku liczył już ponad dwadzieścia tysięcy mieszkańców, a więc jak na owe czasy był wielki i bogaty.

Od czasów Kazimierza Wielkiego przetrwała do dziś legenda o pięknej mieszkance Kazimierza – Żydówce Esterze, która była uwielbianą przez króla kochanką. Dała mu dwóch synów: Niemira i Pełkę. To podobno dla niej król wybudował zamek w niedalekiej Bochotnicy. Owa Esterka w chwilach samotności i tęsknoty za królem haftowała piękną zasłonę, zwaną parochetem, mającą okrywać umieszczone na ołtarzu świątyni rodły, na które nawinięte były zwoje Tory. Ten parochet przez wieki uważany był przez kazimierzowskich Żydów za cudowny i był powodem ich dumy. Przetrwał do dziś w dobrym stanie.

Po bliższych badaniach, w latach trzydziestych XX wieku, parochet okazał się tkaniną chińską, która dostała się do synagogi kazimierzowskiej prawdopodobnie w drugiej połowie XVIII wieku, kiedy w całej Europie panowała moda na chińszczyznę. A piękna legenda trwa przez lata i trwać będzie, zaś parochet mimo tych przedwojennych rewelacji był pieczołowicie chroniony przez Żydów w czasie okupacji i dalej uważany jest za święty.

Okres największej świetności Kazimierza przypada na czasy Jagiellonów i Wazów, aż do wojen szwedzkich. Przyczyniły się do tego nadania i przywileje królewskie. I tak Władysław Jagiełło w roku 1406 nadał Kazimierzowi prawa miejskie, a ponadto on i jego następcy wiele przywilejów, które bogaciły miasto i jego mieszkańców.

Kazimierz pod względem handlowym należał do pierwszych miast w Polsce. Handlował prawie z całą Europą. Przybywali tu kupcy zewsząd, osiedlali się, mieli swoje filie handlowe i ekspozytury, zwane faktoriami. Byli to przeważnie Anglicy, Francuzi, Włosi i Gdańszczanie.

Najświetniejszą epoką dla rozwoju Kazimierza były czasy Zygmunta III i Władysława IV. Rozkwitło wtedy mieszczaństwo. Z niego wywodzą się biskupi oraz ród znakomitych lekarzy Oczków. Z tego okresu pochodzą także rody patrycjuszów kazimierzowskich, takich jak Przybyłowie, Czarnotowie, Górscy. Miastem opiekują się dziedziczni starostowie ze znanego w Polsce

rodu Firlejów. W tym okresie wybudowano w rynku wiele barokowych kamienic mieszczańskich, z których ocalały sąsiadujące z sobą bliźniacze św. Mikołaja i św. Krzysztofa oraz przy ulicy Nadrzecznej – kamienica celejowska.

Świetność Kazimierza przygasił najazd szwedzki za panowania króla Jana Kazimierza. Najazd ten doprowadził do ruiny miasto i jego mieszkańców. Szwedzi zburzyli zamek i zniszczyli miasto. Wyniszczeni wojną i pozbawieni środków finansowych mieszczanie pozbywali się posiadłości, które nabywali Żydzi, Ormianie i inny element napływowy. Ostateczny cios miastu zadał drugi najazd szwedzki, kiedy to Szwedzi zburzyli odbudowany zamek i zniszczyli doszczętnie miasto. Na dodatek w 1705 roku ludność zdziesiątkowała „morowa zaraza". Jej upamiętnieniem są trzy krzyże ustawione na górze zwanej odtąd Krzyżową, a później Górą Trzech Krzyży (ilustr. 51). Historycznej goryczy dopełnili Rosjanie w 1792 roku, rabując ponownie miasto i burząc resztę zamku. Zaś w 1867 roku znieśli magistrat i zamienili miasto w osadę wiejską.

Po uzyskaniu niepodległości przez Polskę w 1918 roku miasteczko upodobały sobie elity artystyczne i kulturalne. W tym czasie powstało wiele willi i ciekawych budynków, wiele się także odrestaurowano.

Do wybitniejszych postaci tamtego okresu należał m.in. profesor Tadeusz Pruszkowski z warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, który każdego lata od 1923 roku przybywał tu ze swoimi studentami na organizowane w Kazimierzu plenery. Cała ta grupa nie tylko ubarwiała atmosferę miasteczka, lecz także propagowała jego piękno i niewątpliwy urok.

Kolejną osobliwością i dobrym duchem tamtych czasów w Kazimierzu był Edmund John. Absolwent warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych i jej wieloletni starszy asystent. Wysoki, szczupły, w granatowym berecie na głowie i z nieodłączną fajką w zębach, doskonały gawędziarz i wielbiciel dobrych trunków, zaprzyjaźniony z mnóstwem malarzy, architektów, aktorów i literatów.

Dobry duch Kazimierza, uwielbiany przez artystów i stałych mieszkańców. Zwany panem Johnem lub po prostu Edziem.

Słynął także ze wspaniałych palindromów, będących wyrazem lub zdaniem, które jest tak ułożone, że można je czytać także wspak. Na przykład: „Kobyła ma mały bok". Pan John ułożył ich setki, a najpopularniejszy z nich to – „Wódy żal dla Żydów". Palindromy owe nadawały się głównie do cytowania w towarzystwie męskim, i to – po dużej wódce. Tak były jurne i dosadne. Damom serwował utwory w rodzaju: „Oto łza z nizin za złoto". Panom – takie jak ów, najbardziej jeszcze delikatny: „Ogół dyma damy długo". Zaś ułożony na cześć swojego przyjaciela Suzina, zresztą także architekta i ojca znanego nam z telewizji spikera Suzina, brzmiał: „Aj, i pani z ust Suzina pija".

Skoro już jestem przy palindromach pozwolę sobie zacytować jeden ze znacznie późniejszych i niedotyczących Kazimierza, lecz niewątpliwie interesujących: „Popija rum as, samuraj i pop".

Kolejną duszą towarzyską Kazimierza tamtych lat był znany lubelski literat Konrad Bielski, zwany Kondzio. Wspaniały gawędziarz i uroczy kompan przy

biesiadnym stole, związany z Kazimierzem od lat wczesnej młodości. Przyjaciel Adolfa Rudnickiego, Adama Ważyka, Antoniego Michalaka i wielu innych osobistości świata kultury i literatury.

Jedną z najbardziej barwnych postaci międzywojennego Kazimierza był miejscowy restaurator Bolesław Frankowski. Wielki przyjaciel artystów, człowiek o naturze sarmackiej i duszy słowiańskiej, prowadzący restaurację o nazwie „Kawiarnia zdrowia", mieszczącą się w rynku w kamienicy „Pod Krzysztofem". Powołujący się na szlachecki rodowód Frankowski wspierał jak mógł artystów, karmiąc ich prawie bezpłatnie, a darowane przez nich obrazy wieszał na ścianach swojego lokalu.

I na koniec tych nielicznych ciekawostek o ludziach przedwojennego Kazimierza trzeba wspomnieć o Jerzym i Marii Kuncewiczach. Ludziach niezwykłych, którzy pokochali Kazimierz, mieszkając tam przed wojną wiele lat. Najpierw w starym domu, a następnie budując „Kuncewiczówkę", do dziś stojącą na końcu Wąwozu Małachowskiego, za Domem Dziennikarza. Piękną i stylową drewnianą willę usytuowaną na kondygnacji z białego wapiennego kamienia. Byli sławni z działalności politycznej, społecznej, a przede wszystkim pisarskiej i w Związku Literatów Polskich.

I przyszedł rok 1939, w tym kampania wrześniowa, a w jej następstwie okupacja niemiecka, prześladowania mieszkańców Kazimierza i holokaust ludności żydowskiej. Następnie ofensywa Armii Czerwonej, kolejne zniszczenia w Kazimierzu, ale i wyzwolenie.

Już w kilka miesięcy po zakończeniu okupacji niemieckiej powraca do Kazimierza architekt Karol Siciński, który był projektantem wielu wznoszonych w latach międzywojennych wilii i budowli użyteczności publicznej, w tym także willi Kuncewiczów, Berensów, Potworowskich i innych. I znowu pełen twórczego zapału przystąpił do przywracania miastu jego dawnej świetności. Oceniając jego przedwojenną i powojenną działalność można powiedzieć, że dla architektury Kazimierza był on tym, czym dla architektury Zakopanego Witkiewicz.

W latach pięćdziesiątych na kazimierzowski rynek powrócili artyści. Część zakochanych w Kazimierzu jeszcze z przed wojny i ci młodsi, którzy poznawali jego uroki po raz pierwszy. Na rynku widywało się Mariana i Kazimierza Brandysów, Stanisława Dygata, Adama Ważyka, Adolfa Rudnickiego, Edmunda Johna, Henryka Stażewskiego, Krzysztofa Teodora Toeplitza, a ze sztalugami Władysława Filipiaka i Zenona Kononowicza. Powstał także, jako pierwszy, Dom Architekta w rynku, a w 1964 roku na końcu Wąwozu Małachowskiego Dom Prasy – ośrodek wypoczynkowy i szkoleniowy RSW „Książka, Prasa, Ruch", ponadto wiele innych pomniejszych ośrodków wypoczynkowych.

Jedną z niewątpliwie najbardziej atrakcyjnych imprez organizowanych od wielu lat w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą są Festiwale Kapel i Śpiewaków Ludowych, połączone z pokazami sztuki ludowej i festynami, które odbywają się corocznie na przełomie czerwca i lipca. Rzecz sama w sobie wspaniała. Warta uczestnictwa i przeżywania, jedyna w swoim rodzaju i godna polecenia.

Do następnych atrakcji należą organizowane co roku w sierpniu Festiwale Filmowe i Artystyczne. Prezentuje się na nich przede wszystkim nie komercyjne i ciekawe filmy i dokonania artystyczne. Nie muszę mówić, że przyciągają one nie tylko artystów, ale i widzów, którzy są zainteresowani sztuką ambitną i ciekawą.

Gdy dodamy do tego wiele przeróżnych sklepików, galeryjek z obrazami mieszczących się w niewielkich lokalach, podcieniach budynków i na świeżym powietrzu oraz weekendowe targi staroci i rzemiosła ludowego na placu nad Grodarzem, no i atrakcje piekarni Sarzyńskiego, w tym wspaniale wypiekane koguty, to mamy chociaż przybliżony obraz życia miasteczka w letniej porze.

Późną jesienią, zimą i wczesną wiosną jest już znacznie gorzej. Miasteczko pustoszeje, pozostają prawie sami mieszkańcy Kazimierza. Goście przyjeżdżają już rzadziej, imprez jest niewiele i pozostaje tylko oczekiwanie następnego lata.

Nasze pierwsze spotkania z Kazimierzem rozpoczęły się dosyć późno, bo dopiero pod koniec lat osiemdziesiątych. A to za sprawą wyjazdów samochodowych na wędrówki po Bieszczadach. Po drodze zwiedzaliśmy właśnie Kazimierz, Nałęczów, Lublin. Kazimierz wywarł na nas olbrzymie wrażenie i zauroczył od samego początku.

Na początku lat dziewięćdziesiątych nasze wizyty w tym mieście stawały się coraz częstsze, w związku ze służbowymi wyjazdami Dany, która w ukochanym przez nas Kazimierzu organizowała dla firmy konferencje, szkolenia i inne imprezy. Korzystaliśmy z tego, poszerzając krąg zwiedzania i wycieczek pieszych poza obręb samego Kazimierza. Buszowaliśmy więc w różnych rejonach Kazimierskiego Parku Krajobrazowego. Do naszych ulubionych należała trasa prowadząca początkowo brzegiem Wisły w kierunku południowym do kamieniołomu. Za nim stromym leśnym wejściem na wzniesienie do ruin dużego, starego domu z białego wapienia i dalej drogą na południe, na cypel, z którego roztaczał się wspaniały widok nie tylko na bliski Mięćmirz, ale także na płynącą od południa Wisłę. Kto nie obserwował tego widoku niech żałuje. Jest przepiękny.

W swoich wędrówkach zapędzaliśmy się do Mięćmierza i jeszcze dalej. Podziwialiśmy tam przepiękny stary wiatrak, stojący nad wiślanym urwiskiem oraz wiele innych ciekawostek architektonicznych i kulturowych.

W latach dziewięćdziesiątych, a szczególnie w ich drugiej połowie, dojrzeliśmy już do kupna nieruchomości poza stolicą. Szukaliśmy więc czegoś ciekawego w wielu miejscach pod Warszawą, ale nie tylko. W tej sytuacji nasz wybór padł na ukochany Kazimierz Dolny nad Wisłą. Zaczęliśmy częściej jeździć do Kazimierza i szukać działki pod budowę domu lub działki z domem do remontu. Marzyło nam się, aby to było blisko rynku.

Bardzo pomocny w tym przedsięwzięciu okazał się, poznany wcześniej przez Danę, dyrektor Domu Prasy lub jak go inni zwali Domu Dziennikarza – nomen omen mój imiennik Witold Mazurkiewicz. Lublinianin, od dawna zasiedziały w Kazimierzu, znający wszystkich i okoliczne możliwości. To on podpowiedział nam gdzie szukać nieruchomości. Dał także kilka namiarów.

Ten okres i prawie stałe wyjazdy do Kazimierza oraz ciągłe wędrówki po wszystkich jego zakątkach sprawiły, iż w naszych oczach stawał się coraz piękniejszy i bardziej urokliwy. Niestety, nieruchomości do sprzedania było niewiele, a ich ceny bardzo wysokie, wielokrotnie przekraczające nasze możliwości.

Gdy więc pewnego dnia schodząc w dół od Domu Dziennikarza i Kuncewiczówki w kierunku szosy zobaczyliśmy dużą, piękną, lecz mocno zarośniętą polanę, a na niej, w jej dolnej części stojący nieduży, murowany, w dość opłakanym stanie surowym zamkniętym budynek, uznaliśmy, że trzeba koło tego pochodzić. Położenie owej nieruchomości było wspaniałe, domek w kształcie mogącym się podobać, a oczami wyobraźni widzieliśmy już jak będzie wyglądał po remoncie. Był to dom parterowy, podpiwniczony z mieszkalnym poddaszem i podcieniami usytuowanymi z dwóch stron budynku.

O właściciela tej nieruchomości zapytaliśmy wspomnianego już Witolda Mazurkiewicza, który poinformował nas, iż owa polana i poniżej położony dom wypoczynkowy „Rzemieślnik" jest własnością cechów lubelskich. Nawiązaliśmy więc kontakt z prezesem cechu budowlanego panem Florianem Żwirkiem, który poinformował nas, że cała działka ma około hektara powierzchni i jest własnością trzech cechów, z których cech budowlany posiada 51% udziałów, a ponadto, że są zainteresowani sprzedażą owej nieruchomości. Ucieszyło nas to bardzo. Był tylko jeden szkopuł: cena za całą nieruchomość była tak wysoka, iż przewyższała znacznie nasze możliwości.

W tej sytuacji Dana wpadła na pomysł, by kupić ową nieruchomość wspólnie z Kominczami ze Szczecina. Dokonaliśmy nawet wspólnej wizji lokalnej na miejscu w Kazimierzu. Planowaliśmy, że po zakupie podzielimy nieruchomość na dwie części. Górna, z domem w stanie surowym przypadnie nam, zaś dolną z domem wypoczynkowym Kominczom i może być wianem dla ich starszej córki Alicji. Dana sugerowała także, iż po przeprowadzeniu się nas do Kazimierza może prowadzić ten dom wypoczynkowy. My zaś planowaliśmy wyremontować ów górny dom i zamieszkać w nim na stałe.

Niestety projekt ten nie doszedł do skutku. W związku z tym postanowiliśmy ubiegać się o podział całości na dwie części. Część dolną i górną. Część dolna pozostałaby w rękach cechów, a my kupilibyśmy górną.

Prezes Florian Żwirek był nawet temu przychylny, gdyż uważał, iż jego cech nie powinien pozbywać się domu wypoczynkowego. Niestety prezesi innych cechów byli temu przeciwni i chcieli sprzedać wszystko od razu. Zażądali także, aby odbyły się odpowiednie przetargi. Podano ogłoszenia w prasie i ustalono cenę wywoławczą na 450 000 złotych. Niestety, takich pieniędzy nie mieliśmy. Całą nieruchomość kupił biznesmen z Lublina dając od ręki ponad pół miliona złotych. I tak skończyły się nasze marzenia o zamieszkaniu w pięknym Kazimierzu. A przez niezdecydowanie i częstą zmianę poglądów niektórych prezesów w trakcie naszego starania się o kupno tej nieruchomości, straciliśmy ponad trzy lata czekając na decyzje i konkrety.

Z bólem i żalem pożegnaliśmy się z marzeniami o zamieszkaniu w Kazimierzu Dolnym na Wisłą. Swoje zainteresowania skierowaliśmy ponownie w okolice Warszawy. Niestety, przez te lata ceny działek pod Warszawą znacznie wzrosły. Straciliśmy więc nasz ukochany Kazimierz i przyszło nam później zapłacić znacznie wyższą cenę za podwarszawską nieruchomość.

Miejsce na ziemi

Znowu zaczęliśmy szukać działek bezpośrednio pod Warszawą, a także w jej dalszych okolicach. Na początku na zachód i południowy zachód od Warszawy. Przeważnie na południe i południowy zachód od Piaseczna, a więc w rejonie Zalesia Dolnego i Górnego, Łosia, Prażmowa, Ustanowa. Ponadto na wschodnich obrzeżach Puszczy Kampinoskiej.

Niestety, w tych rejonach ceny działek dochodziły do pięćdziesięciu i więcej dolarów za metr kwadratowy, a cena dolara kształtowała się na poziomie około czterech złotych i trzydziestu groszy. Były to więc ceny wygórowane, jak na naszą kieszeń, tym bardziej, że marzyliśmy o działce większej obszarowo, aby czuć się swobodnie i nie zaglądać sąsiadom prosto w okna, a ponadto, by było na niej trochę lasu i trochę wolnej przestrzeni na ładny trawnik oraz drzewka i krzewy owocowe.

Uwagę swoją zwróciliśmy więc na rejony leżące w odległości około 40–60 kilometrów od Warszawy w kierunku północno-wschodnim. Było to podyktowane faktem, iż te rejony były mocno zalesione, a ziemie liche, więc tanie.

Korzystając z gazetowych ogłoszeń odkryliśmy dwa ciekawe miejsca. Jedno kilka kilometrów na wschód od Stanisławowa, a drugie o około dziesięć kilometrów dalej, także w kierunku wschodnim.

Pierwsze z ich znajdowało się na południowo-zachodnim skraju lasu. Przedstawiało sobą trzy zabudowania oraz półhektarowy sad. Wszystko ogrodzone siatką metalową w niezłym stanie,. Do zabudowań dojeżdżało się leśną drogą. Wstępu do nich broniła metalowa brama z furtką, przez którą wjeżdżało się i wchodziło na podwórze. Był to plac ze studnią pośrodku, wokół którego półkoliście rozmieszczone były trzy budynki. Budynek lewy – drewniany, ale otynkowany, skierowany frontem na południe. Budynek środkowy – wykonany z białej cegły, stojący frontem do podwórza, czyli w kierunku wschodnim, zaś trzeci – prawy, o charakterze gospodarczym, zbudowany z betonu komórkowego, usytuowany także frontem w kierunku południowym, czyli do podwórka.

Przez swoje usytuowanie posiadłość ta sprawiała przyjemne wrażenie. Na południe i zachód rozpościerały się pola uprawne z przewagą uprawy zbóż, zaś na horyzoncie widniały lasy. Od północy i wschodu zabudowania przylegały do lasu, który stanowił ich naturalną osłonę. Także same zabudowania, z po-

dwórkiem pośrodku i dużym rozłożystym dębem między pierwszym, a drugim domem, wyglądały ciekawie i mogły się podobać.

Jednak przy bliższym poznaniu okazało się, że budynek drewniany był wielokrotnie plądrowany przez złodziei, w środkowym mocno pękła zachodnia ściana, natomiast północny przedstawiał sobą tylko stan surowy zamknięty. Można w nim było urządzić dwa garaże i małą izbę mieszkalną lub pomieszczenie gospodarcze. I co nie mniej ważne: cena była w miarę przystępna, gdyż chciano za całą nieruchomość około 40 tysięcy złotych.

Drugie miejsce było nie mniej ciekawe. Od najbliższej wioski dzielił je co najmniej kilometr. Podjeżdżało się tam skrajem ładnego lasu. Na jego końcu i w narożniku tej posiadłości znajdowała się cała ukryta w bzach, ciekawa w formie, murowana kapliczka. Dalej zaś, zbudowana z czerwonej cegły, stała leśniczówka. Za nią studnia z betonowych kręgów, a za nią nieduży budynek gospodarczy, którego ściany zbudowane były z bielonych polnych kamieni, na których sterczały resztki słomianego dachu. Działka wraz tymi zabudowaniami przylegała jednym bokiem do lasu. Po drugiej zaś stronie rosły kępy ciekawych brzóz. Na posesji rosło także kilka starych drzew owocowych.

Jak okiem sięgnąć, jedynym sąsiadem było gospodarstwo oddalone o około pół kilometra lub trochę więcej. Poza tym przed oczami rozpościerały się obszary równinne, na których królowały przeważnie nieużytki, zakrzaczenia oraz trochę ziemi uprawnej.

Z zewnątrz dom wyglądał solidnie, chociaż był kryty papą. W środku zaś do zamieszkania nadawało się pół domu, to znaczy kuchnia, pokój i łazienka. No i cena była niezwykle atrakcyjna, bo właściciel chciał za całość dwadzieścia dwa tysiące złotych.

Oba te miejsca można było sobie wymarzyć na letni i weekendowy wypoczynek. Miały jednak te mankamenty, że były zbyt odległe od Warszawy, a także od najbliższych zabudowań, sklepów i posiadały kiepski dojazd w okresie jesienno-zimowym. Ponadto zabudowania stojąc na odludziu były narażone na włamania, dewastacje i kradzieże. Jeździłoby się tam rzadko, a ciągłe włamania i kradzieże skutecznie zniechęcałyby do przebywania tam i utrzymywania tych nieruchomości w należytym stanie. Jedynym efektem dotychczasowych wyjazdów było poznanie bliższych i dalszych okolic Warszawy oraz wykonanie wielu ciekawych zdjęć. Dwa z nich przedstawiam w postaci ilustracji 53 i 54.

Wróciliśmy więc znowu w pobliże Warszawy, ale z założeniem by penetrować jej wschodnią część, położoną na prawym brzegu Wisły. Jeździliśmy więc w okolice Marek, Nieporętu i Wieliszewa na północy, Wesołej i Sulejówka na wschodzie i Józefowa, Otwocka, Góraszki, Wiązownej i Celestynowa na południu. W te ostatnie rejony zgodnie z sugestią Przemka i Ani, którzy dosyć często wyjeżdżali na wypoczynek w lasy Mazowieckiego Parku Krajobrazowego, w tym szczególnie w rejon Góraszki.

Jadąc kiedyś szosą nr 721 Józefów–Wiązowna, przez miejscowość Emów, zobaczyliśmy ładny murowany domek widniejący zza okazałych sosen. Na skraju

wjazdu widniał także napis – sprzedam działkę. Zatrzymaliśmy się i weszliśmy na kiepsko ogrodzoną posesję, oddaloną od szosy około trzydzieści metrów.

Po przejściu leśną drogą dojazdową około osiemdziesięciu metrów doszliśmy do owego domu. Był to dom drewniany, parterowy, kryty papą i licowany od zewnątrz czerwoną, ceramiczną, płasko kładzioną cegłą. Wyglądał ciekawie, chociaż był już w nienajlepszym stanie. Na widocznej na podejściu ścianie z czerwonej cegły widniały słabo odbijające się od czerwieni, wykonane czarnym węglem rysunki i napisy. Przedstawiały one stylizowane drzewa iglaste oraz napisy: teren sanatoryjny, woda oligoceńska.

Oceniając później tę reklamę muszę stwierdzić, iż jej pierwsza część polegała na prawdzie, zaś drugą bardzo trudno było sprawdzić. Właścicielka twierdziła, że wywiercona przez męża studnia zawiera wodę oligoceńską. Wątpiłem w to, gdyż nie było na to żadnych dowodów. No może poza jedną poszlaką. Był nim dokument z banku potwierdzający, iż właściciel otrzymał kredyt na budowę studni o głębokości ponad 200 metrów. Jednakże w gminie Wiązowna nie było na to dowodów w postaci zezwolenia na budowę studni głębinowej o takiej głębokości. Były jeszcze inne przesłanki, które poddawały w wątpliwość głębokość studni, lecz nie wykluczały jej. Na przykład fakt, iż woda ze studni ciągniona była przez hydrofor jednofazowy, a więc mogący zasysać wodę maksymalnie z 8–10 metrów. No, ale na Mazowszu występuje zjawisko półartezyjskie i woda z dużych głębokości może sama, pod własnym ciśnieniem, podchodzić pod powierzchnię ziemi. Nie mając pewności do końca, co do składu i pochodzenia wody, oddałem ją do badania w Oddziale Laboratoryjnym Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej przy ul. Żelaznej 79 w Warszawie. Wyniki przerosły nasze najśmielsze oczekiwania. Standardowo badane parametry chemiczne i bakteriologiczne wody z tej studni były wspaniałe. Woda była krystalicznie czysta.

Jak się później okazało mieliśmy szczęście, gdyż zastaliśmy właścicieli, którzy bywali tam rzadko. Była to starsza pani o nazwisku Kukieła, właścicielka działki oraz jej syn z sympatią. Oglądnęliśmy dom i pozostałą część posesji. Okazało się, iż za domem znajduje się spora, bo około 25 arowa polana. Na niej królowały zaś wielkie kępy dziko rosnącego bzu, rozległe kępy dzikiej róży, przeróżne i przeważnie rachityczne stare jabłonie, wiśnie i inne drzewa owocowe. Natomiast na jej obrzeżu przeważały światłolubne akacje (robinie, grochodrzewy), a za nimi dorodne sosny, stanowiące jak gdyby otulinę tej małej polany. Wszystko to miało dziki wygląd, nad którym nikt od dziesiątków lat nie starał się zapanować.

Dom od strony południowej posiadał zadaszoną i oszkloną werandę, a od północnej przybudówkę, która w latach okupacji pełniła rolę stajenki. Do domu wchodziło się od południa przez werandę i drugimi drzwiami od północy. Idąc przez werandę wchodziło się do małego przedpokoju, z którego prowadziły drwi: z lewej do komórki na narzędzia, na wprost do kuchni i z prawej do pokoju mieszkalnego. Drzwi od północy prowadziły do drugiego bardzo ma-

łego przedpokoju, skąd w prawo prowadziły schody na strych, na wprost do kuchni i w lewo do drugiej kuchni. Kuchnia zasadnicza była więc pomieszczeniem przechodnim, podobnie jak druga kuchnia i pierwszy pokój mieszkalny, przez które przechodziło się do dalszych pokoi mieszkalnych. Pomieszczenia w części mieszkalnej były także przechodnie, a więc łączyły się ze sobą drzwiami i można było chodzić przez nie w kółko. Na strychu znajdowały się dwa otynkowane, trochę niższe pomieszczenia, które można było wykorzystywać jako pokoje mieszkalne w okresie lata. Wygląd domu od strony południowo-wschodniej przedstawia ilustracja 55.

Dwie kuchnie oraz możliwość podziału domu na dwie części mieszkalne pozostały jako relikt okupacji hitlerowskiej. W tym okresie mieszkały w tym domu dwie rodziny, jedna z nich użytkowała dwa pokoje z kuchnią, a druga pokój z kuchnią.

Właścicielka potwierdziła zamiar sprzedaży i zapoznała nas z historią domu oraz podała cenę sprzedaży nieruchomości. Dom został zbudowany w latach dwudziestych XX wieku, jako podmiejski dom letniskowy. Wykonany był w technologii fińskiej, którego dosyć płytkie fundamenty wybudowano z betonowych bloczków. Całość posiadała konstrukcję drewnianą, od zewnątrz obitą deskami i w latach następnych obłożoną płasko cegłą dziurawką. Od wewnątrz konstrukcja obłożona była także deskami, które obito trzciną i otynkowano. Ściany i sufity wewnątrz konstrukcji ocieplone były trocinami lub igliwiem, czyli materiałem miejscowym, który w owych czasach szeroko stosowano i którego było w pobliżu pod dostatkiem. W pokojach mieszkalnych stały dwa duże piece kaflowe w kolorze białym, a w kuchniach także po jednym sporym piecu kuchennym, zbudowanym także z białych kafli.

Dom ten wraz dwoma innymi powstał na gruntach wykupionych od państwa Łysików, gospodarujących w tych okolicach. Grunt wykupili i podzieli: pan Grabowski, pan Winkler i pan Kozłowski. Obszar tych działek mieścił się między gospodarstwem rolnym Witkowskich i właśnie Łysików. Działka sąsiadująca z ziemią Witkowskich była tą, która tak nas interesowała i należała w dawnych czasach do Jana i Pauliny Winklerów. Jan Winkler był mieszkańcem Warszawy, z zawodu urzędnikiem, a także wedle słów właścicielki – autorem wielu piosenek śpiewanych przez Mieczysława Fogga.

Domy budowano w ten sposób, iż na początek wybudowano dom dla ekipy budowanej i ich rodzin, a następnie ekipa ta mieszkając tam z rodzinami budowała po kolei owe trzy domy letniskowe. Na miejscu, gdzie stał ów dom budowlańców, stoi obecnie dom zamieszkały przez państwo Lamertów.

Posiadłość Winklerów podczas wojny zamieszkiwana była na stałe przez dwie rodziny. Po wojnie stała się znowu posiadłością wypoczynkową i rzadko była odwiedzana i wykorzystana. Po Winklerach posiadłość w spadku otrzymał ich syn, który na początku lat dziewięćdziesiątych sprzedał ją Stanisławowi Kukiele. Ten zaś, przed śmiercią przepisał ją na byłą żonę Krystynę, która w ten sposób stała się jej właścicielką.

Pani Kukieła zapytana o cenę działki podała kwotę 15 dolarów za metr kwadratowy. A że działka liczyła 6700 metrów kwadratowych, czyli 67 arów, to łatwo obliczyć, iż jej cena wyniosła 100 tysięcy 500 dolarów. Była to cena olbrzymia i dla nas „niestrawna".

Jednocześnie działka bardzo nam się podobała. Leżała bowiem w pięknych sosnowych lasach, w których mieściły się sanatoria (np. Dzieciakowo) i ośrodki wypoczynkowe, a także była usytuowana w Mazowieckim Parku Krajobrazowym. Na północny zachód, prawie po sąsiedzku, znajdowała się duża, położona wśród lasów przepiękna polana, pozostała po gospodarstwie Witkowskich. To na nią, przeważnie o poranku, wychodziły piękne sarny, aby wygrzać się po nocnych chłodach. Jeśli jeszcze do tego dodamy, iż były to także tereny grzybodajne, obfitujące w prawdziwki, podgrzybki, kurki, rydze, zielonki, kanie, opieńki i wiele innych grzybów, to będziemy mieć obraz naszego oczarowania tym otoczeniem.

Sto metrów od działki, w kierunku zachodnim, płynęła Mienia. Jedna z najpiękniejszych rzeczek Mazowsza. Zarośnięta niezwykle bujną, liściastą roślinnością oraz meandrująca i posiadająca wysokie, bo dochodzące nawet do kilkunastu metrów, brzegi, była prawdziwym cudem natury. Wędrując wzdłuż niej miało się wrażenie, iż jest się w południowoamerykańskiej dżungli. Ale rosły tam także olbrzymie wiązy, wielowiekowe potężne i dostojne dęby oraz inne ciekawe i rzadkie okazy drzew i krzewów. Nad jej brzegiem, w dolnej części, rozsiadła się także nowo wybudowana w stylu wiejskim stadnina, ze sporą ilością koni oraz różnego ptactwa. Jej szeroka na około dziesięć metrów powierzchnia wartkiej wody, mieniąca się w docierających tu i ówdzie promieniach słońca, tworzyła przepiękne widoki. Może to od tego jej nazwa – Mienia (ilustr. 56). A na koniec ciekawostka. W 2003 roku nad Mienię przywędrowały bobry. Co będzie dalej pokaże czas. Aby się jednak nie okazało, że przyniosą więcej szkody niż pożytku.

Posiadłość ta była także świetnie położona. Kilka kilometrów od Józefowa i Otwocka, a więc od obrzeży Warszawy, około 21 kilometrów od miejsca naszego zamieszkania i 25 kilometrów od centrum Warszawy. Posiadała świetny dojazd, co w warunkach warszawskiego tłoku na ulicach i szosach jest rzeczą ważną. Można było do niej dojechać i wrócić czterema drogami. Pierwszą jadąc na Terespol i w prawo na Lublin, drugą i trzecią jadąc po obu stronach torów kolejowych prowadzących z Warszawy do Otwocka i dalej oraz czwartą – jadąc Wałem Miedzeszyńskim nad Wisłą.

Niestety zaproponowana cena była dla nas za wysoka. Jednocześnie sprawdziliśmy, iż ceny działek w tym rejonie wynosiły 12 dolarów za metr kwadratowy. Taką też cenę zaproponowaliśmy właścicielce. Mimo iż nie wyraziła zgody na tę cenę pozwoliła nam przyjeżdżać na działkę, korzystać z jej uroków i odpoczywać na niej. Miała chyba cichą nadzieję, że jeszcze bardziej nam się spodoba, polubimy ją i przystaniemy na zaproponowaną przez nią cenę. Później przez kilka dobrych miesięcy toczyły się między nami pertraktacje w sprawie ceny. My trwaliśmy twardo przy swojej, zaś właścicielka przy swojej.

W międzyczasie dalej szukaliśmy działek. Oglądaliśmy tereny w Emowie, ale po drugiej stronie Mieni, a także na pograniczu Józefowa i Otwocka. Na samej granicy Józefowa i Emowa, przy ulicy Rolniczej odkryliśmy piękną leśną działkę ze spalonym, niewielkim domkiem rekreacyjnym. Działka miała około 3500 metrów kwadratowych i przystępną cenę. Niestety nie miała statusu działki budowlanej, a budowanie na dziko nie wchodziło w rachubę.

Pod koniec 2000 roku przedzwoniła do nas właścicielka owej nieruchomości i oznajmiła, iż jest zdecydowana sprzedać posiadłość w cenie 13 dolarów za metr kwadratowy. Zdecydowanie odmówiliśmy, twierdząc, że teraz metr kwadratowy tej działki nie jest wart więcej niż 10–11 dolarów, jednakże jesteśmy słowni i możemy zapłacić wcześniej proponowaną cenę, czyli 12 złotych za metr kwadratowy. Po długim namyśle właścicielka przystała na zaproponowaną przez nas cenę, chociaż do samego końca molestowała nas o cenę 13 dolarów za metr kwadratowy. Później dowiedzieliśmy się, że pieniądze były jej potrzebne dla córki, która rozkręcała jakiś interes.

Podpisanie umowy notarialnej przesunęliśmy na pierwsze dni stycznia 2001 roku z dwóch powodów. Po pierwsze – opłaty notarialne w 2001 roku, związane z zakupem działki miały być znacznie niższe niż w 2000 roku i po drugie – nie mieliśmy w 2000 roku takiej kwoty pieniędzy. Do tego należy dodać, że początkowo ustaliliśmy, iż połowę kwoty zapłacimy w dolarach, a połowę w złotówkach. Później jednak właścicielka zmieniła zdanie i zażądała całej kwoty w dolarach.

Według umowy za nieruchomość zapłaciliśmy 80 tysięcy 400 dolarów, co w przeliczeniu na złotówki, po panującym wówczas kursie 1 dolar = 4,3 zł, wynosiło 345 tysięcy 720 złotych. Aby zapłacić taką sumę musieliśmy pożyczyć 100 tysięcy złotych. Po połowie tej sumy pożyczyliśmy od krewnych Dany, szwagra – Henia Komincza i brata – Mirka Pieszko. Połową tego długu spłaciliśmy w 2001 roku i drugą w 2002 roku.

Po podpisaniu umowy kupna-sprzedaży byliśmy bardzo szczęśliwi. Czuliśmy się po raz pierwszy prawdziwymi posiadaczami. I chociaż mieliśmy duży dług do spłacenia, to wiedzieliśmy, że z tym sobie poradzimy. Spełniło się nasze marzenie. Posiadaliśmy piękną i obszarowo sporą posiadłość, na której w przyszłości można zbudować dom, nawet dla obu synów. Znaleźliśmy swoje miejsce na ziemi.

Przez cały 2001 i 2002 rok nie mogliśmy nacieszyć się działką, więc w każdej wolnej chwili jeździliśmy do Emowa. Podziwialiśmy piękno przyrody i bezpośredniego otoczenia. Jednocześnie zabraliśmy się z kopyta do jej porządkowania. Rozebraliśmy przybudówki, wymalowaliśmy ściany w pomieszczeniach, pościągaliśmy trochę sprzętu domowego i gospodarczego oraz wywieźliśmy na śmietnik wiele starych mebli, przeróżnego żelastwa i innych przedmiotów, które tam stały od dziesiątków lat.

Na polanie wykarczowaliśmy stare drzewa owocowe, pozostawiając na środku jedną stosunkową młodą jabłoń. Marzyliśmy, że zimową, śnieżną porą

przystroimy ją lampkami i w ten sposób stworzymy wspaniały świąteczny nastrój. Wykarczowaliśmy także wszystkie krzewy, aby przygotować polanę do posiania trawy. W tym celu zaoraliśmy grunt, zwapniowaliśmy go, zużywając ponad półtorej tony wapna magnezowego, posialiśmy gorczycę i łubin, a następnie ponownie przeorali, zabronowali, wyczyścili z perzu, wyrównali teren i posiali trawę. A później systematycznie kosili. Ponadto wycięliśmy wiele akacji rosnących na obrzeżu polany i starych, zeschłych sosen. Powstały z tego trzy sągi drzewa ułożone w części zalesionej. Nasadzaliśmy także wiele świerków, sosen czarnych i zwykłych oraz innych krzewów. Naszym oczkiem w głowie były przywiezione przez nas z Kanady: biała sosna kanadyjska, choiny kanadyjskie, kloniki czerwone oraz kilka roślinek leśnych, u nas niewystępujących.

W upalne i ciepłe dni weekendowe stale bywaliśmy w Emowie, a z nami Przemek z rodziną, którzy pokochali to miejsce i przyjeżdżali tu bardzo często. Tu też gościliśmy wielu swoich i Przemka przyjaciół, którzy czuli się tu wyśmienicie i wypoczywali doskonale. Radowaliśmy się tym bardzo, dzieląc się z nimi swoim szczęściem.

Wielkie budowanie

Prawie przez cały 2001 i 2002 rok odpoczywając, goszcząc znajomych i przyjaciół oraz pracując przemyśliwałem – co dalej zrobić ze starym domem. Ponieważ w tym czasie spłacaliśmy, po pięćdziesiąt tysięcy rocznie, zaciągnięty dług na zakup nieruchomości, wychodziłem z założenia, że na razie trzeba pilnie wybielić tylko ściany w używanych pokojach, tak aby nadawały się do użytkowania. Potem zaś przystąpić do jego remontu i doprowadzenia do takiego stanu, aby nadawał się do czasowego lub stałego zamieszkania. Była to jak gdyby kontynuacja mojej pierwotnej wizji, która zrodziła się przy zakupie nieruchomości i nadziei, iż dom ten nadaje się do remontu i może nam służyć jeszcze przez następne dziesięciolecia.

Opinia mojej żony w tej sprawie od początku była inna. Uznawała ona, że domu nie opłaca się remontować, gdyż więcej będzie kosztował remont niż wybudowanie nowego. Początkowo byłem temu przeciwny, ponieważ miałem świadomość, że nie mamy pieniędzy na takie przedsięwzięcie. Dopiero, gdy zdjąłem część poszycia zachodniej ściany, tej najbardziej narażonej na deszcze, stwierdziłem, że drewniana konstrukcja jest w opłakanym stanie. Konstrukcyjne słupy nośne od dołu są przegniłe, z belek sypie się żółty proszek, a wszystko przegryzione jest przez korniki, kołatki lub inne robale.

Tak więc w 2001 roku zacząłem rozglądać się za projektem domu. Miał to być dom jednorodzinny, niepodpiwniczony, ale z mieszkalnym poddaszem, w którym miały być pokoje gościnne, szczególnie dla Przemka i jego rodziny. Szukałem gotowych projektów domów w czasopiśmie „Murator" oraz w innych firmach, np. „Domy w tradycji". Jednakże żaden z nich nie przypadł do

gustu mojej żonie. A że rok 2001 był ostatnim rokiem umożliwiającym wykorzystanie tak zwanej dużej ulgi budowlanej, musieliśmy do końca tego roku wystąpić do gminy o określenie warunków zabudowy i przestrzennego zagospodarowania terenu, a następnie uzyskać pozwolenie na budowę. Do tego zaś potrzeby był projekt budowlany. Załatwialiśmy to w ekspresowym tempie wykorzystując kupiony za 1200 złotych gotowy projekt od pani architekt Magdy Łukomskiej z Radiówka – późniejszego naszego kierownika nadzoru budowlanego. Wszystko to udało nam się załatwić w niecałe dwa miesiące i około 15 grudnia 2001 roku uzyskaliśmy pozwolenie na budowę. To umożliwiało nam skorzystanie w następnych dwóch latach z ulgi budowlanej, wynoszącej około 35 tysiący złotych, jako że ulga była trzyletnia i obowiązywała tylko w latach 2001–2003. Mogliśmy więc, wydając w tym okresie około 189 tysięcy, odpisać sobie od podatku tę właśnie kwotę.

Rok 2002 i część 2003 były okresem dalszego poszukiwania projektu, który by nas zadowolił, a szczególnie moją żonę. Według mnie projekt powinien uwzględniać dom w stylu wiejskim o powierzchni użytkowej około 180 metrów kw., w tym do 110–120 metrów kw. na parterze i 60–70 na poddaszu. Niestety żaden z gotowych projektów nie spełniał wymagań żony. W związku z tym pozostawiłem żonie wolną rękę w wyborze architekta i projektu autorskiego. Szkopuł jednak w tym, że były one bardzo drogie. Ich cena wahała się w granicach od prawie dziesięciu do dwudziestu tysięcy złotych.

Pierwszym architektem odkrytym przez żonę w jednym z czasopism budowlanych był pan Mieszkowski mieszkający w Leśnej Podkowie. Podobał nam się jego budynek pokazywany w tym czasopiśmie i artykuł mu towarzyszący. Spotkaliśmy się z nim dwukrotnie. W sumie jednak nie był dobrze przygotowany do rozmów z nami, gdyż pokazywał nam swoje stare projekty, które nie były dostosowane do naszych wymagań i wizji domu. Po drugiej wizycie skierował nas do Magdalenki, aby zobaczyć dom wybudowany według jego projektu. Dom nas nie zachwycił, a więc zrezygnowaliśmy z dalszej współpracy.

Jednakże przejeżdżając przez Magdalenkę zobaczyliśmy piękny, stojący wśród sosen dom, który nam się spodobał. Po obfotografowaniu go i późniejszym upewnieniu się, iż jest w naszym stylu, otrzymaliśmy od właścicielki nazwisko architekta. Był nim pan Mordasewicz, ojciec znanego biznesmena branży budowlanej Jeremiego Mordasewicza. Po dosyć długim czasie i wielu poszukiwaniach dotarliśmy do niego. Okazał się miłym, przystojnym, starszym panem, skłonnym do współpracy. Pokazał nam kilka domów projektowanych przez siebie, w tym także ciekawie zaprojektowany dom syna oraz projekt domu w Magdalence. Ten ostatni okazał się domem o wiele za dużym, jak na nasze potrzeby i trudnym do przeprojektowania.

Potem, jak było do przewidzenia, żona sięgnęła po najdroższego architekta, jakim był pan Kaczorek. Była to znana postać w warszawskim światku architektów, o odpowiedniej renomie oraz pięknych i nagradzanych projektach. Dla mnie był jednak niestrawny z dwóch powodów: zbyt nowoczesnej sylwetki

projektowanych domów, nie bardzo odpowiadającej warunkom wiejskim, i przede wszystkim zabójczej ceny (20 tys. złotych) za projekt.

Wśród następnych architektów między innymi znaleźli się: pan Zaremba z Legionowa i pani Danuta Borys z Piaseczna. W zespole pana Zaremby zostały wykonane dla nas dwa szkice projektu. Pierwszy z nich architektonicznie był ciekawy. Przedstawiał sobą dosyć kształtną bryłę z ładnym, stylizowanym po staropolsku, gankiem. Drugi natomiast miał bardzo ciężki, prawie zamkowy wygląd, a to za sprawą użytego do projektowania kamienia. Ponadto garaże połączone z domem i usytuowane w takim miejscu, do którego był utrudniony dojazd. Oba zaś grzeszyły tym, iż posiadały dużo większą powierzchnię od wskazanej przez nas oraz zbyt wiele różnych małych pomieszczeń, niekoniecznie potrzebnych i zajmujących sporo miejsca.

Panią Borys polecili nam Mysiorowie. Wielcy przyjaciele Radka i Joasi z Kanady, którzy wcześniej wybudowali dom pod Piasecznym i byli dla nas doradcami i przewodnikami na trudnej drodze inwestora budowlanego. Odwiedziliśmy ją i określili nasze wymagania i preferencje. Za jej namową oglądnęliśmy także dom przez nią zaprojektowany i będący już w końcowej fazie budowy. Nawet nam się spodobał, gdyż czuło się w nim duszę. Mieliśmy więc nadzieję, że dobrze trafiliśmy i powstanie projekt naszego przyszłego domu. Niestety, tak się nie stało. Okazało się bowiem, że pani Borys jest bardzo zapracowaną osobą, a szkice przedstawiane przez nią były niedopracowane i nie uwzględniające naszych założeń.

I znów kolejne poszukiwania. Do następnego architekta, pana Bogdana Słomskiego, żona dotarła przez Muratora, na okładce którego pokazano ładną fasadą domu jednorodzinnego, którego dach pokryty był czerwoną, ceramiczną dachówką, a na nim dwie bardzo sympatyczne lukarny. Ponadto interesujący i ciekawie zagospodarowany był taras, na który wychodziły duże drzwi z pomieszczeń mieszkalnych.

Pan Bogdan okazał się człowiekiem stosunkowo młodym, sympatycznym i chętnym do pracy. W trakcie naszych kolejnych spotkań powstało kilka ciekawych szkiców, które zaproponował nam ich autor. My wnosiliśmy swoje uwagi i propozycje, które były uwzględniane i tak powoli powstawały kolejne przybliżenia, aby w lipcu 2003 roku osiągnąć finał. Nie było to jednak takie proste, jak się wydawało. Był nawet taki czas, że żona chciała zrezygnować ze współpracy, mimo że już wpłaciliśmy zaliczką na poczet projektu.

Dlaczego tak długo wybieraliśmy projekt? Podstawową przyczyną był chyba fakt, iż chciałem, aby nasz dom powstał na tradycyjnych i od wieków uznanych założeniach, a więc był skierowany frontem na południe, by dobrze naświetlić i naturalnie nagrzać dom, zaś pomieszczenia dzienne były usytuowane od strony południowo-zachodniej, a gospodarcze i pomocnicze od strony północno-wschodniej. Przy takim założeniu i usytuowaniu działki wejście główne powinno być od strony południowej, a więc frontowej lub wschodniej, czyli od strony wjazdu. Mieliśmy chyba także za bogaty program na planowaną powierzchnię domu.

Jednocześnie okazało się, że takich gotowych projektów budowlanych prawie nie ma, a te nieliczne trudno dopasować do naszych wymagań. O dziwo, także architekci projektujący indywidualnie domy mają duże problemy z takimi założeniami. Po tym procesie zdałem sobie sprawę, jak dalece architekci odeszli od natury, tradycji i przyrody. Chyba to wszystko przez zwiększanie gęstości zaludnienia, zmniejszania się działek budowlanych i budowanie oraz dopasowywanie domów do takiej rzeczywistości. Przekonaliśmy się także, iż architektom o wiele łatwiej planuje się duże domy, które mogą spełniać swoje funkcje z nadmiarem niż takie, w których jest założony większy reżim i efektywność wykorzystania pomieszczeń.

Może praca nad projektem pana Bogdana Słomskiego jeszcze by się przeciągała, gdyby nie inne terminy. Podstawowym terminem był 31 grudzień 2003 roku. Do tego czasu obowiązywała ulga budowlana. Tylko od pieniędzy wydanych do końca tego roku można było sobie odpisać ową ulgę. Ponadto w lutym pojechaliśmy do pana Marka Kowalczyka, mieszkającego we wsi Łapsze Niżne koło Czorsztyna i podpisaliśmy z nim umowę na wybudowanie domu. Rozpoczęcie budowy miało nastąpić w czerwcu.

Przyszedł czerwiec, a projekt nie był jeszcze gotowy. Udało się nam u pana Kowalczyka przesunąć termin rozpoczęcia budowy na drugą połowę sierpnia, ale był to już termin ostateczny. Nowy projekt, tak zwany projekt zamienny, musiał być gotowy najpóźniej do początku lipca i był dzięki temu, że panu Bogdanowi udało się opracować go na komputerze w przeciągu tygodnia.

W tej sytuacji wydawało się, że wszystkie przeszkody mamy już za sobą. Ale to była nieprawda. Przy złożeniu projektu zamiennego w gminie okazało się, że od 1 lipca czas jego zatwierdzania wynosi dwa miesiące, a nie miesiąc jak dotychczas. Dzięki znajomości i odpowiednim zabiegom udało się jednak ten termin skrócić i mieć zatwierdzony plan przed rozpoczęciem budowy.

Gdy przekazaliśmy już projekt zamienny do gminy do zatwierdzenia okazało się, że w projekcie budynek mieszkalny usytuowany jest zbyt blisko lasu, a budynek gospodarczy jest zbyt oddalony od granicy działki i ma niedopracowaną bryłę; okno nie w tej części, co potrzeba i błędy w konstrukcji drewnianej. Trzeba było opracować aneks do planu przestrzennego zagospodarowania działki i projekt zamienny budynku gospodarczego. Ale w tej sytuacji już nie czekaliśmy na ich zatwierdzenie i pod koniec sierpnia rozpoczęliśmy budowę.

Tu trzeba wyjaśnić skąd się wzięły dwa domy – mieszkalny i gospodarczy. Jak już wspominałem, na początku planowaliśmy wybudować tylko dom mieszkalny, jednorodzinny. Potem Przemek zadeklarował, iż chciałby także zamieszkać w Emowie. W związku z tym ustaliliśmy, że my będziemy mieszkać na parterze, a Przemek z rodziną na poddaszu. Zwiększyliśmy więc nieco ogólną powierzchnię domu, tak aby uzyskać na parterze pokój dzienny z aneksem kuchennym, sypialnię małżeńską, gabinet gospodarza domu i pomieszczenie gospodarcze. To ostatnie pomieszczenie przeznaczone na piec gazowy, miejsce do prania, suszenia i prasowania oraz wyposażone w nie-

zbędne regały na sprzęt domowy, spiżarkę i inne akcesoria w domu, który nie jest podpiwniczony.

Oprócz tego pozostawała nierozwiązana sprawa – gdzie przechowywać samochody, aby nie stały pod gołym niebem oraz sprzęt używany do prac na posesji, taki jak: kosiarka, pilarka, taczki i inne akcesoria ogrodnicze, a także rowery oraz drewno do kominków. Doszedłem więc do wniosku, iż konieczny jest budynek gospodarczy, posiadający pod wspólnym dachem murowane pomieszczenie gospodarcze, które może także stanowić zamykany garaż oraz wiaty na dwa samochody, a na ich obrzeżach miejsce na składowanie i suszenie drewna do kominków. I tak powstał projekt drugiego budynku.

Budowę rozpoczynaliśmy z 80 tysiącami złotych, które żona otrzymała z RUCH-u przy odejściu na emeryturę oraz 150 tysiącami pożyczonymi na cele budowlane w banku PKO BP. Razem mieliśmy więc około 230 tysięcy złotych. Te 150 tysięcy złotych pożyczki wzięliśmy pod zastaw hipoteczny działki w Emowie i mając świadomość, iż posiadamy jeszcze odpowiednie zabezpieczenie, nie tylko w naszych dość wysokich emeryturach, lecz także w mieszkaniu wartym około 170 tysięcy złotych.

Górale wzięli się szparko do roboty. Na początek rozebrali połowę starego domu, gdyż nowy zachodził częściowo na stary. Pozostałą połówkę przeznaczyliśmy na ich kwaterę w okresie budowy. Wcześniej jednak, zgodnie z wymaganiami, założyliśmy na budowie, tak zwaną elektryczną prowizorkę budowlaną, skąd był czerpany prąd dla celów budowy. Ponadto spenetrowałem wszystkie okoliczne hurtownie materiałów budowlanych, aby znaleźć taką o najniższych cenach. Okazało się, że jest nią nowo powstała hurtownia w Wiązownej, znajdująca się najbliżej miejsca budowy, bo przy skrzyżowaniu szosy lubelskiej z szosą nr 721. Więźbę dachową zamówił dla nas pan Marek w rejonie świętokrzyskim.

Budowa szła bardzo szybko. Już po miesiącu stanęły mury i zostały wykonane stropy. W drugim miesiącu, czyli w październiku, wykonano więźby dachowe i pokryto je deskami i papą. W listopadzie dokończono resztę, a więc wykonano hydraulikę pod pierwszą wylewką i samą wylewkę, piwniczkę pod schodami na hydrofor i wino, taras wejściowy z zadaszeniem.

Po zakończonej budowie domów w stanie surowym, otwartym, ekipa budowlana dokończyła rozbiórkę starego domu. W jej efekcie wywieźliśmy ponad dziesięć kontenerów gruzu i śmieci. Oprócz tego pozostała jeszcze olbrzymia sterta desek i drewna z rozbiórki, trochę gruzu, sporo papy i starych mebli, a ponadto olbrzymia ilość piasku, który stanowił podsypkę w starym domu.

Uporanie się z tymi problemami oraz kontynuację budowy pozostawiliśmy do wiosny następnego roku, mając nadzieję, że w 2004 roku zakończymy budowę, uporządkujemy do końca teren oraz zamieszkamy tam na stałe. Marzyliśmy, że będzie to nasza przystań, w której zamieszkamy wraz z dziećmi i wnukami i spędzimy tam lata naszej późnej jesieni.

Radości i smutki

Nie ma większej radości dla dziadków niż narodziny wnuków. Zawsze czeka się na nie z utęsknieniem, tym większym, im dłużej przyjdzie na nie czekać.

Na pierwszego wnuka czekaliśmy stosunkowo krótko. Nasz starszy syn Radek zawarł związek małżeński z Hanną Kisiel z Cieszyna. W efekcie tego związku przyszedł na świat nasz pierwszy wnuk Mikołaj. Niestety nasza radość trwała bardzo krótko. Niemowlę zmarło zaraz po urodzeniu i pochowane zostało na cmentarzu ewangelickim w Cieszynie. Śmierć swojego syna, a naszego wnuka bardzo przeżył Radek, a my razem z nim, nie mogąc długo pogodzić się z tym faktem.

Tak jak już wspominałem na początku dwunastego rozdziału, nasz syn Przemek ku naszej wielkiej radości powrócił do kraju. Po powrocie rozpoczął pracę także w RUCH-u, w tym samym dziale co i żona, a więc w marketingu. Tu od samego początku wykazywał się pracowitością, operatywnością i samodzielnością, wyrabiając sobie tym samym duży autorytet i bardzo dobrą opinię. Swoją pracą i działalnością przysparzał firmie dużych dochodów. Oprócz tego kontynuował studia w szkole Głównej Handlowej. Był także już dojrzałym mężczyzną, stanowczym i konsekwentnym w działaniu, a jednocześnie człowiekiem o wielkim sercu i życzliwości dla wszystkich, a także kochającym i okazującym swoje uczucia synem.

Efektem zaś zrodzonej w Nowym Jorku miłości był ślub Przemka i Ani, który odbył się 26 września 1996 roku w Pałacu Ślubów przy Placu Zamkowym (ilustr. 57) w Warszawie. Świadkami na ślubie byli: kolega Przemka – Tomasz Kołudzki i koleżanka Ani – Aneta Woźniak. Uroczystość weselna miała miejsce w restauracji „U Barsa" przy Rynku Starego Miasta. Młodzi zamieszkali w mieszkaniu Ani, które mieściło się przy ul. Grzybowskiej.

Na następnego wnuka czekaliśmy z utęsknieniem ponad dziesięć lat. Jakaż więc była nasza radość, gdy dowiedzieliśmy się, że Ania, żona naszego młodszego syna Przemka, zaszła w ciążę. W czasie ciąży wszystko było w porządku z czego byliśmy bardzo zadowoleni. W pewnym momencie, po badaniach USG już wiedzieliśmy, iż będzie to wnuczka. Niestety w okresie rozwiniętej ciąży spotkało Anię nieszczęście. Nagle zmarła jej matka. Był to dla niej wielki cios. Byliśmy tym wielce zmartwieni i współczuliśmy naszej synowej ogromnie, a także chroniliśmy ją, jak mogliśmy przed stresami i innymi zmartwieniami. Jednocześnie obawialiśmy się także o stan jej zdrowia i zdrowie dziecka. Byliśmy przecież świadomi, iż taki wstrząs może mieć duże znaczenie dla psychiki matki oraz rozwoju płodu.

Na całe szczęście ciąża przebiegła normalnie i poród nastąpił w przewidywanym czasie. Nasza przepiękna wnuczka urodziła się trzydzieści minut po północy 5 maja 2001 roku w szpitalu św. Zofii przy ulicy Żelaznej 90 w Warszawie. Miała 58 cm długości i ważyła 4 kilogramy. Wszyscy byliśmy z tego

faktu szczęśliwi, ale najbardziej Przemek, który później okazał się wspaniałym ojcem – niezwykle czułym, kochającym i opiekuńczym.

Wnuczka rozwijała się doskonale. Utrzymywaliśmy z nią częsty kontakt jeżdżąc na ulicę Grzybowską oraz goszcząc ich w Emowie. A że lato i jesień 2001 roku oraz lato 2002 roku były wspaniałe, to spotkań było wiele i z przyjemnością obserwowaliśmy rozwój naszej ukochanej wnuczki, jak zaczyna raczkować, chodzić i mówić.

Najciekawsze były pierwsze próby mówienia. A więc mama, tata, baba i dziadzia. O ile z trzema pierwszymi nie miała kłopotu, o tyle długo zamiast dziadzia mówiła jaja. W związku z tym jej najbliższą rodziną byli: mama, tata, baba i jaja. Później przyszedł okres mówienia „po swojemu". A więc szybkiego operowania słowami i zwrotami tylko jej znanymi. Była to więc kaskada słów płynących wartko i potoczyście, ale absolutnie dla nas niezrozumiałych.

W następnym etapie zaczęła operować coraz większym zasobem słów, ale ich trochę na swój sposób przeinaczała. A oto wybrane najciekawsze przykłady:

Siop – smoczek
Abadiaba – coś kwaśnego, coś niedobrego
Łocian – bocian
Jojki – rolki
Dembonto – głęboko
Simama – śmieciarka
Pojaja – pojechała
Ipi – rybka
Panijała – plastelina
Japa – zamknąć
Pipapa – piłeczki
Tola – cola
Bipapa – biszkopty
Lokomywa – lokomotywa
Manionalt – Mc Donald´s
Odórek – ogórek
Nusia – nóżka
Pocioć – pociąg
Pisie – pestki
Pisujesz – pisać, rysować
Nie nionio – nie wolno
Jeczyneczka – jedyneczka
Osijała – ostatni raz
Pupimy – kupimy
Nie monie – nie mogę
Hujandada – hulajnoga
Manurko – podwórko
Sibaba – herbata
Bitajaja – betoniarka
Pinonio – pomidor
Siap – spać
Otijała – otworzyć
Bass – basen
Manijała – malinowy sok
Niepu – mleczko
Joda – woda
Adijała – adidasy
Samije – smakuje
Otulary – okulary
Asesować – asekurować
Pocioć warowy – pociąg towarowy
Mode – mogę
Papała – płakała
Duma – guma do żucia
Odon – ogon
Jobacyć – zobaczyć
Monie – mogę
Ułała – uwaga

Gdy skończyła dwa lata nie tylko mówiła już pełnymi zdaniami, ale także potrafiła naśladować rodziców i dziadków, a nawet prababcię. Na przykład naśladując w swoim domu babcię, przybierała jej ton i pozę oraz mówiła:

– Zobacz Jurek, zobacz!

Natomiast gdy się ją poprosiło, aby pokazała jak śpi prababcia Janka, wówczas zamykała oczy i otwierała szeroko buzię, udając z powodzeniem prababcię Jankę (ilustr. 58).

Cofnijmy się jednak trochę w czasie. Po urodzeniu wnuczki nadano jej imiona: Julianna, Jadwiga. Natomiast chrzest zaplanowano na początek maja 2002 roku, a to ze względu na możliwość przyjazdu naszych Kanadyjczyków. Przy tym Radek i Alicja Komincz, córka Krystyny, siostry Dany, byli rodzicami chrzestnymi Julianki. Chrzest odbył się w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych na Placu Grzybowskim w Warszawie, a przyjęcie gości i uroczystość z okazji chrztu w Emowie.

Tu pierwsze skrzypce grała moja żona, urządzając biesiadę na świeżym powietrzu. Stoły zaścielone śnieżnobiałymi obrusami rozstawiliśmy na trawniku przed domem. Na nich zaś same pyszności, między innymi indyki pieczone w całości, kurczaki nadziewane pasztetem, różnorodne rolady, szynki, wędliny oraz inne frykasy. Takie, jakie tylko moja żona umie wyczarować.

Goście także dopisali. Byli Komincze ze Szczecina, Dobryłkowie z Elbląga, Dworniccy – teściowie Radka, ojciec Ani wraz z rodziną, a także wielu przyjaciół Przemka i naszych, szczególnie z pracy. Pogoda także dopisała. I pewnie tak to się młodym spodobało, że w następnym roku posypały się nam kolejne wnuki. Ale o tym za chwilę, bo w życiu stale przeplatają się radości i smutki.

Rok dwutysięczny to początek ciężkiej choroby mojej jedynej i młodszej ode mnie siostry. Choroby, której podłożem było nadmierne palenie papierosów oraz trudy życia, które zgotował jej mąż nałogowy, alkoholik, leń i absolutny nierób. Mąż, który większość swojego dorosłego życia był na utrzymaniu Niny, a to, co sam rzadko zarobił i nie tylko, natychmiast przepijał. W ostatnich latach ich wspólnego pożycia dopuszczał się także na siostrze rękoczynów. Chyba to, iż bała się już mieszkać we własnym domu oraz moje namowy doprowadziły do tego, że rozwiodła się z mężem pijakiem. Powróciła także do swojego panieńskiego nazwiska.

Tą chorobą okazał się jeden z najzłośliwszych nowotworów – rak płuc. I może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby został wcześnie wykryty. Niestety tak się nie stało, a to przede wszystkim za sprawą stanu polskiej opieki zdrowotnej.

Siostra źle się czuła, więc badano ją wykonując między innymi prześwietlenia i USG płuc. Badania nic nie wykazywały, a raczej wykazywały, że płuca są zdrowe. Dopiero, gdy przy kaszlu zaczęła pokazywać się krew, zrobiła sobie w Skawinie prywatne badania USG. Wykazały one, iż są słabo widoczne zmiany w płucach. Z tymi badaniami pojechała do szpitala specjalistycznego im. Rydygiera w Krakowie. Tam wybitna specjalistka stwierdziła, iż płuca są czyste,

a krew przy kaszlu to efekt krwawienia przyzębia. I nawet to, że siostra poinformowała ją, iż ma sztuczne zęby i w tej sytuacji nie jest to możliwe, nie skłoniło ją do zmiany diagnozy.

A czas uciekał. Dopiero skierowanie ją przez szpital w Wadowicach ponownie do szpitala im. Rydygiera doprowadziło do jej leczenia. W tej sytuacji już operacyjnego. Trzeba było wyciąć całe lewe płuco. Siostra zniosła tę operację, jak i pozostałe zabiegi radioterapii bardzo dzielnie. Po tej udanej operacji, w której wycięto jej także węzły chłonne, okazało się, że tylko jeden z nich był nieznacznie zaatakowany. Mieliśmy więc z siostrą nadzieję, że najgorsze mamy już za sobą.

I nawet chwilowe załamanie zdrowia spowodowane infekcją nie odebrało nam nadziei na przezwyciężenie choroby. W tym czasie siostra była także moim gościem w Warszawie. Mieszkała w Emowie, zażywając świeżego powietrza i ciesząc się pięknym otaczającej ją przyrody. Mieszkała w pokoju na poddaszu, skąd roztaczał się przepiękny widok na polanę i sosnowy las.

Pod koniec 2001 roku siostra zaczęła narzekać na nerki. Początkowo byłem prawie pewny, że nie są to przerzuty. Bo gdzie płuca, a gdzie nerki. Jednakże podczas badań w Centrum Onkologii w Krakowie wykryto powiększającą się narośl. Początkowo na jednej nerce, a po kilku miesiącach na drugiej. Mimo tego, na początku, po jednej czy nawet po drugiej biopsji, nie stwierdzono z całą pewnością, że są to przerzuty. No ale stało się to, co najgorsze. Okazało się, że to jednak przerzuty. Następnie zaczęły się kłopoty z oddawaniem moczu i coraz większe dolegliwości, z którymi walczyliśmy jak umieliśmy.

W trakcie tej choroby woziłem siostrę na konsultacje u profesorów krakowskich, konsultowałem się także u profesorów warszawskich. Niestety, diagnozy ich były jednoznaczne – rak i szybko następujące przerzuty. To od nich dowiedziałem się, że rak płuc posiada tę właściwość, że pierwszymi przerzutami atakuje nerki lub mózg.

W związki z tym, jednym ze sposobów udrożnienia nerek było ich cewnikowanie. W tym celu woziłem ją do Centrum Onkologii kilka razy. W tym także w poniedziałek 24 czerwca 2002 roku w godzinach przedpołudniowych, w dzień jej imienin. Gdy zaś na drugi dzień przyjechałem ją odwiedzić, dowiedziałem się, iż siostra zmarła na wskutek zatoru tętniczego i ustania krążenia krwi. Zmarła więc nagle 25 czerwca 2002 roku w godzinach przedpołudniowych w Krakowie. Pochowana została w grobie rodzinnym na cmentarzu w Przytkowicach.

Uświadomiłem sobie, że historia życia dziwnie się toczy. Ojciec urodził się w Krakowie, a zmarł w Przytkowicach, zaś jego córka, a moja siostra urodziła się w Przytkowicach, a zmarła w Krakowie. Życie zatoczyło jakąś dziwną pętlę: miasto – wieś i wieś – miasto. Ponadto, że odeszła najbliższa mi osoba i na dodatek młodsza ode mnie, człowiek o niespotykanej dobroci i wielkim sercu. Kochająca bezinteresownie i całą duszą ludzi, zwierzęta i przyrodę. Ta miłość, szczególnie do zwierząt i roślin, była w całej pełni odwzajemniona i sprawiała

jej wielką radość. Prawdą jest, że los bywa bezlitosny, bo najlepszych śmierć zabiera najszybciej. Jeśli upatrywać tu pewne prawidłowości to wydaję się, że zamknięcie drugiej pętli powinno wyglądać w ten sposób: mama urodziła się na wsi i umarła na wsi, a więc i ja mogę powtórzyć tę pętlę, rodząc w Przytkowicach i umierając w Emowie. Ja już tego nie sprawdzę, ale czytelnicy mogą.

Siostra podczas choroby miała także duże wsparcie w swoich kuzynkach – Danucie Rudeckiej i Janinie Żurek. Odwiedzały ją często w szpitalu, przynosiły różne łakocie i napoje oraz podtrzymywały, jak umiały na duchu. Szczególnie Dana otoczyła ją opieką i ciągle wspierała w trudnych chwilach. Nina nie była więc samotna, gdy ja przebywałem w Warszawie, i było jej na pewno raźniej. Także Marek, zięć Danki, wielokrotnie wspierał siostrę własnym transportem, wożąc ją do Krakowa na zabiegi. Im wszystkim składam na stronach tej książki serdeczne podziękowania za bezinteresowną pomoc i dobre serce.

Rok 2003 był dla nas podwójnie szczęśliwy. Urodziło się nam dwóch wspaniałych wnuków. Pierwszy u naszego starszego syna Radka w Kanadzie, a drugi u młodszego syna Przemka w Warszawie. Jako dziadek byłem prawie „wniebowzięty", niezwykle dumny i szczęśliwy. Cieszyliśmy się szczególnie z narodzin syna Radka. Na jego narodziny Radek i Joasia czekali przecież bardzo długo. Pewnie to przez zapracowanie i dorabianie się za oceanem oraz chęci osiągnięcia określonego statusu materialnego i stworzenia odpowiednich warunków dla swoich dzieci.

W dniu 9 maja 2003 roku o godzinie 9.42 w szpitalu New Market w Toronto urodził się im syn, któremu nadali imiona – Kordian Jonathan. Kordian to imię wymyślone przez Juliusza Słowackiego, będące połączeniem dwóch słów – kord i Jan. Kord – po łacinie serce, a kordus – serdeczny. Imię oznacza więc Jana Serce lub serce Jana. Drugie imię jest typowym imieniem anglosaskim, chociaż ma pochodzenie biblijne. Nadano mu je przewidując pewnie, iż życie swoje spędzić może w Kanadzie lub Stanach Zjednoczonych, a tam łatwiej będzie się nim posługiwać. Jeśli zaś wróci do Polski będzie wówczas pamiątką po miejscu urodzenia, a także symbolem kanadyjskiego obywatelstwa. Po porodzie ważył 7,8 funta czyli 3,6 kilograma i mierzył 50,5 centymetra.

Nasz wnuk Kordian (ilustr. 59), po kądzieli wywodzi się z rodów: Dwornickich, Szaniawskich, Michalskich i Wysockich. Jego mama Joanna urodziła się 29 września 1970 roku, o godzinie 0.45 w Warszawie. Jej rodzicami są: Wojciech Dwornicki, urodzony 8 października 1942 roku w Borowiczkach koło Płocka i Barbara Dwornicka, z domu Michalska, urodzona 19 marca 1945 roku w Warszawie.

Rodzicami Wojciecha Dwornickiego byli: Jan Dwornicki, urodzony 24 czerwca 1902 roku i Romualda Dwornicka, z domu Szaniawska, urodzona 1 października 1907 roku w Tomsku na Syberii. Zmarła 13 marca 1985 roku. Ojcem Jana Dwornickiego był Władysław Dwornicki. Kupiec – właściciel sklepu kolonialnego w Radomiu przy ul. Żeromskiego, a następnie właściciel restauracji w Iłży. Zmarł 4 stycznia 1909 roku. Matką zaś Aniela Dwornicka,

zmarła 3 października 1918 roku. Rodzicami Romualdy Dwornickiej byli Tomasz Szaniawski i Stanisława Szaniawska, z domu Krzewińska. Tomasz Szaniawski to jeden z budowniczych kolei transsyberyjskiej, a po uzyskaniu niepodległości przez Polskę budowniczy kolei na Oksywiu i Westerplatte.

Rodzicami Barbary Dwornickiej byli Ryszard Michalski, urodzony w kwietniu 1907 roku w Warszawie i zmarły 23 lutego 1968 roku i Stefania Michalska, z domu Wysocka, urodzona w 11 kwietnia 1914 roku w Ciechanowie i zmarła 16 maja 1988 roku. Rodzicami Ryszarda Michalskiego byli: Władysław Michalski, urodzony w Poznaniu i Józefa Michalska, z domu Niewiarowska, urodzona w Warszawie, zaś rodzicami Stefanii Michalskiej – Wincenty Wysocki i Bronisława Wysocka z domu Margiel.

Po pięciu miesiącach od tego radosnego wydarzenia, w dniu 8 października 2003 roku o godzinie 15.05, przyszedł na świat nasz kolejny wnuk. Przemkowi i Ani urodził się syn ważący 3,5 kilograma i mierzący 55 centymetrów. Tak jak Julianna urodzony w szpitalu św. Zofii przy ulicy Żelaznej 90. Po urodzeniu rodzice nadali mu imiona Maksymilian Karol (ilustr. 60). Drugie imię po dziadku Przemka – Karolu Pieszko. Szczęście nasze było wielkie. Szczególnie moje, gdyż miałem wreszcie dwóch wspaniałych wnuków, noszących nasze nazwisko.

Między innymi z radości i szczęścia nadałem im swoje nazwania. Kordiana, zwanego potocznie Kordkiem, nazwałem pieszczotliwie „Skurczybyczek", zaś Maksymilina, zwanego potocznie Maksiem – „Październiorek". Skurczybyczkiem dlatego, że urodził się pod znakiem byka. A mały, radosny i fikający byk, to Skurczybyczek. Natomiast Maksio urodził się w październiku, a sympatyczne nazwanie małego, zadziornego października to przecież Październiorek.

Nasza wnuczka Julianna i wnuk Maksymilian po kądzieli wywodzą się z rodu Sienkiewiczów i Torbusów. Ich mama Anna urodziła się w godzinach popołudniowych 20 czerwca 1972 roku w Warszawie. Jej rodzicami byli Ryszard Marek Sienkiewicz, urodzony w 1949 roku we Wrocławiu, a zamieszkały w Warszawie oraz Jadwiga Sienkiewicz, z domu Wiktorowska. Bratem Ryszarda Marka Sienkiewicza jest Witold Teodor Sienkiewicz, urodzony w 1953 w Puławach, zamieszkały w Warszawie.

Rodzicami Ryszarda Marka Sienkiewicza byli Anatol Sienkiewicz i Aniela Torbus. Anatol Sienkiewicz urodził się w 1905 roku w wielodzietnej rodzinie w Rakvere w Estonii. Ukończył gimnazjum w Rakvere, maturę zrobił w Witebsku, tam też w 1928 roku ukończył Instytut Weterynaryjny. Do 1929 roku służył w Armii Czerwonej, a następnie pracował w Czelabińsku (zach. Syberia). W 1933 roku uciekł do Estonii. Tam w 1936 roku ukończył Uniwersytet w Dorpacie (Tartu) i służył w armii estońskiej. Przed wyjazdem do Polski studiował także jeden semestr w Hanowerze i jeden semestr w Wiedniu. Od lutego 1939 roku przebywał w Polsce, gdzie służył w 3 Pułku Ułanów Śląskich w Tarnowskich Górach i DOK (Dowództwo Okręgu Korpusu). W czasie wojny mieszkał w Krakowie, Myślenicach i Dobczycach. Lekarz weterynarii, dowódca plutonu terenowego AK, pierwszy burmistrz Dobczyc z ramienia

rządu RP na uchodźstwie do maja 1945 roku. Później służył w wojsku, w 1957 był już pułkownikiem, a od 1960 roku komendantem Ośrodka Naukowo-Badawczego Służby Weterynaryjnej w Puławach. W 1968 roku odszedł na emeryturę. Zmarł w 1978 roku w Warszawie. Rodzeństwo Anatola to:

– Leon, urodzony 1898 roku i zmarły w 1916 roku;

– Zofia Maria Sienkiewicz, po mężu Reimer, urodzona w 1900 roku i zmarła w 1947 roku, pochowana w Rakvere;

– Kazimierz, urodzony w 1907 roku, oficer armii estońskiej, zastrzelony przez radziecki WOP w latach 30. w wyniku prowokacji granicznej;

– Mikołaj, urodzony w 1910 roku, zmarły w 1965 roku. Ożeniony z Helgą urodzoną w 1911 roku. Żyła w Tallinie i Rakvere. Dzieci z tego małżeństwa, to córki Marika i Erika. Marika po mężu Karin zamieszkała w Tallinie i Erika zamieszkała w Rakvere.

Rodzicami Anatola Sienkiewicza byli Konstanty Sienkiewicz i Vera Sienkiewicz z domu Najdenov. Konstanty Sienkiewicz urodził się 1874 roku. Był absolwentem Politechniki w Petersburgu, inżynierem kolejowym ze stopniem – statskij gienierał, jednym z budowniczych linii kolejowej z Petersburga do Murmańska. Rozstrzelany przez GPU (NKWD) w 1933 roku w Witebsku jako „wróg ludu". Jego symboliczna kwatera znajduje się na cmentarzu w Rakvere. Vera Sienkiewicz urodziła się 1875 roku, a zmarła w 1947 roku. Pochowana została na cmentarzu w Rakvere.

Ojcem Konstantego Sienkiewicza był Franciszek Sienkiewicz, uczestnik powstania styczniowego 1863 roku na Litwie. Po upadku powstania zesłany na Syberię, a dobra ziemskie uległy konfiskacie. Później otrzymał pozwolenia osiedlenia się w guberni kurlandzkiej (Estonia) imperium rosyjskiego.

Żona Anatola Sienkiewicza Aniela z domu Torbus, urodziła się w 1919 roku w Żygałowo na Syberii (około 200 km od Irkucka). Po powrocie do kraju ukończyła Państwową Szkołę Handlową w Sosnowcu. Od 1939 roku działała w konspiracji. Należała do Organizacji Orła Białego, Związku Walki Zbrojnej, Armii Krajowej. Pełniła rolę łączniczki ps. Wola, nazwisko okupacyjne: Natalia Howaniec.

Rodzicami Anieli Sienkiewicz byli Teodor Torbus i Olga z domu Smaznow. Teodor Torbus urodził się w 1884 roku w Sosnowcu. Działacz niepodległościowy na Śląsku. Od 1906 roku członek Organizacji Bojowej PPS, uczestnik wielu akcji przeciwko carskiemu zaborcy. Aresztowany w 1909 roku przez władze carskie i osadzony w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej. Skazany na cztery lata ciężkich robót (katorgę) i dożywotnie osiedlenia się na Syberii. W 1912 roku zesłany na Syberię. Po rewolucji 1917 roku uwolniony. Tam ożenił się z Olgą i w 1922 roku wraz z nią powrócił do kraju. W Polsce odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami. Zmarł w Sosnowcu w 1938 roku. Olga Torbus była córką Aleksego Nikołajewicza Smaznowa, potomka bojarów moskiewskich, zesłanych przez Iwana Groźnego na Syberię. Kupca, który cały swój majątek przepił, zamordowanego przez bandytów w tajdze oraz Iriny,

żyjącej jeszcze w latach 60. w Irkucku. Teodor i Olga Torbusowie mieli także syna Witolda, urodzonego także w Żygałowo na Syberii, a następnie mieszkającego we Wrocławiu. Wraz z żoną Ludgardą mieli dzieci: Mirosława urodzonego w 1950 roku, Jarosława urodzonego w 1952 roku i Aleksandra urodzonego w 1954 roku.

Teraz z utęsknieniem oczekujemy nadejścia maja 2004 roku, w którym to zaplanowano chrzest obu wnuków w Warszawie i uroczystości chrzestne w Emowie. Tym bardziej, że dopiero wówczas zobaczymy po raz pierwszy w rzeczywistości, a nie na zdjęciach, naszego kanadyjskiego wnuka Kordiana.

Na zakończenie książki załączam mapę Warszawy i okolic z zaznaczonymi miejscami naszego zamieszkania od 1977 roku.

Warszawa, luty 2004 r.

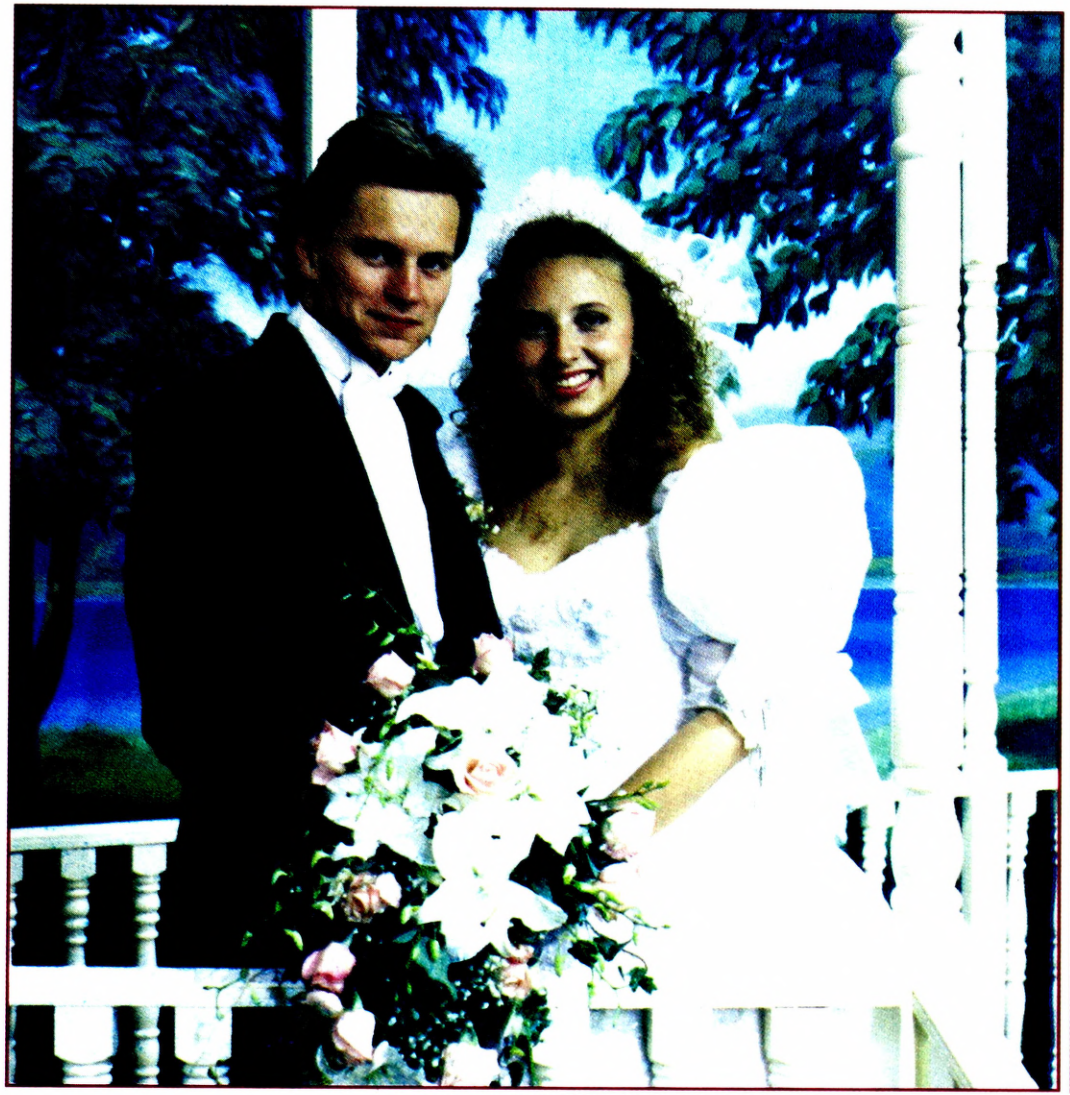

40. Radosław i Joanna w dniu ślubu. 1992 r.

39. Bracia w Nowym Jorku. 1992 r.

41. Przed centrum Rockefellera w Nowym Jorku. 1995 r.

42. Przemek na jachcie w pobliżu Nowego Jorku. 1995 r.

43. Dana na Sławkowskim Szczycie. 1991 r.

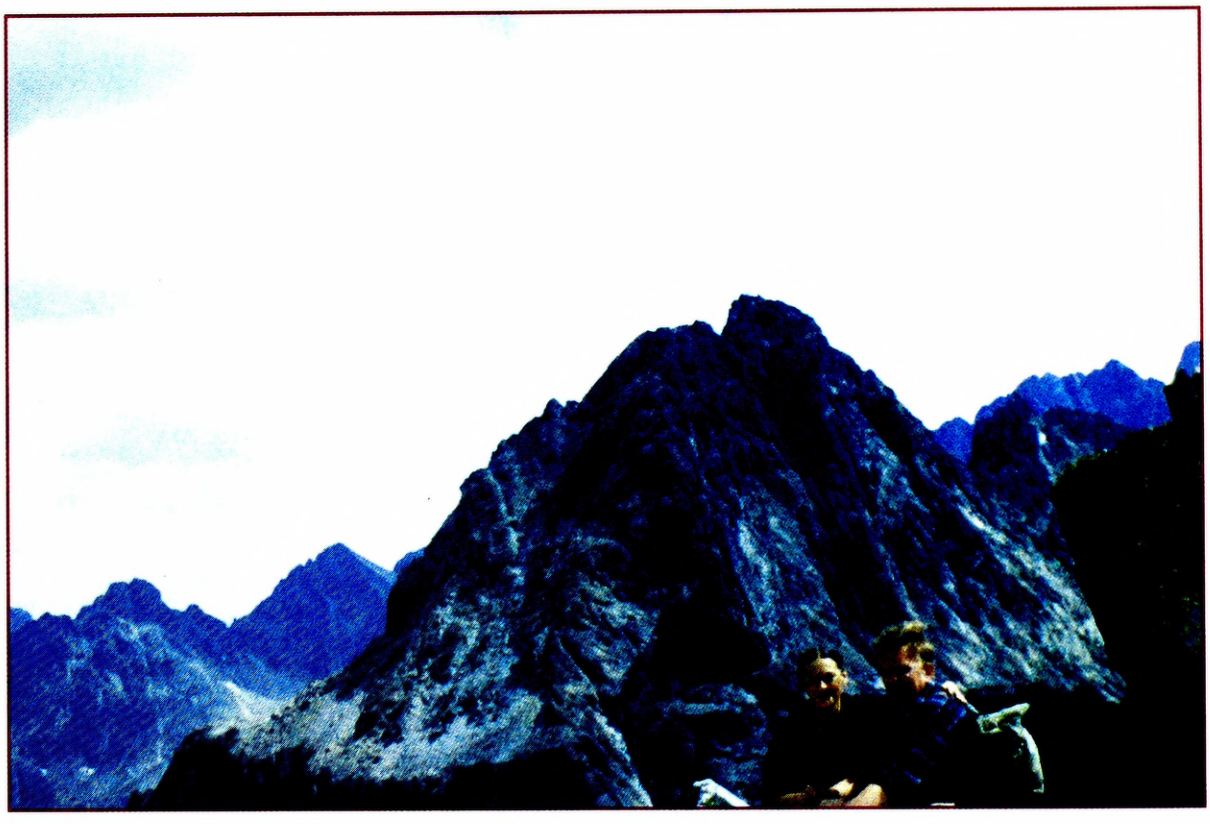

44. Na przełęczy Vaha w drodze na Rysy. 1992 r.

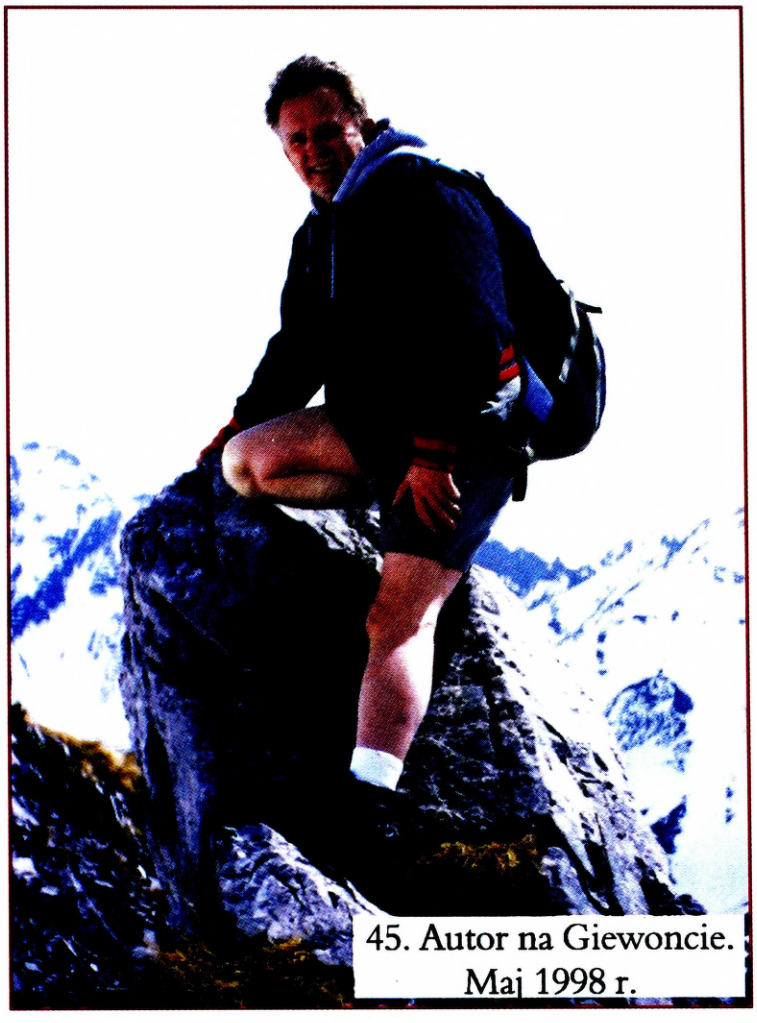

45. Autor na Giewoncie.
Maj 1998 r.

46. Na Nosalu.
Drzewoptak i autor. 1994 r.

47. Stasiu ze swoją muzą. 1998 r.

48. Olga i Dana w zaczarowanym miejscu. 1997 r.

Olga Siemaszko, Stanisław Sikora

WSPOMNIENIE

Dla nas nie umarliście, bo pamiętamy, a dzieło Waszego życia jest wieczne

Ponad roku temu odeszło od nas bezpowrotnie dwoje wspaniałych artystów i naszych serdecznych przyjaciół. Stasiu Sikora, którego śmierć zabrała 22 sierpnia, oraz Ola Siemaszko, zmarła 9 października. Do dziś trudno nam się pogodzić z ich śmiercią i świadomością, że odeszli na zawsze. Także brakuje nam wspólnego z nimi przebywania, obserwowania, jak rodzą się ich pomysły i jak powstają wspaniałe artystyczne dokonania. Ubolewamy także, iż nie będą już nam dane radości płynące z podziwiania ich nowych dzieł artystycznych fascynacji nimi. Ku pocieszeniu pozostają nam jednak przepiękne pamiątki ich twórczości. Są w naszym posiadaniu i łagodzą ból oraz tęsknotę za naszymi przyjaciółmi.

Oboje artystów, mimo że nie byli ze sobą spokrewnieni, łączyło wiele. Urodzili się w 1911 r. w dawnej Galicji. Ola w Krakowie, zaś Stasiu w Stryszawie na Podhalu. Także ich dalsze drogi życiowe były w jakimś sensie podobne.

Ola wychowywała się w Krakowie i tam kończyła średnią szkołę humanistyczną oraz Szkołę Przemysłu Artystycznego. Jej studia w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie przerwała wojna. Wojenne losy rzuciły ją do Lwowa, gdzie przebywała ponad pięć lat. Tam też przeżywała osobistą tragedię. Bardzo młodo i nagle, na chorobę zakaźną, umarł jej ukochany mąż, lecząc chorych, między innymi na tyfus. Po wojnie, do 1949 r., mieszkała w Łodzi, a następnie już na stałe i samotnie na Saskiej Kępie w Warszawie przy ul. Bajońskiej.

Łódzki okres w życiu Oli to przede wszystkim praca w Czytelniku na stanowisku kierownika graficznego i redaktora graficznego „Świerszczyka". Tu powstały także jej scenografie teatralne i pierwsze, jakże udane, ilustracje książkowe.

Później, już w Warszawie, jej twórczość zdominowała ilustracja książek, w tym szczególnie dla dzieci. Przez swój niezwykły talent i pracowitość, a zarazem perfekcję wykonania, stała się jednym z twórców polskiej szkoły ilustracji i polską „cesarzową" ilustracji dziecięcej. Ukoronowaniem pracy artystycznej w tej dziedzinie było przyznanie jej w 2000 r. nagrody za całokształt twórczości – medalu IBBY uważanego za Nobla ilustracji dziecięcej. W dorobku artystki znajduje się ponad 200 zilustrowanych książek dla dzieci i dorosłych, kilka scenografii teatralnych, wiele plakatów i kalendarzy, wiele okładek, serie pocztówek i wiele innych druków akcydensowych.

Była przy tym przeuroczą, filigranową osóbką tryskającą życiem i temperamentem. Chodzącą encyklopedią przedwojennego i powojennego życia artystycznego, nie tylko stolicy. Wspaniałym gospodarzem i gawędziarzem, znawcą i twórcą wykwintnych potraw i napojów. Do końca bardzo żywotną i zapracowaną, a przy tym niezwykle towarzyską damą.

Stasiu wcześnie osierocony przez ojca, który zginął jako żołnierz w I wojnie światowej, dzieciństwo spędził na wsi. Do szkoły podstawowej chodził w Stryszawie i Suchej Beskidzkiej. Potem zaś, „bo mu w duszy grało", uczył się w Państwowej Szkole Przemysłu Drzewnego w Zakopanem, a jego nauczycielami byli m.in. Roman Olszowski i Karol Stryjeński. Dalej to już studia artystyczne w Warszawie. Początkowo w Szkole Sztuk Zdobniczych i Malarstwa, a następnie w Akademii Sztuk Pięknych pod kierunkiem m.in. prof. Tadeusza Breyera. Po wybuchu wojny wrócił w rodzinne strony. Uczył m.in. w Szkole Przemysłu Drzewnego w Kalwarii Zebrzydowskiej. Działał także w konspiracji, zajmując się m.in. dostarczaniem przez granicę leków do Generalnej Guberni dla oddziałów partyzanckich AK. W 1945 r. wrócił do Warszawy, gdzie wraz z rodziną mieszkał przez dziesiątki lat na Saskiej Kępie przy ul. Saskiej.

Jako góral „z wysoka widział więcej i czuł głębiej" oraz miał wrodzony talent i wrażliwość na piękno. To oraz niezwykła i żarliwa pracowitość uczyniły go wielkim humanistą i prawdziwym człowiekiem renesansu, poetą i myślicielem. Artystą wszechstronnym, który całe swoje pracowite życie poświęcił przede wszystkim rzeźbie i medalierstwu.

Swoją działalność artystyczną rozpoczął już przed wojną od rzeźb w drewnie, ceramice i brązie, za które otrzymywał na konkursach najwyższe nagrody. Wspólnie z Janem Bogusławskim i Maksymilianem Potrawiakiem realizował także wielkie dzieło w postaci Mauzoleum gen. Gustawa Orlicz-Dreszera w Gdyni na Oksywiu.

Po wojnie wykonał ponad sto rzeźb i płaskorzeźb w przeróżnym materiale dla Urzędu Rady Ministrów, Rady Państwa i Sejmu. Tworzył duże pomniki, z których sześć znajduje się w samej Warszawie. Wykonał dziesiątki rzeźb, które rozproszone są po całym świecie. Wiele kompozycji rzeźbiarskich i tablic pamiątkowych, a także pomników nagrobnych sławnych ludzi minionej epoki. Od początku lat 60. uległ fascynacji medalierstwem. Tworzył dziesiątki unikatowych, miniaturowych dzieł sztuki o przepięknych kształtach i powierzchniach, z dala rozpoznawalnych i chyba najpiękniejszych, jakie zdarzyło nam się podziwiać.

Jednocześnie, od wczesnych lat młodzieńczych, pisał wspaniałe wiersze oraz sentencje i aforyzmy. Notował także myśli filozoficzne i prawdy życiowe. Pod koniec swojego wspaniałego i pracowitego życia wydał książkę „Jedno życie", w której zawarł wspomnienia z dzieciństwa i młodości, wybrane wiersze oraz myśli, a także kilkaset miniaturowych rysunków o niezwykłym pięknie.

Był człowiekiem niezwykle przyjacielskim, skromnym i pogodnym, który posiadał przy tym niezwykłą inteligencję. Obcowanie z nim i prowadzenie rozmów sprawiało nam zawsze wielką radość. Rozumieliśmy się przecież w pół słowa, a sytuacje pełne niedopowiedzianego humoru trafiały się jakże często.

Jakby spinając klamrą te wspomnienia o Oli i Stasiu, należy ze smutkiem przypomnieć, że oboje artyści zmarli w 2000 r. w Warszawie na Saskiej Kępie, przeżywszy po 89 lat.

DANUTA I JERZY MAZURKIEWICZ

GAZETA WYBORCZA *Środa – czwartek 31 października – 1 listopada 2001* **www.gazeta.pl/warszawa**

49. Olga Siemaszko, Stanisław Sikora. Wspomnienia. 2001 r.

50. Dekorowanie gen. W. Jaruzelskiego przez autora odznaką pamiątkową R-63. 1999 r.

51. Studnia na rynku w Kazimierzu. Przy studni Dana. 1994 r.

52. Widok z Góry Trzech Krzyży na centrum Kazimierza.
Na pierwszym planie Dana. 1995 r.

53. Dana w makach. 1998 r.

54. Dana z rozpuszczonymi włosami. 1998 r.

55. Stary dom w Emowie. 2001 r.

56. Nad Mienią. 2001 r.

57. Przemysław i Anna na Placu Zamkowym w dniu ślubu. 2000 r.

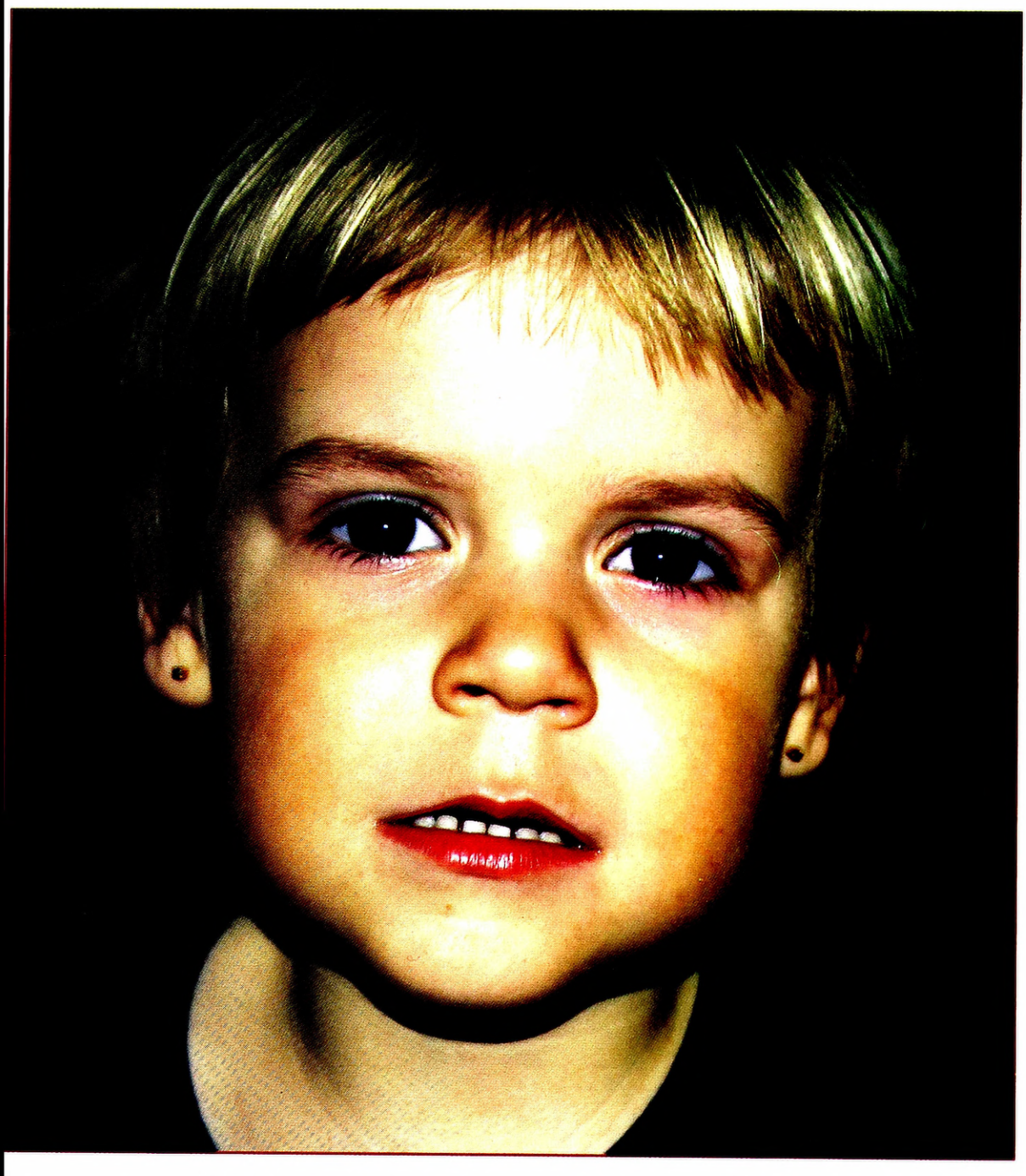

58. Julianna Jadwiga Mazurkiewicz. Luty 2004 r.

59. Kordian Jonathan Mazurkiewicz. Luty 2004 r.

60. Maksymilian Karol Mazurkiewicz. Luty 2004 r.

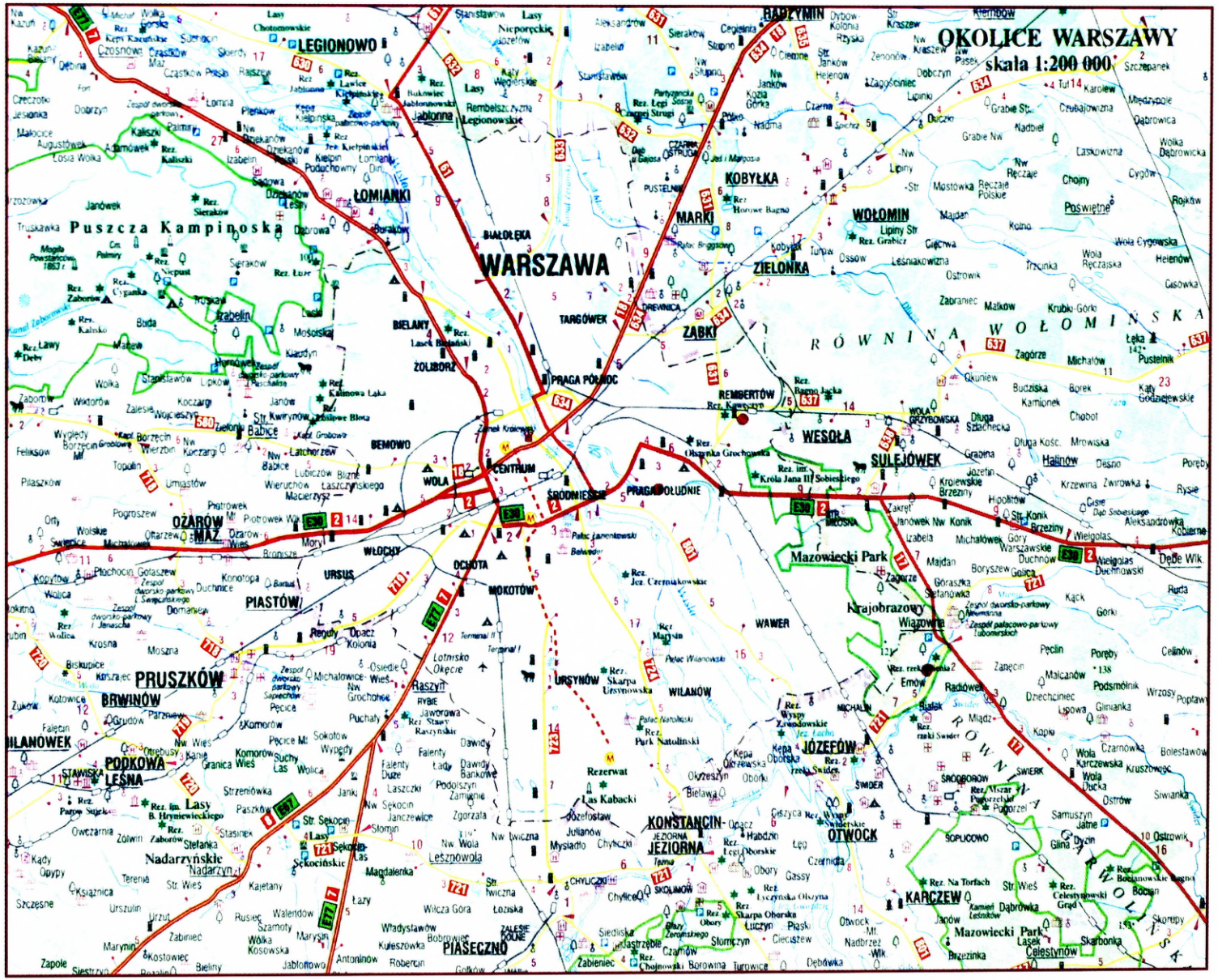

61. Mapa Warszawy i okolic z zaznaczonymi miejscami zamieszkania

Wykaz ilustracji

1. Mapa powiatu wadowickiego – 2003 r.
2. Północny stok Przytkowic. Widok z Kąta w kierunku na Drabož – 1994 r.
3. Rod Antosów. Drzewo genealogiczne.
4. Stary dom Antosów (część). W wejściu do domu siedzi Fryderyk Antos – 1991 r.
5. Ród Mazurkiewiczów. Drzewo genealogiczne.
6. Władysław Mazurkiewicz – 1957 r.
7. Antonina Mazurkiewicz – 1957 r.
8. Groby dziadków po kądzieli i rodziców. W oddali zalesione wzniesienie Ludka – 2003 r.
9. Rodzice z przyjaciółmi przed „Kółkiem". Od prawej stoją: Antonina Mazurkiewicz, Jadwiga Pieprzyk i Józef Dumanus oraz siedzą Władysław Mazurkiewicz i Antoni Pieprzyk. Pomiędzy nimi stoi autor – 1942 r.
10. Fryderyk i Maria Antosowie z córką Janiną oraz Antonina Mazurkiewicz z synem Jerzym – 1946 r.
11. Kapliczka „Pod lipami" – 1991 r.
12. Budynek Liceum Ogólnokształcącego w Kalwarii Zebrzydowskiej – 1992 r.
13. Klasztor Bernardynów w Kalwarii Zebrzydowskiej. Widok od strony Ukrzyżowania. Z lewej strony widnieje część zabudowań gospodarczych, w których mieścił się internat – 1992 r.
14. Janina Mazurkiewicz – 1965 r.
15. W mundurze wyjściowym starego wzoru na trybunie honorowej. Na dłoniach białe rękawiczki przysługujące członkom kompanii honorowej szkoły – 1962 r.
16. W mundurze wyjściowym nowego wzoru – 1963 r.
17. Uczestnicy zjazdu organizowanego z okazji czterdziestolecia promocji. W górnym lewym rogu odznaka pamiątkowa R-63, a w prawym dolnym tablica pamiątkowa – 2003 r.
18. Trybuna honorowa podczas promocji. Przemawia komendant OSŁ pułkownik Edward Gierasimczyk, po prawej generał Wojciech Jaruzelski – 1963 r.
19. Promuje generał dywizji Wojciech Jaruzelski. Na pierwszym planie po prawej autor – 1963 r.
20. Danuta Pieszko z koleżanką Haliną Huk – 1956 r.
21. Kazimierz i Aniela Michałowscy – 1930 r.
22. Janina Pieszko z d. Michałowska – 1937 r.
23. Karol Pieszko – 1968 r.
24. W dniu ślubu. Jerzy i Danuta Mazurkiewicz z d. Pieszko – 1965 r.

25. Danuta Pieszko na pomoście plaży miejskiej – 1964 r.
26. Rodzina w komplecie – 1973 r.
27. Odprawa kadry i słuchaczy Katedry Taktyki Wojsk Łączności – 1975 r.
28. Przodujący nauczyciele akademiccy i słuchacze. Od lewej: autor, kapitan marynarki Paweł Chudzyński, kapitan Leszek Buchnajzer, pułkownik Henryk Kitkowski, pułkownik Józef Mackiewicz, kapitan Janusz Kopacz i kapitan Henryk Starobrat – 1975 r.
29. W trakcie opracowania ćwiczenia na poligonie Orzysz – 1977 r.
30. Moment rozpoczęcia sojuszniczego ćwiczenia pk. „Fala-77" w NRD. Od lewej: dowódca dywizji, generał brygady Leszek Kozłowski, z-ca dowódcy ds. politycznych, pułkownik Bagniuk, oficer organizacyjny, autor i adiutant dowódcy dywizji – 1977 r.
31. Na stanowisku dowodzenia kierownictwa ćwiczenia w Peenemunde. Uzgadnianie łączności dowodzenia i współdziałania z szefem łączności dywizji niemieckiej ze Schwerina. Z lewej autor, z prawej adiutant dowódcy dywizji – 1977 r.
32. Podczas zakończenia ćwiczenia „Fala-77" wśród żołnierzy polskich, niemieckich i radzieckich – 1977 r.
33. W holu Wydziału Wojsk Lądowych. Z lewej popiersie Tadeusza Kościuszki, z prawej emblematy rodzajów wojsk lądowych. Od góry wojsk: zmechanizowanych, pancernych, łączności, rakietowych i artylerii, inżynieryjnych, przeciwchemicznych i tyłów – 1990 r.
34. W trakcie zajęć przy stole plastycznym, obrazującym rozwinięty w terenie węzeł łączności stanowiska dowodzenia armii – 1990 r.
35. Oficerowie nowoutworzonego Zakładu Systemów Łączności. Pułkownicy, od lewej: Piotr Gryciuk, autor, Józef Michniak i Włodzimierz Poleski – 1992 r.
36. Uroczyste pożegnanie odchodzących do cywila nauczycieli akademickich przez komendę akademii w sali tradycji. W pośrodku autor, z prawej komendant-rektor akademii – 1996 r.
37. Informacja w „Głosie Nowej Huty" o zakończeniu misji w Kombinacie Metalurgicznym Huta im. Lenina – 1982 r.
38. Wywiad z inżynierem Kaczorem o sytuacji przed i po wprowadzeniu stanu wojennego w kombinacie – 1989 r.
39. Bracia w Nowym Jorku – 1992 r.
40. Radosław i Joanna w dniu ślubu – 1992 r.
41. Przed centrum Rockefellera w Nowym Jorku – 1995 r.
42. Przemek na jachcie w pobliżu Nowego Jorku – 1995 r.
43. Dana na Sławkowskim Szczycie – 1991 r.
44. Na przełęczy Vaha w drodze na Rysy – 1992 r.
45. Autor na Giewoncie – maj 1998 r.
46. Na Nosalu. Drzewoptak i autor – 1994 r.
47. Stasiu ze swoją muzą – 1998 r.
48. Olga i Dana w zaczarowanym miejscu – 1997 r.
49. Olga Siemaszko, Stanisław Sikora. Wspomnienia – 2001 r.
50. Dekorowanie gen. W. Jaruzelskiego przez autora odznaką pamiątkową R-63 – 1999 r.
51. Studnia na rynku w Kazimierzu. Przy studni Dana – 1994 r.

52. Widok z Góry Trzech Krzyży na centrum Kazimierza. Na pierwszym planie Dana – 1995 r.
53. Dana w makach – 1998 r.
54. Dana z rozpuszczonymi włosami – 1998 r.
55. Stary dom w Emowie – 2001 r.
56. Nad Mienią – 2001 r.
57. Przemysław i Anna na Placu Zamkowym w dniu ślubu – 2000 r.
58. Julianna Jadwiga Mazurkiewicz – luty 2004 r.
59. Kordian Jonathan Mazurkiewicz – luty 2004 r.
60. Maksymilian Karol Mazurkiewicz – luty 2004 r.
61. Mapa Warszawy i okolic z zaznaczonymi miejscami zamieszkania.

BIBLIOTEKA MUZEUM - ARCHIWUM
Nr 57233
Akademii Obrony Narodowej

ISBN 83-89426-21-9

AON Wydział Wydawniczy